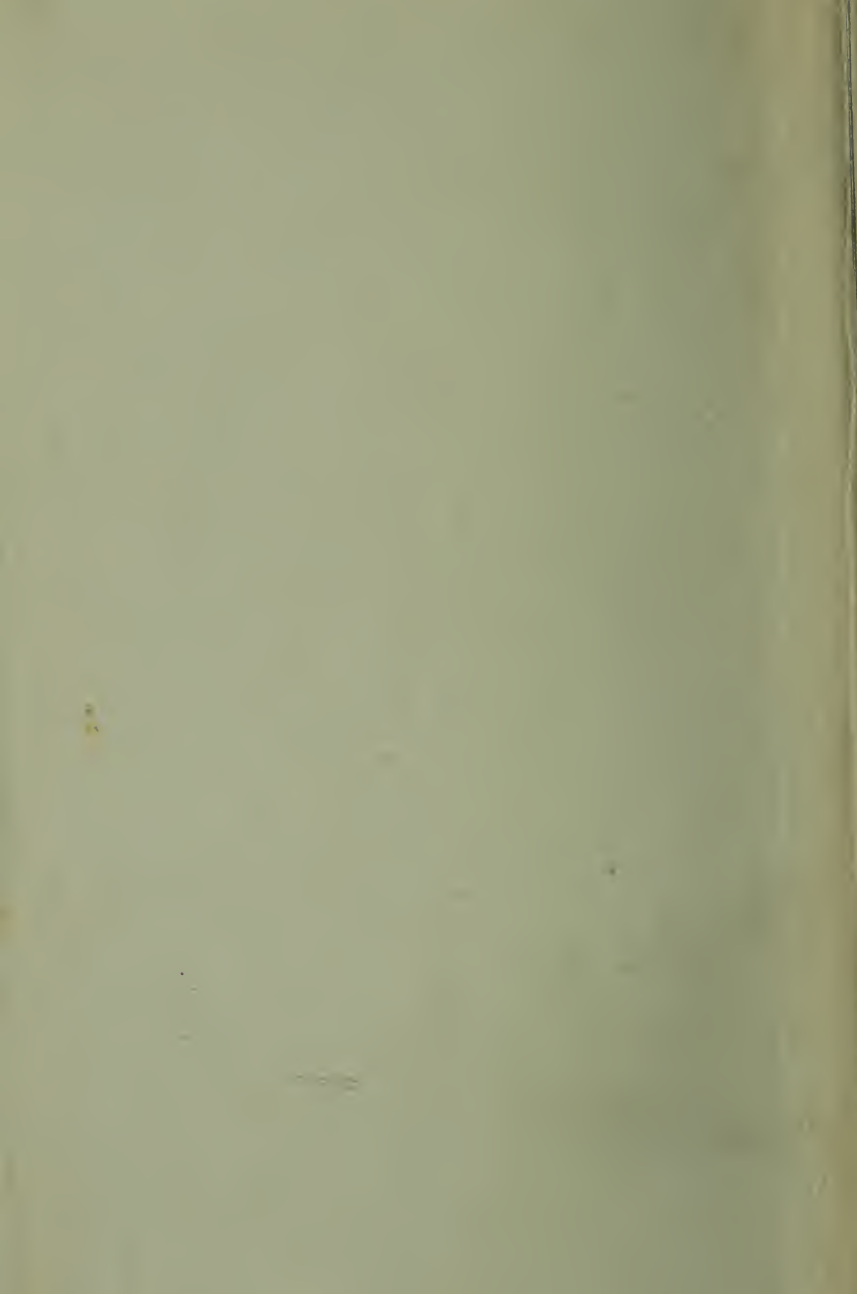
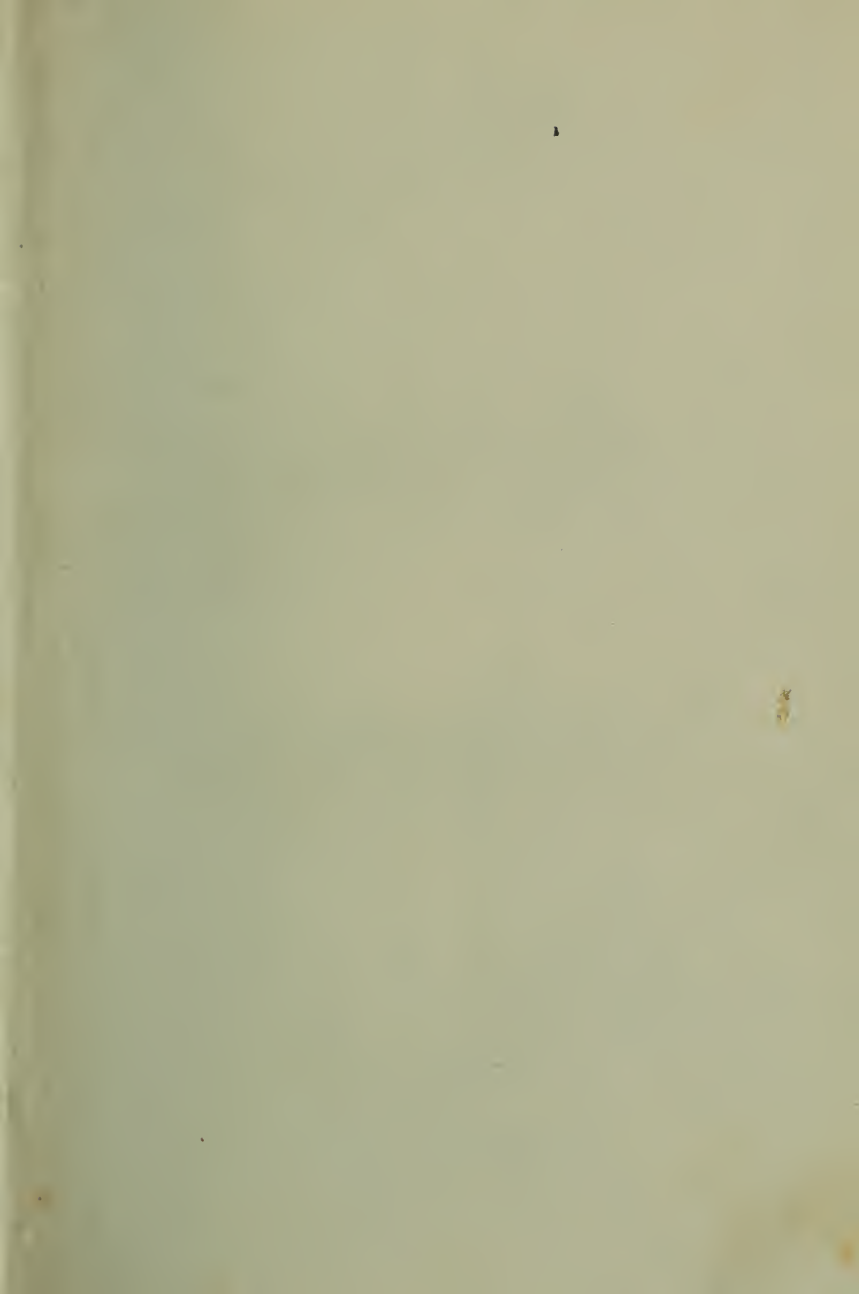
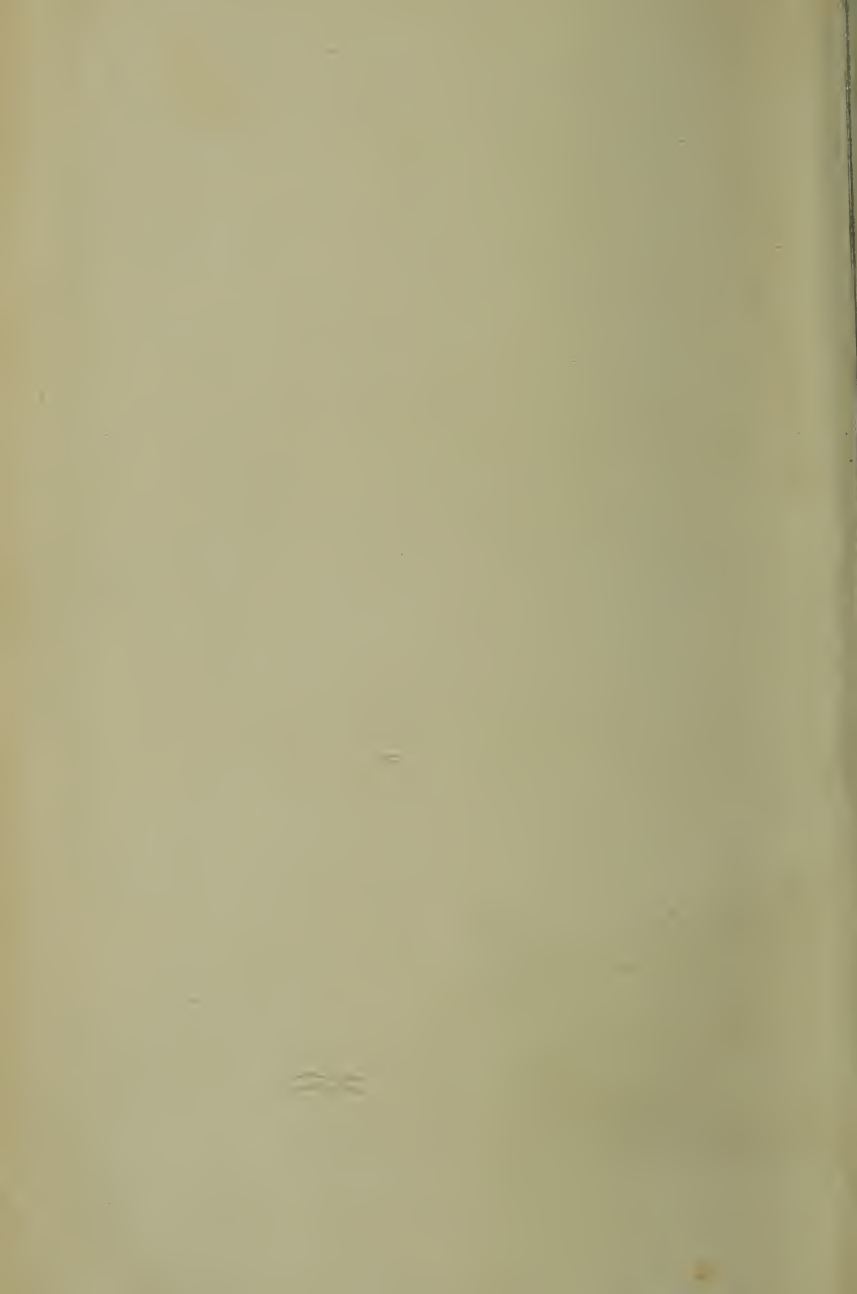


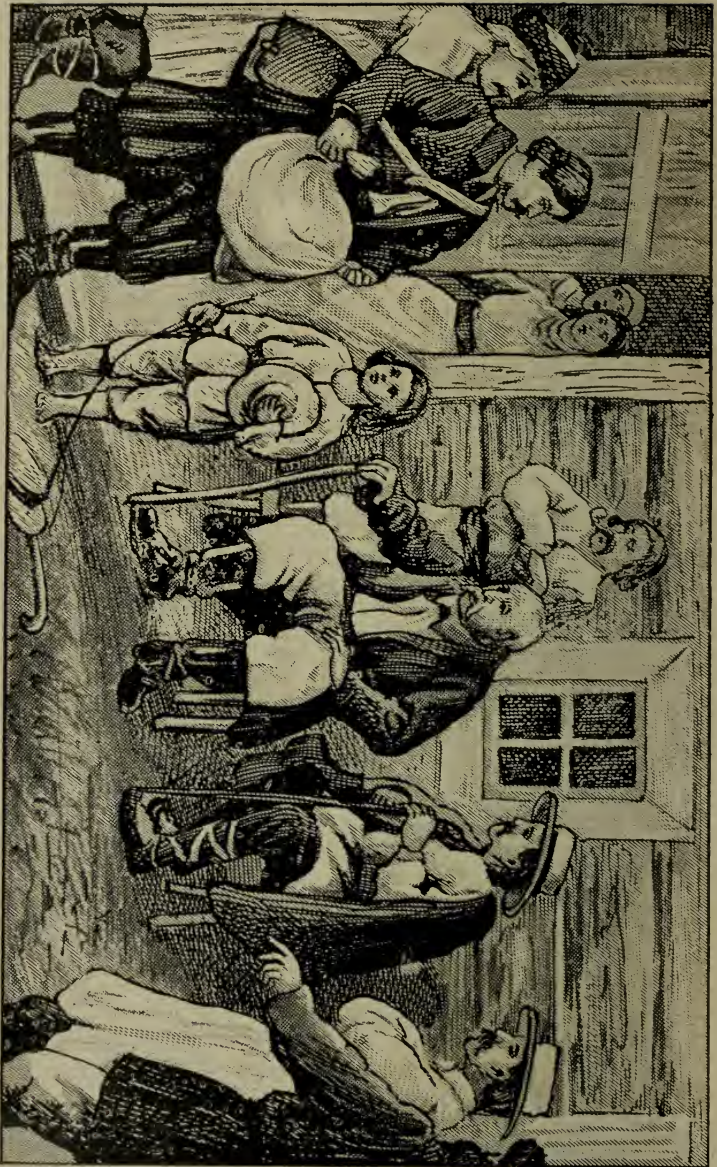
3 1761 08822286 4









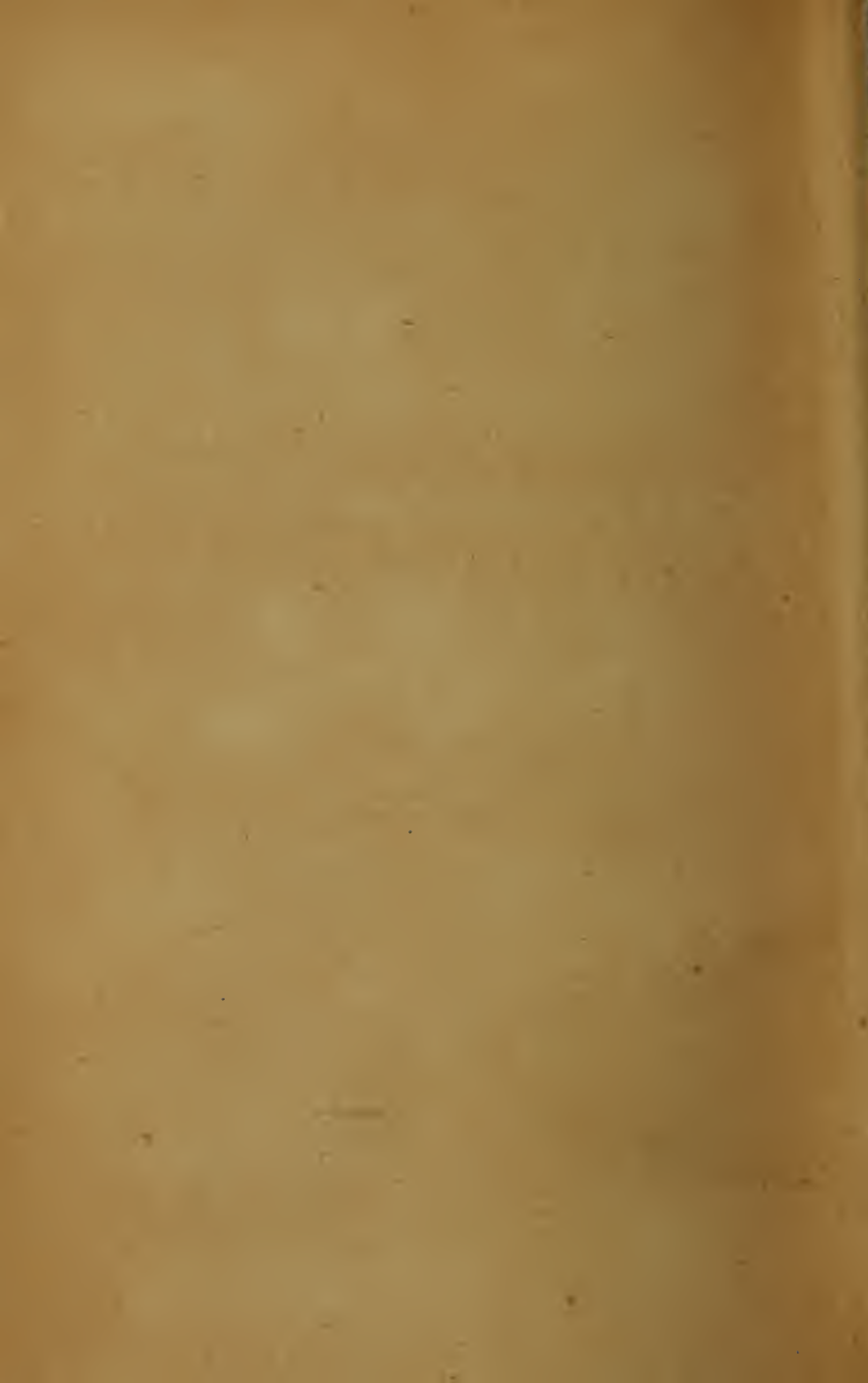


„Wraca Szymon z Ukrainy — Opowiada dziwne dziwy.“

(Ilustr. do poematu: „Garść pszenna“ Tom II str. 258).

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XVII.



LP
K8266

Kondratowicz, Ludwik

POEZYE LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

(Z PORTRETEM AUTORA.)

TOM V. - VI

2v. in 1.

486187

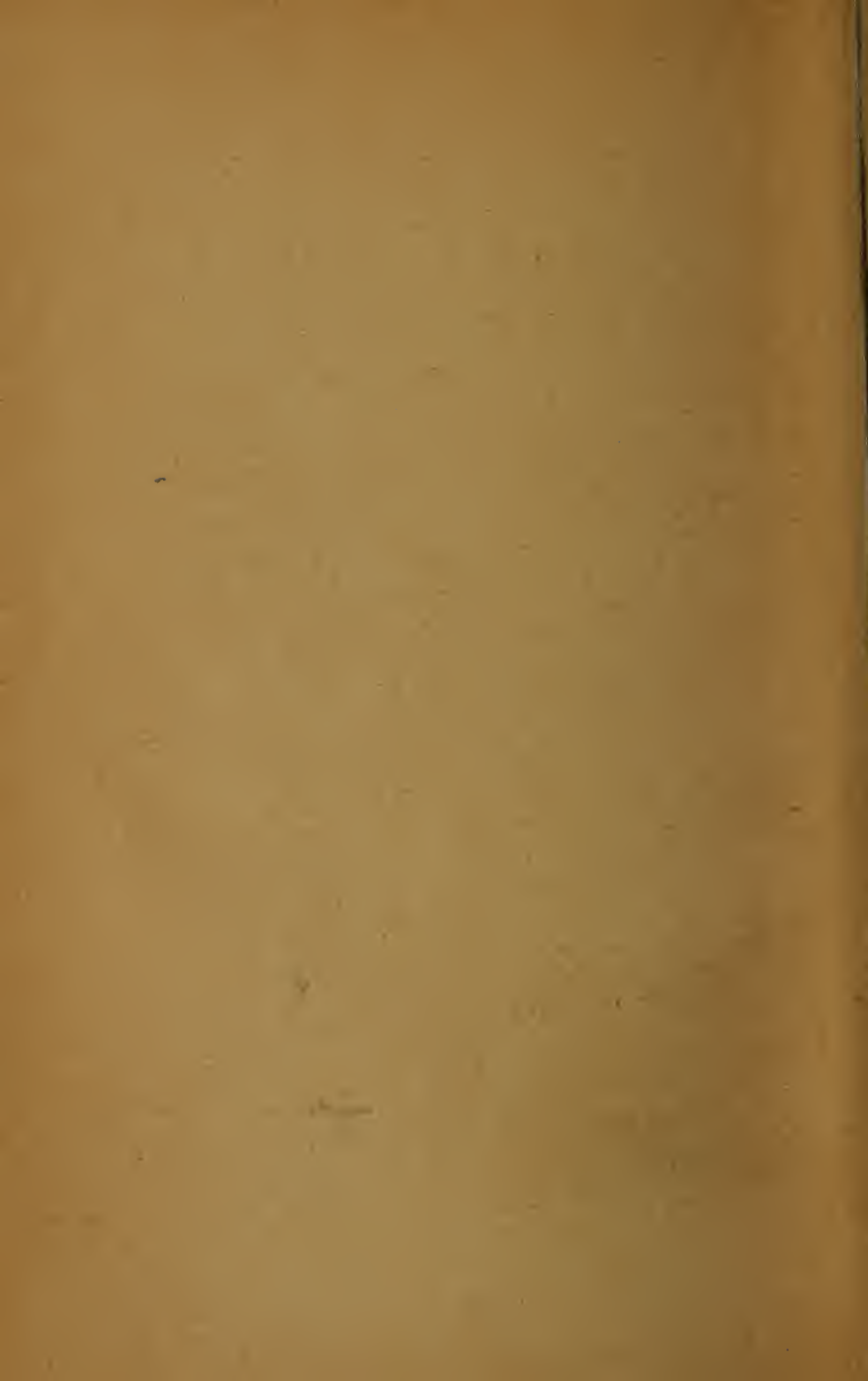
17.2.49

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.



UTWORY LIRYCZNE.





DO * * *

Z pałaców sterczących dumnie
Znijdź, piękna, do mojej chatki;
Tylko zabierz swe manatki,
Bo hołotę znajdziesz u mnie.

Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie;
Bo kochanek wierny ciebie
Czułościami karmić będzie.

Z rana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę śpiew słowika,
A na noc marzenia złote.

A gdy cię dumanie czyste
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojej strzesie
Obaczysz Niebo gwiaździste!

1843. Nieśwież.

DO PRZYSZŁEJ ŻONY.

Pani! chcesz wierszy, chcesz wskrzesić ducha,
Którego tak dawno tłumię;
Dziewica każe, poeta słucha,
I spełnia rozkaz, jak umie.

Ale okrutne pani rozkazy!
Nie umiem spełnić tak wiele,
Nie umiem znaleźć na słońcu skazy,
Wady w tak czystym aniele,

Ja tylko wielbić jestem ochoczy,
 Ja tylko umiem być czuły.
 Będę uwielbiał anielskie oczy,
 Choć mi spokojność zatrąły.

Pani to powie, żem nadto śmiały,
 Że to wyrazy pochlebne,
 I moje szczere dla niej zapaly
 Swą piękność nóżką podepcze...

1844. Nieśwież.

WSPOMNIENIE NIEŚWIEŻA.

SONETY.

1.

WSPOMNIENIE.

Gdzie po dwuwiecznym gwarze cisza uroczysta
 Zaległa Radziwiłłowskich złotych sal obszary,
 W murach, co pamiętają byt świetny, byt stary,
 Ja wlokłem dni powszednie, biedny biuralista.

W starym blaszanym hełmie chowałem cygary,
 A otrząśszy zbutwiałe malowidła z pyłów,
 Kiedy wiatr bił do okna, zastawiałem szpary
 Obrazami Ostrogskich, Sapiechów, Radziwiłłów!

W grobach, w gruzach, w gawędach i na starem płótnie
 Tylko przeszłość przelotem swój cień zostawiła.
 Czytałem po tych cieniach, bolejąc okrutnie,

Bom widział, że ta przeszłość, choć zmarła, nadgniła,
 Jeszcze przy naszym wieku wygląda butnie,
 Jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła.

2.

MIASTO.

Małe i liche miasto stoi w rozwalinie,
 Tu i owdzie wśród gruzów nowy mur się błyszczy,

Tu i owdzie wieżyce, klasztory, świątynie,
Póki czas ich nie pożre, burza nie poniszczy.

Małe i liche miasto, co stoi w ruinie,
Czyż komu łzę wywoła, ciekawość obudzi?
Wędrowiec je w przejeździe obojętnie minie,
Jak mijamy podeszłych, pospolitych ludzi.

Lecz ten starzec — to żołnierz, to bywalec może,
W ranach swych męstwa, w zmarszczkach ma długie
Opowie ci swe losy, bitwy lub podróże... [lat dzieje,

Miasto ma swoją przeszłość, swoje przywileje...
Przestarzały pergamin?! — O, pożal się Boże!
Człek go już nie wyczyta i mól nawet nie je.

3.

ZAMEK.

Za szerokiem jeziorem, na krańcu krainy,
Sterczy kamienny starzec — i niekiedy z wieży
Długo, zwolna wydzwania ubiegłe godziny,
Nim ostatnią dni swoich godzinę uderzy.

W piersiach jego, jak w piersiach stuletnich żołnierzy,
Tylko pamięć na dawne zdarzenia i czyny.
Teraźniejszość z przeszłością pogardliwie mierzy:
Znał ojców — jakże śmieszne w jego oczach syny!

Czy odżyje? czy wskręsi swoje dawne losy
Huczno, po Radziwiłowsku? — Jeszcze ma nadzieję,
Jeszcze dziad śmiało strzela wieżami w Niebiosy,

Jeszcze herby, obrazy i szpargałów stopy
Strzeże jak świętość... Boże! ta świętość spróchnieje,
Jak słowo bez znaczenia, roślina bez rosy.

4.

GROBY RADZIWIŁŁÓW

w kościele pojezuickim.

Pod ogromną świątynią jest miejsce grobowe,
 Jest sklepisko podziemne, w niem ołtarz i krata;
 Dalej trumna przy trumnie — wszystkie hebanowe,
 Wszystkie z dębu — w nich kości długie leżą lata.

Z trumien zgnilizna wieje, choć arystokrata
 Przesiąkły balsamami złożył tutaj głowę.
 Zgniły pany i panie — tylko trwalsza szata,
 Szkielet, herb ci przypomni ich życia osnowę.

Swe imiona to złotem, to krwią nakreślili
 W wiecznej pamięci ludów lub na dziejów karcie!
 Nie złorzecz... nie błogosław... oni ludźmi byli.

Cóż gdyby oni z grobów powstali w tej chwili?
 Znówby biegano do nich po łaski, po wsparcie,
 Lecz oniby z pogardą oczy odwrócili...

5.

ALBA.

Zwierzyniec Radziwiłłowski.

Ha! jak tu pięknie, miło, cienisto, zielono!
 Wnijdź w aleje lip starych, w brzezynowe lasy, —
 I myślą pradziadowską orzeźwij twe łono,
 I przenieś swoją pamięć w pradziadowskie czasy.

Gdzie modlił się Sierotka, gdzie Karol zapasy
 Wiódł ze zwierzem, obaczysz sarnę przepłoszoną;
 Gdzie wrzały pełne życia Albańców hałasy —
 Sterczy pałac na łące ruderań czerwoną.

Wyspa... kanał... tu może... Precz stare wspomnienia!
 One ciężkie dla duszy. W sercu zniewieściałem
 Może słodsze masz myśli i świeższe marzenia.

Może miłość?... Na trawie, co lipa ocienia,
 Siądź, szczęśliwce, i lubym nakarm się zapałem,
 I ryj na korze cyfrę kochanki imienia...

6.

ŚWIĘTY KRZYŻ.

Opactwo Benedyktynów i mogiły miejskie.

Krzyż błyszczy poza lasem — daleko od miasta
 Mieszkanie Eremitów bieleje tam w lesie,
 A wysoko na górze, jak oko doniesie,
 Jest kościół — naokoło gęstwina zarasta.

Cisza... zaledwie czasem wiatr po liściach szasta,
 Albo echo od dzwonów po wąwozach rwie się...
 O! tutaj często dzwonią przy śmiertelnych kresie —
 To gród trupi, ludniejszy od żyjących miasta.

Mogiła przy mogile, syny trupich kości,
 Robaki odrażliwe, po ziemi się wleką, —
 Trącasz nogą — to czaszka, w niej gadzina gości.

Smutno ci? zmów pacierze, nie złorzecz nicości,
 Szalony synu ziemi! bo dzień niedaleko,
 Kiedy żywy zmarłemu grobu pozazdrości...

7.

DO BOGARODZICY

w Słuckiej bramie.

Bogarodzico! ku litości łatwa,
 Ty, co żrenicą czuwasz niezmrzuoną
 W bramie na warcie, aby Twoja dziatwa
 Bezpiecznie spała pod Twoją obroną?

O! strzeż tych świątyń, w których Syn Twój słodki
 Odbiera od nas ofiary codzienne,
 I strzeż te domy, te baszty kamienne,
 Te rozwaliny — dawny gród Sierotki.

NAD NIEMNEM.

Mętny Niemen i płowy,
 Krętym węzem się toczy —
 Bóg ci sprzyjaj, czółnowy!
 Płyn wesóły, ochoczy.
 Lecz on trwożną ma postać,
 Prosty człowiek — wiadomo.
 Och! gdyby mnie się dostać
 Na płaszczyznę ruchomą!
 Gdyby łodzi dać wolę
 I bez steru, bez wiosła,
 Płynąć w mętym żywiole,
 Gdzieby woda zaniósła!
 Między fale mienione
 Puścić czółen jak długi...
 Póki w nurtach utonę,
 Tożbym użył żeglugi!
 Woda czysta, pienista,
 Z moją łodzią się zetrze —
 Człek na fali się chysta,
 Jak ptaszek na wietrze...

.....
 1844. Załucze.

ODA Z HORACYUSZA.

(PARODYA).

Quem tu, Melpomene, semel
 Nascentem placido lumine videris...

Komu raz, Muzo, usiądziesz na karku,
 Tego już rozum nie złapie,
 Ten już nie pójdzie hasać po jarmarku,
 Jak cygan na chudej szkapie.

Już go głos trąby śmiertelnie zatrwoży,
 Sława go z pieca nie zwabi,

Już on w teatrze nie zasiądzie w łoży
Nakształt fireyka lub hrabi.

Za to ulubi gdzieś pod drzewem suchem,
Lub przy kałuży swej wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem,
Układać rymy i zgłoski.

Muzo! co umiesz i na dudce z łyka
Dziwną i słodką pieśń stwarzać,
Ty, która lubisz nawet i indyka
Łabędzim głosem obdarzać.

Tobie winienem mój obiad piątkowy,
Mą sławę, moje uczucie,
Oklaski, pustki kieszeni i głowy,
I łaty w moim surducie...

1844. Załucze.

SŁODYCZ MARZEŃ.

Nim zaświta los szczęśliwy,
Jeden balsam na ranę:
Mądre myśli porzuciwszy,
Puszczając bańki mydlane.
Z niemi zgodnie, niezawodnie
Słodka myśl się rozhula.
Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!

Los zawistny pędzi, gniecie
Nieszczęśliwy ród ziemian;
Gromy, burze i zamiecie
Uderzają na przemian;
Lecz coś klei myśl nadziei
I pod skrzydła przytula.
Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!

O witajcie, myśli puste,
 Lube zamki w obłoku!
 Człękby skwaśniał na kapustę
 Bez waszego uroku.
 Przez was miłe nasze chwile
 Lecą szybko, jak kula.
 Wlaził na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

Gdy mi serce cierń oplata,
 Chmury ciążą u głowy,
 Niedowolen z tego świata,
 Tworzę sobie świat nowy.
 Świat mój zgodny i niegłodny,
 Jakby pszczołki wśród ula.
 Wlaził na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

Wszędzie kwiaty, wszędzie kłosa,
 Owoc pokrył aż liście,
 Słysząc płasy i odgłosy,
 Lud się kocha ogniście;
 Z dobrej woli na swej roli
 I pracuje, i hula.
 Wlaził na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

O! ten nie zna szczęścia dosyć,
 Kto nie umie radośnie
 Na topieli gmachów wznosić,
 Zrywać gruszek na sośnie!
 To rozkosze, wierzcie, proszę,
 Jak to bawi, rozczula!
 Wlaził na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

T O I D O S Y Ć .

Dzień po dniu nad głową płynie,
Biegą chwile, biegą lata,
Wraz, przelotny gościu świata,
Legniesz w ciasnej domowinie.

Tam po Niebios wysokości
Twój sierocy duch się zbłąka;
Tu w spróchniałe twoje kości
W pustej trumnie szczur zabrząka.

A po zgonie trup twój błądy
Będą grześć ceremonialnie:
Ksiądz żałobną mowę palnie,
Anioł Pański zmówią dziady.

O n a z pięknym płaczem włoży
Czarną szatę, jak do balu;
Druh poeta w dowód żalu
Na nagrobek wiersz ułoży.

O t i wszystko twemu ciału!
Ziemskie pokryć ziemi bryłą.
Lecz gdzie myśl twa? duch zapału?
O! to zgasło, jak nie było!

Pamięć myśli, pamięć ducha,
Pamięć szczęścia, łez powodzi, —
To nikogo nie obchodzi,
To najprędzej wiatr zadmucha.

Piosnko moja! w tobie tylko,
Co niebieskie, oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień mej śmierci i pogrzebu.

Będą ciebie w mnogim tłumie
Ci potępiać, ci wynosić;
Lecz się znajdzie, kto zrozumie,
Westchnie ze mną — to i dosyć.

R U I N Y.

Tam na mogiłach szkielet człowieka
Patrzących na się nabawia strachu;
Odwracasz oczy — a tu z daleka
Błyszczą się szkielet starego gmachu.

W szkielecie człeka — pierś pustką stoi;
W szkielecie gmachu — wiatr wieje wszędzie.
Nie żałuj zmarłych — ród ludzki będzie
I w nowe gmachy ziemię ustroi.

Jeżeliś badacz, tego ci mało,
Wyszukuj starca — on ci opowie
I o człowieku, i o budowie,
Chwilkę przeszłości lub przeszłość całą.

Powie, co było z nimi przed wiekiem,
Powie, co z dawnej wieści pamięta.
Kto, kiedy gmachu kładł fundamenta?
Kiedy trup człeka był jeszcze człekiem?

Od kiedy człowiek w mogile leży?
Od kiedy wichry grób jego zniosły?
Od kiedy runął zamek wyniosły?
I bocian złożył gniazdo na wieży?...

Każdy wypadek wiernie oznaczy,
Myśl twą zanieś w dzieje przed laty,
Mieć będziesz wieści, mieć będziesz daty, —
Wszak tego dosyć dla was, badaczy.

Lecz jeśli, patrząc na pierś szerniałą,
Zapagniesz zbadać pod kością zgniłą:
Gdzie wrzały czucia? gdzie serce biło?
I co się w sercu człowieka działo?

Lub jeśli ciebie kroki zawiodły
W pośrodek stosów strzaskanej cegły,
I zechcesz wiedzieć, jakie tu biegły
Myśli, uczucia, zamiary, modły?

Napróżno słuchasz człowieka baśni,
 Daremnie szperasz w pustej budowie!
 Kość nie nie powie, gruz nie nie powie,
 Sąd Ostateczny chyba wyjaśni.

1845. Załucze.

DUMANIE POETY.

(FANTAZJA).

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
 Na ziemi i na Niebie smutno i ponuro,
 Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
 Co siedząc przy stoliku temperował pióro.
 On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
 Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem;
 Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
 W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.
 On po sklepieniu Nieba wieszczę oko toczył,
 I pół wieszczego pióra w wieszczę usta włożył,
 I w wieszczym kałamarzu wieszczę nos umoczył,
 I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

1845. Załucze.

CO SIĘ PRZYŚNI.

Jeszcze chwilka, o dziewico!
 Na dobranoc oczkiem błysnij,
 Niech cię słodkie sny pochwyca,
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może piesek ulubiony,
 Kosz cukierków albo wiśni,
 Może jaśnie oświecony;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może jeńcy starej daty,
 Podagryczni, lecz korzystni;

Może kwiaty, lub dukaty;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może zbrojny but w ostrogi,
 Może nawet ci się wyśni
 Ten, co drogi, lecz ubogi;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Bal czy chatka, którą marzą
 Wierszokleci nierozmyślni,
 Lub zwierciadło z własną twarzą;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Gdy otworzysz piękne oczy,
 Snów z pamięci nie rozpryśnij,
 Bo w nich będzie sen proroczy;
 Co się przyśni, to przyciśnij!

1845. Załącze.

NIE JA ŚPIEWAM!

I.

Nie ja śpiewam, lecz duch Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy,
 Co z miłości swej ogniska
 Promieniami w pierś mi tryska,
 Od którego ciepła miękne,
 Chwytam w serce wszystko piękne,
 Aż te czucia ręką Bożą
 Harmonijnie się ułożą,
 I wydadzą dźwięczne gwary,
 Niby struny u cytary,
 I piersiowa moja deska
 Niby harfa gra niebieska...
 W pierś uderzam się ze skruchą,
 Aż zabrzączą struny głucho,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

II.

Nie ja śpiewam, lecz lud Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy
 I przez serce nitką żywą
 W bratnie wiąże mię ogniwo,
 I udziela, duszy gwoli,
 Czucia doli i niedoli.
 Bratnie szczęście, jęk lub skarga
 Elektrycznie pierś mi targa,
 I napełnia echem łono,
 I rozbudza krew uspioną.
 Kładę na pierś rękę brata,
 Wnet mi tętno zakołata,
 Wewnątrz tony się rozleją,
 To miłością, to nadzieją,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

III.

Nie ja śpiewam, lecz świat Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy.
 Puls przyrody bije we mnie,
 Jak pluchoce fala w Niemnie,
 Jak w litewskim szumnym borze
 Gwarzą sosny w rozhoworze,
 Jak wiatr kapie moją głowę
 I kołysze chmury płowe...
 Oko, ucho, myśli moje
 Wrażeniami temi poję,
 I na oścież pierś rozwinę,
 I zapraszam je w gościnę,
 One lecą, w pierś się kładną
 Harmonijnie a bezładno,
 Wszystko żyje, brzęczy, hula,
 Jak gromada pszczoł wśród ula,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

PIOSNKI.

Piosnka weseli duszę
 I we śnie, i na jawie;
 A czyż ja milczeć muszę?
 A czyż ja piersi zdławię?
 Słyszę z dziejów oddali:
 Cóżem winien, że piszę,
 Gdy ją spisać kazali?
 Nie wie ptaszek, co kleci,
 Przecież śpiewa co rano;
 Wietrzyk nie wie, gdzie leci,
 Lecz mu lecieć kazano;
 Fala nie wie, co mruczy
 Na swej harfie spienionej,
 I nikt grzmotu nie uczy,
 W jakie ryczeć ma tony.
 Wielki Pieśniarz to zbada,
 Bierze tony z kolei,
 A z nich pieśnię układa
 Groźb, miłości, nadziei.

Niby wiejski mistrz w szkole
 Zbiera drobne pieśniarze,
 Uczy piosnek pacholę
 I powtarzać je każe,
 I rzecze: „Dziatwo drobna!
 Gdy ton pieśni umiecie,
 Każdego z was z osobna
 Porozsyłam po świecie.

Ty, najwięcej natchniony,
 Weźmiesz skrzydła orłowe,
 Chmur przebijesz zasłony,
 Zbadasz światów budowę,
 Zbadasz Niebios oblicze;
 A gdy wrócisz z oddali,

Dam ci tony słowicze,
By cię lepiej słuchali.

„Ty zaś... zapal gromnicę
U niebieskich podwoi,
Idź w grobową ciemnicę,
Gdzie przodkowie śpią twoi,
I przez lata, przez setne
Zanurz oko w przeszłości,
Wszystko wielkie, szlachetne
Zbadaj w prochu ich kości.
A gdy wrócisz z mogiły
Z wielką pieśnią dziejową,
Ja umocnię twe siły,
By słyszano twe słowo.

„Ty przyoblecz kształt ptaka,
Bądź jaskółką skrzydlatą,
I pod strzechą wieśniaka
Skleć gniazdeczko na lato.
Przysłuchaj się, co gwarzy,
Jaką nutą pieśń leje,
I pokrzepiaj nędzarzy
Szczębiotaniem nadzieje.
A gdy złożysz piosenki
O wioskowej zaciszy,
Ja umężnię twe dźwięki,
Że je każdy posłysz.

„Ty, jak motyl barwiony,
Pożycz barwy od słońca,
I rodzinne tve strony
Przeleć z końca do końca:
Spytaj kwiątka, co marzy?
Naucz się szeptów kłosa,
I dowiedz się, co gwarzy
Brzózka zielono-włosa.
Wrócisz z pieśnią do ludzi,
Ja jej nadam głos płynny.

Że się w sercach rozbudzi
Miłość ziemi rodzinnej.

„Idźcie — każdy w swą stronę,
Idźcie, jako wam każę,
Niecić iskry święcone
Na ludzkości ołtarze!
A gdy ołtarz ofiarny
Pięknym ogniem zatleje;
Was zamroczy dym czarny,
Łza źrenicę zaleje.
Przyślę na was szyderce,
Przyślę ludzi złej woli,
I zaboli was serce,
Ciężkim bolem zaboli.

„Lecz te bole minione
Wynagrodzą się hojnie,
Kto cierniową koronę
Będzie nosił dostojnie.
Nie nagrodę człowieczą
Los do ręki wam poda:
Szczęście tych, co złorzeczą,
Będzie wasza nagroda.
Piosnki wsącę w ich treści
W podniebieskie przestrzenie,
A łzy waszej boleści
W jasne gwiazdy zamienię.“

1845. Załucze.

NIEWINNEJ DUSZYCZCE.

Co z losem wieść boje?
Przespaeś, to twoje,
Niech cię sen skrzydełkami przytuli!
Źle wyszli na wojnie,
Śpij, bratku, spokojnie —
Luli, niewiniątko, luli!

Świat nie wie, gdzie śpieszy!
 Kto śpi, ten nie grzeszy,
 Jak dziecko, co w chrestnej koszuli,
 Spać z dłonią na oczy,
 To słońce nie mroczy, —
 Luli, niewiniątko, luli!

Bo cóż ci do tego,
 Że tam gdzieś łązy biega,
 Że nędzarz w łachmanach się tuli?
 Od cudzej złej doli
 Serduszko nie boli, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O pierwszej godzinie
 Obiadek nie minie,
 Przed obiadem stukniemy wóduli,
 I znowu na łożo
 Twą główkę położę, —
 Luli, niewiniątko, luli!

Ty marzysz, pieścotko!
 Patrzajcie, jak słodko!
 Widać śni, że kochanka go tuli.
 Sza... cicho... broń Boże,
 Obudzić się może!
 Luli, niewiniątko, luli!

Na nowo coś marzy,
 Jak znacznie na twarzy!
 Pewno śni, że wychylił wóduli;
 Bo usta i czoło
 Igrają wesoło, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O! w usta coś bierze,
 Śni widać wieczerzę,
 Patrzajcie, o ludzie nieczuli!
 A ja mu na jawie
 Wieczerzę przyprawię, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O wzorze dla wieku!
 O święty człowieku!
 To głupcy, co się ze snu wyzuli,
 I dzielą się z nami
 Radością i łzami:
 Prawa mądrość — to luli i luli!
 I nie dziw, że płaczą,
 Że jęczą z rozpaczą:
 Patrząc na świat, swe szczęście zatruli,
 Bo dziwną szli drogą,
 I usnąć nie mogą;
 Prawe szczęście — to luli i luli!
 1846. Załucze.

NAPOLEONISTA.

(OBRAZEK).

Honorowy krzyż na fraku,
 Wąsy zawiesiste,
 Jedna ręka na temblaku:
 Masz Napoleonistę.
 Babia czułość nieraz błysnie
 Przez rysy junacze;
 Nieraz marsem brwi naciśnie,
 By ukryć, że płacze.
 Nie powie, że bił się tego,
 Że lał krew szeroko;
 Ale wspomnij Lipsk, Marengo,
 I spojrzysz mu w oko!
 Dziś, gdy jego przeszłość cała
 W grobie pochowana,
 Bywa zimny gdyby skała,
 Milczący jak ściana.
 Ale przed nim niespodzianie
 Wyrzecz imię Jego,

On się zerwie, frontem stanie
 I łączy mu pobiegą.
 Krzyż na piersiach; lecz ma drugi
 Pod suknią znak Boski:
 Obok krzyża za zasługi,
 Medal Częstochowski.
 Krzyż i medal miał na łonie
 W dni bitew, jak zbroją;
 Pierś wojaka i po zgonie
 W krzyż, w medal ustroją.
 Z medalikiem zda rachunek
 Przed Najwyższym Panem;
 Z krzyżem — stanie na meldunek
 Przed wodzem kochanym.

26 maja 1846. Załucze.

SPOCZYNEK.

(Myśl ze św. Chryzostoma).

Patrz na źródło wody świeżej:
 To się w wązki strumień ściska,
 Pnie się w górę, z góry tryska,
 I spienione dalej bieży.
 Wirem kręci się, to wzdyma,
 To się kamień podmyć sili;
 Czysty potok: nigdy nie ma
 Odpoczynku ani chwili.
 Patrz w spoczynku woda zgniła,
 Jak zabójczą parę zionie —
 Pleśń zielona ją pokryła,
 A robactwo karmi w łonie.
 Myśli ludzka! twa otucha:
 Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!
 Świętem życiem wrzeć koniecznie,
 Bo spoczynek — to śmierć ducha,

Bo gdy praca cię unuży,
 Już zgnilizna brzydka wpadnie,
 Już robactwo cię owładnie,
 Uśniesz nakształt wód w kałuży.

1846. Załucze.

BYWAŁO.

Gawęda z samym sobą.

(URYWEK).

Ej! oddałbym, oddał i duszę, i ciało,
 Gdyby się tak rażno jak dawniej hulało!
 Ej, dawniej lubiłem, gdy bratnio i szczerze,
 Zimowym wieczorkiem gromadka się zbierze,
 I na niej uradzą z chychotem i krzykiem
 Daleko... daleko pojechać kulikiem...
 Rząd sanek po drodze jak wicher ucieka,
 I słychać gwar dzwonek z daleka, z daleka...
 A rumak, co leci, nie znając zawodu,
 Gdy stuknie podkową, aż skra tryśnie z lodu.
 A droga po śniegu utarta i gładka,
 A księżyc, z za chmurki patrząc z ukradka
 Na nasze zabawy, na nasze tu życie,
 Puszcza się kulikiem po ciemnym błękiecie.
 Ja wiozę bywało, i strzegę, i tulę
 Milutką istotę, com kochał tak czule!
 Ej słodkoż to jechać, gdy szczęście me przy mnie!
 Jest kogo utulić na wietrze, na zimnie,
 I gwarzyć, i marzyć, i prosić u Boga,
 Ażeby najdłużej przewlekła się droga.

Wiatr ciepły nas kąpie, a zorza choć blednie,
 Od gwiazdek, od śniegu widniutko jak we dnie.
 My lecim i lecim po górach, po błoni,
 Nasz kulik szeleszcze, tępoce i dzwoni.
 A tam gdzieś w pomroce za milę, czy dalej,
 Czy w chatach wieczorne łuczywo się pali?

Czy gwiazdka błyszcząca? czy wilk okiem mruży?
 Czy światło gościnne, cel naszej podróży?
 Malutka iskierka, to błysnie, to znika, —
 Hej, prosto na ogień skierować kulika!
 Ot zaraz ogniste zwiększają się kreski:
 To blaski od okien, to dworek litewski.
 Gospodarz nim zaśnie, nim światło zagaśnie,
 Hej, żywo przed ganek zajedziem hałasnie!
 Drużyna drużynę serdecznie spotyka,
 A gwaruż, tam gwaru! bo radzi z kulika;
 A śmiechuż tam śmiechu, a szeptów do ucha!...
 Kominek przyjaznem ogniskiem wybucha,
 Wieczera na stole, od końca do końca —
 Złocieją rzędami kielichy jak słońca...

Wypiwszy, spożywszy z Bożego coś daru,
 Na nowo ochota do śmiechów, do gwaru,
 Pustota i figle krzyżują się wkoło,
 Po prostu, niewinnie, serdecznie, wesoło.
 U starców od ruchu orzeźwi się łono,
 Dziewicom jagody różami zapłoną,
 Ich oczki strzelają niewinnie, lecz śmiało,
 A młodzież, och! młodzież — już serce stopniało...
 Ej słodkoż to, słodko, oblawszy się potem,
 Na wiązce murogu zasypiać pokotem!
 Zasypiać, dumając o przeszłej zabawie,
 I marzyć toż samo, co było na jawie...

Lubiłem to niegdyś... o Boże mój, Boże!
 Dlaczegoż gdy rękę na sercu położę,
 Tak bije mi tętno, tak łyzy z oczu biega?...
 O! gdyby choć dzionek wesela dawnego!
 Ej hulałbym, hulał!... Daremna podniето!
 Już nie to wśród ludzi, i w sercu już nie to!
 Już kulik na Litwie nudoty nie zgłuszy,
 Już sanki i dzwonki nie starczą dla duszy!

O MOIM STARYM DOMKU.

Ich sehe des Dorfes Weiden,
 Des Wiesenbaches Rand,
 Wo ich die ersten Freuden,
 Den ersten Schmerz empfand.

M a t i s s o n .

I.

Ej, za górą za wysokoą,
 Stare dęby z lewej strony,
 Za dębami bawi oko
 Nadniemeński brzeg zielony.
 Z prawej strony bagno szlakiem,
 Na bagnisku wierzba wzrasta,
 A na piasku, nad chróśniakiem,
 Szumi sośnina kolczasta.
 W parkanową wjedź ulicę:
 Stary domek w ziemię gnie się,
 Krzywe ściany, a na strzesie
 Mchem zawkitły już dranice,
 Widać niebo z drugiej strony
 Szczerbinami między dranic:
 To mój domek pochylony,
 Lecz nie oddałbym go za nic.
 Tu ostrokół tuż przy ganku,
 Do ogródka mego wnijście,
 A w ogródku, gdyby w wianku,
 Bzy niewielkie, gęstoliście.
 Pod oknami mych rozwalin
 Pstrzeją ziółka i kwiatuszki,
 A od kwiatów idą dróżki
 Do agrestu i do malin.
 Przez ostrokół widzisz pole,
 Lub jak zdala Niemen płynie,
 A przy gęstym ostrokole
 Ul pochyły na darninie.
 To mój ogród — wszystko moje —

Choć ubogo w nim i dziko;
Sam w nim chodzę, piszę, roję,
Kopię rydlem i motyką.
Domek, ogród, wszystko u mnie,
Jakże rzewnie, jak wesoło!
Jak uroczo, i jak dumnie
Stąd poglądam naokoło!
Czy to patrzę po płaszczyźnie,
Czy na łąki, na ostrowy,
Czy się chciwe oko wśliźnie
Między ciemny bór sosnowy,
Czy to puścić wzrok po Niemnie,
Jak rybaka z jego łódką:
Jak stąd pięknie, jak przyjemnie
Bujać okiem wokolutko!
Mój horyzont, to jak sala —
A te lasy, to ustronie,
Te rybackie chaty zdala
To jak sprzęty w tym salonie.
A tam w górze po lazurze
Pływa sobie chmur ułomek...
O! gdy zbierze się na burzę,
Nie wytrzyma stary domek!
Już gdy burza, zawierucha,
Mało służy dach ochrończy;
Już przez pułap deszcz mi plucha,
A przez ściany wiatr się sący.

II.

Stuka, puka topór w lesie,
Echo wstrząsa cisz gajową,
I mnie wieść żalną niesie,
Że mieć będę chatę nową;
Dach nad dawną moją chatą
Ręka cieśli w próchno zwali,
I że-wkrótce, w przyszłe lato,
Będę mieszkał okazalej...

Ach! gdy runą z tą starzyzną
 Każda izba, każdy kątek,
 Gdzież podzieją się, wyslizną
 Tyle wspomnień i pamiątek?
 Czy bywało serce bije
 Uniesieniem, smutkiem, strachem,
 Mnie najlepiej, gdy się skryję
 Pod zakwitłym moim dachem.
 Czy bywało radość wchodzi —
 Ściany echem się odezwą,
 Czy to boleść — znieść ją słodziej,
 Tu i płakać było rzeźwo.

Oto przyzba, oto ganek —
 Stąd słuchamy, gdy z poblizka
 Nadniemeński wychowanek,
 Słowik, świętą piosnkę tryska;
 Czasem tęskną myśl mi poda,
 Czasem rzewność tak głęboka,
 Ani ujrzysz, gdy ci z oka
 Łzy poleją się jak woda.
 Raz... pamiętam... zachwycenie
 Z rzewnym smutkiem serce burzy...
 O! jak błogie i westchnienie,
 Gdy je druga pierś powtórzy!

Ot mój pokój, mój różowy,
 Malowany w kolor cegły, —
 Och! wokoło biednej głowy
 Jakież myśli tu przebiegły!
 Ot na ścianie wieniec żyta,
 Pamięć żniwa i dożynek.
 Oto sofa pyłem kryta —
 Mój po pracy wypoczynek.
 Ot mój stolik, tron potęgi,
 Tam szpargałów leżą roje;
 A to szafa, a w niej księgi —
 Zguba moja, szczęście moje!

A nad stołem, tam, wysoko,
Buja nitka pajęczyny.
W nią wlepiełem moje oko,
W lube dumań mych godziny;
W nią patrzałem, gdyby w tęczę,
Gdy na czole ciężar czułem,
Lub gdy myśli pasmo snułem,
Wątle, słabe, jak pajęcze.
Oto komin — druh wesoły,
Tu wchodziły cygar dymy,
Tu-m fajczane trząśł popioły,
Tu paliłem moje rymy.

A ot druga izba w parze:
Lubo niema w niej przestworu,
Tu bywało co wieczoru
Chodzę sobie i coś gwarzę.
Tu bywało, gdym znużony,
Słodkie wczasu mam godziny,
W uściśnieniu lubej żony
Lub w pieszczotach mej dzieciny.
Tu kobierzec w krasne kwiaty,
Po kanapie rozpostarte;
Tutaj stolik do herbaty,
A na ścianach — Bonaparte.
O! lubiłem w tej izdebce,
W gwarze gości tchnąć weselem,
A najbardziej gdy się szepce
Z ukochanym przyjacielem.

Oto pokój mój do wczasu!
Łoże twardsze niżli cegły —
Stąd daleko od hałasu,
Tędy moje sny przebiegły.
Czasem w lubyh mar osnowie,
Czasem mara myśl przelękła,
Ot wezglowie — w to wezglowie
Ej, niejedna łąza zasiękła!

III.

Chatko! ściany twoje stoją.
 Lecz cię wkrótce proch zagrziebie.
 Jaż przyrosłem tak do ciebie,
 Ty tak wrosłaś w duszę moją!
 Wkrótce wnijdę w nowy kątek,
 Obcy sercu i pamięci;
 Nic z mych wrażeń, nic z pamiątek
 Nowej strzechy nie uświęci.
 Tam przeniosę me cygaro,
 I mój stolik, i wezglowie;
 Łacno wznowić chatkę starą,
 Lecz już duszy nie odnowię.
 Szukać wrażeń już nie sposób
 Zardzewiałemi oczyma;
 A w tym świecie, wśród tych osób,
 Już pamiątek dla mnie niema.
 Już widoki z okien nowe:
 Niemna okiem nie pogonię,
 Lasów k'sobie nie przyzowę,
 Bo te będą w innej stronie.
 I mój ogród... precz te żale!
 Już minęła młodość mglista.
 Cóż po sercu? po zapale?
 Trzeba żyć już jak statysta...
 Było... przeszło... cóż rozpacze?
 Daj waletę życiu temu!...
 Chwilka... chwilka... niech zapłaczę,
 Niechaj westchnę po staremu!

15 lutego 1847. Załucze.

 WESTCHNIENIE MAJOWE.

Ot wesoly goniec, pieszczoch Boży — Maj;
 Ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj,
 Kwitnie, woni, pieje, nosi wieniec z róż,

Rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz.
 Wieszczy syn przyrody przyszedł serce wznieść —
 Cześć ci, gościu młody! uroczysta cześć!

Błękit, ziemia, drzewa, wszystko zrzuca pleśń,
 Świeżą piękność wdziewa, nuci rzewną pieśń,
 Błyszczy gwiazda złota, księżyc blaskiem drga,
 Tu chróściel skrzekota, a tu słowik gra.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Przemień serce, przemień, uroń piosnkę twą,
 Nasze serce krzemień, nasze oczy — szkło...
 Bo nad nami pono zimne chmury szły,
 Odrętwiły łono, zamroziły łyzy.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Nuć twój śpiew uroczy, moc twych czarów dwój,
 Wróć mi łyzy na oczy, wróć mi zapał mój.

Ejże szczęśno było, póki młody szął,
 Oko skrå świeciło, w duszy ogień wrzał!
 Czy skąd pocisk grzmotnie, czy zabraknie sił,
 Człek splakał ochotnie i cierpienia zmył.
 Jam łyzy szczęścia zlewał po odejściu chmur,
 Kochał, dumał, śpiewał w twojej pieśni wtór;
 Dziś duch jakiś we śnie wionął we mnie chłód,
 Miłość, łyzy i pieśni... skamieniały w lód...

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Piej, szczebioc przyjemnie, upajaj mój słuch,
 Rozbudź wtór swój we mnie, rozbudź śpiący duch!
 Bądź mi dobrym wieszczem, wieszczu wiosny ty,
 Niech majowym deszczem z oczu trysną łyzy!...
 O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej dla duszy naszej — będzie duszy lżej!

16 maja 1847. Załucze.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNEJ.

Odżyła sosna, zakwitła kalina,
Rozpękła brzoza wiosnę przypomina.
„Wiosno, ty, wiosno! — powtarzają wkoło —
Jak oczom miło, jak sercu wesoło!“
Grzech pozazdrościć, lecz Boże mój, Boże!
Jak ten szczęśliwy, kto wiosnę czuć może!
Bracia, ja wiosnę podziwiałbym z wami,
Ale ja świata nie widzę za łąkami;
Chciałbym odetchnąć, lecz zaparte łono,
Jak gdyby piersi kamieniem tłoczono.
Zielone moje łąki i pastwiska,
Krzewiste zboże na morgach połyska;
Lecz w sercu chwasty, żal duszę rozrywa,
Nie bierze chętką do kosy i żniwa.
Poszedłbym w pole świtającym dzionkiem,
By się pomodlić razem ze skowronkiem;
Lecz słaba ręka pługa nie udźwignie,
A w zaschłych piersiach modlitwa zastygnie.
Siadłbym na konia i leciał jak strzała,
Boleścy może z wiatrem uleciała;
Próżna ochota! bo w nieszczęsnej dobie
I koń mój dzielny zesmutniał przy żłobie,
Gdy go dosiędę, zwolna się pomyka,
Jak obciążony trumną nieboszczyka.
Ludzie wy, ludzie! w szczerym rozhowerze
Niech ja się spłaczę, niech duszę otworzę;
Lecz mowa smutna, zgorzkniała i sucha
Odstrasza ludzi, i nikt jej nie słucho.
Ojczy mój, ojczy! poradź mi w niedoli!
O matko moja! jak mi serce boli!

16 lipca 1847. Załucze.

DO NIEMOWLĘCIA.

Lata po latach jak woda płyną,
Czas już do wzrostu twojego blizki;
Czemże ty będziesz, mała dziecino,
Kiedy wynijdziesz z twojej kołyski?
Może ci z czasem służyć Temidzie
I szalę sądu piastować przyjdzie.
Szkoda cię mały — zbrukałbyś rękę,
Albobyś zmazał lub we krwi zboczył
Twoją bieluchną, świętą sukienkę,
W którą cię pleban na chrzcie obłoczył.
Może twe młode i żądne serce
Zapragnie sławy szukać w żołnierce,
I umęźniwszy piersi otwarte,
Stanąć jak rycerz w bojowych chwilach,
Żyć, jak Batory lub Bonaparte,
Paść, jak Leonid przy Termopilach.
Lecz dziś rycerstwa zawód nietwardy,
Dzisiaj niepopłatne męzne Bajardy;
A jeśli wierzyć naszej gazecie,
Że wojna zniknie z oblicza ziemi,
Kraje się zwiążą węzły bratniemi,
Więc i rycerstwo zniknie na świecie.
Szkoda cię, mały, jeżeli marnie
Masz nosić pancierz na twojem łonie,
Staczać potyczki — tylko w bostonie,
Napełniać strachem — tylko kawiarnie.
Może twój umysł, Bogu oddany,
Zechce porzucić troski światowe,
I przed ołtarzem między kapłany
Głosem z pod serca chwalić Jehowę.
Lecz nie wiesz, mały — rój mędrców liczny
Poważnie burzy w co wierzyć trzeba,
I pragnie z gruzów starego nieba
Zmurować wszechświat filozoficzny.

Wkrótce (jak piszą) znikną już wszędy
 Nasze świątynie, nasze obrzędy,
 I nasze „Wierzę“, wysrane z mlekiem,
 Wkrótce przestanie rządzić człowiekiem.
 Bo dziś człowieka para oświeca:
 Parowe kotły w wozach, w okręcie,
 Parowe myśli, jak błyskawica,
 Z ludu do ludu lecą w momencie.
 Gdzież ci, dziecino, szukać swej doli
 Pomiędzy tylu mądrymi dziwy?
 Chyba ci szczęście jakie pozwoli
 Być maszynistą lokomotywy.
 Nie, nie, malutki! inna twa droga,
 Ty może pójdziesz wznioślejszą metą!
 Kiedy podrośniesz, proś Pana Boga:
 Niech cię uczyni wielkim poetą.

Z sercem kamiennem, z głową Minerwy,
 Wiek nasz zbezwładnił swe stare nerwy,
 Syty rozkoszy, syty promieni,
 Utracił miłość, wiarę, nadzieję,
 Coraz się karli, coraz drętwieje,
 Wkrótce się, wkrótce w kamień zamieni, —
 Jeno się kładąc w cienie grobowe,
 Złota chce jeszcze sobie pod głowę.
 Śpieszmy go wskrzesić! — Próżna ochota!
 Któż z pod kamienia pierś mu uwolni?
 Kto ją rozgrzeje tchnieniem żywota?
 Kto w próchnie serca ogień roznieci?
 O! wy jedynie ku temu zdolni,
 Uderzcie w struny, wielcy poeci! —
 Nam trzeba wieszczą, wieszczą proroka,
 Coby miał lirę i piersi grzmiące,
 Coby piosenką i strzałem oka
 Umiał oświecać i grać jak słońce.
 Zródź się, poeto! Może w tej dobie
 Już przyszedł na świat spełnić swe dzieło —
 Mała dziecino! może na tobie.

To posłannictwo Boże spoczęło.
 Wskrzесиć wiek martwy!... o jak to pięknie,
 Gdy lód zakipi, skała rozmięknie,
 Ziemia uczuje w swych pulsach drganie
 I serce ludzkie z martwych powstanie!
 Wielkie to dzieło!

Twe czoło młode

Potomność w jasną otoczy tęczę.
 Ale za życia — czy wiesz, młodzieńcze,
 Jaką świat sądził tobie nagrodę?
 Twe czoło — w wieniec cierni ustroją,
 I zelżą ciebie hańbą sromotną,
 I w twoje piersi kamieniem grzmotną.
 Lecz wara kwilić! bo te męczarnie
 To gwiazda cześci na twoje łono:
 Wszak świat zabija proroki marnie,
 Wszak i Chrystusa tu umęczono.
 Chyba nikezemny zwolennik świata,
 Zbyt polubiwszy cielesny oków,
 Nie chciałby umrzeć śmiercią Sokrata,
 Umrzeć za prawdę — śmiercią proroków.
 O! tam Duch święty pewno nie świeci,
 Gdzie, gdy się dotknie cierpienia różga,
 Męczennik płacze, przeklętwy bluzga,
 Jak dzisiejszego wieku poeci.

Gdy boli serce, więc jęki swemi
 Zioną przeklętwą Niebu i ziemi;
 Kiedy pioruny palą im w głowę,
 Chcieliby wstąpić w ciemno grobowe,
 I hańbią siebie przez płacz niewieści,
 Że się fortuna z nimi nie pieści.
 Więc choć do liry wyścigiem śpieszą,
 Głos słabych piersi przepada w tłumie —
 Mętnej ich pieśni nikt nie rozumie:
 O! tacy wieszczce świata nie wskrzeszą.

Nie ten cel pieśni — i mistrzom świętym
 Nie taka pieśnia z duszy się darła;

Cudem jej dźwięku kamień był tkniętym,
I wrzała w żyłach krew obumarła.

Ten, lejąc tony bystrym potokiem,
Śpiewał o przodkach wielkimi słowy,
Ten opowiadał wolę Jehowy
I przyszłość orlem przebijał okiem.
I biegły ludy, gdzie wieszcz im kazał:
Były to wielkie wieki na świecie,
I wielcy wieszczycze, i wielcy ludzie;
Nikt się nikczemną skargą nie zmazał,
Że go już ciężar do ziemi gniecie,
Że pora spocząć po znojnym trudzie.

Wieszczu! daremnie inny się żali,
Że żadna pieśń ludzi nie wzruszy; —
Ty nam zakołac, przemów do duszy,
Śpiewaj, jak dawni mistrze śpiewali,
A od twej pieśni, jakby od cudu,
Wstąpi duch nowy do serca ludu.
Jako Izajasz zabrzmij ludowi,
Co przez twe usta Jehowa mówi, —
Lub po Homerów stąpając śladach,
Zanuć nam wielką pieśń o pradziadach,
Niech na cześć przodków głos się nateża,
Śpiewaj nam powieść ich cnót i męstwa,
Gwar ich obrady, szczepek ich oręża,
Głos ich modlitwy, błogosławieństwa:
Albo, jak Orfej, rozpierzchłe rody
Idź bratać cudem piosenki twojej!
Wieszczu miłości, śpiewaku zgody,
Cóż się przed siłą twoją ostoi?
Niech jeno niechęć, zemsta, niezgoda
Nie da się słyszeć w cierpkim rozgwarze;
Pan namaszczenia twej lirze doda
I strunom twoim dzielnie grać każe.

Nie dosyć duchem przejęci Bożym,
Wywołać cudu nie dosyć godni,
My, starzy piewcy, lirę już złożym,

Bóg pokolenie nowe odmłodzi,
 I lepszą dolę piewcom przeznaczy,
 I da im zdobyć serca słuchaczy.
 Śpiewaj — a ludzie, co dziś jak głązy,
 Słuchać cię będą sercem wzruszonym,
 A zachwyceni uroczym tonem,
 Wszędzie pobiegną na twe rozkazy.
 I pod wielkiego śpiewaka wodzą
 Uderzą serca żądzą zaszczytną,
 I wielcy ludzie znów się odroǳą,
 I wielkie wieki znowu zakwitną.

Oto są wieszczka i pieśni cele:
 Dziecię! piąć będziesz takimi tony...
 Jeśli odwagi i sił masz wiele,
 Jeżeli Duchem świętym natchniony,
 Spełnisz te cuda, późno, czy rano;
 Lecz jeśli-ć z Nieba głosu nie dano,
 Nie pragnij drzeć się w Parnasu szranki,
 Dostyc już dzisiaj pieją poety —
 Dziś za sonety i tryolety
 Nie zyskasz nawet łask u kochanki.
 Bo próżno śpiewać nadobnym licom,
 Wstrząsać słowiki, wody, zefiry:
 Naszego wieku mądrym dziewicom
 Milszy dźwięk złota nad dźwięki liry.

17 lipca 1847. Załucze.

NA ECHO DZWONU.

(SONET).

Co to za gwar poważny? Boże! co ja słyszę?
 Dzwonią stąd o dwie mile na Zdrowaś Marya,
 Echo święconej śpiży w chmurach się kołysze
 I wilgotne wieczorne powietrze rozbija.

Aż wewnątrz mojej piersi, jak puste naczynie,
 Odbija cały odgłos z powagą i mocą;

Znać, że święcone echo, bo do serca płynie,
 Serce drgnęło modlitwą, w oku łązy migocą.
 Boże! któryś poświęcił i dał rozgłos chyży
 Echom twardych metali, żelaza i śpiży,
 Poświęć mojego ducha i piosnkę mej duszy!
 A dozwól, niech brzemienne tony święconemi,
 Rozpłynie jak huk dzwonu po szerokiej ziemi
 I serca moich bliźnich ku cnocie poruszy!

1847. Załucze.

DO A. P.

„Wielki pan — piszą w gazecie —
 W tych dniach pożegnał się z ciałem.“
 Ot dalibóg nie wiedziałem,
 Że on kiedy żył na świecie.
 Pany wielmożne i jasne
 Gina w mroku niepamięci;
 A mnie się biednemu święci,
 Że ja niecały zagasnę,
 Że choć dzionek po mym zgonie
 Nie ulegnę czasu ręce,
 Że przeżyję w mej piosence,
 Albo w przyjacielskiem łonie.
 Nie zuchwałęz to nadzieje?...
 Ja coś roję... i być może...
 Wszak my ludzie, wielki Boże!
 Czy kto pracę potem leje,
 Czy kto pędzi dni w weselu,
 Śmierć jest wszystkich wspólną meta:
 Ten piechotę, ten kareta,
 Do jednego dążym celu.
 Ten złoży nieczułą głowę
 W cztery deski jedlinowe,
 A drugi w blasku omamień
 Legnie, by spróchnieć w hebanie...

Tym marmur na piersiach stanie,
Tym prosty położą kamień...
Kamień położą przy sośnie,
Marmur cyprysem otoczą;
Lecz się marmury zgruchoczą,
Nim kamień mchami porośnie.

1847. Załucze.

ŚWIĘTA CHATA.

Jakaż święta moja chata,
Gdy natchnienie nad nią lata,
Gdy pod oknem w szumie brzozki
Daje myśli, stroi zgłoski,
I z mej piersi cudem dziwa
Całe piosnki wysnowywa!
I przez okno jak jaskółka
Piosnka leci w bratnie kółka:
Przerwie smutki gdzieś sieroce,
Lub z wesołym pochychoce:
Jedne serca natchnie wiarą,
W drugich wskrzesi miłość starą,
Lub nadzieję w lepszym jutrze,
Albo łezkę komuś utrze.
O! ja wtedy, ja pan świata,
Jakże święta moja chata!

Jakże rada moja chata,
Kiedy wita gościa-brata,
Kiedy echem swojej ściany
Głos odbija ukochany,
Gdy spojony duchem ściślej
Dziele z bratem chleb i myśli!
Brzęk puhara, gwar rozmowy
Echo stroi w urok nowy,
I przebywa w mej przestrzeni,
Każda ściana się promieni;

W każdym oknie, w każdej stronie
Po dwa słońca zda się płonie...

1847. Załucze.

DO BOGA.

I.

Czy w wieńcu z globów, w słonecznej szacie,
Zasiadasz, Panie, w Twym Majestacie,
A tron Twój jasną otoczon tęczą,
A u stóp chóry Aniołów klęczą;
Czy Cię do łona tuli Marya,
Czy dziki grzesznik na krzyż przybija;
Czy w mojem sercu uśmierzasz burze,
Czy się objawiasz w pięknej naturze:
Wszędzie w Twą miłość ku światu wierzę,
Boga i ludu czytam przymierze.

II.

Wnet po Potopie, wielki Jehowo,
Skreśliłeś łukiem wstęgę tęczową,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że przebaczyłeś zbrodnie tej ziemi.
Po naszych grzechach i zbrodniach wielu
Szedłeś nas zbawić, Odkupicielu!
Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę;
Ziemską dziewicę wzięłeś za matkę
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg się brata z synami ziemi.

III.

I jako człowiek w braterskim kole,
Znosiłeś ludzkie dole, niedole;
W ubogiej szacie, pieszo i boso,
Z chaty do chaty kroki Cię niosą,
I pozdrawiałeś jednemi słowy
Mędrce, książęta i rybołowy,

Rzekłeś do panów i biednej czerni:
 „Bądźcie pokorni i miłosierni,
 Miłujcie brzemię waszego krzyża,
 Będzie podwyższon kto się poniża;
 Zdeptajcie węza dumy i pychy,
 Błogosławiony ubogi, cichy;
 Błogosławiony, kto się u świata
 Sprawiedliwości nie dokołata.“
 Leczyłeś chorych w solimskim mieście,
 Wskrzesiłeś syna smutnej niewieście,
 Aby zaświadczyć przed potomnemi,
 Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

IV.

Lecz hardzi mędracy w swej synagodze
 Twojej nauki zlekli się srodze
 I zawrzeszczeli: Zgroza! ohyda!
 Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
 On chce porównać gmin i bogaczy,
 Porównać mędrców i lud prostaczy.
 Biada nam możnym!... Próżna obawa:
 Ukazem śmiałka na mocy prawa.“
 Oto za miastem między gór szczyty,
 Bóg w środku łotrów na krzyż przybity;
 Ranią Go włócznią wśród zbiegowiska,
 Krew z Jego serca na ziemię tryska,
 Aby zaświadczyć przed potomnemi,
 Że Serce Boże złało się ziemi.

V.

Nie tońcie wiecznie we łzach boleści:
 Bóg wskrzesnął dla was na dni czterdzieści,
 A kiedy ziemską kończy się praca,
 Na łono Niebios znowu powraca;
 Wraca w Niebiosą własną osobą,
 I ciało człecze zabiera z Sobą,
 Aby zaświadczyć przed potomnemi,
 Że Pan ubóstwił lepiankę ziemi.

VI.

Człeku, uzacnion i spojón żywo
 Z Niebem i ziemią w jedno ogniwo,
 Masz w Niebie Ojca twym prośbom gwoli.
 Gdy ci niedobrze, gdy serce boli,
 Jeno jak dziecie ukleknąć trzeba,
 Ręce na piersi, oczy do Nieba,
 I tak Mu śmiało powiedz tve dzieje,
 Niech się otwarcie dusza wyleje.

VII.

Krzywdą nam, Ojczy! bo dłoń zelżywa
 Ocugła usta, ręce skowywa;
 Przyszliśmy w nędzę, w urągowisko,
 Niebo wysoko — a piekło blisko;
 A w sercach przedsię waśń i niezgoda,
 Bliźni bliźniemu ręki nie poda...

1848. Załucze.

DO * * *

Ty mię nie kochaj, będzie nam swobodniej
 Modlić się wzajem, jako przyjaciele.
 Na co nam miłość? jam swobodny od niej,
 Bez zgryzot serca tve losy podzielę.
 Chcę ciebie widzieć i cieszyć się głośno,
 Ścisnąć twą rękę, nie drażniąc nikogo,
 Nie jątrząc czyjąś źrenicę ukośną,
 Wyznać otwarcie, że mi jesteś drogą.
 Chcę w twoich chwilach smutku i niedoli
 Czuwać nad tobą i westchnąć głęboko,
 Śmiało zapytać: „Ach! co ciebie boli?“
 I lzy tve otrzeć, i rozchmurzyć oko.
 Na mojej drodze, gdzie cierniska dosyć,
 Kiedy mię zrani latorośl koleczata,
 Chcę głosem pewnym o ulgę poprosić:
 „Śpiesz, przyjaciółko, poratować brata!“

Wtedy się twojem podeprę ramieniem,
 Bez bicia serca, radośnie i zimnie:
 Świat się nie zgorszy, my nie zarumienim,
 Choć ja przy tobie, choć ty będziesz przy mnie.
 Niech drogę życia przy tobie przechodzę,
 A kiedy podróż ukończy się słodka,
 Niech oko nasze na ubiegłej drodze
 Żadnych wyrzutów sumienia nie spotka.
 Dręcząca miłość czyż dla nas zapewni
 Ufnej, niewinnej przyjaźni rozkosze?
 Bądźmy jak bracia, przyjaciele, krewni:
 Na co nam miłość? — nie kochaj mię, proszę!

1848. Załucze.

DO . . .

Odpowiedź na prośbę o napisanie gawędy.

(SONET).

O! przebacz, że mi dzisiaj konceptu nie starczy
 Tworzyć nowe gawędy i nowe obrazy,
 Mój umysł tak nieżyzny, jak grunt gospodarczy:
 Nie rodzi bujnych plonów wciąż po kilka razy.

Ja myśli, jako grunta, na trzy zmiany dzielę:
 Najprzód żyto się rodzi korzystnie, bogato,
 Potem drobna jarzyna, bławatki i ziele,
 Nakoniec myśl na ugór puszczam całe lato.

Ja słyshałem o waszych cudach płodozmianu,
 Ale nie chcąc wysilać mą skibę poparną,
 Wolę staroświeckiego pilnować się planu;

Bo jeśli agronomiąc mądrze i z wysoka,
 I gruntu nie ulepszę, i zmarnuję ziarno,
 Zginie z głodu i pracy pegaz-bronowłoka.

1848. Załucze.

DO J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ty mię wołasz do pieśni, chcesz na moją głowę
Gwałtem wcisnąć promienie i wieńce laurowe,
Mówisz o mych wierszykach, że te w swoim czasie
Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie,
Że trzeba tylko śpiewać, wołać czy niewołać,
Choć tam w gardle zachrypło, choć tam piersi bołą,
Choć słuchacze posnęli, — radzi czy nieradzi,
Dadzą oklask, co wieszczą na gwiazdach posadzi.

Winienem ci zaiste za balsam różanny
Dać ukłon debiutanta i rumieniec panny;
Winienem wyrzec głosem skromnego zachwytu:
Domine! non sum dignus takiego zaszczytu!

Lecz dzisiaj u nas jarmark, a święty Mikoła
Trochę miódkiem szlacheckim stuknął mi do czoła;
A więc ci śmielej powiem, powiem i powtórzę:
Choćbyście dali patent i na oślej skórze
Na wielkiego śpiewaka, wielkiego poetę,
Jak Homer lub Wirgili, Tasso albo Goethe,
Ja i wtedy zaiste rozmyślałbym jeszcze,
Czy warto być poetą i co to są wieszczę?

Poeta rodzi wiersze — ej, boleść zbójecka
Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka,
Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po nerwie,
Rozogniać mózg, co głowy ledwie nie rozerwie,
Opłukać łzami oczy, znosić trud czartowski,
Mierzyć długość wyrazów i dobierać zgłoski,
A tak z rozbitą głową i z rozdartem łonem
Rzucać się, jak szaleniec, nad brzydkim brulionem!

Oto już wiersz skończony, co-ć dał się we znaki:
Jest końcówka, średniówka, jest sens siaki taki;
Lecz idą dalsze trudy, znasz je szczegółowie.
A po czemu dziś wiersze? niech ci księgarz powie.
On ci jasno wyłuszczy: że to marna praca,
Że dzisiaj rymowany towar nie popłaca,

Że teraz pisać wiersze zupełnie nie pora,
 Że się tylko drukują N a k ł a d e m A u t o r a ;
 Że zatem... No, autorze, dopełnij już miarki,
 Trzęś z ojcowskiej szkatuły zakwitłe talarki,
 Będziesz wielkim i sławnym...

O, już dzięki Bogu
 W porządku alfabetu stoisz w katalogu!
 Świat cię porwał i czyta, a krytyk dla cześci
 W kronice literackiej twe imię zamieści.
 Tocz na Parnas twą chwałę, jak kamień Syzyfa:
 Tu spotkasz się z Grabowskim, tam trafisz na Gryfa,
 Tam recenzent z Warszawy, z Poznania, ze Lwowa,
 Ciągnie cię za końcówki, porywa za słowa,
 Jeden woła, że idziesz w liberaknej drodze,
 Drugi krzyczy: „Postępu tutaj nie znachodzę!“

Dobrze ci tak, poeto! Na cóż było, na co
 Stroić lube twe dziecię, jak gminny pajaco?
 Uczucie, to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy,
 Myśl twoją miej dla siebie, niech jej nikt nie słyszy.
 Myśl, czucie, to twe dzieci... zdala z niemi, zdala!
 Niechaj się ich niewinność na świecie nie skala,
 Niech ich żaden dowcipniś, niech żaden zabójca
 Nie napoi trucizną na zagładę ojca.

Otóż wierszyk, igraszka, dzieciństwo i kwita,
 Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita!
 Jam jeszcze tych przysmaków nie kosztował prawie,
 Lecz z góry nie smakuję w tej cudnej potrawie.
 Gdybym miał talent wieszczca, gdyby mi Jehowa
 Włożył w usta prorocze uroczyste słowa
 I kazał głosić światu, tem słowem przejęty,
 Dałbym się kamienować, jako Szczepan święty;
 Ale dziś w pospolitych wierszokletów kole
 Na co nam nosić guzy daremne na czole?
 Na co mam się zapędzać na pieśni olbrzymie?
 Świat i bez naszych pieśni doskonale drzemie;
 Na co mamy go budzić, kłopotać mu głowę?
 Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kierowe!

On je chętniej pojmuje niżli serce nasze;
 Niechaj lirę waletom pikowym przypasze,
 Niechaj treflowym damom swe uczucia niesie.

Piosnko! królowo serca, rządź w swoim zakresie!
 Tu, tu... w kryjówkach duszy, my z tobą cichaczem
 Pośmiejem się, pomyślim, pomarzym, zapłaczem!

A ty Wiaro! Nadziejo! ty Miłości Boża!
 Czasem ja przyjdę z harfą do twego podnoża:
 Pobłogosław me pieśni, jako wdowie grosze,
 Czy je w ciszy zanuce, czy światu wygłoszę.
 Błogosław, kiedy wielbiąc, co wielkie i piękne,
 Czasem sobie po prostu na luteńce brzęknę!
 Niech w uroczym odrzęku moja pieśń ulata
 Na chwałę Pana Boga i pożytek świata.

Grudzień 1848. Załącze.

N A T C H N I E N I E.

Są gdzieś w głowie myśli — cacka,
 Są gdzieś czucia w piersiach z gliny,
 Jest coś w świecie, co znienacka
 Targnie czasem te sprężyny,
 I rozbudzi śpiące tętno,
 I wywoła myśl pamiętną.
 Rzadko kiedy gość ten spłynie,
 Krótko bawi i ucieka;
 Ale póki on w gościnie,
 Czarodziejstwo w duszy człeka!
 Człek odchodzi od pamięci,
 Bosko marzy, łąza się kręci,
 Mżą się kręgi przed oczyma,
 Serce bije, włos się wzdyma,
 Krew ukropem w żyłach bieży,
 Twarz w promieniach, czoło w pocie,
 Aż westchnienie pierś odświeży,
 Jako wietrzyk po spiekocie.

Wtedy spojrzysz na naturę:
 W czarującej świat postaci!
 Człekby śpiewał, leciał w górę,
 I uściskał ludzi braci...
 Ach, w tym stanie tak słodziutko
 Wiekuiste żyćby lata!
 Lecz gość miły bawi krótko,
 Lada zimne tchnienie świata,
 Lada mgnienie, lada chwila,
 Pierzcha bystrzej od motyla.
 Głowa zimniej, zimniej marzy,
 Serce słabiej bić poczyna,
 Ustępuje ogień z twarzy,
 Człowiek znowu — kość i glina.

1849. Załącze.

GAWĘDA O BOCIANIE.

I.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci,
 Zima już blisko, ej blisko!
 Bocian poważny, stróż sianożęci,
 Rozpuszcza skrzydła, tumani, męci,
 I zwolna płynie na rżysko.
 Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży
 I zamknął poważnie oko.
 Snadź syn litewski marzy głęboko
 O swej zamorskiej podróży.

II.

Miłoś to lecieć w auzońską stronę,
 Miłoś coś widzieć i wiedzieć,
 A rozważając trudy minione,
 Plondrować Nilu brzegi zielone,
 Na piramidzie posiedzieć!
 Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu,
 Czy ujdę śmierci lub klęski?

Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński?
Siądź na kupie murogu?

III.

O błonie Litwy! cudneż to błonie!
Tu wszystko szczęściem rozmarzy;
Słońko ciepłuchne, sianożęć wionie,
Dziatwa klekoce, a tam na stronie
Słychać brząkanie kosarzy.
Słodkoż tu było! — Bóg wie co dalej?
Czy wracać już będzie poco?
Może dąb z gniazdem zamieć obali,
Lub kry wiosenne zgruchocą?!

IV.

Lepiejby swemi czuwać oczyma
W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele;
Lecz piersi czują, że idzie zima,
Na żółtej łące już żeru niema,
Za chwilę śnieg ją zaściele!
I ptak — opiekun błoni ojczystej,
Wyprężył dziób swój czerwony,
Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty...
Uleciał w auzońskie strony.

1849. Załucze.

 SKUTKI.

Kiedy dziewczę wzrok wyteża,
Jakby dostać męża;
Kiedy młodzian stroi postać,
Jakby posag dostać;
Gdy rachuba, potem stuła
Ten związek zasnuła:
Och, poznają po swej klęsce,
Że krzywoprzysięzce!
A gdy sobie nie uwierzą,
Niech spojrzą na dzieci:

Ojciec stworzył, Syn odkupił,
A Duch nie oświeci.

1849. Załucze.

DÓ A. E. ODYŃCA,

jako redaktora „Kuryera Wileńskiego“, prosząc o umieszczenie
w tymże „Kuryerze“ awizacyi.

Zbliża się wiosna i święty Jerzy:
Niejeden słodkie zamiary tworzy,
Że posiadłości swoje rozszerzy,
Że kapitały swoje pomnoży,
Że swoim złotem skusi hołysze
I dusze bliźnich w wieczność zapisze.
Lecz to nie dla nas, panie Edwardzie,
My nieodrodni synowie Feba,
Ziemską mamonę mamy w pogardzie,
Szerokich włości dla nas nie trzeba.
Byleby strzecha choć niskiej chaty,
Serce przy sercu, szelest strumyka,
Dobre cygarko, kufel herbaty,
To już aż nadto dla śmiertelnika!

Lecz mnie, niestety! na mej dzierzawie
Nie dano zażyć takiej rozkoszy:
Piaszczysta niwa nie rodzi prawie,
Znikomy pieniądz wnet się rozproszy,
Dziedzic mająwą ratówkę liczy,
W karczmie lichota, na wiosce bieda,
Nawet poważnie grozi leśniczy,
Że na kominek drzewa mi nie da.
Jakże, skłopotan, serce rozdzielię
Kochanym książkom i lubej dziatwie?
Jakże myślami w górę wystrzeleż?
Jakże się z lutnią moją załatwież?
O! gdyby jedna szczupła siedziba!
Nie miałbym losom zlorzeczyć poco!

Panie Edwardzie! ty jeden chyba
Moim zamiarom będziesz pomocą...

Promieniem wieszczów płonie twa głowa,
W piersiach Apollo złożył piosenkę,
A na dobitkę, muza dziejowa
Rylec z tablicą dała ci w rękę.
Wzrok twój zapuszczasz po całym globie,
Czy kędy wojna, czy gdzie przymierze,
Kto się narodził, kto spoczął w grobie,
Wszystko zamieszczasz w swoim Kuryerze.
Czy kto potwierdzon w jakim urzędzie,
Czy się stronnictwo w Izbach kojarzy,
Czy Bonaparte przegląd odbędzie,
Czy król hiszpański z żoną się swarzy,
Rozprawy mędrców, wyścigi koni,
W twojej gazecie jakby na dłoni.

Ale nietylko ważnemi dzieje
Twojego pisma karta bogata:
Oto na końcu papier szarzeje,
I tam już miejsce drobnostkom świata.
Czy ziomek z ziomkiem procesa wiedzie,
Czy muzykalna gwiazda błysnęła,
I Zimmermana angielskie śledzie,
I u księgarza najnowsze dzieła,
Peruki, kwiaty, cukry, sardele,
Na jednej karcie tłoczą się śmieje.
I cała Litwa przez pismo twoje
Dwukroć na tydzień wieści odbierze:
Jednego bawią szwajcarskie boje,
Drugi smakuje w szwajcarskim serze;
Tak pośrednictwem twoich arkuszy
Litwa ma pokarm ciała i duszy.

Otóż niech twoja grzmiąca gazeta
Trzykroć ogłosi na świat szeroki:
Że pewny sobie chudy poeta
Chce kupić ziemi ze cztery włoki;
Chce kupić strzechę, co go osłoni

Od skwarów lata i wichrów zimy,
 Gdzieby spokojny, z lutnią we dłoni,
 Mógł chwalić Boga i klecić rymy.
 Niechby w widoku z okna mu były
 Wioskowe strzechy, ciche mogiły,
 Kędyby witać sielskie przechodnie,
 Gdzieby zapłakać można wygodnie.
 Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
 Była mi rada, gdy ją odwiedzę;
 Niech mię przyroda piękna otacza,
 A dobry sąsiad mieszka o miedzę.
 A gdybym słyszał brzękot kosarzy,
 A gdybym widział, jako żną zboże!...
 O takiej schedzie wciąż mi się marzy,
 Twem pośrednictwem kupię ją może.
 Tam, tworząc mały i skromny światek,
 Twojej gazety uczczę D o d a t e k,
 A na K u r y e r a (daj mu Bóg zdrowie)
 Prenumeratę co rok odnowię.

Oto już marzę, marzę z pociechą,
 Uroczą przyszłość widzę w oddali:
 Oto pan Edward pod moją strzechą
 Na przywitanie — Chrystusa chwali...
 Witaj mi, witaj, gościu nad gości!
 Dobrym uczynkiem rozwesel łono!
 Patrz na mój dworek: co tu piękności!
 Jak tu cienisto, jak tu zielono!
 A jaki rzeźwy chłodek na lato!
 Bo ja mam klony i dęby w lesie.
 Tam cię uraczę wiejską herbata,
 Tam będziem gwarzyć, co myśl przyniesie;
 Będziem śpiewać — słodka pociecho!
 Z lasem na własność kupilem echo,
 Co za pańszczyznę wtórować będzie
 Wesolej pieśni albo gawędzie...

ZAWCZEŚNIE.

Poranek kwietniowy, do wiosnyśmy chętni,
 A ziemia zamarza chrupoce i tętni;
 Pod murem lodowym śpi Niemna odnoga,
 A wzywa skowronka już praca.
 Wstał, przeczuł, że zima skończyła się sroga,
 Z modlitwą poranną poleciał do Boga,
 Z błogosławieństwem powraca.

Na szarym zagonie, nim ciepło zawionie,
 Skowronku, zatrzymaj swe pieśnie!
 Rolnicy z pługami iść jeszcze nie mogą.
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
 Zawcześnie, skowronku, zawcześnie!
 Poeto! napróżno twój zapał cię skłania
 Opiewać i wiosnę, i dzień zmartwychwstania:
 Grób jeszcze Chrystusa opłakać należy
 I całun śniegowy nad wiosną.
 Zachowaj na potem twój śpiewek tak świeży,
 Aż młodsze uczucie w pierś ludu uderzy,
 A kwiaty na łąkach wyrosną.

Aż w skrzepłem ich łonie nim życie zawionie,
 Zachowaj, poeto, twe pieśnie!
 Wszak pieśni tryumfu wysłuchać nie mogą.
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
 Zawcześnie, poeto, zawcześnie!

Poeta i ptaszek, śpiewacy rozgłośni,
 Zaledwie uczuli, że w piersiach się wiośni,
 Probują i tężą swój zapał śpiewaczy,
 Choć wicher zadyma im płuca.
 O! śpiewak szczęśliwy, że wiosnę obaczy,
 Niepomny, że zima, że próżen słuchaczy,
 Nadziei i pieśń nie rzuca.

— „Na sercu tak lubo! precz, zimna rachubo!
 „Śpiewajmy, bo przestać boleśnie.“

Czekajecie do chwili, któż maj nam umili?

Zawcześnie, śpiewacy, zawcześnie!

— „Niepłonne śpiewanie, niepłonna zachęta;

„Bo głos Alleluja! zahula na święta.

„Oracze do siejby gotują swe pługi,

„My drogi gotujmy za rano.

„Rozgrzejem tymczasem lodowe szarugi,

„Obudziem, ożywim i serca, i smugi,

„Nam wiosnę ogłosić kazano.

„Gdy znikną już szrony, nasz zawód skończony,

„Ci, co wam wróżyli przedwieśnie,

„Już sami wypoczną, ku ziemi lot skrećą,

„I wiosnę, i lato dla siebie poświęcą.

„Słowiki! dokończcie ich pieśnie!”

— „Ja mała ptaszyna, mam piosnkę w mem łonie,

„Śpiewam ją z rozgłośnym wyrazem;

„Modłę się do Nieba i jedno wciąż dzwonię,

„By zboże wyrosło na moim zagonie,

„Gdzie domek złożyłem pod gładem.

„Modłę się rolnikom o deszczyk ciepławy:

„Ach! kiedy niegęste i kłosa, i trawy,

„To orzeł me gniazdo spostrzeże!

„Rozbudzam oracza, ten idąc, przy sosze,

„Słucha mej piosenki, wie, o co ja proszę,

„I swoje dołącza pacierze!”

Tak śpiewał skowronek, aż z serca, aż z głębi,

I roił nadzieje szczęśliwe.

Posłyszał piosenkę słuch bystry jastrzębi,

Drapieżca spadł gromem na niwę:

Krew bryzła na trawę, i piórka szarawe,

I życie minęło, jak we śnie.

Już orzą sielanie, lecz głucho na łanie,

Bo zginał skowronek za wcześniej!

— „Na jawie tak rzewnie, a we śnie tak błogo,

„A w piersiach coś iskrzy się, budzi:

„To pieśni przeczucia, co jeszcze nie mogą
 „Przyodziać się w kształty, niebieską pójść drogą
 „I w słowach wypłynąć do ludzi.

„Uroczu, radośnie przeczuję przedwiośnie,
 „Lecz sroży się zima straszliwa;
 „Choć serce coś śpiewa, wiatr tony odwiewa
 „I znowu je w sercu skowywa.
 „Jam przecię poeta! tchnę przeciw zawiei

„I słowem ognistem lód skruszę;
 „Zaśpiewam modlitwę — i wnet po kolei
 „I w domku człowieka, i w polu, i w kniei
 „Rozwiośnie i kwiatki, i dusze.

„O! i sam odetchnę dziecinniej i słodziej,
 „I znowu się życiem rozżarzę,
 „Zabłądę w zarośla, popłynę na łodzi,
 „Obejrzę, jak zboże, jak kwiatek mi wschodzi,
 „Z oraczem na polu pogwarzę.

„Tam pasterz w róg brząka, tu słyszę skowronka,
 „Serce się rozmarzy, rożeśni;
 „Natura, swobodna, natchnienia mi doda
 „I nutę poszepnie do pieśni.“

Tak śpiewak miał wiosnę wywołać zieloną;

Podsłuchał go wicher daleki:

Wymierzył pęd w głowę, marzeniem ognioną,

Szarugą i śniegiem uderzył mu w łono

I zakuł je lodem na wieki.

I oto przy trumnie lud ciśnie się tłumnie.

I dzwonek kołata boleśnie,

I w jamę ksiądz tłoczy śnieg z piaskiem na oczy

Poety, co śpiewał zawcześniej.

1849. Załącze.

W IMIIONNIKU

STANISŁAWA MONIUSZKI.

Gdy widzę promienne, natchnione twe oko,
Gdy słyszę twą piosnkę natchnioną, —
Łaskawą Opatrzność uwielbiam głęboko,
Że iskrę skrzesła w twe łono,
Że pamięć o Litwie w Niebiosach się mieści,
Że piewce pomiędzy nas budzi,
Że twojem imieniem i blaskiem twej cześci
Powiększa cześć naszą u ludzi.
Lecz jeszcze nie tutaj twa wielkość się znaczy,
Tu pełni Opatrzność swe plany.
Bóg natchnął ci twórczość, wlał ogień śpiewaczy,
Ty śpiewasz, boś na to zesłany.
Serdeczniej podziwiać i kochać cię będziem,
Żeś Litwie poświęcił się cały,
Żeś stanął, jak Orfej z muzycznym narzędziem,
Rozmiękczać kamienie i skały.
Widziałem po świecie, jak pieśni twej siłą
Zawrzały kamienne umysły,
Jak oko, co dotąd bezmyślnie świeciło,
Poczuło, że łyzy mu wytrysły.
Słyszałem, jak napiew, przez ciebie schwycony
Na polu, lub w chacie rolnika,
Napawa urokiem litewskie salony
I swojskiem uczuciem przenika.
Cześć tobie, pieśniarzu! harmonie śpiewacze
Rozniosą braterstwo — jak cudem:
O! kto raz przy piosnce ludowej zapłacze,
Przestanie się pastwić nad ludem!
Litwini ulegną pieśniowej potędze,
Zbliżą się z rodziną szczerotą,
I Litwin we złocie, i Litwin w siermiedze
W braterskich uściskach się spleją.

18 grudnia 1849 r. Wilno.

SZCZĘŚCIE.

(Z OKOLICZNOŚCI).

„Szczęścia! szczęścia!“ ludzie krzyczą jedni za drugimi,
 Rozebrali wszystko złoto, wszystką chwałę ziemi;
 Każdy szuka swego szczęścia, ile tylko może:
 I ja staję do podziału... i ja dziecię Boże!
 Mnie nie trzeba waszej cześci i waszego złota,
 Alem przecię brat wasz, ludzie, nie błędny sierota.
 Gońcie zdrowi, co kto złowi, mego nie weźmiecie,
 Bo i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Lubię marzyć, lubię bujać, ale marzę skromnie,
 Mało trzeba, aby szczęście zawitało do mnie:
 Trochę słońca, trochę życia, to mi dusza wskrześnie,
 Trochę ciszy, trochę czasu, to ułożę pieśnię;
 Trochę serca, coby spoić z mej piersi oddęchem,
 Czasem łezką, czasem dumką, albo pustym śmiechem.
 Skromne cele — ach! niewiele pożądam, jak dziecię;
 Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Kładę rękę na me czoło, na mą pierś niebogą:
 Nie mam myśli, nie mam uczuć, co rumienić mogą;
 W mojej myśli, w słabej myśli, żyje ludzkość sama,
 W mojem sercu radbym zmieścić cały ród Adama.
 Ale ludzie na me skronie kładą wieniec z cierni,
 Jeden myśli me zabija, drugi serce czerni.
 Za co? za co tak mi płacą? jam nie winien przecie,
 A i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Gdy chcę śpiewać, wnet zahuczy jakiś grom złowieszczy;
 Gdy chcę dumać, tłum niesforny ponad głową wrzeszczy:
 Gdy jutrzeńka błysnie sercu, czoło się wygładzi,
 Oni karać mię za szczęście, kamieniować radzi.
 Tłumy szydzą, żem zaniechał poziomych korzyści:
 O! nie pojmie czystych chęci, kto się nie oczyści!
 Ja wam w drogę zajść nie mogę, wy idźcie, gdzie chcecie,
 Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Należy mi trochę szczęścia, takiego jak roję,
 Za niewinne pieśni moje, za cierpienia moje.
 Poszanuję moją ciszę, kiedy pieśń sposobię,
 Złoto wasze, chwałę waszą zachowajcie sobie.
 Wierzcie w czystość mojej duszy, nie złorzeczcie tyle,
 Kiedy sercu znękanemu dam folgę na chwilę.
 Zniosłem wiernie wasze ciernie, a gdzież moje kwiecie?
 Wszak i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

1850. Załucze.

KŁÓTNIA I ZGODA.

Z miłej zgody przyszły kłótnie
 Wśród płoczej swawoli.
 Człek żądlastem słówkiem utnie,
 A tu serce boli.
 Szkoda ranić złemi żarty,
 Ale trudna rada:
 Trzeba dowieść, żem uparty,
 Gniewać się wypada.
 U niej także gniew na twarzy,
 Wie, co mię obchodzi,
 I z kim innym niby gwarzy,
 A w serce mi godzi.
 Albo milcząc, myśli w gniewie
 Bóg święty wie o czem.
 Wszyscy patrzą, a nikt nie wie,
 Że my wojnę toczym.
 Ale trudnoż walki znosić,
 Więc mi rękę poda:
 — „Dość tych wojen! dosyć, dosyć!
 Już na zawsze zgoda.“
 I tak wdzięcznie główkę skłania,
 Rumieni oblicze,
 Że dla szczęścia pojednania,
 Znow kłócić się życzę...

1851.

HOMEROWA DZIATWA.

Boże mój, Boże! jak to poecie
 Trudno i nudno żyć na tym świecie!
 Każdego kocha, ufa bez granic,
 I w sercach rymu dla serca szuka;
 A dobrzy ludzie mają go za nic,
 Bo zwieść poetę niewielka sztuka.
 Przecież go każdy zwodzi ochoczy,
 My tacy prości, a oni biegli!
 Więc na złość światu zamknijmy oczy,
 Udajmy, żeśmy nic nie postrzegli.
 Niech zwodzi przyjaźń, zwodzi niewiasta,
 Niech szarpie krytyk, lichwiarz odziera:
 Ślepym był Homer, nasz protoplasta,
 Więc bądźmy ślepi na cześć Homera.

1851. Załucze.

PRZEDWIOŚNIE.

Na dworze niby lato, niby jeszcze zima,
 Jeszcze świat, jeszcze serce, jak gdyby pod pleśnią,
 Jeszcze się pierś wiośnianem uczuciem nie wzdyma,
 Ptak się jeszcze swobodną nie rozhulał pieśnią.
 Pora wiośnie i dawno! a skądże to dziwo,
 Że tak źle się rozwija i pączek, i trawa?
 Leniwo biją pulsa, pieśń płynie leniwo,
 Jest wiosna, ale czegoś wiośnie nie dostawa.
 I rzekł mi siwy starzec: „O, wiosna już blizka,
 Znam to, bo kopę wiosen miałem przed oczyma;
 Lecz jeszcze, widzisz aspan, mgła zimowa ściska,
 Póki grzmotu nie będzie, to i wiosny niema.“
 Ja, kochanek spokoju, trwożę, się i blednę,
 Kiedy burza zawyje, kiedy grzmot zatrzaska;
 Rozedrą się w źrenicach moje oczy biedne,
 Gdy w chmurze błyskawiczna zamży się przepaska!

Mnieź się modlić o grzmoty? A jednakże łono
 Tak spragnione odetchnąć w wiośnianej naturze!
 O, jeżeli wam zimę zakończyć sądzono,
 Pośpieszcie czarne chmury i ogniste burze!

1 kwietnia 1851. Załucze.

ORACZ DO SKOWRONKA.

I.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
 I my ludzie, i wy ptaszki, wszystko dzieci Boże.
 Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
 Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.
 Tyś, skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli,
 O kochaniu jeno marzysz twemu sercu gwoli;
 Tyś szczęśliwy i wesoły, gdy jutrznia poranna,
 Lecisz w górę, by z Anioły zaśpiewać: H o s a n n a!
 Z twej piosenki rade Nieba, i Pan Bóg się cieszy,
 Że ptaszкови mało trzeba i dziękować śpieszy —
 Że, różnemi gwarząc tony, głośisz w kraj daleki:
 „Niechże będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

II.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
 Lecisz w Niebo, za oraczem pomódl się, niebożę!
 Mów, żeś krążąc wedle sioła, widział biedy nasze,
 W głodzie wiosna niewesoła, jako wiosny ptasze.
 Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
 Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga.
 Za nic wiosny widok rzewny i krasna jutrozenka,
 Gdy co rano dzwon cerkiewny po umarłym stęka.
 Dziatwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy —
 Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy...
 Módl się, ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki,
 I niech będzie pochwalony na wieki! na wieki!

10 kwietnia 1851. Załucze.

POGRZEB MŁODEGO ROLNIKA.

S I E L A N K A.

Wczora, młody Łazarzu, śledząc wzrok twój pilno,
I słysząc w zeschniętych piersiach muzykę mogilną,

Tętno, co słabo kołata,
Kłamałem twej rodzinie, i tobie i sobie,
Że cię ręka lekarza podźwignie w chorobie,
Że jeszcze wrócisz do świata.

Dzisiaj — w jodłowej trumnie leży trup młodzieńczy,
Matka, upadłszy na twarz, żałośliwie jęczy,
Głową o trumnę uderza;

Na ławie cudzy ludzie wzdychają przy czarce,
Wzdycha ojciec, że stracił pomoc w gospodarce,
A dzwonnik śpiewa z psalterza.

Promień rannej jutrzeńki do chaty się wciska,
I jakby dla zniewagi, dla urągowiska,
Twarz trupią oświeca jaśnie.

Stosowniejsza dla ciebie, o biedny młodzianie!
Lampa, co krwią migoce na szerniałej ścianie,
Buchnie... to znowu przygaśnie...

Biją w dzwonek cerkiewny... to już hasło znaczy,
Że skończona przy grobie robota kopaczy,
Już robak czeka w mogile!

Już przychodzi ksiądz z krzyżem... O, zaczekaj, księżu!
Nim ojciec czarne woły do wozu zaprzęże,
Zostaw nam gościa przez chwilę...

Zakołatała wieko wierna ręka cieśli,
Wóz słomą potrząsnęli i trumnę wynieśli,
Karawan chatę wymija.

Z żółtymi gromnicami, w uroczystej parze,
Śpiewając podchmieleni idą gospodarze,
Płacz niewiast Niebo przebija.

Nawet wójt, choć twarz jego tak groźna i dzika,
Uszanował pokłonem trumnę nieboszczyka.
Młodzieńcze! straszno ci w grobie?

W obumarłych źrenicach łza ci pewno stoi,
 Żal sercu rzucać wioskę, gdzie cudzy i swoi
 Tak rzewnie płaczą po tobie?

A jednak ja, przychodzień, co patrzę z daleka,
 Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
 Jak mię pot zimny opływa:

To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
 Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
 Do sianokosu i żniwa.

Bo twa ręka z siekierą była oswojona,
 Bo już sochę dźwigały tve młode ramiona,
 Już zdobywałeś kęs chleba!

Cóż za dziw, że rodzina, że wójt nawet czuły?
 Bo się twoje ramiona z zaprzęgu wyzuły...
 To żal nie taki, jak trzeba!...

Idzie młoda żniwiarka z zakwieconą głową...
 Może westchnie... wyleje łezkę ukradkową,
 Święte współczucie obudzi.

Gdzie tam? póki zaręczyn nie zapiją starzy,
 Żadne się młode dziewczę kochać nie odważy —
 Płakać po chłopcu... wstyd ludzi!

Ostrożna!... Gdyby świat ten nie był zimnym tyle,
 Smutnoby ci tak młodo zakostnieć w mogile,
 Nie chciałbyś rzucać nas może;

Cierpiałbyś, jakby-ć serce na połowę darto...
 Ale teraz, poznawszy, że i życie niewarto,
 Pokochasz grób twój, niebożę!

Przy mogile gromadki zbierają się tłumne —
 Słysząc, jak garści piasku uderzają w trumnę,
 Już spoczął w ziemi syn kmieci;

I kłodę położyli na jego kurhanie,
 I dzwonek ostateczne zagrał pożegnanie:
 Niech wieczna światłość mu świeci!

Wieczorem, wy umarli, niekiedy umiecie,
 Wziąwszy postać upiora, błąkać się po świecie,
 Odwiedzać rodzinne sioła

I u lubego okna podsłuchywać z cicha,
 Czy rodzina pamięta, czy kochanka wzdycha,
 Czy kto twe imię zawoła?

Nie chodź, młody upiorze, do lubej, do braci,
 Bo ci się twa ciekawość boleśnie odpłaci!

Za miesiąc — obaczysz pono
 Grób twój w zielsku, a imię w niepamięci ludzi.
 Śpij twardo, póki Pan Bóg ze snu cię nie zbudzi,
 Zapomnij przeszłość minioną!

10 sierpnia 1851. Załucze.

DO FLETNI.

Oj dana moja, dana!
 Moja fletni drewniana!
 Dość spoczywać nam doma!
 Na równinach i w lesie,
 Twoja nuta znajoma
 Niechaj piosnkę rozniesie;
 Ponad braterską strzeżą
 Niechaj rozbudzi echo,
 Niechaj echo rozbudzi,
 Niechaj piosnkę rozleje,
 Niech przemówi do ludzi,
 Słówkiem dobrej nadzieje;
 Niech się w sercach rozgości,
 Jak zwiastunka miłości.
 Oj dana moja, dana!
 Moja fletni drewniana!
 Ten, co strugał cię z drzewa,
 Dał ci tonów niewiele:
 Jednym głosem się śpiewa
 Panu Bogu w kościele,
 Drugim ojców ziemica,
 Trzecim krasna dziewica.

Dla słowiańskich pieśniarzy
Tego trojga już dosyć;
Co się jeno zamarzy,
Wszystko można wygłosić.
My sobie ludzie prości
Żyjem wedle miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Dzisiaj z pieśnią nielada
Nam wystąpić się zdarza;
Bo przybyła gromada,
By posłuchać pieśniarza.
Przyjmiem, przyjmie brat brata,
Jako chata bogata.
Niech gromada wybaczy,
Że uboga gościna;
Nie postawim kołaczy,
Ani wina węgrzyna;
Lecz zapiejem dla gości
Pieśń słowiańskiej miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Bez długiego zachodu
Ujmiem gości najśłodziej,
Piosnką starszą od miodu,
Co warzył Piast kołodziej, —
Piosnkę o tem, co czyni
Młoda Lachów kniahini,
Jak dziad stary i ślepy
Zwalczał smoki i żmije,
Jak w kamienne oszczepy
Chrobra młodzież się bije,
Kto jej chwały zazdrości,
Kto umiera z miłości...

1851. Załucze.

LIRNIK WIOSKOWY.

SIELANKA.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
 Snadź ciebie wyrobiono!
 Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
 Zaraz mi kipi łono.
 Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
 I smutno, i wesoło;
 Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
 Przechodzę całe sioło!
 Z tobą się nie zapieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...
 Jeszcze grałbym bez końca;
 Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
 Uderza krew gorąca.
 Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
 Przecię tonów nie zniżę;
 Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
 Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Niebezpieczeńś narzędzie!
 Jakby w piekle, jak w Niebie, kto się dotknął do ciebie,
 Wiecznie pamiętać będzie!
 Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
 I tęsknota ogarnie.
 Tyś pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,
 Nie żartować bezkarnie.
 Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
 Jakby ostrzem przenika;
 A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
 Co tam w duszy lirnika?
 Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
 Że mnie tak chętką bodzie:

Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
 Dobrym ludziom w gospodzie;
 Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
 Niech ją dźwiękiem otoczą,
 Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
 Czy się bawi ochoczo.
 Patrzcie na dziewczę moją! przy niej chłopcy się roją . . .
 Śmieszne, śmieszne ludziska!
 Jeden wężem się chwali, drugi mieczem ze stali,
 Trzeci srebrem połyska.
 Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj, co hardość śpie-
 Ja przed nikim nie zniżę [wacza!
 Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy
 Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Wątle z tobą nadzieje!
 Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklęk-
 Czy dla ludzi zapieję, [nę,
 Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
 Serc braterskich nie zjedna;
 Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
 O doło moja biedna!
 Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
 Ku Bogu głos wyteżę,
 Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
 Smutnym tonem mitrężę.
 Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
 Młodzież i starcy w domu,
 Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
 Lub zapłaczę kryjomu.
 Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
 Mnie się serce rozpada!
 Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
 I z innym płąsa rada.
 Starzec westchnie i powie: Za mych czasów grajkowie
 Toć to grali dla duszy!

Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
 Trąbić mu w róg pastuszy!
 I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani, --
 Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
 Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
 Ale serce odejmie!
 Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
 Z ciebie ciernie i krzyże!
 Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
 Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Ludzie łzami mię poją!
 Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
 Ty będziesz chlubą moją.
 Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
 Zolbrzymieją me słowa,
 Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
 Do samego Kijowa.
 Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
 Ciekawie zakołata:
 Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
 Lirnik głośny u świata.
 Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
 I będą czynić wnioski,
 Szeptać, ściskając plecy: Skąd ci ludzie dalecy
 Znają pieśni tej wioski?
 Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
 Przed ludźmi cudzej ziemi
 Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
 Co śpiewał i żył z niemi.
 I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
 Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
 I rzekną, wznosząc głowy: Tu nasz lirnik wioskowy
 Skonał, grając na lirze.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

(Z tematu ludowego).

Bór nasz wysoki nad wszystkie bory,
Dwór nasz bogaty nad wszystkie dwory;
Na naszym panu strój złotolity,
Na pani perły i aksamity,
Służba srebrzyste nosi sukmany, —
Ej, pan nasz sławien nad wszystkie pany!
A jego wioska długa pół mili,
Na jego polach kłos się aż chyli,
Szerokich morgów oko nie zmierzy,
Zboże wysokie, jak pułk żołnierzy.
Ej, była u nas wojna odkryta,
Wojsko pszenicy i wojsko żyta!
Żeńcy sierpami ścięli szczęśliwie,
I kłos nie został na pańskiej niwie.
Ejże po wojnie idźmy do pana,
U niego będzie cześć nam oddana:
Sprawi nam ucztę, jakby wesele,
Białym obrusem stoły zaściele,
Przyjmie w gościnę swoje żniwiarze,
Miodu i wina zastawić każe;
Przepije czarę za nasze zdrowie
I dobre słówko swym gościom powie.

1852. Załucze.

DEDYKACYA GAWĘD GMINNYCH
LITWINOM.

O bracia moi z nad Wilii, z nad Niemna!
Gdy wam swojacka gawędka przyjemna,
Zasiądźcie w kółko, a ja wam pogwarzę.
Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,
A może prawda wynurzy się na dnie,
Albo się chwilka smutkowi wykradnie.

Ja czasem wierszyk skleciwszy na prędcę,
 Lubię się wylać w niewinnej gawędce,
 A wy niekiedy serdecznie i czule
 Dajecie ucho sielskiemu gadule;
 Będziem wzajemnie radzi — tak mi właśnie!
 Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
 Aby snadź jaki panek, czy półpanek
 Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadank.
 U nas, wiadomo, domowa czeladka,
 Wiersz od siekiery, robota niegładka,
 A słuchacz, patrząc w serce gospodarza,
 Wdzięchen z przyjęcia czem Pan Bóg obdarza.

Łatwiej to z wami wywinać się księdze,
 Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
 Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli
 Podkraść, wysłuchać, czy go serce boli?
 Czy własna wina, czy Boża niełaska,
 Czy błoga radość po sercu pogłaska,
 Oblicze gminu blednie, to się płoni,
 Pierś przezroczysta — widno jak na dłoni,
 Na sercu grają uczucia otwarte, —
 Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę:
 A potem w kółku tych samych słuchaczy,
 Któż niedołącznej piosnce nie przebaczy?
 Kto zechce śpiewek nicować dziadowskich
 Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?

Z jasnemi pany nie tak idzie składnie:
 Któż ich oblicza, ich serca odgadnie?
 Jak dla nich śpiewać, kiedy mają narów,
 Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów?
 Dla nich się książki w pozłocistych szatach
 Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach!
 Gdzież nam dościgać? nierówna gonitwa, —
 Co insza Paryż, a co insza Litwa.
 Kogo zamorske pachnidło przynęci,
 Cóż mu aromat naszych sianożęci?

Po śpiewie oper jak nudną są rzeczą
Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!

Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
O tobie śpiewam i z tobą zespołę
Nadzieje, radość, i smutki, i bole;
Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,
Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę.
Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy
Nutą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy;
Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,
A gdy swojaka dopatrzy się we mnie,
Zgrzeszyłbym mówiąc, żem śpiewał daremnie.

1852. Załucze.

DRZEMKA I CZYN.

(Piosnka).

Bo też życie próżna mara,
Kto zapomnieć się nie stara,
Kto się dąsa Bóg wie czego,
Kto nie spoczął ani chwili
Wśród szczebiotu dziewiczego,
Wśród dziecięcych krotochwili,
Kto psuł puhar winem z wodą,
Kto nie pieścił się przyrodą.
Drzemiąc, jako Sybaryta,
Nad rozkoszną książki kartą,
Sam u siebie człek się pyta:
Czyż doprawdy żyć niewarto?
Bo też życie próżna mara,
Kto rozbudzić się nie stara,
Kto opuścił gnuśne ręce,
Kto doświadczyć sam się lęka,
Co rozkoszy w krwawej męce,
Kiedy z bolu serce pęka,

Kto nie czuje i nie baczy,
 Jaki olbrzym człek w rozpaczy.
 Kiedy radość tak zdobyta
 Wionie czasem w pierś rozdarta,
 Sam u siebie człek się pyta:
 Czyż doprawdy żyć niewarto?

1852. Wilno.

PIELGRZYM.

Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
 Przewędrowałem miasta, wioski i cmentarze,
 W macierzystych kościołach rozpatrzyłem z blizka,
 Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska,
 I aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
 Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą:
 Garstkę wody niemnowej i gruz starej wieży,
 Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.

Wzdłuż i wszerek zwędrowawszy nadniemeńskie stro-
 Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony; [ny,
 A nim k'dalszej pielgrzymce na siły się wzmogę,
 Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.
 Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi,
 Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
 Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
 Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,
 Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,
 Śpiewa znajome ptactwo, huczy wiatr znajomy;
 I wspominać splakany, rozmarzony cały,
 Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
 I myśli, które niegdyś paliły mi głowę...

O strony mego serca! o strony domowe!
 Kiedy wicher mię życia daleko wyrzuca,
 Niech na zapas powietrza zagarnę stąd w płuca.
 Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
 Na westchnienie rzewniejsze by użyć potrosze.

W zamian cóż wam zostawię? czem pamięć oznaczę?
 Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze,
 Ze wzgórza puszczę wiatrem po waszym obszarze,
 A Pan Bóg je przeżegna i spełnić się każe.
 Nad wioskami, nad Niemnem, nad lasem, nad błonią,
 W lepszy czas pieśń głośniejszą ptaszekowie zadzwoni
 I rosa Łaski Pańskiej niech użyźnić raczy [nią,
 Wasze niwy piaszczyste i serca oraczy.
 A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,
 Gdy bocian zmartwychwstania piosnkę zaklekoce,
 Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
 Polatać nad wioskami, ponad cmentarzami,
 Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
 Gdzie lży bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
 Skąd odszedł rozpaczliwie, załamawszy ręce,
 I zostawił pamiętkę w znikomej piosence!

1853. Wilno.

DO FELIKSA RUMBOWICZA.

Mój Feliksie! wszak ludzie zaprzeczyć nie mogą,
 Że wszelka linia prosta jest najkrótszą drogą;
 Że gdy pod jedną miarą wykroisz je ładnie,
 To trójkąt do trójkąta najściślej przypadnie;
 Że kwadrat stoi prosto, a trapez pochyło;
 Że koło jest płaszczyzną, a ośmiościan bryłą;
 Że x algebraiczne cyfra niewiadoma:
 Lecz z tego nie wynika, byś miał siedzieć doma,
 Ażebyś cały wieczór (o pożał się Boże!)
 Miał ślęczeć nad rachunkiem, jak kupiec w kantorze.
 O! jemu łatwiej liczyć, gdy grosza nachwytał,
 Niż tobie — idealny, spektorski kapitał.
 „Tysiąc mnożę przez tysiąc!“ co za urok słodki!
 Zda się rosnąć w kieszeni wytarte dwuzłotki,
 Zda się, że szereg cyfer po tablicy szasta,
 Że każde zero w worek dukatów urasta;

Człowiek aż oko pasie, aż ślinkę polyka,
 Patrząc, jak chudy dzwonnik na brzuch Kanonika.
 Ale patrząc na cyfry, mało się skorzysta;
 Chuda w naszych bilansach cyfra rzeczywista.
 Integralny rachunek niewiele się przyda:
 Pięć od czterech nie mogę, pożyczam u żyda;
 Zero od zera — zero; kiedy pustki w kiesie,
 Niemasz na to sposobu i w Pitagoresie!

Więc zostawmy w pokoju rachunki i troski.
 Patrzaj, co w swej gazecie napisał Lesznowski:
 Owo na ziemi Franków jest bal u Cesarza,
 Owo Turczyn niewierny już wojną zagraża,
 Owo straszna kometa przychodzi z oddali,
 Drgnie płomiennym ogonem i ziemię zapali.
 Pytam się: czyż nie warto o wieczornej chwili
 Byśmy te wszystkie sprawy głębiej rozważyli?
 Lecz nim groźny padyszach w swej pychy zakresie
 Stolicę ze Stambułu do Smorgoń przeniesie,
 Nim się Kardynałowie do Paryża zjadą
 Maścić wybrańca ludu święconą pomadą,
 Zbierzmy się w ciepłą izbę i, starym zwyczajem,
 Zróbmy traktat przymierza Jamajki z Kitajem.

Wszak znasz trojańskie dzieje: Eneasz przed laty,
 Zaproszon od Dydony na szklanekę herbaty,
 Niezrażony przestrzenią i morza ogromem,
 Nie sam jeden pojechał, ale z całym domem
 I ze wszystkimi sprzęty własnej gospodarki:
 Włożył Jowisza w kieszeń, a ojca na barki,
 I przewiesił przez plecy posiłek sowity —
 Z Pryamowskiej gorzelni flaszkę okowity;
 A kurząc z krótkiej fajki tabakowe liście,
 Na tyryjskie salony wkroczył posuwiście. [dom —

W dziejach starych i nowych — jeżeliś ich świa-
 Przypatrzysz się do sytu podobnym przykładom;
 Cyrusy, Daryusze, Likurgi, Perykle,
 Których bohaterami nazywają zwykle,

Których sława z przed wieków aż dotąd się nie ćmi,
Szli zawsze na herbatę z żonami i dziećmi.

Raz Pompejusz, Rzymianin rozgłośny u świata,
Zaprosił na herbatę króla Mitrydata,
Lecz, że nie zawsze środki dobrym chęciom służą,
Samowarek maleńki a gości miał dużo;
Ujrzał, że mu przychodzi wstydzić się widocznie,
Struchlał rzymski bohater i rozmyślać pocznie:
O gdyby się z kłopotu wykręcić zwycięsko!
Dałbym chętnie augurom sto wołów na mięsko,
Uczciłbym olimpijskie Junony, Cerery,
Wypiłbym na cześć Bacha kieliszek madery,
Kazałbym — jeśli w Niebie taki ślub przyjęty —
Mojemu fagasowi dać sto kijów w pięty;
Lecz żaden ślub, niestety! i żadna ofiara
Nie zwiększy objętości mego samowara!
Tak gdy biedny Pompejusz w daremnej rachubie
Gładzi jeno czuprynę i swe wasy skubie,
Wzywa niebieskie siły i piekieł otchłanie,
Nowy koncept do głowy przyszedł niespodzianie;
Więc jak niegdyś Archimed wykrzyknął: Eureka!
I list do Mitrydata posyła przez Greka,
A w liście były takie wyrażone myśli:
Chcesz pić u mnie herbatę, to samowar przyślij!
Więc śladem Pompejowym ozwać się ośmielę:
Przyjdźcie do nas na wieczór, dobrzy przyjaciele!
By zaś chińskim nektarem uweselić życie,
Jak niegdyś Mitrydates — samowar przyślijcie.

1853. Wilno.

DO STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO.

Pod Niebem płomiennem, gdy miną dnia skwary,
Gdy z morza chłodnawy wiatr dmucha,
Kochanek przed lubą chcąc wylać głąb ducha,
Powierza to strunom gitary.

Pod wzniosłym balkonem lud ciśnie się w tłumie,
 I słuca śpiewaka wśród ciszy,
 I każdy podziwia, kto jeno go słyszy;
 Lecz jedna go tylko rozumie.

Och, bo też gitara to dziwne narzędzie!
 Czy tęskni, czy wzdycha, czy płacze,
 Choć z piersi tysiąca westchnienie dobędzie,
 Nie każdy cię pojmie, śpiewacze!

Nie każdy cię pojął, o nasz Stanisławie!
 Lecz oczy są, z których łzy biega;
 Nic ciżba nie doda, ni ujmie twej sławie,
 Kochanka rozumie lubego.

Pojęła twą pieśnię niemała drużyna:
 Nie żałuj twych trudów i pracy,
 Nie rzucaj przekłętwa na gród Gedymina,
 Że cię nie pojęli swojacy.

Bo ciche Litwiny topnieją i miękną
 Przed wszystkim nadziejskim i wieszczem;
 Pojęliśmy w tobie natchnienie i piękno,
 Choć ci nie klaskamy, nie wrzeszczym.

Cześć tobie, śpiewaku! cześć tobie i dzięki,
 Żeś do nas zagwarzył tak cudnie,
 Żeś ludziom z nad Wilii, z nad bystrej Wilenki,
 Dał poznać gorące południe.

26 kwietnia 1853. Wilno.

NIEPIŚMIENNY.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Ja nie zazdrozczę, chowaj mię Boże,
 Nic i nikomu na Bożym świecie;
 Jednego tylko zazdrozczę może,
 Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem Niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkoby wiernie kładł na papierze,
Dumkę po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata,
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy,
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo Aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
Ranne skowronka Zdrowaś Marya;
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosisista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem, mrużąc, sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie rozumieją, serce ci zrania;

A czasem dumka przychodzi taka,
 Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
 Jabym po prostu, jak serce puka,
 Takbym i pisał na białej karcie.
 Pukania serca złowić nie sztuka,
 Ludziom nie można mówić otwarcie.
 Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
 A papier milczy, jakby mur ścienny...
 Dumki-gołąbki, bywajcie zdrowe!
 Ja was nie chwyćę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
 Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
 On swoje dumki na papier złowi,
 A potem z ludźmi co chce dokaże.
 Ja — daj mi piórko, naucz niem władać, —
 Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
 Gdy moją nędzę poczną powiadać,
 To twarde serca skruszyłbym może.
 Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
 Książkę modlitew taką, jak kramną,
 A tam i Chrystus ukrzyżowany
 Możeby łezkę uronił za mną.
 Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
 Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
 Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze!
 Toż to polecę, człek niepiśmienny!

1853. Borejkowszczyzna.

 HYMNY DO MSZY ŚWIĘTEJ.

KYRIE ELEJSON.

Przy świętych Tajemnic straszliwej Ofierze,
 Gdy lud Twój z modlitwą przed ołtarz się zbierze,
 Wysłuchaj serdeczne wołanie,
 Zlituj się nad nami, o Panie!

CHRYSTE ELEJSON.

Niech nasze westchnienia i modły w świątyni
 Twa łaska godnemi przyjęcia uczyni;
 Daj myśli, daj serca nam czyste,
 Zlituj się nad nami, o Chryste!

GLORIA.

Chwała Panu na Syonie,
 Niech się zleje, niech zespoli!
 Pokój święty niech owionie
 Wszystkich ludzi dobrej woli!

GRADUALE.

Powstańmy z cześcią, bo Zbawca sam
 Prawdy żywota objawi nam,
 Swego zakonu wyłuszczy treść,
 I przykład poda, jak życie wieść.
 Zlej na nas, Zbawco, naukę, zlej!
 Niech grzeszne serce odżyje w niej!
 Niechaj na prawdę zakipi już
 Miłością Boga i bratnich dusz.

CREDO.

Wierzymy w Boga, co świąty tworzy,
 Wiemy, że Chrystus prawy Syn Boży,
 By zetrzeć głowę piekielnej żmii,
 Przyszedł na ziemię z łona Maryi.

ET INCARNATUS.

I Bóg stał się Człowiekiem, i w ludzkiej postaci
 Dał się przybić do krzyża za grzechy współbraci;
 I czoło Mu zranili, i przebodli serce,
 I skonał, błogosławiąc Swe ślepe morderce.

ET RESURREXIT.

I zmartwychwstał uroczyście,
 I w Niebiosą ulata!
 I zapewnił Swoje przyjście,
 Czynić sądy ze świata.

OFFERTORIUM.

Niech z ręki twojej, kapłanie,
 Bóg przyjmie świętą Ofiarę;
 A Słowo Ciałem się stanie,
 I cud obaczym przez wiarę.
 Gdzie chleba, wina istota,
 Bóg znajdzie ku działwie Swojej;
 Nakarmi Ciałem żywota,
 Krwią Swojej Łaski napoi.

SANCTUS.

Święty! Święty! Święty Boże!
 Któż podola Cię zmierzyć?
 Człowiek tylko klęknąć może
 I w proch czołem uderzyć!

BENEDICTUS.

Hosanna, hosanna! w potęgi ogromie
 Na ołtarz ofiarny Bóg zstąpił widomie!
 I ciało, i duszę, i krew Swoją bierze,
 I mękę odnawia w niekrwawej ofierze.
 Niedarmo, niedarmo, o Zbawco! o Chryste!
 Przelane Krwi Twojej potoki rzęsiste:
 Dla żywych w niej zdrowie i szczęście się mieści,
 Dla zmarłych ochłoda czyścowych boleści.

AGNUS.

Niech się na sercu nie trwoży,
 Kogo sumienie przygniata,
 Gdyż oto Baranek Boży,
 Który gładzi grzechy świata!
 Wy, którzy czyści jesteście,
 Kogo żal omył i skrucha,
 Do Stołu Bożego śpieszcie,
 Bo dana uczta dla ducha.

BENEDICTIO.

Powstańmy wszyscy gromadnie,
 Bądźmy szczęśliwi i prawi;

Tu kapłan na nas krzyż kładnie,
A w Niebie Bóg błogosławi.

1854. Borejkwoszczyzna.

DO WIKTORA KAŻYŃSKIEGO

z powodu jego „Śpiewnika.“

Graj, dudarzu, graj!
Więcej piosnek daj!
Niech się wsłucha w twoją pieśnię,
Niech litewska dusza wskrześnie
I polubi kraj!

Graj, dudarzu nasz!
Dziewkom nutę wskaż,
Niech się w chłopcach duch odzowie,
Niech zapłaczą staruszkowie
I wyjaśnią twarz.

Graj, dudarzu, piej!
W głębi naszych kniej,
W głębi serc — pod naszą strzechą
Znajdziesz, grajku, znajdziesz echo
Dla piosenki twej!

1854. Wilno.

PIEŚNI DO MUZYKI W. KAŻYŃSKIEGO.

1.

WLAŻŁ KOTEK NA PŁOTEK.

Ż a r c i k.

Włazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosenka, niedługa.
My temu chytremu kotkowi
I sami odmrunąć gotowi;

A żaden nie zgadnie, nie zoczy,
Co sobie powiemy przez oczy.
Tak mrugniem figlarnie i zdradnie,
Że człowiek sam siebie nie zgadnie;
W tem sekret, w tem cała zasługa:
Wlaził kotek na płótek i mruga.

Ej kotku, ty kotku filucie!
Czy mruga w twych oczkach uczucie?
Czy zdrada głęboka a słodka,
Zwyczajnie, jak w oczach u kotka?
Czy mrugasz nieszczerze, czy szczerze,
Ja zawsze kotkowi uwierzę,
I wzajem odmrugnę tak ładnie,
Że kotek nic a nic nie zgadnie.
W tem sekret, w tem cała zasługa:
Wlaził kotek na płótek i mruga.

A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nie żali,
Bo myśmy oboje mrugali.
Na z ręczne mruganie z ukradka
Nikogo nie znajdziem na świadka;
Kto widział, nie zgadnie co znaczy,
Bo coraz mrugamy inaczej!
W tem sekret, w tem cała zasługa:
Wlaził kotek na płótek i mruga.

2.

KRAKOWIAK NA LITWIE.

Choć w Krakowskim lepiej żyją,
Ja-ć i Litwę chwale:
Bo nad Niemnem, nad Wilią
Lud niezgorszy wcale.
Choć w gospodzie kiedy skacze,
Mniejszą ma ochotę,

Choć czarniejsze tam kołacze,
Ale serce złote.

U nas zboża, u nas trawy
Zieleniejsze wokół,
U nas chłopiec taki zwawy,
Jak karpacki sokół.
Tu jak dęby chłopcy duże,
Pozwieszali głowy,
Ale za to w ich naturze
Widać hart dębowy.

Każda nasza Krakowianka
Śmieje się radośnie,
Do chichotek czy do tanka,
To aż serce rośnie!
Tu poważnie i powolnie
Dziewczę słówka waży,
Jasnym oczkiem kiedy kolnie,
Aż się człek rozmarzy!

Nasza piosnka zwawiej hasa,
Tam powolniej wcale,
Coś jak echo z poza lasa,
Jak wiślane fale.
Kiedy patrzysz na tych ludzi,
Gdy się w Litwie gości,
Coś takiego w sercu wzbudzi,
Jakby płacz z radości.

3.

PIEŚŃ MYŚLIWSKA.

Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzoje,
Trop łatwo na rosie zobaczym;
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
Potykać się z leśnym kudłaczem!

Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa —
 Niech krew się rozigra w nas żwawiej,
 A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
 Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie, czy borze,
 Pocieszmy się dobrą nadzieją!
 Nie idźcie za nami, pudlarze i tchórze,
 Was lasy litewskie wyśmiejają!
 Bo z dziadów, z pradziadów, tu echo borowe
 Strzał celny rozeznać jest w stanie;
 Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
 Ten zuchem odrazu zostanie!

Tu każdy powinien domowe znać knieje,
 I każdy znać pole od dziecka.
 Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzeje;
 Ozwij się, drużyno strzelecka!
 Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,
 Aż echo drzemliwe zatrzęście!...
 O rozbudź się krasna, o luba dziewczyno!
 Daj rączkę na drogę, daj szczęście!

4.

K O R A L E.

D u m k a k o z a c k a.

Gdym z Kozaki szedł na boje,
 Moja Hanna rzecze:
 Niesiesz, luby, życie swoje
 Pod tatarskie miecze!
 Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
 W boju cię ocali;
 Ty mi za to, mój jedyny,
 Przywieź sznur koralu.
 Bóg kozaczej szczęścił braci:
 W jednej boju chwili

Han tatarski wojsko traci,
A my gród zdobyli.
Gdy wyparto krzepkie wrota,
Gdy się miasto pali,
Inszy srebra, inszy złota,
Jam szukał korali.

Wśród rabunku los mi służy,
Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali krasny, duży,
Jakby wiśnia młoda!
Pochwyciwszy zdobycz drogą,
Już nie czekam dalej,
Śpieszę stanąć przed niebogą,
Dać jej sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią, —
Oj daremna praca!
W naszej wiosce dzwony dzwonią,
Lud z mogiłek wraca.
Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie
I wołają z dali:
— Twoja Hanna leży w trumnie,
Nie trzeba korali!

Zapłakałem, zajęknąłem
I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
I przed obraz śpieszę.
Do najświętszych stóp Maryi
Niosę smutne żale,
I zawieszam u Jej szyi
Czerwone korale!

5.

K R U K.

Piosnka litewska.

Z ponad lasu, z ponad chmury,
 Na dolinę siola
 Kruk się spuścił czarnopióry,
 Na żer dziatwę woła.
 Ej! żerował gdzieś na grobie
 W pośród bojowiska:
 Krwawą rękę trzyma w dziobie,
 Na niej pierścień błyska!
 — Czarny kuku! z jakiej strony
 Burza cię przywiała?
 Skąd ten pierścień pozłożony
 I ta ręka biała?
 — Za górami, ej dziewczyno!
 Był tam bój nielada!
 Krwi młodzieńczej rzeki płyną,
 Głów tysiącem pada!
 Zakopuje lud roboczy
 Bohaterskie głowy;
 Na mołojców orle oczy
 Sypie żwir surowy.
 Po kurhanach, jak kopacze,
 Wyją wilków stada,
 A niejedna matka płacze,
 Na grób pierśmi pada!
 Dziewczę jękiem pierś rozrywa,
 Twarz we dłonie chowa:
 — Dolaż moja nieszczęśliwa!
 Biednaż moja głowa!
 Wiem już teraz, kto zabity,
 Czyja to dłoń biała:
 Jam ten pierścień złotolity
 Lubemu oddała!

6.

D O L A.

Waryant z pieśni litewskiej.

W oczach ciemno, serce boli,
 I zapłakać chce się!
 Pójdę hukać, lepszej doli
 Wywoływać w lesie.

Przyjmie chlebem, przyjmie solą
 W szczerą uprzejmość:
 Odezwi się, lepsza dolo,
 I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa
 Wołam w leśnej ciszy;
 Ale słowa wiatr odwiewa,
 Dola nie posłuszy!

Piosnko moja! ej nie tobie
 Przebić wicher burzy!
 Wracaj jęczeć sama w sobie,
 Kiedy serce wtórzy.

1854. Borejkwoszczyzna.

 DO * *

Kiedy w ojczyźnie, pomiędzy swojemi,
 W cudze krainy twa dusza ulata;
 Wzdychasz bluźnierczo do auzońskiej ziemi,
 Kreślisz obrazy germańskiego świata;
 Złorzeczysz matkę wśród dzikich uniesień,
 Że nadto brzydka kiedy się rozsłocha,
 Że na jej twarzy wiekuista jesień,
 Że nie tak piękna, jak obca macocha.
 Ptaku przelotny! co w wiosnie żywota
 Pod obce niebo poleciałeś w gości,
 Spytaj jaskółki, co w oknie szczebiota,

Czemu kolibrom słońca nie zazdrości?
Czemu, u obcych pogościwszy zimą,
Wraca na lato pod strzechę rodzimą? —
Szczęśliwe ptaszki, trzykrotnie szczęśliwe!
Szczęśliwi ludzie nie czują jak błogo,
Że raz wybiegłszy za domową niwę,
Znowu, gdy zechcą, powitać ją mogą.
Lecz zapytajcie ranionego ptaka,
Co nie mógł z braćmi powrócić na Litwę,
I zapytajcie w obczyźnie biedaka
O jego dumkę, o jego modlitwę;
Spytajcie, czego zesmutnieli oba?
Jak się im piękny Neapol podoba?
Od błoń auzońskich, gdzie lasy mirtowe,
Czemu do sosen wrywa się dusza?
Tamto powietrze, i lekkie, i zdrowe,
Czemu im piersi pali i osusza?
Niejeden może z nieszczęśnych tułaczy
Błuźnił tak samo rodzinnej zagrodzie;
Dzisiaj, poznawszy, co dym swojski znaczy,
Czuje zgryzotę, co mu piersi bodzie.
Zna, że bluźnierstwem znieważył Niebiosy,
I wzięwszy sakwę pielgrzymską na ramię,
Szedłby na Litwę odarty i bosy,
Przebłagać Matkę Bożą w Ostrej-Bramie,
Przebłagać góry i rodzinne bory,
Którym się niegdyś tak srodze zawinia...
Zdrowie swej duszy odzyskałby chory,
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.

1854.

GRAJEK WIOSKOWY.

I.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty,
Siadł grajek wioskowy na przyzbie u chaty,
I wierną skrzypicę wziął w ręce;

A w głowie snadź ważna toczy się narada:
 Coś brząka, coś mruczy — bo w myśli układa
 Strój nowy ku nowej piosence.
 I błądzi spojrzeniem ku niebu, ku ziemi,
 Nad polem zielonem, nad strzechy sielskimi,
 Spogląda ku lasom, ku rzeczce.
 Wnuk przy nim trzyletni, ciekawy a żywy,
 Znalazłszy we drwalni dwie szczepy łuczywy,
 Grał niby na drugiej skrzypeczce.

II.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy:
 — Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy!
 Poczekaj! nic z tego nie będzie.
 To brzydka zabawka! to gra nic do rzeczy!
 Rzuć, chłopcze, tę trzaskę, boć ręce skaleczy —
 Skrzypica — zakłętę narzędzie!
 Gdy raz ci do duszy przyrosną jej tony,
 Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
 Młodości i sił twoich szkoda.
 Snu tobie nie będzie, tem gorzej im dalej,
 Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali,
 A gdzież tu na świecie ochłoda?

III.

Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię,
 I będziesz po dworze przechadzał się sobie,
 Śpiewając o remus księdzowski;
 Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
 To może ci dola życzliwa posłuży,
 Że będziesz plebanem tej wioski.
 Czy ludzkość żałobą, czy kwieciem pokryta,
 Wesele czy pogrzeb — ksiądz Brewiarz czyta,
 I cóż go zasmuci, rozrzewni?
 Czy piękny urodzaj na polach rolnika,
 Czy Pan Bóg pomorem i głodem dotyka,
 Plebani dziesięcin swych pewni.

IV.

Lub baw się w żołnierza, weź kij mój sękaty,
 I hasaj dokoła stodoły i chaty,
 Ja-ć szablę wystrugam z łuczywy;
 Gdy pójdziesz do wojska, ej! będzie do twarzy:
 Twój mundur, twój kaszkiet od złota się żarzy,
 A rumak — kasztanek lub siwy!
 Szablica, ostroga błyszcząca ze stali,
 A wąsik runieje, a oko się pali,
 Dziewczęta ci z całej lgną włości;
 W gospodzie, czy w domu, na każdej zabawie,
 Ty jeden rej wiedziesz i głośno, i żwawie,
 A każdy ci z chłopców zazdrości!

V.

Cóż z liry za korzyść? Ot marnie zaginie;
 Ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie,
 Daremną zamęczy się pracą.
 Tu rzadkie obsiewki, dożynki, wesele,
 Tu chleba niewiele i zabaw niewiele,
 Niewiele grajkowi zapłaca.
 — Ej, dziadku mój, dziadku! — odpowie mu wnuczę —
 Ot ja cię dobrego sposobu nauczę:
 Rzuć wioskę, gdzie żyją nędzarze;
 Weź skrzypkę i pytaj, gdzie ludzie bogaci,
 Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci,
 I drogę do inszych pokaże.

VI.

Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
 Tak pójde na świecie — to wcale niegłupio;
 Obaczysz, jak mi się poszczęści.
 — O dziecię! — rzekł starzec — nie bluźnij w ohydzie,
 Niech raczej z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
 Niż o drzwi bogaczy tłuc pięści!
 Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę,
 To serce grajkowi życzliwe i rade,
 Gospodarz najwyżej go mieści;

I grajka obsiada, słuchają z rozkoszą,
 I czarękę najpierwszą ku niemu przynoszą —
 Tu pieśnia w pożytku i cześci.

VII.

Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich,
 Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
 U progu ci chyba grać każą.
 Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
 Westchnienia nie wzbudzisz, bo duch u nich zimny,
 Z szyderczą słuchają cię twarzą.
 A kiedy na uczcie zapieni się wino,
 Sto razy służalcy pieśniarza pomina,
 Nim puhar podadzą ci hardo.
 Gdy czasem bogacza napadnie szaf pusty,
 On każe, byś zagrał piosenkę rozpusty,
 I rzuci garść złota z pogardą!

VIII.

Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska.
 — Tak, chłopcze... bądź grajkiem!... O Boże! Twa ła-
 Niech zawsze na pomoc mu przyjdzie! [ska
 Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę ci w ręce,
 Przeżegnam ją najprzód, w kościele poświęcę,
 Byś pieśni nie podał k'ohydzie.
 Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
 Bądź grajkiem pocziwych wioskowych nędzarzy,
 Jak ja sam przebyłem lat tyle.
 Chłopczyzna wysłuchał, co stary dziad gdera,
 Podumał, zapłakał, i oczka ociera,
 I pobiegł uganiać motyle.

16 października 1854. Borejkowszczyzna.

DO IGNACEGO CHODŹKI,

przesyłając na chów zimowy konie, do fortuny pana M. K.,
 autora znanych „Gawęd z Ambrożewiczem.”

Gdy pan mulski znudziwszy litewskiemu synu,
 Odjeżdżał hajdamaczyć w stepy Ukrainy,
 Pomędzy dzikie jary, czahary, burzany, —
 Zostawił skarb na Litwie, och! skarb nieprzebrany,
 Skarb, który Pan za ledwie swym wybrańcom nada,
 T h e s a u r u m s u p e r a u r u m — dobrego sąsiada;
 I tak mówił, prawicę podając mu czułą:

— Bądź stróżem mych penatów, a czuwaj nad Mułą,
 Na ciebie moją władzę przeleвам najszczerzej;
 Kto jeno w imię moje czołem ci uderzy,
 Spełniaj wszystkie żądania, jakie słusznie rości,
 Hetman z mego ramienia w mojej posiadłości.
 Tak mówiąc ostateczne pożegnalne słowa,
 Przynależał o ko tytuniu przysłać z Berdyczowa,
 I słowem w palemońskiej ziemicy nieznanem
 Mianował go najwyższym mulskim atamanem.

Ten, co przedtem jednoczył już zaszczytów wiele,
 Którego cenią bracia, współobywatele,
 Co, sam służąc krajowi zaszczytnie a długo,
 Wyższą jeszcze u ziomków wsławił się zasługą.
 Kiedy ująwszy pióro, jak pendzel uroczy,
 Szereg O b r a z ó w L i t w y stawił nam przed oczy,
 Ten, u którego w sercu święta prawość kwitnie,
 Co przywykł wielkim trudom podolać zaszczytnie,
 Temu sił nie przeciąża, humoru nie drażni
 Ni buńczuk atamański, ni prośba przyjaźni:
 Nieobecnego druha zastępując świetnie,
 Równie troskliw o Mułę, jak o swe Dziewietnie.

Lecz, jak zwykle, kłopoty nierozdzielne z władzą;
 I tutaj suplikanty spokoju nie dadzą.
 Ważne sąsiada Muły przerywając prace,
 Oto natręt przybywa i do drzwi kołace,

A czołem uderzywszy, że przybył nie w porę,
Przekłada swoją prośbę in eo tenore:

Pan mulski — jak świadoma o tem miłość wasza —
Do swojej posiadłości, słyszę, mię zaprasza,
Bym lares et penates spakowawszy razem,
Przybył z lutnią pobitą i chudym pegazem.
O! zaprawdę, rozrzewnia jego przyjaźń czuła!
Ale tutaj mię niemoc do łóżka przykuła,
Pierś, kiedy właśnie tonów trudniejszych dochodzę,
Wyśpiewana, zachrypła, dolega mi srodze;
Tu dręczą mię gorączki i bolesne kaszle,
Tu bezwzględny Hippokrat swych potomków naszle.
Tak więc przybyć do Muły nie mając sposobu,
Posyłam darmożjadów do mulskiego żłobu;
I oto przywiedziono przed wasze podwoje
Odstawną pegazicę i pegaziat dwoje.

Gdy mię przyjął Apollo w czeladkę parnaską,
Z taką szczególnych względów oświadczył się łaską.

Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,
I rozkażę strumykom brzęczeć z całej siły,
I rozkażę słowikom, by pięknie nuciły;
Aby ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,
Nie dam ci na dzierzawie ni ziarna, ni słomy;
Na twych łąkach, byś serce rozrzewniał radośnie,
Niechaj brzęczą koniki, a siano nie rośnie;
Dla twoich wieszczych myśli daruję świat cały,
Pozwalam ci obrywać niebieskie migdały,
A na ziemi, gdy na nią zestąpisz na chwilę,
Możesz dopędząć wiatry i łapać motyle.

Tak przyjęty, zasiadłszy hardo na Parnasie,
Nie dbam o ziemską szkapę — niech się trawką pasie;
A gdy trawkę na łące mróz zimny powarzy,
Niechaj idzie na łaskę lepszych gospodarzy.

Oto treść mojej prośby. Jakiż koniec w liście?
Jak tu się submittować pięknie, uroczyście?
Jakim uczcić afektem mulskiego sąsiada?

Oto utnę po prostu, jak mi serce gada:
Jam twój rodak, a u nas na całej przestrzeni
Któż Chodźki nie uwielbia? nie kocha? nie ceni?

1854. Borejkowszczyzna.

DO ALEKSANDRA ŻELEŹNIAKA

po pierwszym spotkaniu.

Znamy się z sobą od niedawnej chwili,
Ale już więcej znać się nie potrzeba:
Ledwieśmy kąsek rozłamali chleba,
A zda się beczkę już soli spożyli.
Daleś mi poznać duchowe rozkosze
I błogi podział uczucia i myśli;
Bóg i czas dalszy połączą nas ściślej, —
Kocham cię, bracie! pokochaj mię, proszę.

1855. Mińsk.

TOAST DLA TEODORA NARBUTTA,

autora „Dziejów Litwy.“

Zasnęła się pomroką przeszłość tajemnicza,
Zgasło w Litwie ognisko poświęcone Znicza,
Zmilkła pieśń wajdelotów, — w uroczystej mowie,
Któż nam przeszłość wyświeci? kto przyszłość prze-
[powie?

O! jest człowiek od Boga przysłany tej stronie,
W jego piersi ognistej Znicz litewski płonie,
Jest mąż, co, z rylcem dziejów stojący na straży,
Starą i nową Litwę wspomnieniem kojarzy,
Co, jak dawny ofiarnik, prawnukom wspomina
Bogów i bohaterów ziemi Gedymina,
Jak stary burtynikas, co podawał hasła:
Jeszcze auszra życzliwa nad Litwą nie zgasła!

I dzisiaj ten dostojny wróżbita przeszłości
Jak ojciec w gronie dziatwy, między nami gości.

Zbierzcie się, dzieci Litwy i młodsze, i starsze,
 Wydajcie uroczysty okrzyk patryarsze,
 W róg bawoli starego ałusu nalejcie:
 W cześć kapłanowi Litwy! w cześć krywe-krywejczie!

1855. Wilno.

W IMIONNIKU
 SYDALII ŚWIDOWEJ.

Tutaj dni moje spokojnie płyną,
 Mam chleba, soli, kwiatów do syta,
 I dobry człowiek czasem gościną
 Do mnie zawita.

W cichej ustroni żyćby niegorzej
 Wród gęstych dębów, jabłoni, gruszy, —
 Och! gdyby tylko jeden dar Boży:
 Spokojność duszy!

O ludzie dobrzy! o ludzie bozi!
 Westchnijcie czasem za mną k'Jehowie:
 Niechaj gorące myśli zamrozi
 W zboląlej głowie.

A wyobraźnia moja skrzydlata
 Z chłodnym rozumem niech idzie w parze;
 O szczęściu własnem, o szczęściu świata
 Niechaj nie marzę.

1855.

DO KS. WACŁAWA HUNDIUSA.

Mój bracie wedle serca, mój ojciec w Chrystusie!
 Szlę ci obraz kapłana, zacny Hundiusie.
 Jako stary Bernardyn był swej wiosce wzorem,
 Ty dla naszego Wilna bądź definitorem.
 Gdy w nasze twarde głowy biją dogmatyści,

Twój głos niech nasze serca od grzechu oczyści.
 Objąwszy Święto-Jańską po Skardze ambone,
 Ty jeden możesz działać na serca skruszone.
 Placz, sróż się, jako Chrystus płacze lub się sroży:
 Litwini w twoich słowach odgadną głos Boży.

1855.

H A S Ł O.

(DO WINCENTEGO POŁA).

Gdy Polsce jeszcze gwiazda świeciła Rejowa,
 Sławny Jędrzej Trzycieski w te pisał doń słowa:
 Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz,
 W naszym polskim języku ty sam przodkiem cho-
 [dzisz.

K'wam, mistrzu, te wyrazy zwrócę, jeśli wola:
 Tyś jest Pol — bard jedyny sarmackiego pola;
 Tyś przestronny, jak pole, od brzegu do brzegu,
 A twa pieśń sarmacka górą się rozlega.
 Z echem jej obeznane Lechitów krainy,
 Od Karpat i Powiśla do Dniepru i Dźwiny.
 Odbiło się tve imię i piosenka sama,
 W lasach Litwy, co pieśniom wtórzyły Adama;
 Na stepach Ukraińskich, w dzielnicy Bohdana,
 Rozpływa się, stepowym wiatrem kołysana;
 Nad Newą, aż do krańca lapońskiej rubieży —
 Słowem: wszędy znajoma, codzien dank ma świeży.

My mieszkamy pod starym Palemońskim lasem,
 Gdzie wiatr mroźny piosenki zagłusza nam czasem,
 Lub odwiewa ich echo, a cóż więc za cuda,
 Że nie zawsze, nie wszystko dosłyszeć się uda?...
 Więc dzisiaj kołatamy do twej dobrej woli:
 Zaśpiewaj co wyłącznie naszym lasom gwoli,
 Naszym karlim pagórkom i piaszczystej niwie,
 A spragnione ich echo zawtórzy chętniwie.

7 lipca 1855. Borejkowszczyzna.

CZULI A CNOTNI, BĄDŹMY OCHOTNI.

Seh't wie die Tage sich sonnig verklären!
 Blau ist der Himmel und grünend das Land,
 Klag' ist ein Misston im Chore der Sphären,
 Trägt auch die Schöpfung Trauergewand.

S a l i s.

Patrz, jak się niebo rozjaśnia uroczło!

Majem oddycha i trawka, i świat,
 Aż grzmi powietrze, aż ptaszki szczebiocą, —
 Nie pora wdziwać całunowych szat!
 Płyńcie mi w duszę radość i wesele!

Tyle jest piękna — chwytajmy je w czas!
 Cnota i radość — to mądrego cele,
 Niechże nakoniec opromienią nas!

Otwórzcie dusze! wszędzie radość płuży —
 Łówcie w powietrzu jej piosenki strój,
 Łówcie oddechem, bo jest w woni róży;
 Patrzcie: radością kołysze się zdrój!
 Bierzcie ją w usta w soku winogrona,
 W owocach jabłka i soczystych grusz.
 Wszędzie jest radość — niech wnijdzie do łona,
 Czas, aby chmury rozwiały się już!

Patrz w jasne oczy twojego Anioła,
 Radosnem tętnem niech ci serce gra;
 Miłość cnotliwa w Niebo cię powoła,
 Smutek uleci i pierzchnie, jak mgła.
 Uczujesz wtedy olbrzyma w twej duszy,
 Poznasz dostojny twojej drogi szlak,
 Poczujesz siłę, co głązy poruszy.
 Iskrę do walki — to zwycięstwa znak.

O bracia moi! skąd te łzy niewieście
 Szpecą jagody bohaterskich lic?
 Czyliż to życiem znużeni nareszcie
 Nad miękką, trumnę nie widzicie nic?

Ach! tyle wielkich i szlachetnych rzeczy,
 Tyle zostało obowiązków znieść!
 Niechaj sumienie nasz grób zabezpieczy,
 A wtedy umrzeć — i sława, i cześć.
 Nieraz się troska, nieraz przyboleje,
 I łza na oku, i na sercu żal;
 Użyj na serce balsamu nadzieje,
 Zażyj cierpliwość, jak pancerną stal.
 A gdy mgła smutku twą głowę otoczy,
 Wyteżaj oko do niebieskich zórz!
 I nie brnąc w ścieżkę występnych uboczy,
 Dobrą otuchę w Opatrzności złóż.
 Dajcie kielichy! niechaj wino tryśnie,
 Pokrzepmy siły — i z losami w bój!
 Aż póki ręka strudzona nie zwiśnie,
 Póki się z czoła nie poleje znój!
 Słodkoż zaśniemy! sumienie zaświadczy,
 Żeśmy spełnili, co należy z nas.
 O! w tem świadectwie jest balsam zaradczy,
 Co zgoi w piersiach najdotkliwszy raz.
 Odważnie, bracia! choć duszę zraniono,
 Choć wieniec cierni przygniata nam skroń:
 Boleść potrzebna, bo orzeźwia łono,
 Jak ciepły wietrzyk obumarłą błoń.
 Żniwiarze Pańscy! i śpiewajmy szczerze,
 I pracowicie związujemy nasz snop:
 Pociecha duszy — któż ją nam odbierze?
 Ona różami otoczy nasz grób.

1855. Borejkwoszczyzna.

GŁOS UBOGICH

DO OBYWATELI GUBERNII WILEŃSKIEJ,
 zebranych na wybory w Wilnie.

O goście szlachetni! i cześć wam, i zdrowiel
 W czas dobry witajcie nam w mieście!

I groszem, i duchem bogaci mężowie,
Co czołem krainy jesteście!
Gdy wasze dostojne obrady i prace
Z wysoka przeżegnał Jehowa,
Otwórzcie swe serca! bo do nich kołace
Ubogi, sierota i wdowa.

Na polach we żniwa plon chybił żniwiarza,
Złe wieści latają żałośnie;
I wioskom, i miastom głód smutny zagraża,
Truchlejem, gdy wspomnim o wiośnie.
Gdy waszą troskliwość zajmuje tak szczerze
Po wioskach niedola ludowa,
Niechajże i w mieście jałmużnę odbierze
Ubogi, sierota i wdowa.

Gdy płacąc społeczne zasługi i czyny,
W szlachetne zbieracie się grona,
Gdy uczty dajecie wybrańcom krainy,
Wołając ich zacne imiona:
Niech stara gościnność, stosownie do chwili,
W słusznej się granicy zachowa!
Mniej kilku toasty, a już się posili
Ubogi, sierota i wdowa.

Tam, w domach — rodziny modlą się za wami,
By sprawy szczęśliwie się wiodły;
A cóż wam zaszkodzi, że z rodzin modłami
Ubodzy połączą swe modły?
Gdy szczodra dłoń wasza ich nędzę umniejszy,
Bóg ziści dziękczynne ich słowa;
I może wymodlą urodzaj plenniejszy
Ubogi, sierota i wdowa.

WARYANTY STARYCH TEMATÓW.

I.

Mogłem być znaczny na świecie
 I bogatszy w mym powiecie,
 Ale cel mego żywota
 Nie był: zbierać siła złota.

Mikołaj Kochanowski, Rotuła XI.

To papką, to czapką, to prośbą, to siłą
 Zhołdowałbym losy, zhołdowałbym ludzi,
 Jużby się i złota, i cześci dobiło. —
 Lecz chciwość i pycha żądź moich nie budzi;
 Zgasiwszy ich ogień w najpierwszej iskierce,
 Wybrałem ubóstwo, piosenkę i serce.

Lecz biada wśród ludzi, kto żądź ich nie dzieli!
 Ze skromnem rojeniem ukrywać się każą,
 Ubóstwo wyśmieli, przy pieśni zasnęli,
 A święte uczucie okryli potwarzą;
 I lejąc przed ołtarz Mamona i Pychy,
 Zburzyli mój uchron, zburzyli mój cichy!

O! czemuż w mych modłach nie było modlitwy
 Do cielca Baala, do bożka czezej chluby!
 Z ich własnym orężem stanąwszy do bitwy,
 Podeptałbym pysznych i starł samoluby;
 Silniejszą przewagę uznawszy w pokorze,
 Znieważać me serce przestaliby może.

1855. Wilno.

II.

Niepodobnym obyczajem,
 Nie począwszy, żyć przestajem.

Jan Kochanowski, księga X, pieśń 15.

Codzień głosim piękne słowo,
 Codzień wiem żywot trupi,

Codzień mamy żyć na nowo,
Wznieść się sercem, wznieść się głową,
Aż nas wkońcu Czyn odkupi,
Aż nas wkońcu Duch oświeci.
Ale starym obyczajem
Słowo szumi, a czas leci,
Nie poczawszy, żyć przestajem.

W polach naszych perz i ziele
Potrzebuje rolnej sochy:
W myślach kwitną piękne cele,
Czujem w sercu chwastów wiele,
Które zasiał żywot płochy;
Prędko z gruzów starej nędzy
Mamy wioski stworzyć rajem;
Lecz śmierć idzie jeszcze prędzej,
Nie poczawszy, żyć przestajem.

Jak ów pielgrzym w Palestynie,
Świat na drzemkę legł złowrogą,
I godzinę po godzinie
Czeka, woda aż przepłynie,
By przejść rzekę suchą nogą.
I na ziemi sakwy kładzie:
Niech wypiję, niech się najem!
I znów drzemka po biesiadzie;
Nie poczawszy, żyć przestajem.

1855. Borejkowszczyzna.

ORSZAK POGRZEBOWY.

Głowę do trumny złożę w wesela,
Jeżeli pójdą za moją trumną
Ci, co kochałem... to nazbyt tłumno,
Bo ja kochałem wielu... och, wielu!
Ja śmiałych chęci nie puszczam dalej:
Niech tylko przyjdą, co mnie kochali!

Co mnie kochali wiernie a szczerze,
 Niewielka liczba — dwoje czy troje.
 Niechajby poszli i wrogi moje,
 I tych się może ze trójka zbierze.

Tak na pokładzin moich obrzędzie
 Summa summarum sześć osób będzie,
 A siódmy pójdzie kapłan życzliwy,
 A ósmy dzwonnik, — czegoż potrzeba?
 Dziewiąty — wietrzyk z rodzinnej niwy,
 Dziesiąty — deszczyk z naszego nieba.

W takim orszaku niechaj mię żwawo
 Wilgotnej ziemi pościel otuli;
 Niech mię pokropią kropelką łzawą
 I zaśpiewają łacińskie luli!
 Ukołysany, rad z mojej doli,
 Boleści życia wyśpię powoli.

1855. Borejkowszczyzna.

MODLITWY NA OBRAZKACH.

I.

HYMN DO NAJŚW. MARYI PANNY OSTROBRAMSKIEJ.

Królująca z wysoka
 Nad murami naszymi!
 Rzuć promienny blask oka,
 Spójrzyj Matko ku ziemi!
 Tu w błagalnym rozgwarze
 Płynie modła w przestrzeni;
 Tu sieroty, nędzarze,
 Tu na duszy strapieni:
 Ich nadzieja jedyna,
 Twoja litość matczyna.
 Znasz, co w myślach się mieści,
 I co w sercach nam pała;
 Znasz tajniki boleści,

Boś Ty sama bolała!
Wiesz, kto ulgi udziela:
Niechże Syn Twój, Bóg-Człowiek,
Choć promykiem wesela
Łzy osuszy nam z powiek;
Niech się wstawi do Syna
Twoja litość matczyna.

II.

HYMN DO PANA JEZUSA NA ŚNIPISZKACH W WILNIE.

Z Ojcem Przedwiecznym stolicę dzieli,
Na twarz padają przed nim Anieli,
Na Jego Imię piekło się trwoży:
Oto Syn Boży.

Obarczon krzyżem, w koronie z cierni,
Dręczą Go ludzie niemiłosierni,
Krew płynie z czoła, łza tryska z powiek:
Oto jest Człowiek!

Ty, który ludzkość wzięłeś w Twą pieczę,
Na krzyż przybity Boże-Człowiecze!
Wnijdź nam do serca, niech się w niem zbudzi
Miłość dla ludzi.

A gdy w naszego życia zawodzie
Krzyż nas obarczy, a cierń ubodzie —
Godnie przebywać drogi cierniste
Pomóż nam Chryste!

III.

HYMN DO ZBAWICIELA W KOŚCIELE KATEDRALNYM
W WILNIE.

Niechaj się, Chryste, w Twem sercu zmieści
Modła, co niesiem ufni a prości,
Bolejącemu — słowa boleści!
Bogu — cierpienia ludzkości!

Dotkliwych ciosów, co spadły rojem,
 Bez Twej pomocy nie zniesiem sami;
 Nawiedz nam serca świętym pokojem,
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

Którego głowę przebodły ciernie,
 Pośpiesz się ku nam z Boską osłoda:
 Cierniste myśli, spraw miłosiernie,
 Niechaj nam głowy nie bodą.

Któremu serce włócznią przebodli,
 Któryś sam płakał krwawemi łzami,
 Gdy człek zbolały Tobie się modli,
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

Któryś nakarmił ludzi tysiące,
 Błogosławiwszy chlebów siedmioro,
 Spraw niech i dzisiaj rzesze łaknące
 Chleb Twojej łaski odbiorą.

Gdy u stóp krzyża mą boleść złoże,
 Niech mnie nadzieja prózna nie mamí:
 Boże cierpienia! pociechy Boże!
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

 IV.

 HYMN DO ŚWIĘTEJ WERONIKI.

Gdy się nad Zbawcą ciżba okrutna,
 Prowadząc na śmierć, pastwi jak może, —
 Tkliwa niewiasta ze szmatem płótna
 Pośpiesza otrzeć oblicze Boże.
 Starłszy znój z czoła i pot, co płynie,
 Chrystus niewiastę pamiątką dárzy:
 Oto na białej płótna tkaninie
 Odbija obraz Swej Boskiej twarzy.
 Duszo w miłości Bożej ognista,
 Coś otrzymała cud znakomity,
 Módl się za nami! niech obraz Chrysta

Na naszych sercach mamy odbity!
Śladem Chrystusa, gdy cierpiąc srodze,
Dźwigamy krzyże na smutnej ziemi,
Uproś nam cnotę wytrwania w drodze
I miłosierdzie nad cierpiącemi.

V.

HYMN DO ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA.

Dostojny Patronie Litwy,
Pokrewny z ciała i ducha!
Przygarnij nasze modlitwy,
Niech je Pan Niebios wysłucha.
Módl się za nami do Boga,
Niech grunt nie chybia swych plonów,
Niech głód, pomorek, pożoga
Nie dotknie ziem Palemonów.
Twa modła ludu niech strzeże
I ziemię dobrze Ci znaną;
Błogosław miast naszych wieże
I wiosek strzechę słomianą.
Coś słaWił rzewnemi hymny
Świątą Dziewicę Maryą,
Rozgrzej nam wiarą duch zimny,
Niech serca pobożniej biją.
Niech wiary będzie zapłata
Przeżegnanie Pańskiej dłoni,
Niech nas Opieki swej szatą
Bogarodzica osłoni.

VI.

HYMN DO ŚWIĘTEJ FILOMENY.

Dziewico, której wdziękami
Monarcha rzymski ujęty,
Próżną nadzieją się mami

Uwikłać w ziemskie ponęty!
 Lecz w Twojem sercu ukryty,
 Chrystus swą miłość rozżarza:
 Wzgardziłaś ziemskie zaszczyty,
 Wzgardziłaś miłość cesarza!
 Gdy go zajątrzył Twój opór,
 Pod miecz katowski Cię bierze;
 Ochoczo poszłaś pod topór
 Dopęłnić z Niebem przymierze.
 Swej Męczenniczki wyrazy
 Chrystus ochoczo wysłucha:
 Wybłagaj nam czystość ducha,
 Broń nasze myśli od skazy!

VII.

HYMN DO ŚWIĘTEGO KAJETANA.

O Kajetanie! święty Patronie!
 Coś Bogu zlecał Twoje potrzeby,
 A ufna wiara, coś nosił w łonie,
 Hojne z Niebiosów sprowadza chleby!
 O! my wierzymy w te cuda wiary,
 Ale się troski pozbyć nie możemy:
 Nie dla nas cudów przywilej stary,
 Bośmy bluźniercy w obliczu Bożem!
 Gdy Pan w swym gniewie albo przestrodze
 Tak wielu klęski ziemię dotyka,
 My, potrzebami dręczeni srodze,
 Wzywamy Ciebie na pośrednika.
 Oto na polach nieurodzaje!
 Oto kalecy do prac niezdolni!
 Oto sierota głodu doznaje!
 Któż wyrobnika z nędzy uwolni?
 Gdy nasza troska nic nie pomoże,
 Święty Patronie, w Tobie otucha:
 Módl się za nami o dary Boże,
 O wiarę w sercach i pokój ducha,

VIII.

HYMN DO ŚWIĘTEJ ZOFII.

Zofio święta, Matko pobożna,
 Coś dała przykład w gronie Twej dziatwy,
 Jak chrześcijance wielką być można,
 Jak zgon dla prawdy słodki i łatwy!
 Gdy wespół z Tobą na śmierć otwartą
 Wiedli Twą dziatwę srodzy morderce,
 Choć serce matki najsrożej darto,
 Lecz nie uległo potężne serce.
 O bohaterek wzorze jedyny!
 Patronką matek zostań na ziemi:
 Niech wzorem waszym córki i syny
 W obliczu Niebios będą świętymi.

IX.

HYMN DO ŚWIĘTEJ ANIELI.

Święta Anielo, dostojna Wdowo!
 Gdy śmierć stargała Twe ziemskie śluby,
 Ty wzięłaś inszą szatę godową:
 Habit zakonu ciężki a gruby.
 Wyższa nad żądze ziemskich korzystek,
 Grosz Twój ubóstwu oddałaś wszystkim.
 Oto my ludzie ziemscy, cieleśni,
 Brzydka namiętność serca nam miota;
 W głębinach duszy zdradnie się cieśni
 Żądza rozkoszy i chciwość złota.
 Niechże za Twoją czystą przyczyną
 Nam ziemskie żądze z piersi wygina.

X.

HYMN O CHRZCIE CHRYSZTUSA.

I poszedł Chrystus w nadjordańskie strony,
 I został w rzece od Jana ochrzcony;

Stało się wielkie przymierze na ziemi,
Sakrament złączył Boga z śmiertelnemi.
Brzmiały weselem niebieskie krainy,
I głos był słyszany: To mój Syn jedyny!
I wodzie chrzestnej udzielona siła,
By grzechy z duszy człowieka zglądziła.
Wodą chrztu kapłan zlewając nam głowy,
Dał białą szatę czystości duchowej;
Błogosławiony ten po tysiąc razy.
Kto ją do grobu przechowa bez skazy!
Lecz kto nieszczęściem a winą swej duszy,
Kurzawą świata jej białość przyprószy, —
Chryste! Izy żalu, które wylewamy,
Niech z białej szaty oczyszcza te plamy.

XI.

HYMN DO ŚWIĘTEGO TADEUSZA.

Zaniechaj, wdowo, tęsknoty,
Bóg widzi boleść twej duszy;
W niebo spojrzycie, sieroty,
A Bóg Izy wasze osuszy!
On ciernie waszego czoła,
On oczy zalane łzami
W opiekę zdał Apostoła:
Tadeusz czuwa nad wami.
Gdy z myślą bolesną w głowie
Opadną ręce bezwładnie,
Kiedy sierocie i wdowie
I chleba łaknąć wypadnie,
Bądź Tadeuszu na straży!
Niebo Twych modłów wysłucha,
Chlebem nakarmi nędzarzy,
Łaską umocni ich ducha.

XII.

HYMN DO ŚWIĘTEJ HELENY.

Święta Heleno! o Matko cesarza,
 Co nowe światło nad Rzymem rozżarza,
 Dał chrzestny chryzmat pogańskiemu światu,
 Namaścił czoło ludu i senatu,
 A karty dziejów ropoczawszy nowe,
 Na Kapitolu wznosił godło krzyżowe!
 Tyś chrześcijaństwa dała skarb jedyny:
 Krzyż, krwią przesiąkły Baranka bez winy,
 Zarzucon gruzem i nasypem ziemi,
 Dał się odkopać rękami Twojemi.
 Przez Cię ludzkości, co Chrystusa wyzna,
 Wrócona po Nim najdroższa puścizna.
 Naucz nas, Święta, kochać Krzyż ten stary
 Duchem miłości i duchem ofiary.
 Do ramion jego wołamy w niedoli:
 Niech nas przygarną, gdy nas serce boli!

1855—1858. Borejowszczyzna i Wilno.

NA UROCZYSTE OTWARCIE

MUZEUM STAROŻYTNOŚCI

w Wilnie.

Kiedy przeszłość litewska ze swojemi dzieje,
 Wiekami poczerniała, w gruzach popieleje,
 Gdy stare jej zabytki czas niszczy i zmienia,
 Pokrywszy bryłą ziemi lub mgłą zapomnienia, —
 Ten, co berło Mendogów i Witołdów trzyma,
 Przychylnemi obrócił w tę stronę oczyma,
 Kazał ratować każdy tej przeszłości szczątek,
 Dźwignąć w grodzie Jagiełłów świątynię pamiątek.

W tej dla Litwy pamiętnej dawnych nauk sali
 Poświęcić ów przybytek gdyśmy się zebrali,
 Schylamy wdzięczne głowy, jak powinność każe,

Przed Bogiem, co myśl piękną zlewa na mocarze,
 Przed monarchą, posłusznym głosowi natchnienia,
 Co nowym naszą stronę blaskiem opromienia,
 I nasz hołd dostojnemu mężowi oddajem,
 Co z ramienia Monarchy zarządza tym krajem.

Kolejno — cześć wam, goście, którzyście w tej chwili
 Podzielić uroczystość naszą pośpieszyli!
 Cześć wam, stare zabytki, dni ubiegłych szczęty,
 Nad któremi bierzemy dług czuwania święty!
 Cześć nareszcie i tobie niech złożą Litwini,
 Zacny zakładco naszych pamiątek świątyni!
 Za którego staraniem i przy czujnym sterze,
 Jak wzięła swoje życie, tak wzrostu nabierze.
 Tyś ją wypielegnował w głębi twego łona,
 Tyś zarzucił ośnowę, Bóg wątku dokona.

Za szczupłość naszych zbiorów nie wstyd nam u świa-
 Bo jeszcze ziemia nasza w pamiątki bogata, [ta,
 Bogate serce naszych współobywateli,
 Co się każdym nabytkiem ochoczo podzieli.
 Więc wsparta ich współczuciem pocziwa mozoła
 Co rok większem bogactwem pochlubić się zdoła,
 Co rok może z tych gruzów nowa myśl zaświeci
 Korzyścią dla nauki i dla naszych dzieci.

Dostojni urzędnicy i goście łaskawi!
 Niechże wasze współczucie nas pobłogosławi;
 A jeśli trudy nasze warto mieć na względzie,
 Niech ku nam wasze serce z pomocą przybędzie!
 Nie chcą bogatych darów tej świątyni ściany:
 Rdzawy kawał żelaza w pól u wyorany,
 Stara miedziana drachma, grynszpanem pokryta,
 Albo karta odwieczna, co nikt nie wyczyta,
 Lub staroświecki obraz z odwiecznymi plamy:
 Oto cała jałmużna, jakiej pożądamy!
 Jeśli z takimi dary pośpieszyć ochota,
 Między święte pamiątki umieścim te wota;
 A może wśród tych szczątków najlichsza okrucza
 Posłuży do zbadania dziejowego ducha,

I kartę historyczną oczyści od baśni,
I przeszłość nam odsłoni, i przyszłość rozjaśni.

Za czasów starożytnych, jak nam piszą dzieje,
Zawieszano w kościołach wojenne trofeje:
I dzisiaj toczy walkę i zwycięstwa szuka
Z czasem i niepamięcią dziejowa nauka;
A te stare żelastwa, te spróchniałe karty,
To łup w imię nauki czasowi wydarty.
Zawieszamy go z chlubą w pamiątek kościele,
Ale walka trwa ciągle, zdobyczy jest wiele.
Wspomóżcie nas w tej walce, dodajcie nam siły,
Kto szanuje pradziada, komu prawnuk miły!
A da Bóg, może plony zjawią się bogate,
Przeszłość weźmie uczucie, a przyszłość oświatę.

17 (29) kwietnia 1856. Wilno.

ARCHEOLOGIA.

(DO REDAKTORA GAZETY WARSZAWSKIEJ).

Winszuj mi z serca, mości redaktorze!
Człowiek radością dzieli się, z kim może.
U nas świątynię pamiątek odkryto,
A od soboty jestem w niej lewitą.
Mam tedy dzisiaj prawo niewątpliwe
Nosić baldachim, dzwonić na wotywę,
Ubierać ołtarz na dni uroczyste
I odpowiadać: *Laus Tibi, Christe!*
Dobry-ć to urząd; ale kto wie wreszcie?
Może wy innych przekonañ jesteście;
Powszechny przesąd i was może mami,
Że starożytność — zabawka z trupami,
Że z dawnych gratów nic się nie wyklei,
Że w dziejach trzeba żywotnej idei.
Otóż, chcąc prawdy odsłonić oblicze,
Z całą szczerotą wam się wyjęzyczę;

A gdy me słowo zważycie na szali,
Może i w innych przesady obali.

Naukę dziejów nazwałbym najprościej

Lekarzem chorób naszej społeczności:

Ona ulecza od zamętu głowę,

Odswieża serca już zwątpić gotowe,

Zna puls ludzkości, co najciszej szepta,

I przepisuje zbawienne recepta.

Archeologia, którą mam na względzie,

Jeśli tak chcecie — niech już trupem będzie.

A czegoż warta lekarza porada,

Który praw życia na trupie nie zbada?

Który nieświadom prostych wiadomości,

Gdzie biją tętna, gdzie nerwy i kości?

Któż się takiemu powierzyć ośmiela,

Co nie próbował na trupie skalpela?

Starożytników udział taki samy:

Zamiast skalpelów, my rydlem władamy.

W trupie przeszłości, jakże piękna praca,

Gdy się nerw jeden nieznany namaca,

Gdy się wykrzyknie, rozjaśnwszy twarze:

Patrzajcie na to, ludzkości lekarze!

Zbadać to pilno żaden się nie poleń,

Bo tu jest zdrowie dla przyszłych pokoleń!

A może drobiazg, znalezion w przestrzeni,

Naukę dziejów od razu przemieni:

Gdzie mądrych potów, gdzie sił było szkoda,

Klucz do przeszłości od razu wam poda,

A zapomocą tych cudownych kluczy

Jaśniej na przyszłość poglądać nauczy;

A że z przeszłości i przyszłość coś bierze,

Doli potomków przysłuży się szczerze.

A więc nie szydźcie, jak uliczne chłopię,

Że ktoś po starych cmentarzach się kopie,

Że mały kłosek ze swojego żniwa,

Jak coś wielkiego, światu obwoływa.

Szanujcie rydel: bo to jest rzecz droga

W rękach rolnika, czy archeologa, —
Czy na żniwiarskiej, czy na dziejów roli,
Okruczę chleba zawsze wymozoli.

1856. Wilno.

Z O Z U L A.

O! nieblizkie drogi niebo
I niełatwy lot orłowy!
Gdy mu serca, gdy sił trzeba,
Orzeł leci do dąbrowy.

Nim do lotu pierś rozwije,
Nim w powietrzne ruszy harce,
Król błękitu czołem bije
Bałamutce i wróżbiarce.

Bo zozula, chociaż młoda,
Zna filutka sądy Boże;
Wróżbą sercu dopomoże
I olbrzymiej siły doda.

Kuku! kuku! niby nie wie,
Że wyrocznią jest orłowi,
Że on, skryty gdzieś przy drzewie,
Każde „kuku“ sercem łowi.

W jego piersiach zakipiało,
Poczuł w sobie orle ramię,
Pod niebiosą wzbił się śmiało,
Siwe chmury pędem łamie.

I uderzył w chmury siwe,
Aż wytrysły deszczu strugi;
Świat mu wdzięczen tej przysługi,
Że wywołał deszcz na niwę.

Spada, pierśmi w chmurę trąca,
Pierzchła gęstych chmur przepaska;

Świat orłowi w ręce klaska,
 Że odsłonił widok słońca.

Ludzie dziwią się nieczuli:
 Skąd się tyle siły wzięło?
 To wróżbiarki leśnej dzieło —
 Cześć zozuli! cześć zozuli!

1856.

DO WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

(Przy wydaniu „Czem chata bogata“).

Idź, młody piewco! leć, młody ptaku!
 Niech się twój zapał co chwila budzi:
 Śpiewać w litewskich piewców orszaku,
 To znaczy śpiewać dla dobrych ludzi.
 Kochać tych ludzi — serca nie szkoda,
 Śpiewać — nie szkoda piersi młodzieńczej;
 Bo każda nuta, co się im poda,
 Zaraz w ich sercach mile oddźwięczy.
 Ja znam te serca! trafisz najprościej
 W duszę słuchacza, sąsiada, brata,
 Jeno kołataj w imię miłości,
 Postaw: czem chata twoja bogata.
 A nie pogardzą twoją chudobą,
 Przyjdą gromadnie do twego stołu,
 I chleb duchowy rozłamią z tobą,
 I lzę wyleją z tobą pospołu.
 Śmiało się, grajku, spuść na ich serca!
 Nie ogadają twojego chleba,
 A choć się znajdzie jaki oszczerca,
 To się i o to troszczyć nie trzeba;
 Bo ten lud Boży tak go zasyczy,
 Że sam odwoła słowa goryczy.

O serca Litwy, jakby o ścianę,
 Krzepko oparty, przypatrz się nieco,
 A piosnki twoje, wiatrem rozwiane,

Lotem jaskółki nasz kraj oblecą;
 Nad każdym oknem strzechy Litwina
 Będzie twe gniazdo — twoja gościna.

Dla twoich pieśni szerokie echo,
 Szerokie pole dla twego trudu.
 Patrz na te wioski: pod każdą strzechą
 Żyją gromadki Bożego ludu.
 Zajrzyj w ich serca, jak tam bogato!
 Niechże te skarby piosnka rozświeci.
 Spojrzyj na dymy nad każdą chatą, —
 Z niemi pod niebo niech myśl poleci
 Niechaj wybląga o łaskę Nieba,
 Czego tym chatom, tym sercom trzeba.
 Grusze na polach, krzyże z mogiły,
 Wieże kościelne, swojskie powietrze!
 Jakież to barwy na twej paletrze!
 Jakiż z nich obraz stworzy się miły!
 Jakże myśl każdą zamkniesz tu zwięźle!
 Śmiało, malarzu, bierz się za penzle.

O dobrzy ludzie litewskiej włości!
 Przyjmijcież piewcy dar niebogaty.
 I ja przyszedłem do was przed laty
 Bez żadnych zasług okrom miłości;
 Mnie spotkał uśmiech waszego oka,
 Waszem współczuciem dotąd się pieśczone, —
 Wszak niwa piosnek taka szeroka,
 Tyle zostaje wyśpiewać jeszcze,
 Na tyle taktów piosnka się klei,
 To o cierpieniach, to o nadziei...
 Och! nie zawadzi! och! nie zawadzi
 W struny rodzinne zagrać goręcej!
 Wy, jako tuszę, będziecie radzi,
 Że jeden pieśniarz przybędzie więcej:
 Przyjmijcież sercem braterskie dźwięki,
 Odbijcie w sercach echo piosenki!

Patrz za górami na przestrzeń mglistą:
 Świat promienieje albo się chmurzy.

Przygotuj czoło, młody lutnisto,
 Na wieniec cierni i wieniec róży, —
 I wyśpiewując, co serce mieści,
 Umiej być wesół, kiedy wesele,
 Płacz z bolejącym w chwilę boleści,
 Ukazuj braciom ich wyższe cele.
 Nie zginie piosnka w piosenek tłumie:
 Bóg cię nagrodzi, a kraj zrozumie.

1856. Borejkwoszczyzna.

SZUM BRZOSKI.

SIELANKA.

Pod oknami mojej chaty
 Biała brzożka smukło rośnie,
 A odarta z letniej szaty,
 Chwiejąc warkocz swój kudłaty,
 Pomrukuje coś żałośnie,
 Wyśpiewywa pieśń niedoli,
 Że, słuchając, dusza boli.

Chłodny wietrze! sroga zimo!
 Szklany lodzie! śniegu biały!
 Wyście ledwo przeszły mimo,
 Już ozdobę mą rodziną,
 Moje liście oberwały,
 Rozrzuciły po przestrzeni,
 Zamroziły sok w mej rdzeni!

Na gałązkach ciężką bryłą
 Lód kropliste zakuł deszcze.
 Biały śniegu! poco było
 Wiać na głowę, na pochyłą,
 I obciążać bardziej jeszcze,
 Że wierzchołki wysokiemi
 Giąć się muszę aż do ziemi?

Nie na długo wicher głuszy,
 Ciepły wietrzyk wiosnę szepce,

Wiosna idzie, lód pokruszy,
 Ona warkocz mój osuszy,
 Ciężkie śniegi w błoto wdepce;
 W mojej piersi znów widocznie
 Siła soków krążyć pocznie.

Z młodych pączków trysną liście,
 Liście wonne i majowe;
 Ale nawet wiosny przyjdzie
 Nie podniesie uroczyście
 Skaleczoną moją głowę!
 Dzięki ludów ciężkiej bryle,
 Już wierzchołka nie odchyłę.

1857. Borejkowszczyzna.

ZŁOTO, KADZIDŁO I MYRRA.

(Westchnienie).

1.

Gdy niedostatki nas gniotą,
 Gdy zbytki zgubić nas mogą,
 Chryste, zrodzony ubogo,
 Ty pobłogosław nam złoto!
 Gdzie wieśniak ginie bez chleba,
 Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
 Tam złota wiele potrzeba,
 Tam się niech złoto przysporzy.
 Kiedy występku ohyda
 Ma złota ile zamarzy,
 Królu! potomku Dawida!
 Daj go na chleb dla nędzarzy.
 Gdzie niemasz pola do pracy,
 Gdzie wątłe siły żywota,
 Błagamy, jako żebracy:
 Daj złota, Boże! daj złota!

2.

Kadzidło — to symbol chwały,
 Należny tylko Jehowie,
 A przecież w człowieczej głowie
 Dymy aromat rozlały.
 Bogactwo, wziętość lub władza
 Piętno zatarły w nas Boże;
 A dym kadzidła przeszkadza,
 Że człek być człkiem nie może.
 Złącz nas w braterskie ogniwo,
 O Chryste! o Boże z Nieba!
 Daj nam zasługę prawdziwą,
 Której kadzideł nie trzeba!
 Gdy piekiel pycha obrzydła
 Z Tobą się mierzy zuchwale,
 Przeżegnaj garstkę kadzidła,
 Niech służy ku Twojej chwale!

3.

Myrra — to symbol cierpienia,
 W niej pobłogosław ły nasze!
 Gdy cierń nam serce opasze,
 Niechaj się wiara nie zmienia,
 Niechaj nadzieja pokrzepi,
 Niech miłość wskrzési nadzieję,
 Że jutro będzie nam lepiej,
 Że się nam słońce zaśmieje.
 Ośmiel nas, że mamy prawo
 Zaufać Tobie jak ojcu!
 I Tyś w Oliwnym ogrojcu
 Pocił się łzawo i krwawo.
 Gdy cierpień wpiją się miecze,
 Gdy pęka serce sieroce,
 Chryste! zbolały Człowiecze!
 Błogosław myrry owoce!

KRZYŻE WIOSKOWE.

Dawnemi laty, w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem więcej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.
Takim wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku,
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennej
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny.
Gdzie mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi,
Aby na wieki zbawić od zatury,
Co się w tej wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmasane głoski
Na tle błękitnem odbiją niebiosy.
A w wiosce nie brak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiej niełatwo zaginą.

Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,
Więc zawsze gotów słuchacz u bazarzy;
I takim kształtem powieść o rodzinie
Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
Dat nie pamięta, imię przeinaczy.
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy:
Podanie pismu nie jest odpowiednie;
Śmieje się tedy i myśli w swej duszy:
Brednie dziadowskie, nic więcej, niż brednie!
Ach! to nie brednie, chycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański, jako świadek niemy;
Lecz winneż dzieje, że my piśmiennicy
Prawdy w podaniu znaleźć nie umiemy?

Krzyż na swej niwie stawia kmieć ubogi,
Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczej,
Jęczym przybici na krzyż naszej doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli;
Krzyże stawiamy, by uczynić zadość
Pamiętce zmarłych drogich sercu braci,
W krzyżu nadzieja, łzy, i krew, i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zacni, a drugi upodli.

Czy na rozstajnej, czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.
Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem!
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
Ażebym pielgrzym nie błędził w podróży.
A jeśli pielgrzym w obłędu godzinie
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominię,
I zamiast drogi manowce obierze,

I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
 To, byle sercem pożałował szczerze,
 Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy,
 I ojcowskiemi twojemi ramiony
 Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
 Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczej;
 Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
 Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy;
 Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija,
 Krzyżem, jak gwoździem do serca przybija.
 Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
 Po naszej ziemi rozrzucone wszędzie!
 Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
 Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
 I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty
 O tym krzyżyku, o królowej Bonie,
 Nie wierzysz w ścisłość historycznej daty,
 Lecz sercem czujesz, że to prawdą wionie,
 I bardziej trafi do twojego łona
 Gawęda starca, niż książka uczona.

1857. Borejkowszczyzna.

STARY ZEGAR.

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła:
 Dłoń ludzka w małej skrzynce bieg czasu zamknęła,
 I dzwonek dała mu w rękę;
 W małej mosiężnej skrzynce żyje myśl nielada,
 Coś porusza wskazówkę, coś szypi, coś gada,
 Coś dzwoni jedną piosenkę.

Zegar! — ileż on zmierzył i minut, i godzin,
 Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,
 I różnych doli człowieka!

A w zinnem jego sercu żelazna sprężyna
Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,
 Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając wskazówką długich lat ogromy
Na krótkie mgnienia oka, na czasu atomy,
 Mruczy i zrzędzi, jak stary:
Nie gońcie za motylem, nie próżnujcie gnuśnie!
Do roboty! do czynu! bo hańba kto uśnie,
 Kto swej nie spełni ofiary!

Długo stare zegary, odwieczni nudziarze,
Nad głową waszych ojców biły w ekscytarze,
 Budząc ich myśli i czyny.
Brzęk puharów, gwar śmiechów tłumiał ich gderanie,
Aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie,
 Aż pękły rdzawe sprężyny!

Znów waga naciągnięta, wskazówka popchnięta,
I szybko nowej ery pobiegły momenta,
 Ale zegary już inne:
Ciszej biją sprężyny, ciszej puls kołata,
Aby nie przerwać dumań myślącego świata,
 Szanując drzemki dziecinne.

Co też mędrzec wyduma? co też dziecko wyśni?
Jak garstkę swoich minut ludzkość ukorzystni?
 Wielkie dziejowe zadanie!
Świat ocknął się, zakipiał, jak wsiadł na sto koni,
Już jego szybkich pulsów zegar nie dogoni,
 Już nad nim gderać przestanie.

Czas idzie żółwim krokiem, postęp orlim lotem,
Poprzedzon świstem pary i machin łoskotem,
 Podniósł tytańskie ramiona!
A pragnąc glob podźwignąć z jego starej osi,
Zaledwie zaczął walkę — już zwycięstwo głosi,
 Że fałsz i ciemność pokona.

Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
 Niech nie zapomni krzyża położyć na czole!
 Nawiedz go myślą poradną!
 Dopomóż jego śmiałej a pocziwej chęci,
 Niech mu się z wysokości głowa nie zakręci,
 Ani ramiona opadną!

Niechaj w górę wzniesiona drużyna skrzydłaczy
 Zbożne, prawdziwe cele postępu zobaczy,
 Niech światu prawdę wyśledzi.
 A potem bądź miłościw dla starych szermierzy,
 Gdy stary zegar czasu godzinę uderzy
 Wielkiej, dziejowej spowiedzi!

Zegar bije sekundę — to rodzi się dziecko,
 Zegar bije sekundę — ktoś umarł na świecie,
 Świat być w spoczynku nie może;
 Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,
 Z nowymi dążeniami, z myślami nowymi,
 Idą Twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
 Mówiliby: To godzi, a to się nie godzi!
 I strzegli starych cnót ziarna.
 Wzbudź ich! a który spełnił swoje powołanie,
 Wedle sprawiedliwości błogosław mu, Panie!
 Bo ich zasługa nie marna!

1857. Borejkwoszczyzna.

KWIETNIOWY MOTYL.

Młody chłopaku, porzuć swawole:
 Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
 Radosna chwila!
 Nie psuj radości swoją pustotą,
 Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
 Nie goń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje światła,
Co się przymila.
Skrzydełka płoną, oczki mu płoną,
Chce się pocieszyć trawką zieloną, —
Nie goń motyla!

Dla niego wieczność, co dla nas chwilka,
Chce w jednej wiosnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyla,
I z każdej trawki, z każdego kwiatka
Chciałby słodczyce ssać do ostatka, —
Nie goń motyla!

Marząc o różach, pije cykute,
Jemu nie szkodzą krople zatrute,
Niech je wychyla!
Dopóki wierzy w balsamu kwiecie,
Jeżeli spłoszysz, grzech tobie, dziecię!
Nie goń motyla!

Gdyby żył tyle, co my żyjemy,
I gdyby, wiedząc to, co my wiemy,
Ssał miód z badyła —
Niech nie doczeka przyszłej jutrzeńki!
Skradnij się, dziecię, nie żałuj ręki,
Zabij motyla!

1857. Borejkwoszczyzna.

PROCEDENCYE SZKLANICY MIODU.

I.

Stary miód w szlacheckiej chacie
To rzecz święta, panie bracie!
Bo nim niegdyś swoje zdrowie
Pili nasi pradiadowie.
No, a pijąc, jużci gwarzą,

Otwierają wzajem duszę,
Przy nim rady i sojusze
I zrywają, i kojarzą.
Miód był uczytą towarzyszem,
Hart nadawał sercu, pięści;
Co dziś gwarzym, co dziś piszem,
To nie warto setnej części
Owoczesnych zgód i sporów,
Gdy roziskrzy miodek oczy,
Kordyalnych rozhovorów,
Co przy miodzie szlachta toczy.
Szkoda tylko, że w mogile
Słowa, czyny, sława zgasła...

Więc pamiątki tylko tyle?
Więc do czegoż szumne hasła?
Więc dlaczegoż, panie bracie,
Ten miód świętym nazywacie?
Że opleśniał? — pleśń nie święta!
Że dawniejszy czas pamięta?
Że, jak niegdyś szumiał w tłumie,
Opowiedzieć sam nie umie?

Gdy świętości tylko tyle,
Że w nim niegdyś ludzie mokną,
Dajcie pokój ich mogile,
A wylejcie miód za okno!
Gdy się z niego ulotniła
Starodawna moc i siła,
Gdy ma służyć za napitek,
To-ć nie pijcie ludzie młodzi!
Dziś za drogi taki zbytek
I na głowę wam zaszkodzi.
Słabe głowy waszych gości
Niechaj raczy napój świeży.
Co inszego, kto w świętości
Widzi świętość, jak należy,
Z myślą ojców kto się spotka
Kiedy spełnia ich wiwaty,

Kto w kropelce starej daty
Pije duszę swego przodka,
Temu chyba ucztę sprawcie,
Lecz profanów od niej zdala!
Stary miodek przed nim stawcie.
On świętości nie pokala.
Gdy mu miód zaszumi w głowie,
A rumieńcem skrasi lice,
Ze czcią patrząc na szklanicę,
On wam przeszłość jej opowie,
I oświeci nas, prostaki,
Ot mniej więcej w sposób taki:

II.

Przed latami, przed wiekami,
Na tej samej co my ziemi,
Żyli ludzie tacy sami,
Tylko z pierśmi gorętszemi;
Na wojaczce męże chrobrzy,
Między swymi bracia dobrzy,
A choć jeszcze bałwochwalce,
Żywszą wiarę mieli w łonie,
I w ołtarzy swych obronie
Byli radzi umrzeć w walce.
Grunt, co dzisiaj sochą orzem,
Grobowcami ich usiany;
W górach, lasach, ponad morzem,
Wszędzie znajdziesz ich kurhany:
A z ich piersi to snop żyta,
To wozzysty kwiat wykwita.
Bo za życia ludzie czyści
Wciąż na myślach mieli plony:
Jak najwięcej dać korzyści?
Jak ozdobić kraj rodzony?
I nieplonno męże prawi
Byli myślą tą zajęci,
Bo im Pan Bóg takie chęci

I za grobem błogosławi.
Gdy ich czyny, słowa, pieśni
Na pożytek szły współcześnie,
To-ć i z grobów, z nad ich ciała
Nie pokrzywa wyrastała.
Gdy potomek kwiaty żżyna,
Ani sobie przypomina,
Że to z kości pra-pradziada;
Ani zgadną ludzie ślepi,
Co im nowych sił udziela,
Że w tym chlebie — to ich krzepi
Wigor z piersi rodziciela.
A dziewczyna ani marzy,
Gdy się w kwiaty ozdobiła,
Czemu chłopcom taka miła?
Czemu kwiatek tak do twarzy?
Och! bo w skromny polny kwiatek
Czarodziejstwo Nieba wlały:
On wyrasta z serca matek,
Co swą dziatwę tak kochały,
Co z Niebiosów wysokości
Patrzą na nią pieśczośliwie!
Tak ku starej swojej niwie
Przeszłość dyszy w potomności,
Żyje zawždy między swemi,
Jest w powietrzu, w wodzie, w ziemi.

III.

W tem naczyniu, mchem nawisiem,
W starym miodzie pra-pradziada
Jest zaklęta myśl nielada!
Pij go ze czcią i rozmysłem
I dopij się, co tam w duchu,
Co tam za treść uroczyta:
Bo iż może lat ze trzysta
Wisiał w sklepie na łańcuchu,
Tego jeszcze nam nie dosyć,

Aby stągwiom ołtarz wznosić.
 A czyż myślisz, że ci starzy
 Już w Niebiesiech zbyt weseli,
 Gdy potomek się podchmieli
 I o przeszłych czasach gwarzy?
 Gdy odgadnąć stare pleśnie
 Serce nie da ci sposobu,
 Starożytność z głębi grobu
 Tylko śmieje się boleśnie.
 Gdy niezręcznie jej dotyka
 Świętokradzka dłoń badacza,
 To mu przeszłość z oczu znika,
 Większem ciemnem się otacza.
 Gdy się mrokiem raz otoczy,
 Już mozoła nadaremna!
 Uzbrojone szklami oczy
 Nie przebodą wieków ciemna.
 Chyba sercem zaklnij święcie,
 Przeszłość stanie na zaklęcie.

IV.

Patrz na ciemny obszar puszczy:
 Jak tych dębów postać święta!
 Ten bór wiele snadź pamięta,
 Może on nam coś wyłuszczy.
 Patrz: przy starej, gęstej lipie
 Jakiś kopiec, drugi, trzeci;
 Czyjaż ręka tu je sypie,
 Gdzie dziś ptaszek nie doleci,
 Gdzie dziś wąż się nie dociśnie
 Za gęstemi krzewin sploty?
 Czy sypano je umyślnie?
 Jaki cel był tej roboty?
 Dąb na kopcu tajemniczy
 Wzrósł, by jakieś widmo wieszczce;
 Kilka wieków sam dąb liczy,
 A więc kopiec starszy jeszcze!
 Starszy jeszcze, bardzo stary,

Wgniecion w ziemię do połowy,
Kędzierzawe, siwe mszary
Obwisają pień dębowy.
A nad mszarem, wyżej nieco,
W piersi dębu już nadgniłej,
Skrzętne pszczołki, co tu lecą,
Ul dla siebie założyły.
Patrz: z nasypu tego wzgórze
Ludzka czaszka się wynurza...
Więc to cmentarz starej daty,
Z przed dziesięciu wieków chyba.
Patrzaj! — zagon — znaczna skiba...
Więc orano grunt przed laty!
Więc tu niegdyś było pole,
Potem ludzkie grobowiska;
Więc to drzewo się wyciska
Z piersi ludzkich, więc w ich czole
Swe korzonki dąb zanurza,
I ssie stamtąd swoje soki,
I tak wznosił się pod obłoki,
Jakby jaka chmura duża,
A gałęźmi ponad darnie
Ze sto kroków cień ogarnie.
Toż to piersi być musiały
Tego człeka, co tam leży,
Kiedy dały żywot świeży
I wzrost drzewu tak wspaniały!
A w tych piersiach, a w tej głowie
Być musiała myśl życzliwa:
Niech tu przyszli potomkowie,
Niech tu ludzkość odpoczywa,
Niech przygarne na mem łonie,
Niech prawnuków mych osłonie!
I konary z dębu wzrosły
Jakby ręce — ze swobodą
Ku Niebiosom się podniosły,
Błogosławiąc ludzkość młodą.

Ta krzewina, z razu licha,
Czyjeż kształty ma na sobie?
To praojca, co śpi w grobie,
Co do wnuków się uśmiecha.
Ze swych piersi w piersi drzewa
Zapożyczył dobrej treści;
Jego myślą dąb szeleści,
Kiedy wietrzyk weń powiewa.

Drugi z ojców dał wzrost lipie,
Co rozrasta się krzewiście,
W młode, bujne szumi liście,
I już kwieciami się osypie.
I już ludzi plemię młode,
Kiedy znojem znuży głowę,
Szło do gaju po ochłodę,
Przytulenie brać ojcowe.
A znęcone wonnym kwiatem
Które gaik bujnie rości,
I wonniejszym aromatem
Rodzicielskiej życzliwości,
Przyleciały pszczołek roje,
Zakrzętała się gromada.
Dąb otworzył piersi swoje,
Kędy pszczołka ule składa,
Lipa kwiatów nie zazdrości,
Bóg przeżegnał pszczoł zachody, —
I już były w plastrach miody;
Znow na korzyść potomności
Z ojcowskiego plony czoła
Dla prawnuków brała pszczoła.
A w tej lipie, skąd miód bierze,
I w tym dębie, gdzie go składa,
Była dusza pra-pradziada,
Co prawnuki kochał szczerze;
Każda kropla była święta,
Jego myślą przesiąknięta.

V.

Dobrze wiedząc, czyjej głowie
Podziękować winni czule,
Szli do gaju potomkowie
Opatrywać pszczelne ule,
I wynieśli dobre plony,
I warzyli miód sycony.
Gdy się potem w kółko zbiorą
I podchmielą się biesiadnie,
To za ledwie kto odgadnie:
Skąd te myśli w głowach gorą,
Skąd ten zapal serce bodzie
Ku wielkiemu, cnotliwemu?
I odgadli, jak i czemu
Dusza ojców mieszka w miodzie?
Gdzie z ramienia bohatera
Rosła lipa, stąd miód wzięto, —
Od szklanicy krew się wzbiera,
Czujesz dzielność niepojętą.
A gdzie z piersi u pieśniarza
Wzrosły dębu miodne barcie,
Tam od kropli już otwarcie
Rzewna dumka duch rozżarza,
I piosenka płynąć rada,
Sama w uściech się układa.
I szczęśliwi ci, co pili,
Bo nie znali ducha nędzy;
Stare myśli odrodzili
I jak starzy byli tędzy.
A doznawszy, jak te myśli
Czarodziejsko sercu służą,
Strzęśli gaje jak najściślej,
Nasycili miodu dużo,
I schowali dla swych dzieci,
W nim zakławszy ojców dusze,
Mając w dobrej płyn otusze,
Ze poczciwą myśl podnieci,

Że skarłałą pierś ożywi,
 Serce pocznie grać ochoczo,
 Że gdy usta w nim umoczą,
 Będą prawi i cnotliwi.

VI.

Z dawnych piwnic gdzieś zakątka
 Taki spadek nam się dostał,
 Aby wiek nasz dawnym sprostał.
 To coś więcej, niż pamiątka!
 W tej szklanicy przeszłość cała
 Jeszcze dyszy aromatem,
 Czuć lipowym starym kwiatem,
 Myśl dawniejsza nie zwietrzała,
 Kto, jej treścią dość przejęty,
 Chowa w sercu cnoty stare,
 Godzien brzęknąć czarą w czarę
 I wychylić płyn zaklęty.
 I obaczy po tym płynie,
 Jak pokrzepi się nieznacznie,
 Ciepło w piersiach się rozwinie
 I już zdrowie płużyć zacznie.

1857. Wilno.

DO KS. WACŁAWA ŻYLIŃSKIEGO,

Biskupa wileńskiego, Arcybiskupa mohylowskiego i Metropolity rzymsko-
 katolickich kościołów w cesarstwie rosyjskiem.

Kiedy kornie schylamy chrześcijańskie czoła
 Wobec Arcypasterza Pańskiego Kościoła,
 Gdy wiara naszych ojców szczerą i głęboką
 Przy jego przeżegnaniu łzę ciśnie nam z oka,
 Gdy dusza chrześcijańska świętych wrażeń syta, --
 Niechże Litwin swą chlubę rodzinną powita!
 Od czasu, jak chrzest święty omył Litwy dzieci,
 Stara katedra nasza liczy pięć stuleci;

Szereg swoich pasterzów liczyła dostojny
Imionami Holszańskich, Radziwiłłów, Wojny.
Ale żaden z tych mężów, choć cześć ich mogile,
Matki świątyń litewskich nie uświetnił tyle;
Żaden, arcypasterską władzą obieczony,
Nie rzucił tyle blasku na rodzinne strony.
Nie dziw tedy, że Litwa, jak jedna rodzina,
Chłubi się z posiadania dostojnego syna,
Że miłością ku swemu pasterzowi pała,
Że wszystkie jego chwile weselićby chciała.
Oto wita cię, gościu, uprzejmym wyrazem
Kraina twoich przodków i naszych zarazem!
Wstępuj w stolicę Litwy, gdzie łączy tak żywo
Arcypasterza z trzodą rodzinne ogniwo;
A namaszczonej dłonią, jak Litwin życzliwy,
Przeżegnaj nasze domy, przeżegnaj nam niwy.
Przeżegnaj nasze serca, bo w każdym się mieści
Wielki ku tobie zasób miłości i cześci;
Bo tu jednym okrzykiem cały naród woła:
Niech żyje chluba Litwy i filar Kościoła!

1859. Wilno.

W DZIEŃ IMIENIN
IGNACEGO CHODŹKI.

Któryż z Litwinów mnie nie zazdrości
Fortunnej doli, żem pieszczoch jedyny?
Wśród miłych sercu litewskiemu gości
Dziś obchodzimy Chodźki imieniny.

Chcemy ci wszyscy życzyć najgoręcej,
Ale tu na nic oratorskie chryje!
Sto lat ci życzyć — ty żyć będziesz więcej,
Będziesz żyć póty, póki Litwa żyje.

Wedle O b r a z ó w coś wysnuł z twej duszy,
Niechaj się kształci i mąż, i pachole;

Niech wzrasta, mimo ulewy i suszy,
Ziarno, coś rzucił na litewskie pole.

Z twojego ziarna doczekawszy chleba,
Gdy się dla Litwy bratnia ucztą sprawi,
Błogosławieństwa ojca nam potrzeba:
Niech stary Chodźko nas pobłogosławi!

31 lipca 1857. Wilno.

DO DEOTYMY.

Odpowiedź na jej traktat, w imieniu Litwinów.

I góra z górą niekiedy się zbieży,
I rzeka z rzeką się spłynie:
Oto u Wisły dalekiej wybrzeży
Lirnicy Litwy w gościnie.

Widzimy imion najpiękniejszych grona,
Co się wokoło nas cieśnia;
Wy nas witacie ze szczerego łona
Chlebem, i sercem, i pieśnią.

Bóg-że wam zapłać! nad taką gościnę
Niemasz rzewniejszej na świecie...
Może nawzajem i w naszą krainę
Kiedyś zawitać zechcecie.

Twardsza piosenka, chleb u nas czarniejszy,
Mniej imion głośnych u świata;
Lecz w sercu zasób miłości nie mniejszy, —
Przyjmiem, czem chata bogata.

1857. Warszawa.

O S T R O K R Z E W.

(Kwiat przyjaźni).

Kwiatku przyjaźni! dlaczegoś wszystek
Taki ciernisty, taki kolczaty?

Zbrojny cierniami każdy twój listek,
Krwawe jagody, krwawe masz kwiaty.
Bo ty wyrażasz ów związek wielki:
Ręka do ręki, łono do łona;
Bo cóż jest przyjaźń? bratnia obrona
Aż do ostatniej krwawej kropelki.
Takiej przyjaźni nic nie rozdzieli,
Czy zła, czy dobra nastanie doba;
Gdy nam wesoło, bądźmy weseli,
Gdy mamy cierpieć, to cierpmy oba.
U nas, potomków starych rycerzy,
Biada, gdzie taka iskra nie gore!
Biada, kto w taką przyjaźń nie wierzy,
Gdzie piersi w piersiach mają podpore!

1857. Warszawa.

W IMIENNIKU

TYTUSA MALESZEWSKIEGO

PASTELISTY.

Pyłkiem tak lekkim, jak puch brzoskwini,
Albo jak puszek skrzydeł motylka,
Kiedy twa ręka mój obraz czyni,
Kiedyśmy dzionków spędzili kilka,
Dobrze się wrył w kontur wieczysty
W sercu modelu obraz artysty...
Cóż ci, żegnając, twój model doda?
Niech się w pamięci twojej zachowa
To, coś malował: czoło, nos, broda,
Dłoń, co cię bratnio ścisnąć gotowa,
Szara kapota, spięta pod szyję,
I... proste serce, co pod nią bije.

1857. Warszawa.

MAURYCEMU KRUPOWICZOWI,

Członkowi Bractwa

ludzi statecznych, trzeźwych i pracowitych.

Ty, coś nie spleśniał w archiwowej pleśni,
 Ty, coś uczony nie samem imieniem,
 Żyjesz tym duchem, co wszyscy współcześni,
 Tylko bogatszy dziejów doświadczeniem!

Jako twój patron, rycerski Maurycy,
 Dosiadł rumaka nie raz, nie sto razy;
 Tak ty, doszedłszy wieszczów tajemnicy,
 Po bajronowsku siodłasz swe pegazy.

Choć pogadanką nie gardzisz swawolną,
 Lubisz pogwarzyć wśród gwaru młodzieży;
 Ale wiesz dobrze, z czego śmiać się wolno,
 Nad czem koniecznie zapłakać należy.

Wielki pijaczu jałowcowej wody!
 Spirytualnie-ś nasze serca okuł:
 Przyjmij braterskiej miłości dowody,
 W swojego serca zapisz je protokół.

I my muzeum w naszej duszy mamy,
 Kędy się bratnie pamiątki rozwiesza:
 Tam, bracie, znajdziesz kątek taki samy,
 Jak sławna głowa i czapka Bekiesza.

22 września 1857. Wilno.

S O S N A.

Na wioskowych mogiłach
 Rosła sosna borowa,
 Pień jej krzepnął na siłach,
 Wybujala jej głowa.
 Pogiętymi konary

Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna...
Wkońcu — jeszcze przed zimą —
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— Biedna sosno z mogiły!
Czyś ty gromem przebita?
Czy-ć robaki stoczyły?
Czy ci żeru nie było
W żółtym piasku z poblizka?
Albo kamień swą bryłą
Twe korzenie naciska?

Och! mnie nie tknął grom z burzą
I robaki nie toczą;
Ziemia soków ma dużo
I mnie karmi ochoczo;
Gdzie kamienie i głazy,
Szłam z korzeńmi z daleka;
Wrosłam — gorzej sto razy!
W trumnę złego człowieka!
Trumna zgniła na próchno,
Zgniły w piersiach mu błonki,

W serce trupa leciuchno
 Zapuściłam korzonki.
 Chłód mię przebiegł grobowy,
 Gdym possała zeń trocha;
 Bo to człek był takowy,
 Co nikogo nie kocha!
 Pierwsze z piersi swej soki
 Dał cmentarnej choinie;
 Czułam, jak z tej opoki
 Brzydki we mnie jad płynie.
 Z jadem śmierci w mem łonie
 Byłam smutna, milcząca...
 Każdy wietrzyk, co wionie,
 Więcej kolców mi strąca.
 Próżno w ziemię rodzimą
 Nowe rzucać chcę ziarna...
 Ziarna zeschły — przed zimą
 Ginie sosna cmentarna!

1857. Wilno.

P A J Ę C Z Y N A.

Pająk jestem, pająk,
 Snuję sobie nici,
 Puszczam je w powietrze,
 Każda gdzieś się chwyci.
 Śpiewak jestem, śpiewak,
 I piosenki snuję,
 Puszczam je po świecie,
 Każdą ktoś odczuje.
 Nitka jedna, druga,
 Wpoprzek, wzdłuż przeleci,
 Tak sobie powoli
 Zasnowyвам sieci.
 Piosnka jedna, druga,
 Z wsi do wsi przeskoczy,

Rozwiązuje serca,
Porozwidnia oczy.
Jak z tysiąca nitek,
Tak z tysiąca pieśni,
Coraz lepsza siatka
Zawęzli się cieśniej.
A pająk bezpieczen
Pod siatką swych nici,
I z wichrów żartuje,
I muszkę pochwyci.
Pod siatką piosenek
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka
Ta siatka ułowi.

1858. Wilno.

POWINSZOWANIE
A F I S Z E R A W I L E Ń S K I E G O.

Chrystus wskrzeszał! armat grzmoty
Zakończyły postną ciszę;
Nastał dla nas czas roboty,
Czas roznosić wam afisze.

Gmach teatru, nie kolumny,
Lecz trzymają afiszery;
A więc człowiek trochę dumny,
Że w publicznej służbie szczery.
Proboszcz piękne miał kazanie,
Lecz wywołał rzewne strugi;
Ale dzwonnik dzwonił na nie,
To i on ma coś zasługi.

My po palmę nie sięgamy —
Dla artystów są oklaski;
Lecz komedye, farsy, dramy,
Wszystko żyje z naszej łaski.

Czy w świątyni Melpomeny
 Dramat serce wam rozedrze,
 Czy komiczny głos ze sceny
 W Rewizorze lub Don Pedrze;

Czy Karliński z armat pali,
 Czy Elżbieta wyrok pisze,
 Wszystko my wam zwiastowali
 Wczesnym rankiem przez afisze.

Czy w Ernanim nuty śpiewne
 Bierze para rozkochana;
 Wszak śmiech pusty i lży rzewne
 My pod pachą nosim z rana.

Publiczności! w tobie życie,
 W tobie naszych prac podnieta;
 Więc do serca dłoń ściągnijcie,
 A przy sercu — portmoneta.

1858. Wilno.

PIERWSZE MYŚLI

W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

Chrystus zmartwychwstał! chrześcijańskie dzwony
 Radosną światu ogłosiły wieść;
 Chrystus zmartwychwstał! śpiesz, duchu strapiony,
 Zmartwychwstać z Bogiem, do Nieba się wznieść.

Grobowy kamień, co-ć serce naciska,
 Odwal z twych piersi i żyw z martwych wstań!
 Anioł zwątpienia, co strzegł grobowiska,
 Cofnie się z trwogą, gdy blask padnie nań.

Chrystus zmartwychwstał, a z Chrystusem razem
 Słońce z zimowych zmartwychwstanie chmur;
 Błysnęło ciepłem — za jego rozkazem
 Stopione śniegi polały się z gór.

Zimna pierś ziemi ocieplała z wolna,
Wre życie w trawkach i w korzonkach zbóż;
A czyliż dusza człowieka niezdolna
Raz wyziębiona ocieplić się już?

Wstań, biedna duszo, z pościeli Łazarza,
Orlego oka w ciemności nie mrocz,
I niech lód zimny, co serce zamraża,
Łzami ciepłymi poleje się z ocz.

Niechaj się głowa na światło odsłania,
Niech nowych myśli wysnowywa nic;
Niech serce nasze od dnia zmartwychwstania
Nowego życia pocznie takty bić.

Wiosna przed nami! do pług, do pług,
Kto jakim pługiem orze zagon swój!
Pan Bóg da żniwo — i plon, i zasługa,
Miodu i mleka wytryśnie nam zdroj.

Z Chrystusem brzemię dźwigaliśmy krzyża,
Bok nam przebito, pochowano nas;
Chrystus zmartwychwstał, do Nieba się zbliża,
U bram niebieskich oczekuje nas.

Lecz niemasz Nieba bez czynu, bez woli,
Bez łez, bez trudów, bez ofiar i strat;
Och! nieraz krwawo serce nas zaboli,
Nim się w nadchmurny uniesiemy świat!

Nieraz ku sercu się pochyli głowa,
Krople krwi, potu posaczą się z niej;
Ale choć rani korona cierniowa,
Po zmartwychwstaniu już dźwigać ją lżej.

Poganin pada wśród życia katuszy,
Pomimo wielkich stoicyzmu cnót;
Boleść jest skrzydły chrześcijańskiej duszy,
Na których orli bierze w górę lot.

Mamy u ramion skrzydła promieniste,
Mamy przed sobą nadpowietrzny kraj...
O słońce nasze, Zbawicielu Chryste!
I oczom naszym orlą siłę daj!

Tam na przestworzu szerokiego nieba
Są mgły, są chmury i huragan dmie:
Bystrego oka lecącym potrzeba,
Abyśmy słońca nie stracili w mgle...

1858. Wilno.

HULAJ DUSZA!

Czarka w czarce! pal go kaci!
Od waszeci do waszeci!
Czy ubodzy, czy bogaci,
Jakoś wszyscy Boże dzieci.
A gdy czarka się wysusza,
To i w myślach nowa zmiana:
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Grunt nie rodzi... wielkie święto!
Ha, bo susza... ha, bo deszczel!
Gdy na morgu kopę zżęto,
To i czegoż trzeba jeszcze?
A gdy dziedzic w gwałt przymusza
Kilka złotych płacić z łana,
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Wieśniak głodny na przednówek,
Głodne woły jego płuźne,
Chcę go cieszyć; lecz ze słówek
Grzech podawać czczą jałmużnę.
Boleść braci choć cię wzrusza,
Choć społeczna boli rana,
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Ojciec chory, matka chora,
Złe nadzieje... złe nadzieje!
Niema płacić czem doktora —
I tak chory pozdrowieje.
Swych receptów kartelusza
Nie da lekarz bez kubana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Zmarli... zmarli... moi mili!...
Gdzie tam?! — żyją! — lecz w nich pusto:
Swoje serca upodlili
Egoizmem lub rozpustą.
Kłamstwo... kłamstwo... czart spokusza!
Odżyj, wiaro niezachwiana!
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Chwytam książkę w mej rozpaczycy:
Daj mi prawdę w słowie ścisłem!
Co to znaczy? co to znaczy?
Ja tu czytam fałsz z rozmysłem!
Ale wierzę w geniusza,
Bo to książka drukowana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Boże, Boże! piosnkę złożę;
Lecz z tej piosnki cóż przybędzie?
Trochę wiary, albo może
Rozpaczliwych snów narzędzie.
Nie chcę piosnki — ból mię skrusza;
Lepiej padnę na kolana...
Po modlitwie — hulaj dusza,
Szukaj pana bez żupana!

Już niegłupim, abym wierzył
W jakąś ziemską przyszłość błoga,

Abym czołem tam uderzył,
 Gdzie potrzeba kopnąć nogą.
 Człeka wyższy cel porusza...
 Przebolała w sercu rana:
 Hulaj dusza bez kontusza,
 Szukaj pana bez żupana!
 Są tam insze światy Boże,
 Gdzie nie bawi czcze mamidło;
 Ile tutaj czynów stworzę,
 Tyle piór mi wrośnie w skrzydło.
 A gdy skrzydła wiatr napusza,
 Już mi dalsza droga znana:
 Wolna dusza niechaj rusza
 Najwyższego szukać Pana!

1858. Wilno.

HYMN
 DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY
 W OSTREJ BRAMIE.

Maryo, Bogarodzico,
 Matko cierpiących nędzarzy,
 Co nad Jagiełłów stolicą
 W bramie stanęłaś na straży!
 Spójrzij na tłumy skruszony,
 Co klęczą u stóp tej bramy:
 Matko! pod Twoją obronę
 Z pokorą się uciekamy.

Niebiosów wysokich Pani!
 Spójrzij na rodzaj człowieczy:
 Oto na sercu znękani;
 A któż ich boleść uleczy?
 Tyś miała serce zranione,
 I twój żal nie miał swej tamy.
 Matko! pod Twoją obronę
 Z pokorą się uciekamy.

Oto kalecy i chorzy
Żebrają litości Twojej.
A któż im siły przymnoży?
A któż im rany zagoi?
W Twej łasce, cudem natchnione,
Uzdrowiające balsamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

W litości Twojej matczynej
Głodnych nakarmiasz z rozkoszą:
Oto ubogie rodziny
O chleb powszedni Cię proszą.
Otwórz im wsparcia skarboneę,
Błogosław pracy ich samej.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto grzesznicy skalani,
Co się rozstali z nadzieją,
Na święte oblicze Pani
I oczu podnieść nie śmieją.
Rozpal ich serca zziębione,
Niech grzechu oczyszczą plamy!
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Kiedy nas klęska dotyka,
Wstaw się do syna życzliwie,
Błogosław pracy rolnika,
Błogosław plonom na niwie,
Błogosław litewską stronę
Z wysokiej baszty Twej bramy!
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

1857. Wilno.

TANIEC FORTUNY.

WARYANTY KANTYCZKOWE.

O jak często u fortuny odmiana.
To gliniana, to żelazna, to szklana!

Fortuna siedzi opięta na koło,
Na swej skrzypicy gra piosnkę wesołą;
A pod jej takty w pracowitym trudzie
Płasają ludzie.

A tutaj strojne w tęczowe kolory
Latają w kółko błędne meteory;
A mądra ludzkość, rozpuściwszy pasa,
Za niemi hasa!

Tam gore światło, do niego się garnij,
Jako niebaczny ptaszek do latarni,
Jak płochę dziecię, gdy gwiazdka daleka
Przed niem ucieka!

Lecz rajskie światło, co migają jasno
Nim-eś doleciał, już całe zagasło;
Cóż z garncarskiego zostało komina?
Popiół i glina!

Na przezroczystym a twardym granicie
Budujcie gmachy na bezpieczne życie!
Lecz to nie granit, to lodu posłanie
Na morskiej pianie.

Oto już padasz, przeciążon bez miary
Wymarzonemi twych gmachów obszary:
Pluchniesz z twym gmachem, marzycielu szybki,
Pomiędzy rybki.

Z jasnymi skrzydły, z promienistą głową,
Oto ptak leci, co go Miłość zowają;
Leci wysoko, lecz się spuści może
W ziemskie bezdroże!

Gońmy bezdrożem, choć nam oddech pęknie,
 Choć zranim stopę, niech żaden nie jęknie:
 Lecz zniknął ptaszek, co-s gonił w zawody, —
 Napij się wody!

Zdobywać szczęście śpieszmy pracowicie,
 Ważmy dla niego pracę, krew i życie;
 A kiedyś ujmiem w ręce spracowane
 Szkło, wiatr i pianę.

Śmiało! bo tutaj nagroda nielada:
 Za myśl bolącą, co się w czoło wjada,
 Za pracowity bieg bez wypocznienia,
 Dogonim cienia.

1858. Wilno.

DO FAUSTYNA ŁOPATYŃSKIEGO.

Faustynie, który zwiedzasz macierzyste kraje
 I badasz naszą Litwę i jej obyczaje!
 Najprzód, wyznam otwarcie, byłem zadziwiony,
 Że w słotnym listopadzie przybyłeś w te strony.
 Lecz przyznaję ci trafność, pomyślawszy dłużej:
 Dziś dla badacza Litwy właśnie czas podróży.
 Późna jesień przychodzi z darami swojemi,
 Szare chmury na niebie, a błoto na ziemi,
 Wiatr elegicznie szasta w obnażone drzewa,
 Szlachta gra w preferansa, lub śpi, lub poziewa;
 Ludzie siedzą po domach, jak przykuci więźnie,
 Chyba chłopska furmanka gdzieś po blocku grzęźnie;
 Gdy twój powóz wędrowny brnie w mętnej kałuży
 Nos wędrowca opadnie, oko się zachmurzy,
 W głowie smutnie się roi dumka tajemnicza,
 A serce sennym taktem sekundy odlicza.
 Wszędzie smutno, gdziekolwiek powiedziesz oczyma,
 Życia niema w naturze, to i w nas go niema.
 Lecz jeśliś wprawny badacz i bystre masz oko,

Dojrzysz niemało ruchu pod smutną powłoką.
Jesień, to nasze gody — teraz mianowicie
Wstępuje w łono Litwy niesłychane życie.
Widzisz te pańskie dwory z pomiędzy bezdroży?
Tu mieszka pan marszałek, tu pan podkomorzy,
Tam jaśnie oświecony, tu jaśnie wielmożny,
Owdzie sędzia graniczny lub deputat drożny;
Każdy na swej stolicy rozparł się wspaniale,
Każdy rzemiennem berłem sprawia swe wasale.
Wejdz na jego dzielnicę i z pozorów zgadnij,
Jak tu z ojcowskich rządów cieszą się podwładni?
Zrzucili barbarzyńskie kozuchy i świty,
Każdy w bluzę strzępiastą z paryska okryty,
Każdy blady, snadź duma, lub pobożnie pości,
Każdy wesół odwiedza klub wstrzemięźliwości.
Miasto wzorem niemieckim — zwiedz ten gród bogaty,
Płyn po błocie gondolą od chaty do chaty.
Wędrowcze! z takich rysów dostrzeżesz dobitnie,
Że tu mody nie braknie i pietyzm kwitnie.

1858. Wilno.

ZE WSPOMNIEŃ GÓR.

Z pośród wawozów przedtatrzańskich wzgórzy,
Z nad gajów brzozy, z nad świerków wierzchołka,
Cicha wioszczyna czasem się wynurzy,
Lub dwór szlachecki, lub wieża kościołka.
Mignie na chwilę i znowu się schowa
Za stromy wzgórek, gdzie żyto jak złoto;
Cienista lipa i gałąź dębowa
Znów przed oczyma zasłone uplotą.
I znów rozwiną jak czarowną kartę
Nowych widoków ciąg długi a długi:
Drewniane chatki, do wzgórków przyparte,
Małe jeziorka albo wązkie strugi.
Spadasz w dolinę — choć piękna, bogata,
A jednak mniemasz, żeś sto sążni w ziemi;

Wchodzisz na górę — jesteś panem świata,
Sto gór się korzy pod stopy twojami.
I myślisz w duchu: Ot z tej wyższej góry,
Już mi się wszystko odsłonić powinno;
Oprę się czołem o urwiste chmury,
I moją Litwę zobaczę rodziną!
W białej z obłoków promienistej szacie,
Głośne gór echo mając ku posłudze,
Otóż zdumienie na Litwie obudzę,
Gdy huknę do nich: jakże się miewacie?

Nateżą ucho i patrzą dokoła,
Co jeszcze głosu mojego pamiętni:
Czy to z obłoków ich brat na nich woła,
Czy to w ich piersiach znajomy głos tętni?...
Wchodzę na górę, chcąc dopełnić dziwa,
Patrzę na północ — lecz tam pomrok szary,
Znów się dla oczu pasmo gór odkrywa,
Góry jak fale — jak nasze Ponary.
Tylko doliny coś nie tak się kwiecą,
Coś nie tym taktem grzmi strumyk w opoce,
I powiew wiatru zimniejszy tu nieco,
I leśny ptaszek inną pieśń świergoce.

Próżno w złudzenia bawić się, jak dzieci,
Albo z cieniami puszczać się w gonitwy:
Okiem nie dojrzę, jakże głos doleci?
Piersi rozedrę... sto mil stąd do Litwy!
A choćbym włożył moje pozdrowienie
W chłodną pierś wiatru, lub na ptaszka ramię,
To nim przeleci ogromne przestrzenie,
Wiatr się unuży, ptak skrzydła połamie.
Oto błysnęło, zagrzmiało nad głową,
Chmura karpacka w tamte strony płynie;
Ale czyż można chmurą piorunową
Głos pozdrowienia posyłać rodzinie?
Czyż wolno dziecku, kiedy się zamarzy,
Nad strzechą ojców rozciągać postrachy,

Coby powinno stać przy nich na straży,
Własnymi pierśmi osłaniać ich dachy?

Nie wolno... nie chcę gromów za narzędzie.
Litwo! nad tobą czuwa oko Boże!
Z moich pozdrowień nic ci nie przybędzie;
Raczej je w głębi serca mego złożę,
A potem... potem, gdy się pora zdarzy,
Gdy puls gorący uśmierzy się nieco,
Wyszepecę z cicha u stopni ołtarzy, —
Stamtąd skuteczniej i prędzej dolecą.
Chrystus je prześle, jak tylko się dowie —
Promieniem słońca, jutrzeńką lub rosą;
Na starą Litwę Pańscy Aniołowie
Błogosławieństwo najpewniej doniosą.

1858.

TOAST W PIOTRKOWIE.

(U R Y W K I).

Nie mnie ten zaszczyt, co dzisiaj spotyka,
Nie mnie należy, ale wspólnej sprawie.
We mnie, ziomkowie, chcieliście łaskawie
Uczcić piśmiennej niwy pracownika.
Czy źle, czy dobrze moją niwę żąłem,
Wy mnie dlatego witacie życzliwie,
Żem szczerem sercem, z zapoconem czołem,
Jak Bóg nauczył, pracował na niwie.
Gdy moje żniwo zaledwie w połowie,
Gdy się południe zaledwie rozżarza,
Wam się spodoba, serdeczni ziomkowie,
Pod snopem żyta dać ucztę żniwiarza.
Pięknaż to uczta, co serce napawa,
Co duszę karmiąc, dodaje zachęty!
A choć do uczty nie mam jeszcze prawa,
Bo widzę jeszcze mój łan niedożęty;
Alem się znużył... O dzięki wam, dzięki

Za pokarm, dłonią podany życzliwą!
 Z nowemi siły, chwyćę sierp do ręki
 I do wieczora może skończę żniwo.
 A jeśli żniwo pracowitej ręce
 Pan Bóg dozwoli dokonać zawczasie,
 Do was przyniosę dożynkowe wieńce
 I wam zanucę dożynkowe pieśnie.

Żniwo pieśniarza, to żniwo nielada,
 Bo serca ludzkie jak kłosa pożyna;
 Zawsze go słucha uprzejma drużyna,
 A on jej łzami, on sercami włada.

.

Słuchacze moi, ziomkowie współczesni!
 Czułem tę prawdę w mym zawodzie całym:
 Ze strachem szedłem do ołtarza pieśni,
 Ze strachem w struny serc waszych trącałem.
 Choć niedołężne, ile siły mogą,
 Lecz czyste chciałem wydobywać tony.
 Śpiewałem najprzód moją Litwę drogą,
 Jej pola, wioski i jej lud rodzony,
 Jej uroczyste i powszednie chwile,
 Jej ciche dworki, kościołki, cmentarze;
 Chciałem się wpatrzeć w jej praocjów twarze,
 Wsłuchać się w serca, co już śpią w mogile.
 Co oko zajrzy, co ucho podsłucha,
 Brałem do serca widoki i dźwięki;
 Potem z krwią serca, z ogniem mego ducha
 Rzuciałem na świat w postaci piosenki.
 Bóg ją przeżegnał, Litwa wysłuchała,
 Wszędzie jej w Litwie dano dach ochrończy...

.

Sierpień 1858. Piotrków.

Z N I C Z.

Znicz zgasnął na wieki z litewskich ołtarzy,
Nie smuć się, narodzie nasz stary!
Bóg Znicza nowego w twej piersi rozżarzy —
Ognisko miłości i wiary.
Twa jutrznia różowa, twa jutrznia promienna,
Choć ciemnym się mrokiem pokryła,
Nie smuć się, narodzie! jest światłość odmienna,
Co z Nieba Duch święty posyła.
Na miejscu Perkuna, co gromem się gniewał,
Piorunem roztrącał wam głowę,
Masz Boga, co za cię krew Swoją wylewał
I ręce wyciągał Ojcowe.
W ojcowe ramiona, ugiąwszy kolano,
Litwini, rzucajcie się radzi!
W chrześcijan i ludów społeczność wybraną
On znakiem krzyżowym prowadzi.
Nad miasty waszemi dzwon niechaj uderza
Z modlitwą do Pana nad pany;
Niech w falach rzek waszych szmer cichy pacierza,
A w wietrze hymn będzie słyszany.
Gdzie żyli bożkowie, co chat waszych strzegli,
Niech Pańscy latają Anieli;
Krzyż stawcie na kopcach, gdzie ojce polegli,
A będzie im w grobach weselej.
W Kiernowie nie palą dziś krwawej ofiary,
Stargano z bogami ogniwa;
Kościółek Chrystusa drewniany i stary
Pod swoje sklepienia was wzywa.
Pobożnie na tacy połóżcie grosz wdowi,
Zmurujcie tu ściany i wieże,
Niech ręka ochocza podźwignie, odnowi
Ołtarze ku świętej Ofierze.
Nie krwawej ofiary, lecz cichej modlitwy
Chce Ojciec, — wysłucha Swe dziecię.

Tu, dobrzy Litwini, o dobry los Litwy
Skuteczniej się modlić możecie.

1858. Wilno.

DO NIEMNA.

PARODYA.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Zgubne dla Słowian Teutońców szeregi:
Zaarendują twoje piękne brzegi;
Dęby i sosny obetną z ich wianków;
Pociągną zyski z gorzałek i z miodów;
Co warto szeląg, przedadzą za złoty;
Wszystko zagarną; poróżnią kochanków;
Z kijem i z torbą puszcza wajdeloty;
Groszem, postępem lub wymową zdradną,
Jak Kopernika — wszystko nam ukr....

1858. Wilno.

STAROPOLSKIE RORATY.

I.

Rorate, coeli! Górne Niebiosa!
Niech z was wytryśnie zbawienna rosa;
Z górnych obłoków na ziemskie niwy
Niechaj się spuści mąż sprawiedliwy;
Niechaj się ziemska otworzy bryła,
Swojego Zbawcę by porodziła!
Tak z Izajaszem ród ludzki woła,
Takim brzmia hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Bożych Narodzin,
Gdy ma się życie rozpocząć nowe,
Panna węzowi ma zetrzeć głowę,
Kiedy na wschodniej Niebiosów stronie

Nieznana gwiazda wkrótce zapłonie,
 Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
 Kiedy ją wezwą na Sądy Boże.

II.

W świątyniach Pańskich, przed świtem, nocą,
 Blaski jarzących światel migocą,
 A w złotogłowy strój przyodziani
 Pańscy lewicy, Pańscy kapłani,
 Jak każe obrząd, swoją koleją,
 Ołtarze kadzą i hymny pieją, —
 I uroczyście, jako w dni święta,
 Ofiara Pańska już rozpoczęta.
 A przy ołtarzu, w ofiarną porę
 Siedem jarzących świeczek zagore.
 Lud, co ofiary niekrwawej słucha,
 Prosi o dary świętego Ducha,
 By stały w sercach, jako pochodnie,
 By Zbawiciela powitać godnie:
 Mimo radości — straszno w tej porze,
 Czy jest gotowy na Sądy Boże.

III.

O Wiaro święta, Chrystusa wiaro!
 Ty przodków cnotę budziłaś starą:
 Bo ci przodkowie, ci nasi starzy,
 Brali hart ducha od twych ołtarzy.
 Rozumni w radzie, bitni na wojnie,
 Cały swój zawód wiedli dostojnie;
 Bo swoje sprawy o każdej chwili
 Bogiem poczęli, Bogiem kończyli.
 Siedem cnót Ducha człowiek posiadał,
 A kraj ze siedmiu stanów się składał;
 A w każdym stanie ziemia cała
 Szczególną cnotą wygórowała.
 Bo o dar cnoty ziomkom przydatnej
 Błagała Boga we Mszy roratnej;

A gdy swe wota przed Panem złoży,
Gotową była iść na Sąd Boży.

IV.

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed Mszą roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świeczkę rozżarza:
Król, który berłem potężnym włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic, co królów Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,
Chłopek, co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli, —
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na Sąd Boży.

V.

Ten, co przodkuje nad wszystkie stany,
W świetny dalmatyk król przyodziały,
Szedł do ołtarza, zapalał świecę,
I kraj polecał Boskiej opiece:
Tyś Król najwyższy, Tyś Królem króli!
Boże! pierś Twoja niech nas przytuli,
Niechaj nie dozna bicza Twej chłosty
Senat, rycerstwo i naród prosty.
Czy przeciw wrogom oręż wymierzę,
Czy z obcem państwem zawrę przymierze,
Dostojnych królów niech idę śladem,
By się mój jasny nie ćmił dyadem.
Chociaż mi złoto uwieńcza skronie,
Noszę, jak Chrystus, ciernie w koronie;
Lecz jeśli Chrystus sił mi przymnoży,
Gotowy jestem na Sąd Twój Boży!

VI.

Po królu przyszedł pierwszy z poddaństwa,
 Pasterz gnieźniński i prymas państwa;
 Zapalił świeczkę na lichtarz drugi:
 — Boże, co wspierasz Twe wierne sługi!
 Pasterz pasterzów Twojego ludu,
 Błagam Twej łaski i Twego cudu.
 Czy się w pasterskiej ukażę szacie,
 Czy wezmę pierwsze krzesło w senacie,
 Czy pójdę walczyć na różnowierce, —
 Umacniaj, Boże, zwątlone serce!
 Daj mi odróżnić białe i czarne,
 W kogo uderzę, kogo przygarne;
 Niech z moich piersi iskra wystrzeli
 W kmiotków, w kapłanów, w obywateli;
 A gdy Twa łaska wzrok ich otworzy,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

VII.

Potem senator najpierwszy w radzie
 Na czoło, na pierś znak krzyża kładzie,
 Idzie przed ołtarz, przed lichtarz trzeci,
 Na trzeciej świeczce ogień roznieci,
 I w myślach taką modlitwę mówi:
 — Boże! gdy będę radził królowi,
 Niech godnie spełnię radę i władzę,
 Niech powinności mojej nie zdradzę.
 Czy jak senator dam zdanie moje,
 Czy jako hetman pójdę na boje,
 Niech każda bitwa i każda rada
 Na dobro ziomek moich wypada.
 Czy jak marszałek nad braci głową
 Będę podnosił łaskę sejmową,
 Czy się kanclerską pieczęć przyłożę,
 Niech będę gotów na Sąd Twój Boży.

VIII.

Potem szedł szlachcic najpierwszy z ziemian,
 Co pług i statut dzierżył na przemian,

Co opuściwszy sochę i bronę,
Na skronie królów wkładał koronę.
Szlachcic-ziemianin kląkł u ołtarza,
Na czwartej świeczce płomień rozżarza,
I ze schyloną modli się głową:
— Boże! strzeż moją wolność sejmową!
I w oczach Twoich, i w oczach ludzi
Niech czarna plama jej nie zabrudzi!
Czy w imię kraju albo Kościoła
Król pospolite ruszenie zwoła,
Czy na elekcyę starsi powiodą,
Pragnę oddychać braterską zgodą;
A bratobójczych brzydząc się noży,
Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

IX.

Potem szedł żołnierz w zbroi ze stali,
I piątą świeczkę na ołtarz pali:
— Dałeś, nam, Panie, w rękę pałasze,
Dałeś pancerze na piersi nasze;
Naszym orężem, pierśmi, ramiony,
Jak gdyby murem kraj ogrodzony.
Lecz gdy nas Twoje nie wzmocni ramię,
Wróg najmocniejsze mury przełamie,
Najkrzepszy hufiec podda się snadnie,
Najwarowniejsza baszta upadnie.
Czyśmy w obozie, czyśmy w pochodzie,
Niech Twoja wiara serca nam bodzie;
Czy po wygranej, czyśmy na leży,
Chroń nas od ducha brzydkiej łupieży.
Gdy mię nie przeklą słabi i chorzy,
Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

X.

Potem przychodzi przed ołtarz Pański
Sławetny kupiec z rzeszy mieszczańskiej,
I stawiając szóstą na ołtarz świecę,
Stan swój porucza Bożej opiece:

— Boże, coś nasze zaludnił miastal
 Przez Ciebie handel i przemysł wzrasta,
 Przez Ciebie pieniądz zyski nam dawa,
 Ty nam przez królów nadałeś prawa.
 Ty się opiekuj wagą i miarą,
 Krzew w naszych sercach poczciwość starą.
 Sam kieruj skutą albo wiciną,
 Gdy polskie zboża w kraj cudzy płyną,
 A gdy za moją obrotną pracę,
 Bogacąc siebie, kraj mój bogacę,
 Kiedy mój pieniądz zysk mu przysporzy,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

XI.

Potem przychodził rolnik w sukmanie,
 I z siódmą świeczką przed ołtarz stanie:
 — Boże! już kraj mój karmię od wieka,
 I ja mam prawo do nazwy czleka;
 Lecz głód, pomorek, wojna, niewola,
 Brudzą nam serca, pustoszą pola,
 Bogacim drugich, a sami biedni, —
 Dajże nam dzisiaj nasz chleb powszedni!
 Bez Twojej łaski ziarno nie rodzi,
 Łąka kwiecista zginie w powodzi,
 Grad nasze kłosa wyniszczy w ziarnie,
 Albo stodołę pożar ogarnie.
 Dajże nam, Panie, chleba dostatek,
 Miłość do serca, zgodę do chatek;
 A gdy poczciwie zagon wyorzę,
 Gotowy jestem na Sąd Twój, Boże.

XII.

Tak siedem stanów z ziemicy całej
 Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
 Siedem modlitew treści odmiennej
 Wyrażał lichtarz siedmioramienny,
 Lecz roratnego całość lichtarza
 Wspólną modlitwę kraju wyraża.

A na ten lichtarz — komuż to dziwno,
 Że Pan Bóg spuszczał rosę ożywną?
 Królowie — dobrzy i chrobrej mocy,
 Pasterze Pańscy — duchem wysocy,
 Senatorowie — w radzie niezłomni,
 Ziemianie — w sejmach na prawo pomni,
 Żołnierz — jak olbrzym szedł jeden na stu,
 Kupiec — przynosił bogactwo miastu,
 Swobodny kmiotek jak las miał zboże, —
 Gotowi byli na Sądy Boże.

XIII.

Ale zmądrzała Rzeczpospolita,
 Siedmiu świeczkami ołtarz nie świta,
 Siedmiu modlitew już zapomnieli,
 Stary obyczaj Piastów wyśmieli;
 Szli na roraty przed dniem do fary
 Tylko niewiasta lub dziadek stary.
 Zardzewiał lichtarz siedmioramienny,
 Los siedmiu stanów został odmienny:
 Na królów — twarde włożono pęta,
 W pasterzach — znikła gorliwość święta,
 Senatorowie — poili braci,
 Szlachta — się ciągle konfederaci,
 Żołnierz — jał gnębić tych, których bronił,
 Kupiec — przez lichwę bogactwa strwonił,
 Kmiotek — niewolnik, zmarniał we dworze, —
 Anioł zatrafił na Sądy Boże.

1858. Wilno.

WIGILIA SIEROTY.

(Wiersz poświęcony pannie J. St.)

Bracia, bądźmy gotowi
 Przyjąć łaskę w pokorze!
 Anioł pasterzom mówi:
 Narodzenie dziś Boże!

Wielki czas się poczyna
I na ziemi i w Niebie:
Wita ludzka rodzina
Zbawiciela wśród siebie.
Na chrześcijańskiej ziemi
Wszyscy w rodzinnem kole,
Każdy chciałby ze swemi
Uczcić Boże Pacholę.
I rodzice wśród dziątek,
I druhowie, i krewni
Łamią święty opłatek,
A łza oczy im rzewni.
Wszędzie gwarna wieczerza
Radość zlała na czoło,
Z okien światło uderza,
Promienieje wesoło.

Tylko w jednym okienku
Tęskny płomyk migota.
Głowę wsparłszy na rękę,
Płacze młoda sierota.
W obcej stronie, wśród świata,
Co nie przyszedł z opieką,
Myślą ku tym ulata,
Co daleko... daleko!...
W grobie wszyscy jej mili,
W grobie dobra jej matka:
Niemasz, niemasz w tej chwili,
Z kim podzielić opłatka!
Niema dla niej na ziemi
Z kim się pośmiać, weselić;
A tu z ludźmi cudzemi
Nie chce łzami się dzielić.
Oni pełni ochoty,
Każdy troskę osłodził;
Tylko dla niej, sieroty,
Chrystus się nie narodził.

Matkę sercem i duszą
 Woła z ciemni grobowej;
 Święteż słowa być muszą
 Tajemniczej rozmowy!
 — Jam tu pastwą złych losów,
 Jam tu pastwą męczarni:
 Przyjdź tu, matko z Niebiosów,
 Popieść, ulżyj, przygarnij!
 Och! sieroto! w tej ciszy
 Święciej, niżli nam w tłumie:
 Twoja matka cię słyszy,
 Chrystus boleść rozumie.
 On ma sierot na względzie,
 Duchem zleci tu matka,
 I stróż Anioł przybędzie
 Dla dzielenia opłatka.
 Przyjmij z okiem wesołem,
 Daj cześć, jak im należy;
 Z matką, z Stróżem Aniołem
 Siądź do skromnej wieczerzy.

24 grudnia 1858. Wilno.

DO BOLESŁAWA NOWIŃSKIEGO.

Cny panie Bolesławie, co też myślisz sobie?
 Że cię Jacek za króla ubrał w garderobie,
 I żeś był do Zygmunta podobien z oblicza,
 I żeś wziął za kanclerza Karabanowicza,
 I że ci, na złość cieniom Zygmunta Augusta,
 Odyniec końcówkami napakował usta, —
 To sądzisz, żebyś shañbił twą koronę złotą,
 By pod dach wierszoklety przytrześć piechotę?
 Nie, najjaśniejszy panie, to pycha junacka!
 Korony i purpury — wszystko w ręku Jacka!
 Jak on kurtę wykroi, fałdy poprzymierza,
 Pacholka zrobi z króla, a szewca z kanclerza.

Schylmy głowy przed jego nożyczek wszechmocą;
 Nie wdawajmy się w spory, kiedy niema o co.
 Z przed twego majestatu każ ustąpić straży,
 A słuchaj: Czepielewska kielbasy nam smaży!
 Z twego serca zrzucić pychę wielkowładców hardą:
 Lepsza jest od korony kielbasa z musztardą,
 Albo, jak pewien mędrzec historycznie zbadał,
 Że Jagiełło kielbasy z kapustą zajadał;
 Musztarda czy kapusta, co będzie ci w guście, —
 Idź śladem Jagiellonów, Zygmuncie Auguście!
 Bo smutne panowanie, kiedy król nic nie je —
 Co powiedzą Tarnowscy, Maciejowscy, Reje?
 Co pomyśli Barbara? O, postępuj dzielniej!
 Słyszysz? kuchmistrz koronny skwarzy na patelni;
 A gdy poda dar Boży, zmiataj go z półmiska,
 Jakbyś hufce Tatarów zmiatał z bojowiska
 A po dobrem śniadaniu, w blasku twej korony,
 Będzie czas barbarzyńskie śpiewać antyfony.

1859. Wilno.

KAMIENNE BOŻYSZCZE.

Starzec z kamienia ciosany,
 Długo-brody, straszno-licy,
 Siedział przyparty do ściany
 W progu pogańskiej bożnicy.
 Na jego brodę, na głowę,
 Zamróz zawieszał swe igły,
 Z brwi zwisły sople lodowe,
 Ręce jak trupie zastygły.
 Na silnych barkach u dziada
 Śnieg złożył ciężar niemały,
 Na szacie, co z nóg mu spada,
 Fałdziste pręgi białały.
 Młodzi, swawolni duchowie,
 W wesolej a pustej chwili,

Siadając na jego głowie,
Żarty ze starca stroili:
— Cóż z twoim stało się duchem?
Czego się trzymasz pochyło?
Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,
Lud chce ukłęknać przed siłą.
Tyś zziębły, tyś cały w lodzie,
Coś nakształt ziemskich nędzarzy;
Lodu nie zgarniesz na brodzie,
Śniegu nie otrzesz z twej twarzy.
Patrz tylko na nasze czoła!
Krew w całej uderza sile,
Na sercu dumka wesola,
U ramion skrzydła motyle!
A gdy, latając szczęśliwi,
Trafim na mroźne powietrze,
Ruch skrzydeł krew nam ożywi
I śniegi z piersi nam zetrze.
Zakrzepną czasem rączęta,
Przyjdzie zapłakać, jak dziecię,
Bo i duch czasem pamięta,
Ze są zawieje na świecie;
W duchu wre życia potęga,
Co bole z serca rozproszy:
Kuty z kamienia ciemiega
Nie dozna takich rozkoszy!

Z kamiennej otchłani łona
Dziad uroczyście odpowie:
— Działwo, ty działwo szalona!
Starej urągasz się głowie!
Głowa, co wieki przeżywszy,
Zakamieniała w zadumie,
I w myślach uczuć ruch żywszy,
I chłody wytrzymać umie.
Wiekowe dumań mych cele
Nie jednodniowa pogoda!
A więc się troszczę niewiele,

Że lodem skrzepła mi broda.
 Kiedy, latając wśród ludzi,
 Straciecie życia mamidła,
 Gdy się wasz zapał ostudzi,
 A chłód zawarzy wam skrzydła, —
 Siądźcie na głaz, co was ziębi,
 Ufając jego pociesze:
 Z kamiennej piersi mej głębi
 Ciepłą wam iskrę wykrzeszę.

1859. Wilno.

M Y Ś L.

W braci, w przyjaciół tłumie
 Życ tak błogo, przyjemnie!
 Lecz jeden nie rozumie,
 A drugi szydzi ze mnie.
 Uściska w samej rzeczy,
 Lecz okiem wnet pokaże:
 — Oto jest syn człowieczy,
 Tego chwytajcie, strażę!
 A tak ci służąc wiernie,
 Na urąganie wyda;
 Świat cię ustroi w ciernie,
 Jako Syna Dawida.
 Zginie twoja swoboda
 W sądach, przesądach świata,
 U Annasza, Heroda,
 Poncyusza Pilata.
 Jam doznał tych katuszy,
 I chcę ufać najśmielej,
 Że Pan Bóg mojej duszy
 Insze słońce udzieli.
 Zwisły chmury na skroni,
 Zwisły ręce bezwładnie,
 Zaschło pióro w mej dłoni,
 Na spoczynek je kładnę.

Mówią bracia najszczerzy,
Że i dusza już chłodna,
Że zdrój uczuć w mej piersi
Wyczerpany aż do dna,
Że już wyschły łzy z oka...
O nie, bracia! krew czuła,
Tylko lodu powłoka
Pierś pancierzem zakuła.
W głębi skryłem roztropnie
Miłość, wiarę, nadzieję,
A jak zamróz roztopnie,
A jak słońko przygrzeje,
Jak uczuję weselej,
Że nic piersi nie ścieśnia, --
Toż to z duszy wystrzeli
Łza, i dumka, i pieśnia!
Myśl ku ziemi przybita
Wzniesie się razem z głową,
Jak po deszczu kłos żyta,
Odżywiony na nowo.
A tymczasem — Bóg ze mną!
Z wiarą w mego Anioła,
Szukam słońca dokoła...
Ale wszędy coś ciemno.
Jeszcze przybrać się gotów
W śmiech serdeczny, w śmiech złoty;
Lecz tu niemasz przedmiotów
Do niewinnej pułoty!
Rzecz do żartów gotowa
Z głupstwa, zbrodni, lub grzechu;
Lecz od takiego śmiechu
Niech mię Pan Bóg zachowa!
W urąganiu, w dowcipie
Błuźnić światu otwarcie,
Takich żartów nie sypię,
Moje szczęście nie w żarcie.
Niech szyderstwo świat zgłuszy,

Niech się śmieją weseli:
Pan Bóg dla mojej duszy
Insze słońce udzieli.

Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyzne,
Czyż się zapiszesz płocho
W tygodniową pańszczyznę?
O nie! nikt cię nie zmusza
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza
Gazeciarskiej kolumny,
Gdzie najmita z kolei
Wychodzi strzelać baśnie:
Nie zastrzeli idei,
Ale serce zadraśnie.
Czemuś nie napawała
Pióra żółcią z posoką?
Dziś rozbita ich strzała
Już nie wzleci wysoko.
Niech się łamie, niech kruszy,
Kiedy chmur nie przestrzeli!
Pan Bóg dla mojej duszy,
Insze słońce udzieli.

1859. Wilno.

Ś W I Ę C O N E .

Nie to Polka, którą grały
Powolniej, to prędeej;
Lecz to Polka, co chleb biały
Wypieka dla nędzy.

Nie to Mazur, co swe ruchy
Na klawiszach brzęczy;
Lecz to Mazur, pulchny, kruchy
Co święcone wieńczy.

Zacnych matek zacne córny
Wystąpcie w tej porze:
Takie Polki i Mazury
Ródź nam, Panie Boże!

1859. Wilno.

DO LUMINARZÓW MOJEJ PARAFII.

Nie lubię ciebie, księżę prałacie,
Gdy się uczenie łeb twój najeża,
Gdy dogmatycznie nam rozprawiacie
O nieomyślnej władzy pasterza.
Lecz kiedy w cichym wiejskim kościele
Wznosisz Sakrament w Pańskiej ofierze,
A lud się wierny pomostem ściele
I w grzeszne piersi bije się szczerze,
Gdy w sutej kapie albo ornacie
Grzmisz Święty Boże! starą piosenkę, —
Tak cię uwielbiam księżę prałacie,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, bazarozczu płonny,
Gdy się czepiając obcego wzoru,
Kreślisz na płótnie rzymskie Madonny
I bez rysunku, i bez koloru.
Lecz gdy twój obraz widzę w kościele,
Choć pendzel gruby, a postać krzywa,
Lecz naród przed nią na twarz się ściele,
Z piersi pobożny jęk wydobywa;
Gdy Opatrzności kreślisz nam oko,
Bogarodzicę lub Bożą Mękę, —
Tak ciebie kocham, tak czczę wysoko,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, mój organisto,
Gdy przy gitarze, wśród dziewic grona,
W niedzielnym stroju, z miną rzesista,
Fałszywym głosem śpiewasz Filona.

Ale gdy w cichym kościółku slysze,
 Jak intonujesz ku Bożej chwale,
 Kiedy popsute gnieciesz klawisze
 Na Alleluja lub Gorzkie Żale,
 Wiernego ludu sto głosów razem
 Kiedy powtarza twoją piosenkę, —
 Łza wzrok mój pali, jakby żelazem,
 Chciałbym cię, mistrzu, całować w rękę!

Mszą świętą, pendzlem czy antyfoną,
 Wiejskich kościółków pierwsze potęgi,
 Wydobywajcie nutę rodzoną
 Z pod serc, z pod piersi, z pod szmat siermięgi!
 Przez was się ziszczą Boże zamiary!
 Nie wolno tracić ni jednej chwili,
 Bo to nasz kościół, nasz kościół stary,
 Gdzie się ojcowie nasi modlili.
 Wam nie mędrkować — tylko po prostu
 Wzywać z kantyczek Ranną Jutrzenkę;
 Bóg porozdziela kwiaty od ostu,
 A my was będziemy całować w rękę.

W dzień Wniebowstąpienia 1859. Borejkwowszczyzna.

PIOSNKA WIEŚNIACZKI LITEWSKIEJ.

Kiedy smutno roję,
 Kiedy cierpię wiele,
 Gorzkie dumki moje,
 Z kim ja was podzielię?
 Któż mój ból uleczy?...
 Próżno głos swój trudzę;
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Czy się matce zwierzę?
 Lękam się jej złości...

Powiem siostrze szczerze —
 Siostra pozazdrości...
 Brat nie pojmie rzeczy...
 Próżno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Gdy mi duch upada,
 Kiedy łaza się leje,
 Sąsiadka ogada,
 A sąsiad ośmieje.
 Któż się śmiać zaprzeczy?
 Próżno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Luby mój, jedyny,
 Cała ma otucha;
 On dumkę dziewczyny
 Zrozumie, wysłucha!
 On mój ból uleczy;
 Głosu nie utrudzę...
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

1859. Borejkwoszczyzna.

JESZCZE LIRNIK.

Deszcz, to wicher, to pogoda,
 Już nastąpiła jesień święta,
 Rozplakana, uśmiechnięta,
 Jak do ślubu panna młoda;
 To posepna, to wesola,
 Jako dumki mego czoła.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
 Echo płynie uroczyście,

Ponad pola, ponad drzewa,
 Ponad krzewy żółtoliście;
 Rzewna nuta gra dokoła,
 Jako dumki mego czoła.

I nastały ciemne noce —
 Strach ogarnia tajemniczy,
 W okna chatki wicher grzmoce,
 A na dworze pies skowyczy,
 Puhacz z mogił smutnie woła,
 Jako dumki mego czoła.

A jednakże — lirnikowi
 Dziś swobodniej niżli wiosną:
 Jego bracia żywi, zdrowi,
 Jego piosnki grzmiały rozgłośno,
 Lecą z końca w koniec sioła,
 Jako dumki mego czoła.

W takt skowronka i słowika,
 W cieniu leszczyn, wedle źródła,
 Śpiewał wiosnę, która znika,
 Śpiewał miłość, co zawiodła;
 Krew mu kipi, ledwie zdoła
 Wysnuć dumki z swego czoła.

Dziś, skąpany we łzach szczerze,
 Zimniej snuje swe piosenki,
 Spokojniejsze takty bierze
 Pod jesiennych wichrów jęki;
 A nie zgadli ludzie zgoła
 Zmiany w dumkach jego czoła.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
 Bicia serca bacznie słucha,
 I przeraża go kamienny,
 Martwy spokój jego ducha:
 Wróćcie do mnie! wróćcie, — woła —
 Wrzące dumki mego czoła!

Zawiedziony od współbraci,
Nie o siebie on boleje,
Lecz się lęka, że utraci
Miłość, Wiarę i Nadzieję;
W nich miał stróża, w nich anioła
Pięknych dumek swego czoła...

1859. Borejkwowszczyzna.

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika;
Lecz chęćka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.
Och! nie masz tu cieniu w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! nie masz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany;
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumyka tłum, płynąc jak woda,
I tętni, i wrzeszczy:
Gdzie tutaj zacisze? gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi;
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze,

Gdy głuży go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni po bruku... O, ja go przekrzyczę!
Tak myśli ptaszyna.
I nutą wciąż wyżej a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;
Przypomniał serdeczne, długie rozhowory
Ze swoją jedyną, —
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!
Przekrzyczę, prześpiwam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmia krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej, i ludniej.
Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.
Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo, —
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.
Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;

Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy
 Kto w dłonie zakłaśnie.
 Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
 Skrzydełka omdlały...
 On tego nie czuje, bo w swojej piosence
 Utopił się cały.
 Całego słowika ogarnął szal pieśni,
 Aż echem drga klatka;
 Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
 Z sił swoich ostatka.
 A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
 Ci sobie, on sobie;
 Aż pęknał od pienia gardziołek słowicy
 W ostatniej swej probie.
 Daremnie w drobniuchne skrzydełka szeleszcze,
 Chwieje się i ślania;
 Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
 Lecz taktem skonania.
 I ten, co pieśniami górował nad knieją,
 Tu zerwał swe siły;
 A koła po bruku szyderczo się śmieją,
 Że ptaszka zabiły!

1859. Wilno.

Z W I E R Z Y N A.

Obrazek z miasta.

— Strzelcze! hej, panie strzelcze! co chcesz za kwiczo-
 Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła, lla?
 Dogania go z pośpiechem, a strzelec wąsaty
 Popatrzał na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
 I pomruknał niechętnie: — Ha, piękna mi przedaź!
 Co ja chce, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz.
 Dwa złote!... nie dla ciebie, to zwierzyna droga.
 — Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,
 Mam dwuzłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
 Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,

I zanieść do apteki ten przepis doktora,
 Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka chora.
 Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
 Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny,
 Mój ojciec stary cieśla — a my niebogaci,
 Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!

— Jak żyję, nie słyszałem — rzekł strzelec wesoły, —
 Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły.

Na chorobę jest u mnie recept doskonały:
 Powiedz matce, niech palnie kieliszek gorzały.
 Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
 Nabój drożej kosztuje, nie licząc już kłaków.

— Hej, strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwiczo-
 Tak z błyszczącej kolaski jasny pan zawoła. [Ia? —

— Pięć złotych, jasny panie... i groszy dwadzieścia;
 Teraz strasznie zwierzyna podróżowała w mieście,
 A wyszukać, a zabić, wielką miałem pracę.

— Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,
 Oddaj mi!... — mówił chłopak bolejącą mową, —
 Sam mówiłeś dwa złote!... a gdziez twoje słowo?

— Czego chce ten ulicznik? — rzecze pan z kolaski.

— Łaski! wielmożny panie! proszę małej łaski!
 Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
 To mojej chorej matki lekarstwo jedyne,
 Doktor kazał!...

— Doprawdy! czy masz młynka w czubio?
 Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,
 Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jado!
 I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.
 A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
 Oszczędność w waszym stanie, oszczędność, mój bracie!
 Dla chorej matki klejek... niech doktora spyta,
 Można trochę osolić, to rzecz wyśmienita,
 Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.

To mówiąc, pan strzelcowi zapłacił talara,
 Wziął kwiczoła i skinał swem pańskim obliczem.

Dziecię w płacz — stangret spojrział i smagnął je bi-
 Kolaska się po bruku potoczyła żywo, [czem,
 A strzelec do gospody wyruszył na piwo.
 A ubogie pacholę z dwuzłotówką w dłoni
 Stoi, jak skamieniałe, i lży ciche roni.
 Ostąpili je wkoło uliczni krzykacze:
 Patrzajcie, jak on płacze . . . jak on śmiesznie płacze!

* * *

Coś w tydzień . . . na mogiłki trzy trumny przynieśli:
 W jednej leży w łachmanach biedna żona cieśli;
 W drugiej wąsaty strzelec, co w podpilej dobie,
 Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie;
 W trzeciej trumnie wspaniałą karawaną jedzie
 Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,
 Panu stroją katafalk i psalmy zań pieją;
 A tam . . . w krainie duszy, Archanioł już woła
 Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

1859. Wilno.

SERCE, ROZUM, ŚWIAT I OWSIANKA.

SERCE.

Wzbiję się lotem jak mogę,
 Gdzie gwiazd się iskrzy gromada.

ROZUM.

A włóż futerko na drogę,
 Bo tam w obłokach śnieg pada.

SERCE.

Sam chyba w powłoki odziej
 Twoją postać nieudolną.

DOZORCA.

Lecieć, widzi pan dobrodziej,
 Za bez paszportu niewolno.

SERCE.

Skrzydło me w chmury uderzy,
Ścisnę nadziejskich współbraci!

JANKIEL.

A któż mi na święty Jerzy
Sześćdziesiąt rubli zapłaci?

SERCE.

Jak motyl, błoni poeta,
Lilią nakarmię się polną.

DOKTOR.

Dyeta, panie, dyeta!
Nic, prócz owsianki, nie wolno!

SERCE.

Pójdę się spytać na niebie,
Czy moja gwiazdka nie zgasła?

DOKTOR.

Owsianki można w potrzebie
Filiżaneczkę bez masła.

SERCE.

Owies to ziemskich żer koni,
Mnie co innego posila,
Gdzie róży oblicze płonie,
Gdzie narcyz główkę nachyla.

ROZUM.

Ja do porady ci służę,
I rzecz ci powiem nieznaną:
Narcyzy i polne róże
Już pokosili na siano.

SERCE.

Jak tu przekonać tę tłuszcze?
Materyaliści! lichwiarze!

DOKTOR.

Ja krwi ci za to upuszczę
I bańki postawić każę.

ROZUM.

Ja ci zabraniam pić rosę,
Bom ja doradca twój stary.

JANKIEL.

A ja wnet protest zaniosę
O moje ruble, talary!

1859. Wilno.

 W IMIONNIKU ***

Wspólna mowa, kraj i wiara,
Łzy, modlitwa i ofiara,
Święta miłość ojców ziemi —
To nas czyni znajomemi.
Po tych cechach, jak po nici,
Duszę brata Litwin chwyci,
Pozna swego nieomylnie,
Czy w Pekinie, czy to w Wilnie.

1859.

*

*

*

Gdym pisał w tej książce, choć jeszcze nieznany,
Odczułem rodaczkę w tej chwili;
Dziś, kiedym ją poznał, dzięki wam, Birsztany,
Sprawdziłem przeczucie tem milej.
Chwil kilka, słów kilka, szerokie już pole,
By zgadnąć, co człeka porusza:
Zbadałem myśl wzniosłą, co mieszka w tem czole,
I piękno, co kryje ta dusza.

30 czerwca 1860. Birsztany.

 Z A M I E Ć.

Czy ty słyszysz, matko?
Sądny dzień na świecie!

Jak nad naszą chatką
Miecielica miecie!

Już usnęła w wiosce
Wszelka żywa dusza,
A wiatr szumi w brzoźce,
I śnieg ją przyprósza.

Sypie śnieg, jak piasek,
Niesie wiatr żaloszny,
Obwiał cały lasek,
Pozaśnieżał sosny.

Dalej, dalej jeszcze
Rozwiał się po błoni...
Czy to wiatr szeleszcze?
Czy to dzwonek dzwoni?

Śnieg zasypał drogę,
Sanie rzną po grudzie...
Och! ja spać nie mogę —
Biedni jacyś ludzie!

Och! ja skoczę żywo,
W piecu żar jest właśnie,
Zaświecę łuczywo,
Okienko rozjaśnię;

Wśród śnieżnej zamieci
Blask drogę ogarnie,
Podróżny tu wleci,
Jak wróbel w latarnię.

— Ej, córko! śpij cicho,
Nie prosi nikt ciebie;
Niech sobie to lichy
W zamieci się grzebie!

Lecz córka nie słucha,
Powstaje co żywo,
Iskierkę wydmucha,
Zapala łuczywo, —

I w ścianę je wciska
 Pomędzy bierwiona,
 Aż łuna z ogniska
 Trysnęła czerwona, —

I w złotem pasemku
 Gdy szybę przebodzie,
 Iskrzy się po ciemku,
 Na śniegu, na lodzie...

1860. Borejkwoszczyzna.

CO JEST POETA?

Nie poeta, kto śpiewa i patrzy,
 Czy słuchają, czy patrzą słuchacze;
 Lecz kto piersią do ziemi przypadłszy,
 Sam dla siebie śmieje się i płacze.

Nie poeta, co stojąc na górze,
 Z pychą stroi pieśniarskie narzędzie;
 Struny porwą, rozszarpia mu burze,
 I nic z pieśni sławionej nie będzie.

Lecz poeta, co klął po cichutku,
 Jak pokutnik światowy i Boży,
 Co łzę swojej radości i smutku
 Na wilgotnej swej ziemi położy.

Bo z łez gorzkich wyrośnie, wykwitnie
 Piołun gorzki, co służy na zdrowie;
 Uśmiech w kłosa przemieni się żytnie,
 Z których chleb swój wypieką wnukowie.

Szczałki ojców, co mieści ta gleba,
 On westchnieniem wywoła, wyświeci,
 Aby, oprócz powszednich brył chleba,
 Chleb duchowy szedł z ojców na dzieci.

1860. Wilno.

TRZY PIOSNKI.

I.

Piosnka francuska — wpół myśl, wpół czyn,
 To wystrzał korka szampańskich win,
 Uderzy echem do głębi dusz,
 Rozpali serca i znikła już.
 Tą samą pieśnią, w ten samy ton,
 Marsylczyk zburzy Burbunów tron,
 Huknie z Maratem: „Bogaczów zduś!”
 I z Bonapartem pójdzie na Ruś,
 I z nuty w nutę, i z tropu w trop
 Do orleańskich przypadnie stop.
 Sam tylko zamrok, sam tylko szum, —
 O! taką piosnkę układa tłum!

II.

Piosnka germańska — to eins, zwei, drei,
 Mierzone czucia i takty w niej,
 Co kiedy oczy rozplakać chce,
 Najprzód chemicznie rozłoży łąę,
 Co jeśli w sercu ma stopić lód,
 Kładzie do piersi termometr wprzód.
 Gdy z Göthe'm w górny wzbije się szlak,
 I kiedy gwiazdy przybiera znak,
 To ani zgadniesz, czy zorza łask,
 Czy to cmentarny fosforu blask;
 Gdy Heine świętość obraca w żart,
 Znać, że tę pieśnię układał — czart.

III.

Piosnka słowiańska — to ostry miecz,
 Z ucha do ucha ogniście siecz,
 W serce, jak włócznią, serdecznie grzmoc,
 A wypróbujesz piosenki moc;
 Szorstko, lecz silnie do braci piej,
 Jak Czarnolaski, jak stary Rej,

Czy tam na dworze słońce, czy deszcz,
 Nie zmieni nuty sarmacki wieszcz;
 Sarmacka piosnka nie zmieni tła,
 I pierwiej pęknać, niż zgiąć się da,
 I bierze sercem to prym, to wtór,
 Idzie z modlitwą w bojowy chór,
 Płaci i ziemi, i Niebu dług:
 Taką nam piosnkę naszepnął — Bóg.

1860. Wilno.

CZY JESZCZE GAWĘDY?

Jeszcze książeczka rymów, gawędy i baję!
 Czyż wam innej osnowy i wątku nie staje?
 Wypłowił stary kubrak u waszego Feba,
 Pal je kaci gawędy, nam czynów potrzeba!

Tak powiada czytelnik i ramiony ściska,
 A krytyk, z wysokiego patrząc stanowiska,
 Siedząc, jak na trójnogu, na arkusza szpalcie,
 Woła: „Zniszczcie G a w ę d y, a R y m y popalcie!“
 Autor jednak nie zważa i tonu nie zmienia,
 Bo wiele rzeczy z braćmi ma do gawędzenia.

Jeszcze przy szumnem piwku i ciepłym kominie
 Przyjacielski rozhovor jak dawniej popłynie;
 Bo nasze wspólne myśli, wspólne serca bicie,
 Ja was kocham serdecznie, a wy mnie wierzycie!

O! nastał wiek postępu, daj Boże mu zdrowie!
 Już nam teraz obecność i przeszłość nie w głowie!
 Telegraf nas wprowadza na postępu drogę,
 Wiąże do Europy, jak wróbla za nogę.
 Już myśli naszej głowy i serca uczucie
 Będziemy w świat daleki posyłać na drucie;
 Trzeba tylko rachunek zrobić gospodarczy,
 Czy nam myśli i uczuć na posyłkę starczy?
 Bo w oczy śmiać się będą zamorscy współcześni,
 Jeśli drut elektryczny rdza litewska spleśni.

Parowóz popchnie zboże niesłychaną siłą,
Byle tylko na polu żytko zarodziło,
Byle wzrosła pszenica, cośmy sieli w trudzie,
To już nawet żniwiarkę wynaleźli ludzie.
Do gazet już paromłyn urządzają, słyszę,
Co bez ręki autorskiej artykuły pisze;
Wstrzemięźliwość, jak Hebe, olimpijska dziewa,
Dary Bacha skromniejszym kufelkiem nalewa;
A co stary ekonom nie słyszał od wieka,
Nawet w chłopie wypadnie uszanować człeka.

Jest o czym pogawędzić przy piwku lub winku,
Jakby ten sławny postęp schwytać na uczynku,
I wyzwąć go po prostu na szlacheckie słowo,
Czy nam szczęście gotuje, czy klęskę domową?

Krzyż po krzyżu wyrasta z darniny cmentarzy,
Wymierają przeszłości zwolennicy starzy;
Czemuż młodzi do ojców po radę nie biegną,
Czy tam u tronu Niebios nie słyszeli czego,
Jak zadość obowiązkom uczynić wypada?
Bo tu bez wyższych natchnień niepodobna rada;
Bo jasnych myśli naszych gdy duch nie oświeci,
Pająk gęste a brzydkie pozasnuwa sieci,
Mgła starego przesądu pozakrywa oczy,
A robak samolubstwa serce nam roztoczy.

Przestała rodzić niwa, niegdyś tak bogata,
Posłania się ku ziemi wyrobnicza chata,
Już kwieciami staroświeckim nie kraśniejje łąka,
A smutny duch zwątpienia po piersiach się błąka.
Gdzież rada? wielkie życia tajemnice drzemią
Tylko w błękicie niebios i w grobach pod ziemią.
Tam Litwin niech pobożnym spojrzeniem potoczy!
A jeśli łza popłynie, to zdrowiej na oczy;
A jeżeli się serce pokajaniem wzruszy,
Niech ryknie głośnym jękiem, to zdrowiej dla duszy.

Oto wszystko, co miałem na dzisiaj wygłosić,
Szanowny czytelniku! wszak tego już dosyć.
Gdy błysną nowe prawdy z jutrzejszem świtaniem,

Znów może po staremu do gawędki stanien.
 A w daremnej gawędzie aby duch nie skonał,
 Może pokutnem czołem grzmotniem w konfesyonął,
 Pójdziem na miedze polne ojcowskimi ślady,
 Wybadamy wieśniaka, czemu taki blady?
 Naszych dziewic i niewiast zapytamy szczerze,
 Skąd się na pięknych ustach na uśmiech dziś bierze?
 Glebę litewskiej ziemi, zwyczajnie, jak młodzi,
 Ogrzejem ciepłem sercem, to bujniej zarodzi.
 A choćby zamiast pióra trzymał piorun w dłoni,
 Takich nam pogadań krytyk nie zabroni.

1860. Wilno.

SEN I KABAŁA.

I.

Morfeuszu! sklej mi oczy,
 Niechaj jaki kraj uroczy
 Zobaczę!

Siedzi sobie ponad Nilem
 Ptaszek, zwany krokodylem,
 I płacze.

Bieży sobie ciche jagnię,
 Co się wody napić pragnie,

I pyta:

— Krokodylku! co to znaczy?
 Na twym dzióbku lza rozpaczy
 Tak świta?

— Synu owcy i barana!
 Twemu sercu litość znana,
 Daj uszko.

W mej boleści ulżę może,
 Gdy do głębi ci otworzę
 Serduszko!

I baranek dał skok chyży,
 Ze współczuciem doń się zbliży,
 I rzecze:

Ulżyj sercu, co pod głazem,
Pozwól, niechaj z tobą razem
Zabeczę.

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.

Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłumaczy:
— Powiedz, babko, co się znaczy
Sen taki?

Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

— Dzwonka!... czerwień!... sens się splata,
Że nie z sercem idź do świata,
Lecz z wiedzą;
Zamknij serce, niech się studzi,
A unikaj czułych ludzi,
Bo zjedzą.

Tuz... król... kralka... dama... walet...
Kto chciał szukać z serca zalet,
Był skaran!
Krew serdeczną wysną tobie,
I napiszą na twym grobie:
Żeś baran!

1860. Wilno.

POD
OBRAZEM UZBROJONEGO RYCERZA.

Dawniej złoty hełm migota
Na rycerskiej dzielnej głowie,

Dzisiaj cienką blaszką złota
Owinęliśmy mózgowie.

Dawniej rycerz chrobre piersi
Chronił w pancerz z kutej stali;
Dziś żelazem ludzie szczerzi
Chłodne serca zakowali.

Rycerz nosił miecz przy boku,
Dzisiaj miecze pordzewiały;
My nosimy sztylet w oku,
A w uśmiechu — żądło strzały.

Gdy się zbroi ciężar zmniejszy,
Czy to lepiej? czy to gorzej?
Rycerz dawny, czy dzisiejszy
Więcej trupów u nóg złoży?

1860.

ŚWIĘTY PIOTR.

Sielanka.

Nizka chatka, nizka,
Nędza nas uciska,
Szczupła nasza miedza,
Głodem Bóg nawiedza.
Pszenica niesiana,
Żyto po kolana,
Sianożątka licha
Bez deszczu usycha,
Kąkol rodzi z żyta,
Wilk owieczki chwyta,
Grad wybija pola:
Czarnaż nasza dola!

Mój Boże! mój Boże!
Człek czyni, co może;
Kto radę poradzi?
My i słuchać radzi,

I pieśni śpiewali,
I na Msze dawali,
Na każde półmili
Krzyżyki stawili;
Z chorągwią czerwoną
I z wodą święconą,
Ksiądz w komżę ubrany
Błogosławił łany...
Insza Boska wola:
Czarna nasza dola!

Chyba jedna rada:
Posłuchać wypada,
Co przyśnił wójt stary
W noc świętej Barbary.
Mówił mu Piotr święty,
Jasnością przejęty:
— Ej, dosyć wam, dosyć
Taką nędzę znosić!
Pozbyć się jej trzeba,
Zginiecie bez chleba!
Ja mam Niebios klucze,
Sekretu nauczę,
Że ustąpi z pola
Czarna wasza dola.

Wszyscy gospodarze!
Kto ma woły w parze,
Kto ma konie w bronie,
Kto ma zdrowe dłonie,
Wszyscy idźcie tłoka,
Zaorzcie głęboko
Tę drogę od brzożki,
Do gospody z wioski.
Zabronujcie końmi,
Zagrzebajcie dłońmi,
Niech ślad i nazwanie
Drogi nie zostanie,

A zarodzi rola,
Pojaśnienie dola!

1860. Borejkwoszczyzna.

PIOSNKA LUDOWA

z okolic Wilna.

Pojechał Jasio wyszukać żony,
Lecz się nie kłaniał matce rodzonej,
I przywiózł żonę, ale niebożę
Teści do serca trafić nie może.
Więc stara teścia kłopotą głowę,
Jakby ze świata zgładzić synowę.
I jadowite gotuje ziola,
Gorzka trucizną by ją zatrula.

Spotyka syna winem zielonem,
A jego żonę zielskiem truconem.
Syn wina nie pił, lecz matki zdrowie
Trucizną z żoną pił po połowie.
— Ej, matko, matko! w nieszczęsnej dobie
Nie chciałaś, byśmy służyli tobie.
Umiesz ze świata zgładzać bez winy,
Umiejże pogrześć swoje dzieciny.

Więc grzebią syna wedle ołtarza,
Grzebią synową w rogu cmentarza;
I wyrósł jawor nad syna głową,
A biała brzoźka ponad synową.
I rośnie brzoźka biała, pochyła,
I do jaworu pierś przytuliła.
Ej, czyż nie znacie? ej, czyż nie wiecie,
Że jest kochanie na tamtym świecie?

1860. Borejkwoszczyzna.

CO UMIEM NAKREŚLIĆ.

Kiedy biore ołówek (chętką dzisiaj rzadka),
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawię kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;
Co innego pragnałem nauczyć się szczerze,
Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy.

Bogdaj to wiejska chata! Tu prostymi sztrychy
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiode,
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy:
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode;

Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze;
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,
Choć im wicher przez szpary piosnkę nędzy świszcze.

Bogdaj to wiejski kościół! Dzwonnicę pochyłą,
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!
Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży
I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,
To słyszysz wyobraźnią, jak leci Duch Boży
W drganiu echa świętego po zielonej błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!
Sam zdaje się z pamięci pod ołówek bieży
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło
Nad szczepy dębowymi chocimskich rycerzy.

Ot i wszystkim mój talent wyczerpał się marny,
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny...

Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.

1860. Borejkwowszczyzna.

PAMIĘCI

FABIANA SEBASTYANA ACERNA

(KLONOWICZA).

Nasz staroświecki, nasz słodki Acernie!
Któryś nam Flisa wyśpiewał tak wiernie,
Jak na swej szkucie, w wesołej drużynie,
Do Gdańska płynie.

Tyś nam opisał, tak dobrze ci znane,
Piękne wybrzeża, miasta nadwiślane,
Flisi obyczaj, wśród żeglownej wody
Różne przygody.

Do twego flisa z mazurskiej galary
Nasz flis litewski niech idzie do pary;
Wszak oni właśnie pomimo przestrzeni,
Bracia rodzeni.

Nie wiążąc gęśli na strój Nazonowy,
Prostemi flisa opisałem słowy.
Maluczka praca niechaj się poświęci
Twojej pamięci.

Nie tylko Polska na żyznym zagonie
Usiadła, jako u Boga na łonie;
I leśną Litwę, matka nie macocha,
Opatrzność kocha.

Za łaską Bożą rodzi nam obfito
Z pól nowogródzkich pszenica i żyto;
Na świętej Żmudzi wywdzięczą uprawę
Lny kędzierzawe.

W poleskiej puszczy, ciemnej a bezdennej,
Rośnie sośnina i dąb sturamienny;
Można z nich ciosać wyniosłej budowy
Maszt okrętowy.

I mniejszych darów leśnego Sylwana
Nieskapą ręką obfitość nam dana:
Smolna żywica, budowlana kłoda,
Grzyb i jagoda.

Nasz stary Niemen bystro i wspaniale
W gardziel Bałtyku leje swoje fale;
Więc nasze plony, flisakom roboczym
Jest spławiać po czem.

Siekiera cieśli, ostra gdyby kosa,
Spławną wicinę misternie wyciosa;
Potrafi utkać córa wiejskiej chaty
Żagiel skrzydlaty.

Uczony sternik na naszej wicinie
Spłaszczonym rudlem jak piórkiem wywinie;
Uczenie robi, czy wiosło, czy prysa,
W rękach u flisa.

Chleb nasz u Niemca wždy ma swoją chwałę,
Więc żeglujemy, by karmić zgłodniałe;
A w tej żegludze przez całe pół roku
Nie brak uroku.

Gdy wiatr po temu, gdy pogoda służy,
Jest czem nakarmić żrenicę w podróży:
Bóg porozrzucał z obu Niemna boków
Siła widoków.

Owdzie się Niemen jak modry wąż kręci
Zieloną smugą pól i sianożęci;
Owdzie się bystro wrzezał w bór ponury
Lub w żebro góry.

Owdzie, osłonię wierzwą lub olszniakiem,
Swym staroświeckim przesuwa się szlakiem;
Owdzie gwałtownie nowej drogi pyta,
Rwie swe koryta.

Albo spotkawszy kamień po swej drodze,
Bije weń piersią i pieni się srodze,
Lub się na piasku, gdy złość przeminęła,
Miętko rozściela.

Na brzegach jego, to krzyż z Bożą Męką,
Albo napotkasz kapliczkę maleńką,
Lub cichą wioskę, lub dworek poziomy
Z dachem ze słomy.

Czasem na górze dziwnego nazwiska
Sterczą starego rudery zamczyska.
Lub stary kurhan, gdzie śpią, jak na straży,
Rycerze starzy.

A jakież święte przepływa on grody! -
Owdzie Łubcz stary, jak dziad siwobrody,
Gdzie omył święty chrzest prawego Boga
Głowę Mendoga.

Owdzie obiega, w swoich wirach skorych,
Odwieczne Grodno Witołdów, Batorych;
Do stóp ich zamków pokornie przypadłszy,
W majestat patrzy.

Tam stare Kowno, raj litewskiej strony,
Duchem Kiejstutów jeszcze przesycony;
I tam obwija miłosnemi sploty
Błoń Wajdeloty.

Owdzie Wielona, gdzie pocisk z moździerza
W Gedyminową chrobrą pierś uderza,
Gdzie Litwa, patrząc na zwłoki książęce,
Łamała rękę.

I któż policzy te grody i miasta,
 Gdzie Niemen coraz rozszerza się, wzrasta,
 Niesie do morza wicinę i płyty
 Kilku koryty?

Taką flisówkę, chociaż nie w piosence,
 Śpiewaku Flisa, twoim ceniom święcę!
 Tyś bliżej Boga, proś niech się powodzi
 Flisom i łodzi.

Mazur na szkucie, Litwin na wicinie,
 Do swego portu niech szczęsno zawinie;
 Na naszych masztach wždy niechaj jaśnieje
 Gwiazda nadzieje.

1860. Borejkwoszczyzna.

N I E M E N .

Flumina magna vides parvis
 ex fontibus orta. O v i d i u s .

Płynie strumień, płynie mały,
 Z grzęzawiska lub z pod skały,
 Płynie w lewo, płynie w prawo,
 Między kwieciem a murawą,
 I na szmaty ziemię kraje,
 I sąsiednie ssie ruczaje;
 A wezbrany u łożyska
 Z wartkiej fali pianą pryska,
 I rybackie pędzi łodzie,
 I górzysty brzeg przebodzie;
 I otworzy przepływ łatwy
 Dla wiązanej z drzewa tratwy,
 I w wesołe puszcza tany
 Statek zbożem ładowany.
 A gdziekolwiek trąci falą,
 Pana Boga ludzie chwala,
 Bo bogatszem być poczyna

Ich miasteczko i wioszczyna,
 I zieleniej rosną drzewa,
 I weselej ptaszek śpiewa,
 Niebo uśmiech ma w błękiecie,
 Wszędzie żywiej kipi życie,
 Bo falista woda rzeczna
 To krainy krew serdeczna.

1860. Borejkowszczyzna.

BOREJKOWSZCZYŻNA.

Nie mój to domek, nie moja gleba,
 Choć chleb mi rodzi przez lato;
 Moim jest tylko ten błękit nieba,
 Co się unosi nad chatą.

Pod skrzydłem chmury, pod cieniem strzechy
 Miałem i ciernie, i róże;
 Prędkoż me bole, moje pociechy
 Ojcu ziemskiemu wynurzę?

W pobliskiej wiosce, w cmentarnej głuszy,
 Zacny się starca proch mieści:
 Boże! daj pokój zmarłego duszy,
 A żywym — mądrość boleści.

1860. Borejkowszczyzna.

F R A G M E N T.

... Starzec podumał, westchnął i pokiwał głową,
 I nam dzieciom powiedział przypowieść takową:
 — Widziałem, raz po Niemnie płynęła łódź duża,
 Wtem na niebie straszliwa zerwała się burza,
 Wicher z pod czarnej chmury gwizdnął rozhukany,
 Szerniała wodę Niemna poskręcał w bałwany,
 Co, pieniać się i kipiąc piersią nienawistną,

Łódź to wzbiją do góry, to w głębiny cisną.
 Przerażeni flisacy nuż walczyć z przemocą!
 Rozpaczliwemi wiosły, jak umieją, grzmocą;
 Ale burza silniejsza, bez pomocy wiosła,
 Sama czółno na chwilę do brzegu przyniosła.
 Wtedy, widząc, że klęska ponad głową wisi,
 Szybko na brzeg skoczyli najmężniejsi flisi;
 Innym nie było czasu czepiać się krawędzi,
 Bo huragan uderzy i znowu łódź pędzi,
 A więc radzi nieradzi w łodzi pozostali,
 By być nowem igrzyskiem szturmującej fali.

A owi, patrząc z brzegu, jak się łódź kołysze,
 Jako walczą ze śmiercią tamci towarzysze,
 Mówią jeden drugiemu: Patrzcie, jak ich miota!
 A jakże niedołąźnie idzie im robota!
 Zamiast szybować prosto, oni łódkę wiodą
 Jeden raz przeciw wodzie, a drugi raz z wodą!
 A widzicie, jak czółno trzyma się pochyło!...
 Ot!... grzmotnęli o kamień... ale z jaką siłą!
 Sądziłem, że się łódka na trzaski rozpryśnie.
 Już mówcie mi co chcecie, a to naumyślnie.
 Zła wola... nie inaczej... oczywista zмова:
 Oni chcą łódź zatopić — niech Pan Bóg zachowa!
 A na prawo!... a w lewo!... a wprost przeciw fali!
 Ot bez naszej przestrogi rady by nie dali.

Tak jedni płyną z burzą, ile siły zmogą,
 A drudzy idą lądem bezpieczniejszą drogą,
 I to jeden, to drugi na płynących ciska
 Złorzeczenia, szyderstwa i urągowiska.
 Gdy wiosłarze pracują, aż się wiosło kruszy,
 Ja sobie pomyślałem w głębi mojej duszy:
 Kiedy burza ucichnie, gdy się rozpogodzi,
 Jabym lądowych flisów nie przyjął do łodzi.

NIEDZIELA.

Sielanka z niedawnej przeszłości.

Macie cztery pieśni
Z niedzielnego dzionka.
Czasem głowa nie śni,
Co lira wybrząka.
Och! tak nienawistnie,
Och! tak brzmi niemiło,
Czasem w struny piśnie,
Jak po sercu piłą!
Lira odpowiada:
— A pocóż mam duszę?
Co mi wiatr nagada,
To wybrząkać muszę.

I. PORANEK.

Spuściła się z góry
Święta Niedziela,
Z za różowej chmury
Słonko wystrzela.
Wiatr kołysze kłoski
Zielonej niwy,
Lata wkoło wioski
Anioł życzliwy,
I łąkom, gdzie kwiatki,
Wieści udziela:
Radujcie się, dzieci,
Dzisiaj Niedziela!

Trawka pełna rosy
Czeka na stada,
Ryczy w niebogłosy
Oborka rada.
Sute, dzięki Bogu,
Pastwisk obszary!

Trąbi w trąbkę z rogu
Pastuszek stary;
Za wsią sterczy z drzewa
Krzyż Zbawiciela,
Ptaszek na nim śpiewa:
Dzisiaj Niedziela!

Przed Jankową chatą
Skrzypi kolasa;
Dziatwa, czując lato,
Po dworze hasa.
A Janek otwiera
Zamek śpichlerza,
Na targ się wybiera,
Zboże odmierza.
Już i żniwo blisko...
To go ośmiela
Jechać w targowisko,
Bo dziś Niedziela!

Licha gospodarka:
Grosza potrzeba,
Nie zostało ziarnka
Na bochen chleba.
Żona nie ma soli,
Suszy mu głowę;
Drobna dziatwa woli
Książeczki nowe.
Toć to gościńcami
Ich poobdziela!
Dzieci! Pan Bóg z wami,
Dzisiaj Niedziela!

Na wóz Janek wsiada,
Konia zacina;
Bieży za nim rada
Dzieci drużyna.
Minał sielskie wrota,

Minał krzyż klusem . . .
A dziatwa szczebiota:
Z Panem Jezusem!
Mówią pięć pacierzy
Do Zbawiciela,
Modły idą szczerzej,
Bo dziś Niedziela!
Gdy dzieci łąy ronią,
Schyliwszy czoła,
Anioł Pański dzwonią
Z wieży kościoła;
A jak dzwon uderzy
Świątym wyrazem,
To i puhacz z wieży
Jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę
Jęczeć ośmiela?
Świeci słońko złote,
Dzisiaj Niedziela!

II. POWRÓT JANKA Z TARGOWISKA.

Jestem sobie podpiły:
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czy odmówić wypada?
Poszła trzecia i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta,
Hej, pal koniu z kopyta!
Na bok pany, bom pijany!
Wstyd wam mojej sukmany;
Lecz Jankowa sukmana
Nie bywała skalana,
Wy o waszej sajecie
Czyż to samo powiecie,
Kiedy Pan Bóg was spyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę;
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
Wypij! będzie ci zdrowo!
Posłuchałem i kwita, —
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam żono,
A jeść będziesz niesłono!
Niechaj cierpi nieboga!
Sól być musi za droga.
Coś mi z głowy wyleci
Kupić książkę dla dzieci:
Co tam dziecko wyczyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Choćby umiał czytanie,
Toć chłop chłopem zostanie;
Sześć dni pracy gnie szyję,
W siódmy dzień się upije.
Więc za przykład pokuty
Zdadzą chłopą w rekruty,
Kapral pleców dopyta.
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze... tu stanę...
Nogi chwieją się pijane...
Przebacz, Chryste! jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta...
Hej, pal koniu z kopyta!

Grzmi... błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,
Z których grzech nasz i nędza?

Ej, urosło ich tyle,
Że aż dziesięć na milę,
Krwia płacimy ich myta...
Hej, pal koniu z kopyta!
Ot i wioska... snadź nasza;
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwalił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
A czart stoi nade mną,
Klaszcze w dłonie i zgrzyta...
Koń sam pobiegł z kopyta.

III. LAMENT PANA ARENDARZA.

Janek!... spał się jak bela...
Jak zabity śpi w rowie.
Prawda, dzisiaj Niedziela!
Czarka, druga, na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku...
Lecz ty, zamiast w arendzie,
Spał się na targowisku!
Tyś mi ukradł, co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!
Czy nie złodziej? no proszę!...
A ja z czego żyć będę?
Jan z kieszeni skradł grosze,
Przecież płacę arendę:
Tysiąc złotych gotówki,
Głowę cukru z napaści;
Muszę karmić dwie krówki,
Żonę, dzieci dwanaście;
Czyż ja poły okroję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!
Konie, kozy, barany,
Sztuk dwadzieścia się zbierze...

I mam kontrakt pisany,
Na kosztownym papierze.
Kontrakt pisze w tem słowie,
Węzłowato a krótko:
Wszyscy moi chłopowie
Tu upiją się wódką...
Jak pijanych napoje?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalej tak srogo:
Niechaj każdy pamięta,
Nie wyjmując nikogo,
Baby, chłopcy, dziewczęta,
Żaden z chłopów, broń Boże,
I to w żadnym już względzie,
Pić gorzałki nie może,
Tylko w swojej arendzie,
Bo zapłaci we troje.
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czytaj, co tu pisano!
Lecz chłop głupi nie czyta...
Jadąc na targ dziś rano,
Miałeś miarki dwie żyta,
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,
Warto złotych dwadzieście...
Jużci, pijąc po trochu,
Mogłeś przepić coś w mieście,
Już ja o to nie stoję,
Choć to gwałty, rozboje!

Ale resztę... to znowu
Przepij u mnie na zgodę;
Ja wydzwignę cię z rowu
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj, zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... No, proszę...
Ach, ty chłopie opily!...
Ukradziono mu grosze!

Toż ja liczył jak moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

No!... co robić? przygoda...
Jużby lepiej to przepić...
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek! Janek! ty słaby,
Wypij kwarty z połowę;
Nie idź do swojej baby:
Naturbuje ci głowę,
Ty jej oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. WIECZÓR.

Opuściwszy głowy,
Kwiatki już drzemią;
Wieczorek różowy
Pieści się z ziemią;
Słońce, nim zapłynie
Za chmurną ścianę,
Złotem wprzód owinie
Strzechy słomiane:
Błyszcza ognie z chatek,
Kraży lud w bieli:
Taki jest ostatek
Świętej Niedzieli.

Powracają trzody...
Dzielne ich harce!
Pasterz siwobrody
Gra na fujarce.
Polny konik brzęczy
W podskoku chyżym,
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem,
Ej, jak cierpi srodze,
Ludzie widzieli;

Bolesny niebodze
Wieczór Niedzieli!

Skrzypek podchmielony
Na taniec zowie, —
Grzmia w kapliczce dzwony
Po czyjejś głowie...
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku niebożę!
Dziś hulałeś sobie,
Przedawszy zboże;
A wieczorem człeka
Na mary wzięli...
Nie wie, kto doczeka
Przyszłej Niedzieli.

1861.

NIEMASZ NIEWIAST NAD SARMATKI.

Miłe dziecię, póki w kwiecie,
Póki oczki ogniem płoną,
Dziewczę z serca troskę zmiecie,
Twarz rozjaśni zachmurzoną,
Czy szybkimi biega kroki,
Czy szczebiocąc zbiera kwiatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy w dziewicę dziewczę wzrośnie,
Gdy swawola minie płocha,
Już w szesnastej życia wiośnie
Krasawica kogoś kocha.
W tej miłości skromne roki,
Tylko z lubym pragnie chatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Tą miłością świat otoczy,
Ojca, matkę, dawne dzieje;
Kto w jej zacne spojrzy oczy,
Sam na sercu pozacnieje.
To kochania są uroki...
Cud po innych krajach rzadki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

W domu męża się zasklepi,
Już jej wszystko na tym świecie;
W bojach życia męża krzepi,
Własną pierśią karmi dziecię;
Niemowłęce stawiać kroki,
Miłość kraju wpaja w dziatki...
Bo choć cały kraj szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Czy w boleści, czy w radości,
Nie zlatuje myślą z Nieba,
Miłem słówkiem wita gości,
A żebraka kęsem chleba.
Czy to pogrzeb, czy wesele,
Wspiera ludu niedostatki...
Bo choć niewiast w świecie wiele,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy podeszłe przyjdą lata,
Czy to w domu, czy w świątyni,
Do pacierza ręce splata
I za wnuków modły czyni;
Zacną postać krzyżem ściele
Za pomyślność swej gromadki...
Bo choć w świecie niewiast wiele,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
 Poił gorzałką,
 Miał sto chat z górą,
 Jadł barszczyk z rurą,
 Popijał piwo,
 Zbierał grosiwo,
 Czasem od święta
 Ciął się w karcięta.
 Miał arendarza,
 Z którym rozważa:
 Czy będą wojny?
 Czy czas spokojny?
 Zjadł na śniadanie
 Udo baranie
 I witych w cieście
 Kołdunów dwieście.
 Tak z niestrawności
 Doszedł wieczności,
 I w ciemnym grobie
 Spoczywa sobie.
 Nim wieki zbiegą,
 Tnie chrapickiego,
 Aż głos Anioła,
 — Wstawaj! — zawoła —
 Bo już gotowa...
 Pieczeń wołowa.

1861. Borejkwoszczyzna.

OWIDYUSZ NA POLESIU.

August Cezar, co niegdyś dla pańskiego tonu
 Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,

Nie szcędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczeń, —
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obraza,
Bałamuci mu córkę Owidyusz Nazo.

Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametra w guście...
Julka to, panie, była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewczka...
Dyabeł nie śpi w tych rzeczach, może być nieładnie...

...
Tak myślał Cezar August...
...

Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agyppa i Mecenas tak mu poradzili:
Trzeba zaraz ostudzić te zapaly wieszczce.
Szkoda, że nikt Kajenny nie wymyślił jeszcze,
Lecz, jak można w tych czasach, zaradzając biedzie,
Niech nad morze Euksyńskie poeta pojedzie;
A tam, jeśli się gadać nie nauczy prozą,
Niech go na suhalei do Pińska zawiozą.

Jak się rzekło, tak stało: znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wjuny i raki Cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek,
A co poczta przyjaciół swemi listy nudzi:
Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
Proście, niechaj mnie Cezar uwolni od kary,
Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary.
Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potem zapomnieli.
Julia! — puchu marny! istoto kobieca! —
Do junkra pretoryańskiej straży się zaleca...

...
A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.

Dotąd jego imieniem góra się nazywa...
 Otóż czułych poetów dola nieszczęśliwa!

Ja, co żadnej Julii nie zaszedłem w drogę,
 Ja, co z Owidyuszem równać się nie mogę,
 Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopotcie,
 Siedzę w Borejkowszczyźnie, jak on w pińskim blo-
 Kazano mi naturą napawać się wiosną: lcie,
 Patrząc na wielkie brzozy, a tam różgi rosna;
 Na łąkach niemasz trawy, a kłosów na niwie;
 Wśród kwiatów bujny oset wyrasta szczęśliwie.
 A ja, biedny wygnaniec z krainy dalekiej,
 Nawet rąków nie łowię, bo tu niema rzeki.
 A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
 Każda się z nich do roku dwa razy umywa,
 Każda, snadź dla większego sielskiego uroku,
 Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku,
 A swą śnieżystą szatę z góry aż do dołu
 Ozdabia w długie pasma sadzy i popiołu.
 Bohaterki litewskie, Aldony, Pojaty!
 Musiałyście myć częściej oblicza i szaty,
 Albo wasi rycerze w kudłatej niedźwiedni
 W zapalczywej miłości nie byli wybredni,
 A dzięki wajdelotom i harfie pieśniarzy,
 Litwinki wyszły piękne, choć nie myły twarzy.

Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
 (Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania);
 Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
 Arenduje owoce gruszy i jabłoni,
 I, jako mąż przezorny, przygląda się bacznie,
 Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.
 Więc krok w...krok postępując od drzewa do drzewa,
 Jeruzolimskie hymny pod nosem mi śpiewa.
 Jakże tutaj potrafiysz, o synu człowieczy!
 Zgłębiać filozoficzne lub dziejowe rzeczy,
 Lub siadłszy pod gałęzmi cienistej topoli,
 Grać na wiejskiej fujarce swemu sercu gwoli?

Choćbyś został Newtonem, domyślać się snadno,
 Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.

Powracam do komnaty, do cichej komnaty,
 Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,
 Gdzie były stopy książek, mój pokarm młodzieńczy, —
 Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy...

1861. Borejkowszczyzna.

JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

Widzę mospanie, jutrznię różową,
 I kiwam głową!
 Porwał śmiech pusty, komedya szczera
 Serce rozdziera!
 Jam stary wróbel i nie dziś przecię
 Żyję na świecie;
 I wiele, wiele w życiu mem całym
 Jutrzni widziałem.

Na jasnym niebie, na ciemnej ziemi,
 Z barwy złotemi,
 Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
 Jutrznia się wdzięczy;
 I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
 Chcąc zdurzyć człeka.
 Ej! to zalotna tylko niewiasta,
 Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili
 Biedę przebyli:
 Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
 Nędzy ni śladu!
 Znów obietnice, znowu nadzieje,
 Serce się śmieje;
 Ale ich czekać kolej tak długa...
 Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa
W ziemię się chowa;
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
Wierz, panie bracie!
Dla zbolełego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!
Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nizko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
Mieć będziem ciszę.
Błogosławiony kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!... nie tylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej, doloż moja! przyszło mi dosyć
W życiu przenosić!
Słońca mi trzeba, i powiem szczerze,
Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonie!

MELODYE Z DOMU OBŁĄKANYCH.

I.

Ja jestem panem całego świata!
Co chodzi, pływa, czołga się, lata,
Niebo i ziemia — to wszystko moje!
Ja się ich stracić nie boję! . . .
Bo jasne Niebo kluczem zamknąłem,
A ciężką ziemię sznurami spiąłem;
Klucz do kieszeni — a końca nici
Już z mojej ręki nikt nie wychwyci.
Ludzie i duchy! siedźcie jak w norze!
Ani mi pisnąć, broń Panie Boże!
Bo tak się skrzywię, tak tupnę nogą,
Że popadacie, przejęci trwoga!
Niech będzie cisza! — bo mię sen mroczy,
Przygaście słońce, bo kole w oczy,
A gdy za wiele blasku w przestrzeni,
To mu ogólcie głowę z promieni,
Jak ogolono mnie moją głowę
Za to, żem rzucał światło różowe.

II.

Patrzajcie! szatan wskoczył do pieca!
Jak się masz kumie?
I skrzydełkami ogień podnieca,
Jak tylko umie.
Jakaś miksturę gotuje światu
Z opium i maku;
Dodał krwi trochę dla aromatu
I łez dla smaku!
Z francuskich gazet dodał musztardy,
Z niemieckich — kwasu,
A z nadtybrowych — trochę pogardy
Dla ducha czasu.

Zlał do butelki, zatknął miksturę,
 By nie uciekła, —
 I pozasmolał całą jej górę
 Smołą aż z piekła!

Dał sygnaturę — na jej papierze
 Pisze te słowa:
 W sto lat trzy razy niech ludzkość bierze,
 A będzie zdrowa.

III.

LIST PRZY ODESŁANIU KSIĄŻEK.

Dzięki tobie, panie bracie,
 Za poważne twe księgi!
 Lecz ja w świecie i w mej chacie
 Dość mam mitręgi!

Jak poważnie czoło mroczy
 Rozwieszona wskroś chmura!
 Jak poważnym chodem kroczy
 Pan urzędnik do biura!

Ja chce dziewic orszak liczny
 Dać powagi oznakę!
 Jak poważnie stróż uliczny
 Sypie z różka tabakę!

Ptak indyjski spuścił skrzydła
 I spoważniał u płotów...
 Ta powaga tak mi zbrzydła,
 Żem przeklinać ją gotów!

Okazałość uroczystą
 Tak dziś wszystko przybrało,
 Że już wolę łąy na czysto,
 Niż tę nudę wspaniała.

Bógże wie, co będzie dalej?
 Smutna dola jest nasza!

Łza przynajmniej serce pali,
A powaga je skwasza.

Patrz, jak śmiesznie naokoło
W ludziach, w celi, na dworze!

Przyślij książkę mi wesołą,
Co się uśmieć pomoże.

Aby myśli zbić sieroce,
Co mi wieją po głowie,
Jak szalony pochichoce,
To mi będzie na zdrowie!

Śmieć się każdy bez różnicy,
I pismaki, i ptaki!
Śmieć się stróżu na ulicy
Z twoim różkiem tabaki!

Niech się w świecie śmiech rozbudzi,
Wszak nie braknie sposobów!
Śmiećcie się, mogiły, z ludzi, —
Ludzie śmiećcie się z grobów!

Śmieć się, góro! śmieć się, chmuro!
Niech zahuczy swawola.

Lesie! nie płacz tak ponuro,
Śmieć się z łąki i z pola!

Jedni z drugich — wszystkim, wszędzie,
Niechaj śmiech się udzieli!

Niech wysoko słyhać będzie,
Jak my tutaj weseli!!

IV.

Chodź, panie doktorze! wszakże was uczono
Mineralogii!

Patrz na te paciorki, co mi zawieszono
Na chorej mej szyi!

Twarde jak dyament, a błyszczą jak słońce,
A czyste jak woda,

Odblasków tęczyowych tysięcy tysięcy
 Co chwila się doda.
 A w środku paciorki kropelka czerwona,
 Jak główka od szpilki,
 Przelewa się, błyszczy i mieni się ona
 Od chwilki do chwilki.
 Od każdej paciorki woń płynie tak dzielna,
 Że jesteś, jak w Niebie;
 Do ust jej nie kładnij, bo gorycz piekielna
 Zatrulaby ciebie!
 No! . . . cóż to za kamień? odpowiedz, doktorze!
 Ha! . . . rzecz to niełatwa!
 Nauka wszystkiego zrozumieć nie może,
 Coś zawsze ją gmatwa!
 Co? . . . nie wiesz? — objaśnię — nie moja w tem
 Mnie serce pomaga: [wina,
 To łza zasuszona biednego Murzyna,
 Plantator gdy smaga.

V.

Kot się w płasach wywija,
 Snadź niegłodna bestya!
 Kocie, moje kochanie,
 Jakie miałeś śniadanie?
 Możesz chodził na łany,
 I pod kamień schowany,
 Wyszpiegował ptaszynę,
 Co nam dobrą nowinę,
 Co wiosnę przepowiada!
 Sama z jutrzeńki spada,
 A pełna jej promieni,
 Gdy je w pieśnię zamieni,
 To tak tryska, szczebiota,
 Że aż płakać ochota,
 Że aż serce sieroce
 Obertasa zagrzmocę!

Najprzód ptaszek z ukosa,
Potem leci w niebiosa,
I w błękitne sklepiska
Ostrze pieśni swej ciska,
I znać daje do Nieba,
Że tu ludzie bez chleba,
Że nam łaski potrzeba.
A gdy Niebo rozczuli,
Spada na dół w lot kuli,
I nad głową oracza
Rzeźwe kręgi zatacza.
Na „dzień dobry“ mu rzecze:
— Uśmiechnij się, człowiecze!
Bóg rozjaśnił swe lica,
Siej, a będzie pszenica!
O! to anioł, nie ptaszę!
O! to szczęście on nasze!
O! to kapłan tej niwy!
To poeta prawdziwy!
W jego słówku i treści
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty, kocie! swe szpony
Może w piersi natchnionej,
Może w sercu śpiewaczem
Zatopiłeś cichaczem?
Mów! czy żyje skowronek?
Czy wydzwoni nam dzionek?
Czy da siewcy nadzieję,
Gdy ten potem się zleje?

Kot tak spojrział zuchwało,
Że odgadłem rzecz całą:
Legł rozszarpan na szmaty
Bogomódlca skrzydlaty!

*

*

*

Kot się drapie po ścianie.
 Kocie! dziki tyranie!
 Powiedz: krwawe twe gardło
 Co na obiad dziś żarło?
 Możeś chodził na łowy
 W młody gaik liściowy,
 Gdzie leszczyna cienista,
 Kędy wierzba się chysta.
 I gdzieś w ciemnej leszczynie
 Śmierć zadałeś ptaszynie,
 Co swą pieśnią wieczorną
 Spędza troskę uporną,
 A w jej miejsce — nadzieje
 Zdrowia, życia należy?
 Pieśni jego ciekawa
 I leszczyna, i trawa;
 Księżyc przy jego śpiewie
 Własnej drogi już nie wie:
 Zatrzyma się, i słucha,
 I westchnieniem wybucha,
 I łza, co leje z duszy,
 Na ziemię rosą prószy...
 Mów, potworo! mów, dzika!
 Czy zabiłeś słowika?

Zbrodniarz siadł przy ognisku,
 Krew wymywał na pysku;
 To krew była — niestety!
 Gajów naszych poety.

*

*

*

Kot się bawi, jak dziecko,
 Wzrok mu patrzy zbójecko.
 Powiedz, straszne ty zwierzę,
 Jaką miałaś wieczerzę?
 Może za swą zdobyczą

Wpadłeś w strzechę rolniczą,
 Gniazdo jaskółcze zdarłeś
 I piskłęta pożarłeś?
 Przyleciała z daleka,
 Zdała w ręce człowieka
 Swoje gniazdo z piskłęty —
 Skarb swój drogi i święty!
 Onaż nasza gosposi,
 Ona lato przynosi,
 Ona w ciepłe już lato
 Nad stodołą, nad chatą
 Pływa długim skrzydełkiem
 I szczebioce ze zgiełkiem;
 Pędza czeladź leniwą:
 — Do roboty co żywo!
 Jedno lato jest w roku,
 Zwóćcie zboże do toku!
 A gdy obłok się brudzi,
 Lata nisko wśród ludzi
 I przestrozę swą kwili:
 — Deszcz! deszcz będzie w tej chwili!

Słyszysz?... jęczy tak głucho!...
 Ponad gniazdka okruchą;
 Wpółśród gruzów się świeci
 Krew i piórka jej dzieci!
 Nieszczęśliwa ptaszyna
 Nas i siebie przeklina;
 Bije pierśmi o ścianę,
 Woła dzieci kochane.

Gdy tak mówię do zwierza,
 Kot się na mnie najeża
 Ze straszniemi oczyma...
 Wątpliwości już niema!
 Zgubił w całym jej losie
 Strzech litewskich gosposię!

*

*

*

Kot z mruzeniem zdradzieckiem
 Usnął w ciepłe za pieckiem;
 A ja, myśląc niedługo,
 Jak go skropię maczugą!...
 Aż się zerwie, zapieni
 I wyskoczy do sieni,
 Na dziedziniec, do sadu,
 I już kota ni śladu...
 Ha!... na drzewie!... ja za nim...
 My go prędko dostaniem!

Pan dozorca szpitala
 Wyszpiegował to zdala;
 Kazał ściągnąć mię z drzewa,
 Zimną wodą oblewa,
 Sadzi w ciasną zagrodę:
 — Trzy dni na chleb, na wodę!
 Za co? zem mścił się czynnie
 Krwi przelanej niewinnie,
 Krwi ptaszęcej, śpiewaczej?
 Czyż być mogło inaczej?

Pan dozorca!... ej, biada!...
 Pewno ptaszki zajada,
 Więc pogląda przez szpary
 Na pobite ofiary!
 A toż mamy już przecię
 Dziewiętnaste stulecie!
 Nadaremnie się truzi:
 Nie poprawi już ludzi!
 Cóż ja pocznę? mój Boże!...
 Chyba spać się położę.

VI.

Śmieszne snuły się postacie
 W tej komnacie:
 Coś się miasto, coś wioszczyna
 Przypomina.

Tam na kurzej nóżce chata
Wichrowata;
Tam przymila się gospoda
Siwo-broda;
Pałac zerka na uboczu
We sto oczu;
A kościółek skrzypi w stronie,
Gdy wiatr wionie.
Na drewnianych szcudłach wsparty
Dach podarty;
Ktoś założył tam kwieciarnię,
Mchy i darnie!
Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą
I nie wiedzą,
Gdzie skierować senną postać?
Iść czy zostać?
Tak śmiesznego nic na świecie
Nie znajdziecie.
Dzwon szczerbaty kaszle z wieży:
Do pacierzy!
Czterech dziadów w szmatach, boso,
Trumnę niosą;
Cztery babki szpitalnice
Niosą świece;
A na czele organista
Aż się chysta.
Musiał zażyć dla zapалу
Kordyału,
Bo z zapalem bierze tony
Antyfony.
A gdy huknie: Dies illa!
I Sybilla!
Requiescat kiedy palnie
Kapitalnie,
To aż, czując radość błogą,
Tupnie nogą.

Trumna prosta — a za trumną
Niezbyt tłumno:
Idą sobie ludzie prości
Z ciekawości,
Potem bieży tłum pacholi
Dla swawoli;
Dwóch przyjaciół nieboszczyka
Z drogi zmyka.
Mówią sobie: — Szkoda, szkoda!
Dusza młoda!
Serce wulkan, co z ogniska
Lawą tryska!
Aż się samo własną siłą
Przepaliło.
I cóż teraz? — niech kto spyta:
Trup i kwita!

— Po kim beczysz tak nieczysto,
Organisto?!
Trup, jak widać i po zgonie,
W dobrym tonie.
Musiał cierpieć — w ustach znaczny
Jęk rozpaczny.
Są na czole myśli znaki...
Kto to taki?
Tak zapytał pan z natłoku
Z szkiełkiem w oku.
Organista tak mu rzecze:
— Ja nie beczę:
Po łacinie śpiewam z nuty
Psalm pokuty.
A nieboszczyk, co widzicie,
Sterał życie:
Po obłokach się kołysał,
Wiersze pisał;
Czytał w książkach w noc i we dnie
Jakieś brednie;

Dał każdemu wieść się w pole,
Jak pachole;
A jeżeli rzec nawiasem,
Płakał czasem.
Krasawica sercu miła
Go zdradziła;
Przyjaciołom nic nie wierzy —
Bo nieszczerzy;
Wiersze zgryźli z dobrej chęci
Recenzenci,
A pokrewni gdzieś tam z dali
Wieść zabrali!
I tak szło mu nieciekawie
W każdej sprawie.
Wziął na rozum za głęboko,
Spuścił oko,
A jak w drodze spotka człeka,
Precz ucieka.
I poczęto mówić w mieście,
Że nareszcie
W jego głowie — złe nadzieje,
Kogut pieje!
Zachorował, była zima,
Jeść nic nie ma!
Na kominku dogorywa
Kłodka drzewa,
A on nie wie nic o świecie,
Wiersze plecie.
Albo jęczał jak w malignie,
Gdy już stygnie:
— Kiedyż w piasku głowę złożę?
Mocny Boże!
Jam tak kochał!... za co? za co
Tak mi płacą!? —
Głodną śmiercią literata
Zszedł ze świata;

My go musim grześć coprędej

Bez pieniędzy!

A na świece do karbony?

A za dzwony

Kto zapłaci?... czy bogaci

Literaci?

A, doprawdy, boli gardło

Śpiewać darmo!...

Ha!... cóż począć?... Dziady, baby!

Głos nasz słaby;

Ej! hukniemy u mogliły

Z całej siły

Requiescat! — daj mu, Panie,

Spoczywanie!

Wieczna światłość — krzyczcie dzieci —

Niech mu świeci!

1861. Borejkowszczyzna.

CUPIO DISSOLVI.

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,

Co mi swobodną duszę skowała?

Skowała w pancerz, ciśnie i gniece,

I zatrzymuje na ziemskim świecie.

Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...

Poco mam chodzić w szacie zwierzęcej?

Moje radości, moje katusze,

Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,

A nieśmiertelnych myśli osnowa

Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą

Między występkiem a między cnotą,

Czyż grzech i cnotę przed okiem Nieba

Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?

Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w twych ręku?
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli mej wytlomaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby,
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
By doskonalej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciało i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze,
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne.
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka;
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było Boże.
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.

A zawsze bolem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja, moje ziemskie splacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże;
Ale już dusza nie będzie młoda,

Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

1861. Borejkowszczyzna.

DO GOŚCI.

Czem was przyjąć, goście mili,
W zamian soli i chleba?
Goście duchem tu przybyli,
Duchem przyjąć ich trzeba.
Wprawdzie wszystek nieskupiony
Do tej chatki poziomou:
Cząsteczkami, w różne strony
Rozesłałem go z domu.
Często szukam — nie znachodzę,
I sam jeden być muszę;
Po ciernistej życia drodze
Rozproszyłem mą duszę,
Wszędzie serca część oddartą
Mnie zostawić sądzono:
Coś nad Niemnem, coś nad Wartą,
Coś nad Wisłą spienioną.
Reszta poszła w inny sposób,
Aż się splanuje, przeboli
Na mogiłach drogich osób,
Albo własnej mej doli.
Jeden tylko duch skrzydlaty
Został w sieni u wchodu,
Opiekuńczy duch tej chaty —
Gościnności narodu.
Więc i z niego bądźcie radzi:
On tu pełni swą strażę,
On do domu was wprowadzi,
On me serce pokaże...

24 sierpnia 1861. Borejkowszczyzna.

PRZEBUDZENIE.

Błogosławione zimy doświtki
Dawnom zapomniał w szarej omroczy;
Dziś moje ranki dręczy sen brzydki,
A trupie spanie zasklepia oczy.
Nie tak bywało w dawniejsze lata,
Gdy z Bogiem, z książką, o cichym ranku,
Ciało ochocze a myśl bogata
Snuły poczciwy trud przy kaganku.
Nie brakło strunom śpiewnego dźwięku,
Nad głową jasność snuła się biała,
Spokój był w duszy, a pióro w rękę,
Piosnka kaskadą z duszy tryskała.
Jeszcze w błękicie mojego nieba
Ostatnie czarne chmurki się wloką,
Łzami wzrok jeszcze omyć potrzeba,
Ażebym słońce dojrzał wysoko.
Jeszcze niesforne jakieś rozgwary
Wydają śpiewne mej piersi strony,
Puls mego serca nierównej miary,
To przyśpieszony, to opóźniony.
Ale już w sercu jest, Bogu dzięki,
Najświętsza wiara z nadzieją błogą:
Spokój do duszy, pióro do ręki
Już może wkrótce powrócić mogą.
Piosnka szła na świat w skromnej postaci,
Ale szerokie miała swe echo;
Czuje, że grałem na sercach braci,
Że mnie słuchali moi z pociechą.
Ale dni smutnych, czarnych dożyłem:
Kamień zwątpienia piersi zawałił,
Książki się grubym pokryły pyłem, —
Jużem w doświtki lampy nie palił.
Myśli promienne, jak brzask jutrzeńki,
Już się czarnemi, jak chmura, stały.

I spokój z duszy, i pióro z ręki
 Zda się na zawsze już odleciały.
 Całunem jednych marzeń spowity,
 Torturą jednych wspomnień łamany,
 Straciłem z oczu syońskie szczyty,
 Przestałem kochać świat mój kochany.
 Gdy się przebrała już cierpień miara,
 Gdy sercu pęknąć było najśłodziej,
 Wśród burzy na mnie zleciała wiara,
 By uratować rozbitka w łodzi.
 Znowu się do mnie uśmiecha praca,
 Znow czuję w piersi pieśni oddźwięki...
 Boże mój, Boże! czuję, że wraca
 Spokój do serca, pióro do ręki.

1861. Borejkowszczyzna.

NOWE ABECADŁO.

B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —

Nagroda za pracę nie chybi!

Uczyła się dziatwa czytania,

I czego katechizm zabrania,

I kiedy duszeczka szczęśliwa,

I jak się ta ziemia nazywa,

I jacy tu byli królowie, —

A wszystko — by rozum mieć w głowie,

By w oczach mieć jaśniej, weselej,

By w sercu mieszkali Anieli.

Bóg dziatki przytulał na łono,

Lecz jeszcze nie wszystko spełniono;

Bo myśląc o własnej potrzebie,

Uczyły się tylko dla siebie.

O! jeszcze niewielka w tem sztuka,

Nie takie ma cele nauka.

Kto siebie na pierwszym ma względzie,

Ten jeszcze zbawionym nie będzie,
 Bo celom Najwyższym uchybi.
 B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —

C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci, —
 Kto ziarnko nauki pochwyci,
 Niech zaraz tem ziarnkiem wzbogaci
 Wioskowe siostrzyczki i braci.
 Ich ojciec, co z sochą we dworze,
 Nauczyć swych dzieci nie może,
 A matka, robotą zajęta,
 Zaledwie Ojczę nasz pamięta,
 A szkoła daleko od wioski,
 A szczupły jest grosik ojcowski.
 Więc, diatwo! choć iskrę oświaty
 Zanieście do ciemnej ich chaty,
 Nauczcie wieśniaków czytania,
 I czego katechizm zabrania,
 I kiedy duszyczka szczęśliwa,
 I jak się ta ziemia nazywa,
 I jacy tu byli królowie,
 Niech każde, co umie, rozpowie,
 A dojdziecie kłębka po nici!
 C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci!

Pod brzozą cienistą lub gruszą
 Podzielcie się sercem i duszą;
 A gdy im rozjaśnią się oczy,
 Nauka was z kmiotkiem zjednoczy;
 Już wtedy w niebiańskim zachwycie
 Na waszą książeczkę spojrzycie,
 A widząc raj ziemski otwarty,
 Całować będziecie jej karty,
 Bo Anioł wam w sercu zagości
 Za wasze zasługi w ludzkości.
 A kiedy ziemica rodzona
 Was wszystkich powoła do grona,

Czyż dusza nie będzie ci rada,
 Gdy obok zobaczysz sąsiada?
 Gdy blaskiem talentu zaświeci
 Wyuczony przez ciebie syn kmieci,
 Przypomnisz książeczkę twą młodą;
 Siądziecie z braterską swobodą:
 D, a, da, d, e, de, d, o, do!

1861. Borejkwoszczyzna.

WSTĘP DO KALENDARZA WILEŃSKIEGO. NA ROK 1862.

..... novi incipiunt menses.
 Virgilius.

Witajcie, nowej epoki czasy,
 Was spotykamy z chlebem i z solą!
 Idź, stara nędzo, na suche lasy,
 Idź na dno piekieł, stara niewolo!

Kmiotek litewski, co orząc łany,
 Żył i umierał na cudzej grzędzie,
 Dziś uroczyście został wezwany
 Zając swe miejsce w społecznym rządzie.

Aż poświetlało w ubogiej chacie,
 Poweselało na polu zboże,
 Gdy mu rzezono: Rolniku bracie,
 Ziemia twych ojców twoją być może!

Szlachcic ją zdobył krwią swego przodka,
 Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym;
 Jeszcze zdrój potu... nagroda słodka...
 Rzeczysz do syna: Ty jesteś wolnym!...

Ale do tego trzeba ofiary,
 Przez nią do szczęścia jedyna droga;
 Potrzeba nałóg porzucić stary
 I trzeźwą myślą czcić Pana Boga.

Starą nienawiść do starszej braci
 Niech zapomnienie wieczne przygniecie;
 Trzeba przebaczyć, że są bogaci...
 Dziś bogatymi zostać możecie!

Promienie światła, nauk mozoły,
 To tajemnica bogactwa cała:
 Do szkoły dziatwę ślijcie, do szkoły!
 Już dziś ciemnota wam nie przystała!

Dziady szlacheckie z dziady wászemi
 Przeżyły wieki doli, niedoli;
 Wnuki z wnukami na tejże ziemi
 Obywatelska miłość zespoli.

Tak siła z siłą dwoiście zlana
 Dzielniej społeczną wesprze budowę;
 Śmielej będziemy prosić u Pana
 Błogosławieństwa na naszą głowę.

1861.

W IMIONNIKU MICHALINY SZELUTÓWNY.

Nieznany z twarzy, tylko z piosenki,
 Co czasem w polskim brzmi domu,
 Wezwany jestem ślad mojej ręki
 Złożyć do pani albumu.

Z tego zadania najlepsze chęci
 Jakże uiścić się mogą?
 Rodak rodaczce chyba poświęci
 Jakaś piosenkę ubogą.

*

*

*

Wężem się zwija kręta Wilia,
 Słucz płynie z bagien wśród ziela,

Rzekę od rzeki przestwór daleki
Zdaje się wiecznie rozdziela.

Jednak zmierzone w tę samą stronę,
Pomimo wielkiej oddali;
Jedno marzenie, jedno dążenie
Kipi zarówno w ich fali.

A gdy koleją z sobą się zleją
Kędyś w bałtyckiej powodzi,
Znajdą się snadno, i zaraz zgadną,
Że jedna ziemia je rodzi.

Podbiorą tony piosnki rodzonej,
By bratnie rzeki przybyły;
Strach dla wybrzeży, gdzie pęd uderzy,
Gdzie żwawe skupią się siły.

13 marca 1862. Wilno.

MILCZENIE POETY.

Czy prawda, moja pieśni, mój ty skarbie cały,
Że mi w duszy zastygło, myśli postarzały,
Że już wkrótce ulecą z piersi lodowatej,
Jako ów motyl z chwastu, co stracił swe kwiaty?
Czyż sercu już mojemu pozostać należy,
Jak kościół opuszczony, gniazdem nietoperzy?
Zdać się na łaskę świata — och! wiem co to łaska:
Zimnym gromem uderzy i w gruzy roztrzaska,
A potem, nagradzając, że męczył tak srodze,
Uczyni mię szczęśliwym, jak kamień przy drodze.
O! niech się takie szczęście i wrogowi nie śni.
Ja chcę żyć, czuć i cierpieć, jak wojownik pieśni;
Zbrojny potęgą ducha, chcę czuć całą siłą,
Czy co bólem doskwiera, czy co sercu miło;
Czy mię kwiatek przynęci, czy mię cierń ubodzie,
Chcę się rzucać na świecie, jak ryba na lodzie.

Bojować?... Już minęły młodociane chwile...
To fałsz! wszak w duszy mojej jeszcze ognia tyle!
Skąd wiecie, żem postarzał? Z nachmurzonej twarzy?
Nie wierzcie, bo to wulkan w popiele się żarzy;
Że mi harda ku ziemi schyliła się głowa?
To była tylko dumka, czy drzemka chwilowa;
Że pieśń moja zacichła? — o! gmin tego nie wie,
Że dla echa potrzebny przestanek we śpiewie.

Oni ruchliwą rzeszą wybiegli na drogę,
Wołają, żem ja stary, że śpiewać nie mogę:
Mogę jeszcze — nie dopuść, o pieśni skrzydlata!
Abym przyszedł na hańbę przed obliczem świata!
Nie opuszczaj mię, pieśni! — wszak ja wrę zapalem,
Wszak godności śpiewaczej nigdzie nie sprzedałem:
Ręka, co grała w struny, wszak złota nie liczy,
Nie poniżył mej głowy pokłon niewolniczy,
Nie poplamilem szaty świętego wesela,
I oko śmiało jeszcze ku Niebiosom strzela,
A myśl, niepokalana w pospolitym tłumie,
Z Bogiem się i naturą jeszcze porozumie...
Przed Jehową nie zbluźnię, przed cielcem nie klęknę,
Nienawidzę co czarne, uwielbiam co piękne:
Za cóż miałby się karać, co Zakonu słuca,
Niemotą grzmiących piersi i starością ducha?

Ja czuję, żem nie stary, ani jeszcze niemy:
Do mnie, pieśni! ej, huczno jeszcze zapiejemy!
Zadnę w płuca — o! jeszcze grają pieśni moje;
Gęśl, prawda, że niestrojna — jeszcze ją nastroję.
Zapiejem, że aż echo rozgłośnie rozbudzi
I na polach, i w lasach, i we wnętrzu ludzi.
Niechaj zahula w górach, zahula w równinie:
O! z przestarzałych piersi taki głos nie płynie.
A ludzie muszą przyznać, że silnie przenika,
Że tu nie znać starości i płuc suchotnika.

Ale nie dosyć młodość, nie dosyć mieć zdrowie:
Trąba w dzień ostateczny i piewce przyzowie,

Gdzie przed całą ludzkością przeszłą i potomną,
Jak hojnie odmierzono, hojnie się dopomną,
I rzekną: Zdajcie liczbę, służebniki Boże!
Siewcy! gdzieście rzucili waszej siejby zboże?
Czy na niwę uprawną, czy na skałę zsiadła,
Gdzie ją susza spaliła i ptastwo wyjadło?
Czy plonem waszych pieśni zabujało pole?
Czy tam kłosa wyrosły, czy chwast i kłakole?
Czy gdzie kamień zapłakał czuciem waszych pieśni?
Złożyłyż jad gadziny i wężowie leśni?
Gdzie i przy jakim zdroju, łamiąc dzikie prawa,
Wilk i cichy baranek razem się napawa?
Pieśń ludzka to nie marne świergotanie ptasze:
Dano wam tworzyć cuda — a gdzież cuda wasze?
Nie łukiem Nemrodowym, nie grotem strzelistym,
Ale Pan was uzbroił słowem uroczystem,
Co dzielniejsze od miecza i stalnej pawęży,
Co nigdy serc nie chybia, a zawsze zwycięży.
Pan was posłał na ziemię we świętym zamiarze,
I promieniami cześci ozdobił wam twarze,
I duchem czarodziejskim tchnął na wasze łono.
O! póki posłannictwa jeszcze nie spełniono,
Pan nie pozwala spocząć ani jednej chwili:
Uwolnił was od czynów, byście czyn spełnili.
A wy, słudzy, celowi waszemu niewierni,
Używaliście cudu na zabawę czerni,
A ziarno waszej siejby roztrwoniwszy marnie,
Święty chleb pracowitych jedliście bezkarnie!...
Niewierne najemniki! o, zdala stąd, zdala!
Pójdźcie w ogień, gdzie wewnątrz zgryzota wypala!

Och, czuję w mem sumieniu tych słów przepowiednie,
Twarz moja gore wstydem i przestraczem błednie.
Straszno być pieśnio-twórcą, bo sąd na nich srogi:
Boże! oddał ode mnie ten kielich złowrogi,
Tę ochotę do pieśni, te dumki, co marzę!
Pójdę na grunt ojcowski orać na poparze,

Pójdę jarzemne byki wypasać na błoni,
Pracowity jak oni, bezmyślny jak oni!...

Co ja rzekłem! zbluźniłem w przerażenia chwili!
Biada, kto pod brzemieniem swoim się uchyli!
Raz wziąłem się do gęśli, wyteżyłem płuca,
Przyjmę sąd, chociaż srogi — niech mnie nie porzuca!
Ja nie chcę żyć bez pieśni, tęskno i jałowo, —
Duchu Boży! bądź ze mną — ja śpiewam na nowo!

Duchu mój cudotwórczy! pieśni moja, pieśni!
Tyle celów przed nami — nie drzemajmy w pleśni;
A dopóki nie zgaśnie żar naszego ducha,
Strzeżmy go, strzeżmy pilnie, niech ogień wybucha,
Choćby miał nasze piersi rozrywać okropnie,
Niech bucha — w sercach bliźnich może lód roztopnie.

Mieć piękno w uwielbieniu, mieć złe w nienawiści,
To głos się upotężni i cuda uiści;
A choć nas w środku dzieła Pan k'Sobie przyzowie,
Pięknież stanąć z koroną zasługi na głowie!

1854. Borejkowszczyzna.

OSTATNIA MYŚL POETY.

Czujny grajek przy lutence,
Z czeczotkowym kijem w ręce,
Od komina do komina
Swą wędrówkę rozpoczyna.
Czy w karpacki szczyt Łomnicy,
Czy w podolski łąn pszenicy,
Czy w kijowskiej starej łąwrze
Ze świętymi w grób się zawrze...
Czy u Gopła stojąc toni,
Po Kujawach okiem goni...
Myślą goni jeszcze dalej...

.

Zawsze bardon ma strojony,
 Wedle czasu, wedle strony,
 Gdzie pogościć pragnie dłużej,
 Gdzie z sandałów pył okurzy...

1862, przed zgonem. Wilno.

WARYANT ZAKOŃCZENIA

„WYROKU JANA KAZIMIERZA.“

HELENA.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,
 Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła:
 Tu król przed nami... wybłagamy życie.

GNOIŃSKI.

Ale mu hańby nie omyjem z czoła,
 Nie, moja córko! z sakwami i kijem
 Pójdziem stąd zaraz w jaki kraj daleki,
 Sponiewierane nazwisko ukryjem,
 Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
 Widzisz, król pisze, wyrokuje o nim,
 Podpisał hańbę naszego nazwiska!
 Uciekaj, córko... pod ziemię się schronim...
 Patrzaj, lud na nas kamieniami ciska,
 Tętnią siekiery, wznoszą rusztowanie...
 Kat się urąga... opatruje ostrze...
 Wnet winowajca pod pręgierzem stanie,
 Na radość ojcu, na chlubę swej siostrze...

(Król, skończywszy pisać, klaszcze w dłonie. Wchodzi dworzanin).

KRÓL.

Oddać to pismo dozorca więzienia.
 Śpieszaj! tu niemasz chwili do stracenia.

(Dworzanin odchodzi).

KRÓL (do Gnoińskiego).

Najmilszą gorzkich dni naszych osłoda
Jest łyzy ocierać, łagodźcie niesnaski.
Dziś, za obecnych senatorów zgoda,
Naszej królewskiej chcemy użyć łaski.
Dzisiaj nie wolno, by ktoś łyzę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć pocyna.
Panie kanclerzu, powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

KANCLERZ.

Syn wasz w tej chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie
I tam niech obce nazwisko przybiera;
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestanie miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.
Więc hańba zdjęta.

GNOIŃSKI.

I wy to mówicie,
Strażnicy prawa, wielcy dygnitarze!...
Królu! tyś mocen podarować życie...
Lecz zmazać hańbę... i Bóg jej nie zmaże.
Piętno jej, czoło gdy zbeczcześci czyje,
Gdy twarz wykrzywi podłości wyrazem,
Już w krew przechodzi, w pulsach serce bije,
Już jej nie wydrzeć, chyba z sercem razem.
Charakter hańby, jak sakrament piekła,
Z pohańbionego nie daje się zmazać.
Pogardzie ludzkiej, gdy swój sąd wyrzekła,
Sam król milczenia nie zdoła nakazać.
W dniu wiecznej mego imienia zakały
Niewczesne, królu, twoich łask dowody.
Nie proszę łaski, jak w dniach mojej chwały
Nie przychodziłem prosić o nagrody.

KRÓL.

Bluźnisz, Gnoiński.

GNOIŃSKI.

.
 Łza w twoich oczach, najjaśniejszy panie!
 Nie płacz — kraj wszystek to twoja rodzina.
 Żem ja łez moich powstrzymać nie w stanie,
 Och, bo ja tylko jednego mam syna!
 Lecz dziś się, panie, czułości wyrzeczem,
 Naszą powinność spełnić bądźmy w sile:
 Tyś król — w zbrodniarza uderz kary mieczem;
 Ja ojciec — skonom na jego mogile.

KRÓL (do wchodzącego dworzanina).

Cóż tam o więźniu? czy zdjęto kajdany?

DWORZANIN.

Nie mogłem zdążyć do więzienia jeszcze,
 Gdy wyrok śmierci został przeczytany.
 Więźnia śmiertelne ogarnęły dreszcze,
 Pobledniał, upadł, szarpiąc swe okowy,
 Oczy się dziko po ścianie powiodły,
 Krew do zwieszanej uderzyła głowy...
 Umarł ze strachu...

GNOIŃSKI.

O, jeszcze raz podły!

Nie umiał umrzeć — ale już nieżywy,
 Toporem hańby niedotknięte zwłoki.

KRÓL.

Wielkie są Nieba!... Boże sprawiedliwy!...
 O! Ty i królów przesądzasz wyroki.

GNOIŃSKI.

Ocalił imię shańbione sromotą, —
 O! wesół pójdę po zebranych chlebie.
 Chodź ze mną, córko! chodź, biedna sieroto!
 Niebo mi jedną zostawiło ciebie.
 Na grobie jego odmówim pacierze...

Nie! on niegodzien ojcowskiej modlitwy:
 Złamał poczciwość starej ojców wierze,
 Nie umarł z mieczem i na polu bitwy.
 Przeklinać nie chcę, bo by głos ojcowski
 Nazbyt potężną ugodził go władzą.
 Idźmy! choć nasze popalone wioski,
 Chleba i soli dobrzy ludzie dadzą.

CZARNIECKI.

Kraj się odradza, Szwed pierzchać poczyna,
 Jutrzenka błyska nad królewską głową.

GNOIŃSKI.

Boże mój, Boże! a ja nie mam syna,
 Aby go posłać na służbę krajową!

KRÓL (powstawszy z tronu, podchodzi do Gnoińskiego).

Ja dam ci syna, podporę rodziny,
 Którym się ojciec pochłubi z rozkoszą,
 Co z młodu pełni bohaterskie czyny,
 Jak o tem jego wodzowie donoszą.

GNOIŃSKI (osłupiały).

Syna! co słyszę! w głowie mi się kręci!...
 Gdzież ten syn, królu?

KRÓL.

Oto Jerzy Lacki.

(Obraz. Król łączy ręce Heleny i Lackiego. Gnoiński rzuca się
 Lackiemu na szyję).

(Zastona spada).

1860. Wilno.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNEJ.

W oczach gryzie, serce boli,
 I zapłakać chce się;
 Pójdę szukać lepszej doli,
 Wywoływać w lesie,
 Hop! hop!

Hej! z doliny aż do wzgórka
 Bieży głos donośny,
 Jak ptaszyna, jak wiewiórka
 Po gałęziach sosny.
 Hop! hop!

Może jękiem w leśnej ciszy
 Zawtóruje echo,
 Może dola jęk posłyszysz,
 Odhuknie pociechę,
 Hop! hop!

Boże, Boże! nie pomoże
 Ni echo, ni drzewa:
 Wiatr zahuczał w głuchym borze
 I mój głos odwiewa.
 Hop! hop!

Boli serce, cóż za dziwy?
 Niech już sobie boli:
 Zerwiesz piersi nieszczęśliwy,
 A nie zhukasz doli.
 Hop! hop!

Piosnko moja! ej, nie tobie
 Stłumić głos niebieski!
 Wracaj jęczeć sama w sobie
 Z pod piersiowej deski.
 Hop! hop!

1850. Załucze.

FRAGMENTA Z KSIĄG HIOBA.

ROZDZIAŁ I.

Vir erat in terra Hus nomine Iob, et
 erat vir ille simplex, et rectus ac timens
 Deum, et recedens a malo.

W krainie wschodniej, co się Hus nazywa,
 Mieszkał mąż Hiob za dawnego wieka;

A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka.
Miał siedmiu synów i trzy córki hoże,
A swego mienia policzyć nie może:
Siedem tysięcy owieczek w swej trzodzie,
Trzykroć po tysiąc wielbłądów gromadzi,
Pięćset jarzm wołów i siła czeladzi.
Był to mąż wielce bogaty na Wschodzie.

A każdy z synów wyprawiał biesiadę,
Kiedy na niego kolej dnia przypadała;
Trzy siostry do nich przychodziły rade,
I było dosyć napoju i jadła.
Gdy dni biesiadnych kolejka minęła,
Ojciec ich wzywał do świętego dzieła,
A rano wstawszy, wiódł ich do świątyni
I za każdego modli się z osobna,
Ofiarę Bogu całopalną czyni.
Bo mówił w sobie: — Do prawdy podobna,
Że któryś z młodych grzechem się zaproszy,
Nie błogosławił Panu w swojej duszy.
Tak się znaczyła Hiobowa cnota
Przez wszystkie chwile długiego żywota.

Pewnego razu, kiedy syny Boże,
Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
Stały przed Panem w uroczystym chorze,
Zjawił się szatan u tronu Jehowy.

— Skąd to powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Przebiegłem całą oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta.
I rzekł Jehowa: — Czyś widział w podróży
Tego, co z ludzi najlepiej mi służy?
Mieszka w Hus ziemi, Hiob się nazywa,
Niemasz na ziemi równego mu człeka,
Bo dusza jego prosta, sprawiedliwa,

Lęka się Pana, od złego ucieka.
Odpowie szatań: — Znam serce Hioba,
Czyż on za darmo tak Boga się boi?
Nie zna, co losów jakakolwiek proba,
Ogrodzon murem łaskawości Twojej;
A Twoje oczy najtroskliwiej strzegą
I domu jego, i majątku jego.
W błogosławieństwie ma dobytek, dziatki,
Jego majątność przysparza się wszędzie;
Ściśnij go nieco, odejmij dostatki,
Obaczym, jak ci błogosławić będzie?
I rzekł Jehowa: — Krom jego żywota,
Oto-ć Hioba majątność oddana;
Doświadczaj, czem jest sprawiedliwych cnota.
I szatan odszedł od oblicza Pana.

Syn pierworodny w oznaczonej chwili
Przyzwał na ucztę i siostry, i braci.
Gdy brali pokarm, kiedy wino pili,
Przybieżał goniec przelękłej postaci,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Cały dobytek marnie ci przepada.
Twoje oślice pasły się w dąbrowie,
A twoje woły na polu orały;
Wtem przyszli srodzy sabejscy mężowie
I zagarnęli twój dobytek cały.
Wyrznęli czeladź straszliwi ciemiężce,
Jam ledwie umknął zwiastować o klęsce!
Jeszcze nie skończył — drugi goniec wpada,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Piorun niebieski uderzył w owczarnię,
Pobił twe trzody i twoje owczarze,
Wszystkie budowy poszły z dymem marnie,
Jam ledwie umknął donieść o pożarze!
Jeszcze nie skończył — trzeci goniec wpada,
I rzekł: Hiobie! o biada nam, biada!
Chaldejczycy trzema hufy wpadli,

Wzięli wielbłądy, gdy pędzono w pole,
 Sług twych pobili wrogowie zajadli,
 Jam jeden umknął zwiastować niedolę!
 Jeszcze nie skończył — czwarty goniec wpada
 I rzekł: — Hiobie! o biada ci, biada!
 Syn twój najstarszy dzisiaj ucztę czyni,
 Orszak twych dzieci był wszystek zebrany:
 Wtem dziki wicher przypadł od pustyni,
 Zatrząsnął domem i zgruchotał ściany,
 A dzieci twoje, zwalone na ziemi,
 Legły, pobite bierwiony drewnami.
 Jam ledwie zdołał przybieżeć ku tobie,
 By twe nieszczęście zwiastować, Hiobie!

Więc Hiob powstał i rozdarł swe szaty,
 Ogolił włosy, co zdoły ciemę,
 A święcąc Panu poniesione straty,
 Uczynił pokłon, upadłszy na ziemię:

— Nago powrócę do mogiły łona,
 Jak nago wyszedł z łona mojej matki.
 Pan dał, Pan odjął znikome dostatki,
 Niech wola Jego będzie pochwalona!
 Uczynił ze mną wedle Swojej chęci,
 Niech Imię Jego na wieki się święci!
 Tak mając duszę ku Panu gotową,
 Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

ROZDZIAŁ II.

Factum est autem, cum quadam die venissent filii Dei et starent coram Domino.

Stało się tedy, kiedy syny Boże,
 Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
 Stały przed Panem w uroczystym chorze,
 I szatan przyszedł do tronu Jehowy.

Skądże powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Wzdłuż, w szerz przebiegłem oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta,
Rzekł Pan: — Czy byłeś gdzie Hiob przebywa?
Niemasz na ziemi równego mu człeka,
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka;
Choć go dotknęła niedola surowa,
Jeszcze niewinność swego serca chowa.
Tyś mię pobudził, bym szukał w nim winy,
Abym go trapił bez żadnej przyczyny.
Odpowie szatan: — Niewielkieć to próby,
Człek się dla duszy na wiele zdobędzie;
Dotknij go tylko boleścią choroby,
Obaczysz, jak Cię błogosławić będzie.
Odpowiadając, rzekł Pan do szatana:

Oto ci władza nad Hiobem dana:
Czynić z nim wszystko prawa ci udziele,
Jeno zachowaj duszę w jego ciele.
I szatan odszedł z oblicza Jehowy,
I oto druga zaczęła się próba:
Jątrziwym wrzodem zaraził Hioba
I ciężkim bólem od stóp aż do głowy.
I usiadł łazarz na kupie śmiecia,
Wrzód jadowity skorupą wyciska.
Przyszła doń żona i gniewliwie rzecze:

Czyś jeszcze gotów błogosławić Bogu?
Wytrwaj w prostocie, niebaczny człowiecze,
I błogosławiąc, umrzyj na barłogu!
Odpowie Hiob: — Szalenieś zbluźniła!
Bezbożnej mowy nie przedłużaj dalej;
Przyjmujemy klęski, które Pan przysyła,
Jakośmy dary Jego przyjmowali.
Tak mając duszę ku Panu gotową,
Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

A trzech miał wiernych sobie przyjacieli, —
Ci o nieszczęściu jego usłyszeli
I przyszli k'niemu: Eliph z Temanity,
Baldat Suhitczyk i Sophar z Namaty,
Gdzie leżał nędzarz ranami okryty.
Chcieli go cieszyć wśród cierpień i straty.
Lecz gdy nań oczy podnieśli z oddali,
Nie mogli poznać wśród choroby świeżej;
Więc zakrzyknęli, ręce załamali,
I darli, płacząc, kraj swoich odzieży,
I padli na twarz z żalem i popłochem,
I przysypali swoje głowy prochem.
Siedem dni całych siedzieli na ziemi
I siedem nocy — nie rzekli ni słowa,
A poglądali oczyma łzawemi,
Jak ciężka była boleść Hiobowa.

ROZDZIAŁ III.

Post haec aperuit Iob os suum et maledixit.

Otworzył usta, i złorzecząc mówi:
— Przeklęty trzykroć ów dzień i godzina,
Gdy się kazano rodzić człowiekowi,
Kiedy swą drogę życia rozpoczyna!
Dzień, w którym światłość błysła mi do oka,
Niech z grobowego nie wyświta ciemna.
Niech się Bóg o nim nie pyta z wysoka,
Niech będzie czarny, jak otchłań podziemna!
Noc mych urodzin — niechaj burza grzmiąca,
Niech zniszczy wichler ciemny, tajemniczy,
Niechaj nie idzie w liczbę dni miesiąca,
W liczbę dni rocznych niechaj się nie liczy,
Dziękiem pustkowiem niech stanie ze szczętem,
Dobre jej imię niech będzie odjętem,
Od jej ciemności niech gwiazdy pogasną,

Niech jej jutrzienka nie oświeca złota,
Iż nie zawarła dni mego żywota,
Iż oczom moim dała widzieć jasno!
Czemu mię w łonie matki nie zabili?
Czemum nie umarł w urodzenia chwili?
Na co mię brano na ręce, na łono?
Na co mię pierśmi do życia karmiono?
Teraz, śpiąc martwo, spoczywając błogo,
Mieszkałbym wobec i książąt, i króli,
Co wielkie państwa w pustyniach zasnuli,
Co złota, srebra przeliczyć nie mogą,
Gdzie nie drży strachem drużyna bezbożna,
Kędy odpocząć spracowanym można,
Gdzie niegdyś skuci więzy społecznemi
Dzisiaj poborców nie słyszą wołania,
Gdzie równi słabi i potężni ziemi,
Gdzie niewolnika żaden nie pogania...
Na co jest światło dla oczu nędzarza?
Na co jest życie wśród goryczy ducha?
Czekają śmierci, a śmierć się nie zdarza,
Wołają zgonu, ale zgon nie słucha...
Szukając skarbów, mąż cieszy się w duszy,
Kiedy odkopie grobowisko stare;
Lecz widok grobu weselej poruszy
Tego, kto cierpień dopełnił już miarę,
Którego drogi sterały się marnie,
Kogo Bóg wcześniej ciemnością ogarnie.
Nim pożywienie zakosztuję nieco,
Pierwej westchnienie z mych piersi wychodzi,
Jęki z ust moich tak gwałtownie lecą,
Jak gdyby łoskot szumiącej powodzi.
Strach, com się lękał, już przede mną stawa,
Już się sprawdziła bolesna obawa.
Bywało dusza żalom się nie poda,
Pokorniem milczał, póki serce może,
A za mój spokój -- toż moja nagroda,
Że przyszło na mnie zagniewanie Boże?

ROZDZIAŁ IV.

Respondens autem Eliphaz Themanites, dixit . . .

Na takie słowa Eliph z Temanity,
Odpowiadając, mówił do Hioba:
— Możeć się mowa moja nie podoba,
Ale głos w piersiach nie może być skryty.
Tyś uczył ludzi, tyś goił ich ranę,
Tyś nieraz krzepił ręce spracowane,
I niejednemu twe słowo pomaga,
Że się utwierdzał na swej ciężkiej drodze;
Teraz, gdy przyszła i na ciebie plaga,
Otoś na sercu zatrwożył się srodze.
Gdzie bojaźń Pańska? gdzie twe mocne czyny?
Gdzie jest ślad twoich dróg doskonałości?
Proszę cię, wspomnij, kto zginął bez winy?
Gdzie są zgładzeni cnotliwi a prości?
Widziałem nieraz duszę niecnotliwą:
Boleść jej siejba i boleść jej żniwo;
Straszny gniew Pański głowy ich dosięga,
Jednym podmuchem z siły ich wywłaszcza,
W proch się obraca dzikich lwów potęga,
Srogi ryk lwicy i jej szczeniąt paszcza,
Piastunów lwicy rozproszą się stada,
A krwawy tygrys bez żeru przepada.
Słyszałem do mnie tajemnicze słowo,
Szeptanie jego słyszałem z wieczora,
Gdy człowiekowi ponad senną głową
Zwykły ulatać widziadło i zmora.
Strach mię do kości przejął uroczysty,
Stanęły włosy, drżałem nieprzytomnie,
I głosem cichym, jakby wiatru świsty,
Ktoś nieżnajomy tak przemawiał do mnie:
Azali człowiek uniewinnion będzie,
Co do Niebiosów równa się Mocarza?
Czyliż maż ziemski w jakimkolwiek względzie

Zdoła być czystszym, niż Ten, co go stwarza?
 Ci, co mu służą, jakże są niestali!
 W Aniołach znalazł nieprawości ziarno;
 Ludzie, w glinianych domach zamieszkali,
 Co orzą ziemię błotnistą i czarną,
 Daleko więcej do grzechu gotowi,
 Dają się zepsuć brzydkiemu molowi.
 A od poranku do wieczornej zorzy
 Będą wycięci, polegną w ruinie.
 A kto pojęciu serca nie otworzy,
 Kto nie rozumie — wiekuiście zginie.
 Będzie od niego bracia odłączona,
 A w swej głupocie zmarnieje i skona.

ROZDZIAŁ V.

Voca ergo, si est qui tibi respondeat,
 et ad aliquem sanctorum convertere.

Wołajże tedy — niech wybrany który
 Na twe pytania odpowiedź uciści.
 Zabija głupca jego gniew ponury,
 Maluczki ginie od własnej zawiści.
 Widziałem w świecie potęgę zbrodniarzy
 I złorzeczyłem ozdobie ich głowy;
 Lecz niech syn jego o szczęściu nie marzy,
 Być na proch startym niech będzie gotowy.
 Chleb jego żniwa rozjedzą zgłodniali,
 Bogactwa jego rozplyną się rzeką,
 Przyjdzie mąż zbrojny, w bitwie go obali
 I uprowadzi w niewolę daleką.
 Pewna przyczyna dla wszystkich jest rzeczy,
 A żadna boleść nie wyrasta z ziemi.
 Na znój i pracę zrodzon syn człowieczy,
 Na lot stworzone ptaki skrzydlatemi.
 Pójdę do Pana i mowę przełożę,
 Niech mi objaśni miłosierdzie Boże.

On dziwne rzeczy, On tworzy co chwila
Niewybadane, niezliczone w mowie,
On ziemię deszczem rześistym zasila,
Podniósł pokornych, a słabym dał zdrowie,
Rozchwiał złośliwych wszelką myśl złowroga,
Rozbroił ręce, że szkodzić nie mogą.
On wikła chytrych w ich sideł narzędzie,
Radę przewrotnych uczyni daremną;
Zbrodniarz w dzień biały omackiem iść będzie,
Jakby go nocne otaczało ciemno.
Ale słabego od gwałtu zachowa,
Uciśnionemu udzieli otuchy;
Ani mu ostra zaszkodzi obmowa,
Miecz jej stępuje i stanie się kruchy.
W dzień uciśnienia błogo człowiekowi!
Nie szemraj w duszy, gdy jesteś karany;
Niemasz co jęczeć, bo Pan cię uzdrowi,
Ręka, co rani, uleczy twe rany.
Siedm ciężkich ciosów ominie twą głowę
I siódma plaga od ciebie uciecze,
Czy głód pustoszy, czy wojenne miecze,
Czy złego człeka sykanie węzowe.
Będiesz stał krzepko, gdy klęska uderzy,
Śmieszna ci będzie najsroźsza niedola,
I głód, i pomór, i ryk dzikich zwierzy,
I zawrzesz sojusz z kamieniami pola.
W twoim przybytku ujrzysz spokój błogi,
Czysty na sercu zakwitniesz w ozdobie,
Twego potomstwa rój piękny a mnogi,
Jak wonne ziółka, uśmiechnie się tobie.
Wnijdziesz do grobu bogaty, wesoly,
I chlubny w życiu z swoich plonów wiele,
Jako snop pszenney wniesion do stodoły,
Który żniwiarzów serce uwesela.
Tegośmy doszli, stroskany Hiobie!
Pomnij te słowa i rozbieraj w sobie.

ROZDZIAŁ VI.

Respondens autem Iob, dixit: Utinam appenderentur peccata mea, quibus iram meruit, et calamitas, quam patior, in statera.

Na to mu Hiob na odpowiedź rzecze:
— Możem zaprawdę wywołał gniew Boży!
Niechże cierpienia i nędzy człowiecze
Z memi grzechami na szalę położy.
Szala mych cierpień, och! cięższa sto razy,
Niż piasek morski, co przesiąknął wodą!
Gdy strzały Pańskie moje piersi bodą,
Bolesne idą z ust moich wyrazy.
Żądła pocisków duch mój wypijają,
A strachy Pańskie obsiadły mię zgrają.
Czyż osieł leśny jęk żaloszny wyda,
Kiedy ma trawy dostatek przy sobie?
Czyż będzie ryczał wół przy pełnym żłobie?
Czy w strawie naszej smakuje ohyda?
Czy można przelknąć, gdy jadło bez soli?
Czyliż w truciźnie jest zdrowie i siła?
Do czego dusza dotknąć się brzydziła,
Tem się dziś karmić muszę po niewoli!
O któż w nadziei umocni mi ducha?
Kto mi uczyni, że mię Pan wysłucha?
Kto pocznie karcieć, niech karcieć dotkliwie,
Wyciągnie rękę i niech mię uderzy,
Bolesnym ciosem niech boleść uśmierzy,
A mowom świętym ja się nie sprzeciwię.
Cóż moja siła? jam steran przez nędzę,
Trudno cierpliwie znosić mą pokutę:
Jam nie kamienny w swoich sił potędze,
A ciało moje nie z miedzi wykute!
Duch mój sam w sobie wspomóżenie traci!
Gdzież moi krewni? gdzie powinowaci?
Kto z przyjacielem cierpienia nie dzieli,

Ten bojaźń Pańską, zlekceważył podle;
A bracia moi ode mnie zniknęli,
Jaki szybki potok, co nie stoi w źródle:
Boją się szronu, by nie zmroził zdradnie,
A oto na nich ciężki śnieg przypadnie.
Bóg ich rozproszy niedługą godziną,
Gdy śnieg roztaje, marnie się rozplyną.
Uciekać będą, ale chód ich słaby,
Bo powikłali swe ścieżki na ziemi:
Patrzcie na drogę Themy albo Saby,
A obaczycie, co stanie się z niemi!
Przyszli tu do mnie, wstydem się okryli,
Zem miał nadzieję w mej bolesnej chwili!...

Wy, co mej doli świadkami jesteście,
Strach was ogarnia, i czemuż was straszę? —
Czyżem ja prosił: Dary mi przynieście!
Dajcie mi bracia, majątności wasze!
Czyżem ja wołał: Dajcie krew w ofierze!
Z nieprzyjacielskich szponów mię wyrwijcie!
O jedno proszę: Bym kierował życie,
Czego nie umiem, nauczcie mię szczerze!
Czyż słowom prawdy wy uwłaczać warci?
Ja będę milczał, kto chce niech mię karci.
Lecz wasze słowo na wiatr tylko idzie,
Miota zelżywe połajania śmiecie;
Wy na sierotę targnąć się w ohydzie,
Wy przyjaciela obalić umiecie.
Obaczym, kończcie, jakeście zaczęli.
Słuchajcie pilno, czy ja kłamstwo baję,
Mówcie bez kłótni, co się wam wydaje,
Niech sprawiedliwość wyroku udzieli.
Dróg nieprawości ominałem zdala,
A słowo głupstwa ust moich nie skala.

ROZDZIAŁ VII.

Militia est vita hominis super terram, et
sicut dies mercenarii, dies ejus.

Życie człowieka jest to walka cicha;
Dzień jego życia to dzień najemniczy.
Niewolnik w pracy do drzew cienia wzdycha,
Najemnik chwile do zachodu liczy.
Tak się i u mnie zdarzały do syta
Miesiące drzemki, lub noc pracowita.
Do snu się kładąc, pytam: Kiedy wstanę?
Czyliż mam czekać i boleć do zmroku?
Ciało zgnilizną prochu przyodziane,
Jam próżen wszelkiej nadziei widoku!
Dni moich pasmo prędeej się roztacza,
Niż zwój płócienny pod nożycą tkacza...
Życie jest wiatrem, takeś stworzył, Panie!
Nie umiem oczu wznieść ku dobrej rzeczy;
Ty spojrzysz na mnie, i już mię nie stanie,
Już mię nie zdoła znaleźć wzrok człowieczy!
Jak białe chmury znikną i przebiegą,
Tak znika człowiek, — tu był, tu go niema;
Już nie powróci do domu swojego,
Ani go ziemia obaczy rodzima...
Niech biedna głowa marzyć rozpoczyna,
Pogwarzę z sobą, gdy mną boleść miota.
Czyż ja wieloryb? czy morska głębina?
Za cóż mię straszna otacza ciemnota?
Niechaj mię łoże moje uweseli,
Niech się rozmówię sam z sobą w pościeli.
Ale Ty, Panie, nastraszasz mię we śnie,
Wstrząsasz mą duszę widziadłem zwodniczem!
O życiu mojem zwątpiłem zawczasie,
Przebacz mi, Panie! bo życie jest niczem...
Bo cóż jest człowiek? uzacniasz go! poco?

Za co Twa dusza ku niemu wylana?
 Zaledwieś Łaską nawiedził go z rana,
 A już go zaraz doświadczasz Twą Mocą!...
 Długoż bolesną mam przebywać drogę,
 Że w piersiach przełknąć oddechu nie mogę?
 Stróżu ludzkości! jam grzeszny! cóż zrobię?
 Na coś mię stawił naprzeciwko Tobie?
 Dlaczego grzechu mego nie zmazano?
 Codzień mi z sobą ciężej i nieśmielej...
 Ja w prochu spoczną, poszukasz mię rano,
 Ale już zginę, bo mię proch spopieli!...

 ROZDZIAŁ VIII.

Respondens autem Baldad Suhites, dixit...

Baldat z Suhity na odpowiedź mówi:
 — Czyż długo będziesz mówił tak niejasno?
 Czyż Pan jest sprzeczen własnemu sądowi?
 Czyż On obala sprawiedliwość własną?
 Synowie twoi, gdy przy nim zgrzeszyli,
 Dał je na pastwę ich własnych bezprawii;
 Lecz ty, w porannej gdy się ockniesz chwili,
 Gdy Wszehmocnemu modła się odprawi,
 Gdy będziesz czysty, gdy duch się uprości,
 I Pan się ocknie w swej sprawiedliwości.
 Jeśli początki twe były za małe,
 On wyolbrzymi koniec twoich chęci.
 Uważaj wieki dawniejsze, zbutwiałe,
 Spytaj usilnie swych ojców pamięci,
 (Bo my jesteśmy ludźmi wczorajszemi,
 A życie nasze jest cieniem na ziemi);
 A głos twych ojców z pod serca odpowie,
 Gdzie siła życia spoczywa ukryta.
 Czyż bez wilgoci zakwitnie sitowie?

Wzrośnie bez wody oczeretu kita?
 Patrzaj na zeschniętą wśród upalnej suszy:
 Zda się lodyga zielona i w kwiecie, —
 Otoć umarła, spróchniała już przecię,
 Dotkniesz jej ręką, a w ręku się kruszy.
 Tak obłudnicy wejdą na bezdroże,
 Bo jeden wigor — to jest prawo Boże.
 Bóg żądze głupich zniszczy do ostatka,
 A ich nadzieja, to pajęcza siatka.
 Choć ściany domu podeprze plecami,
 A przecię razem ze ścianą upadnie;
 Ssać pokarm z ziemi napróżno się mami,
 Stosy kamieni przytłoczą go zdradnie.
 Pan wyrwie z ziemi pasożytne ziele,
 I rzecze k'niemu: Nie znam cię za syna!
 Bo w drogach Pańskich tam większe wesele,
 Gdzie korzystniejsza wykwita roślina;
 Bo Pan Bóg mieszka, gdzie szczerzy a prości,
 Nie da ich w szpony ludzkich nieprawości.
 On wargi twoje do śmiechów wykrzywi,
 Krzykiem powitasz bezbożnych bożyszczę;
 Wstydić się będą twoi nieżyczliwi,
 Gmach nieprawości upadnie na zgliszcze.

ROZDZIAŁ IX.

Et respondens Iob, ait: Vere scio, quod ita sit,
 et quod non justificetur homo compositus Deo.

Odpowie Hiob: — Toć prawda wymowna,
 Będzie potępion, kto się z Bogiem równa;
 Kto z nim szermierzyć puści się na słowa,
 Ten na słów tysiąc jednego nie powie;
 Kto był mu sprzeczen, a spokój dochowa,
 Wielką miał mądrość i w sercu i w głowie!
 Bo Pan, ockniony w zapalczwym gniewie,

Zdolen wstrząść ziemią a góry przenosić,
A człowiek, sądząc, że przemądry dosyć,
Spełnia wyroki, o których sam nie wie.
Pan gwiazdom pieczęć przykłada swą siłą,
Pan każe słońcu, aby nie wschodziło,
Nad firmamentem rządzi Jego władza,
Po falach morskich On sam się przechadza;
On gwiazd gromady na niebie rozmieścił,
On w liczbie — dzieła niezliczone streścił.
Nie wiem, gdy do mnie skieruje swą drogę,
A gdy odchodzi, ja zgadnąć nie mogę.
A jeśli pyta, to któż mu odpowie?
Kto Go zagadnie: czemu to lub owo?
Nikt się Bożemu nie oprze gniewowi,
Choćby krąg świata dźwigał nad swą głową.
I któż ja jestem, abym memi słowa
Dawał odpowiedź na słowa Jehowy?
A choćbym sędził i słusznie, i szczerze,
Mego sędziego najprzód się poradzę.
Kiedy mię słucha — ja jeszcze nie wierzę.
Och! bo mi przy nim braknie na odwadze!
Bo w mgnieniu oka zawichrzy powietrze,
Boleść pomnoży i we proch mię zetrze!
Pytasz o siłę — Pan treścią jest siły,
A w sądach Jego któż za mną poświadczy?
W głębi mej duszy skona głos doradczy,
Własne mię usta przed Nim potępiły.
Nie uniewinnią starania mię żadne,
Czy ja mam słuszność? — sam tego nie zgadnę.
Jedno, co dusza wyznać się odważy:
On sam cnotliwych, On niszczy zbrodniarzy.
Lecz kiedy chłoscze, niech zabije raczej,
Niżby miał sztydzić z niewinnych rozpaczy.
Posiada ziemię ręka niegodziwa,
Oblicze ziemi rój sędziów przykrywa;

Lecz jest nad sędziów wielki Sędzia przecie, —
Jeśli go niema, to któż jest na świecie?...

Dni są jak goniec, co pośpiesza nagle:
Przeszły i dobra zgoła nie widziały,
Śpieszą, jak okręt, co rozwinie żagle,
Lecą, jak orzeł na żer między skały...
Rzekłem: Zaniecham bluźnierczych bezprawi;
Lecz twarz się zmienia, a boleść mię dławi.
Mych własnych czynów byłem w duszy trwożny,
Bo wiem, że grzechy zwykłeś karcieć srodze;
A jeśli jestem mimo to bezbożny,
To cóż po pracy? to cóż po mej trwodze?
Choćbym się omył — do czegoż mi służy?
Choćby mi ręce białością się lśniły,
Ty mię pograżysz w ohydnej kałuży,
Będą mną szaty moje się brzydziły.
Bo Ty masz wszystką potęgę nade mną,
Bośmy nierówni i z ciała, i z ducha;
Ciebie przed sądem stawić nadaremno,
Który nas obu zarówno wysłucha.
Gdy żaden sędzia nie znajdzie sposobu
Ręki swej kary położyć na obu,
Niechże przynajmniej na mą słabość zważa,
Odejmie różdkę swojej gniewnej chłosty,
Swoim postrachem niech mię nie przeraża,
Będę doń mówił na mój sposób prosty;
Bo póki groźno po mem licu śledzi,
Jakże mam dobyć słowa odpowiedzi?

ROZDZIAŁ X.

Taedet animam meam vitae meae, dimittam
adversum me eloquium meum...

Tęskno mej duszy na świecie, jak w grobie,
Brzydzą mię życia mojego koleje;
Więc będę mówił sam przeciwko sobie,

Gorycz mej duszy przed Panem wyleję.
I rzeknę Panu: Nie karz, niech nie ginę,
A jeśli sądzisz, to powiedz przyczynę!
Czyliż, o Panie! dobrem Ci się widzi,
Że mię uciśniesz? jam Twe dzieło, Boże!
Gdy się Twój sługa sromotnie zawstydzi,
Toć się bezbożnik na siłach wspomóż.
Czyż Twoje oko, co wszystko przenika,
Patrzy cielesnem spojrzeniem grzesznika?
Alboż dni Twoje to człowiecze chwile,
A lata Twoje jako ludzkie lata,
Abyś miał badać moich grzechów tyle,
Jako mię własna nieprawość przygniata?
Łacno Ci wiedzieć, żem dusza bezbożna,
Wszak z Twojej ręki wyrwać się nie można.
Sameś mię stworzył, a dziś ciosem młota
Niszczysz, co własna utworzyła praca.
Wszak byleś skinął, a moja istota
Upada w błoto i w proch się obraca.
Jako mleczarka z dojnych wymion krowy
Wyciska mleko i ma ser gotowy,
Takeś mię stworzył — oblokłeś mię ciałem,
Kośmi i ścięgny utrwalon zostałem.
Dałeś mi życie, dałeś miłowanie,
Strzegła mię Łaska wśród żywota burzy.
Pocóż to taić zdało Ci się, Panie?
Alboż ja nie wiem, że Ci pamięć płuży?
Jeżelim zgrzeszył — oplakuję zbrodnie;
Czemuś mi cnoty zatamował drogę
Dla chwili grzechu? — Dziś sprawiam się godnie,
A przecież podnieść mej głowy nie mogę.
Że byłem pyszny jako leśna lwica,
Wzięłeś mię w sidła między leśne drzewy;
A Twoja pomsta dzisiaj się nasycą,
Nad mą słabością wywiera swe gniewy.
Przyzwałeś świadki, żem się puszył marnie,
I nad mą głową pomnażasz męczarnie.

Wyjść z łona matki Ty mi dałeś siły,
 Na coś na słońce otworzył me oczy?
 Byłbym jak nie był! — z życia do mogiły!
 Kiedyż mię ciemno grobowe otoczy?
 Puść mię ze świata! a nim dni ulecą,
 Kilka dni moich na tej ziemi łonie,
 W mojej boleści niech popłaczę nieco;
 Potem niech ciemno grobowe owonie
 W krainie nędzy, śmierci i ciemności,
 Gdzie bez porządku, jeno przestrach gości.

 ROZDZIAŁ XI.

Respondens autem Sophar Naamathites, dixit . . .

Rzekł na odpowiedź Sophar z Naamithy:
 — Kto wiele mówi, niechże przecię słucha!
 Człowiek, w szerokie wyrazy obfity,
 Usprawiedliwić nie potrafi ducha.
 Tobie się zdaje w pysze twego serca,
 Że ci zuchwale chlubić się wypada,
 Że kiedy innych ośmieje szyderca,
 To już szydercy żaden nie przegada.
 Rzekłeś, Hiobie: — Czyste moje słowa!
 Jestem niewinien przed Pańskim obliczem!
 Bogdaj do ciebie przemówił Jehowa!
 By cię oświecił słowem tajemniczem,
 By cię objaśnił w swej mądrości drodze,
 W drodze Zakonu by ci dowiódł jasno,
 Że chociaż cierpisz, lecz cierpisz mniej srodze,
 Niżliś zasłużył nieprawością własną.
 Myślisz, jak widzę, śledzić Pańskie kroki
 I zbadać Wszechmoc że ci siły stanie;
 Lecz On wysoki . . . nad Niebo wysoki,
 Głębszy niż piekiel głębokie otchłanie,
 Dłuższy niż ziemia, a szerszy niż morze, —
 Jakże Go zdołasz ogarnąć, nieboże?

Jeżeli wszystko do gruntu obali
 Lub ściśnie w garści wszechświatów ogromy,
 Jacyż się jemu sprzeciwią zuchwali?
 On zna człowieka, On grzechów świadomy.
 Mąż jeno próżny podnosi się w pychę,
 Aby tajemnych dróg Pańskich dochodził;
 Leśnej oślicy jeno źrebię liche
 Mówi do siebie: — Jam się wolnym zrodził! —
 I ciebie myśli zajęły dziecięce,
 Przeciwko Niemu wyciągnąłeś ręce.
 Gdy cię odstąpi wszelka myśl nieprawa,
 To zniknie razem twój strach i obawa;
 Jako nie myślisz o ubiegłej wodzie,
 Zapomnisz cierpień, co ci serce bodą;
 Gdy będziesz myślał o życia zachodzie,
 On ci jutrzenkę rozpromieni młodą;
 Weźmiesz do serca otuchę nieznaną,
 I będziesz krzepki, jakby cię wkopano.
 W twoim spoczynku już strach nie przenika,
 Zbiegną się patrzeć, jak ci twarz jaśnieje,
 Kiedy się zaćmi oko bezbożnika
 I pierzchną jego obrzydłe nadzieje...

 ROZDZIAŁ XXXVIII.

Respondens autem Dominus Iob de turbine, dixit . . .

A z szmeru wichrów Pan rzekł do Hioba:
 — Ktoś jest przede mną, marny synu ziemi?
 Czemu się skarżysz? przecz ci się podoba
 Wikłać wyroki słowy niebacznemi?
 Przepasz twe biodra, ja będę cię badał,
 Odpowiedz, mędrcze, co twa myśl spamięta!
 Gdzie byłeś wtenczas, gdym ziemię zakładał,
 Kiedym jej trwałe ciosał fundamenta?
 Kto jej budowę i ciężkość obliczy?

Kto ją rozmierzył pod sznur budowniczy?
Kto jej podstawę ugruntował trwale?
Kamień węgielny kto pod nią położył?
Czy byłeś wtenczas obecny mej chwale,
W obliczu ludzi i porannej zorzy?
Kto fale morskie, jak drzwiami lub kratą,
Zamknął w łożysku, uczynił brzeg suchy,
Okrył je chmurą, jakby mglistą szatą,
Osłonił mrokiem, jak dziecię w pieluchy?
Jam te granice wskazał niedościgłe,
I do wrót morskich przyprawiłem rygle,
I rzekłem morzu: Tu przyjdą twe wały,
A tu się fala burzliwa rozpryska.
Czyż twoje myśli ukazać zdołały
Porannej zorzy miejsce stanowiska?
Czyż ty, trzymając za ziemne krawędzie,
Z oblicza ziemi otrząśłeś zbrodniarze,
Światłość niezbożnych że odjęta będzie,
A silne ramię złamaniem się skarże?
Wnijsć w morskie głębie czy zdolna twa władza?
Po dnie przepaści wiesz jak się przechadza?
Czy uchyliłeś straszne śmierci wrota?
Czy oglądałeś czarne drzwi otchłanie?
Szerokość ziemi jako jest osnuta?
Daj mi odpowiedź na me zapytanie!
Gdzie jasna światłość, a gdzie ciemność mieszka?
Jakie są cele tych obojga rzeczy?
Jakie ich prawa i jaka ich ścieżka,
Czyś wyrozumiał, o synu człowieczy?!
O twych urodzin czy wiedziałeś dobie?
Liczba dni twoich czy znajoma tobie?
Czy byłeś w skarbcu, kędy śnieg się chowa
I kędy gradu tajemne schowanie?
Na nieprzyjaciół jaka broń gotowa,
Kiedy dzień walki morderczej nastanie?
Czyś zbadał drogi i światła, i słońca?
Albo podziały i stopnie gorąca?

Wiesz jak deszczowa ulewa się wzbudzi?
Obliczysz drogę piorunowej siły,
Aby w pustyni, kędy niemasz ludzi,
Z deszczem się trawy lepiej zieleniły?
Kto ojcem deszczu? skąd rodzi się rosa?
W czym żywocie poczęły się lody?
Kto białym szronem przysypał niebiosa?
Kto spoił w kamień wirujące wody?
Kto grzbiety rzeczne jak gdyby szkłem zalał?
Kto wierzch topoli bryłami zawałał?
Rozpierzchłe gwiazdy czyś policzyć w stanie?
Czy zerwiesz łańcuch, którym je spojono?
Czy wyprowadzisz poranne świtanie
Lub brzask wieczorny na niebiosów łono?
Czy na twój rozkaz z obłoków czeluści
Deszcze popłyną lub piorun się spuści,
I przed obliczem twem się zastanowi,
I rzecze tobie: Otośmy gotowi!
Kto wielką mądrość wlał w serce człowieka?
Kto drobne kury rozmysłem obdarza?
Na kogo Niebo albo ziemia czeka?
Kogo uznają za swego mocarza?
Kto wyprowadza kamienie i bryły?
Kto każe prochom, aby się zlepiły?
Powiedz, człowiecze, czy cała twa władza
Zdoła nakarmić wygłodniałe lwięta,
Kiedy ich matka na żer się zasadza?
O kuku leśnym, powiedz, kto pamięta?
Czy twoja mądrość zaspokoi kuku?
Czy go nakarmi w przyzwoitej chwili,
Gdy się tułając pożywienia szuka,
A głodna dziatwa w niebogłose kwili?...

.....

1854—1856. Borejkowszczyzna.

URYWKI I PARAFRAZY.

Z E K L E Z Y A S T Y K A.

Rozkosze mi niegdyś płynęły nawałem,
 W młodzieńczych mych piersiach wrzał ogień namię-
 Lecz przeszło złudzenie, została tęsknota, [tny;
 I kwiaty uwiędły, i pękła nić złota,
 Blask oka zardzewiał, — znudzony, niechętny,
 Rozkosze marzeniem nazwałem.

Jam później bił czołem przed pychy obliczem,
 Wielkością, bogactwem i sławą się pieścąc;
 Lecz szczęścia nie było, duch czegoś chciał jeszcze,
 I wielkość nazwałem niczem.

Zechciałem być mądrym, chwyciłem za księgę,
 Dróg prawych wyszukać pragnąłem,
 I we dnie, i w nocy, z męczarnią, mozołem,
 Badałem mądrości potęgę.
 Sledziłem, czytałem, lecz było mi mało,
 Chęć nauk została mi piekłem;
 Mądrości-m nie pojął, a szczęście skonało:
 Mądrość jest próżnością! wyrzekłem.

*

*

*

Na co mi władza, siła olbrzyma,
 Gdy nie mam władzy nad sercem mojem?
 Jakże obdarzę ludzi pokojem,
 Gdy w duszy mojej pokoju niema?
 W złotym pałacu, na miękkim puchu,
 Na lubyh dziewic rozkosznem łonie,
 Jam nudził życiem, marzył o zgonie:
 Szczęście dla ducha jest tylko w duchu!
 Kiedym opływał uciech zapasem,
 Wszystko mym żądzom było w usługę,

Podły niewolnik dziwił się czasem,
Czego ja tęsknię, czego się nudzę?

*

*

*

Rzekłem: Poznać ludzi muszę, —
Poznałem — i zapłakałem!
Pod jak pięknem kryją ciałem
Złe i nieszczęśliwe dusze!
Czy dni smutku, czy wesela,
Ich się dusza dzika, sroga
Wiecznie w dzikich myślach grzebie;
Człowiek — wróg swojego wroga,
Wróg swojego przyjaciela,
Wróg najstraszliwszy dla siebie.

*

*

*

O! nie pod słońcem, nie nowego!
Co jest, to było i nie minie:
Dawniej łązy biegly, jak dziś biega,
I krew płynęła, jak dziś płynie.
I dawniej człowiek biegł za zyskiem,
I dawniej bywał po kolei
Smutną ofiarą i igrzyskiem
Losów, słabości i nadziei.
I wnuki nasze może srodze
Wyśmieją prochy naszych kości, —
I będą iść po naszej drodze
Nieszczęścia, marzeń i słabości,
Płacić wiek łez radości chwilką,
Marzyć o świetle, brodzić w ciemnie,
I łązy, i krew toczyć wzajemnie,
I pomrą ludźmi — ludźmi tylko.

Z POEZJI TYCHONA BRAHEGO.

NA DREWNIANE

NARZĘDZIE PARALAKTYCZNE WYNAŁAZKU I ROBOTY KOPERNIKA.

Is, qualem non terra per saecula multa Procreat . . .

Is ille, qui coelo genitus, coelestia terris Progenuit . . .

Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile
Wydać nie w sile . . .

Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy
Niebieskich rzeczy . . .

On zachwiał całe niebo prawami wiecznemi,
Słońce zdołał zatrzymać i kazał biedz ziemi,
Księżycowi ukazał, gdzie mu być potrzeba,
Przekształcił oblicze nieba.

Kopernik na to dzieło iść się nie zachwiewa,
Z laską/tylko kunsztownie ustruganą z drzewa.
Pisze prawa niebiosom jego mądra władza,
Pod wymiar lichej trzaski gwiazdy podprowadza,
Zatrzymywa ich biegi, z niebem spaja duszę.
Nikt jeszcze ze śmiertelnych od początku świata
Nie był tak wszechmogącym — cóż nad geniusze?
Niegdyś olbrzym, gdy w niebo wysokie kołata,
Składa góry na górach, głaz na głazy wali,
Osę, Pelion, Etnę, zgromadza na stosy, —
Przecież silni na ciele, ale duchem mali,
Nie mogli olbrzymowie wedrzeć się w niebiosy.
A ten, ten wielki mędrzec, schylony nad księgą,
Wąły ciałem, lecz silny umysłu potęgą,
Nie wsparty żadną mocą, z małą trząską drzewa,
Wszedł na szczyt firmamentu, skąd słońce dogrzewa.
O! to pamiątka mędrca — ze wszystkimi blaski
Złoto jeszcze niegodne okupić tej trzaski.

ADAMA SCHRÖTERA

URYWEK Z POEMATU „O ŻUPACH SOLNYCH WIELICKICH.“

Gdym solne lochy rozpatrywał chciwie,
 Dobry Koszyński, mając mię na pieczy,
 Rzekł mi: — Adamie! dowiesz się o dziwie,
 Trzeba mu wierzyć jak doznanej rzeczy.
 Kiedy z gór naszych woda się zakradnie,
 Zaleje lochy i wsiąknie do jamy,
 Od wody proszek wyrabia się snadnie,
 Co my saletrą w Polsce nazywamy.
 Wtenczas się zdarza, że idąc, kopacze,
 Lampą na ciemnej przyświecają drodze,
 Płomień od lampy aż na ściany skacze,
 Jaskinia buchnie, zadymi w požodze.
 A wzdęty płomień przelatuje wszędzie
 I nie wprzód zgaśnie aż saletrę wyje.
 A biada temu, kto w ognisku będzie!
 Płomień go spali, a wyziew zabije.
 Ale bywałych doświadczenie uczy:
 Kopacz z pośpiechem na ziemię się kładnie,
 A ogień wierzchem przelatuje, huczy,
 Spala saletrę i zgasa bezwładnie...

PIOSENKI J. P. BERANGER'A.

KRÓL ĆWIECZEK.

(PARAFRAZA).

Był sobie niegdyś król Ćwieczek,
 Z dziejów nie wielce go znano:
 Wstawał późno, kładł się rano,
 Unikał wojen i sprzeczek;
 Zamiast korony na czoło,
 Stroił się prostą szlafmycą;

A naród krzyczał wesoło:
 — Takiego króla wokoło
 Nie znajdziesz nawet ze świecą!
 Nie znajdziesz, próżne gadanie!
 Taki wyborny człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

Jadł cztery razy na dobie;
 A wesół i dobrej daty,
 Siadał na osielka sobie
 Objeżdżać swoje powiaty.
 Przy jego królewskiej mości
 Pies zamiast rycerskiej straży;
 A naród pełny radości,
 Wiedzie go z włości do włości.
 Wołają młodzi i starzy:
 — Zdaje się, choć w pańskim stanie,
 Zuch, wesół, dobry człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

On się na puhar nie skrzywi,
 Od kufła się nie zakrztusi;
 Bo gdy poddani szczęśliwi,
 I królże przecię żyć musi!
 U stołu poddanych zjada
 Garnek kaszy za podatek;
 Więc go spotyka gromada,
 I przeprowadzać go rada,
 Krzyczy u każdych rogatek:
 — To król! to nasze kochanie!
 To co się zowie człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

A dziewczętom tak się gładko
 Przypodoba i zaleci,

Ze królował nad gromadką,
 Jako ojciec pośród dzieci.
 Wojny nie miał i w zamiarze;
 Tylko gdy się podweseli,
 Przy rozwiniętym sztandarze,
 Cztery razy na rok każe
 Strzelać tak sobie... do celi...
 I daje sute śniadanie...
 — Ot to honestus człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

Chęć zaborów go nie mami,
 Po bratersku żył z sąsiady;
 Pohulanki i biesiady
 Zawarował statutami.
 Król i lud żyli bez kłótnie;
 Tylko na jego mogile,
 Kraj, wesoły przez lat tyle,
 Po raz pierwszy płakał smutnie:
 — Oj, wieczne odpoczywanie!
 Dobry był, dobry człowieczek!
 Niemasz mospanie,
 Jak był król Ćwieczek!

Jego obraz i dziś jeszcze
 Ze czcią chowa się w narodzie:
 Jest to na starej gospodzie
 Szydł wypłowiąły przez deszcze.
 Tam, gdzie się zbierze gromada,
 Niejeden do łez się wzruszy:
 — To był król Ćwieczek nielada!
 Bawi się, pije, zajada...
 Wieczny odpoczynek duszy!
 Bo co to? próżne gadanie!
 Rzadkiej był cnoty człowieczek!
 Niemasz mospanie,
 Jak był król Ćwieczek!

PAN SZCZĘSNY HULAKIEWICZ.

(ROGER BONTEMPS).

Pod złe czasy urodzony,
A wesół zawsze i wszędzie,
Dla męczenników śledziony
Pan Szczęsny wzorem niech będzie.
Aby swobodnie się wiodło,
Stronić od głupców oblicza:
Oto dewiza i godło
Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
Ojcowski kapelusz duży;
Zawsze go zdobić pamięta
Gałązką bluszczu lub róży;
Jeden płaszcz od lat dwudziestu
Zawsze mu ciepła użycza:
Oto jest ubiór od festu
Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
Flecek ze wstęgi przepaska,
I puchar kwartowy może,
Co Bóg napełnia swą łaską;
Pusta skrzynka, a w portrecie
Postać kochanki dziewicza:
Ot wszystkie skarby na świecie
Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
Wymyślić sztukę i cacko,
Starszych zabawić gawędką,
Spleść jaką powieść cudacką,
Tańczyć, zaśpiewać wśród gości,
Gdy ochota biesiadnicza:
Oto treść całej mądrości
Szczęsnego Hulakiewicza;

Przestawać na swoim losie,
 Pić wino, jakie się zdarzy,
 Przenosić wierną Małgosię
 Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
 Że każdy dzionek, co mija,
 Miłość i radość policza:
 To cała filozofia
 Szczęsnego Hulakiewicza.

— Boże, Tyś Ojciec jedyny,
 Ja ufam Tobie jak dziecię!
 Nie racz poczytać za winy,
 Że wesół żyję na świecie;
 Niech póki życia domierzę,
 Nie mam chmurnego oblicza!
 Ota są całe pacierze
 Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
 Nędzni w bogactwa ogromie,
 A których rydwan żywota
 U kresu zbacza i chromie,
 Wy, których potęga mami,
 Lub godność jaka zwodnicza,
 Sprostujcie życie wzorami
 Szczęsnego Hulakiewicza!

WIOSNA I JESIEŃ.

Dwie pory roku każdemu służą,
 Kto się żyć błogo nie leni:
 Na wiosnę radzi pieścim się z różą,
 A z winnem gronem w jesieni.
 Z rana miłością serce rozżarzę,
 Winem, gdy słońce się chowa;
 Wiosną mówimy: — Bądź zdrów, puharze!
 W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Trzeba skojarzyć i to, i owo,
A życie raźniej popłynie;
Jednak przebierać miarkę niezdrowo
Ani w miłości, ni w winie.
Tutaj koniecznie roztropność każe,
By mądra była umowa;
Na każdą wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Z piękną się w maju spotkałem różą,
Podbiła serce ochocze;
Och, bałamutka! och, dziwactw dużo
Zniosłem przez całe półrocze!
Figiel za figiel, wiem, jak ukarzę!
Jesień mój spokój uchowa;
Mówilem wiosną: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Kocham, to rzucam piękną Adełę,
I żal niewielki, i praca;
I pożegnała, i za dni wiele
Znowu mi serce powraca.
Ale już wtedy po letnim skwarze
Piosnką płonęła mi głowa:
Rzekłem na wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Lecz czarodziejka wszystko przemienia,
Plan się mój cały nie ziści:
Winu dodała moc upojenia,
Serce zawrzało ogniściej.
Dla niej nie trudno zmieszać w zamiarze
Najzrozsądniejsze me słowa:
Na wiosnę — przyszła myśl o puharze;
W jesieni — miłość gotowa!

TRUP ŻYJĄCY.

Kiedy się nudzę, gdy świat z daleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Nie zliczę dwóch;
Lecz kiedy strącę nudów okowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdy dzwonią głupcy w szkatuły wieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Zamarł mój duch;
Gdzie wina ze mną wiek jednakowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie roztrząsają, co możnych czeka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Zdrętwiał mój ruch;
Ale gdzie słabi podnoszą głowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Kiedy na wojnę naród się zwleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Pierzcham jak puch;
Gdzie palnie z flaszki ogień korkowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie mądrość wielkich rzeczy docieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka
 Wśród brzęku much;
Lecz w gwarze piosnek, bratniej rozmowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie się kazanie długo przewleka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Tępy mój słuch;
 Gdzie woła przyjaźń, nie znam odmowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Jasny pan wchodzi, radość ucieka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Nie pański druh;
 Gdy wchodzi dziewczę pięknej budowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Trzeźwą łódź życia gdy popchnie rzeka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 W morze mię pluch!
 Lecz ze szklanicą pod wiatr żagłowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch!

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC.

(Voyage au Pays de Cocagne).

W kraj szczęśliwy, kraj Boski,
 Gdzie się żyje bez troski,
 Podróżujmy wesoło, jak dzieci!
 Rozegrzanym po winie
 Niech się skrzydło rozwinie, —
 Hej! na księżyc wyprawa poleci!

W kraju pięknej nadzieje
 Niech się z losów pośmieje,
 Niech zbuduje rozkoszne pałace.
 Co za ziemia szczęśliwa!
 Mlekiem, miodem opływa,
 I używam, i grosza nie płacę.

Po podróżnej fatydze
 Gmachy z tortów już widzę,
 Jak Luwr pyszny podnoszą swą głowę;
 A przy każdym filarze
 Zbrojne warty i straże,
 W ich rękę halabardy cukrowe.

Co za słodka systema!
 Tu z żelaza nic niema,
 Z cukrów nawet armaty i działa;
 Z jagód, fruktów i kwieci
 Malowidło się świeci,
 Mozaika, rzeźba wspaniała.

Stańmy nieco przed placem:
 Tu arlekin z pajacem
 Wyprawiają ludowi igrzyska;
 W środku bije fontanna,
 To nie woda źródłana,
 Ale wino pienne wytryska.

Długi szereg kucharzy
 Mięso piecze i warzy,
 Prawa uczytę pogwałcać nie można;
 Bo kto jeno przekroczy,
 Stawia kodeks przed oczy,
 Każą kręcić pieczone u różna.

Tam w pałacu zasiada
 Tucznych mężów obrada,
 Składa hołd wesołości, swej pani.
 Rzeczy dobrze snadź idą:
 Wenus, bożek Kupido,
 Słowem, wszyscy okrągli, rumiani.

Wszystko szczęściem oddycha,
 Twarzy nie dmie im pycha;
 Niema spojrzeń ukośnych, poswarek:

Wszyscy prości a szczerzy,
Równi wobec wieczerzy:
Warto z nimi wychylić puharek!

Pięknych niewiast rój hoży,
A żadna się nie sroży,
Postać uczyty zaprawdę godowa;
Szkłanka o szklanę brzęka,
Szumi rzeźwa piosenka
Lub figlarna a pusta rozmowa.

Mąż po sutej biesiadzie
Na stół głowę swą kładzie,
I zasypia, nie marząc zawistnie;
Choć wzrok matek ponury
Wciąż wlepiony na córy,
Lecz pod stołem się rączka uściśnie.

Wszyscy życiem natchnieni,
Każda twarz się rumieni,
Tu nie ujdzie twarz chmurna i blada;
Gdy godzina uderzy,
Każdy, kontent z wieczerzy,
Spokojniutko do snu się układa.

Jaka tam miłość braci!
A nikt długów nie płaci,
A w miłostkach o stałość nie pyta!
A gdzie dusza szczęśliwa,
Wiek powoli upływa, —
Sto lat żyją szczęśliwi do syta.

Na księżycu w tej sferze
Człowiek życia nabierze...
Ale cóż to?... znów żywot powszedni!
Kto z marzenia mię budzi?
My w gospodzie... wśród ludzi...
Płaćmy z karty rachunek obiedni!

DZIEŃ ZADUSZNY.

Czy słyszycie?... z kościoła
 Mruczy głucho dzwon stary:
 Do modlitwy nas woła,
 Karci nasze rozgwary.
 Tam ksiądz głosi przemowę:
 Rzućcie pieniąż na tacę!
 To za dusze czyścowe,
 Requiescant in pace!

Płaćmy grobom dań pieśni,
 Rzućmy kwiaty koleją;
 Kłamcy niby boleśni
 Niech je łzami obleją.
 Ja myślom zmarłym z czoła,
 Ja hołd przeszłości płacę,
 W zaduszny dzień kościoła,
 Requiescant in pace!

.

Grób od ojców nas dzieli, —
 Czyż nas pamięć ich straszy?
 Oni z nędzy się śmieli,
 A my śmiejmy się z naszej!
 Ze mną miłość wesoła,
 Kielicha z rąk nie tracę:
 W zaduszny dzień kościoła,
 Requiescant in pace!

Precz wszelki żal kobieci,
 Gdy legnę do mogiły!
 Bogdajby nasze dzieci
 Weselsze od nas były!
 Ścieląc całunów sukno,
 Niech wspomną nasze prace,
 Niech głośnym chórem hukną:
 Requiescant in pace!

S T A R O Ś Ć.

Dzień po dzionku marnie schodzi,
Czas na czole zmarszczki pisze;
Chociaż jeszcze dosyć młodzi,
My starzejem, towarzysze!
Lecz kto lubi kwiatów sploty,
Kto w młódzieńcze wierzy mary,
Kto ma czucie swej istoty,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Próżno winem człek się świeży
I piosenką bezprzytomną:
Krasawice przy wieczerzy
Smutną starość nam przypomną:
Lecz do świtu kto w humorze
Bez ustanku chyli czary,
Kto choć drżący śpiewać może,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Zwolennicy ideałów,
Dziś nie spełnim, co się marzy.
Towarzyski naszych szalów
Przymawiają, żeśmy starzy.
Lecz kto skromnie się udziela,
Kto się słusznej dzierżąc miary,
Ma w kochance przyjaciela,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Dzisiaj młodzież choć nam wróży
Naszą starość niezawodną,
Że natchnienie nam nie służy,
Że piosenki nasze chłodną; —
Lecz kto czuje duch śpiewaczy,
Zdoła jać się strun cytary,
Zebrać w kółko swych słuchaczy,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Chwilkę, chwilkę, towarzysze,
 Wiosny pieśńmy się obrazem.
 A gdy młodość nie dopisze,
 Postarzejem wszyscy razem.
 Lecz kto głowy nie kłopotą,
 Choć ma ciężkich trosk bez miary,
 Kto doścignął cel żywota,
 Ten nie bardzo jeszcze stary.

 P T A S T W O.

Srogiej zimy pęd szalony
 Chaty, pola nam pustoszy.
 Ptastwo leci w obce strony
 Z pieśnią szczęścia i rozkoszy.
 Lecz nad powab cudzej strony
 Kraj rodzinny żywiej świeci:
 Ptaszek, zimą odpędzony,
 Znów na wiosnę tu przyleci.

On nie tyle po swej stracie,
 Ile po nim my boleśni,
 Że w pałacu ani w chacie
 Nie usłyszym jego pieśni.
 On tam będzie rzewne tony
 Dla szczęśliwych nucił dzieci.
 Ptaszek zimą popędzony
 Znów na wiosnę tu przyleci.

My-ć zazdrościm, ptaszku chyży!
 Tobie lepiej i swobodniej.
 Wnet się do nas chmura zbliży,
 Już wiatr mroźny wieje od niej.
 Kto na skrzydłach jest niesiony,
 Szczęsny! ujdzie od zamieci!
 Ptaszek, zimą odpędzony,
 Znów na wiosnę tu przyleci.

Kiedy burzy prąd przeminie,
Gdy odetchną pól obszary,
On zatęskni po rodzinie
I powróci pod dąb stary.
Wróżyć pieśnią letnie plony,
Wróżyć wiosną pełną kwieci,
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

STARA KAPOTA.

Zostań mi wierną, stara odzieży!
Wszakżeśmy z sobą starzeli w parze;
Już rok dziewiąty wspólnie nam bieży,
Niech takiej sztuki Sokrat dokaże!
Bądźże wytrwała, — choć czas i mole
Grożą zniszczeniem, nie troszcz się o to;
Filozoficznie znoś swoją dolę,
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Musisz pamiętać tę słodką chwilę,
Gdym cię raz pierwszy przywdział wspaniale,
Kiedy prawdziwych przyjaciół tyle
Śpiewało pieśni ku twojej chwale.
Dziś, choć straciłaś swą barwę czarną,
Bracia nie wzgardzą naszą lichotą,
Po staroświecku do serc przygarną.
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Wszak pomnisz wiosny naszej poranki?
Wszak cenisz wspólne wspomnienia nasze?
Gdym się wyrywał z objęć kochanki,
Ona-ć oddarła sute karwasze.
Musisz pamiętać to dziewczę młode,
Jak się rumieniąc z miłą prostotą,
Drobnemi ściegi naprawia szkodę...
Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Czyż drogiej ambry zbyt kowną wonią
 Splamilem ciebie przez mnogie lata?
 Czy tam, gdzie trzosem na cizbę dzwonia,
 Sponiewierałem u ścian magnata?
 Nie chciałem ciebie, Pan Bóg mi świadkiem,
 Zdobić we wstęgi albo we złoto;
 Ty byłaś dumna polowym kwiatkiem,
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!
 Przebywszy razem słoty, pogody,
 Takie boleści, takie rozkosze,
 Nie dziw, że zginął nasz połysk młody,
 Że przyszło wkońcu spłowieć po trosze.
 Dziś przysypanych zimy szarugą
 Smutne przecucia wspólnie nas gniołą.
 Służ mi do trumny — czekać nie długo.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

 TRZYNASTU U STOŁU.

Myśmy w trzynastu do stołu zasiedli,
 A jam niechcący rozsypał garść soli.
 Co tam złe wróżby? czegoście pobledli?
 Oto śmierć ku mnie zbliża się powoli!
 Ona się zbliża uśmiechnięta, młoda;
 Na jej przyjęcie w puhar się uzbroję.
 Począłem pieśnię, porzucać jej szkoda.
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Jak gdyby gościa, gdy na ucztę zowa,
 Równianką kwiatów swe czoło uwieńcza.
 Ja tylko jeden widzę ją nad głową,
 Nad nią promienna połyska się tęczą.
 Uśpione dziecię na swych ręku trzyma
 I ciężki łańcuch, stargany na dwoje.
 Dajcie mi puhar! choć mam przed oczyma,
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

— Nie bój się — mówi — jam życia narzędzie,
 Ja córka Niebios, ja siostra Otuchy.
 Biedny niewolnik czyż złorzeczyć będzie,
 Gdy z niego ciężkie opadną łańcuchy?
 Gdy los cię odarł, aniele skrzydlaty,
 Ja ci przywrócę piękne skrzydła twoje!
 Witajcie gościu, a sypcie jej kwiaty!
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Dotknę się czoła — a po latach próby,
 Duch twój uleci, odrodzony zda się,
 Gdzie na lazurze promieniste globy
 Bóg porozsiewał w przestrzeni i czasie.
 Czyż ciebie taka swoboda nie mami?
 Porzuć zgryzoty, porzuć niepokoje,
 Używaj szczęścia pełnemi piersiami!
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Zniknęła postać, a nikt jej nie baczy,
 Pies tylko warknął na widmo grobowe.
 Pocóż się człowiek do życia junaczy,
 Gdy chłód trumienny odrętwia mu głowę?
 Wesolo kończmy nasz żywot zwodniczy;
 Porzućmy strachów niedoleżnych roje;
 Bądźmy w trzynastu — Pan Bóg nas policzy.
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

K O M E T A.

Oto Bóg na nas kometę przysyła;
 Nieunikniona zbliża się zagłada.
 Czuję już, czuję, jak niszcząca siła
 Uderza w ziemię i w gruzy ją składa.
 Żegnajcie, uczty, żywota sąsiedzi!
 Zostawcie wasze zatrute puhary!
 Dusze lękliwe, idźcie do spowiedzi!
 Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

I dnia, i nocy kolejne przemiany
Zginą na wieki — o biada nam, biada!
Jako latawiec ze sznurka zerwany,
Biedna planeta kręci się i spada,
Spadnie na słońce — choć je w gruz zamieni,
Choć zgasi jego odwieczne pożary,
Tyle słońc jeszcze zostanie w przestrzeni!
Nam trzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Już nas znudziła nasza gminna pycha,
Już droga błędu nie tyle nas wabi;
Nużą nas wojny, któremi oddycha
Służebna zgraja, i silni, i słabi.
Znużone oko przyszłości nie szuka;
Zostawmy górne postępu zamiary:
Na mały teatr to za wielka sztuka.
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Młodzież powiada: — Poczekajcie nieco,
Zaraz blask nowy tę ziemię opasze,
Gazem i drukiem zaraz się oświecą
I nasze głowy, i ulice nasze;
Za lat dziesiątek rozproszy się ciemno,
Kiełek postępu urośnie do miary.
Jam lat trzydzieści czekał nadaremno!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Jam nie tak wierzył, gdy w młodości płochej
Miłość i radość ożywiały łono:
— Ziemi! — mówiłem — nie zbaczaj ni trochę
Z błęgiego kręgu, gdzie cię umieszczono!
Dziś postarzałem — moje lica blade —
Znam nicość pieśni, marzenia, ofiary...
Straszna kometo, dopełnij zagładę!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

STARY KAPRAL.

Naprzód! naprzód! marsz, rębacze!
Broń na ramię! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!
Osiwiłem w służbie włosy;
Czym źle zrobił, trudno dociec;
Lecz na musztrach, — ej, młokosy!
Byłem dla was jako ociec.

Naprzód, wiara,
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Obraziłem porucznika,
Bo młodziczek zbyt pozwala.
Ot i z rzeczy rzecz wynika,
Ostry nabój dla kaprała!
Tak potrzeba, na przestroagę...
Zawiniłem, prawda szczerą;
Lecz obelgi znieść nie mogę:
Jam był w służbie bohatera!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew i zdrowie;
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie.
Jam go zyskał w dobrej sprawie...
Ej, bywało, bracia mili,
Ja wam stare boje prawię,
Wy gorzałkęście płacili.

Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszej wioski,
 Wracaj do niej paść swe trzody.
 Patrz, jak pięknie klony, brzożki!
 Teraz na wsi kwiecień młody!
 Ja, bywało o tej porze
 Wdziękami sioła oczy pieszczę...
 O mój Boże! o mój Boże!
 Moja matka żyje jeszcze!

Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Kto tam szłocha? znam po jęku:
 Żona trębacza husarzy.
 Niosłem syna jej na rękę,
 Idąc z Moskwy w przedniej straży.
 Jej by przyszło w dzikim stepie
 Zginać w śnieżnej zawierusze.
 Dziś niewiasta pacierz trzepie, —
 Niech się modli za mą duszę!

Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Tam do licha! fajka zgasła...
 O nie! jeszcze... Już my w kole.
 Do szeregu! czekać hasła!
 Oczu wiązać nie pozwolę!
 Ej kamraci! ej najszczerśi!
 Wara płakać!... Broń gotowa;

Strzelać celno, w same piersi...
 I niech Pan Bóg was zachowa!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

ALCHEMISTA.

Mówisz przede mną, alchemisto stary,
 Że z podłych kruszców wydobywasz złoto,
 A jeszcze bardziej, że swojemi czary
 Możesz mi młodość przywrócić z ochotą.
 Mówię ci z wiarą: Czyń, co się podoba,
 Pełnym ci trzosem wdzięczności dowiodę.
 Zostańmy przy tem, co lubimy oba:
 Ty weźmiesz złoto — daj mi lata młode.

Przewracaj karty starego Hermesa,
 Zgłębiaj Paktolu źródła młodociane:
 Niechaj ci złotem napelnia się klesa,
 Ja sobie chętnie ubogim zostanę.
 Dla ciebie możni otworzą podwoje,
 Mieć będziesz laury, oklaski, wygodę,
 Ja się skromnemi różami przystroję;
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Widzę, jak próżność po sercu ci lechce,
 Słyszę, jak wołasz upojony szalem:
 „Kłęczcie przede mną, zakupię co zechcę,
 Kopalnię złota w nauce zyskałem!“
 Patrzcie, jak skarbów spodziewane plony
 Zmieniły twoją żebraczą przyrodę!...
 Choćbyś mógł kupić berła i korony,
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

O! daj mi młodość taką, jak ja cenię,
 Z duszą potężną, ognistą, namiętą;

Odbierz ode mnie mądre doświadczenie,
 Wlej krew gorętszą w słabe pulsów tętno.
 Obaczysz z okna twych jasnych pałacy,
 Jak ja wesoło piosenkę wywiode,
 Pod cieniem drzewa jak usnę po pracy!
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Wiem, na czem bogactw zasada się chluba,
 Lecz czuję powab młodzieńczych słodyczy.
 Smutno mi widzieć, kiedy moja luba
 Na drobnych palcach me lata policzy.
 Gdy smutna jesień moją głowę śnieży,
 Błagam cię, mędrco, o letnią pogodę.
 Ta, którą kocham, w bogactwa nie wierzy.
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Lecz próżna, widzę, twoja obietnica:
 Tyś zawsze biedny, a ja zawsze stary.
 Poczekaj — mówisz — jutro nów księżyca,
 Pocznem na nowo zaklęcia i czary.
 Choć wiem, że twoja nauka kłamliwa,
 Lecz mi potrzeba wiary na osłodę:
 Patrz, jak mi zmarszczek po zmarszczku przybywa!
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode!

NOSTALGIA

CZYLI TĘSKNOTA DO KRAJU.

Rzekliście: Pasterzu! idź z nami ochoczo;
 W Paryżu nauki i dziwy najrzadsze,
 Osypie cię złoto, starania otoczą,
 Zapomnisz swe niwy na świetnym teatrze.
 Poszedłem... i patrzcie! ów skwar, co tu płonie,
 Jak świeżość wiosenną z mej twarzy wypala!
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 A górom powróćcie górala!

Choć w piersiach tęsknota i lodem krew płynie,
Ja idę, posłuszny, za waszym zwyczajem,
Na uczty, gdzie krasne królują boginie,
I ginę z tęsknoty, umieram za krajem.
Napróznom się uczył słów pięknych w tem gronie,
Naprózno sztuk pięknych widziałem tak wiele!
Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
I nasze wesołe Niedziele!

Wy słusznie gardzicie obyczaj nasz stary,
Wieczory z powieściami i pieśnią ubogą:
Na operach waszych złudzenia i czary,
Że nasi wróżbici im zrównać nie mogą;
Gdy święci czczą Pana na górnym Syonie,
Od waszych koncertów pożyczać głos muszą;
Lecz wróćcie mi, wróćcie rodzinne ustronie,
Wieczory i piosnkę pastuszą!

Dom u nas, to chata pozioma i stara,
Kościółek pobity deskami i z kłody;
A tutaj pomników i wież co niemiara,
Pałace i takie, jak w raj, ogrody, —
A gmachy, jak chmury, gdy w białym ich łonie
Odbije się promień zachodu iskrzaty;
Lecz wróćcie mi, wróćcie wioskowe ustronie,
Wioskowe dzwonnice i chaty!

Wszak dziki poganin wlecze się z daleka
Umierać w świątyni, gdzie jego bożyszcze.
Tam po mnie pies skomli — kiedyż się doczeka?
I kiedyż mnie matka spłakana odzyszcze?
Widziałem sto razy na naszym zagonie,
Jak wicher szturmuje, wilk idzie na łowy...
Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
Lepiankę i chleb mój razowy.

Co słyszę? spełniona modlitwa mej duszy!
Wolno ci odjechać, odjeżdżaj, — mówicie; —

Powietrze rodzinne niech łyżę tve osuszy,
 A słońce domowe niech wskrzesi tve życie.
 Żegnam cię, Paryżu! twych blasków nie gonię:
 Tu ręce jak skute przybyłcom z oddala.
 Obaczę, obaczę wioskowe ustronie
 I góry, ojczyznę górąla!

DO MOŻNYCH PRZYJACIÓŁ.

O przyjaciele! ja nic od was nie chcę,
 Zwróćcie gdzie indziej dobroczynne oko:
 Chciwość nie drażni, próżność mię nie łechce;
 Jak ptak lękliwy, nie wzleczę wysoko.
 Czegoż mi trzeba? Serca, co pokocha,
 Skromnej wieczerzy w kółku biesiadniczem,
 Bratniej rozmowy i współczucia trocha.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Świetniejsza dola byłaby nie w porę
 Dla rymoklety, co marnuje chwile.
 Czuję dotkliwie, gdy chleb w usta biorę,
 Żem nie zasłużył posiadać go tyle.
 Do tego chleba, och! wyrobnik lichy
 Więcej ma prawa przed Niebios obliczem.
 Sakwa żebracza nie wstydzi mej pychy.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Raz, patrząc w niebo, myśl moja ulata
 I tam z wysoka ziemski padół mierzy;
 Przebiegam okiem cały obszar świata,
 Królów, poddanych, wodzów i żołnierzy.
 Okrzyk mię doszedł, — czy bitwę wygrali?
 Kogo to sławią w krzyku hołdowniczym?
 Cześć wam, potężni, których naród chwali!
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Ja wielbię cnotę bohaterskich ludzi,
 Co, opuszczając domowe ognisko,
 Siadają w okręt, gdy się fala zbudzi,
 Aby sterować, kiedy burza blisko.
 Wołam z daleka: Niechaj Bóg was strzeże!
 Modłę się za nich losom tajemniczym;
 Sam się na słońcu kładnę na wybrzeże.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Wasze grobowce patrzeć będą dumnie
 Na mój grobowiec wśród badyli zielnych;
 Naród przy waszej będzie płakał trumnice...
 Gdym skromnie wiezion na marach kościelnych,
 Co mi po waszych trumnach i żałobie?
 W nieśmiertelności kiedyś się obliczym;
 Cała różnica zespoli się w grobie.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

W pysznych pałacach nie zamieszkać z wami;
 Tylko dostojnej pokłonię się głowie.
 Odchodzę od was, bom w progu za drzwiami
 Zostawił lutnię i liche obuwie.
 Ludzkość do waszych podwojów kołace:
 Kojcie łyżę nędzy z braterskiem obliczem;
 Ja wam z ulicy piosenką zapłacę.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

STARY WŁÓCZĘGA.

Pora umierać; ot tutaj w rowie
 Złożę schorzałe i stare kości.
 Ktoś mię z przechodniów pijanym zowie,
 Tem lepiej dla mnie — nie chcę litości!
 Jeden odwraca i chmurzy czoło,
 Drugi po szeląg jałmużny sięga.
 Och, idźcie sobie gdzie wam wesoło!
 Umrze i bez was stary włóczęga.

Umrę, bom stary — to się rozumie,
Bo umrzeć z głodu świat nie pozwala.
Miałem nadzieję w żebraków tłumie,
Że się dostanę gdzie do szpitala;
Lecz nieszczęśliwych mnogość tak wielka,
W szpitalach z nimi taka mitręga!
Ulica dla mnie — to karmicielka!
Umrę gdzie żyłem, stary włóczęga.

W młodości mojej chciałem w rzemiosło,
Lecz zewsząd majstry mnie przepędzały:
Już wyrobników i tak urosło,
Niema roboty! idź żebrzeć, mały!
Bogacze mówią: Pracuj na świecie!
Gdy pod ich oknem człek się wylęga.
Och! gryzłem kości po ich bankiecie,
Więc nie przeklinam, stary włóczęga.

Mógłbym kradzieżą utrzymać życie,
Lecz wolę ginąć lub cierpieć srodze.
Raz głodny jabłko urwałem skrycie,
Do licha! jabłoń stała przy drodze.
Za to w więzieniu ledwo nie ginę,
Kiedy mię prawny wyrok dosięga;
Zabrali moje dobro jedyne,
Bo widok słońca stracił włóczęga.

Miłość ojczyzny nie dla nędzarza:
I cóż mnie, pytam, obchodzić może,
Jakiemi plony jesień obdarza
Wasze winnice i wasze zboże?
Co waszych mówców gadanie próżne?
Gdy kraj najedzie obca potęga,
A obcy żołdak da mi jałmużnę,
Płacę z radości, stary włóczęga.

Za cóż mię ludzie depciecie nogą,
Jako szkodliwy owad na roli?

Niech mię nauczą, niech mi pomogą
 Pracować dobru wspólnemu gwoli.
 Nie dziw, że w nędzy zmiana postaci —
 Z troskliwej mrówki gad się wylęga.
 Ja chciałem ludzi kochać, jak braci,
 Umieram wrogiem — stary włóczęga.

P O E Z Y E G O E T H E ' G O .

Z KANTATY „RYBACZKA.“

I.

KRÓL OLSZTYN.

BALLADA.

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamieci?
 To ojciec z dziecięciem, jak gdyby wiatr, leci;
 Chłopczynę na rękę piastując najczulej,
 Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

— Mój synu, dlaczego twarz kryjesz we dłoni?

— Czy widzisz, mój ojczy? król olszyn w tej stronie.

Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija!

— To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija.

— Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmilej,

Pięknymi zabawki będziemy się bawili,

Chodź na brzeg, tu kwiatki kraśnieją i płoną,

A moja ci mama da suknię złoconą.

— Mój ojczy! mój ojczy! czy widzisz te dziwa?

Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa!

— Nie bój się, mój synu! skąd tobie te dreszcze?

To tylko wiatr cichy po liściach szeleszcze.

— Chodź do mnie, chłopczyno, poigrasz z rozkoszą,

Mam córki, co ciebie czekają i proszą,

Czekają na ciebie z biesiady nocnymi,
Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi.

— Mój ojcze! mój ojcze! ach, patrzaj... gdzie ciemno...

Król olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną. —

— Nie bój się, mój synu, ja widzę to zdala,

To wierzba swe stare gałęzie rozwala. —

— Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz porę:

Gdy chętnie nie przyjdiesz, to-ć gwałtem zabiorę.

— Mój ojcze! mój ojcze! ratujcie dziecinę!

Król olszyn mię dusi... mnie słabo... ja ginę...

Ojcowi bolesno... on pędzi, jak strzała,

Na rękach mu jęczy dziecina omdlała.

Dolata na dworzec... lecz próżna otucha!

Na rękę ojcowskich już dziecię bez ducha.

II.

TOPIELEC.

BALLADA.

— Ja kocham dziewczynę, o matko! daj radę!

Ja chcę ją pozyskać, ja po nią pojedę!

Więc matka mu z wody wylepia konika,

A z piasku i trzęzę, i siodło wytyka.

Ubrany jak rycerz, od stóp aż do szyi,

On prędko pojechał na cmentarz Maryi,

Unosi go rumak pod wieżę kościoła,

On czterykroć kościół objechał dokoła.

I wchodzi topielec w świątynię na progi,

Otacza go naród ciekawy i mnogi.

Ksiądz stał przy ołtarzu: Co to snadź za dziwa?

Skąd rycerz tak lśniący w te strony przybywa?

Uśmiecha się dziewczę i okiem nań zmierza:

— O gdyby pozyskać lśniącego rycerza!

Już stoi u ławek ta postać pancerna:

— Kochaj mię, dziewczyno, daj słowo, bądź wierna.
I przyszedł powtórę, potrzecie, poczwarte:

— Jedź ze mną, dziewczyno, podwoje otwarte.
Dziewczyna mu daje i rękę, i obie:

— Masz moją przysięgę, zostanę przy tobie.
I wyszli z kościoła z weselną drużyną,
I w tańcu wesołym zabawy im płyną,
Aż tańcząc stanęli nad wody brzegami,
I ręka pod rękę zostali tam sami.

— Potrzymaj, dziewczyno, rumaka na stronie,
Ja ładne czółenko ku tobie przygonię.
Gdy weszli na zasep piaszczysty przy wodzie,
To wszystkie do łądu zwróciły się łodzie;
Gdy przyszli, stanęli nad morską zatoką,
Dziewczyna upadła — do morza głęboko.
I długo, i długo sąsiedzi słyszeli
Krzyk pięknej dziewczyny z wodnistej topieli!
Ja radzę, jak umiem, niech każda pamięta:
Tańcować z topielcem nie idźcie, dziewczęta!

III.

ŚPIEW WESELNY STARONIEMIECKI.

Był sobie rycerz za dawnych lat,
On szukać żony pojechał w świat.
Do jednej wdowy zapukał bram:
Trzy piękne córki mieszkały tam;
Trzy piękne córki zobaczył gość,
Aż serce jego poczęło rość.

— Ta będzie moją, co wszystko zna,
Na trzy pytania odpowiedź da.

— Zadaj, rycerzu, pytania trzy,
Obaczym, która odpowie ci.

— Co jest głośniejsze od dźwięku trąb?
Co jest głębszego, niż morska głąb?

Co rozciąglejsze, niż drogi szlak?
 Co jest zieleńsze, niż trawy krzak?
 Co ostrzej bodzie, niż ciernia ość?
 Co jest gorszego, niż kobiet złość?
 Dwie starsze myślą, dumają snadź;
 Młodsza pośpiesza odpowiedź dać:

— Piorun głośniejszy od dźwięku trąb,
 Piekło jest głębsze, niż morska głąb,
 Miłość trwa dłużej, niż drogi szlak,
 Grynszpan zieleńszy, niż trawy krzak,
 Grot ostrzej bodzie, niż ciernia ość,
 A szatan gorszy, niż niewiast złość.
 Słyszac odpowiedź dobitną wciąż,
 Najmłodszą z dziewic wybiera mąż;
 Nim starsze milczą, dumają snadź,
 Drużba pośpiesza obrączkę dać.
 Najmilsza z dziewic, najmilsza ta,
 Co prędką drużbom odpowiedź da.

ZUZANNA TOPIELICA.

WYPADEK Z 1809 ROKU.

BALLADA.

Zerwała groblę szalona fala,
 Szumi na błoniach, drzewa obala.

— O! jeszcze powódź łagodna dosyć,
 Ja brnąć potrafię, umiem przenosić;
 Matko, nim wzbiorą fale szalone,
 Ja cię przeniosę na drugą stronę.

— Och! Bóg nam przecię swą łaską świeci —
 Ja chora matka... i troje dzieci...
 Dzięki ci, dziewczę, dzięki losowi!
 Jużesmy zginąć byli gotowi!
 I młode dziewczę, ratując szczerze,
 Schorzałą matkę na barki bierze.

— Na suchym brzegu niech czeka dziatwa,
 Tak niedaleko, przeprawa łatwa;
 Czekajcie, dzieci, nim przyjdą fale,
 Ja wnet powrócę, ja was ocalę!
 Grobla zerwana, szaleje fala,
 Wyrywa ziemię, drzewa obala;
 Zuzanna matkę przeniosła chorą,
 Ratować dzieci pośpiesza skoro.

— Ej, dokąd, dokąd? próżna odwaga!
 Fale wirują, powódź się wzmaga,
 Nurt cię pochwyci, młoda dziewczyno! —

— Ja chcę ratować... oni nie zginą!

Grobla już tonie, szaleje fala,
 Szumi, jak morze, huczy z oddala;
 Zuzanna w wodę puszcza się śmieie,
 Przechodzi kładkę, brnie przez topiele,
 Już się zrównała z chatą sąsiada,
 Lecz unieść dzieci — daremna rada!

Powódź z łoskotem groblę obala,
 Ponad pagórką wiruje fala,
 Szumiąc i hucząc do morza leci,
 Unosi dziewczę i troje dzieci,
 Unosi wszystko — w mętnej topieli
 Oni już dawno zginąć musieli!

To się Zuzanna mignie nad wodą, —
 Któż uratuje dziewczynę młodą? —
 To w głąb wiruje, to się wyłoni,
 Lecz nikt z wioślarzy nie śpieszy do niej.
 Snadź jeszcze żyje — nim śmierć ją spotka,
 Gdyby choć czółno, gdyby choć łódka,
 Gdyby choć deska — próżna otucha!...
 Już leci w Niebo gwiazdka jej ducha!
 Groblę i pole powódź zalewa,
 Tylko gdzieś baszta, lub konar drzewa
 Wskazuje miejsce, gdzie ludzie żyli.

A nad topielą, z chwili do chwili,
Wznosi się widmo — czy wierzyć oku?
Postać Zuzanny jakby w obłoku.

Woda opada, kraj się zieleni;
Po topielicy ludzie strapieni...
I przepłakali, i zapomnieli,
I już jej pamięć jakby w topieli,
Szumiącą falą czasu przykryta...
Życia i śmierci nikt nie dopyta.

16 marca 1854. Borejkowszczyzna.

PIEŚNIARZ.

— Kto tam do bramy kołace?
Kto tam zawodzi na moście?
Ja za piosenkę zapłacę,
Do sali pieśniarza proście!

Tak mówił król do swej świty;
Wybiegli paziowie młodzi,
I siwym włosem okryty
Harfista do sali wchodzi.

— Cześć pięknym damom i chwała!
Cześć wam, szlachetni panowie!
Co gwiazd w komnacie tej pała!
Któż ich imiona wypowie?
Widząc tę salę wspaniałą,
Aż moje oko się nuży;
Lecz teraz czasu za mało,
By rozpatrywać się dłużej.
I pieśniarz oko rozżarza,
I w struny harfy uderzy;
Damy słuchają pieśniarza,
Słucha go orszak rycerzy.
Królowi miła zaiste

Pieśń i postawa śpiewacza;
Więc, aby uczcić harfistę,
Złoty mu łańcuch przeznacza.
Lecz starzec skromnie odpowie:

— Na co mi łańcuch w tej chwili?
Niechaj go wezmą wodzowie,
Co nieprzyjaciół pobili.
Niech kanclerz twojej pieczęci
Złote ogniwa nabędzie;
On się do służby zachęci,
Przykuty na swym urzędzie.
Ja śpiewam, jak ptaszek śpiewa,
Co mieszka w gęstwi nad wodą;
Pieśń, co się z piersi wylewa,
Jest sama sobie nagrodą.
Ja się poprosić odważę
O mą zapłatę jedyną:
W czystym ze złota puharze
Podajcie mi stare wino!
Złocisty puhar nalany;
Starzec wychylił go szczerze.
Szczęśliwe gościnne ściany,
Gdzie pieśniarz siły nabierze!
I oddał pokłon królowi
I panom skłonił się skromnie:

— Żegnajcie, bądźcie mi zdrowi,
I czasem wspomnijcie o mnie!
Królu, za łaski wylanie
Niech ci Bóg hojnie zapłaci,
I wam, panowie i panie,
Coście szczęśliwi, bogaci!
Za wszystko, co się korzysta,
Dziękujcie Bogu co chwila,
Jak wdzięczen stary harfista
Za napój, co go posila.

PIEŚŃ
EMIGRANTÓW IRLANDZKICH.

Z angielskiego.

Łódź gotowa, trąbią na niej,
 Że odpływać czas!
Nikt nie idzie do przystani
 Żegnać nas.
Śpiesz, wioślarzu, ku żegludze,
 Prędziej, prędziej stąd!
By powitać morza cudze!
 Obcy ląd!
Obcy naród, gdy postrzeże,
 Że płyniemy doń,
Nie pośpieszy na wybrzeże,
 By nam podać dłoń.
Gdy rzucamy ziemię własną,
 Nikt nie roni łzy,
Bo za głodno i za ciasno
 W naszej wsi.
W naszym kraju niwy żytnie,
 Nie wystarczą nam:
Gdzie ryż rośnie, daktyl kwitnie,
 Śpieszmy tam.
Ej, oddalmy się, oddalmy,
 By ukoić głód,
Z cienia murów pod cień palmy
 Zbierzmy cały ród.
Kraj daleki nas posiędzie,
 Kędy lepszy plon;
Ale w piersi obraz będzie
 Swoich stron.
Zapłaczymy, zatęsknimy,
 Mimo lepszy świat,
Do surowej naszej zimy,
 Biednych chat.

I nauczym nasze dzieci
 W wierze ojców rość;
 K'nam jaskółka gdy przyleci,
 Będzie miły gość.

1858. Wilno.

STARY ŻEGLARZ.

Z Coleridge'a.

I.

Na ucztę godową śpieszyli trzej goście,
 Gdzie czeka wesoła drużyna;
 Wtem żeglarz sędziwy spotkał ich na moście
 I długo coś gwarzyć poczyna.

I z gości jednego za rękę już bierze,
 By słuchał żeglarskiej przygody.
 — Puść, starcze... ja śpieszę, już dają wieczerzę,
 A moim jest krewnym pan młody.

Gość mówił, lecz ręki nie pozbył się starczej,
 Napróżno natręta odgania:
 — Idź precz, stary głupcze! mnie czas nie wystarczy,
 Bym słuchał twojego bajania!

Lecz żeglarz brzydkimi nie zraził się słowy,
 Zmierzył go oczyma silnemi:
 Zmieszany, jak dziecko, biesiadnik godowy
 Pokorny wzrok spuścił ku ziemi.

Na ławie kamiennej, co stała w ustroniu,
 On usiadł, zajęty widocznie;
 A żeglarz sędziwy łzę gorzką uroni,
 I bając przygody swe pocznie.

*

*

*

— Podjęto kotwicę, fregata odpływa,
 Po sonej kołysze się fali,

Wybrzeże, i kościół, i wzgórek, i niwa
Maleją i nikną w oddali.

Dni płyną za dniami — od lewej wciąż strony
Żeglarze wschód słońca widzieli,
Co wieczór na prawo krąg jego czerwony
Zapadał w bezdennej topieli.

A codzieln w południe rozpala się żarzy,
Gorecej od chwili do chwili;
Skwar wisi nad masztem, nad głową żeglarzy, —
Otośmy pod równik przybyli.

Zjawił się huragan i burza szalona,
Jak gdyby skończenie dni świata;
Ku stronie południa jej szturmem pędzona
Zbłąkała się nasza fregata.

W bok okręt odpływa pomimo sternika,
Po czarnej kołysze się toni,
I pędzi, jak strzała, jak gdyby umyka
Od jakiejś niewidnej pogoni.

Schyliwszy w bok maszty, wydawszy swe żagle,
Wśród ciemna, wśród burzy ze świstem,
Ku stronie południa pomyka się nagle,
Mocuje się z morzem pienistem.

Wtem ocean cały mały gęste pokryły,
A fale mróz ścisnął przemocą;
I śniegów, i lodów kołysza się bryły,
Iskrami promienie migocą.

Jak oko obejmie, bez końca, bez granic
Zamarło oblicze przyrody;
Za nami, przed nami nie widać nic a nic,
Wciąż tylko śnieżyska i lody.

Okropny był widok... strach serca nam ścisną,
A każdy się modli, ślub czyni,

Gdy trąc się i łamiąc, lodowe urwiska
Gruchocą, jak piorun w pustyni.

Lecz słuchaj... w mgłę ciemnej, czy oko nie mami?
K'nam morski albotros przylata;
Jak zwiastun zbawienia okrążył nad nami;
Witaliśmy ptaszka, jak brata!

On zbratał się z nami, szedł prosto do ręki,
Usiadał na naszym pokładzie.
Wtem lody puściły, i Bogu już dzięki!
Nic tamy żegludze nie kładzie.

Przy wietrze z południa płyniemy na nowo,
A ptaszek nam w ślad towarzyszy,
Zwija się wśród żagłów, ulata nad głową,
Spuszcza się, gdy głosy posłyszysz.

Tak we dnie dodając otuchy, zabawy,
Nocował na masztach, nade mną;
Widzieliśmy ptaszka, gdy księżyc bladawy
Choć trochę rozwidni mgłę ciemną...

— Tyś zadrzał, żeglarzu? cóż dalej nie gwarzysz?
Co ci jest? — Ja zbrodnię działałem:
Nasz wierny albatros, opiekun, towarzysz,
Legł, moim przeszyty wystrzałem.

II.

I smutno na morzu, jak gdyby w mogile, —
Twarz słońca posepna i blada
Z za kłębow mgły ciemnej zaświeci na chwilę,
I znowu w głąb morza zapada.

I wiatr południowy znów żagle rozdyma,
Znów płynie posepna fregata,
I wszystko tak samo; lecz stróża już niema,
Albatros nad masztem nie lata.

Po zbrodni zgyzotę Bóg zawsze przysyła:
Jam zbrodniarz — mówiło mi serce.

— Tyś szatan! piekielna niech skarże cię siła!
Tyś zabił ptaszynę, co wiatr wywróżyła!
Tak klęli żeglarze mordercę.

Lecz Bóg się zlitował — po długiej katuszy
Zaświtał dzień dłuższy, jaśniejszy.
U moich współbraci weselej na duszy,
I moje przeklęctwo się zmniejszy.

Mówiono, gdym przyszedł do zgody powoli:
— Ej, miałaś ty słuszność, nieboże!
Albatros przeklęty był sprawcą niedoli,
Sprowadził mgły gęste na morze!

A fala wiruje, a leci fregata,
Szybuje pełnymi żaglami.
Na morzu tamecznem, na końcu już świata,
Nie pływał nikt pewno przed nami.

Wiatr ustał... fregaty już nic nie kołyszły,
I żagle na masztach powisły.
Nastaly dni straszne spoczynku i ciszy,
Najcichszy głos ludzki wyraźnie się słyszy,
A trwoga przebiega umysły.

Na niebie lśni barwa ponura, miedziana,
Przeraża widokiem zjawiska,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwone promyki wytryska.

W piekielnych męczarniach dzień po dniu nam świta
Cisz martwa na całym przestworze,
A nasza fregata stanęła jak wryta,
Doczekać się wiatru nie może.

Nic wkoło nie widać... wciąż fala i fala;
Nie wytrwać znojnego gorąca:
Mordercze pragnienie wnętrzości rozpala,
Choć woda fregatę potęra.

Porosty i zielska pływają po wodzie,
 Pleśnieje mech jakiś zielony;
 Na fali zgęstniałej i okręt, i łodzie
 Obsiadły robactwa miliony.

Po nocy migają błędlive ogniki,
 Jak gdyby mamidła szatana;
 A połysk tych światel straszliwy i dziki
 Swawoli po morzu do rana.

I śni się żeglarzom, upadłym na duchu,
 Że szatan igraszkę z nas czyni,
 Że naszą fregatę na krzepkim łańcuchu
 Przykował do martwej głębini.

Pragnienie osusza i usta, i gardło,
 Sprawuje męczarnię nieznaną,
 A w piersiach spalonych wołanie zamarło,
 I usta zapiekły się pianą.

I starzy, i młodzi, i wszystko co żyje,
 Przybiegli mi wyrok ogłosić:
 Trup ptaszka, com zabił, czepiając na szyję,
 Kazali na piersiach mi nosić.

III.

Dzień po dniu stoimy, czekając na zmianę,
 A piersi osuszył skwar spiekły,
 Głos w piersiach zaniemiał, a oczy jak szklane
 Śmiertelnym się matem powlekły.

Dzień po dniu upływa... wtem zdala w błękicie,
 Gdzie z niebem ocean się splywa,
 Coś zdala mignęło... do serca jak życie
 Wstąpiła otucha szczęśliwa.

Z początku jak plamka, jak chmurka biaława,
 Przybliża się, rośnie i rośnie;
 Już białym obłokiem wyraźnie się stawa,
 I ku nam szybuje ukośnie.

Jak widma czyścowe, gromada żeglarzy
Snuje się nieczuła i głucha;
Ostatni rumieniec ucieknął nam z twarzy,
A z serca ostatnia otucha.

Zamarły mi piersi, gdym los nasz szczęśliwszy
Chciał biednej zwiastować drużynie.
Ugryzłem się w rękę... krwią usta zwilżywszy,
Krzyknąłem: że okręt k'nam płynie.

I wszyscy na pokład gromadzim się, kupim,
Z radości oszaleć się zdajem,
A z oczu, co blaskiem migały już trupim,
Łzy hojnym trysnęły ruczajem.

Patrzajcie! jak leci... jak pęd jego żywy!
Dziś nasze męczarnie się skończą!
Lecz oczy nie mylą... o cóż to za dziwy!
Bez wiatru żegluję tak rączo!

Lecz promyk nadziei, co błysnął nieśmiało,
Przyświecił — i zgasnął po chwili,
I zimnem grobowem znów serce zdrętwiało,
Głowyśmy jak na śmierć spuścili.

Dni płyną powoli... co wieczór, co rana
Jutrzenka płomieni się złota,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwonym promieniem migota.

A nasza fregata wśród martwej przestrzeni
Bez ruchu, bez iskry nadzieje,
Wśród dziwnych igraszek promieni i cieni
Piętrzy się, wyrasta, czernieje.

A maszty olbrzymie wysterkły nad falą,
Jak gdyby rząd cieniów ponury,
Jaskrawym odbłaskiem czerwienia się, palą
I żagle, i liny, i sznury.

I znowu coś widzę... czy morskie to dziwa?
Czy widmo z urojeń odmetę?
Po fali drzemiącej coś ku nam podpływa —
To szkielet jakiegoś okrętu.

A wszystkich w okręcie sen objął grobowy,
Nikt żywy się na nim nie ruszy;
Nie słyhać ni szmeru, ni żadnej rozmowy —
Czyż niema człowieczej tam duszy?

Lecz oto postrzegam: na pokład wypada
Niewiasta w grobowej odzieży,
Jak widmo ponura, i straszna, i blada,
Na widok jej włos mi się jeży.

A przy niej ktoś drugi... spogląda jak żmija,
Spojrzenie jak ogień mu pała,
Aż duszę przytłacza, aż serce przebija
Żrenica błyszcząca, skostniała.

Co znaczy ten szkielet bez ciała przykrycia,
A przy nim ten drugi duch blady?
Dwa duchy złośliwe, i śmierci, i życia,
Płynęły do naszej osady.

Ich okręt k'naszemu przyplłynął w tej chwili,
Pokłady zetknęły się z boku;
Duchowie stanęli i losy rzucili,
My drżący czekamy wyroku.

Los na mnie cisnęli. — Duch życia kość miota,
Wyciągnął kość z dobrą otuchą:
— On do mnie należy — nie straci żywota!
I śmiał się szyderczo a głucho.

Zagasnął blask dzienny, noc smutna zapadła,
Na niebie jutrenka ściemniała,
A szkielet okrętu, niosący widziadła,
Odplynał pośpiesznie jak strzała.

Zwątpienia rozpaczy nam serce obsiadły,
Nastaly godziny męczarni,
Nasz sternik u rudla znękany, wybladły,
Siadł milcząc przy małej latarni.

I gwiazdy zabłyśły, i księżyc z topieli
Swą głowę czerwoną wychyla.
Żeglarze gotowi już na śmierć stanęli,
Bo straszna zbliżyła się chwila.

A cała załoga, żeglarzów ze dwieści,
Na pokład wywlekła się tłumnie;
A wszystkie spojrzenia z przeklęctwem boleści
Straszliwie zwracały się ku mnie.

I jeden po drugim nieszczęśni skonali —
Słyszałem ich jęki grobowe!
Jam został przy życiu, by dręczyć się dalej,
By przyjąć przeklęctwo na głowę.

IV.

Straszno mi z tobą, żeglarzu stary,
Ognia twych źrenic nie mogę znosić:
Masz dziką postać grobowej mary,
Twojej powieści już mam zadosyć.
Puszczaj mię, starcze!

Nie bój się, bracie!
Nie jestem trupem ni widmem sennem,
Nie zatonałem w morzu bezdennem,
Zostałem jeden w całej fregacie,
Zostałem jeden na całe morze
Czekać na słuszny zgon zbrodniarzowi,
Gdzie nikt mi oczu zamknąć nie może,
Gdzie nikt pacierza po mnie nie zmówi.
Wokoło życie: spojrzę w głębinie —
Tysiącem istot aż kipi fala;
Spojrzę na pokład — tu śmierć jedynie,
Wszędy stos trupów drogę zawala.

Spojrzę ku górze, kędy maszt sterczy,
Kędy bez wiatru żagle powisły.
Chciałem się modlić, lecz duch bluźnierczy
Zmroził mi piersi, odurzył zmysły.
Znosić męczarni nie mogę dalej,
Gdy zamknę oczy, wciąż mi się marzy
Błękit niebieski, równina fali
I stopy trupów biednych żeglarzy.
A twarze trupów groźne, złowieszcze,
To posiniałe, to z barwą bladszą;
Straszne ich oczy, otwarte jeszcze,
Z groźnem przeklęctwem na mnie się patrzą.
Ciężki mieć musi kamień na duszy,
Kogo sieroca przeklnie drużyna;
Ale boleśniej wytrwać w katuszy,
Kiedy spojrzenie trupie przeklina.
Siedem dni trupy patrzyły we mnie,
Siedem dni śmierci-m błagał daremnie.
Lecz oto księżyc wschodzi z oddali,
Przy nim rój nocnych gwiazdek polyska;
Po modrem niebie, po modrej fali
Zamigotały drobne ogniska;
Ponad równiną jakby śnieg lata,
Srebrzą się, gorą żwawe promyki.
A tu, gdzie stoi martwa fregata,
Błyśnie, to zgaśnie meteor dziki;
Jakby się pastwiąc nad mą niedolą,
Krwawym połyskiem źrenice muska;
Dokoła węże morskie swawola,
Mieni się, złoci srebrna ich łuska.
Szczęśliwe żmije! po tysiąc razy!
Czułem, że zazdrość serce mi bodzie:
Za cóż, mój Boże, te podie płazy
Mogą się pluskać w rodzinnej wodzie?
I w duszy mojej znów się ocknęła
Święta modlitwa i miłość Boża;
Wielbiłem Stwórcę, patrząc na dzieła,

Kląkłem u tronu Jego podnoża.
 A gdy modlitwa, jak święta rosa,
 Skalaną grzechem duszę obmyje,
 Upadł do morza trup albatrosa,
 Co uczepiono na moją szyję.

V.

I sen posilny ożywił w porę
 Duszę znękaną i ciało chore,
 Przecię poczułem, że żyję.
 Modlitwą rzewną i lżą rzęsistą
 Począłem wielbić Pannę przeczystą,
 Matkę boleści, Maryję.

Spałem, a piersi tchnęły swoboda;
 Śniłem, że widać brzeg ziemi:
 Sterniki okręt bezpiecznie wiodą,
 I stoją stągwie ze słodką wodą,
 Ja piję pierśmi pełnemi.

Wtem się ocykam, patrzę: deszcz leje,
 Poglądam wkoło ciekawie;
 Do serca weszły słodsze nadzieje,
 I piłem wodę na jawie.

Śmieję się, płaczę, sobie nie wierzę,
 Czy jeszcze żyję... czy płynę...
 Czy może dusza w nadziemskiej sferze
 Ku swemu Stwórcy kierunek bierze
 I leci w duchów krainę.

Zaszumiał wietrzyk, morze oddycha,
 Skończył się spokój ponury...
 Zdaje się wieje z daleka, z cicha,
 Jednak fregatą waha, kołycha,
 Zadrgały liny i sznury.

Żagle powoli wzdymać się poczną,
 Wieją z szelestem, ze świstem;

Księżyc się ukrył w chmurę obłoczną.
A chmura w stronę okrętu boczną
Lunęła deszczem rześistym.

I błyskawica jak wąż z oddali
Mignęła z głębi przestworza,
Zdaje się niebo i woda pali,
Piorun przeleciał nad garbem fali
I z gromem buchnął do morza.

Piorun po chmurze zygzaki pisze,
Grzmoty łoskoczą w przestrzeni,
Fregata leci, — cóż to ja słyszę?
Stękają trupy!... czyż towarzysze
Byliby ze snu zbudzeni?

Jakby poranna biła godzina,
Powstali ze snu ocknięci,
Każdy robotę swą przypomina,
Jeden na maszcie żagle rozpina,
Drugi powrozy rozkręci.

Snują się cicho, jak widma w bieli,
Lecz cóż się dzieje z ich duszą?
Wszyscy w milczeniu usta zacięli,
Żaden na stronę okiem nie strzeli:
Snadź to upiory być muszą!

Tu było jedno drogie oblicze,
Syn mego brata jedyny:
Próżno doń mówię, daremnie krzyczę, —
On, milcząc, jakby widmo zwodnicze,
Naciąga sznury i liny...

Straszno mi, starcze! nie mów mi więcej,
Puszczaj mię, ducha z otchłani!
Nie bój się, bracie! słuchaj goręcej:
Bo to nie widma, nie potępieńcy,
Lecz byli Pańscy wybrani.

Jutrznianym blaskiem opromienieni,
Wokoło masztu stanęli.
Słucham... z pośrodku skupionych cieni
Niebiańskie Hymny płyną w przestrzeni,
Jakby śpiewali anieli.

Hymn, który wtedy z ich ust słyszałem,
Wiecznie do Niebios przywabi.
Pomimo burzy kipiącej szałem,
Pieśń królowała nad morzem całym,
Płynęła głośniejsz, to słabiej.

To jakby z chmury na rozświt dzionka
Sto ptasząt wiedzie swe trele,
To jakby strumień w kamykach brząka,
To jakby rzeźwy szczebiot skowronka
Ponad falami się ściele.

To się rozplywa, to chórem splecie
Coraz donośniej i słodziej,
Jakby niewinne szczebioce dziecię,
Jakby na harfie albo na flecie
Ktoś dźwięcznej nuty dochodzi.

Ucichły śpiewy, pobiegły tony
K'dalekiej Niebios krawędzi.
Lecz siłą duchów okręt popchniony
Płynie pod wiatrem w dalekie strony,
Dalej a dalej wciąż pędzi.

Ale duch morski strony polarnej
Znowu za rudel pochwyta:
Pęd się zatrzymał wpośród mgły czarnej —
Chwytam się rudla... wysiłek marny...
Fregata stoi, jak wryta!

A ręka silna duchów --- mocarzy
Wstecz ją zawraca, popycha;
Płyniem pod równik, gdzie zgon żeglarzy,

Gdzie krwawe słońce ogniem się żarzy,
A niebo skwarem oddycha.

Znów stanął okręt — pali spiekota,
Znowuśmy w ciszy zagrzęźli;
Słońce, jak gdyby żywa istota,
Skacze po niebie, targa się, miota,
Jak gdyby rumak na trzęzli.

Krew mi gorąca zalała skronie,
A pulsa biją, jak fale,
A biedna głowa pali się, płonie;
Czułem, że mdleję, że się poślonię,
Że się na pomost powalę.

VI.

Nie wiem, czy długo tak bezprzytomnie
Leżałem, jakby umarły...
Wtem dziwne głosy słyszę koło mnie,
Co się do ucha przedarły.

Jeden głos mówił, dobrze słyszałem:
Przypatrz się, bracie, tej twarzy!
Czy to pod jego zabity strzałem
Albatros, ptaszek żeglarzy?

Silny duch morski polarnej strony
Tak lubił drobnego ptaszka!
Srogi morderca będzie zemszczony:
Bo straszna z duchem igraszka.

Duch jeszcze zemstę ku niemu chowa,
Drugi głos na to odrzeczce:
Kara straszliwa, kara surowa
Cięży na tobie, człowiecze!

Powiedz mi, bracie, czemu śpi morze?
Kiedy dni ciszy się skończą?
Czemu fregata po fal przestworze
Śpieszy na północ tak rączo?

Jako niewolnik, co pana słuca,
 Pełni w milczeniu swe straże,
 Tak fala morska, nim się rozrucha,
 Czeka skinienia Wiecznego Ducha,
 Dokąd popłynąć jej każe.

Ale dlaczegoż, gdy fala cicha,
 Tak szybko płynie fregata?
 Bo siła duchów rudel popycha,
 I jej żaglami pomiata.

Lecz dajmy pokój błędnej fregacie,
 Nie budźmy ze snu tych ludzi.
 Lećmy ku gwiazdom, lećmy, mój bracie!
 Wkrótce się jutrznia obudzi.

*

*

*

I jam się ocknął — my wciąż płyniemy,
 Żeglarze znowu strupieli.
 Przy masztach orszak głuchy i niemy
 Legł na śmiertelnej pościeli...

Jedni u masztów, drudzy u rudli,
 Każdy zakostniał, jak skutny,
 Wszyscy zsiniali, bladzi, wychudli,
 W ich oczach ciężkie wyrzuty.

Wpółrodku trupów, jak duch sierocy,
 Snują się jeden i trwożę,
 Jako wędrownik, kiedy wśród nocy
 Zabłądzi w leśne bezdroże,

Pędzi, gdzie wiedzie przecucie wieszczce,
 A zbójcy lecą tuż za nim...
 Straszno iść naprzód, lecz straszniej jeszcze,
 Kiedy się cofniem lub staniem.

Lecz oto słońce nie tyle skwarzy,
 Wietrzyk zadmuchał dokoła;

Czułem, jak gdyby po mojej twarzy
Musnęło skrzydło anioła.

A bieg nasz równy i jednakowy
Ponad ciemnymi odmęty;
Jakby po gładkiej szybie lodowej
Ślizgał się okręt popchnięty.

A tu sny piękne, a tu sny świeże
Igrają z memi oczyma:
Widzę z daleka ziemne wybrzeże,
Latarnia morska przystani strzeże —
To moja ziemia rodzima!

Oto kościółka dzwonnica stara,
Tam moja chatka na smudze...
Boże mój, Boże! jeśli to mara,
Niechaj się nigdy nie zbudzę!

To nasza przystań — o jak tu pięknie!
Na brzegu bawią się dzieci.
Oto się zaraz chmurka rozpęknie,
A księżyc widniej zaświeci.

Zaświecił księżyc — o góry moje!
Jak rozjaśnacie swe czoła!
Jak cudnie biją światelek roje
W wieże naszego kościoła!

W rodzinnym porcie, u krańca głębi
Samą stanęła fregata,
A z ciał nieżywych, jak rój gołębi
Duch ku Niebiosom ulata.

A każda dusza jasna, gwiazdzista,
Przy każdej Pańscy Anieli,
Ręce na piersiach, twarz uroczysta,
Znaczno, że w Panu posnęli.

O! nie wypowiem, jak było błogo!
Już mi sen powiek nie klei,

Piersi uczuły, że wytchnąć mogą,
Dusza, zabójczą miotana trwogą,
Znowu odżyła w nadziei.

Jenom się lękał, że mara słodka
Znowu w kraj senny uciecze...

Lecz oto widzę: podpływa łódka,
Na niej postaci człowiecze.

Gdy dusza świętą radością pała,
Drżąc, że się ze snu obudzi,
Podpływa łódka — pędzi jak strzała,
A na niej siedzi trzech ludzi.

Młody parobczak wiosłem zajęty,
Przy nim dwaj siedzą starcowie:
Rybak... a drugi Pustelnik święty,
Bo naród świętym go zowie.

Znam jego postać, znają sąsiedzi:
Mieszka w dolinie pod wioską,
Naucza wiary, słucha spowiedzi,
Wlewa pociechę ojcowską.

O! szczęście, szczęście Bóg mi nadarza!
Starzec odpuści me winy,
On zdoła obmyć ręce zbrodniarza
Ze krwi niewinnej ptaszyny.

VII.

Klecona z chróstu, samotna i dzika,
Do skał przyparta chata pustelnika.
On w dzień, pracując, Najwyższego chwali,
W nocy mu dosyć kamyka pod głowę.

Lecz oto wiosła pluchocą w oddali,
I słyhać cichą rybaków rozmowę:
— Gdzie się podziały te świetlane smugi,
Któremi była zatoka okryta?
— To dziwne rzeczy! — odpowie głos drugi —
Ze z tej fregaty nikt nas nie powita!

— Patrzaj, jak żagiel na masztach opada,
 A liny głucho skrzypią na żelezie;
 Czyżby to cała wymarła osada,
 A okręt samych nieboszczyków wiezie?
 — Strach mi! aż włosy jeżą się na głowie!
 Drżącemi dłońmi nie utrzymam wiosła!
 — Bóg z tobą, starcze! — pustelnik odpowie —
 Opatrzność Pańska tutaj nas przyniosła.

*

*

*

Lódka podpływa... wtem — slysze... o biada!
 Rozległ się łoskot i huk tak ponury,
 Jakby się piekiel zatrzęsła posada,
 Jakby sto gromów uderzyło z chmury,
 I... na dno morskie fregata się spuści,
 Pożarta wirem bezdennej czeluści.

VIII.

Zgłuszon łoskotem, nic nie wiem, nie pomnę,
 Jakem się ocknął na rybackiej łodzi;
 Wkoło spojrzenie rzucam nieprzytomne:
 Lódka wiruje po szumnej powodzi,
 Nad którą jeszcze świeża piana lata,
 Gdzie zatonęła nieszczęsna fregata!

Chwyciłem wiosło i całemi siły
 Grzmocę po fali — łódź żwawiej umyka.
 Oczy rybaków na mnie się zwróciły,
 Widziałem przestach w twarzy pustelnika.

— Kto to? mój ojcze! — spyta rybak młody —
 Czy trup? czy szatan, co w piekło zabierze?
 Nawet pustelnik struchlał siwobrody,
 Ruszał ustami, snadź mówił pacierze.
 A lódka żwawo płynie po zatoce,
 Ja silnem wiosłem po odmętach grzmocę.

Łódź przy płynęła, pierś wolniej oddycha
Powietrzem ładu, gdzie rzeźwo i chłodno.
— Poczekaj, ojcze! — jęknąłem do mnicha, —
Wysłuchaj spowiedź grzesznika niegodną.
Niechaj cię moja pokuta poruszy:
Daj rozgrzeszenie, daj spokój mej duszy!

— Powiedz, kto jesteś, o synu pokuty? —
Spytał mię starzec, pobłogosławiwszy.
Jam zbrodni mojej dał obraz najżywszy,
Skreśliłem wszystkie sumienia wyrzuty,
I otworzyłem duszę aż do głębi,
Wyznałem rozpacz, co mi serce gnębi.

A głos mój drżący, a mowa się miesza,
Coś tłoczy piersi z niepojętą siłą;
Gdym skończył mówić, kiedy mnich rozgrzesza,
Tchnąłem swobodniej, i lepiej mi było.
Odtąd mię krzepi modlitwa i praca,
Lecz znów do serca tęsknota powraca.

Gdy boleść serce naciśnie ołowiem,
Idę, zaczepiam przechodniów na drodze,
Wyrzuty serca po trochu łagodzę,
Gdy komukolwiek me dzieje opowiem.
Zgaduję z twarzy litościwych ludzi,
W kim moja spowiedź współczucie obudzi.

Czy słyszysz gościu, weselne rozgwary?
Ogród się pieśnią i tańcem ożywi,
I piją zdrowie zaślubionej pary, —
Jakże tam ludzie muszą być szczęśliwi!
Słyszysz jęk dzwonu? on mi przypomina,
Że już wieczornej modlitwy godzina.

Niechaj ucztują weseli i zdrowi,
Dla mnie rzewniejsze i słodsze wesele,
Gdy się spowiadam dobremu człękowi,
Lub gdy się z ludźmi pomodłę w kościele.

Tu widzę Boga w litośnej postaci,
Tu jestem bratem chrześcijańskiej braci.

Rzewniej się modłę, goręcej zapłacę,
Współ z drugimi gdy w kościele klęczę,
Gdzie przy nędzarzach modlą się bogacze,
Gdzie orszak starców i roje młodzieńcze,
A wszyscy równi: bo równe ich prawa,
Gdy dziatwa ojca wspólnego wyznawa. —

Wstał, bo modlitwy nadeszła już chwila,
A w oczach jego świtał spokój ducha.
Gość się zadumał i głowę pochyła,
Tak go zajęła przygoda, co słucha.
Rozważył w duszy każde starca słowo
I już nie poszedł na ucztę godową.

Dziwna mu w myślach toczyła się wojna,
Jakby na głowę wziął ciężar nad siły.
Cała noc jego była niespokojna,
Bo się sny dziwne i straszne roily;
Lecz gdy się głowa uspokaja chora,
Ocknął się lepszym i mędrszym niż wczora.

1855. Borejkowszczyzna.

PTAKI WĘDROWNE.

(Myśl ze Stagnelius'a).

Widzisz ten ptaków rój niezliczony,
Który porzuca północne strony,
Leci, gdzie wzywa nieznana sfera,
I smutnym krzykiem wiatry rozdziera:
Gdzie nas posyłasz o dobry Boże!
Na jakie brzegi, za jakie morze?

Kraj skandynawski rzucamy w dali,
Tuśmy zrodzeni, tu byli mali,

Mieliśmy gniazdka w kwitnącej lipie,
Wiatr nas bywało kwieciem osypie,
Huśta w gałązkach, — dzisiaj od zimy
W strony nieznane lecieć musimy.

W lasach północnych noc tak wspaniała,
Że do snu nawet chętką nie brała,
Że od zamierzchu aż do jutrzeńki
Drżały w powietrzu nasze piosenki,
Drżały piosenki naszych rozkoszy,
Póki ich ostre słońce nie spłoszy.

Bywało z bujnych konarów drzewa
Hojnie na trawę rosa się zlewa;
Dziś dąb bez liści, rosy zakrzepły,
Uciekł przed wiatrem nasz wietrzyk ciepły,
Złocisty kwiatek już nie wykwiła,
Trawka zielona śniegiem pokryta.

Dziś nas północne lęka powietrze,
Niebo chmurniejsze, słońce tu bledsze;
Co mamy śpiewać? co tu wygwarzym,
Kędy po wiązach bujna a młoda
Bóg nam dał skrzydła, ulećmy w stronę...
Witajcie, morskie fale wzburzone!

Tak pożegnawszy północ zamarła,
Ptactwo do lepszych brzegów dotarło,
Kędy po wiązach bujna a młoda
Wije łodygę winna jagoda,
Gdzie w kwiatach strumyk brzęczy z kolei
Piosnkę radości, piosnkę nadziei.

Gdy radość ziemską w smutek się zmieni,
Gdy poczną jęczeć wichry jesieni,
Nie boleć, duszo! Tam za morzami
Piękniejsza strona ciebie przymami,
Tam poza grobem, wiośniana krasa,
Poranne słońce nigdy nie zgasa.

PIEŚŃ

RYCERZA NORWESKIEGO HAROLDA.

DO ELŻBIETY, CÓRKI JAROSŁAWA, KS. KIJOWSKIEGO.

Na lekkich łodziach, zakuci w zbroi,
Wzięli Sycylię bojacy moi.
Piękne wspomnienia dni pięknej chwały!
Czarny mój okręt biegł po topieli,
Silnie po falach wiosła grzmotały,
A mężni ludzie na nim siedzieli.
Gdzie kipią boje, gdzie szcęk oręża,
Tam szukam szczęścia, tam je znachodzę;
Ale nie zawsze chrobry zwycięża:
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zwracałem niegdyś mój zapal młody
Na Drottenheimu bitne narody;
A liczni byli nieprzyjaciele,
A krew potokiem biegła po drodze, —
Młodego króla już trupem ściele...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Raz my w szesnastu płyniem na łodzi, —
Kiedy straszliwa burza nadchodzi —
Łódź nam zalała fala topieli,
Lecz służy szczęście naszej załodze:
Wodę wyleli i ocaleli...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czegoż potrzeba do mojej chwały?
Jam w bitwie chrobry, jeździec wytrwały,
Ślizgawka w łyżwach moje rzemiosło,
Oszczepem trafnie do celu godzę,
Ja pływam lekko, znam jak brać wiosło...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czy moje czyny nieznane od niej,
 Jakem bojował w stronie zachodniej,
 Jakiem tam bitwy wygrał niezłomnie,
 Z jakimi plony stamtąd odchodzę,
 Jakie pamiątki zostały po mnie? —
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zrodzony w górnej norweskiej ziemi,
 Gdzie słyń z łuków strzały celnemi,
 Chciałem spróbować morskiej żeglugi,
 Strasznej dla synów skalnych wybrzeży, —
 Ocean wszystek szeroki, długi,
 Oto mój okręt krokami mierzy.
 Byłem, gdzie żaden dotrzeć nie może,
 Świat niemieszkalny przebiegłem w drodze;
 Lecz cóż mi chwała moja pomoże?
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

1855. Wilno.

B A B U N I A.

Z Andersen'a.

URYWEK.

Nasza babunia stara, pomarszczona, siwa,
 Ale oczy jej blaskiem migocą się jeszcze,
 I piękne historyjki z pamięci dobywa.
 Jej suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze.
 Babunia wiele umie i wiele pamięta,
 Bo gdzie starsza od ojca i od naszej matki!
 U babuni jest książka do modlitwy święta,
 A w tej książce dębowe z klamrami okładki.
 Między kartami książki, zerwana za młodu,
 Spłaszczona, zeschnięła róża troskliwie się chowa,
 Nie tak piękna, nie świeża, jak róża z ogrodu,
 Lecz, widząc ją, babunia zapłakać gotowa.
 Pocóż nasza babunia tak starannie strzeże

W książce od nabożeństwa kwiat zżółkły nieładnie?
 Czemu, gdy na tej książce odmawia pacierze,
 A na zawiedły kwiatek jej łezka upadnie,
 Kwiat odzyskuje barwę, nabiera swej woni,
 Twarz babuni młodnieje, rumieni się, bieli,
 Słońce ją opromienia, uśmiecha się do niej,
 W domku poweselało i w sercu weselej?
 Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,
 Ze światłymi włoskami, krasnemi jagody,
 I kwiatek z sianożęci być świeższym nie może.
 Mniema, że przy niej siedzi narzeczony młody,
 On jej darował różę, ona się uśmiecha,
 Z tym niewinnym uśmiechem, jak dziecku, jej ładnie.
 Odjechał — tysiąc dumań przedumała z cicha.
 W książkę do nabożeństwa znów swą różę kładnie,
 Zasiada w staroświeckie krzesło na ostatek,
 Twarz jej się znów pomarszcza, oko już nie pała,
 Jeszcze raz popatrzała na zawiedły kwiatek,
 Książka jej z rąk wypadła — babunia skoła.

1860. Wilno.

GWARINOS.

STARA HISZPAŃSKA BALLADA.

I.

Ej, Francuzi, czyż nie boli
 Roncewalska was przegrana?
 Padli trupem lub w niewoli
 Bohatery Karlomana...

I Gwarinos stracił wieńce
 Dawnych zwycięstw skroni męskich,
 Dzień potyczki dał go w ręce
 Siedmiu królów saraceńskich.

Kość rzucili siedem razy,
 A los jedno wciąż stanowi;

I Gwarinos siedem razy
Przysądzony Marlotowi.

Król z radością jeńca bierze,
Bo on droższy mu od złota,
— Słuchaj — mówi — słów Marlota,
Chrześcijański bohaterze!

Zrzuc z twych piersi krzyż ten słaby,
Przyjmij świętą cześć proroka,
Będziesz wodzem nad Araby
I źrenicą mego oka.

Dam ci skarby niezliczone,
Odziedzicysz tron mój w spadku,
Jedną córkę bierz za żonę,
Drugą oddam ci w dodatku.

— Cześć ci królu, za twe słowa,
Za twe łaski, za twe dary;
Lecz niech Chrystus mię uchowa
Od przyjęcia twojej wiary!

Nie chcę żony, łask, nadziei,
Nie chcę Maurów wieść na boje;
Z tamtej strony Pirenei
Król, kochanka, wszystko moje...

Złość okrutna wstrzęsła Maura...
— Gardzisz złotem, szczęściem, władzą!
Niech mi zaraz tego giaura
Do więzienia zaprowadzą!

W najstraszniejszy loch pokuty
Niech zawiedzie go odźwierny!
W sześć łańcuchów mocno skuty,
Niechaj gnije pies niewierny.

A gdy święte dni nadbiegą,
Zwołać trąbą naród mnogi,
I gdzie ulic cztery drogi,
Smagać do krwi niegodnego!...

II.

Płyną lata!... on w ciemnicy.
Przyszedł dzień świętego Jana,
Dzień to święty bez różnicy
Dla Araba i Hiszpana.

Składa modły tłum narodu
I w meczecie, i w kościele,
Syn Zachodu i syn Wschodu
Po ulicach kwiaty ściele.

Król Marlotes siadł w purpurze
I przygląda się weselu;
Kazał tarczę przybić w górze,
Rzucać kopię do celu...

Kilka godzin już igrzyska,
Nikt nie trafił w celu oko;
Każdy Arab włócznię ciska,
Ale meta za wysoko.

Gniew na króla osiadł czole,
Ogień w oku, groźba w mowie,
I straszliwą jego wolę
Ogłaszają heroldowie:

— Ssać nie mogą niemowlęta,
Jeść ni pić usta niczyje,
Póki meta nie jest tknięta,
Póki tarczy kto nie zbije!

Powstał w mieście okrzyk dziki,
Aż pod ziemię jęki płyną.

— Ach! co znaczą te okrzyki? —
Sam do siebie rzekł Gwarino:

Czy to radość jakaś żywa?
Czy się żeni kto z królewną?
Albo trąba lud przyzywa
I mnie smagać będą pewno!

Maur, podziemnych stróż sklepieni,
Rzekł mu na to: — Jesteś w błędzie,
Nikt z królowną się nie żeni,
Ciebie smagać nikt nie będzie.

Dzisiaj wielkie Jana święto,
Ciska włócznie młodzież nasza;
Dotąd celu nie draśnięto,
A król gniewny tak ogłasza:

Niech nikt nie je, ani pije,
Ani starzy, ani mali,
Póki mety kto nie zbije,
Póki tarczy nie powali!

Więc Gwarinos drży tajemno:
— Ej, strażniku, gdyby zbroja!
Gdyby śnieżny koń mój ze mną
I stalowa włócznia moja!

Włócznia, co służyła godnie
W Karlomana świętej sprawie!...
W zakład głowę moją stawię —
Zbiłbym tarczę niezawodnie!

— Jakto? ufasz twojej ręce?
Twojej sile? twemu oku?
W tej katuszy inni jeńce
Nie przeżyli ani roku...

Twoją szyję w ciężkiej sforze
Siedem lat już łańcuch mula...
Chcesz? pobiegnę wraz do króla
I żądanie tve przełożę.

Stróż zatrzasnął stalne wrota,
Aż zawyła podziem głucha,
I pośpiesza do Marlota,
I tak szepce mu do ucha:

— Ten Gwarinos, co w sklepiisku
Siódmy rok w kajdany dzwoni,
Chce zbić tarczę na igrzysku,
Prosi swego konia, broni.

Król zakrzyknął: — On? w tej chwili?
Jeszcze w lochu nie zgnił marnie?
Chyba żeście mu szczydzili
Głodu, więzów i męczarnie?

Niech tu przyjdzie! hola strażel!
Dać mu jego strój orężny!
Gdy go dźwignie, cud pokaże
Jeden więzień niedołączy!

Zbroję więźnia rdza przejadła,
Kości lat siedem piasek woził;
On, podobny do widziadła,
Szedł przed króla... okiem groził...

I uzbroił się z pośpiechem,
Dosiadł konia... przejrzał broni...
A Marlotes parskął śmiechem:
— No! obaczym cud twej dłoni...

Twarz wybladła i znędzniała
Wnet się płoni i rozchmurza,
Więzień ożył... męstwem pała...
Ruszył w harce, jako burza...

Rumak zadrżał... bo widocznie
Wspomniał bitwy, poznał pana;
Więzień silnie cisnął włócznię, —
Spadła tarcza potrzaskana...

Powstał gwar zazdrosnej wrzawy,
W górę mieczów błysło wiele;
Ale miecz Gwarina rdzawy
Naokoło trupy ściele.

Silnie konia spał ostrogą...
 Stary koń w podkowę dzwoni,
 Maury w pogoń lecą drogą...
 Więzień umknął od pogoni.

Dobiegł Francyi, — tam go szczerze
 Spotkał wiernych tłum wasali,
 Tam go damy i rycerze
 Z uwielbieniem powitali.

1848. Załucze.

G R A C Z E.

FORMA I MYŚL Z PUSZKINA.

Zasiedli stołem:
 Każdy nad stołem
 Wsparty,
 A każdy w wiście
 Bił zamaszczyście
 Karty.

I tylko czasem
 Przerwą hałasem
 Ciszę:
 Każdy na desce,
 Kredą po kresce,
 Pisze.

I wiodą spory:
 Lewy! honory!
 Krzyczą;
 I znowu w szyki
 Trefy i piki
 Liczą.

Po każdym robrze
 Stuknęli dobrze
 Starki;

I znów nad stołem
Zwiesili społem
Karki.

1846. Załącze.

O R Z E Ł.

Z PUSZKINA.

Za kratą, za lochu grubymi murami,
Ja orzeł zamknięty, strzeżony, —
Mój smutny towarzysz, trzepocąc skrzydłami,
Pod oknem łup krwawy chciwemi rwie szpony.

Rozdziera, pożera i patrzy w loch dziki,
Jedną myśl, jedną chęć w naszych duszach niecim,
Przyzywa mnie głosem, przyzywa mnie krzyki,
I zdaje się mówić: Ulecim! ulecim!

My ptaki swobodne, już pora, jedyny!
Gdzie góry za chmury wierzchołkiem sięgają,
Gdzie obce za morzem sinieją krainy,
Gdzie wiatr tylko igra i orły bujają!

1847. Załącze.

LAIK KLASZTORNY.

Z LERMONTOWA.

Kosztując, skosztowałem . . . trochę miodu,
a oto ja umieram.

Księgi Król. I, r. XIV, w. 43.

I.

Kędy Aragwa i Kura, dwie rzeki,
Jakby dwie siostry, na gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie,
Był stary klasztor niedawnemi wieki.
I dotąd jeszcze wędrownik postrzeże
Jakieś zwaliska czerniejące zdala,

Cerkiewne ściany, i wysokie wieże,
 I szkielet bramy, co w gruz się obala.
 Lecz pod sklepieniem cerkiewnej zaciszy
 Pieśni na jutrznię już nikt nie posłyszysz,
 Już dym kadzidła wśród Pańskiej ofiary
 Nie bucha wonnym kłębem z trybularzy;
 Jeno pustelnik, dziad siwy i stary,
 W pustem zwalisku pozostał na straży.
 Starzec już dawno zapomnian od świata,
 Śmierć zapomniała wziąć go do mogiły;
 A ów z nagrobków staroświeckie pyły
 I mech odwieczny otrząsa i zmiata.
 A na grobowcach przedstawia się oku
 Pamięć i napis chwały ominionej:
 Że jakiś mocarz, któregoś tam roku,
 Znużon ciężarem swej pańskiej korony,
 Oddał ją Rusi...

A Bóg od tej chwili
 Błogosławieństwo na Gruzińców spuszcza,
 W cieniu rozkosznych ogrodów odżyli,
 Nie straszna dla nich nieprzyjaciół tłuszcza,
 Bo żyją pewni, że ich zabezpieczy
 Niezlomna ściana przyjacielskich mieczy.

II.

Tędy na Tyflis jednego coś razu
 Jechał wódz ruski od gór Kaukazu,
 Z nim było dziecię zabrane w niewolę.
 W długiej podróży zasłabło pacholę.
 Chłopczyna mały i wątłej natury
 Liczył sześć latek, gdy zapadł w niezdrowie.
 A był lękliwy, jako sarna z góry,
 Cienki i giętki, jak wodne sitowie.
 Lecz w piersiach dziecka w bolesnej chorobie
 Duch jego ojców rozwinął się pięknie:
 Nie budził skargą litości ku sobie,

Ani się skrzywi, nie płacze, nie jęknie;
Przeczącym znakiem pokarmy odpycha,
I kona hardo, dogorywa z cicha.
Przez litość jeden z monasterynych braci
Przyjął chorego do zakonnej celi,
Leczył, doglądał, dni i noce traci;
Powstało dziecko z śmiertelnej pościeli.
Lecz w niem do zabaw chęć się nie budzi:
Z początku stroni, ucieka od ludzi,
Błąka się jeden, słowa nie przemówi,
I na wysokie pagórki się wspina,
Tęskni do kraju, gdzie jego rodzina;
Potem do swojej niewoli przywyka,
Uczy się dźwięków cudzego języka,
Chrzci się, powolny zakonnicy radom,
I tak się wgłębia w klasztorne zacisze,
Że w kwiecie wieku, burz ziemskich nieświadom,
Chciał już wykonać poświęcenie mnisze;
Gdy jednej nocy w jesiennym tumanie
Z murów klasztornych zniknął niespodzianie.
Wokoło były pagórki i skały,
Na górach puszcza ciągnęła się ciemna;
Trzy dni, trzy noce mnichy go szukały,
Ale ślad zginął i praca daremna.
Nareszcie w stepie, na bezludnej głuszy,
Znaleźli zbiega prawie już bez duszy.
Znow pod sklepienie ciemnych kurytarzy
Wnieśli młodzieńca miłosierni ludzie.
Trupią miał bladość na znędzniałej twarzy,
A tak był słaby, jak po ciężkim trudzie,
Jakby po głodzie lub długiej chorobie.
Codzień pierś słabsza i twarz bardziej blada,
Na zapytania nic nie odpowiada;
Snadź mu już rychło zasklepić się w grobie.
Wtedy mnich przyszedł nad boleści łoże
Spełnić nad chorem tajemnice Boże.
Chory wysłuchiwał modły i namowę.

A choć bezsilny, zaledwie oddycha,
 Podniósł z posłania swoją hardą głowę
 I słabym głosem tak mówił do mnicha:

III.

Mojej spowiedzi, posłanniku Boży,
 Przyszedłeś słuchać — dobra twoja rada:
 Jakoś lżej sercu, kiedy się otworzy,
 Gdy przed kimkolwiek swą boleść wygada.
 Dziękuję... słuchaj... lecz żyjąc na świecie,
 Chodziłem z ludźmi drogą nieobłudną,
 Z życia nie wiele czego się dowiecie,
 A całej duszy wygadać za trudno.
 Ja krótko żyłem, w niewoli, w klasztorze,
 A takie życie to pożał się Boże!
 Dwa takie życia spokojne, za krata,
 Dałbym za jedno życie pełne wrażeń.
 Nie miałem uczuć — oprócz sennych marzeń, —
 Jedną namiętność — lecz ognistą za to:
 Zawładła sercem — jej zabójcza siła
 Wgryzła się w piersi — i duszę spaliła.
 Ona, gdy w celi modłę się do Boga,
 W oczach i myślach stawi i promieni
 Zamglone góry, kędy rzeź i trwoga,
 Gdzie ludzie wolni, jak orły w przestrzeni.
 Jam tę namiętność, co dziś w sercu noszę,
 Karmił tęsknotą i łzami gorzkiemi;
 Mówię to wobec i Niebios, i ziemi,
 I przebaczenia za mój grzech nie proszę.

IV.

Starcze! słyszałem, żeś mi zbawił życie;
 Pocoś to czynił? — by trzymać w uwięzi?
 Liść z macierzystej oderwan gałęzi
 Dlaczego jeszcze do ziemi szczepicie?
 Co miało uschnąć, niech marnie usycha

Raczej, niż zwolna ma zawieźć w głuszy!
Ocalić dziecię i skazać na mnicha,
Czyż to nie znaczy zabić je na duszy?
Nikogo tutaj nie mogłem, nikogo
Nazywać ojcem albo matką drogą,
Sądziłeś, starcze, że wśród obcej strony
I niedostępnej celi pustelnika
Człowiek od świętych wyrazów odwyka,
Zapomni uczuć, z którymi zrodzony...
Próżno! bom widział, jako drudzy mieli
Krewnych, ojczyznę, domowy zakątek;
Jam nie miał nawet — grobowych pamiątek,
Z którymi serce bliżej się podzieli!
Więc zaniechawszy płakać bezkorzystnie,
Przysiągłem sobie w głębi mego łona,
Że pierś samotna, tęskna, rozogniona,
Do bratniej piersi kiedyś się przycisnie...
Choćby do piersi nieznanego człeka,
Byleby rodem z daleka... z daleka,
Gdzie moja ziemia, rodzice i bliźnie...
Biada mi! biada! — urojenie znika,
Umrę, jak żyłem na cudzej ojczyźnie,
Jako sierota — w pętach niewolnika.

V.

Myślisz, że może przez bojaźń niegodną
Lękam się trumny — ej, baśnie to, baśnie!
Tam uroczyście, spokojnie i chłodno,
Tam — ludzie mówią, że cierpienie zaśnie.
Lecz moje serce... lecz krew moja młoda —
Nie chcę umierać — bo mi życia szkoda!
Wir młodych marzeń szalony, skrzydlaty,
Którymi dusza tak żywo przejęta...
Możesz ich nie znać? lub zapomniał z laty,
Co jest nienawiść? co jest miłość święta?
Możesz z wysokiej monasterskiej wieży

Zadrzał, patrząc na słońca oblicze,
 Na widok pola, kędy wietrzyk świeży
 Orzeźwił twoje piersi zakonnicze?
 Widziałeś może w potrzaskanym murze,
 Jak młody gołąb, cudzy i nieznany,
 Z dalekiej strony zapędzon przez burze,
 Trzepiąc w skrzydełka tuli się do ściany?
 To cóż, że światła rozkoszne powaby
 Dziś twego serca skrzepłego nie wzruszą?
 Ty dzisiaj siwy, zgrzybiały i słaby
 Odwykleś pragnąć i pożądać duszą.
 To cóż, żeś martwy? — lecz żyłeś na świecie,
 Masz coś pamiętać, coś zapomnieć przecię...
 I ja żyć mogłem — a umieram w kwiecie.

VI.

Ty chciałbyś wiedzieć me wrażenia młode,
 Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
 Widziałem niwę szeroką, wesołą,
 Widziałem góry, a na górach drzewa,
 Co się zebrawszy w przyjacielskie koło,
 Szumią pieśń bratnią, kiedy wiatr powiewa.
 Widziałem czarną, chropowatą skałę,
 Co wrzący potok rozerwał na dwoje —
 Czy wierzysz, starcze, że marzenia moje
 Odgadły smutki i myśli jej całe?
 Bóg mi objawił ich tainię z wysoka,
 Całą ich żadzę i modlitwę biedną:
 Oto rozdarta na dwoje onoka
 Złączy się chciała i zespolić w jedno.
 Teskne kamienie na każdym urwisku
 Podają sobie ręce do uścisku.
 Płyną dni, lata, — lecz z dwojga wybrzeży,
 Skała ze skałą nigdy się nie zbieży.
 Widziałem głązy i pieczary górne,
 Dymiące nakształt ofiarnych ołtarzy,

A pogarbione w kształty tak potworne,
 Jak myśl człowieka, kiedy się rozmarzy.
 A nad ich głową, w rozigranym biegu
 Białe obłoki ciągną się uroczco,
 Z tajemniczego powstawszy noclegu,
 W długich się kłębach ku wschodowi toczą,
 Na sinem niebie jakby biała ściana,
 Jakby wędrownych .ptasząt karawana.
 Dalej widziałem przez zasłony mgliste
 Gór kaukaskich osiwiiałe czoło.
 Tam wpajam oczy... i czuję zaiste,
 Że sercu jakoś lekko i wesoło!...
 Głos tajemniczy wciąż mi przypomina,
 Że to znajoma... znajoma kraina,
 Że ja tam żyłem w ominionej dobie.
 Jak senne widmo, jako mglista baśnia,
 Przeszłość się żywiej a żywiej wyjaśnia...
 I tak począłem przypominać sobie.

VII.

I przypomniałem mego ojca chatę,
 Rodzinny aul, rozrzucony w jarze.
 Zdaje się, słyszę: wawozy garbate
 Zawrzały życiem w wieczornym rozgwarze;
 W wiosce gromada psów znajomych szczeka,
 Tabun powraca i tętni z daleka,
 A pasterz stado do pośpiechu nagli.
 Zdaje się, widzę naszej chaty wnijsćie,
 Kędy na dworze staruszkowie smagli
 W noc księżycową gwarzą uroczyście;
 Czytać odwagę na zgrzybiałem licu,
 Pochwy kindżałów błyszczą przy księżycu.
 Wszystko to, wszystko, jakby senne dziwy,
 Snuje się w mojej wyobraźni świeżej...
 I widzę ojca, bohater, jak żywy,
 Zbliża się do mnie w bojowej odzieży;

Błyszczą wspaniale jego strzelba długa,
 Brzęczy na piersiach drucziana kolczuga,
 A harde oko iskrami się żarzy.
 Widzę drużynę, memu sercu blizką:
 Siostry ze słodkim uśmiechem na twarzy
 Śpiewają pieśni nad moją kołyską.
 A tam się kręcił i spadał z opoki
 Strumień gwałtowny, ale nie głęboki.
 Tam z piaskiem żółtym i czystym, jak złoto,
 Chodzę bywało bawić się w południe;
 Śledzę, jak czarne jaskółki przed słońcem
 Ponad strumykiem przelatują cudnie;
 Jak się ptaszyna nad wodą kołysa,
 Szybuje lotem — że aż piersi zmoczy...
 I znowu widzę, nasza chałupa cicha,
 A w chacie ogień pali się uroczy.
 A przy ognisku o wieczornej chwili
 Słyszę rozhovor i piosenki wieszczce:
 Co to bywało? jak to ludzie żyli?
 Kiedy świat stary dzielniejszy był jeszcze.

VIII.

Ty chciałbyś wiedzieć, jako czas mój wiode,
 Gdy się nareszcie wyrwał na swobodę:
 Ja trzy dni — żyłem... i trzech dni to dzieło,
 Żem poznał świata pięknego powaby;
 Bez nichby życie smutniej upłynęło,
 Niż twoja starość, samotniku słaby!
 Dawno już, dawno mój zamiar się tworzy
 Wybiedz, obaczyć, czy piękny świat Boży?
 W czas grzmiącej burzy zręczność się nadarza:
 Kiedy noc czarna zdawała się piekłem,
 Gdyście leżeli w cerkwi u ołtarza,
 Modląc się trwożnie, ja wtedy uciekłem.
 Czulem, że żyję — na braterskie łono
 Chciałbym przytulić chmurę rozognioną;

Śledziłem drogi tajemniczej chmury,
By złowić piorun, wyciągałem pięście...
Powiedz mi, starcze: wasz klasztor ponury
Czemby mi takie wynagrodził szczęście,
Gdy się zespoli przyjaznym łańcuchem
Szalona burza z niespokojnym duchem?

IX.

I biegłem... biegłem... lecz dokąd, sam nie wiem;
Ani mi gwiazdka życzliwym żarzewiem
Dróg nie oświeca, nieba nie ozłoci.
Byłem czemś lekkim, wesołem, skrzydlatem,
Gdy pierś, schorzała w klasztornej wilgoci,
Mogła się poić leśnym aromatem.
Biegłem... czy długo? i dokąd? nie zgadnę.
Ustałem — bieg mój obezsilniał rychły.
Słucham, — i w trawę wysoką się kładnę,
Nikt mnie nie goni — grzmoty już ucichły;
Tylko jutrzienka szeroko i długo
Błądą na wschodzie rozciąga się smuga,
Tylko przy brzasku świeżego poranka,
Z pomiędzy ziemi i nieba sklepiska,
Jak czarne zęby, jak wzorzysta tkanka,
Widnieją góry z daleka i z bliska.
Ja w trawie leżę — a rozkosz jedyna
Słuchać, jak szakał odzywa się dziki,
Patrzeć, jak z zielska błyszcząca gadzina,
Sycząc, przepęłza pomiędzy kamyki.
Patrzę i słucham — lecz strach mię nie bierze,
Bo wiodę z niemi wspólne obyczaje:
Sam jak gadzina, sam jak dzikie zwierzę,
Obcy dla świata, czołgam się i czaję.

X.

Podę mną potok, wezbrany w ulewie,
Szumiał, warkotał i bił się o skały,

Jakby sto głosów w nieprzyjaznym gniewie
 Słowa złorzeczeń i groźby miotały.
 Ja zrozumiałem te potoku świsty
 I jego walkę ze stosem kamieni, —
 Bój niedołączny, a jednak wieczysty,
 To srogo ryknie, to się w jęk zamieni;
 Choć się rozpryska i ginie w swej pianie,
 Tłuc i podmywać skały nie przestanie.
 A już we mglistej nad mą głową chmurze
 Chór rannych ptasząt szczebioce i śpiewa,
 Błysnęła jutrznia w złocie i purpurze,
 I wiatr w przemokłe zaszeleścił drzewa,
 Jam witał dzionek wśród wysokiej trawy,
 Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła...
 I poco taić? — zadrżałem z obawy.
 Jam był nad brzegiem straszliwej czeluści,
 W niej czarne fale szumiały okropnie,
 Po skałach wejście; lecz któż się tam spuści?
 Jeden snadź szatan przechodził te stopnie,
 Gdy walczył z Bogiem, gdy go Boża siła
 Z niebios w podziemne przepaści strąciła.

XI.

Wkoło zapuszczam wzrøk cichy, młodzieńczy:
 Kwitnie las, piękny jakby ogród Boży,
 Liście migocą kolorami tęczy,
 Którą na rosie blask słoneczny tworzy.
 Owdzie latorośl kędzierzawa wina
 Po blizkich drzewach wije się i wspina.
 Gałąź, w zielone ustrojona liście
 I winogronem soczystem bogata,
 Ku samej ziemi zwisa uroczyście
 I nęci ptastwo, co na żer przylata.
 Czułem, że w raju, że w Niebiosach jestem;
 Padłem na ziemię — słuch natężam cały
 Ku drzewom, krzakom, co z cichym szelestem

Coś tajemniczo szeptać się zdawały,
Jak gdyby gwarząc wyrazy dziwnemi
O tajemnicach Niebiosów i ziemi.
Wszystko się Panu na modlitwę sili,
Gdzie jeno oko, gdzie ucho otworzę.
Tylko, niestety! w uroczystej chwili
Głosu człowieka nie stawało w chorze.
Com jeno marzył, co czułem w tej dobie,
Zbiegło z pamięci, jak woda ze strugi;
A chciałbym wszystko wypowiedzieć tobie,
Aby choć myślą odżyć po raz drugi.
Niebiosą były tak czyste dokoła,
Że mógłbyś na nich śledzić lot anioła.
Któż tę pogodę lazuru określi?
Ten blask, po ziemi roztoczony cudnie?
Pasłem urokiem i oczy, i myśli,
Aż nim nadeszło gorące południe.
Wtedy, strącony z mych dumań obłoku,
Czując pragnienie, biegłem do potoku.

XII.

Ze stromej góry, jako dziecię małe,
Czepiac się krzaków, choć praca mozolna,
Albo stąpając ze skały na skałę,
Począłem w przepaść zapuszczać się zwolna.
I czułem więcej rozkoszy, niż trwogi,
Kiedy mi kamień wymknie się z pod nogi,
I ryje ziemię, i kurzawę nieci,
I warczy, skacze, nim się na dół spuści;
Patrzę ciekawie, kiedy już doleci,
Buchnie z łoskotem do wodnej czeluści.
I ja swawolnie wisiałem nad wodą.
Gdy giętkich krzewów czepiała się ręka;
Lecz męstwo grzało moją duszę młodą,
A młoda dusza śmierci się nie lęka.
Ledwiem się spuścił po urwistej ścianie,

Świeżość wód górnych orzeźwia mię żywo,
Wiatr chłodny wionął na moje spotkanie,
I piłem wodę piersią pożądliwą.
Wtem głos... i szelest — w pustej rozpadlinie...
Ja w mgnieniu oka skryłem się w gęstwinie.
Dreszcz mię przebiegnął od stóp aż do głowy,
Podniosłem w górę bojaźliwe oczy,
I słucham pilno — to głos ludzkiej mowy...
Zbliża się... zbliża... dźwięczny i uroczy.
To głos Gruzinki, żywy, nieuczony,
Co jeno w słodkie rozlewa się tony,
Co jakby insze nieznane mu dźwięki,
Oprócz wyrazów miłości, przyjaźni.
Był to głos prostej gruzińskiej piosenki, —
Lecz tak się wpoił do mej wyobraźni,
Że go aż dotąd, gdy szara godzina,
Duch niewidomy wciąż mi przypomina.

XIII.

Z konwią na głowie, po wąskiej drożynie
Gruzinka z góry szła nad brzeg potoku;
Zbiegając na dół, gdy się krok powinie,
Pustą wesołość czytałem w jej oku.
Sute wyloty swej biednej czamary
W tył odrzuciwszy, szła lekko i śmiało.
Jej twarz, jej piersi barwą ogorzałą
Powlokły słońca upalnego skwary,
A ogień życia promieni się w twarzy,
Z jej ust oddycha, na oczach się żarzy;
A w czarnych oczach taka głąb i siła,
Tak wznieca miłość gorącą, tajemną,
Że moje dumki dziecinne spłoszyła.
Jam zadrżał, zdrętwiał — i co było ze mną,
Nie wiem... nie pomnę... tylko słuch pamięta,
Jak brzękła woda konwią zaczerpnięta,
I szelest kroków... Gdym ochłonął z szau,

Gdy krew ostygła, co mi serce pali,
Już jej nie było... widziałem z oddali,
Jak wraca w góry lekko, choć pomału,
I choć pod konwią schylona jej głowa,
Wzniosła jak topól, tych lasów królowa.
Widzę za mgłami dwie chatnie mieściny,
Jakby przyrosłe do skalistej bryły,
Jednym się dachem bratersko pokryły;
Z pod płaskiej strzechy dym sący się siny,
I w jednej chacie ponad skałą krętą
Drzwi się otwały... znowu je zamknięto...
Lecz czego tęsknię i o czym ja roję,
Przed tobą, starcze, i mówić daremno;
Ty nie zrozumiesz... O, wspomnienia moje!
Niech one raczej umierają ze mną!

XIV.

Po nocnych trudach sen zamknął mi oczy,
I Bóg mi cudne marzenia przysyła:
Widziałem obraz Gruzinki uroczy;
Znowu pierś moja słodko zatęskniła.
Chciałem westchnieniem zwalić kamień z siebie,
Alem się ocknął, wyteżając płuca.
Noc była jasna, a gwiazdy na niebie,
Księżyc jużienne łożysko porzuca;
Za nim widziałem chmurkę tajemniczą,
Pędzi się, skrada... jakby za zdobyczą.
Ciemność i cisza władały na ziemi,
Tylko śnieg błyszczał, co na górach leży,
I tylko potok takty mierzonymi
Uderzał silnie o skałę wybrzeży;
Tylko w znajomej chacie ogień pała,
Iskrzy się... hucha... gaśnie przytajony...
Chciałbym wejść do niej — lecz dusza nieśmiała,
Mój cel — uciekać na rodzinne strony.
Cierpienia głodu przemagam, jak mogę,

I biegnę prosto, gdzie noga poniesie;
Ale, po górach miarkując mą drogę,
Gdym stracił góry, zablądziłem w lesie.

XV.

Napróżno moja ręka rozpacziwa
Rwie krzaki cierniów i splątanych bluszczy —
Nic się nie przedrze, nic się nie odkrywa,
Oprócz głębokiej, wiekuistej puszczy.
Za każdym krokiem ścieżka mi się wężi;
Ze strachu nogi chwieją się pode mną,
Milionem oczu z za każdej gałęzi
Pogląda na mnie nieprzedarte ciemno.
Chcę zbadać drogę, czepiam się na drzewa,
Patrzę daleko... aż do krańców świata:
Za mną, przede mną, na prawo, na lewo,
Leśnych wierzchołków powierzchnia zębata.
Więc krzyżąc wściekle, zrozpaczonem czołem
Padłem na ziemię i gryźć ją począłem.
Lecz z moich oczu — nawet łzy się leją,
Spadają bujną i gorącą rosą.
Możem się krzepił tajemną nadzieją,
Że ludzie przyjdą, pomoc mi przyniosą?
O! nie... nie, starcze... ja nie chciałem ludzi,
Ja, obcy dla nich, jak stepowe zwierzę...
A gdybym wiedział, że to litość wzbudzi,
Anibym jęknął, — przysięgam ci szczerze;
A gdybym jęknął, to w tej samej dobie
Pieszczony język wyrwałbym sam sobie.

XVI.

Kiedym był dzieckiem, to mnie nic nie wzruszy, —
Wszak nie pamiętasz mych łez ni rozpaczy;
A teraz mogłem pofolgować duszy:
Płakałem rzewnie, bo któż mię obaczy?
Las ciemny świadkiem moim był jedynie,

I jasny księżyc, co po niebie płynie.
Przedemną była polanka wśród dziczy,
Drzew niebotycznych ogrodzona ścianą;
Nieco oświecił księżyc tajemniczy
Jej ziemię, piaskiem i mchem zasypaną.
Cień po niej mignął... z daleka coś błyska,
Jakby dwie iskry, jakby dwa ogniska:
Straszny rosomak wyskoczył z gęstwini,
Tarza się w piasku... niegłodzien już pono,
Bo wesół mruczy i zabawkę czyni,
Trzymając w paszczy kość niedogryzioną;
To włos najeży, to znowu podskoczy,
To wlepia w księżyc swoje krwawe oczy.
Ja, kij sękaty ująwszy jak włócznię,
Czekam, by mężnem postawić się czołem;
Krew moich przodków zadrgała widocznie...
Gorącej bitwy i krwi zapragnąłem!
Choć życie moje niedołąźnie płynie,
Lecz się pasując ze zwierzęciem dzikiem,
Poczułem, starcze, żem w ojców krainie
Mógł nieostatnim zostać bojownikiem.

XVII.

Czekam... rosomak zawietrzył po niwie,
I odkrył wroga, i zawył płaczkliwie,
I ryje piasek gniewnemi pazury,
I krwawem okiem iskrzy nieprzytomnie;
Przyległ do ziemi, podniósł się do góry,
I znowu przyległ, i poskoczył do mnie.
I jużbym zginął, lecz przytomność skora
Uprzedza wroga: żwawe ręce moje,
Mój kij sękaty, jak ostrze topora,
Łeb napastniczy roztrzaskał na dwoje...
Jęknął jak człowiek... i padł — lecz za chwilę,
Choć zakrwawiony i z rozbitą głową,
Zwierz powstał, skoczył, i wznosił się na sile,
I bój śmiertelny zakopiał na nowo.

XVIII.

Padł mi na piersi, ale mu do pyska
 Wpycham mój oszczep i przebijam gardło.
 Rzucił się, zawył... i nigdy w uścisku
 Dwóch się przyjaciół tak szczerze nie zwarło,
 Jakeśmy z wrogiem, obadwaj, zajadli,
 Walcząc w ciemności, na ziemię upadli,
 Ja straszny byłem w morderczym zapasie,
 Jakby rosomak dziki i zawzięty,
 Gryzłem, piszczalem, jakby wilczę zda się,
 Wyhodowane z wilczemi szczenięty.
 I głos zwierzęcy na puszczy jałowej
 Wstąpił w me piersi — tak straszliwie wrzeszczę,
 Zda się, że ludzkiej nie umiałem mowy,
 Żem jej nie słyszał od kolebki jeszcze.
 Lecz wróg mój słabnie, choć rzuca się do mnie...
 Oddycha wolniej... walczy nieprzytomnie...
 Zdławił mię jeszcze... przytoczył ogromem
 I raz się zachwiał i na nowo ożył...
 Groźnie zabłysnął okiem nieruchomem...
 Potem je zamknął i już nie otworzył...
 Lecz chobrze walczył i mężnie umiera;
 Jako przystało na zgon bohatera.

XIX.

Czy widzisz ślady? patrz na piersi mojej!
 Ta rana świadczy o zwierzęcej sile:
 Szarpnięcie krwawe — ale to w mogile,
 W surowej ziemi, łąco się zagoi.
 Śmierć ranę sklepi, jak lekarz, jak matka, —
 O niej pamiętać nie było mi czasu;
 Ja wątlej siły dobywszy ostatka,
 Wlokłem się w gęstwie niedostępne lasu.
 Daremnie z dolą walczyłem, daremnie!
 Zła moja dola urąga się ze mnie.

XX.

Wyszedłem z lasu — już dzionek zabłyska,
 Gwiazdy pogasły, wiatr jęknął po ziemi,

Góralskie chaty i noclegowiska
Już wybuchnęły dymy porannemi.
Puszczą szumiąca swój rozhovor stary.
Usiadłem słuchać — i ścichły jej gwary.
Ciekawem okiem spojrziałem dokoła...
Strona znajoma, czy mi się wydaje?
Tutaj monaster... nie pojmuję zgoła,
Jakim sposobem wróciłem w te kraje?
Jakbym chciał uleść przed mej doli władzą,
Wrócić, gdzie znowu w ciemnicy osadzą.
Tylem dni sterał w pustyni i borze,
Tylem przecierpiał, przemarzył radośnie!
Poco to wszystko? aby w życia wiośnie
Wrócić w niewolę, gdzie głowę położę?
Pierś rozognioną złożyć w grób ponury,
Kiedy ku światu ledwie oczy wznoszę,
Kiedy na łonie swobodnej natury
Zdołałem poznać swobody rozkosze?
Czyż to na zawsze nadzieja mi zginie
I moja tęskna dumka po rodzinie...
Jeszcze nie wierzył, roiłem z pociechą,
Że to nieprawda, że to sen mnie straszy,
Że się obudzę, — gdy śpiżowe echo,
Jak grom, z dzwonnicy ozwało się waszej.
Obrazy śmierci już mi w oczach stoją,
Ten dzwon już nieraz był torturą moją,
Ten dźwięk bywało, moje szczęście płoszy:
Oczy dziecinne gdy do snu zasklepię,
Marzę o braciach i w błogiej rozkoszy
Hasam w swobodnym macierzystym stepie,
Lub widzę piękne wśród skał bojowiska,
Gdziem ja zwyciężcą, gdzie mój miecz połyska
Nad wszystkie miecze... Do innego świata
Ten dzwon mię strącał, — i teraz w pomroce
Zda się z mej piersi to echo wylata,
Zda się żelazem ktoś mi w piersi grzmoce,

I jasno prawda stanęła złowroga,
Że do rodziny — zamknięta już droga!

XXI.

Tak! jam zasłużył na cios, co mię boli:
Bo weź rumaka ze stepu, z daleka,
Zdaj go na ręce cudzego człowieka,
A zwierz potarga trenzle swej niewoli,
I zrzuci jeźdźca, otrząśnie się z siodła,
Puści się cwałem przez błonia, zagony,
I nie pytając, gdzie droga powiodła,
Trafi do swoich — na swój step rodzony.
Ja, niedołączny, cóż ja przed nim znaczę?
W mem sercu żądze i tęskne rozpacze,
Ogień bezsilny, zapał chorowity,
Igraszka marzeń i upadek duszy,
Stempel niewoli, na czole wybity,
Co myśli chrobre smutnemi zagłuszy.
Jak kwiat, co w murach, od światła z daleka,
Między kamieniami i cegły wyrośnie,
Nie puszcza liści, poblednie żałośnie,
I ciągle słońca, jak zbawienia, czeka;
Tymczasem długie, długie dni ubiegły,
A kwiatek wędnał od ciemna i chłodu,
Nim ktoś go wyjął z rumowiska cegły
I między róże zaniósł do ogrodu;
Zewsząd go życie owionęło nowe,
Ale na słońca południowym skwarze
Wkrótce opuścił i liście, i głowę, —
Spalił się kwiatek, chowany w pieczarze...

XXII.

I ja... gdym wybiegł za klasztorne wrota,
I mnie spaliła słoneczna spiekota.
Napróżno czoło tuliłem do trawy,
By mnie przytulić chciała miłośnierze,

Bo trawa zwiędła — liść szorstki, chropawy
 Wpijał mi w głowę swe kolce i ciernie.
 Nawet od ziemi, gdy do niej przypadnę,
 Czuję gorąco i płomienie zdradne.
 Skała wyziewy zabójczemi bucha,
 Świat snem rozpaczy zasnął nieudolny;
 Choćby dla ulgi, dla pociechy ducha,
 Ozwał się chróciel albo konik polny,
 Choć gdyby rybka plusnęła w zatoce!
 O, gdzie tam! straszno pośród skał urwiska,
 Po suchym łomie żmija się szamoce,
 Żółtemi pręgi zdradziecko połyska,
 Jak gdyby na nich był napis złowrogi;
 Pełźnie ukradkiem i straszy sykaniem,
 I żółty piasek rozsypując z drogi,
 Wiję się w skręty, przewala się na nim.
 Pieści się, igra... ale jednym razem,
 Gdym ją chciał witać mową przyjacielską,
 Jakby dotknięta gorącym żelazem,
 Rzuca się ukryć w niedostępne zielsko.

XXIII.

Jasny i cichy był widnokrąg cały:
 Z za mgły... daleko... dwie góry czerniały.
 Jedna z nich dobrze znajoma mi góra:
 Na niej nasz klasztor z basztami i wieże,
 U dołu rzeki Aragwa i Kura,
 Srebrzystem pasmem obwiwszy wybrzeże
 I na swych wyspach podmywając krzaki,
 Biegły wesołe ku mecie jednakiej.
 Daleko od nich — powstać niemasz mocy!
 Wszystko się kręci przed memi oczyma.
 Chciałem zakrzyzczyć, zawołać pomocy,
 Lecz w piersiach zaschło, i głosu już niema,
 Język oniemiał, głowa mi opadła,
 Czułem przedśmiertnej gorączki widziadła.

Zdaje się, leżę próżen opieki
Na dnie wilgotnem głębokiej rzeki,
A mgła tajemna krąży w oddali,
Me piersi wieczne pragnienie pali,
A jak lód zimna i czysta woda
Leje się z piersi, szeleści, syczy.
Nie chciałem zasnąć, bo była szkoda
Takiej rozkoszy, takiej słodyczy.
A nad mem czołem wśród błogiej ciszy
Fala po fali wciąż się kołyszy;
Przez kryształ wody, przez fali drganie
Widziałem słońca lube świtanie.
Z jego promieńmi rybkom zabawa,
W świetle igraszkę mają przyjemną;
A jedna rybka, nad inne żwawa,
Jakże uprzejmie pieści się ze mną!
Na niej się błyszczy złocista łuska,
Ona me czoło z pieszczotą muska;
W zielonych oczkach widziałem pewno
Głęboki smutek i czułość rzewną.
A miała głosik słodki, człowieczy;
Dźwięczniej od srebra, dźwięczniej od złota,
Szeptala dziwne, dziwne mi rzeczy!
To się uciszy, to znów szczebiota:

Tu, dziecino, zostań, młoda,
A zamieszkaj głębię wodną,
Tutaj szczęście, tu swoboda,
Tak spokojnie, tak tu chłodno!

Zbiorę rybek wiele, wiele,
Płasać będziem na przemiany,
Ja twe oczy rozweselę,
Uspokoję duch znękany.

Zaśnij! → miękkie twoje łoże,
Przezroczyście twe przykrycie,

Wpośród marzeń śpij, nieboże,
Lata, wieki, całe życie.

Ty, mój luby, nie wiesz wcale,
Że o tobie tylko roję:
Kocham, jak swobodną falę,
Jako własne życie moje.

Ja słucham, słucham, wciąż mi się marzy,
Że do mnie mówi przyroda cała,
Że dźwięczna fala to samo gwarzy,
Co mi złocista rybka szeptała.
Alem odrętwiał: jak pustka głucha,
Świat Boży ściemniał, urwał rozmowę,
I już w bezsilnem znużeniu ducha
Zamarzy moje sny gorączkowe.

XXIV.

Jakeście zbiega z klasztoru szukali?
Jak mię znaleźli? i co było dalej?
Ty sam wiesz, starcze. Skończyłem me dzieje;
Wierz mi lub powiedz, że zmyślam widocznie,
Mało się troszczę. Nad jednym boleję,
Że trup mój w ziemi rodzinnej nie spocznie,
Że smutna powieść męczarni mej duszy
Tu od kamiennej odbija się ściany,
Żadnego serca współczuciem nie wzruszy,
Zginie nieznana — jak i ja nieznany.

XXV.

A teraz żegnaj! daj mi rękę, stary!
Czujesz, jak ogniem moja ręka pała?
Wiedz, że ten ogień, te straszne pożary
Ja w mojej piersi tailem od mała.
Teraz, gdy iskrze żywiołu nie dano,
Przepala swoją ciemnicę kościaną,

A wybuchnąwszy w ostatnim pożarze,
Kiedy śmiertelna pokrzepia go siła,
Wraca do Boga, co w słusznym wymiarze
Ludziom cierpienia i spokój przysyła.

XXVI.

Kiedy ja będę umierał zbolały,
(Niedługo, starcze, doczekasz tej chwili),
Niechby mię wtedy w ogrodzie złożyli,
Kędy dwa krzewy akacyi białej.
Jeszcze na gęstą popatrzałbym trawę,
Gdzie świeży wietrzyk, gdzie liście złotawe
Igra ze słońcem... Raz ostatni jeszcze
Niech mię tam niosą z twojego rozkazu,
Niechaj się dzionkiem słonecznym popieszczę,
A stamtąd widzę góry Kaukazu!
A może kraj mój z gór swoich wyżyni
Znak pożegnalny sierocie uczyni,
I ze swym wiatrem w tutejsze zacisze
Przyśle ostatnie pożegnalne słowo;
Rodzinne słowo przed śmiercią usłyszę,
I pełnem życiem odetchnę na nowo.
Pomyślę sobie, że to ludzie moi,
Że tu przyjaciel, że tu brat mój stoi,
Liczy ostatnie mego serca bicie,
Ściera pot zimny, co mi z czoła płynie,
I głosem cichym, że nie posłyszycie,
Śpiewa piosenkę o mojej rodzinie...
Wtedy ja umrę... ja usnę tak błogo,
Nie przeklinając nikogo... nikogo!...

Październik, 1852. Załącze.

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

Myśl z Nekrasowa.

Świat coraz nowej nabiera zalety:
 Na przykład dzisiaj — już są komitety,
 Gdzie starzec, wdowa, sierota, kaleki
 Liczą na wsparcie, doznają opieki.
 Nawet magnaci już w dzisiejszej chwili
 Dobrą z Paryża modę sprowadzili,
 Bo nie przez druki, radą lub przestrogą,
 Lecz samym czynem wspierają, jak mogą.
 Czy wiesz, mospanie? to poczciwa moda!
 Ale co dawniej — to i mówić szkoda!
 Słuchajcie tylko, bo Pan Bóg mi świadek,
 Że dziwny w życiu raz miałem przypadek.

Niech mię Najwyższy od tego zachowa,
 Abym miał gadać samochwalcze słowa;
 Ale co prawda, to wyznać potrzeba!
 Byłem poczciwym... i nie miałem chleba.
 Mówili wszyscy, że jestem bogaty;
 Intratny urząd... ale bez intraty.
 Dać się przekupić, coś nie spełnić ściśle,
 Aż strach bywało, gdy o tem pomyśle.
 Była drożyzna — żyj tu groszem z miasta!
 Płaca nie wielka, a dziatwa podrasta;
 Więc się bez chleba obchodzimy, jak możemy,
 Mając pod strażą magazyn ze zbożem.

Hardy z mej nędzy, prawilem z wysoka,
 Że własność kraju — to żrenica oka,
 Że zbrodniarz tylko z urzędu korzysta,
 Słowem: bluźniłem, jak liberalista.
 Teraz, jak słyszę, szczerze czy nieszczerze,
 Taka zasada już cześć nawet bierze;
 Wtedy przekupstwo było wszystkich hasłem —

Połknąć kubana, to jak chleba z masłem.
 Ludzie mówili: Masz rodzinę przecię!
 Ej, będzie kręto! z torbami pójdziecie!
 Rzuć, panie bracie, te fochy złowieszcze!
 A jam nie słuchał, urągał się jeszcze!

Ludzie, zwyczajnie, mściwi i zawzięci,
 Z politowania przyszli do niechęci.
 Poczęto śledzić, a w moim wydziale
 Już się... to, owo, znalazło niedbale.
 Przyszła mi bura, potem druga taka,
 Nareszcie z kwitkiem puszczoneo biedaka.
 Tak tedy w jednej ziściło się chwili
 Wszystko, co ludzie poczciwi wróżyli:
 Za jednym razem, jakby z deszczem spada
 I głód, i zimno, i przyjaciół zdrada.
 Myśmy zostali, jak żebracy szczerzy,
 Ja sam w rozpaczy, diatwa bez wieczerzy,
 A żona, z nędzą dać nie mogąc rady,
 Klnie moją pychę i brzydkie zasady.
 A ja, bywało, wstaję... gdzie przede dniem!
 Troskam się pilno o życiu powszedniem,
 Jak wół pracuję, — wciąż nędza i nędza,
 Grosz, co zarobię, grosza nie dopędza,
 Zdaje się, pęknię pod nieszczęścia siłą;
 Bóg mię strzegł tylko, że się nie rozpiło.

Alem na trzeźwo, a wiernie mej cześci,
 Do dna wychylam mój kielich boleści...
 Jak tam bez miejsca, bez chleba, w rozpaczy
 Dziesięć lat przeszło? Bóg to wiedzieć raczy!

Kiedy z dnia na dzień nasz byt taki samy,
 Niespodziewanie pismo odbieramy:
 Że naszych nieszczęść skończyła się proba,
 Że jest w stolicy szlachetna osoba,
 Mąż znakomity, jakby anioł nowy,
 Pięknego serca i potężnej głowy,

Co swoje pióro i umysł bogaty,
Oddał na korzyść krajowej oświaty,
Wydał pięć tomów prześlicznych powieści,
Gdzie wykład nauk fizycznych się mieści,
Dziełko dostępne, popularne, tanie,
By elektryczność pojęli włościanie.

Więc ja to dzieło sprowadzam w zacisze:
Jak tam moralnie, jak tam pięknie pisze!
Samego siebie widzę jak na dłoni,
Moje ubóstwo wstydem mię nie płoni,
Moje łachmany — to obraz jaskrawy,
Żem nieprzedajny, że byłem człek prawy;
Więc chlubna radość w oczach mi jaśnieje,
Wolnoż mi przecię mieć dobrą nadzieję,
Gdy ta osoba zacna, znakomita,
W sercu biedaka tak wyraźnie czyta.

Mówię do żony z radosnemi łzami:
Pan Bóg się wreszcie zlitował nad nami,
Zesłał ochrońcę, człeka dobrej woli,
Co nasze dzieci od nędzy wyzwoli.
Pójdę do niego — tam nasza osłoda:
On mię zrozumie, on mi rękę poda!

Słowom otuchy uwierzyła żona;
Już nasza dola jakby polepszona,
A człowiek, w przyszłość wierząc całą siłą,
Zapomniał biedy, jakby jej nie było.
Więc rada w radę... marzenia i plany —
Ostatni zapas na drogę zebrany,
Ze trzysta złotych — i otwarta ścieżka.
Więc rozpytawszy: kto? gdzie i jak mieszka?
Marsz do stolicy!

Tam mieliśmy krewną, —
Ta w swoim domu przyjmie nas zapewno;
Ale z krewnymi sam czart piwo warzy:
Przyjęła zimno, wstydząc się nędzarzy.

Więc myślę w duchu: A Bógże tam z tobą!
 Nie chcę się z moją nabijać chudobą;
 A choć nam w serce boleśnie coś bodzie,
 Nająłem numer w zajezdnej gospodzie.

Całą noc Bożą, nim słońce zaświeci,
 Modlą się za mnie i żona, i dzieci,
 A ja raniutko do zbawcy wychodzę,
 A serce bije niespokojnie srodze.
 Idę ulicą, i drżący jak listek,
 Myślę, co powiem? jak żywot mój wszystek
 Pokrótcie skreślę?

Powiem mu najprościej:
 Panie! ja ginę z głodu i starości!
 Mogłem coś zebrać; ale cnotę cenię,
 Bo wiem, co znaczy i Bóg, i sumienie.
 Gdy tysiąc potrzeb na głowę się kupi,
 Myślałem sobie: O głupi ja głupi!
 Inaczej myśląc, dziś zebrałbym krocie,
 I zlorzeczyłem mojej własnej cnotcie!
 Lecz twoje dzieło! twoje złote dzieło!
 Czystą mi prawdę w oczach rozwinęło:
 Jam chlubny z siebie... ale żyć nie łatwo,
 Alem ja nędzarz i z żoną, i z dziatwą!
 Ty, co pojmujesz, jak to serce boli,
 Szlachetny mężu, ratuj mię w niedoli!

Rzecz ułożyłem i wchodzę do sali:
 Uprzejmi słudzy już znać o mnie dali.
 Wyszedł mąż zacny, — spojrzałem i drgnąłem,
 Pot mi kroplami wystąpił nad czołem,
 A mowa moja tak rzewna, tak czuła,
 Całkiem się z biednej pamięci wysnuła.
 Jąłem belkotać ogólniki, frazy,
 Trę głupie czoło i raz, i dwa razy,
 Nic nie przypomnę, Pan Bóg wie, co prawię,
 A wszyscy na mnie patrząją ciekawie,

Czego pan żądaś? — spytano uprzejmie.
 Lecz znowu przestraszam mówę mi odejmie:
 Ja żądam... żądam!... Tutaj myśli nawał,
 Co człowiek marzył, co w życiu doznawał,
 Wszystko, co cierpiał, co ma cierpieć jeszcze,
 Stań się widmem i szpony złowieszcze
 Wpiło do serca... a nogi się słońią...
 Ja, stary głupiec, czoło cisnąc dłonią,
 Ryknąłem płaczem, nie pomnąc, co robię,
 Przy znakomitej a ważnej osobie.

Ten płacz był śmieszny, — na moim mundurze
 Barwa spłowiała i dwie plamy duże;
 Więc dobroczyńca, opiekun ludzkości,
 Że jestem pijak wnioskowałem najprościej,
 A pokojowiec wziął burę od pana,
 Że tutaj weszła postać podejrzana.
 Chciałem coś mówić, lecz pan tupnął nogą;
 Czułem, że skargi, że łzy nie pomogą!
 Gdybyż przynajmniej użył ręki swojej,
 I raczył wypchnąć sam ze swych podwoi!
 Lecz nawet takiej nie udzielił cześci:
 Gdym się poślonił z wstydu i boleści,
 Przyszli hajducy, a szarpiąc mię srodze,
 Wzięli pod ręce, wlekli po podłodze;
 Gdy się szamocę, gdy wyrywam ramię,
 Pchnęli ze schodów, żem upadł przy bramie.

Zlany jak wrzątkiem, shańbion tak dalece,
 Biegłem ulicą, nie pomnąc, gdzie lece,
 I nóg nie czując... Wkońcu wiatr zimowy
 Jakoś przytomność wrócił mi do głowy.
 Rzucam oczyma naokoło siebie:
 Tu niosą jakieś mury po pogrzebie,
 Tu na tablicy czytam piwownię,
 Tam lwa zobaczyć tłum ludu się garnie,
 Tam cerkiew, cmentarz, rajszula i szkoła,
 Szpital, wekslarnia i mury kościoła,

Magazyn mody, drukarnia, a za nią:
Tu różne trunki sprzedają się tanio!

Zajdę... czy raczej wstrzymam się na wodzy?...
Wszedłem... Cóż dalej?... Bracia moi drodzy!
Już od gawędy zachrypło mi gardło...
Od lat trzydziestu uczucie zamarło...
Na co uczucie? dla kogo w tej chwili?...
Dzieci pijaka ojca opuścili,
Żona wróciła w swe rodzinne strony,
Na jej mogile tkwi krzyżyk omszony;
Choć całe życie nie było w niej złości,
Klęła przed zgonem świeczniki ludzkości.

Dziwniż to ludzie! o sto mil dokoła
Za dobroczyńców ludzkość ich obwoła,
Piszą, drukują, o postępie gwarzą;
Lecz zbliż się do nich, twarz zetknij z ich twarzą,
Och! jakże na nich zawiedziesz się srogo!
Pijaka z głodnym rozróżnić nie mogą!

1855. Borejkowszczyzna.

NA WOŁDZE.

(DZIECINNE LATA WALEŻNIKOWA).

Z N e k r a s o w a.

I.

Psie mój! co ciebie do pośpiechu skłania?
Skaczesz na piersi, a sierść ci się jeży;
Dość jeszcze będzie czasu do strzelania...
Dziwno-ć, żem przyrósł do Wołgi wybrzeży.
Już od godziny spoglądam na wodę,
Chmurny, bezwładny, jako gład na grobie;
Przyszły mi na myśl moje lata młode,
Niechże tu w ciszy przypomnę je sobie.

Jestem jak żebrak, który idąc drogą,
Jeszcze się waha i sam siebie pyta:
Tu dom ubogi, tutaj grosz dać mogą,
Tu dom bogaty, jałmużna sowita.
Ale stróż domu bogatego czleka
Nie dał jałmużny, a więc poszedł dalej.
Jeszcze bogatszy dom widzi z daleka, --
Stamtąd go ledwie kijmi nie wygnali.
Gdy tak przechodził od chaty do chaty,
W całej go wiosce chybiła jałmużna;
Co miała przyjąć zasilek bogaty,
Wisi u boku jego sakwa próżna.
Wtedy do chaty ubogiej powraca,
Co pogardliwie minął w pierwszej chwili.
Tutaj przynajmniej nie zawiodła praca:
Skórkę mu chleba suchego rzucili.
Jak pies go schwycił lękliwą paszczką,
I poszedł gryźć go daleko od drogi.

Tak ja, wzgardziwszy, co było pod ręką,
Z młodu rzuciłem rodzicielskie progi,
I nadaremnie byłem wstrzymywany:
Za nic głos braci, łzy matki rześiste,
Daremnie szumiał mój las ukochany,
Że niemasz niebios nad niebo ojczyste,
Nigdzie nie gości taki spokój błogi,
Jak na rodzinnym zagonie lub łące!
Też same słowa przyjaznej przestrogi
Mówiły fale tutejsze, szumiące;
Lecz nie wierzyłem głosom tajemniczym,
Bo mię znudziła rodzicielska strzecha,
Tutejszy spokój, niekupiony niczem,
Wcale się sercu memu nie uśmiecha.

Czy niepotrzebny, z mą chęcią usługną,
Sterałem siły w daremnej fatydze?
Lecz wiem, że życie zabiłem napróżno,
Sam dawnych marzeń przed sobą się wstydzę.

Gorące serce poraniłem srodze,
Straciłem siły w rozprawie najżywszej;
Dziś z pola życia zawstydzony schodzę,
Sobie i bliźnim nic nie uczyniwszy.
Powracam nazad i kołacę z trwogą
Do drzwi, gdzie młodość przepędził uboga.
Nie wspominajcie nitki marzeń złotej,
Co duch zuchwały wysnuł pokryjomu;
Nie wspominajcie łez głupiej tęsknoty,
Które wylałem, że mi nudno w domu.
Może znajdziecie jakie szczęście stare,
Niechaj wspomnienia czemkolwiek umilę;
W samego siebie gdym utracił wiarę,
Tylko dziecinne nie przykre mi chwile.

II.

Żyłem, jak wielu, wpośród głuchoj dzicy,
A wielka rzeka była od nas blisko,
Gdzie czasem kulik na błocie zakrzyczy,
Lub oczeretem zaszumi bagnisko.
Sznurem, łańcuchem, jakieś ptactwo białe
Poważnie sobie siedziało nad rzeką,
Poza wodami spojrzenie wytrwałe
Dostrzegło góry, co gdzieś tam daleko...
Las nieskończony, ciągnął się las siny,
Zasłaniał zachód, gdzie jutrenka blada,
Gdzie słońce, ziemskie obiegłszy krainy,
Na wypoczynek do snu się układa.

Bojaźń mi była od dziecka nieznaną,
Bom wszystkich ludzi uważał za braci,
I nie wierzyłem w obecność szatana,
Który się snuje w widomej postaci.
Raz mi troskliwa piastunka powiada:

— Nie biegaj w nocy... bo wilków bez liku;
Nie chodź do sadu, tam czartów gromada
Po całych nocach hula przy strumyku!

Tego mi potrzeba: ledwie noc nastanie,
Już ja do sadu pobieglem ochoczy,
Nie iżbym wielce smakował w szatanie,
Ale mi pilno oglądać go w oczy.
Idę odważnie... lecz noc coś się sroży,
Coś mi z pomroki groziło widocznie,
Coś mi się zdało, że cały świat Boży
Patrzy, co dziecię bezrozumne pocznie?
Ale też była wyprawa nieskora,
I stygła w sercu żarliwa ochota.
Wrócę do domu, póki jeszcze pora,
Bo szatan może zaciągnąć do błota,
I każe mieszkać na głębinach wody.
Lecz nie zraziły strachy tajemnicze:
Po nad strumieniem igra księżyc młody
I w jego nurtach przegląda oblicze;
W odbiciu wody powiśte nad darnią
Czernieją drzewa w posępnej pomroce;
Ale szatanów, choć szukaj z latarnią,
Żaden nie piśnie, ani zachichoce.
Obszedłem strumień raz, drugi i trzeci,
Ale szatana jak niema, tak niema;
Patrzę, w gałęziach może okiem świeci,
Albo się w zielsku wybujałem trzyma?
Gdyby się ukrył z jakiegokolwiek strony,
Czyżbym po rogach nie poznał go właśnie?
Niemasz nikogo... odszedłem zgryziony,
Słuchając jeszcze, że może gdzie szasnie.
Gdym się tak pilnie przypatrywał czartu,
Cała noc Boża przeszła nadaremnie.
Lecz gdyby wtedy dla płochego żartu
Wróg, czy przyjaciel, zakrzyknął nade mną,
Lub gdyby puszczyk, czy sowa obrzydła,
Którą spłoszyłem krokami mojemu,
Nad moją głową zaszumiała w skrzydła; —
Trupaby mego znaleźli na ziemi.
Tak przez gorącą ciekawość dziecinna

Próżne obawy we mnie się tłumiyły.
Takich walk serce staczać nie powinno,
Bo nazbyt wiele wydzierają siły.
Tak zmarnowawszy cały wiek mój młody,
Czułem, jak we mnie natura się zmienia:
Już nie szukając zawad i przeszkody,
Szedłem spokojnie drogą nawyknienia.
Ta mię na wszystkie prowadziła strony,
I nieraz szedłem po bezdrożu dzikiem,
Aż niewolnikiem człowiek urodzony,
Znowu na starość został niewolnikiem.

III.

O matko Wołgo! teraz mi wypadło
Po tylu leciech powitać tve fale.
Jam się odmienił, a ty jak zwierciadło
Po dawniejszemu wyglądasz wspaniale,
Po dawniejszemu długa i szeroka.
Klasztor na wyspie przechował się jeszcze...
Lzy młodociane płyną mi do oka,
I w sercu czuję młodociane dreszcze...
Po dawniejszemu stary dzwon kołata,
Wszystko tak samo... a gdzie tamte lata?
Blizko południe... a słońce tak pała,
Że stopą w piasku wytrwać niepodobna.
Zdjęła rybitwów drzemka ociężała,
Na brzeg się skupia ich drużyna drobna.
Polne koniki strzekocą na trawie,
Przepiórka czasem wyszczebioce słowo,
Ale tak cicho, jak gdyby w obawie,
Że przerwą Wołgi dumkę południową.
Bajdak z towarem pomalutku płynie,
Tam młody flisak szczerze a po prostu
Stroi zaloty ku pięknej dziewczynie,
Uciekającą goni wzdłuż pomostu,
I z całej siły pędzi za dziewczicą,
I głośno krzyczy, poklaskując w dłonie:

— Poczekaj tylko!... czekaj swawolnico!
Otóż dogonię... dogonię... dogonię!
Ot i dogonił... ujął postać drogą,
Dźwięknął ognisty całusek nad wodą.
Nie całowałem tak w życiu nikogo,
Choć i ja miałem swoją przeszłość młodą.
Miejskich piękności całunki pieśczone
Nigdy tak duszy nie upoją błogo.
Usta rumieńcem krasnym namaszczone
I dźwięków takich wydobyć nie mogą!
Wśród takich marzeń, czując życie nowe,
Jam się zapomniał, uniesiony szalem,
Sen i znużenie obciążęły głowę,
Wtem koło siebie jęki usłyszałem:
Orszak bajdacznej czeladzi ponury
Ciągnie, ku ziemi pochyliwszy głowę;
Nogi ich grube opasują sznury,
Zamiast obuwia sandały lipowe.
Ponuro w uszach jęczały ich słowa,
Gdy się do pracy naglili wzajemnie;
Była to, zda się, pieśń pogrzebowa...
Młode wspomnienia znów zagrały we mnie.

O Wołgo moja! moja ty kołysko!
Jak ja cię kocham, jak myślami pieścę!
Zaledwo jutrzni zapłonie ognisko,
Ja się ocykam, gdy wszyscy śpią jeszcze.
Ledwie bywało na błękitnej fali
Złotem i różą światelko zaświeci,
Już mię nad rzeką rodzinną zastali.
Pomagam ciągnąć rybakom ich sieci,
Lub z rybakami hulam na czółenku,
Lub na ostrowach z karabina palę.
Pnać się po krzakach, sił nie mając w rękę,
Nieraz na żółty piasek się powalę,
A podrzucając kamyki po wodzie,
Śpiewałem piosnkę całą piersi siłą.

Rzucać tej strony ani mi się śniło:
Tutaj sądziłem że wiek mój ucieży
Na żółtym piasku, albo na czółenku.
Ale uciekłem od Wołgi wybrzeży,
Od biednych flisów nędzarskiego jęku.
Dawno go moje nie słyszały uszy,
Jakby wołania przeszłości dalekiej...
Och! raz, pamiętam! tak straszy, tak głuszy,
Żem chciał go zbadać i szedłem wzdłuż rzeki.
Znużeni flisi w południowej chwili
Przynieśli kociel, by zgotować strawę;
Na stosie łomu ogień naniecili
I taką z sobą prowadzą rozprawę.
Jeden z nich mówi: Ej, doloż ty nasza!
Prędkoż my w Niższym staniem Nowogrodzie?
Daj Boże dobrnąć na dzień Eliasza,
A może zresztą i dopchniemy łodzie.
Drugi odpowie: Och, jak to niemiło,
Gdy w drodze rany rozjątrzać się zaczną!
Gdyby mi tylko ramię się zgoiło,
Jak niedźwiedź szlejkę ciągnąłbym bajdaczną!
A gdyby jutro umrzeć sobie ładnie,
To jeszcze lepiej byłoby dla człeka...

Tak mówiąc, na wznak na ziemi się kładnie.
A jam nie pojął, na co on narzeka.
Ale ów nędzarcz, co jęczał daremnie,
Znękany pracą, złamany chorobą,
Już nie odstąpił swem widmem ode mnie:
Oto i teraz widzę go przed sobą.
Na nim świeciły ubogie łachmany,
Od wszystkich ludzi wyglądał inaczej,
Na twarzy widać ból niepokonany,
A w oczach skarga spokojnej rozpaczy.

Późnym wieczorem do domu przychodzę,
Czapkę gdzieś w piasku zostawiwszy z głowy,

A kogom spotkał w domu, czy na drodze,
Pytam, co znaczą te flisów rozmowy?
Przez sen bredziłem ranniejsze widziadła...
Niechaj cię Pan Bóg trzyma w swej opiece,
Zostań! — mówiła piastunka wybladła,
Lecz ja nazajutrz już byłem na rzece.
I Bóg wie wtedy, co się ze mną stało:
Rodzinnej rzeki nie poznałem zgoła,
Szedłem po piasku stopą ociężałą,
I moja wyspa nie była wesoła.
Nadbrzeżne śpiewy znajomego ptaszka
Brzmia, jakby nuta ostra i fałszywa,
A ulubiona fal cichych igraszka
Muzyką wdzięczną już się nie odzywa.
I ciężki kamień zawałił mi łono,
I lży do oczu lunęły nawałem,
I po raz pierwszy mą rzekę rodzoną
Rzeką boleści i smutku nazwałem.

Co ja marzyłem wpośród nocnej gluszy,
Com ja przysięgał w tajemniczej chwili,
Niechaj na wieki zamiera w mej duszy,
Bo jeszcze ludzie śmiechemby okryli.
Myśli dziecinne!... gdyście próżna mara,
Czemu was ludzie zapomnieć nie mogą?
Czemu wasz wyrzut, jakby zbrodnia stara,
Nad sercem naszym pastwi się tak srogo?

IV.

Pochmurny flisie, z pochyłą głową!
Jak niegdyś dzieckiem marzyłem cię we śnie,
Tak samo teraz widzę cię na nowo:
Zawsze mi śpiewasz jednostajną pieśnię,
Zawsześ zaprzężon do swej ciężkiej szlei,
Zawsze na twarzy jakaś bladość chora,

Zawsze ten samy uśmiech bez nadziei,
Zawsze... bez końca ta sama pokora.

.

Przez lat czterdzieści w pocie swego czoła
Snuł się nad Wołgą po piasków obszarze,
A umierając, sam nie wiedział zgoła,
Co swojej dziatwie w spuściźnie przekaże...
Ani twój ojciec, ni ty, nie myślicie,
Bajdacznej szlei gdy naciska pęto,
Czemby na świecie gorsze było życie,
Gdyby twych cierpień trochę ci ujęto?
Jako twój ojciec, tą samą koleją
Bez żadnej wieści ty zejdziesz ze świata,
I pamięć twoją złe wiatry zawieją,
Jako na piasku twój ślad się zamiata.
Dokąd ty dążysz, nieszczęsny człowieku,
Zakuty w jarzmo, jak więzień w kajdany?
Też same słowa powtarzając z wieku:
Raz!... dwa!... — posuwasz krok niezmordowany,
Jęcząc boleśnie: — Ej biada mi, biada!
A głowa twoja w smutny takt opada.

1860. Wilno.

C M E N T A R Z.

Z Nikitina.

Zgasły promienie jasnego dzionka,
Po sinem niebie księżyc się błąka,
Wiejski kościółek widać z pomroki,
A na cmentarzu spokój głęboki.

Zadnego gwaru nie słyhać z dali,
Zaden się ogień we wsi nie pali,
A matka ziemia do siebie garnie
Wszystkie tęsknoty, wszystkie męczarnie.

Snem wiekuistym śpią w ziemi starzy,
Dawna gromada wiejskich nędzarzy;
Śpi wasza dola, dziady, naddziady!
Pokój wam, kości sielskiej gromady!

Wiatr śmierci zawiął nad waszą głową
Ciszej, niż gasi świeczkę woskową;
A krzyż swój krwawy dzielnymi siły
Wyście donieśli aż do mogiły.

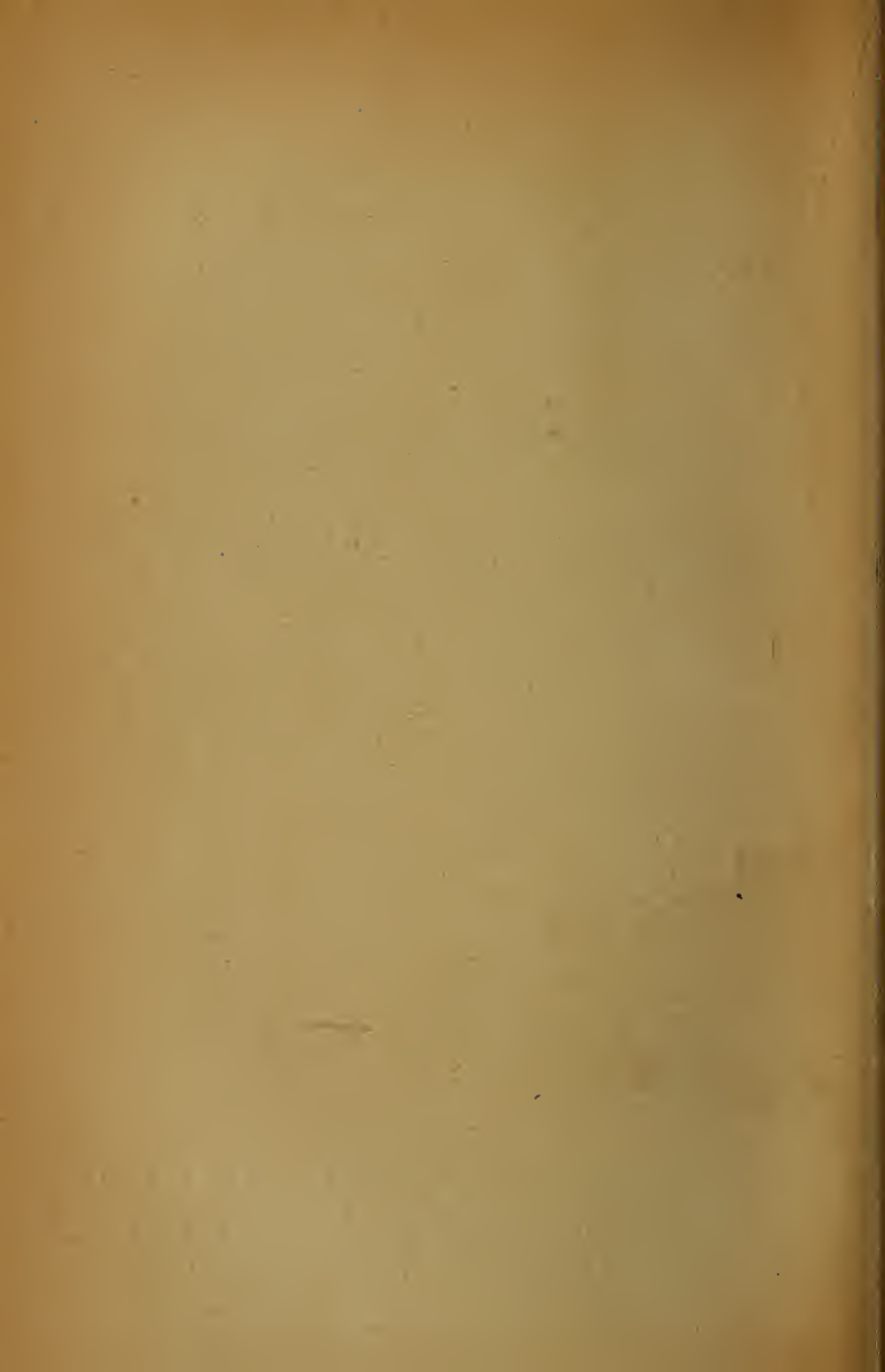
Pokój wam, pokój, stare niezgody!
Wieczna łzom pamięć! — wiek idzie młody,
Nową swobodą, nową nadzieją
Pola i lasy niech nam zawieją!

Płonie iskrami jutrzeńka blada,
Już się w dziczyznę głuchą przekrada,
Wesoło pieją na polnym łanie,
Słychać na stepie jej powitanie.

1860. Borejkowszczyzna.

PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JĘZYKÓW.*)

*) Od strony 236—358, a więc począwszy z „Fragmentami z ksiąg Hioba“ do „Cmentarza“, zamieszczono mylnie pod rubryką „Utwory liryczne“, cały szereg „Przekładów z rozmaitych języków“, co niniejszem prostujemy.



PRZEKŁADY Z MAŁORUSKIEGO.

(Z SZEWCZENKI).

P E R E B E N D A.

Perebenda stary, ślepy,
Jego dobrze znają stopy,
Bo się dziad ten wszędzie włóczy
I przy kobzie pieśni mruczy.
Naród Boży słucha dziada
I za pieśni dzięki składa;
On im pieśnią wzmacnia siły,
Choć samemu świat niemiły.
Pod czeremchą lub kaliną
Dni i noce jego płyną,
Bo zła dola tak go trzyma,
Że i własnej chaty niema.
Choć nad starą dziada głową
Pożartował los surowo,
On nie zważa, siedzi, śpiewa:
Ej, nie szumcie w lesie, drzewa!
Gdy mu piosnka sercem miota,
Kiedy wspomni, że sierota,
To potęskni i znów śpiewa
Pod cienistym dachem drzewa.

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary,

To o Czajym dumkę grzmoce,
 To Turkawkę zaturkoce,
 Wśród dziewczęcej pohulanki —
 Śpiewa Hrycia lub Wiośnianki,
 A młodzieży przy kwaterce
 Szynkareczką zrywa serce,
 A mężatkom śpiewać woli
 O złej teści i topoli,
 A na rynek kiedy zbacza,
 Gra Łazarza i bogacza,
 Lub z westchnieniem i goryczą
 Nad kozacką płacze Siczą,
 By wiedzieli ludzie młodzi,
 Skąd upadek jej pochodzi.
 Taki duch był w Perebendzie,
 Pieśń i kobzę włóczył wszędzie,
 A jak pieśnię przysposobi,
 To co zechce z sercem zrobi,
 Pożartuje, jak umyślnie,
 Potem krwawą łzę wyciśnie.

Przez szerokie polne łąny
 Wieje wicher rozhulany,
 Kobzarz siedzi na kurhanie,
 I gra piosnkę nieprzerwanie.
 Step, jak dojrzy ludzkie oko,
 Legł błękitno a szeroko,
 A mogiła przy mogile,
 A w mogiłach zmarłych tyle!
 Wicher głąska starowinę
 W siwe wasy i czuprynę,
 To do ziemi aż przypada,
 By posłuchać pieśni dziada:

Jak nuta grzmi radością, lub czarną rozpaczą,
 Jak mu się serce śmieje, ślepe oczy płaczą...
 Posłuchał i poleciał...

Bo z pieśnią proroka

Dziad ukrył się na stepie od ludzkiego oka,
 Aby wiatr dumkę rozwał na przestrzeń stepową,
 Aby nikt jej nie słyszał, bo to Boże słowo.
 Już to mówi modlitwę Bogu i naturze,
 Już to dumka w kraj świata żegluje na chmurze,
 Albo, jak orzeł, pierśią uderza w pierś słońca
 I silnemi skrzydłami w błękit niebios trąca.
 I zapyta się słońca: jakie zbiegło kraje?
 Gdzie swoją noc przepędza, a gdzie ze snu wstaje?
 Zapyta fali morskiej, o czym ona gwarzy?
 Zapyta cichej góry, o czym dumki marzy?
 Pogada i znów leci w nadobłoczne kraje,
 Bo ziemia, choć szeroka, przytułku nie daje.
 Och! bo ten, co przeczuje, ten, co wszystko zbada,
 Gdzie się słońce niebieskie na nocleg układa,
 Co gwarzy fala morska z towarzyszki swemi, —
 Ten już nigdzie przytułku nie znajdzie na ziemi.
 On, jak słońce, sam jeden krąży na swej osi;
 Ludzie niby go znają, bo go ziemia nosi,
 Lecz gdyby się dowiedział sąsiad od sąsiada,
 Że on śpi na mogile, że z falami gada,
 Wyśmianoby dar Boży, co mu zaległ łono,
 Głupcemby go nazwano i precz odpędzono.

Dobrze czynisz, ojczy siwy,
 Że od świata skrywasz dziwy,
 Że natchnione twoje chwile
 Odprawujesz na mogile.

Ej, gołąbku! czyń swe dzieło,
 Póki-ć serce nie zasnęło,
 Czyń swe dzieło w mogił ciszy,
 Niech go człowiek nie posłysz;

By nie śmiała się gromada,
 Potakiwać jej wypada:

Skacz, jak każą, pan zapłaci,
Wszak panowie są bogaci...

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary;
Pożartuje, jak umyślnie,
Potem krwawą łzę wyciśnie.

D U M K A.

Rzeka ciągle, choć powoli,
Wpada w sine morze;
Szuka Kozak swojej doli,
A znaleźć nie może.
Szedł, gdzie wicher go powionie,
Gdzie poniosą oczy,
Rozgrało się serce w łonie,
Szeptął duch proroczy:

Poco gonisz się za marą,
Gdzie cię oczy wiodą?
Rzucasz ojca, matkę starą
I dziewczynę młodą.
W cudzej stronie — cudzy wszędzie
Wiarą i językiem;
Tam zapłakać z kim nie będzie
I pogwarzyć z nikiem. —

Fale morskie! płyńcie w pole
I brzegami trzęście:
Kozak marzył spotkać dołę,
A spotkał nieszczęście.
Już zórawie powracały,
W domu wytchnąć mogą;

Kozak, płacząc, poszedł dalej
Swą ciernistą drogą.

D U M K A.

Poco u mnie czarne brewki?
Poco oczy gdyby żar?
Poco w sercu grają śpiewki?
Poco w głowie tyle mar?
Moje lata, moje młode
Giną marnie z dnia do dnia;
A oczyma gdzie powiodę,
Zawsze z oczu lunie iza.
Dusza boli, nudzę światem,
Jak zamknięty w klatce ptak.
Poco ludzie zwią mnie kwiatem,
Dobrej doli gdy mi brak?
Świat obmierzle w oczach stoi,
Nie ma nawet pięknych snów;
Ludzie swoi, jak nie swoi,
By przemówić kilka słów.
Nikt nie spyta w całym domu,
Czemu oko w ciągłej łzie?
Rozповідzieć niema komu,
Czego biedne serce chce.
Jak gołabek ciągle grucha,
Ciągle grucha w noc i w dzień;
Ale jęku nikt nie słucha,
Nie uważa serca drgnień.
Nieciekawe obcych grono,
Bo i na cóż obcym znać?
Cierp, sieroto! bo-ć sądzono,
Młode lata marnie trać.
Płacze, serce — płaczcie, oczy,
Nim zamkniecie się do snu.

Niech się w stepie jęk roztoczy,
 Niech przyleci wicher tu,
 Niech zanieśie te napiewy,
 Aż gdzie morze brzegi rwie,
 Niech zdradliwy czarnobrewy
 Ma pohybel w mojej łzie.

K A T A R Z Y N A.

I.

Ej! kochajcie, czarnobrewki,
 Ale nie Moskala:
 Moskal tylko serca zrani,
 Dusze porozżala.
 Swem kochaniem, czy udaniem,
 Pożartuje srogo,
 Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę,
 A ty giń, niebogo!
 Nicby jeszcze, gdyby sama
 Skamieniała głazem,
 A to nieraz stara matka
 Musi ginąć razem.
 Nieraz, nieraz serce pęka,
 Choć się pieśni nucą;
 Ludzie serca nie spytają,
 A kamieniem rzucają.
 Więc kochajcie, czarnobrewki,
 Tylko nie Moskala:
 Moskal tylko serce zrani,
 Potem się przechwala.

Katarzyna ojca, matki
 Głosu nie rozumie,
 A Moskala pokochała,
 Jak tam serce umie.

I do sadu z młodym chodzi,
I na pierś się garnie,
Póki swojej biednej doli
Nie zgubiła marnie.
Ot, bywało, matka woła:
Córko! na wieczerzę!
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen jej bierze.
I ta miłość jawna była
W oczach całej wioski,
I poczeli już źli ludzie
Puszczać złe pogłoski.
A niech sobie źli tam ludzie
Co ich wola plotą:
Ona kocha — serce pełne,
To i mniejsza o to!
Zabębnili, zatrąbili
W wojskowej komendzie:
Moskal poszedł w Turecczyznę, —
Cóż z dziewczyną będzie?
A choć serce się pokryło
Jakby kirem grubym,
Miło czasem i zaśpiewać,
I tęsknić po lubym.
On się zaklął, zaprzysięgał
Swojej Katarzynie,
Że powróci, jeśli w bitwie
Kula go ominie.
On tak kocha! onby nie chciał
Zwodzić mię w obłudzie;
A tymczasem, co ich wola,
Niech gadają ludzie.
Katarzyna łązy ociera,
W sercu jej swobodniej,
Choć dziewczęta na ulicy
Coś tam stronią od niej.

Katarzyna myśli sobie:
 Bóg wie, co im chce się?
 O północy wiadra bierze
 I wody przyniesie.
 Niech wrogowie nie zobaczą,
 Wszak blisko krynica.
 Stanie sobie pod kaliną,
 I zaśpiewa Hryca.
 Aż kalina się rozplacze,
 Kiedy ją wysłucha.
 Ona wraca, niewidziana
 Od żywego ducha.
 Katarzyna błogo marzy,
 Do snu się układłszy,
 Lub ubrana w białą odzież
 Przez okienko patrzy.
 Minał miesiąc, minął drugi,
 Minęło półrocze,
 I krwią czarną okipiało
 Jej serce ochocze.
 Przyszła boleść... ciężka boleść,
 I po krótkiej chwili
 Takie piękne, jak aniołek,
 Już dzieciątko kwili.
 Już sąsiadka jedna, druga,
 I matce docina:
 Wy za piecem hodujecie
 Móskiewskiego syna.

.

Katarzyno! Katarzyno!
 Nieba cię skarały:
 Co ty biedna poczniesz w świecie
 I sierotka mały!
 Ty bez męża... on bez ojca,
 Co wy uczynicie?
 Ojciec... matka... cudzy ludzie,
 Ej! niedobre życie!

Wydrowiała Katarzyna,
Przejrzała po świecie;
Patrzy w okno na ulicę,
I kołysze dziecię.
Wyjdzie w ogród, by popłakać,
Do ziemi przypadłszy;
A zły człowiek przez częstokół
Z urąganiem patrzy.

Tam w ogródku zielenieją
Czereśnie i wiśnie;
Wyszła biedna i niemowlę
Do swych piersi ciśnie.
A w ogródku już nie śpiewa
Piosenek swobody,
Jako wtenczas, gdy przychodził
Jej kochanek młody.

Już nie śpiewa w cieniu wiśni
I ciemnej kaliny,
A tymczasem źli wrogowie
Szarpia cześć dziewczyny.
Co ma począć nieszczęśliwa,
Że jej serce rania?
Gdyby miły wrócił z drogi,
Ująłby się za nią.

On dalekó za górami
Gdzieś się w boju trudzi,
Ani też jej nie zobaczy,
Ni śmiechu złych ludzi.
Może leży za Dunajem
Między zabitemi,
Albo może kocha inną
Na moskiewskiej ziemi.

Nie... jej luby nie zabity
Na żadnej wojence...

Gdzie on znajdzie takie oczy,
Takie brwi dziewczęce?
Choćby schodził na kraj świata,
Opłynął kraj morza,
Jedna tylko jest na świecie
Katarzyna hoża.

Dała matka czarne brewki
I czarne oczęta;
Lecz przy brewkach — jasnej doli
Dać jej nie pamięta.
A bez doli, piękne lice,
Jak piękny kwiat bywa:
Przyjdzie słońce i zapali,
Wicher poobrywa.

Myjże łzami białe lice
I jęcz pokryjomu,
Bo Moskale inną drogą
Wrócili do domu!

II.

Siedzi ojciec w końcu stołu,
Na rękach pochyły,
Ciężko дума, bo staremu
Boży świat nie miły.
A opodal siedzi matka
Na dębowej skrzyni,
Cichym głosem gromi córkę
I wyrzuty czyni:
Kiedyż przyjdzie, moja córko,
Wesele do chaty?
Gdzie są drużki, starostowie?
Gdzie weselne swaty?
Idź na Moskwę, tam cię czeka
Godowa gromadka;
Ale nie mów dobrym ludziom,
Żem ja twoja matka.

O! przekłeta ta godzina,
Co cię na świat zsyła!
Czemum ciebie z jasnym wschodem
W rzece nie topiła?
Nie przyszloby na niesławę
I na hańbę w świecie...
Moja córko! moja córko!
Mój różany kwiecie!
Hodowałam, jak ptaszynę,
Jak krasną jagodę;
Na cóż teraz, na cóż przyszły
Twoje lata młode?
Idź na Moskwę szukać teści,
Idź sobie za morze!
Nie słuchałaś mojej rady,
Jej posłuchasz może.
Idź, przywitaj, — oni ciebie
Przyjmą najgoręcej;
Idź na Moskwę, bądź szczęśliwa,
Lecz nie wracaj więcej.
Ruszaj sobie w cudzą stronę,
Na kraj świata Boży...
Lecz któż tutaj moją głowę
Do trumny położy?
Kto zapłacze łzami dziecka
Nad matką rodzoną?
Kto posadzi na mogile
Kalinę czerwoną?
Kto choć jeden pacierz zmówi
Za mą grzeszną duszę?...
Och!... idź, córko nieszczęśliwa;
Ja wyrzec się muszę!
Kończy mówić, łyzy ociera,
Coraz bardziej blada,
Błogosławi... i na skrzynię
Bezprzytomnie pada.

No — powiada ojciec stary, —
Gotuj się do drogi!
Katarzyna, rycząc, padła
Pod ojcowskie nogi:
Och, przebaczcie nierozumnej
Młode jej swawole!
Przebacz, ojcze, mój gołąbku,
Mój jasny sokole!
Niech twa dola dobrych ludzi
Do litości wzruszy!
Módl się, córko, i idź z Bogiem,
Będzie lżej na duszy!
Córka wstała, pokłon dała,
Wyszła milcząc z chaty;
Już sierotą stara matka
I ojciec brodaty.
Wyszła z chaty i do Boga
Modlitwę posyła,
I rodzinnej szczyptę ziemi
W szkaplerzu zaszyła.
Och, nie wrócę... och, nie wrócę
Ani tutaj blisko!
W cudzej stronie cudzy ludzie
Dadzą przytulisko.
Swojej ziemi choć garsteczkę
Ja zabiorę rada:
Niech o mojej gorzkiej doli
Ludziom rozpowiada.
Nie mów, synu, gdzie się zwrócę,
Szanuj me ukrycie...
Ot kto powie! — sad wiśniowy,
Żem ci dała życie.
Ja ucieknę, wpadnę w rzekę
Zalać piersi strute;
Ty sieroctwem za me grzechy
Odbędziesz pokutę!

Idzie wioską nieszczęśliwa
Szukać doli w świecie;
Na jej głowie biała chusta,
A na ręku dziecię.
Wyszła z wioski — iść potrzeba
O chlebie żebraczym...
Obróciła nazad oczy
I ryknęła płaczem.
Wyszła w pole — i stanęła,
Jak samotne drzewa,
I jak rosa przed jutrzeńką,
Łzami się zalewa.
A dziecina jak aniołek,
Nie zna swej niedoli,
Jedną rączką piersi szuka,
A drugą swawoli;
Słońce zaszło za dąbrowę,
Niebo pokraśniało, —
Ona z łez otarła oczy
I wędruje śmiało.
A na wiosce, jak na świecie,
Bajali co chcieli:
Ale ojciec, ale matka
Tych słów nie słyszeli.
Tak na świecie, na tym świecie
Bywa zawsze prawie:
Ludzie ludzi rzną i topią,
I gubią na sławie.
Za co? za co, miły Boże,
Te brzydkie obmowy?
Świat szeroki — ale niema
Gdzie przytulić głowy.
Jeden w świecie ma obszary
Szerokie i szumne;
Drugi miejsca tylko tyle,
Gdzie zakopać trumnę.

Gdzież ci ludzie, co to serce
 Dla nich się odsłania,
 Życby chciało, bić ogniście
 I topnieć z kochania?
 Jest na świecie wola,
 Ale któż ją zbada?
 Jest na świecie wola,
 Lecz któż ją posiada?
 Są na świecie ludzie,
 Którym świat się dziwi,
 Syci srebra, złota,
 Ale nieszczęśliwi.
 Żupan ich podszyty
 Ciernistemi igły,
 Szarpie ból ukryty,
 Ale, lzy zastygły,
 Bierzcie srebro, złoto,
 I bądźcie bogacze;
 Dla mnie żal z tęsknota,
 Ja tylko zapłacę.
 Zatopię niedolę
 Moją lżą nieboga,
 Zadepcę niewolę
 Moją bosą nogą!
 Bogatszym od króla,
 Próżność mię nie łechce,
 Kiedy serce hula,
 Jako samo zechce.

III.

Krzyczy sowa nad lasami,
 Iskrzy niebo gwiazdeczkami,
 A gdzie droga, a gdzie niwa,
 Konik polny pobrząkiwa,
 A po chatach dobrzy ludzie
 Spoczywają po swym trudzie,

Czy kto płaczem piersi znużył,
 Czy kto szczęścia swego użył,
 Dla każdego jednakowa
 Ciemna nocka wszystko schowa.
 Gdzież ukryła Katarzynę?
 Czy w lesistą gdzie gęstwinię?
 Czy ją w chatę ludzie zowają?
 Czy pod kopą śpi zbożową?
 Czy na kłodę gdzieś przypadłszy,
 Wilczych oczu pilnie patrzy?
 Oczki czarne z ognia siłą!
 Bogdaj nigdy was nie było,
 Jeśli przez was — dobre Nieba!
 Tyle klęski zażyć trzeba.
 A co potem jeszcze czeka?
 Będzie bieda niedaleka.
 Trzeba przebyć żółte piaski,
 Ludzkie łaski i niełaski,
 Trzeba przebyć białe śniegi,
 Na pustyni mieć noclegi,
 I to jeszcze zgadnąć sztuka,
 Czy się znajdzie kogo szuka?
 Czy on biedną pozna przecię?
 Czy przygarnie swoje dziecię?
 Przy nimby się zapomniały
 Piaski, śniegi i trud cały:
 Niech matczynem sercem wita,
 Po bratersku zdrowia spyta!
 Zobaczymy... daj to, Boże!
 Ja tymczasem kobzę złożę
 I rozpytam się po przedzie,
 Gdzie na Moskwę droga wiedzie?

.
 Tam za Dnieprem, za Kijowem,
 Tam za borem, za sosnowym,

Tam drużyna szła czumacza,
Wyśpiewując pieśń P u h a c z a.
Tamże młoda szła niewiasta,
Z kijowskiego pewnie miasta,
Gdzie do cerkwi i Pieczary
Szła odprawiać swe ofiary.
Lecz ma postać niewesołą,
Pochyliła smutnie czoło,
A jej odzież to łachmana,
A przez plecy torba lniana,
W jednej ręce kij pielgrzyma,
A na drugiej dziecię trzyma,
Gdy się zesła z karawaną,
Kryje dziecię w szmatkę lnianą!
Dobrzy ludzie, ej dla Boga!
W Moskiewszczyznę gdzie tu droga?
W Moskiewszczyznę?... tam do kata
Ej, to jeszcze kawał świata!
W samą Moskwę... wskażcie drogę
I obdarzcie czem niebogę!
Miedzianego dali sz a h a.
Brać, czy nie brać? dłoń się waha;
Snadź żebraczka jeszcze dzika
Do jałmużny nie przywyka.
Bo i na cóż grosz niebodze?
Ale dziecię karmić w drodze,
Trzeba kupić mu kołaczy,
Trzeba przenieść wstyd żebraczy.
Więc dziękuje za ich dary,
Śpieszy na noc na Browary,
A w Browarach, broniąc głodu,
Kupi dziecku kołacz z miodu.
Tak wędrując dni, tygodni,
Pyta drogi u przechodni;
A powolny chód jej pieszy, —
Gdy do wioski nie dośpieszy,

Często, gęsto pod jedliną
W polu nocleg ma z dzieciną.

Ot do czego czarne oczy!
Aby płakać na uboczy.
Ej! dziewczęta niebożęta,
Niechaj każda to pamięta,
A za przykład złej podróży
Katarzyna niech wam służy.
Nie pytajcie, czemu tłuszcza
I do chaty jej nie wpuszcza,
A nie skarżcie wyrzutami,
Bo nie wiedzą ludzie sami:
Oni tylko są szafarze,
Kiedy Pan Bóg kogo karze.
Bo to człowiek, jak wierzbina,
Gdzie wiatr wieje, tam się zgina;
A sieroce złe koleje,
Słońce świeci, lecz nie grzeje.
Gdyby mogli ludzie mili,
Toby słońce zasłonili,
Żeby promień jego złoty
Nie osuszał łez sieroty.
Jakaż wina tej niebogi?
Za co dla niej świat tak srogi?
Nienawiścią jakąś pała,
Chce koniecznie, by płakała.
Nie płacz... nie płacz, Katarzyno!
Niech przy ludziach łzy nie płyną;
A kiedy się płakać zdarzy,
Niech nie widzą twojej twarzy.
By ci lice nie zmarniało,
Zmywaj łzami twarz twą białą;
Ale idź, gdzie puszcza skryta,
Póki słońce nie wyświta:
To i ludzie nie zobaczą,
Nie poszydzą, nad rozpaczą;

A nim oczko się wyszlocha,
To odpocznie serce trocha.

Przenocuje przy jedlinie,
Trochę piersi da dziecinie,
I jak tylko siły wzmoga,
W kraj Moskiewski idzie drogą.
Idzie smutna — a wtem baczy,
Że z daleką coś majaczy.
Boże! wojska idą roty!...
Zamarł w piersiach duch sieroty...
Serce kipi... rwie się z łona!
Bieży naprzód, jak szalona,
I żołnierzom prawi dziwy:
— Gdzie mój Janko czarnobrewy?
Czy on tutaj służy z wami?
Czy nie zginął pod Turkami?

Powiadają jej Moskale:
— My nie znamy Janka wcale.
I zwyczajną drogą swoją
Gorzkie żarty z biednej stroją.
Zuchy nasze!... oto sztuka!
Kogoż żołnierz nie oszuka?
Której dziewczki, w jakim siole,
Nie wywiedzie żołnierz w pole?
Katarzyna z bolem rzecze:
— U was serca nie człowiecze!...
Cyt, mój synu! pójdziem dalej,
Będziem jeszcze go pytali,
Aż w moskiewskie pójdziem bramy,
Może jeszcze go spotkamy.
Oddam ciebie, dziecko lube,
Sama pójdę na zagubę.

Zamieć w polu kręci, miecie,
Nic nie widać w Bożym świecie.
Katarzyna, stojąc w polu,

Nie folguje serca bolu.
 Wzmógł się wicher tajemniczy,
 I gdzieniegdzie tylko ryczy.
 Katarzynie dusza pała,
 Lecz już wszystkie łzy wylała;
 I na łzami zlane dziecię,
 Jak na zlane rosą kwiecie,
 Obróciła smutne oczy,
 A gadzina serce toczy.

Naokoło cisz cmentarna,
 A dokoła puszcza czarna,
 A przy drodze wedle boru
 Majaczeje dach futuro.
 — Chodźmy, synu, zmierzch na dworze,
 Do tej chaty wpuszczą może,
 A nie wpuszczą, Pan Bóg z niemi,
 Na wilgotnej zaśniem ziemi.
 Gdzież ty będziesz spał, Iwanie,
 Gdy na świecie mię nie stanie?
 Po igraszkach, po zabawie,
 Z psem przyleżesz gdzieś na trawie!
 Z psami jednak lepsza rada:
 Choć pokąsa, nie ogada,
 Nie narazi na obmowę
 Nieszczęśliwą twoją głowę.

.

IV.

.

Wicher jęczy w różne tony,
 Łamie drzewa w lesie,
 Jak po morzu sine fale,
 Śnieg po polu niesie,

Karbowniczy wyszedł z chaty,
Obejść swoje knieje:
— Ale gdzie tam!... ani rady,
Wicher gdzieś zawieje.
Niechaj puszcze licho bierze,
Wróćę do komina.
Ale cóż tam? éma żołnierzy
Zbliżać się poczyna.
Co za chmara!... co za chmara!
A jak broń ich błyska!
Niby pilno im doprawdy
Przysiąść do ogniska.
Niczyporze! rzekł do syna —
Patrz, Moskale jada,
A jak śnieg ich poubielał...
Jak łabędzi stado!...
U nich w chacie Katarzyna
Nie śpi nieszczęśliwa,
Słyszcy całą ich rozmowę
I szybko się zrywa.
— Co! Moskale? gdzie Moskale?
Przy okienku stanie,
Jak szalona, bezprzytomna,
Leci na spotkanie.
Snadź Moskale jej we znaki
Dali się nielada,
Bo i przez sen tylko wzdycha,
Tylko o nich gada.
I przez chwasty, przez zasypy
Zadyszana leci,
I stanęła na gościńcu
Wśród wichrów zamieci.
A żołnierze konno, rzędem,
Jadą według hasła:
Katarzyna ich ujrzała
I w ręce zaklaskała.

A po przedzie starszy jedzie.

Okryty szarugą:

— Iwan!... Iwan!... och, mój luby!
Gdzieś bawił tak długo!?

I do strzemion mu przypada

Szalona dziewczyna.

Iwan spojrział — i konika

Ostrogami spina.

— Czy uciekasz?... cóż to znaczy,
Iwanie jedyny!

Czyż ci z głowy pamięć wyszła

Swojej Katarzyny!

Spojrzyj tylko... to ja... to ja,

Twoja ulubiona;

Poco gniewne marszczysz czoło

I targasz strzemiona?

On udaje, że nie zważa,

I chce pędzić dalej, —

I Marsz naprzód! groźnym głosem

Mówi do Moskali.

— Ej, Iwanie! ej, sokole!

Nie opuszczę ciebie!

Jestem twoja Katarzyna,

Tak jak Bóg na Niebie!

— Daj mi pokój, szalenido,

Hej, weźcie ją z drogi!

Jeszcze gniewniej zmarszczył czoło

I szarpnął ostrogi.

— Co Iwanie!... ty się rzucasz?

Wezeł się rozpręga?

A gdziez twoje dobre słowo?

Gdzie twoja przysięga?

— Precz mi z drogi! Hej, żołnierze,

Zwleczcie ją do rowu!

Katarzyna, za strzemiona

Chwyła go znowu;

— Ze mną czyń, jak twoja łaska,
 Ja zniosę męczarnie;
 Ale dziecię!... nasze dziecię...
 Czyż zaginie marnie?
 Nie gub, Janku, nas oboje,
 Tak być nie powinno!
 Ja ci będę najemnicą,
 Kochaj sobie inną.
 Kochaj sobie choć świat cały,
 Niech się co chce stanie,
 Ja zapomnę dawne lata
 I nasze kochanie.
 Tylko przykryj moją sławę
 Imieniem twej żony:
 Bo syn będzie nieszczęśliwy,
 Świat Boży zgorszony.
 Nie porzucisz syna, luby,
 Nie porzucisz przecię...
 Pozwól... ja ci go przyniosę...
 Co za piękne dziecię!
 I od kolan się odczepia,
 I do chaty bieży,
 Niesie dziecię, otulone
 W podartej odzieży.

— Patrz, Iwanie!... patrz na syna!...
 Iwan już z daleka!...

— Czyż doprawdy swej dzieciny
 Ojciec się wyrzeka?
 Poczekajcie... poczekajcie,
 Sokoły-żołnierze!
 Niech z was który mego syna
 Do siebie zabierze!
 Czy oddajcie go starszyźnie
 Waszego szeregu,
 Bo jak ojciec bezlitośny,
 Rzucę go na śniegu!

I z rozpaczy wściekłym krzykiem
 Przeklina Iwana:
 Grzechem, synu twa godzina,
 Grzechem była dana.
 Rośnij, rośnij na śmiech ludzki,
 Sierocino mała!
 Zostań tutaj szukać ojca:
 Jam długo szukała!

I przy drodze dziecię kładzie,
 Sama w las ucieka,
 A Moskali już za górą
 Nie widać z daleka.
 A niemowlę dogorywa,
 W niebogłosy krzyczy...
 Szczęściem, krzyki ze swej chaty
 Posłyszał leśniczy.

Katarzyna biega, wyje,
 Klnie swego sokoła,
 I wybiegłszy na pagórek,
 Po imieniu woła:
 — Wróc się, wróc się, drogi Janku,
 Tak powinność każe!
 Ale tylko leśne echo
 Odzywa się w jarze.
 Obląkana bieży jarem,
 Łapać echo może,
 I stanęła bez pamięci
 Przy wielkiem jeziorze:
 — Przyjmij, Boże, moją duszę, —
 Ty, wodo, me ciało!
 I na wodzie pod krą lodu
 Coś zapluchotało.
 Ot i kara, że nie słucha
 Matczynej porady...
 A wiatr dmuchnął po jeziorze
 I zagładził ślady.

Mały wicher, co rwie dęby
 I sośniny chyli;
 Lżejsza boleść chować matkę,
 W jej starości chwili;
 Nie sieroty małe dzieci,
 Co pogrzebły nianię:
 Na mogiłach dobra pamięć,
 Jeszcze pozostanie.
 Lecz cóż temu pozostało
 Do życia ostatka,
 Kogo ojciec ani widział,
 Wyrzekła się matka?
 Ani chaty, ani rodu,
 Ani dobrej sławy;
 Nikt do niego nie zagada,
 Nie dzieli zabawy.
 Szłochy, płacze całe życie,
 Żal się Panie Boże!
 Na co jemu twarz udatna
 I spojrzenia hoże?
 Aby ludzie powiedzieli,
 Patrząc w jego lice:
 — Lepiejby go od kolebki
 Pogrzebli rodzice!

V.

Do Kijowa szedł ubogi,
 Na spoczynek siadł u drogi;
 A prowodyr z drugiej strony,
 Torebkami oczepiony,
 Na słoneczku małe chłopię
 W złotym piasku dołki kopie.
 Stary kobzarz pieśnią pieje
 O Jezusie z Galileje;
 A kto idzie, ten nie zbacza,

Ten da grosza, ten kołacza,
A niewiasty kromkę sera
Dla młodego prowodyra.
Rozważają chłopca losy:
Chłopak piękny, nagi, bosi,
Wziął po matce wzrok sokoli,
Ale nie wziął dobrej doli.
Z szumem pańska grzmi kolaska,
A woźnica z bicza trzaska,
A w kolasce pan i pani,
A na drodze pył tumani.
Przy żebraku niespodzianie
Pozłocisty powóz stanie.
Dziecię bieży do kolaski,
Grosz dostało z pańskiej łaski.
Pan popatrział na Iwanka...
Jakby jakaś niespodzianka,
Jakby coś mu myśli mroczy,
I odwraca w stronę oczy.
Piękna pani wzrok wyteża
Na Iwanka, to na męża.
Och! zły ojciec poznał syna,
Z oczu matkę przypomina;
Ale milczy, rusza głową.
Pani spyta: Jak cię zowią?
Zwą mię Jankiem — Ładnyś mały!
I rumaki poleciały,
Piękny powóz w żwir się kopie
I kurzawą przykrył chłopię.
I włóczęgi torby biorą,
Przeżegnali się z pokorą,
I kijowskim bitym szlakiem
Kobzarz powłókł się z chłopakiem.

N A J E M N I C A.

P R O L O G.

Chmurny ranek był w Niedzielę:
Ponad polem mgła się ściela;
Na mogile wpośród pola
Coś się chysta, jak topola.
To niewiasty postać blada
Coś do łona ciśnie rada,
Coś z rannemi mgłami gada.

Mgły wy gęste, mgły jutrzniane,
W srebrnych iskrach rozsypane!
Czemużeście mię życzliwie
Nie pogrzebły na tej niwie?
Czemu, widząc los nieczuły,
Biednych piersi nie zatrwały?
O! pogrzebcie mię w mogile!
O nie!... jeszcze... jeszcze chwilę...
Tylko skryjcie mię głęboko,
Gdzie nie dojrzy ludzkie oko.
Jam nie jedna na tym świecie,
Ojca, matkę mamże przecię,
Mam i braci... jest rodzina,
Mam pieśczołkę... och! mam syna;
Ale jego główkę młodą
Nie polano chrzestną wodą.
O mój synu!... o nadziejo!
Niech ci główki nie poleją:
Ja bez chrztu zostawić wolę,
Niż cię ochrzcić na niedolę.
Cudzy ochrzczą cię kumowie,
Ale żaden się nie dowie,
Kto ty jesteś... jak ci miano?
Mnie bogatą nazywano...
Nie przeklinaj mię, dziecino!

Moje modły w Niebo płyną,
Wysłuchają modłów w Niebie
I otoczą szczęściem ciebie.

I rwąc piersi w takie słowa,
Za najgęstsza mgłą się chowa,
I zachodzi się boleśnie,
I o wdowie śpiewa pieśnię:
Jak tam wdowa nad Dunajem,
Staroświeckim obyczajem,
Żwir na oczy synów sypie
I zawodzi pieśń na stypie:
Och! tam w polu mogiła,
Och! tam wdowa chodziła!
Zamiast polną rwać rutę,
Rwała zielska zatrute.
Nie skutkowały ziela,
Bóg dwóch synów udziela.
W kitajkę je obwiła
I za Dunaj posyła.
— Och, Dunaju! ty rzeko!
Nieś me dzieci daleko.
Niech pobawią się mali
Pięknem cackiem twej fali.
A ty, piasku i trawko,
Bądźcie dla nich zabawką.
Piasek bawi... pobawi...
I kołyskę im sprawi;
Nad kołyską — opona
Będzie trawa zielona.

I.

Przy jeziorze, na futorze,
Mieszkał sobie dziad z babułą:
W każdym miejscu w każdej porze,
Jakby dziatki, tak się czuła;

Jednym śladem i przykładem,
Dziadek z babką, babka z dziadem.

Od dziecinnej razem chwili
Paśli owce na ugorze,
A potem się pożenili,
Futor, stawek, młyn nabyli;
A w futorze, przy jeziorze,
Zasadzili ogród różą
I pasiekę mieli dużą.

Wszystko dobrze... tylko dziątek
Na pociechę im nie dano.
Któż przytuli na ostatek
Głowę, wiekiem skołatana?
Kto zapłacze? kto pochowa?
Kto rodziców spełni słowa?
Nie masz, nie masz na tym świecie,
Jak rodzoną własne dziecię!
Ale gorzej w gmachu świetnym,
Jak sierota żyć bezdzietnym,
I zebrane mienie w trudzie
Między obce oddać ludzie,
Co za życia gonią za niem
I zmarnują z urąganiem.

II.

Dziadek i babka jednej Niedzieli
Na niskiej przyzbie sobie siedzieli,
Ubrani biało, aż patrzeć miło;
A na Niebiosach słońko świeciło,
Ani chmureczki, ani wietrzyka,
Rajska pogoda duszę przenika.
Bolesne dumki i smutek chory
Gdzieś się ukryły, jak zwierz do nory.

W tak pięknym życiu, w tak cudnym czasie,
Czegoby starzy tęsknili, zda się?

Czy dawne lichy, czy myśl o śmierci.
Jak gdyby robak po piersiach wierci?
Myśl jakaś tęskna, jakaś niemiła,
Jakaś wczorajsza rana odżyła.
Bóg raczej wiedzieć, co im nie płuży?
Może o wiecznej marzą podróży;
A do podróży na ten szlak Boży
Któż im w karawan konie założy?
— Nastko-gołąbko! — powiada stary —
Kto nas po śmierci włoży na mary?
— Ojczy serdeczny — babka odpowie —
To mi się dawno snuło po głowie,
I dawno sobie daję pytanie:
Komu chudoba nasza zostanie?

Cyt! ale słuchaj... słyszę w tej chwili,
Coś za wrotami, jak dziecko, kwili.
Pójdziem zobaczyć, co to za sztuka?
Bo coś niedarmo serce mi puka.

Więc kiedy starców ciekawość miota,
Wsparci na kijach śpieszą pod wrota,
Śpieszą pod wrota, i pod przełazem,
Milcząc, oboje stanęli razem,
Bo w lichą płachtę i w starą świętą
Leży pod płótem dziecicę spowite; —
Snadź tylko matce szmaty dziurawe
Starczyło dziecku dać na wyprawę.
Uradowani starcowie szczerze,
Kiwali głową, mówiąc pacierze.
Drobna dziecina, lekko ściśnięta,
Jeszcze wyciąga ku nim rączęta,
A popłakawszy, po krótkiej chwili,
Już tylko niemem kwileniem kwili.

— A widzisz Nasto! dusza mówiła,
Że Bóg nam z Nieba pociechę zsyła.
Bierzże ją prędzej... zimno na dworze,

W miękkie pieluchy obwiń niebożę,
Obwiń w pieluchy, zanieś do chaty,
A ja... jak niegdyś dawnemi laty,
Skoczę na konia, aż wiatr zaświszcze,
Poprosić kumów na Horodyszczce.

Och! dziwno jakoś na świecie bywa:
Jeden na syna przeklęctw przyzywa,
Wypędza z chaty, zębami zgrzyta;
Drugi, gdy w chatę syn mu zawita,
To krwawym potem, w kośbę czy żniwa,
Woskową świeczkę zapracowyywa,
By ją z modlitwą nieść do ołtarza,
Że Bóg go drogim skarbem obdarza.
Zapala świeczkę, łyzy rzewne leje,
Za swoje szczęście, za swe nadzieje.
Cieszyć się Bóg wie, czy było poco,
Ale bez dziatwy — jakoś sieroco.

III.

W Horodyszczce leciał stary,
Zebrał kumów aż trzy pary,
I pod wieczór chrzestną wodą
Książdz dziecinę polał młoda.
Dano dziecku imię Marka,
A serdeczna dziadów parka,
Na wzrost jego patrząc krzepki,
Złotej chciałyby kolebki.
Już dla Marka, dla pieśczoży,
Już kolebki mało złotej;
Stary dziadek z babką chorą
Już mu cacek nie dobiorą.
I po drugiej, trzeciej wiośnie,
Wypieszczony Marko rośnie,
I wyrasta na młodziana,
Jak jagódka, jak rumiana...
Włtem jednego w polu żniwa

Nowa gościa im przybywa:
Czarnobrewka — dziewczę hoże,
Przyszła w najmy żać im zboże.

— A cóż, Nasto? — Cóż, Trochimie?
Trzeba żniejki, niech się przyjmie.
Z starej ręki babki, dziada
Sierp żniwiarski już wypada,
A i dziecku będzie słodziej,
Bo mu niańka nie zaszkodzi.

— Tak, tak, Nasto! — Trochim powie: —
Już nie służy wiek i zdrowie,
A pod starość wielka zmiana,
Zdarłem nogi po kolana,
Nam potrzebne ręce młode...
Co chcesz, dziewczę, za nagrodę?

— Ja chcę służyć w waszej chacie,
A przyjmuję co mi dacie, —
Rzecz dziewczka kłopotliwa.
A staruszek brodą kiwa:
— Krzywdzić ciebie? nam to na co?
Lecz ty waż się ze swą pracą,
Bo mówili ludzie starzy,
Że ten nie ma, kto nie waży.
Ty nas nie znasz, a my ciebie;
Żyj na naszym teraz chlebie;
A jak dobrze pójdzie proba,
Jedno drugich upodoba,
Jak pobędziesz w naszej chacie,
Pomówimy o zapłacie.

— Och! już wy mnie nie skrzywdzicie,
Ojczy-serce, matko-życie!
Mieszkać będę w waszej chacie,
Wezmę płacę, jaką dacie.

Weszli w chatę, i dziewczyna
Nową służbę rozpoczyna,
Tak szczęśliwa, taka rada,
Na sto koni jakby wsiada,
Jakby doła biednej dana
Wyjść za pana, za hetmana.
O poranku i wieczorze
Ona w chacie i na dworze,
I w oborze, i w stodole,
I na żniwo idzie w pole.
Lecz najmilej czas jej płynie
Nad kołyską przy dziecinie,
Że i matka i rodzona
Tylu trudów nie dokona.
W dzień powszedni, czy w Niedzielę
I pościółkę mu uścielę,
I koszulkę włoży białą,
I rozczesze główkę małą,
I piosenki wyśpiewywa,
I wystruga wóz z łuczywa.
Cóż dopiero, gdy w dni święta
Inszą pracą niezajęta?
Przez dzień cały, przez dzień Boży,
Z rąk chłopięcia nie położy.
Aż się dziwią staruszkowie,
Nie pomieszczą tego w głowie,
Błogosławią jak rodzice
Swą pocziwą najemnicę.
Lecz gdy w nocy posną starzy,
I dziecina się rozmarzy,
Ona patrzy na pacholę
I przeklina swoją dolę.
A jej żalu i rozpaczy
Nikt na świecie nie zobaczy;
Jeden Marko — lecz. nieboże,
On zrozumieć jej nie może:
Czego płacze nieszczęśliwa?

Poco łzami go obmywa?
Czemu, zszedłszy gdzieś w oddali,
Całunkami aż go pali?
Nie dojada kęska chleba,
Byle Marko miał co trzeba?
Czasem ze snu coś wyszepce
Lub przewróci się w kolebce:
To już ona kłopotliwa
Z najtwardszego snu się zrywa,
I przeżegna w nocną ciszę,
I kolebkę zakołysze.
Ona czuje aż z za ściany
Oddech dziecka rozespany;
A gdy z rana oczki przetrze,
Rączką chwyta za powietrze
I rączkami opowije
Pochyloną niani szyję,
Czasem nie wie co wygada,
Imię matki niańce nada,
I jak dąbek rość poczyna,
I kraśniej, jak kalina.

IV.

Ej! niemało, niemało
Wód się w rzece przelało,
I zła dola surowo
Puka w chatę dziadową.
Baba Nasta w mogile,
Dziadek upadł na sile,
Ani rady już niema
Uratować Trochima.
Wreszcie uratowali,
I bieda poszła dalej,
I na cichym futorze
Szczęście zakwitło Boże,
Z ciemnych gajów na nowo
Przyszło w chatę dziadową.

Już i Marko dziecina
Wyrósł bujno, jak trzcina,
Krzepki, nakształt jawora,
Że i żenić już pora.
Starzec w myślach się gubi,
Kogo chłopak zaślubi?
Słuchać ludzi nie wadzi,
Najemnicy się radzi.
Ta posłałaby swaty
Do królewnej bogatej;
Lecz królowna daleko,
A tu lata ucieką.

— Niech sam radzi w tej mierze,
Niech sam żonę wybierze.

— Dobrze, córko — rzekł stary, —
Niech wyszuka już pary,
A jak parę wyszuka,
Posłać swatów nie sztuka.

Rozpytali, radzili,
Panów swatów prosili.
Przyszli swaty za wołą,
Przyszli z chlebem i solą,
I ubrani sowito,
I z rusznicą nabitą.
Dobrze poszło swatanie:
Piękna panna w żupanie,
Taka hoża i młoda,
Że i starań nie szkoda,
Kwiatek krasny i wonny, —
Sam pan hetman koronny
Takie dziecko pieszczone
Chętnie wzięłby za żonę.

— Dzięki, dzięki, swatowie! —
Rozczulony dziad powie —
Lecz rozbierzmy w gawędzie,

Gdzie i kiedy ślub będzie?
 Jak w weselu zaradzę?
 Kogo matką posadzę?
 Nastę wzięto na mary...
 Ot i splakał się stary.
 Rozrzewniona najmita
 Drzwi oburącz się chwyta,
 I mdlejąca się tarza,
 I coś mdlejąc powtarza,
 Mówi cicho a z rzadka:
 — Matka!... matka!... gdzie matka! . .

V.

Minał tydzień, družki młode
 Korowaj miesiły;
 Stary ojciec, jeżąc brodę,
 Krzątał się co siły.
 To podwórko swe przykrasza
 Z pracą i zachodem,
 To podróżnych wciąż zaprasza
 Na gorzałkę z miodem.
 Na wesele sprasza gości
 W wesołym zapale;
 Naturbował stare kości,
 A nie czuje wcale.
 Na co biednej stać chudoby,
 Wskazał jak na dłoni;
 Na dziedziniec wnieśli żłoby
 Dla gościnnych koni.
 Obcy czyszczą ściany chaty;
 Gdzież się dziewczka chowa?
 Ona wzięwszy kij sękaty,
 Poszła do Kijowa.
 Na modlitwę chęć ją bierze
 Z pielgrzymów gromadką,
 Choć jej starzec prosił szczerze
 Być na ślubie matką.

Błaga Marko, aby przecię
Powstrzymała drogę.
— Przebacz, Marko! drogie dziecię,
Ja tu być nie mogę,
Oni ludzie hej! bogacze,
A ja sługa licha,
Między nimi, cóż ja znaczę?
Śmieliby się z cicha.
By was Pan Bóg miał w opiece,
Pójdę do Kijowa,
Wszystkim świętym was polecę
I powrócę zdrowa.
Służyć będę choć bez płaty
Całe moje życie,
Nie porzucę waszej chaty,
Chyba wypędzicie.
I dziadkowi pokłon dała,
I weselnej rzeszy,
Przeżegnała, zapłakała,
I w pielgrzymkę śpieszy.
Rwą podkówki, grzmi muzyka
W gwarze weseliska;
Krażą czarki u stolika,
Miód, gorzałka tryska.
Dziewka idzie w czarnej szacie
Gdzie ją oczy wiodą,
Aż w Kijowie, w miejskiej chacie,
Stanąła gospoda.
Najęła się wodę nosić
Wiadrem sporej miary,
Byle grosza stało dosyć
Na Mszę u Barbary.
I chodziła do Spowiedzi,
Czciała Świętych twarze,
I dla Marka obraz z miedzi
Kupiła w Pieczarze.

I czapeczkę poświęconą,
Świętego Iwana;
Biła pokłon przed ikoną,
Zginała kolana;
A dla młodej Marka żony,
Jak obyczaj stary,
Krzyż kupiła poświęcony
I pierścień Barbary.
Gdy w domowych stronach stanie,
Dopełniwszy wota,
Wybiegł Marko swoją nianię
Spotkać aż za wrota.
Wyszła żona Katarzyna,
Wiodą w chatnie progi,
Postawili miodu, wina,
By ugościć z drogi.
I pytają o Kijowie,
Cieszą się, wesela,
I troskliwi o jej zdrowie
Miękką pościel ściela.
— Za co dla mnie to kochanie?
Tak mię czci to stadło?
Ot już, może niespodzianie
Serce ich odgadło!
Ej! nie zgadli tajemnicy,
Ale dobre dzieci!
I w sierocej jej źrenicy
Jasna Iza zaświeci.

VI.

Już trzy razy lody krzepły,
Topił lody wietrzyk ciepły;
Najemnica już trzy razy
Przed kijowskie szła obrazy.
Jakby z matką Katarzyna
Z nią pielgrzymkę rozpoczyna;
Przeprowadza na szlak znany,

Aż na pole za kurhany,
I modlitwy swe zasyła,
Aby prędzej powróciła,
Bo tu bez niej dniem i nocą
W chacie pusto i sieroco.

W dzień Najświętszej Panny Zielnej
Przywdział Trochim strój niedzielny,
Siadł na kłodzie wedle ulla,
Przy nim wnuczek z pieskiem hula.
Wnuczka matki odzież wkłada,
Niby w gości szła do dziada.
Serce dziada się zaśmiało,
I przywitał wnuczkę małą,
Pyta jakby u dojrzałej:

— Gdzieś podziła kołacz biały?
Czyś nie wzięła, śpiesząc rano?
Czy ci w lesie odebrano?
Albo zjadłaś, idąc drogą?
Ejże wstyd ci, wstyd, niebogo!

Gdy tak stary wnuki cacka,
Hanna zjawia się znienacka;
Dobra Hanna, żywa, zdrowa
Powróciła od Kijowa.
Starzec zerwał się na nogi,
Najemnicę witać z drogi;
Ale ona idzie drogą,
Nie uważa na nikogo,
Pyta, robiąc piersią szparką:

— Gdzie jest Marko? gdzie jest Marko?...

— Gdzie jest Marko? Ha! w podróży...

-- A mnie siła ledwie służy.
Biegłam umrzeć w waszej chacie,
Wy mię szczerze pochowacie.
Tutaj umrzeć... by mię w dali

Cudzy ludzie nie chowali,
I nie poszła marnie praca...
Niechże Marko prędzej wraca!
Tak mi słabo do ostatka!...

I w swej sakwie szuka szmatka,
I dla wnuków różne dziwa
Na gościniec wydobywa:
I z mosiądzu krzyżyk gładki,
I medalik Bożej Matki,
I obrazki, co na ścianę,
Złotą folgą nabijane,
Świec jarzących pęk wyklada
Katarzynie i dla dziada.
Lecz dla Marka nic nie chowa,
Nie przyniosła nic z Kijowa,
Bo jej groszy już nie stało,
A zarobić sił za mało.

Ot pozostał u pazuchy,
Tylko jakiś kołacz suchy!
Więc go łamie po połowie:
Jedzcie, dzieci!... to na zdrowie...

VII.

Dziadek, wnuki, Katarzyna,
Wszystko krzątać się poczyna,
I do chaty gościę wiodą,
I omyli nogi wodą,
I na końcu stołu sadzą,
I połudeń wczesny dadzą;
Lecz zmęczona i wybladła,
Nic nie piła i nie jadła.

Katarzyno! Katarzyno!
Dwa, trzy dzionki gdy przemina,
Wtedy cerkiew niech otworzą,
I zakupcie służbę Bożą,

A przed Spasem i Mikołą
 Ponastawiać, świec wokoło,
 Bo coś Marko bawi dłużej,
 Zachorował gdzieś w podróży.

- Gdy to mówi — traci zmysły,
 Jak z krynicy łyzy jej trysły.
 A gdy pierwsze łyzy przeminą:
 Katarzyno! Katarzyno!
 Już ja nie ta, co przed chwilą,
 Oczy mylą, nogi mylą.
 Trzeba umrzeć — och! nie znacie,
 Co to umrzeć w cudzej chacie!

Zaniemogła nieszczęśliwa,
 I kapłana już przyzywa,
 I odprawia spowiedź szczerze,
 I Oleje święte bierze.
 Stary Trochim w łez powodzi
 Po dziedzińcu smutnie chodzi.
 Katarzyna ani w stronę,
 Oczy w chorą ma wlepione.
 A tymczasem gospodyni
 W dzień i w nocy czuwa przy niej,
 I zapala świeczkę dużą,
 Ale świeczki źle coś wróżą:
 Ciemne światło biłe z knota,
 A schorzała wciąż się miota.

Katarzyno! rzuć oczyma,
 Czy z powrotem Marka niema?
 Gdybym pewna była tyle,
 Że go ujrzę choć na chwilę,
 Toby jeszcze przyszła siła,
 Tobym śmierci przemodliła,
 Tobym jeszcze miała wolę
 Ucałować me pacholę...

VIII.

A w czumackiej Marko rzeszy
Powraca wesoły,
Do swej chaty ani śpieszy,
Bo popasa woły,
Wiezie kubrak dla swej żony,
Co oczy zachwyci,
A dla starca pas czerwony,
Wskroś z jedwabnych nici.
Najemnicy — dar sowity,
Żupan nad żupany,
Żupan krasny, złotem szyty,
Srebrem przetykany.
Dzieciom trzewiczki z podróży
Przywiózł w upominek,
I orzechów zapas duży,
I słodkich rozynek.
A dla wszystkich sporą miarę
Z Carogrodu wina.
Mniema zastać szczęście stare
W chacie u komina.
Jego sercem nic nie miota,
Nic nie trudzi głowy.
I otworzył rzeźwo wrota
W dziedziniec domowy.
Zobaczyły go obiedwie
W tejże samej porze:
Och, nakoniec! — Och, zaledwie!
Dziękuję Tobie, Boże!
Stary poszedł wyprządz woły,
I uprząże składa;
Jak przed rojem w ulu pszczoły,
Krząta się gromada.
Słysząc krzyki uroczyste,
Radość nieustanną:
Ach, O j c z e n a s z! . . . Jezu Chryste!
Ach, Najświętsza Panno!

A gdzie Hanna, Katarzyno?
Gdzie się Hanna chowa?
Pokaż prędzej mą jedyną,
A czy żywa? zdrowa?
Jeszcze żyje... duszę chroni,
Ale bardzo chora;
Chodźmy, Marko! chodźmy do niej!
Oto jej komora!
Marko ledwie poznać zdoła,
Gdy ją ujrzał z progu.
Chodźże prędzej! — ona woła —
Dzięki-ż Panu Bogu!
Pochwalona Pani Nieba,
Przenajświętsza Matka!...
Katarzyno! mnie potrzeba
Mówić z nim bez świadka.
Wyjdź z komory choć na chwilę!...
Wyszła Katarzyna.
Widzisz, Marko! ledwiem w sile
Przemówić... do syna.
Oto, synu, spowiedź skryta
Moich dni ostatka:
Jam nie prosta tu najmita,
Ale twoja... matka...
I osłabła, i złamana
Padła na wezglowie.
Marko upadł na kolana,
A ona znów powie:
W cudzej chacie... tu, jak w grobie,
Zeszła młodość cała...
Byle tylko być przy tobie,
Jam pokutowała...
Marko zemdlał... zbladło lice,
Zbiegli się doń chatni...
Gdy się ocknął — pokutnicę
Ujął sen ostatni.

IWAN PODKOWA.

I.

W Zaporozżu grzmi armata,
Przed panem Iwanem.
Zaporożec w dawne lata
Potrafił być panem.
Panowali, zdobywali
Swobodę i chwałę:
Ledwie świadczą ich z oddali
Kopce pozostałe.
Oj! wysoko się wznosiły
Na polu kurhany,
Gdzie legł Kozak do mogiły
W kitajkę przybrany.
A mogiła kształtem wzgórza
Aż obłoki bodzie,
Wiatrom żale swe wynurza,
Szepce o swobodzie.
Pradziadowskiej świadek sławy,
Powiadają młodzi;
A wnuk słucha jej ciekawy,
I piosnkę wywodzi.
Och! szalano w Ukrainie,
Licho daj go czartu!
A w gorzałce, w miodzie, w winie
Nabywano hartu.
Dobre niegdyś było życie
W ukraińskiej stronie.
Może sercu coś ulżycie,
Gdy je wam wydzwonię.

II.

Czarną chinurę wicher niesie
Z Limanu wybrzeży,

Sine morze, jak zwierz w lesie
Ryczy, to się jeży.
Gardziel Dniepru już rozlany, —
Chłopcy! hej! do wiosła!
Siądziem w czajki, pójdziem w tany,
Byle woda niosła!
Wyplęnęło Zaporozie,
Aż Liman czernieje.
Grajże teraz, sine morze,
Niechaj wiatr zawieje!
Bije fala, pływicie zdrowi,
Ni ziemi, ni nieba,
Aż drży serce... Kozakowi
Tego tylko trzeba!
Wiosło taktem gra wesołym,
Wykrzykują radzi,
Pan ataman płynie czołem,
On wie, gdzie prowadzi.
Chodzi z lulką po swej łodzi
I rozmyśla bacznie:
Gdzie uderzyć mu przychodzi?
Skąd robotę zacznie?
Skręcił wąsy z gęstą miną,
Czajkom stanąć każe,
Podniósł kołpak, wstrząsł czupryną:
Zguba tobie, w r a ż e!
Hej, młodcy! droga znana,
Ja Carogród minę;
Lecz w Carogród do sułtana
Pójdziemy w gościnę.
Dobrze, ojczy atamanie,
Zagramy w Bosforze!
Dzięki, chłopcy! niech się stanie!
I znów kipi morze.
Pan ataman lulkę kurzy,
Na brzegu usiadłszy,

Na niebiosach bada burzy
I na falę patrzy.

D U M K A.

Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!
Bo nie weźmie nikt w opiekę,
Chyba z góry wskoczyć w rzekę.
Jużbym skończył dni te moje,
Lecz się kary Boskiej boję;
Jużbym dawno zgnił w topieli,
Jużby ludzie zapomnieli.
U jednego dobra dola,
Bujne kłosa zbiera z pola:
Moja dola tylko mami,
Gdzieś się błąka za morzami.
Dobrze temu bogaczowi,
Co go wszyscy znać gotowi:
Gdy kto spotka mnie nędzarza,
To i na twarz nie uważa.
Bogatego, choć szkarada,
Otacza pochlebstw gromada:
Ja choć wzdycham do dziewoi,
Ze mnie tylko żarty stroi.
Czyż ja, dziewczę! nie dość młody?
Czy mi pięknej brak urody?
Czy nie kocham cię z zapałem?
Czy ja z ciebie żartowałem?...
Kochaj sobie, kochaj śmiało,
Kogo serce twe wybrało;
Lecz poszanuj me kochanie,
Gdy ci kiedy w myślach stanie.
A ja pójdę w cudzą stronę
Jątrzyć serce rozżalone,

I tesknotą serce spałę,
Jako listek na upale.

Smutny Kozak poszedł droga,
Nie zostawił tu nikogo;
Szukał doli, co popieści,
I zaginał gdzieś bez wieści.
Umierając ludzi pyta,
Gdzie tam Boże słońko świta?
Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!

1860—1861. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY.

UTWORY LIRYCZNE.

	Str.
Do * * *	7
Do przyszłej żony	7
Wspomnienie Nieświeża.	
1. Wspomnienie	8
2. Miasto	8
3. Zamek	9
4. Groby Radziwiłłów	10
5. Alba	10
6. Święty Krzyż	11
7. Do Bogarodzicy	11
Nad Niemnem	12
Oda z Horacyusza	12
Słodycz marzeń	13
To i dosyć	15
Ruiny	16
Dumanie Poety	17
Co się przyśni	17
Nie ja śpiewam	18
Piosnki	20
Niewinnej duszyczce	22
Napoleonista	24
Spoczynek	25
Bywało	26
O moim starym domku	28
Westchnienie majowe	32
Waryant z pieśni gminnej	34
Do niemowlęcia	35
Na echo dzwonu	39
Do A. P.	40
Święta Chata	41
Do Boga	42
Do * * *	44

	Str.
Do	45
Do J. I. Kraszewskiego	46
Natchnienie	48
Gawęda o bocianie	49
Skutki	50
Do A. E. Odyńca	51
Zawczasnie	54
W imionniku Stanisława Moniuszki	57
Szczęście	58
Kłótnia i zgoda	59
Homerowa dziatwa	60
Przedwiośnie	60
Oracz do skowronka	61
Pogrzeb młodego rolnika	62
Do fletni	64
Lirnik wioskowy	66
Pieśń żniwiarska	69
Dedykacja gawęd gminnych Litwinom	69
Drzemka i czyn	71
Pielgrzym	72
Do Feliksa Rumbowicza	73
Do Stanisława Szczepanowskiego	75
Niepiśmienny	76
Hymny do Mszy świętej	78
Do Wiktora Każyńskiego	81
Pieśni do muzyki W. Każyńskiego.	
1. Wlazł kotek na płotek	81
2. Krakowiak na Litwie	82
3. Pieśń myśliwska	83
4. Korale	84
5. Kruk	86
6. Dola	86
Do * *	87
Grajek wioskowy	88
Do Ignacego Chodźki	92
Do Aleksandra Żeleźniaka	94
Toast dla Teodora Narbutta	94
W imionniku Sydalii Świdowej	95
Do ks. Wacława Hundiusa	95
Hasło	96

	Str.
Czuli a cnotni, bądźmy ochotni	97
Głos ubogich do Obywateli Gubernii Wileńskiej	98
Warianty starych tematów	100
Orszak pogrzebowy	101
Modlitwy na obrazkach.	
I. Hymn do Najśw. Maryi Panny Ostrobramskiej	102
II. Hymn do Pana Jezusa na Śnipiszkach w Wilnie	103
III. Hymn do Zbawiciela w kościele Katedralnym w Wilnie	103
IV. Hymn do świętej Weroniki	104
V. Hymn do świętego Kazimierza	105
VI. Hymn do świętej Filomeny	105
VII. Hymn do świętego Kajetana	106
VIII. Hymn do świętej Zofii	107
IX. Hymn do świętej Anieli	107
X. Hymn o chrzcie Chrystusa	107
XI. Hymn do świętego Tadeusza	108
XII. Hymn do świętej Heleny	109
Na uroczyste otwarcie muzeum starożytności w Wilnie	109
Archeologia	111
Zozula	113
Do Wincentego Korotyńskiego	114
Szum brzożki	116
Złoto, kadzidło i myrra	117
Krzyże wioskowe	119
Stary zegar	121
Kwietniowy motyl	123
Procedencye szklanicy miodu	124
Do ks. Wacława Żylińskiego	132
W dzień imienin Ignacego Chodźki	133
Do Deotymy	134
Ostrokrzew	134
W imionniku Tytusa Maleszewskiego pastelisty	135
Maurycemu Krupowiczowi	136
Sosna	136
Pajęczyna	138
Powinszowanie afiszera Wileńskiego	139
Pierwsze myśli w dzień Zmartwychwstania	140
Hulaj dusza	142
Hymn do Najświętszej Panny w Ostrej Bramie	144

	Str.
Taniec Fortuny	146
Do Faustyna Łopatyńskiego	147
Ze wspomnień gór	148
Toast w Piotrkowie	150
Znicz	152
Do Niemna	153
Staropolskie Roraty	153
Wigilia sieroty	159
Do Bolesława Nowińskiego	161
Kamienne bożyszcze	162
Myśl	164
Święcone	166
Do luminarzów mojej parafii	167
Piosnka wieśniaczki litewskiej	168
Jeszcze lirnik	169
Śmierć słowika	171
Zwierzyna	173
Serce, rozum, świat i owsianka	175
W imionniku ***	177
Zamieć	177
Co jest poeta	179
Trzy piosnki	180
Czy jeszcze gawędy	181
Sen i kabała	183
Pod obrazem uzbrojonego rycerza	184
Święty Piotr	185
Piosnka ludowa	187
Co umiem nakreślić	188
Pamięci Fabiana Sebastjana Acerna	189
Niemen	192
Borejkowszczyzna	193
Fragment	193
Niedziela.	
I. Poranek	195
II. Powrót Janka z targowiska	197
III. Lament pana arendarza	199
IV. Wieczór	201
Niemasz niewiast nad Sarmatki	202
Ńagrobek obywatelowi	204
Owidyusz na Polesiu	204

Jutrzenka	207
Melodye z domu obłąkanych	209
Cupio Dissolvi	220
Do gości	222
Przebudzenie	223
Nowe abecadło	224
Wstęp do Kalendarza Wileńskiego	226
W imionniku Michaliny Szelutówny	227
Milczenie poety	228
Ostatnia myśl poety	231
Waryant zakończenia „Wyroku Jana Kazimierza“	232
Waryant z pieśni gminnej	235

PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JEZYKÓW.*)

Fragmenta z ksiąg Hioba	236
Urywki i parafrazy z Eklezyastyka	258
Z poezji Tychońa Brahego	260
Adama Schrötera urywek z poematu	261
Piosenki J. P. Beranger'a.	
Król ćwieczek	261
Pan Szczęsny Hulakiewicz	264
Wiosna i jesień	265
Trup żyjący	267
Podróż na księżyc	268
Dzień Zaduszny	271
Starość	272
Ptastwo	273
Stara kapota	274
Trzynastu u stołu	275
Kometa	276
Stary kapral	278
Alchemista	280
Nostalgia czyli tęsknota do kraju	281
Do możnych przyjaciół	283
Stary włóczęga	284

*) Od strony 236—358, a więc począwszy z „Fragmentami z ksiąg Hioba“ do „Cmentarza“, zamieszczono mylnie pod rubryką „Utwory liryczne“, cały szereg „Przekładów z rozmaitych języków“, co niniejszem prostujemy.

Poezye Goethe'go.	
Z k a n t a t y „R y b a c z k a“	286
I. Król Olsztyn	286
II. Topielec	287
III. Śpiew weselny staroniemiecki	288
Zuzanna Topielica	289
Pieśniarz	291
Pieśń emigrantów irlandzkich	293
Stary żeglarz. (Z Coleridge'a)	294
Ptaki wędrowne. (Ze Stagnelius'a)	312
Pieśń rycerza norweskiego Harolda	314
Babunia. (Z Andersen'a)	315
Gwarinos	316
Gracze. (Z Puszkina)	321
Orzeł. (Z Puszkina)	322
Laik klasztorny. (Z Lermontowa)	322
Przyjaciół ludzkości. (Z Nekrasowa)	344
Na Woldze. (Z Nekrasowa)	349
Cmentarz. (Z Nikitina)	357
Przekłady z małosruskiego. (Z Szewczenki).	
Perebenda	361
Dumka	364
Dumka	365
Katarzyna	366
Najemnica	386
Iwan Podkowa	403
Dumka	405

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XVIII.



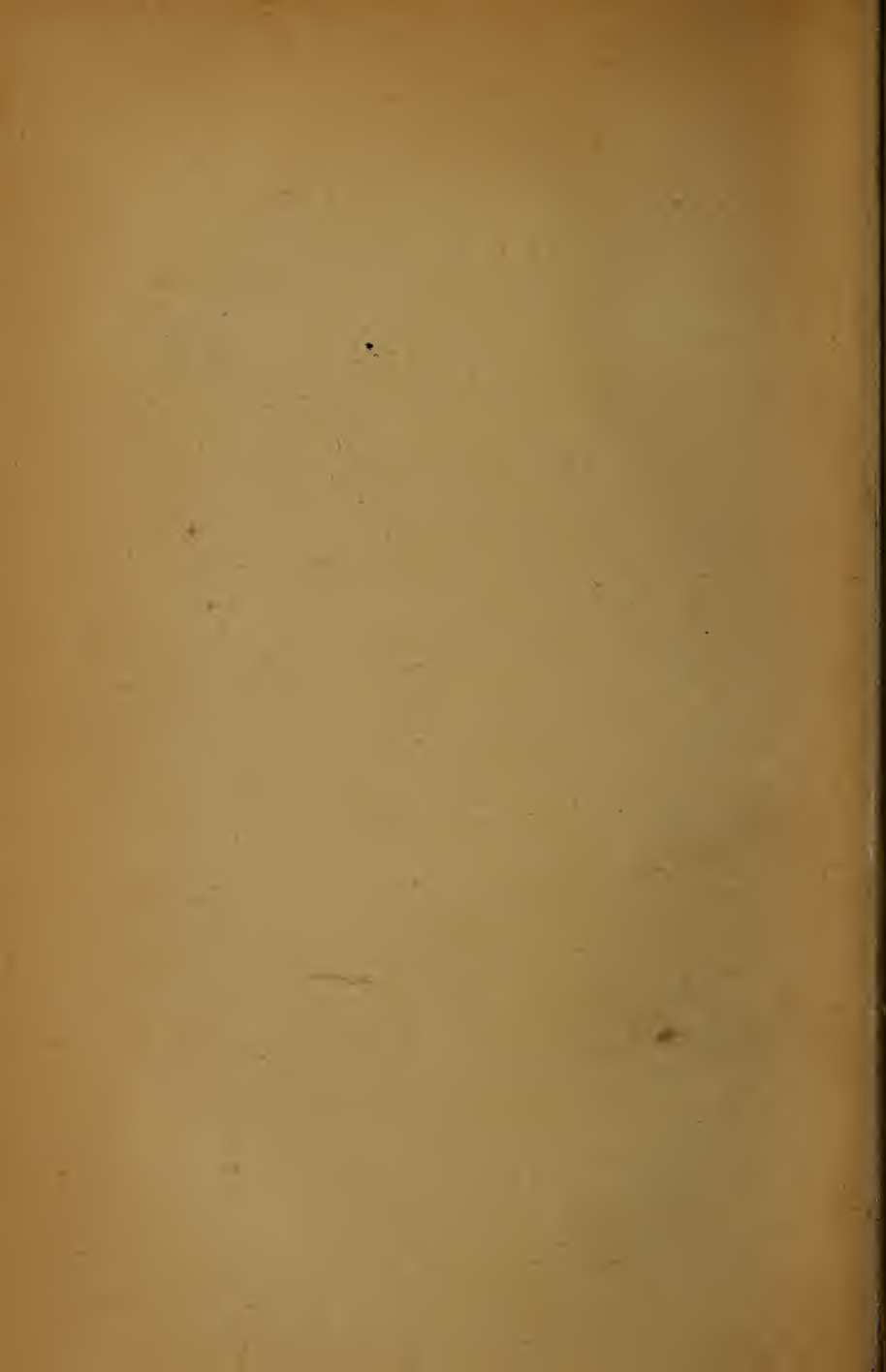
POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

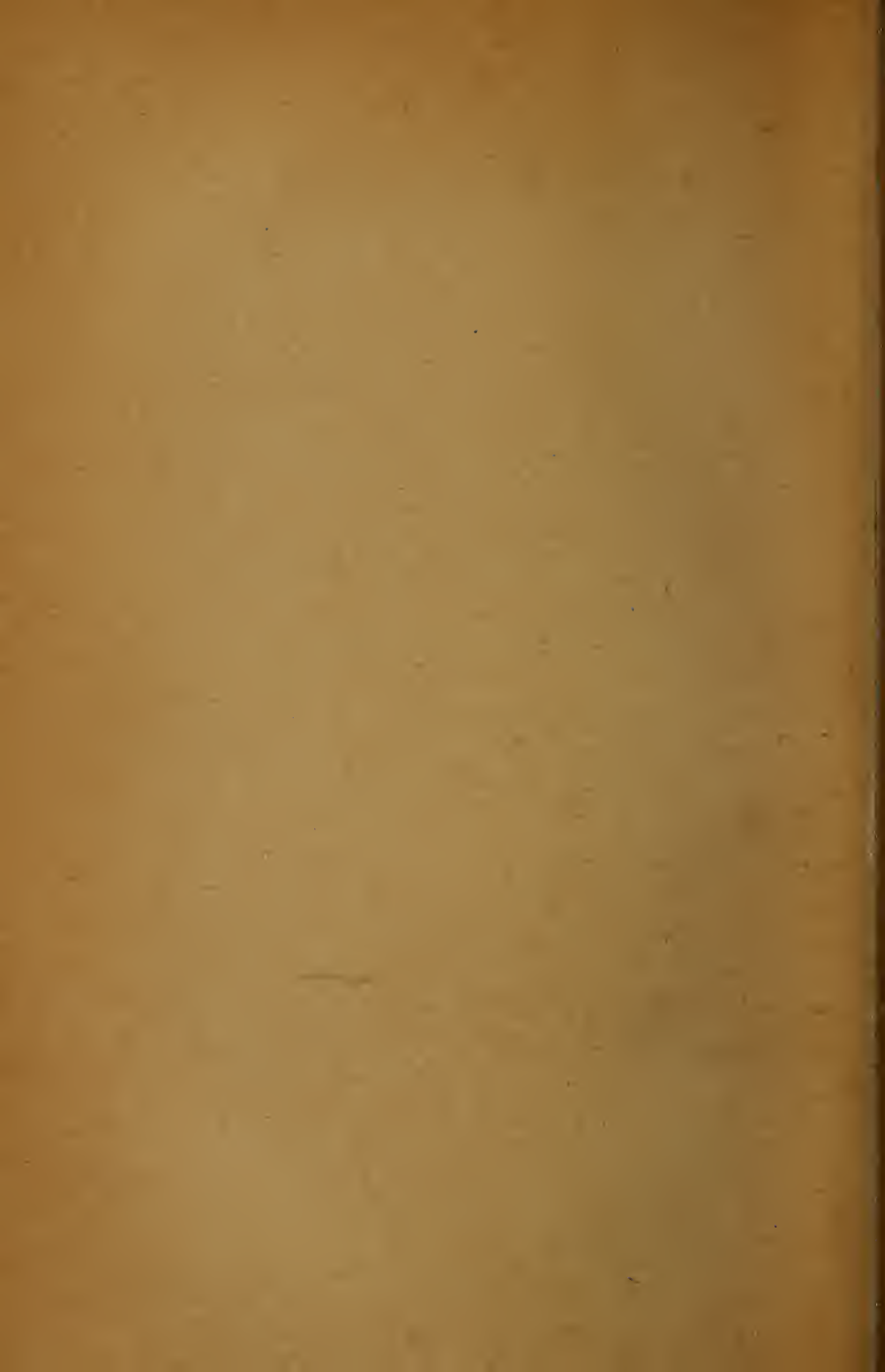
TOM VI.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.



PRZEKŁADY
POETÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH
EPOKI ZYGMUNTOWSKIEJ.

(WYJĄTKI).



P O E M A T A
KLEMENSA JANICKIEGO.

E L E G I A.

*Do Jędrzeja Krzyckiego, Arcybiskupa gnieźnieńskiego,
gdy go po raz pierwszy widział.*

Non adeo fuit ulla dies mihi clara sub illo tempore . . .

Dni w mojem życiu szczęśliwszych nie liczę
Nad dzień dzisiejszy, co błysł niespodzianie,
W którym raz pierwszy, najwyższy kapłanie,
Widziałem twoje dostojne oblicze.
Widziałem z blizka to szanowne czoło,
Co blaskiem mitry promieniście słyńcie;
Uczciłem męża wielbionego wkoło,
Co zacnej polskiej przodkuje krainie.
Bo czy uważasz dostojność niemąłą,
Ród znakomity, złączon znakomicie,
Czy własne dzieła uwieńczone chwałą,
Któremi piękne przyozdabia życie:
Tu szczyt, gdzie męża wynosi się głowa
I w gronie ziomek promienieje świetnie,
Tu mądrej myśli zacność umysłowa,
Jednak skromnością przykryta szlachetnie,
Nic tutaj losom — w szczęściu i boleści
Mądra się głowa nie ugnie, nie zetrze.
Rzadko kto zniesie, kiedy los go pieści,
Szwankuje okręt na zbyt wolnym wietrze.
Gdy Aleksander podbił ludy wschodnie,
Synem Jowisza obwołał się razem,

Własnego ojca wyparł się niegodnie
 I w pierś Klitona ugodził żelazem,
 Przymuszał wypraw swoich towarzysza
 Klękać przed sobą, wołą czy niewołą.
 I Klearch, szczęsną oślepiiony dołą,
 Przyswoił sobie synowstwo Jowisza.
 Nie wspomnę Brenna, co chlubny wygraną
 Zagroził bojem już Apollinowi.
 Nie wspomnę innych, co za dobrą zmianą
 Karne swe żądze wyuzdać gotowi.
 O zacny Krzycki! kusząca bogini
 Płoczej w twem sercu myśli nie wylęła;
 Ona, co tylu niewolników czyni,
 Do twego jarzma sama się zaprzęła.
 Już się nie wyrwie — znam po twojej naturze
 Jak święcie ważysz twoje powinności;
 Łaeno to widzieć — i niepłonno wróżę,
 Że cnota twoja bez końca urosie;
 Że lubo codzień dank odbierasz świeży,
 Nie zwolnisz jarzma szlachetności twojej;
 Że cię łaskawość twoja nie odbieży,
 Co wielkim duszom tak pięknie przystoi;
 Że zawsze będziesz cierpliwym i względnym,
 Bardziej niż Jowisz w starodawnej bajce.
 Ileż on razy w swym gniewie zapędnym
 Dał zreć płomieniom swoje winowajce!...

Gniew za występki rodzi się w twojej duszy,
 Ale się zaraz rozmiękczy widocznie:
 Jowisz nikogo nie wyrwie z katuszy,
 Nie pożałuje, gdy raz karać pocznie.
 Karcisz występnych, ale w słuszną miarę,
 Bo prędko w serce zakołata łaska;
 Ona przestrzeże, upomni ofiarę,
 Ale w nią nigdy piorunem nie trzaska.
 A lubo-ć w gniewie złe myśli nadbiegą,
 Jednak miłością zwyciężasz je skoro;
 Jest to zwyciężać lwa Herkulowego,

Jest to panować nad dziką potworą,
 Jest to gruchotać dzikiego bawoła,
 Jest to ucinać złym gadzinom głowy.
 Otwarta dobroć przemawia ci z czoła,
 Słynnyś pogodą twarzy i rozmowy.

Jednak, choć dobroć jest twoim nałogiem,
 Umiesz być srogi, gdy potrzeby każą.
 Zawsześ pobożny, cnotliwy przed Bogiem,
 Wiare i miłość pod pilną masz strażą.
 Małaż to praca walczyć z różnowierce,
 Bronić od wilka Chrystusa owczarnię?
 Małoż tu trudu dać krajowi serce
 I plon ojczysty zbierać w pięknym ziarnie?
 Któż po Zygmuncie najwięcej dał pracy?
 Kto w naszej łodzi siadywał przy sterze?
 Cieszcie się zatem, waleczni Polacy!
 W Krzyckim ojczyzna pierwszą chlubę bierze.
 Bierzcie otuchę, ludy tej krainy!
 Was najświętsze czekają nadzieje;
 Już wam nie zamrą wielkie ojców czyny,
 Kiedy je Krzycki nadobnie opieje.
 Jak niegdyś Grekom za sprawą Homera,
 Albo Rzymianom przez pieśni Marona,
 Tak wam dziejowa rozjaśni się sfera
 W pieśni Krzyckiego, co nigdy nie skona;
 Bo pierwej zginąć Herodota pracy,
 Trudom Padewca podlegnąć zagubie...
 Cieszcie się zatem, waleczni Polacy!
 Otwarte wrota narodowej chlubie.
 Pierwszy dank służył Auzońców imieniu,
 Albo gdzie Renu czyste wody płyną...

.....
 W polu cię bitwy sąsiady poznały,
 Dzisiaj muzami zasłyniesz na świecie —
 Krzycki ci doda nowy rodzaj chwały.
 Za jego wzorem nasza młódź ojczysta
 Pośpieszy muzom dać ofiary święte;

O! młódź nie tylko ze wzoru skorzysta,
 Lecz ma od niego opiekę, zachętę.
 Tak za Krzyckiego staraniem ochoczem,
 Polsko! potęga i sława cię czeka.
 Niepłonna wróżba — bo jest widzieć po czem,
 Co się snadź święci z takiego człowieka.
 Skoro się wróżba na przeszłości wspiera,
 Dobra to wróżba — spełni się niedługo:
 Łatwo wywróżyć było bohatera,
 Gdy młody Herkul gniótł hydrę mączugą.
 On spełnił świetne swej matki nadzieje,
 Ty, Krzycki, spełnisz nadzieje Polaków;
 Bo lud, co wróży z nieomylnych znaków,
 Im więcej widzi, więcej się spodzieje.
 Wy zaś, Sarmaci, drużyno krajowa,
 Szanujcie czoło, które was uświetnia!
 Módlcie się Panu — niech go nam zachowa,
 Niech mu pomyślność świeci długoletnia,
 Niechaj od niego wolnym krokiem idzie
 Śmierci posępnej widziadło surowe,
 Niechaj się zrówna wiekiem Neleidzie,
 Niech żyje lata Laomedontowe.
 A potem z Niebios jak Anioł w ochronie
 Wyciągnie k'Polsce przyjacielskie dłonie.

 E L E G I A.

*Poleca swej muzie, aby mu zjednała
 Stanisława Hozyusza.*

Ergone semper eris turpi taciturna timor Musa?...

Czemuś, o muzo! milcząca i trwożna?
 Niech się wieśniacza bojaźń przewycięża;
 Nabierz odwagi — tu śmiałą być można,
 Staniesz przed okiem uczonego męża.
 Wejdz doń i powiedz z winnem pozdrowieniem:
 „O mężu w świetne ozdobion zaszczyty!
 Znany zacnością, nauką, imieniem,

Gwiazdo i chlubo ziemi rodowitej!
Nie miej za płochość, że tutaj przychodzę,
Lubo nieznaną — między świetne duchy.
Jabym nie śmiała, ale w mojej drodze
Przyszła mi w serce myśl dobrej otuchy.
Orlik, co ledwo z łusek się wydziobie,
Nie śmie w słonecznym patrzeć się przezroczu:
I ja nie śmiałam, nie ufając sobie,
Ku twej jasności skierować mych oczu.
Ale poeta, niecierpliwy zwłoki,
Rzekł do mnie słowo sprzyjającej wróżby,
I kazał tutaj skierować me kroki...
Możem za wczesnie przyszła na tve służby?
Oto pół roku upływa bez mała,
Jak w pięknym grodzie Krakusowym goszczę;
Dość Janickiemu przyjaciół zjednała,
Jednego dzisiaj pragnę i zazdroszczę:
Hozyusz tylko brakował mi zacny,
Którego najprzód skarbić należało.
Mówiono o nim, że przystęp doń łączny,
Że próżen dumy i z duszą wspaniałą.
Im kto naukę zamiłował szczerzej,
Tem serce jego skłonniejsze do łaski:
Wielki mąż własnym zaletom nie wierzy,
Choć słyszy wkoło pochlebne oklaski.
Względny dla wszystkich, na siebie się sroży,
Każdego z sobą porównać ochoczy:
Dobra otucha! on nam drzwi otworzy,
On skrzydłem swojej opieki otoczy.
Gdy drzwi otworzył i gdy nas ośmiela,
W niewielu słowach cała prośba nasza:
Weź Janickiego za swego czciciela;
Dawno się o to u Niebios doprasza.
Weź Janickiego i daj mu łaskawie
Cząstkę w twem sercu i przyjazne słowo.
Wielka-ć to prośba, lecz śmiało ją stawię,
Boś nie zwykł smucić przeczącą odmową.

Im się kto większym dłużnikiem nazowie,
 Tem o wdzięczności przemyśliwa ściślej:
 Młody on jeszcze, lecz w młodzieńczej głowie
 Niema już lekkich i przelotnych myśli.
 Jak stary wiekiem, na łaski pamięta,
 I umie cenić prawicę pomocną.
 Różdzka, niedawno z gałęzi odcięta,
 Jednak do gruntu wkorzenia się mocno.
 Gdy młode ziarno posiejesz na roli,
 Nie zwiedzie pewno nadziei żniwiarzy...
 Lecz cóż ci mówić? już czytam na twarzy
 Pomyślną wróżbę dla mej przyszłej doli.
 Więc, co cię nadto uwielbić nie może,
 Kochaj młodzieńca, i żegnaj cię Boże!“

D Y A Ł O G
 O NIESTAŁEJ ROZMAITOŚCI ODZIEŻY
 U POLAKÓW.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO, KRÓL POLSKI,
 I STANISŁAW MOROSOPHUS.

KRÓL.

Już Wołoszę i Węgry zły Turczyn zwycięża,
 Już do mego królestwa zbliża się pożoga.
 Wstaję z grobu — niech moi przypaszą oręża,
 Wspomogę ich choć radą przeciw siłom wroga.

MOROSOPHUS.

Ha! to król... dziad królewski, przechwała się srodze;
 A sam broni nie nosi... cała Polska taka.
 Chodzi w owczym kozuchu, nie w królewskiej todze...
 O! trudniej podbić Turka niżeli Prusaka!
 Znam... to stary Jagiełło... ten głos i ta mina...
 Przystąpię: Dokąd, królu, i skąd, jeśli wola?

KRÓL.

Do was z grobu!

MOROSOPHUS.

A poco?

KRÓL.

Zwyciężyć Turczyzna.

MOROSOPHUS.

Ha! to sroga bestya, nie dotrzymasz pola!

KRÓL.

Lecz bywa zwyciężoną.

MOROSOPHUS.

Ej, nierówne siły!

KRÓL.

Bóg za tym, kto na siłę nierówną uderza.

MOROSOPHUS.

Dzisiaj pokój trzymamy.

KRÓL.

Nie trwóż się, mój miły,

Niema u mnie z Turkami świętego przymierza.

MOROSOPHUS.

Niema? kogoż uzbroisz?

KRÓL.

Prawnuków Polaków,

Przez których w moje czasy Krzyżak był odparty.

MOROSOPHUS.

Chcesz ich widzieć?

KRÓL.

Potrzeba.

MOROSOPHUS.

Patrz na tych wojaków!

KRÓL.

To jacyś cudzoziemcy, poniechaj te żarty!

Pokaż mi mych Sarmatów, moje wierne straże.

MOROSOPHUS.

Kiedy? gdy się odrodzą?

KRÓL.

Nie! zaraz, w tej chwili!

MOROSOPHUS.

Oto stoją! patrz na nich, jacy są, pokażę.

KRÓL.

Szanuj mię i zaniechaj głupich krotchwili!

MOROSOPHUS.

Tyś sam głupiec, że nie wiesz, iż czas wszystko zmienia.

KRÓL.

Ale wszystko odmienia w kształty jednakowe,
 A tutaj tysiąc kształtów, postaci, odzienia.
 Nie!... ja tych ludzi nigdy mymi nie nazowę!
 Za mną była ozdoba i odzież jednaka,
 I serca jednostajne w miłości i zgodzie:
 Po piórach zwykle ptaka odróżniasz od ptaka,
 Po piórach zwykle sądzisz o wewnętrznej przyrodzie;
 Tak chce Bóg i natura. O! zwątpilem znacznie,
 Już mię zwyciężyć Turka nadzieja nie głaszcze.
 Jak tu bić się — z żołnierzem strojnym tak dziwacznie?
 Lecz co widzę? tureckie przyjęliście płaszcze!?
 Widać, że Turczynowi sprzyjają te duchy!
 Zły znak!...

MOROSOPHUS.

Owszem najlepszy, bo to nasza młodzież
 Nosi łupy tureckie — znak dobrej otuchy,
 Gdy łup nieprzyjacielski wystarcza na odzież.

KRÓL.

Daj Panie! lecz cóż znaczy ten płat jakiś duży
 Od szyi aż do głowy? to jakieś dwuroże?

MOROSOPHUS.

Jeśli trzeba uciekać, a wiatr k'temu służy,
 Ten ubiór bieg przyspieszy i uciec pomoże.

Lecz uciekać nie sposób, bo się but nie poda
 Dychtowany żelazem, dłuższy od kolana.
 Nie pobieżysz w tych sztylpach, lecz inna wygoda:
 Można brodzić po wodzie lepiej od bociana.

KRÓL.

Żałuję ja tych ludzi — dobrowolnie nogi
 Krępują kajdanami...

MOROSOPHUS.

Już uzwyczajeni.

KRÓL.

A toż pewno dla brzęku sążniste ostrogi?

MOROSOPHUS.

Brzęczą, gdy w polu bitwy wiele jest kamieni.
 Przyśpieszają bieg koni, a ich brzękotanie
 Straszy nieprzyjaciela, jako rolnik ptaki.

KRÓL.

Patrz na tych długonogich, co w krótkim kaftanie?

MOROSOPHUS.

Nazywa się żołnierskim każdy kaftan taki,
 Stratictica po grecku, to odzież jedyna,
 Wszystkim dobrym żołnierzom najlepiej przypadnie,
 Bo nie obciąża ramion, ku ziemi nie zgina,
 A rzekę w niej przebywać wygodnie i składnie.

KRÓL.

Niemcy! Włochy! Francuzy!

MOROSOPHUS.

Nosim strój ich z młodu,
 Bo rzemiosło wojenne kwitnące w tych krajach.

KRÓL.

Lecz z tej tłuszczy nie złożysz żadnego narodu,
 Nie wniesiesz o ich rodzie, sercu, obyczajach.

MOROSOPHUS.

Prawda! gdyż, Bogu dzięki, lud sarmacki stary
 Rozrodził się w narody — garstka ich nie marna,

Rozrodził się — rozumiesz? — bez końca, bez miary,
Ot! jak z jednej makówki niezliczone ziarna.

KRÓL.

Lecz ziarna zawsze mają swój kształt macierzysty,
A tu jak poznać ojców po tym stroju sroczym?

MOROSOPHUS.

Zmienna odzież nie serce — patrz! senat ojczysty!
Czy widzisz tam na lewo? ty płaczesz? a po czym?

KRÓL.

I ci się przekształcili, pozmieniali skóry,
Jak naród, jak rycerstwo, — oplakana strona!
Nosi senat wenecki jednakie purpury,
I Rzecz tam Pospolita stoi niewzruszona.
A toż ojce ojczyzny! ten w butach, ten w zbroi,
Temu świetne sandały złotem się migocą,
Ów nosi lekki pancerz, ów w żupanie stoi!

MOROSOPHUS.

Zrędzisz tylko, a łajesz sam nie wiedząc o co!
Potępiasz, czego nie znasz: ten strój, to obuwie,
Przywdzieli, aby błysnąć powagą i władzą;
Ludowi trzeba blasku... — ale ci mężowie
Dla Rzeczypospolitej i gardła podadzą,
I dadzą się rozszarpać choćby od siepaczy
Za ojczyznę, za wiarę, za króla, za cnotę.

KRÓL.

O! powracasz mi spokój! — ale cóż to znaczy?
Na co im te sygnety, te łańcuchy złote?

MOROSOPHUS.

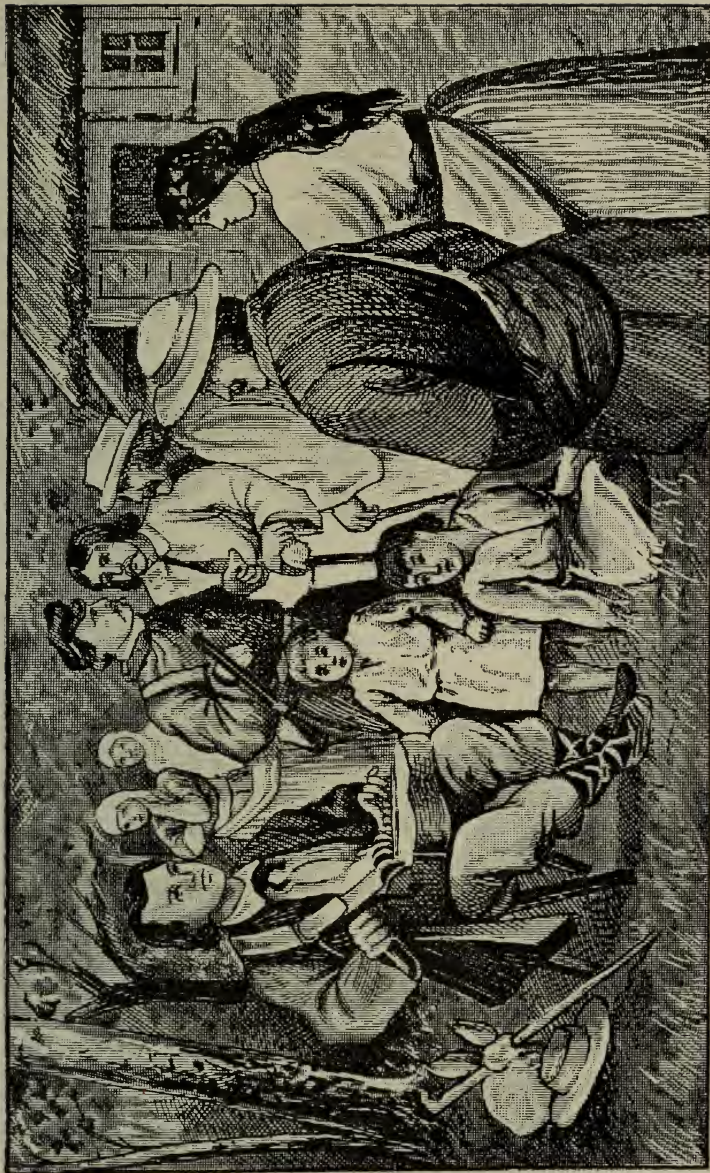
Straszny jesteś gawęda, gderasz nieprzyjemnie;
Nie mam czasu napróżno, aby gwarzyć szerzej.

KRÓL.

Słowo jeszcze!

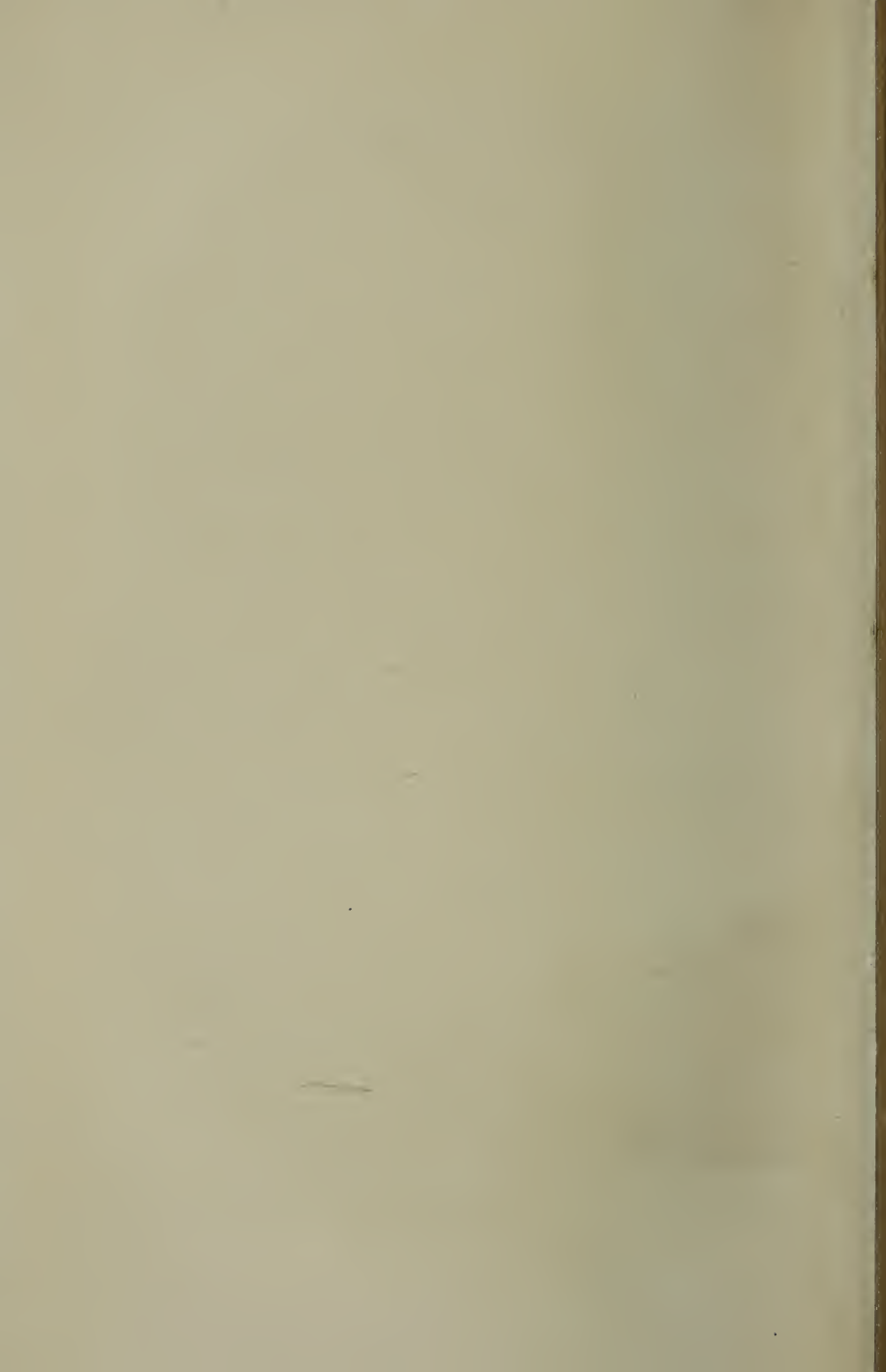
MOROSOPHUS.

Daj pokój, wojuj i beze mnie,
Lecz sprowadź nieboszczyków sobie za żołnierzy!



„Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
Skonam grając na lirze...”

(Ilustr. do poematu: „Lirnik wioskowy“, Tom V str. 66).



KRÓL.

Powiedz, kto jesteś?

MOROSOPHUS.

Żołnierz!

KRÓL.

Znaczno po zakroju,
Bo dobrze o żołnierce rozprawiasz, mój zuchu!
Jak ci na imię?

MOROSOPHUS.

Żołnierz!

KRÓL.

Nie zgadłbym po stroju!

MOROSOPHUS.

Jak w tobie nie znać króla po owczym kozuchu!

KRÓL.

Czyż królowi nie wolno mieć skromnej odzieży?
Czyż koniecznie potrzebny okazały zbytek?
Ale cóż to za zbroja pod suknią ci leży?
Worek wełny czy siana? jaki stąd użytek?

MOROSOPHUS.

To mój grzbietowy puklerz — dobrze z tym puklerzem,
Bo my kijmi częstokroć swe nagrody bierzem.

EPITALAMION

NAJJAŚNIEJSZEMU KRÓLOWI POLSKIEMU
ZYGMUNTOWI AUGUSTOWI.

NA ZAŚLUBINY TEGO KRÓLA Z ELŻBIETĄ AUSTRYACKĄ w r. 1543.

Czterowiersz na Orła, godło królewskie.

Ptak-li to Jowiszowy ulata nad meże?
Rozbija nieprzyjaciół w wojsku nieprzebranem,
Broni swoich — pierś jego staje za pawężę —
Bezpiecznoż ci, żołnierzu, pod takim hetmanem!

Do Zygmunta Augusta, króla polskiego.

Siodłać lotne rumaki! jedź, pogoni chyża!
 Auguście! oto rzymska królowa się zbliża:
 Wyjedź na jej spotkanie; ta dziewica hoża
 Godna być uczestniczką królewskiego łoża;
 Z takiego bowiem domu, z takiej krwi pochodzi,
 W jakiej ci jeno szukać małżonki się godzi.
 Urodą tak kształtówna, tak piękna, że pewnie
 Żadna z niewiast nie zdoła dorównać królownie.
 Nie słowom cudzym wierzę, lecz własnej żrenicy,
 Bom ją widział przed laty w wiedeńskiej stolicy;
 Widziałem, jak dziecina wspaniale przybrana,
 Szła z matką do świątyni świętego Szczepana.
 Z oczu jej promień strzelał, a skromność dziewicza
 Szkarłaciła jagody pięknego oblicza.
 O! nie tak piękną była, mimo ród swój boski,
 Kiedy szła córka Ledy w przybytek ojcowski!
 Ale cóż ci powiadać? co słać jej lica?
 Sam ujrzysz i zaświadczysz, co to za dziewica!
 Krasna dziewo! ochoczo wędruj z tak daleka,
 Znakomity i piękny małżonek cię czeka...
 Masz się z czego pochłubić, bo niemało waży
 Piękna postać młodzieńca i wdzięki na twarzy.
 Pięknie, gdy świetne cnoty zdobią duszę młodą,
 Pięknie, gdy się nad innych celuje urodą,
 Pięknie się naszym oczom i duszy przymila,
 Atryda Homerowa, Askani Wirgila.
 Gdy dwaj męże u murów pergamskiego grodu
 Walczyli o małżonkę i o cześć narodu,
 Pryam, Agamemnona postrzegłszy z daleka,
 Zapytywał synowej o pięknego Greka:
 — Powiedzże mi jako mam zwać Greczyna tego,
 Co to pleców szerokich a wzrostu słusznego?
 Drudzy, widzę, są, co go głową przerównają,
 Ale tak podobnego oczy me nie znają,
 Ani tak poważnego — tuszę, że jest królem.

Maro słodko nad pięknym rozwodzi się Julem.
Więc gdy piękność w monarchach jest wielkiej zasługi,
Bądź pewien twojej chwały, o Zygmuncie Drugi!
Boś jest majestatyczny, jak posłannik Nieba.
Lecz nie dzisiaj te rzeczy wyśpiewywać trzeba;
Przyjdzie czas, kiedy muza głos dla cię wyteży,
Opiewając tryumfy sarmackich oręży.
Wiem, że staniesz się godnym opiewania rymem,
Bo już dobrą nam wróżbę dałeś pod Chocimem,
Dałeś chlubę ojczyźnie, wrogom starłeś głowy, —
Błogoż tak rozpoczynać zawód pierwiastkowy!
Leszek — swój piękny zawód zbyt rozpoczął rano,
(Co go Białym, dla białych kędziorów przewzano);
Gdy dzieckiem pragnął bić się mężnemi rękoma,
A senat mu przedstawiał, że bezpieczniej doma:
— Poczóż mię — rzekł — trzymacie swojemi przestrogi?
Czyż mi jeszcze nie pora pokonywać wrogi?
Czy ja mieczem nie rąbnę? czy w sercu ostygnę?
Czy ja nie mam ramienia? włóczni nie podźwignę?
Malowany proporzec nikogo nie zgniecie,
A wy jednak proporce na wojnę bierzecie!
Obiecujące dziecię! za szlachetne czyny
Winienesz nosić imię wodza Kartaginy,
Który, gdy jego rodzic szturmem Sagunt bierze,
Dziewięcioletnie dziecko, walczył jak rycerze.
I ty, zacny Augustcie, wróż dobre koleje,
Świetny los twego ojca na ciebie się zleje.
Wzięłeś już po nim imię, wzięłeś panowanie,
Więc i dalsza spuścizna przy tobie zostanie:
Weźmiesz serce, i cnotę, i męstwo w potrzebie,
Tylko przykład ojcowski postaw wedle siebie,
Jako dawni Rzymianie, co w domowej sali
Swoich przodków woskowe posągi trzymali,
Jako Egipcyanie u domowych składów
W szklanych trumnach chowali prochy swych naddzia-
Aby, mając na oku ich przykład i życie, [dów,
Wedle wzorów kształtować siebie przyzwoicie.

Nie trzeba ci posągów namaszczonych woskiem,
 Bierz twe wzory na żywym przykładzie ojcowskim:
 Niechaj cię opanuje szlachetna tęsknica
 Sprostać wielkim przykładom twojego rodzica;
 A jeżeli podobna, przewyższaj go raczej, —
 Wierz mi, serce ojcowskie wdzięcznie to przebaczy.
 Filipie macedoński! pełniąc wielkie dzieła,
 Ostateczna twa żądza na synu spoczęła;
 Rzekłeś: Równać się ze mną wszystkim nadaremnie,
 Lecz pragnę, aby syn mój był większy nade mnie!
 Spełniło się, co chciałeś w twem żądaniu szczerem:
 Syn twój został zaiste wielkim bohaterem;
 A jeśli twoje ramię silnie Greki bodzie,
 Aleksander zwyciężył cały świat na Wschodzie.

Zwykła modła ojcowska wysłuchana w Niebie,
 Bóg, co dał wiele ojcu, więcej da dla ciebie;
 Pełń jeno sprawiedliwość — żadnej cnoty niema
 Spodobańszej w mocarzach przed Niebios oczyma;
 Miej troskliwość o wiarę w twem sercu, w twej głowie,
 Jako czynił twój ojciec i twoi przodkowie.
 A kiedy gwoli sądu zasiędziesz na wiece,
 Miej karę dla występku, miej cnotę w opiece;
 A pilno pędź od siebie rój, co skusić gotów,
 Co jeno gębie płuży, pilnuje zalotów.
 Wszelki trefniś, pochlebca, narajca od złego
 Niech od ciebie z przestraczem, jak zbrodniarze, biega.
 Są ludzie godni chwały, są meże szlachetni,
 Garnij ich, bo się przez nich twe berło uświetni;
 Dawaj im wszelki zaszczyt i w pięknym widoku
 Pierwsze radne ławice przy królewskim boku.

Patrz pilno na strażniki granice podolskiej,
 Którą często najeżdża nieprzyjaciół Polski;
 Między temi strażniki znajdziesz kogoś, tuszę,
 Co godzien, by pozyskał twą królewską duszę,
 Co w bojach spędził życie, zahartował serce,
 Którego z młodu ojciec wytrawił w żołnierce.

Nie na puchu dziecinna prawica się słabi,
Nie znał on, co to miękkie wezgłowie z jedwabi,
Spał na darni zielonej i jesień, i lato,
Jak na łożu puchowem usłanem bogato.
Zamiast łaźni, deszcz rześny pluskał mu na głowę,
Zamiast puharów wina, pił wody zdrojowe,
W takt surmy miasto śpiewów wywijał swe tańce,
Goniąc w taniec morderczy spłoszone pohańce.
Ma u siebie wszelkiego łupu podostatek,
Łup ten, wzięty na wrogu, nie z nędzarskich chatek;
Nauczył się przestawać miernemi użytki,
I nie dał swego serca na chciwość, na zbytki.
Ten, co doma tak dzielny, a cóż z niego będzie,
Gdy stanie na wysokim publicznym urzędzie?
Na wojnie czy w pokoju, kto mędrszy, kto szerszy,
Między pierwszemi męże stanie się najpierwszy.
Kto poda lepszą radę, gdy wystąpisz zbrojnie?
Niż ów, co całe życie przebywał na wojnie?
Kto poradzi, gdzie obóz rozstasować snadnie,
W jakim czasie i miejscu zwycięstwo przypadnie?
Nie przytoczy ci z dziejów wypadek daleki,
Nie powie: że przed laty tak czyniły Greki, —
Bez przykładów Ulissa, przysypanych pyłem,
Rzecz: „Jam to doświadczył — ja sam tak czyniłem!
I w święty dzień pokoju, można ufać radom
Męża, który obrotu wojennego świadom,
I w wątpliwych zdarzeniach łatwo on rozstrzyże,
Jakie podać warunki w pożytecznym mirze.
Świadom, jak służy szczęście Pospolitej Rzeczy,
Wedle tego jej losy snadno zabezpieczy.
Już to baczenie się wszystkim przypatrzywszy stronom,
Każe miecze zawiesić, dać folgę ramionom,
I wykrzesywać młodzież — kształtem bojowiska
Sprawować pożyteczne rycerskie igrzyska.
Ukształtuje, rozdzieli i szykownie sprzęże
Owdzie jezdne rycerstwo, owdzie piesze mężę;
Jak Sparta, jak Rzymianie, pod nim młódź ojczysta

Ze spokojnych dni miru szczęśliwie skorzysta.
 We włócznie i koncerze, nie w puhary brzęknie,
 Głowę w hełmy, nie w kwiaty, przyozdobi pięknie.
 Bo od takiego mistrza i młodzież, i wodze
 Nigdy się nie ośmielą przyzostać na drodze;
 Świecąc własnymi czyny i cnotami duszy,
 Mistrz łącno wszystkie serca do cnoty poruszy.

Lecz nie samo Podole ma gwiazdę zaszczytną:
 Królu! szeroka Polska, i cnoty w niej kwitną.
 Rolnicy naszych wiosek, co nad biedną miedzą,
 Żadnej sławy nie pragną, o pysze nie wiedzą,
 Jak ów mąż znakomity, co mu Rzym niepłochy
 Powierzał swoje losy, wezwawszy od sochy.
 Znajdziesz, przyzwij ich k'sobie, złącz w twój orszak
 Powierz im, niech pilnują twoje pańskie progi! [drogi,
 Królestwo ci zakwitnie, i chwała cię spotka,
 Dorównasz i prześcigniesz niejednego przodka, —
 I nie tylko obecność mile ciebie wspomni,
 Lecz wieki cię poznają, uwielbią potomni;
 Każda chwila ci zejdzie zaszczytnie, korzystnie,
 W każdy dzień nowy promień z korony ci tryśnie.

Kochaj uczonych mężów, szanuj mądre dzieło,
 Jako niegdyś szanował twój pradziad Jagiełło.
 Mędracy twemu krajowi przysposobią wdzięku,
 Twa sława nieśmiertelna spoczywa w ich ręku.
 Co ty zdziałasz — zapiszą i wyświecą jaśnie,
 Żaden czyn twego życia w przyszłości nie zgaśnie.
 Znasz-li czyny Lechowe, choć pełne zaszczytów?
 Był on zakładcą państwa i wodzem Lechitów;
 Znasz czyny Krakusowe? choć słynął w zalecie,
 Niestety! już ich pamięć zamarła na świecie!
 A żyją stare Greki, masz ich przed oczyma,
 Znasz Achilla — choć Troi i śladu już niema.
 I stare króle rzymskie przypominasz snadnie,
 I głośno o nich będzie, póki świat nie padnie.
 Dobrze czynił bohater, co z rycerstwem swoim
 Idąc kraje zdobywać zwyciężkim podbojem,

Wiódł z sobą dziejopisy, dawał wieszczom wsparcie,
Ażeby jego czyny spisano na karcie.
Tym celem wielki Scypio, ilekroć się zdarza,
Brał z sobą na potyczki swego kronikarza;
Tak czynił (jeśli z nowych przykłady należą)
Mathias, co na Węgrzech panował tak świeżo.
Cóż Cezar? O Zygmuncie! on ci rzecz wyłuszczy.
Gdy był o to jedynie pomawian od tłuszczy,
Że uczonymi ludźmi tak pilno się troska,
Jako dziatwą kochaną opieka ojcowska:
— Hańba ci, — wołał senat — chlubo naszej ziemi!
Żeś otoczony jedynie ludźmi uczonemi,
Co wiodą ród z pospólstwa, spokrewnieni z gminem,
Przyszli na świat pod dymnej chałupy kominem!
Cezar na to: Tych ludzi nie otacza ciemno,
Sam Bóg dał im pierwszeństwo nad wami, nade mną,
Oni wyżsi nad wszystkich — gdy ich wielkość cenię,
Cóż mię ich dom obchodzi, lub ich urodzenie?
O zacny Rzymianie! jak twa mowa słodka!
Słuszna ci, że pochodzisz od wielkiego przodka,
Boś szlachetne miał serce, gdy szlachetne usta.
Królu nasz! często przywódcz te słowa Augusta!
Zygmuncie, tyś Augustem narzeczony niemarnie:
Niechaj cię Augustowa i cnota ogarnie,
Niech muza w tobie swego opiekuna widzi,
Wierzaj mi, ta opieka króla nie zawstydzi:
A tak idąc w małżeństwo w zachowaniu Bożem,
Będzie ptak dobrej wieszczby latał nad twem łóżem,
Muza służyć ci będzie, jako ojcu służy,
Byleście tylko oba kwitli nam najdłużej!
Berło z berłem, król z królem zespoliwszy głowy,
Uczestniczcie na tronie chwały narodowej.
Nieba! przyjmijcie modły, wysłuchajcie czule,
Któremi ziemia polska modli się za króle,
Za króle szczodroblive w swą łaskę księżęcą.
O Boże! przyjmij modły, co poddani święcą.

RYMY ŁACIŃSKIE

JANA KOCHANOWSKIEGO.

ELEGIA I.

(*Księga I. Elegia 2*).

Hoc dodoneas tibi dicere crede columbas.

W dodońskich synogarlic wierz prorocze słowa:
 Nie zawždy się i Barses poczciwo zachowa!
 Fedra, ogniem występny płomieniejąc cała,
 Na głowę Hipolita klęskę wywołała.
 O! jak się na zbrodnicze kwapiła rozkosze,
 By serce pasierbowe skłonić ku macosze!
 Czy z mężem, czy bez niego, myśl ją trawi cicha,
 I oko płomieniste od łez nie wysycha;
 Często chadza do gajów — nie Dyany pyta,
 Lecz prosi u Wenery serca Hipolita;
 Wśród dnia jej wrzące myśli zgryzota zatruwa,
 Wśród nocy na bezsennych rozmyślaniach czuwa.
 Cóż taić żar powolny, co przegryza łono?
 Tych ogniów nie zagasić, nie pokryć zasłoną;
 Raczej miluchnem słówkiem wyznaj udręczenie,
 Wszak on nie syn tygrysa, ani lwicy szczenię.
 Twoje lice tak krasne i żądz tyle łechce,
 Prostak chyba tych wdzięków posiadać nie zechce.
 Zgwałcić płonne krwie związki?! i cóż za obawa?
 Czyż i bogi w Olimpie szanują te prawa?
 Sama powiedz mu wszystko, odkryj mu swe bole,
 Nie przez zradne służebne, ani przez pacholę;
 Pacholę i służebna zniewierzyć się mogą,
 A miłość za niesławę — to kupować drogo!
 Więc od rozkosznych myśli szalona i wrząca,
 Ani mogąc pod sercem zataić gorąca,
 Modli się: Boska Wenus, pofolguj niebodze!
 Wiedź mię wedle pragnienia na ponętnej drodze!
 Rzekła, trwogą, nadzieją rzucana na dwoje,

Z drżącym sercem kołata w kochanka podwoje;
Weszła — oczy jej błędzą, chwieją się kolana,
Ujrzała Hipolita — i zbladła, jak ściana;
Usta drżą, niespokojne kołysze się łono,
I cicho wyszeptala swą prośbę szaloną.
Młodzieniec się zdumiewa z tak śmiałego ducha,
Pyta, dziwi się, mówi — lecz Fedra nie słucha,
I w gwałtownych uściskach plotąc rączki hoże,
Nic więcej oprócz kocham wymówić nie może.
Poznał pasierb występne macochy zamysły,
Zrozumiał łzy namiętne, co z oczu jej trysły:
— Jakto! — rzekł — o występna! taż cię myśl pro-
Czy cię furja ośmiela? czy ci piekło radzi? [wadzi?
O hańbo! o wyrodku! o zbrodnicza głowo!
Jam cnotliw, mnie nie skusić piekielną podmową!
Wyrwał się, uciekł prędko, — jego twardej duszy
Ani prośba nie zmiękczy, ni płacz nie poruszy.
Co czynisz, nieszczęśliwy? zgubiłeś się zgoła;
Czyż żądza zawiedziona pomsty nie zawoła?
Zaliż ciebie nie spotka hańba lub mogiła?
Wróc, klęknij, Hipolicie, gdy ci głowa miła!
Nie wrócił, dopadł konia i pośpiesznie znika,
Snadź nie wie, jako Wenus karze niewdzięcznika.
A Fedra? O! jej miłość, jej żądze i siły
We wściekłą się i w krwawą nienawiść zmieniły;
Bojaźń męża i sędziów, hańby i bezcześci,
Jeszcze bardziej zawściekla jej umysł niewieści.
A więc gubi pasierba, i skarży go o to,
Że chciał łoże ojcowe nabawić sromotą.
Wierzy łączny Tezeusz, przyjmuje potwarze,
I syna z rodowitej ziemi wygnać każe,
I jeszcze za wygnańcem tak przeklęctwo ciska:
Ojczyzmo mój! wielki władco morskiego łożyska!
Wszak jeszcze słowa bogów nikogo nie zwiody,
Wspomnij, żeś przyrzekł trzykroć wysłuchać me modły,
Oto jedno z mych życzeń: niech mój syn zbrodnicy
Dzień dzisiejszy ostatnim żywota policzy!

Neptun łącno wysłuchał modły Tezejowe,
 I wnet gotuje klęskę na młodzieńczą głowę;
 A właśnie ponad morzem, w tymże samym czasie,
 Pędził wygnany młodzian na żartkiej kolesie.
 Wtem byk straszliwych kształtów wynurzył się z morza,
 Rumaki przepłoszone pędzą na bezdroża,
 Wóz pęka, młodzian pada, konie rwą w ubocze,
 Młodzian wleczon cugłami na śmierć się gruchocze.
 Oto jak się okropnie pomściła macocha:
 Kara godna każdego, kto niewiast nie kocha.
 Barses! nie droż się wielce, bo ucierpisz srodze;
 Niech ci ta moja powieść służy ku przestrodze.

ELEGIA II.

(Księga II. Elegia 3).

Quid me tam variis torques, amor improbe, curis?

Miłości! za cóż mię udręczasz tyłu klęski?
 I tu, i owdzie pchniesz, tak silnie, tak zdradziecko?
 Gdzie moc? gdzie mężny duch? gdzie jest mój duch zwy-
 Gwoli rozkazom jej — ja korzę się, jak dziecko. [ciężki?
 I lekka głowa drży, jak z wiatrem splot pajęczy,
 Jako sitowia krzew, co fal i wiatrów słucha.
 Ja cierpię, leję łzy, ja widzę, kto mię dręczy,
 Lecz mścić się moich klęsk — nie umiem zebrać ducha.
 Mam-li w jej ucho nieść i żale, i wyrzuty,
 I mój wydatny grzech zmyć przez kłamliwe płacze?
 Śpieszcie ratunek dać, ach! otom w więzy skutu,
 Stoję za progiem drzwi i próżno w nie kołaczę?
 Nie wezmę ludzkich serc, nie przyjmę ich ofiary,
 Szalony! raczej skał o litość proszę ku mnie,
 Nie iżbym wzgardził świat, albo się lękał kary,
 Iż truję ludziom sen, wołając bezrozumnie,
 Lecz nie zna miary człęk, kiedy ku zgubie idzie,
 A żadna rada dziś mych szałów nie rozbroi.
 Ciesz się, miłości, ciesz! tryumfuj, zły Kupidzie!
 Oto już rozum mój w ruderach smutnych stoi,

Tyś cały ziemski kraj, tyś morską okuł wodę,
 Tyś ciemnych piekieł król, tyś pan w Jowisza dworze,
 Tyś biedne serce me, za moje grzechy młode,
 Zagmatwał w mocną sieć, że wyrwać się nie może.
 Pod twardą wolą twą zniszczało życie moje,
 Bez folgi jarzmo rznie i ciśnie kark żelazem;
 Niechże zapomnę mąk, niech serce uspokoję...
 Ja nienawidzę jej — dlaczegoż kocham razem?

Jakże różliczna myśl w moich się piersiach tai!
 Tu pała srogi gniew, tu miłość bije w strony,
 Skrwawione wnętrze me, rozwlekłe w dziewięć staj,
 Żarłoczne sępy dwa szarpają swemi szpony.
 Pójdę gdzie wskaże wzrok, na drogę gdzieś kolczastą, —
 Bóg żegnaj, druchy, was, doznanych w złej potrzebie!
 Pójdę, bo łatwo dom, łatwo porzucić miasto,
 Lecz nie dość chyżo biedz, by umknąć sam od siebie.
 Pójdę, bo muszę iść, pójdę w głębokie knieje,
 Pomrok dla smutnych dusz prawdziwą jest pociechą,
 Tam bujno wszelki kwiat i trawa zielenieje,
 Tam ptactwa słodki gwar rozlewa leśne echo,
 Tam psów i łowców wrzask zające trwożne płoszy,
 Tam osmolony dzik płacze się w sideał zdradzie...
 Ach! nieszczęśliwa pierś nie czuje w tem rozkoszy,
 Miłość u bladych ust milczenia pieczęć kładzie!
 Do miasta wrócę znów, — żegnaj, zielony lesie!
 Przykro mi w gajach żyć, precz wioski, precz mi zdroje!
 I miasto nudzi mię, i życie — umrzeć chce się...
 Zdradny miłości Bóg zamroczył chwile moje.

ELEGIA III.

(Księga I. Elegia 10).

Quid deploratae produco tempora vitae?

Za cóż przedłużam opłakane chwile
 I noszę bliźnę na sercu tajemną?
 Wprzód zmiękcze skały i góry przychyle,
 Niż pani serca zzali się nade mną,

Póki nadzieje łechtały me zmysły,
Szedłem, gdzie losy pchnęły mię swą siłą;
Dziś złote widma pierzchnęły, rozprysły,
Niemasz nadzieje, to i żyć niemiło.
Cóż dłużej czekać? czy stępiały miecze?
Dla biednej piersi czyż topieli niema?
Starej miłości inak nie ulecę,
Kiedy nadzieja pierzchła przed oczyma.
Lecz wiarołomna! wara lżyć me prochy!
Nie czyn im krzywdy swoim urąganiem:
Choć przez cię zginął zapaleniec płochy,
I ty okrutna śladem pójdziesz za nim.

Gdy Kallirhoe na imię Bachowe
Była zabita ofiarnym bułatem,
Ten, za którego dała biedną głowę,
Nie był jej krewnym, ni siostrą, ni bratem,
Jeno kochankiem — choć wzgardzon boleśnie,
W swoich ofiarach nie oznaczał granic;
Sroga dziewica ujrzała zawczasie
Jak wierne serce uważała za nic.
Przy trupie jego ofiara złowroga
Umiera z sercem przebitym żelazem.
Ja wcześniej umrę, lecz nie ciesz się, sroga!
Bośmy za jedno, i pomrzemy razem.
Gdy mię przeżyjesz, o biada ci, biada!
Będę cię dręczył z najmiłszą rozkoszą:
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą;
Gdy czuwać będziesz, tuż przy tobie stanie
Szkielet kościsty, otoczony w ciemno;
Będę cię wzywał przez głośnie wołanie,
I zaklnę ciebie, byś cierpiała ze mną.
Złorzeczyć będziesz, żem umarł przez ciebie,
Przeklniesz twe wdzięki, twą duszę skalaną,
Zadymisz piekłem ofiarę siarczaną,
By mego ducha przebłagać w Erebie.
Lecz zapozwana o haniebne zbrodnie,

Skłonisz twą głowę przed piekielną władzą;
Tam twoja miłość uwieńczy się godnie,
Tam wedle dzieła nagrodę podadzą.

Gdzie Danaidy, mężów morderczynię,
Bezdennej stągwi napełnić nie mogą,
Gdzie potępieniec Iksyon nie ginie
Wplecion do koła, choć cierpi tak srogo,
Gdzie Syzyf kamień ku górze podchwyta,
Co wciąż odpada z góry pochylonej,
Gdzie Tytyusza rozwlekłe jelita
Żarłoczne ptaki rwą swojemi szpony, —
Musisz w tę czarną dostać się krainę,
Pomnożyć liczbę potępieńczych cieni.
Ja, niezmazany, nurt Styksu przepłynę,
Dojdę pól świętych, gdzie żyją zbawieni,
Gdzie niema trudów, gdzie nie jęczą z płaczem,
Gdzie śpiew i taniec, gdzie w cichej ustroni
Serdeczna Safo przed czułym słuchaczem
Dźwięk miodo-płynny swojej lutnie roni.
Z czołem obwitem w wawrzynowe liście,
Tuż siedzi Orfej na lirze oparty;
Dalej Lukrecy pieje uroczyście,
Co się tak pięknie wślawił swemi karty;
Za nimi cieniów tysiące zebrane,
Których podobne i losy, i dusze:
Tutaj i dla mnie miejsce zgotowane,
Znam mą niewinność i dobrze jej tuszę.
Giń z mego serca, mądrości jałowa,
Co wierzysz w pogrzeb i ciała, i ducha!
Ja wierzę w przyszłość, bo jej święte słowa
Brzmią w ziemskim życiu, jak dobra otucha.
Ilekroć zmrokiem szmer usłyszysz rzezki,
Lubo po grobowcu przemknie się cień chyży.
Wtedy zapewne dobry duch niebieski
Święty swój polot ku ziemi przybliży,
Hamuje dufność, osładza złe losy,
Strapionych ziemi dźwiga pod Niebiosy.

ELEGIA IV.

(Księga III. Elegia 3).

Ullane mi est oritura dies tam candida . . .

Bogdaj mi jasnej chwili dozwolono,
 Gdy, krasna dziewo, przytulisz mi łono!
 Wolnoż to wróżyć i modlić się o to?
 Czy ty zostaniesz innemu pieśczętą?
 O! wprzód kamieniem zostałbym ochotnie,
 Nim ta wieść sroga w moje uszy grzmotnie!
 Niech mię los dręczy, niech w gruzy zagrzebie,
 Bylebym tylko cierpiał nie przez ciebie:
 Ta mi nadzieja w czarnej doli świeci,
 Ta kiedy zniknie, i życie uleci.
 Jeden chce złota, i złotem niesyty,
 Drugi dał prace na sławne zaszczyty,
 Temu zwycięstwa miły tryumf pusty,
 Inszy zaufał w swój dar złotousty;
 Moja nadzieja przy tobie została,
 Tyś me bogactwo, tyś mój dank i chwała.
 Miłość to męka, jej szczęście, jak we śnie,
 Choć nie ma cierpień, a czekać boleśnie.
 Kiedy się serca kochanków zażyły,
 Nic im nie znaczy Zodyak pochyły:
 Czy zachód słońca, czy zorze pobledną,
 Czy rok się kończy, dla nich wszystko jedno.
 Ty! co me losy rozstrzyga twe oko,
 Krasna dziewico, nie dręcz mię przewłoką!
 Mnie nie uszkodzi złość lub zawiść czyja,
 Gdy ty mi sprzyjasz, wnet wszystko mi sprzyja.
 Znasz moje serce, bądźże mi łaskawa,
 Nie nasza siła zgnieść miłości prawa.

Kochała czułe Zaryadra łono
 Piękną Odatę, raz we śnie przyśnioną,
 I ona k'niemu wzajemnością pała,
 Choć go jedynie w marzeniach widziała;
 Kochali siebie, choć nie widząc w oczy,

Bo miłość serca odległe jednoczy.
Oboje wzrosli pod królewską strzechą,
Ona u ojca jedyną pociechą.
Próżno jej ręki proszą obce króle,
Król dziewosłębom odmawia nieczule,
Bo gwoli duszy ojcowskiej potrzebie
Tęskno mu córę wypuścić od siebie.
Więc szuka w dworskich rycerzy natłoku
Zięcia, co mógłby żyć przy jego boku.
Ufa w jej sercu i otuchę bierze,
Bo snów jej nie zna i łez nie dostrzeże.
Kazał we dworcu złotem obić ściany,
Zgotować ucztę, dobyć roztruchany,
Sprosić swe radne i rycerstwa wiele:

Dzisiaj — rzekł — święto, mej córy wesele!
Siedli do uczty wesolej przytomni.
Gdzież oblubieniec? król o nim nie wspomni;
Królowna, płacząc dziewiczych warkoczy
Trefi swe włosy i suknie obłoczy;
A tam przy stole puhar w puhar brzęczy,
Poeci pieją swój wiersz nowożeńczy.
A kiedy uczta zawrzała wesoła,
Oblubienicy wołają do stoła.
Zadrzała dziewczka i zbladła, jak ściana,
Kiedy ojcowskim rozkazem wezwana
Weszła na pokój — i wstydem się żarzy
Na widok tylu nieznajomych twarzy,
Jako o wschodzie kraśniej z nad wody
Zaranna jutrznia, zwiastunka pogody.
Wstało rycerstwo z oznakami cześci,
Król ją przywitał; uściska i pieści,
I rzecze: Córko, na twe gody przyszli,
Uwesel serce i bądź dobrej myśli.
Patrz na tę młodzież, kwiat między rycerze;
Okiem i sercem przywitaj ich szczerze,
I nalej winem to złote naczynie:

Komu dasz puhar, mężem twym uczynię.
Wybieraj, córko!

Lecz nie chce małżonka,
Gdy Zaryadres w jej myślach się błąka.
Niedawno, kreśląc nieszczęśliwą dołę,
Wysłała k'niemu swe wierne pachole.
On wtedy walczył nad Donem ze Scyty,
Gdy był tą wieścią, jak gromem, przebity;
Więc w mgnieniu oka, jak na lotnym ptaku,
Na swoim dobrym poleciał rumaku.
Brnie przez sumioty, przez rzeki, bez drogi,
Mknie się, jak strzała, rumak wiatronogi.

Ostatnie blaski zachodu migocą,
I szary wieczór zaciemnia się nocą,
Gdy on przyleciał nad zamkowe czaty,
I szedł w nieznanne królewskie komnaty.
Tam od lamp jasno, gdyby w światłość dniową,
Poważni męże bawią się rozmową,
Na stołach czasze, a od nich migota
Lustr polerowny od srebra i złota.
Młodzież się cieszy, a tam gęśle tkliwe
Proszą Junony o śluby szczęśliwe,
A tu królewska zapłakana dziewa
Powoli wino do czaszy nalewa.
Poznał dziewicę, a serce odgadło,
Że to jest lube snów jego widziadło,
I szepnął do niej: Cóż stoisz niepewna?
Jam Zaryadres! — Spojrzała królewna:
Krasny młodzieniec, jako postać żywa
Tych drogich rysów, co we śnie widywa.
Więc mu podając czarę napełnioną,
Sama się rzuca na lubego łono.
Nim ojciec dostrzegł, nim zwarto podwoje,
Już rumak uniósł kochanków oboje.

ELEGIA V.

(Księga III. Elegia 12).

Ecquid ignotas abii diversus in oras.

Kiedy odjechać konieczność mię zmusza,
Gdym w obcej stronie, czy tęskni twa dusza?
Czy też, jak z oczu, tak z serca uchodzę,
Że ani wspomnisz o samotnym w drodze?
O! luba moja, czemu nie wiesz, czemu,
Jak tu bez ciebie ciężko sercu memu!
Jak dniem i nocą, za domem, daleko,
Im dalej, głębsze wspomnienia mię pieką!
Sen gdy mię skrzydły w utuleniu trzyma,
Wnet jakby smutna stajesz przed oczyma;
Sen tylko dla mnie! tą marą się trwożę!
Ach! dla innego rzeczywistość może!
Bo są czyhacze! bo czyliż zadrzemie,
Kto serc zdobyczą rozgłasza swe imię?
Napróżno Akryz miedzianą kuł wieżę;
Próżno ją zamek i zgraja psów strzeże;
Przemogły wszystko zakazane psoty:
Piękną Danaę przeniknął deszcz złoty.
Lecz marne złoto, marny klejnot wschodni:
Ty nie ulegniesz wiarołomstwa zbrodni!
Cierpi Helena i w pieklach sromotę,
Że dla zwodnika w obcą weszła flotę.
Jak chlubny tryumf Penelopy czystej!
Okryta blaskiem chwały wiekuistej,
Sławi się dotąd! Ulisses pod Troją, —
Zalotni żonę kuszą, niepokoją,
Každy z nich końca roboty jej czeka;
Ona pdstępem zmówiny odwleka.
Ten wzór, o luba! niech się w tobie ziści:
Nad wiarę, sławę, nie przenoś korzyści.
Korzyść to ciągnie żeglarza do zguby,
Co tonąc, głuchym wzniósł bałwanom śluby.
Gracz po zysk wyszedł; jakże mu to zganim,

Gdy nocą, milczkiem wejdzie rozpacz za nim!
 Mnie, ni sydońskie złotem tkane szaty,
 Ni z mórz indyjskich rząd pereł bogaty,
 Lecz twarz, co obcej barwy nie pożyczą,
 Lecz purpurowa wstydlivość dziewicza,
 A nadewszystko mnie twe obyczaje,
 Twoja mię szczerłość władzy twej poddaje.
 W tem jest miłości podnieta i trwałość;
 Gdzie brak tych bodźców, razi okazałość,
 A gdy niesława zada życiu plamę,
 Tej nie osłonią i brylanty same.
 Jeśli tem pismem obrazić cię mogę,
 Przebac! wszak miłość rodzi zawsze trwogę.
 Wiem, że w mem sercu wznieca ją daremnie,
 A więc obawy podchodzą tu ze mnie:
 Lęka się mąż twój, bo cię mąż twój kocha,
 O! droga moja! moja ty pieszczocha!
 Niech też wędrowiec przeziębły na Żmudzi,
 Wzajemną pamięć w sercu twem obudzi!
 Pomnij co chwila, że w tej radbym dobie
 Wrócić, że duszą tam jestem, przy tobie!

Przełożył *Szymon Konopacki*.

10 lipca 1847 r. Ławrynowce.

ELEGIA VI.

(*Księga III. Elegia 16*).

Nuntius advenio vobis, audite, quellae.

Gońcem do was przychodzę, dziewice! Słyszycie?
 Nie wiem, czy słowa moje żywo was zadrasną;
 Lecz co mówię, to prawda, klnę się na me życie,
 Jako w nocy jest ciemno, a w południe jasno.
 Oto młodzian zaszczytny, krasnego oblicza,
 Dzielny piórem i słowem, znany w naszej ziemi,
 Dudzicz, mówca u królów, nadzieja dziewicza,
 Związał się już na zawsze węzły małżeńskimi.

Jedna wzięła, co wszystkie pragnęłyście może,
Wiatr rozchwiał, jak tumany, wasze chęci skromne!
Gdzież wiara, gdzie jest stałość, gdzie są pomsty Boże
Za sterane nadzieje, klątwy wiarołomne?
Folgujcie troskom serca, w daremnej żałobie
Niech wam spokojem Wenus ukołysze głowę.
A ty, dziewico krasna, czołem, czołem tobie,
Żeś była godna posiąść serce Dudziczowe!
To serce, co bywało jak warownia mocna
Na Francuzek i Włoszech zalety figlarne,
Pozyskałaś na zawsze, dziewico północna,
Widział snadź, żeś tak jasna, jak śniegi polarne.
On dla niej wzgardził dolą bogactwa i cześci,
Bo nad cześci, nad skarby przekładał jej łono;
A ona gwoli jemu rzuca bez boleści
Uściski rodzicielskie i ziemię rodzoną.
Skądże zacz te zapaly w mężu i kobiecie?
Czyliżby prawdę starzy mawiali Grekowie,
Że ten wcale niebacznie, nierozumnie plecie,
Kto jednego człowieka całym człekiem zowie,
Bo jeno połowicę sam sobą stanowi?
Słuchajcie! Stara powieść podawa za pewno,
Że póki miłość była nieznaną człekowi,
Żył jako leśne zwierzę, jak nieczułe drewno.

Bez słodczy społecznych, ci biedni nędzarze
Przepędzali w dziczyźnie swój żywot surowy:
Na pojedynczych barkach nosili dwie twarze,
Jedną wstecz, drugą naprzód obróconą głowy;
I miewali rąk czworo ci potwory leśni,
Biegali krokiem szybszym, niż jeleń lub łani;
I byli to ogromni siłacze cielesni,
Wszechmocni w swojej woli, w chęciach wyuzdani.
I w hardej swojej pysze, jak dawne olbrzymy,
Rokosz przeciw Niebiosom podjęli hałaśnie.
Więc się radzą bogowie: Co zacz uczynimy?
Jeśli zniszczym rokoszan, toć plemię zagaśnie!
Jako więc upokorzyć zbuntowane plemię,

Nie mogła się uradzić rada jednakowa;
A wtem Jupiter, ojciec i nieba, i ziemię,
Dał słyszeć uroczysty grom swojego słowa:

Bądźcie spokojnej myśli! otuchę wam głoszę,
Bom już wynalazł środek bezpieczeństwu gwoli.
Ja i ziemię, i niebo w mojem sercu noszę,
Ziemia się nie wypleni, a niebo wyzwoli.
Harde syny Japeta k'niebu się nie zbliżą,
Moja prawica śmiałków na dwoje rozsiecze!

To rzekł i snom rozkazał, by leciały chyżo,
Rzucić twarde uśpienie na oczy człowiecze.
Te różdżkę umoczywszy w letejskim potoku,
Deszczem usypiającym kropią ludzkie czoła.
Wnet senne odrętwienie zamżyło w ich oku,
I zastygłszy w drzemaniu, polegli dokoła.
Jako gdy bujną trawę podstrzyżesz żelazem,
Trawa się jeno chybnie i w przekosy kładzie,
Tak mężowie pośpieni układli się razem,
Sen, jako mór, przebieżał po całej gromadzie.
Tymczasem Jowisz myśli wykonywa swoje:
Z Febem obchodzi sennych, i przy każdym stawa,
I mieczem każdą postać rozplata na dwoje,
Jedną głowę, dwie ręce każdemu odkrawa.
Febus idzie za ojcem po całej gromadzie,
Jak lekarz pilno staje nad każdą połową,
Na rznionych tułowiszczach swoje ręce kładzie,
I namaszcza balsamem, i ulecza zdrowo.
I oto znów do życia powróciła tłuszcza;
Jowisz wzniósł się do niebios na współbogów łono,
A kiedy ludzkie ciała twarde sen opuszczą,
Zdumieli się, ujrzawszy, jako ich zmniejszono.
Biegną, łączą się z sobą, trwożni i ciekawi,
Każdy swej połowicy najtroskliwiej szuka;
Ta żądza niespokojna dzień i noc ich trawi,
Pokaż łaskawej Wenus nie przysła nauka.
Ta wszystkie dawne serca złągodziła pięknie,
Dodała dzikiej żądzы słodycz tajemniczą;

Stąd miłość, w której dusza zdrowieje i mięknie, —
 Cóż za dziw, że miłości płci obie tak życzą?
 Człek rozkrojon na dwoje — a jakież więc dziwo,
 Że szuka swej połowy choć w miejscu dalekiem?
 I nasz Dudzicz, zaiste, winszujemy życzliwo,
 Nie jest już połowicą, ale całym człkiem.
 Znalazł drugą część siebie, przebył ostre ciernie.
 Z tej doli, jak przyjaciel, cieszę się niezmiernie.

ELEGIA VII.

(*Księga IV. Elegia 3.*)

Quae vaga curricula, o Firleu, quae reampla theatra.

Nie amfiteatr, nie wóz zapaśniczy,
 Nasze, Firleju, zadowoli oczy:
 Nam bardziej k'sercu widok tajemniczy,
 Ponętny widok natury uroczej.
 Czyż malowidło spodoba się tyle,
 Jak kwiat, ocienion na barwy tysiące?
 Czyż mocniej błyszczą kryształ, beryle,
 Nad majska różę, co błyszczy na łące?
 Pochyłe wzgórze, lub bór gęsto-liści,
 Lub błędna fala, co w ciągłej podróży
 Nie samej jedno przyjemności służy,
 Lecz niesie piękne owoce korzyści.
 Stąd człek śmiertelny pożywienie bierze,
 Gdy krzepkim pługiem rznie skibę na roli;
 Stąd miały paszę bydłęta i zwierze,
 Co wysługują człowiekowi gwoli.
 Same pustosze dzikie i nieżyzne
 Swojami skarby zadziwią najslodziej;
 Bo niech-no oracz skarczuje nowiznę,
 Na wagę złota swój pot wynagrodzi.
 Ani perłowe konchy oceanu
 Nie są tak cenne, jak te sterty zboża:
 Dań nieprzebraną niosą swemu panu,
 Jako strumienie i rzeki do morza.

Patrz na wysoką firmamentu nawę,
Jak ci się wyda za pogodną nocą,
Kiedy Hyady, Plejady złotawe
Iskrami ogniów na stropie migocą?
Tu Oryona płomieniste kreski
Straszą żeglarzów, bo tu grozi burza;
Tu ćma gwiazd inszych; firmament niebieski,
Szparko wirując, w zachód się ponurza;
Tu zodyacnych pięć dopatrzysz zorzy,
Tu błędne gwiazdy w ruchawym płomyku...
Z tych kołowrotów cały rok się tworzy,
I pasmo wieków bez końca, bez liku.
A w środku słońce żarzy się i świeci,
Na bystrych koniach pomyka się cudnie;
Z niego pogody, burze i zamieci,
Mroźliwa północ i skwarne południe.
Księżyc, co ciągle to stary, to nowy,
To w jasnej pełni, to w półnowiu bladem,
Nie bez przyczyny, ani bez wygody
Stworzon tak blizkim dla ziemi sąsiadem:
Aby, na twarzy mając przemian tyle,
Ściągnął na siebie uwagę człowieka,
By człowiek, w ziemskim zakurzony pyle,
Uczył się myśleć nad niebieską rzeczą.
Poznaj sam siebie, do dawnego Greka
Czyż to źle rzekli delficcy wróżbici?
Poznaj, Firleju, przyrodę człowieka,
A dość twój umysł zajmie się, nasyci:
Jak różne kształty natura wydaje,
W jak różną postać oblekła swe dzieci,
A każda postać ma swe obyczaje,
Cóż więc dziwnego, że w tyle stuleci
Ledwo trzech drużby dojrzano oznaków?
Bo różność serca zgody nie wytrzyma.
Gdzie różność chęci, gdzie duch niejednaków,
Tam pewno węzła przyjaznego niema.
Czytasz, Firleju, o Sfinksach, lub Scylli,

Lub o Centaurach — nie śmieję się z tej zgrai;
Ci cudowiska, choć nigdy nie żyli,
Lecz w nich nauka treściwa się tai,
Że człek hołduje dwoistej przyrodzie.
Patrzaj na ludzi, na ich twarz namiętną:
Tego gniew burzy, tego żądza bodzie,
Gdzie tu rozwaga? gdzie rozumu piętno?
W żądzy namiętnej niebaczni i dzicy,
Pamięć na siebie zatracamy w gniewie,
Jak koń szalony, zerwan z uździenicy,
Leci, ucieka, choć sam drogi nie wie,
Pędzi, czwałuje, lęka się i płoszy,
Już go nie pojmać, — i ludzka czereda,
Gdy hasa w ślepym popędzie rozkoszy,
Pewno się wstrzymać i ocuglić nie da.
Daremnie nosi człowiecze nazwisko
Ów, co hołduje popędowi chęci;
Jest to Centaur, zlepek, cudowisko,
Ciało ma ludzkie, lecz umysł bydłęci.
Czyż z tymi ludźmi w jakimkolwiek czasie
Godzi się równać wielkich mężów łona?
Czyż wszystko człowiek, co człowiekiem zda się,
Co nosi głowę, ręce i ramiona?
Nie ci są męże, co ciałem odziani,
A ducha swego zwierzęcą sromotnie;
Mąż jest — kto idzie, gdzie rozum hetmani,
Kto fałsz i prawdę rozpoznawa lotnie,
Kto z dróg występków dróg cnoty dochodzi,
I kto następność z początków obliczy,
Takiego człeka mężem zwać się godzi.
Kto się w tych rzeczach ustawicznie ćwiczy,
Narzucił jarzmo swym żądom na szyję,
U niego cnotą sprawiedliwość święta, —
Taki właściwie życiem ludzkim żyje
I na szlachetność ludzkiej krwi pamięta.
Za słońcem morzem, gdzie przestrzeń daleka,
Gdzie twarde prawa śmierci i boleści,

Gdzież jest zaciejsze zwierzę nad człowieka?
A czemuż człowiek, jak zwierz się bezczęści?!
Świat dla nas stworzon, z darami swojemi!
Zwykliśmy mówić — lecz wątpię coś dużo:
Patrz na użytek powietrza i ziemi,
Wszak to człekowi i bydłtom służą.
Gdy ród stanowi te szczeble wzajemne,
Nie bierzmy jeszcze zuchwałej otuchy:
Jesteśmy wyżsi nad zwierzęta ziemne,
Lecz wyższe od nas nadobłoczne duchy.
Gdy tworząc światów Bóg łaskawy tyle,
Chciał dać pierwszeństwo człowieczej przyrodzie,
Za cóż tygrysy, lwy i krokodyle
Stworzył na ziemi gwoli naszej szkodzie?
Przech głód nas nęka? przed zarazą drżymy?
Przech dajem śmierci daniny ofiarne?
Mijam krainy wiekuistej zimy,
I kędy słońce promienieje skwarne;
Mijam przepaści, i morza, i skały,
Wolę godziwsze, bezpieczniejsze żniwo.
Czemuż grunt ziemski ciernisty, stwardniały,
Tak się oraczom stawi uporczywo?
Człowiek, szarpany od dzikiego głodu,
Nie szczędzi siły, nie patrzy, że praca:
Rznie sochą skibę, — ileż to zawodu!
Ileż się razy trud w niwecz obraca?
To susz lipcowa nasze morgi pali,
To deszcz rozgrzezi, to wiatr je ostudzi.
Źle więc, Firleju, źle mówią zuchwali,
Że cała ziemia stworzona dla ludzi.
Powiedzmy raczej, że Ojciec, co w Niebie,
Rządząc się swoją Opatrznością Boską,
Swoje ma cele, dla samego siebie
Ulepił ziemię prawicą mistrzowską.
Ażeby wydać znakomite dzieło,
Godne swej siły, mądrości, dobroci.
Gdzież co większego nad ten cud stanęło?

Gdzie mistrz bieglejszy?
On miłem okiem po całym zakresie
Swojemu dziełu przygląda się bacznie.
U nas, gdy bogacz wielki pałac wzniesie,
Już go wspaniale przyozdabiać zacznie,
By odpowiadał znaczeniu i cześci,
Świadczył przychodniom bogactwa książęce;
Stare swe skarby w komnatach umieści,
Złoto, marmury, orężę i wieńce,
Konie i służbę, od tego dom pański
Ma swą wygodę, stąd cześć jego znamy.
Tu widzisz: bogacz, jak król afrykański,
Słonie postawił na straży u bramy,
I w swoim sercu pyszni się i cieszy,
Mniema, że będzie wiekować budowa.
Śmiejesz się z niego bo czyż nie rozśmieszysz
Taka chępliwa, nierozważna mowa?
Chyba opilcy śni się nie do rzeczy,
Że świat na jego stworzony wesele,
Kiedy sam rozum i natura przeczy,
I świat wskazuje, że wyższe ma cele.
Tak! wyższe cele: ten przestwór daleki,
To Boży Kościół, zbudowany gładko;
A my śmiertelni i przelotne wieki
Jesteśmy Pańską służebną czeladką.
Ziemia jest Bożą, i ku Bożej chwale,
Jeno z niej zażyć na pożytek dano;
Wzięliśmy od niej rozliczne metale,
Na których służby nasze wypisano:
Żelazo czarne, jako rola czarna,
Bo niem się kroi chleborodna niwa.
Miedź różnie służy, więc w rozliczne ziarna
Jak Bożę słońce jasno połyskiwa;
A srebro zasię dane człowiekowi
Wyciągać jady, dopomagać w boju.
Złoto świat rządzi i prawa stanowi,
Daje bogactwo i żywót w spokoju.

Kto bez łakomstwa, lecz jak chce przyroda,
 Szuka z tych darów właściwej korzyści,
 Swojej ojczyźnie prawych ozdób doda
 I rozkazanie Najwyższe uіści.
 Śmiałe nadzieje niech rokuje wcześniej,
 Śmierć go postawi na prawicy Bożej;
 Lecz w czyich ręku metal się zapleśni,
 Chciwiec — ojczyźnie blasku nie pomnoży!
 Jako czmiel w pszczołach, Pospolitej Rzeczy
 Będzie szkodnikiem, cały wiek przejęczy;
 A w jego trupie ropucha zaskrzeczy,
 A jego duszę furya udręczy.
 Bo nasza dusza słodko lub dotkliwie
 Na całą wieczność przetrwa w swoim bycie;
 Bo gdy Bóg żywie, sprawiedliwość żywie.
 A jednak często na ludziach widzicie,
 Że poczciw znosi dołę nieszczęśliwą,
 Że występnemu sprzyjają zamiary.
 Więc Bóg niesłuszny? — O nie! jako żywo!
 Indziej jest wieczność nagrody i kary.
 Nad żywym ciałem nie spełnią wyroku,
 Lecz kiedy ciało skazitelne złożym,
 Gdy wielka przyszłość da się widzieć oku,
 Wtedy ulegniem wielkim sądom Bożym.

PIEŚŃ ZWYCIĘSKA.

(EPINICION).

DO STEFANA BATOREGO, KRÓLA POLSKIEGO, PO ZWYCIĘSTWIE
 I ODZYSKANIU INFLANT W R. PO NAR. CHR. 1582.

Doride cum cythara et cum dulce sonantibus odis.

DWUNASTO-WIERSZ (DUODENARIUS).

I.

Weź, muzo, lirę, zgromadźmy się w chory,
 Hymn słodko-brzmiący zanuce, jak mogę!

Oto powraca wojenny Batory,
 Więc czołobitnie zastąpmy mu drogę.
 On nie był w próżnych turniejów obozie,
 Szukać szermierskiej u Frygijców chluby,
 Nie na zwycięskim zapaśniczym wozie
 Dąży do kraju i małżonki lubej;
 Ale powracać od Dunaju musi,
 Wrogów pierzechliwych złamawszy puklerze;
 Dobywszy szturmem stu grodów na Rusi,
 Wiedzie swe wojsko na oczyste leże.

II.

Ten mąż rycerski, ten zapaśnik Boży,
 I radą wesprze dzieło przedsięwzięte,
 I szczerze chrobrej prawicy dołoży.
 Starłszy kły czasu ostre i zawzięte,
 On starą chwałą olimpijską błyska;
 Znikły istmijskie gonitwy olbrzymie,
 Umarłych w Delfach Febowe igrzyska,
 Nemejskich szermów nieznane już imię.
 Trawą zarosły cyrki zapaśnicze;
 Lecz serce mężów, co na nich walczyli,
 Nie zmarło światu, — rycerskie oblicze
 Jeszcze do naszej doczekało chwili.

III.

A król mój, wielki przed innemi wodze,
 Tak jasny szatą bohaterskiej sławy,
 Że i Mars przed nim ustąpi na drodze,
 I znają męże dank jego buławy.
 Ale krom tego, jak inni rycerze,
 On nie pogardza i nauk przysługą:
 Z nich i cześć swoją, i pożytek bierze,
 One mu służą i będą na długo.
 A jakaż ludzkość w tych piersiach się chowa!
 Jaka łagodność przy takiej odwadze!

Gdybym przytoczył i czyny, i słowa,
Rzekłbyś, że chyba pochlebstwami kadzę.

IV.

Ani ten w wielkiej Homerowej odzie
Sławion Ulises omijał zasadzki
Tak przenikliwie, przy wszelkiej przygodzie,
Ani tak bacznie, jako król sarmacki.
Nie tak Ulisses baczny i ochoczy,
Bieżał od morskich potworów przejęty,
Nie tak zamykał i uszy, i oczy
Na głos Syreny i na jej przynęty,
Jako nasz Stefan, co serce zawarłszy,
Gdzie wszelka rozkosz, gdzie wczas i zabawa,
Swoją prawicę i umysł monarszy
Na twarde prace ochoczo podawa.

V.

Jak, na ojczystej będąc jeszcze niwie,
Szczerze pracował w wojowniczej szacie,
Na jakich wojnach hetmanił żarliwie
W krwawym pomiędzy królami rozbracie,
I jako z pięknych korzystał przykładów
(Bo w jego rodzie wodze i książęta,
Bo on Attyłów, bo wnuk Huniadów),
Kto inny może dokładniej spamięta.
Ktoś w późne wieki te dzieła wysłowi,
Pomnieć je będą i cudzy, i swoi,
Przeszłość, i przyszłość — kiedyś śpiewakowi
Wdzięczne wspomnienie do serca się wpoi.

VI.

Zwyciężyć zamach zawiści piekielnej,
Jest to rzecz godna Herkulowej siły;
Tobie jednakże, o Batory dzielny!
Tę wielką własność losy przysądziły.
Gdzie zamierzyłeś, wraz doszedłeś celu,

Dali ci serce Polacy z ochotą,
 Boś w twoim kraju bogatszy od wielu,
 Każdego swoją przewyższyłeś cnotą.
 Dank ci złożyła Sarmacya cała,
 Kiedy, po króla wybornego zgonie,
 Głośnym okrzykiem ciebie zawołała
 Na swój sierocy tron po Jagiellonie.

VII.

Prawa królewskie przeleliśmy na cię,
 Obiór ku twojej przechylił się szali,
 Panowie rada i naród w senacie
 Najpierwej imię twoje zawołali.
 I wszystkie ludy cnej sarmackiej ziemie
 Słowo wyborców stwierdziły zaszczytnie,
 I w pomazańców Bożych dyademie
 Rycerskie czoło promieni się, kwitnie.
 Głośno po kraju od końca do końca
 Radosne wieści powtórzyły uście,
 Żeś ty ogłoszon, jako nasz obrońca,
 Żeś panem naszym wybran po Auguście.

VIII.

Nie będą pono winić mię ziomkowie,
 Że jeno gwarzę słowa bezładnemi,
 Jeżeli k'rzeczy po krótcie wysłowię,
 Jaki naówczas był stan naszej ziemi.
 Bo twoja dzielność wyraźniejszą stanie,
 Cześć dla mądrości twojej się obudzi,
 I przyszła świetność, o chwalebny panie!
 Będzie jaśniejsza dla potomnych ludzi.
 Jakież nieszczęście nad nami wyrosło!
 Jak od niezgody umierała prawie
 Ziemia lechicka, kiedy, wzięwszy wiosło,
 Jąłeś sterniczyć na sarmackiej nawie!

IX.

W jak krótkim czasie zniszczyłeś rozruchy,
 Krzepkimi cugle osadziłeś zgrają!

Wszedłeś, jak gwiazda życzliwej otuchy,
 Co, skoro błysnie, już burza ustaje,
 Już płyn, okręcie, na morzu swobodnie!
 Gdy berło nasze z ręki Jagiellonów
 Śmierć wytrąciła, zeszli się przychodnie
 Zagarnąć spadek opuszczonych tronów;
 Z kraju Francuzów przyszło księżę zacne,
 Starowny Henryk — długo się kłopotą,
 Aby, przemogłszy umysły niełacne,
 Pozyskał na się rozdzielone wota.

X.

Siła pracował: przeciwnych niemało,
 Nie wszystkie serca szły za nim spokojnie;
 Nie wszystkie dusze zarówno łechtało
 Rzęsiste złoto, co rozsiewał hojnie;
 Nie każdy wierzył, że wypełniać zacnie
 Co przyobiecał; dosłyszałeś w kole,
 Jako niemądrze i jako niebacznie
 W ręce Francuza składać Polski dołę.
 Lecz gdzież do tyła ostry wzrok człowieczy,
 Coby w przyszłości wyczytywał snadnie?
 Lub coby, patrząc na pierwiastek rzeczy,
 Zdołał wywróżyć, co nadal przypadnie?

XI.

Bo w tylu klęskach dźwignionych na sobie,
 Co na Sarmatów cisnął los zajadły,
 Wśród niebezpieczeństw, jakowe w tej dobie
 Z Walezyuszem na Polskę przypadły,
 Żaden poeta lub wieszcz zawołany,
 Żadnaby mądrość nie zgadła głęboka
 Tego: co przyjdzie, że ów król wybrany,
 Co ledwo siedział na tronie pół roka,
 Nosi w swem sercu tajemne zamiary —
 I w ciemnej nocy, omyliwszy czaty,

Zrzecze się berła i pańskiej tyary,
I ujdzie z tronu, jak więzień z za kraty.

XII.

Jak straszna wróżba, ten rozgłos się toczy
I w całej Polski obiega przestworze, —
Srodzy mężowie, do swarów ochoczy,
Znowu do boków przypasali noże.
Lud się rozdzielił na stronnice szyki,
Czerń w rozmaite rozrywa się strony,
Nie szczędzą mieczów i groźb zapaśniki,
Nie mogąc spoić myśli poróżnionej.
Jedni chcą losy znów ważyć na szali
I nowy obiór głosi czerń zhukana,
Gdy drudzy, w słowach i czynach wytrwali,
Skłaniają serce na dawnego pana.

XIII.

Jedni chcą sejmu, bo już klęski syci,
Drudzy upornie roją swe zamiary.
Wśród tych niesnasek poczciwi Lechici
Ojcowski zwyczaj przypomnieli stary:
Złożyli wiecę — tam w rozwadze ścisłej
Jedni z Francuzem trzymają z ochotą,
Drudzy skłaniają wyborców umysły
Na dom cesarski, wślawiony swą cnotą.
Wątpliwa wszakże, czy szorstkie pokrzywy,
Czy kwiatby zeszedł na ojczyste łąny,
I jaki owoc, dobry, czy szkodliwy,
Na naszym gruncie zostały posiany?

XIV.

Siła obradnych, i młodszy, i starszy,
Za rodakami swe wota stanowi,
I radzi radę, aby tron monarszy
I dyademę przysądzić Piastowi.

Rady przeciwne — jak wichry we fladze,
 Od których żagiel rozedrzyć się gotów, —
 Aż inni wkońcu, tuszając w swej odwadze,
 Skwapliwie śpieszą do twoich namiotów.
 Nie śpią francuzcy gromadą zuchwalczą,
 Nie śpią cesarscy w tej stanowczej chwili,
 Choć się wzajemnie spierają i walczą,
 Choć się ich serce k'jednemu nie chyli.

XV.

Cesarz rozkazał — więc poszli w zawody,
 Zebrali wojska dzierzzone w zapasie...
 I cóż? Sarmaci dalecy od zgody
 Dwoistych królów obwołali dla się:
 Jedni cesarza, chlubę Austryaków,
 A drudzy ciebie, bo znając cię z młodu,
 Mogli wywróżyć z nieomylnych znaków,
 Jakaś sprawował berło Siedmiogrodu.
 Z obojej strony rozbiegły się posły,
 I obu królów ubierano w togę,
 I w miastach polskich jęki się rozniosły,
 I wszystek naród uderzył na trwogę.

XVI.

We dnie i w nocy naród niespokojny
 Drżał, wróżąc klęski na ojczystej niwie;
 Obraz domowych pożarów i wojny
 Lękliwym oczom stawił się straszliwie.
 Bo już z obu stron obozy wytknięto,
 Z obu stron wojska gromadzi się siła,
 I tu i owdzie warownie zajęto,
 Miedziana surma wojnę ogłosiła.
 Struchlał po wioskach lud wojen świadomy,
 A mało licząc na bezbronnej strzesie,
 Zabrawszy dziatwę i rzuciwszy domy,
 Uszedł, nie bacząc, gdzie noga poniesie.

XVII.

Tutaj widziano zacność wiekopomną,
 Jakiej przykładów w dziejach nie znajdziecie:
 Królu! godzieneś, by twą duszę skromną
 Jak przynależy opiewano w świecie.
 Gdy bowiem państwo, troskliwe o władzę
 I przez zazdrosnych zabiegów niemało,
 Mając ulegnąć cesarskiej powadze,
 Na jego stronę swe serce skłaniało;
 Ty, pełnym żaglem pływając wesoło,
 Twój silny rudel wstrzymałeś na chwilę,
 I sam zwolniwszy twej Fortuny koło,
 Chciałeś zaniechać jej obrotów tyle.

XVIII.

Widziała ziemia, jakieś w dobrej myśli
 Chciał cesarzowi ustępować danku!
 Gdyby on jeno szedł ku dziełu ściślejszemu,
 Nad swemi prawy czuwał bez przestanku;
 Ale, dość mając królewskich oznaków,
 Puścił beczynnem dalszych starań wodze,
 I sam nie przyszedł po berło Polaków,
 I ciebie, mężu, chciał wstrzymać na drodze.
 Cieniem królewskiej władzy i imienia
 Chciał puścić tuman w twe rycerskie oko:
 Rychło postrzegłeś, że nie w tor sumienia,
 Jedno chciał działać zdradziecką przewłoką.

XIX.

Oziębłe serce dostrzegłszy z daleka,
 Nie chciałeś czekać w niewolniczym tłumie;
 Bo pocóż łaski świadczyć dla człowieka,
 Po którym nie znać, że wdzięcznym być umie?
 Czyniłeś wszystko dla przyjaznej zgody;
 Lecz skoroś widział, że przyjaźń umknęła,
 Więc się ważywszy na wszelkie przygody,
 Jąłeś prawicę do wielkiego dzieła.

W kierunku losów puściłeś swe nawy,
 Z fortunnym wiatrem twój żagiel się śliznie,
 I załatwiwszy doma twoje sprawy,
 Poszedłeś, królu, ku nowej ojczyźnie.

XX.

Szedłszy nawiedzić święte progi Boże,
 Serdecznie westchnął do rodzinnej chaty,
 I wzrok ostatni siejąc po przestworze,
 Takeś jej mówił: O moje penaty!
 Piastunko moja, rodzicielska ziemi!
 Żyzna w swych płonach, bogata, gościnną,
 Sławna po świecie mężami wielkimi,
 Nie żal mi ciebie, o ziemi rodzinna!
 A jeśli losy życzliwe pozwolą,
 Że kiedyś stanę przy zaszczytnym kresie,
 Sława, co wtedy będzie moją dola,
 Do macierzystej ziemi się odniesie.

XXI.

Bo żądny czynów ku chwale żywota
 I marną drzemkę mający w ohydzie,
 Bystro polecę, gdzie zawezwie cnota,
 Nie patrząc trudów, co pokonać przyjdzie!
 Będę pracował i ręką, i głową,
 Bo mię wybrali cni obywatele, —
 Nie gwoli biesiad, nie na taniec zową.
 Widzę w tym kraju niesnasek tak wiele,
 Widzę rozruchy, ale się nie trwożę:
 One do czynu wołają me męstwo,
 Bo gdzie się snadniej laur zaszcześcić może,
 Jako na polu, gdzie krew a zwycięstwo?

XXII.

Jak wyrzucona kostka mojej doli!
 Błogosław, Boże, mi iść potrzeba!
 I poświęć ścieżki moim stopom gwoli!

Tak, zacny królu, wołałeś do Nieba,
To był twój pacierz. Ze słowy takimi,
Kornie klękawszy, jak syn najżyczliwszy,
Daleś całunek macierzystej ziemi;
Potem, świątynie Pańskie nawiedziwszy,
Na grzbiet rumaka poskoczyłeś rażno,
Co stojąc tętni w swe kopyta chyże,
Przeżuwa, brzęcząc swą trzęlą żelazną,
I parska w nozdrza, i uszami strzyże.

XXIII.

I poniósł pana — znał się na swej chwale,
Czuł kogo niesie, iskry miał na oku,
I piękną głowę podnosił zuchwale,
I w pełnym ognia sadił się podskoku.
Ciebie natenczas, pożądany panie,
Otoczył orszak wybrany na sejmie;
Słyszałeś zewsząd życzliwe wołanie,
A sameś wszystkich pozdrawiał uprzejmie.
Widna życzliwość na pańskiej osobie,
Słowem i wzrokiem radowała z dali.
I tak w oznakach serdecznych ku sobie
Wciążęście długą podróż odbywali.

XXIV.

Zaledwoś przebył skaliste Karpaty
I wszedłeś w pola — już gońcem po przedzie
Wieść pożądaną, że monarcha jedzie,
Po ziemi polskiej ogłosiły czaty.
I rakuszańskie nadzieje i plany
Ujrzano, jako dożyły swej straty;
Od dawna bowiem ten odgłos był znany,
Że ów zostanie panem nad Sarmaty
I w płaszcz szkarłatny będzie obleczony,
Kto pierwszy stanie na naszej granicy.
Tak mówił naród i obiedwie strony,
Tak poradzili sami przeciwnicy.

XXV.

Tyś miał przeprawy, gdzie rzeki się sączą,
 Góry i skały niedostępnych szczytów;
 Lecz je przebyłeś fortunnie i rączo,
 I pierwszyś stanął na ziemi Lechitów.
 A on, któremu przybywać tak snadnie,
 Miedzowy sąsiad i tak chciwy cześci,
 Nie przybył dotąd; któż jeszcze nie zgadnie,
 Kogo Fortuna i Niebo obwieści?
 Tak i cesarscy szeptali nad cudem,
 Bo wyrok Boży jasno był widziany;
 A ty, okolon witającym ludem,
 Wchodziłeś do nas, jak gość pożądany.

XXVI.

Gdzie polska ziemia i gdzie polskie miasta,
 Głośnem wołaniem przyjęto cię wkoło:
 Lud obwoływał, i mąż, i niewiasta,
 I rzeźwa młodzież głosiła-ć wesoło.
 Skoroś się zrównał z baszty krakowskiemi,
 Coraz się okrzyk powiększał ochoczy;
 Wszystek lud z miasta i kwiat polskiej ziemi
 Tłumnie wybieżał, by zajrzeć w tve oczy.
 Tu lekkie włócznie, tam mżą się puklerze,
 Tu błyszczą złoto, brylantów potęga,
 Tu wylatują na koniach harcerze,
 Tu piesze wojsko wije się, jak wstęga.

XXVII.

A wszystek hufy i seciny dworskie,
 Z orły, z proporce, swe rumaki toczą, —
 Owdzie poważne koło senatorskie,
 I stan rycerski, z młodzieżą ochoczą,
 I zacna szlachta, każdy pod swym znakiem,
 Na pełnych ognia dzianetach przyspiesza,
 A potem wojsko — i cała ta rzesza
 Z twoim podróżnym łączy się orszakiem.

I mąż wyborny ze starszyny koła,
 W swych senatorskich współbraci osobie,
 Wita twe przyjście, i z narodem woła,
 Dziękuje Niebu, wyrokom i tobie.

XXVIII.

I prosi Boga, by twoje przybycie
 Było dla ciebie fortunnym najdłużej,
 By Polska stała na świetności szczycie,
 Jakowej żąda i jakową wróży,
 I której wcale dobry już zadatek
 Widać w narodzie za twojemi dzieły, —
 I prosił Boga, by ci naostatek
 Oddał chwalebna stolicę Jagiełły,
 Gdzieby twa, mężu, zajaśniała głowa
 I cnota wyszła na widniejszy przedział.
 Słuchałeś mówcy, i na jego słowa
 Takeś do ludu całego powiedział:

XXIX.

Że nie dziecinna chęć k'pańskiej tyarze
 Przywiodła ciebie do Krakusa grodu;
 Żeś przyjął berło nie w inszym zamiarze,
 Jak gwoli trudom na korzyść narodu;
 Że lud tak dzielny snadź wiedział, dlaczego
 Uczynił wybór, mimo tylu osób;
 Że w tym wyborze narodu wszystkiego
 Prawicy Bożej nie dojrzeć nie sposób;
 Żeś szlachetnemu narodowi gwoli
 Gotów królować na wskazanym tronie;
 Nie śmiejąc Bożej przeciwieć się woli,
 Ochoczo głowę poddawasz koronie;

XXX.

Z dalekiej, starej siedmiogrodzkiej strony,
 Przebywszy Tatrów krzemieniste szczyty,
 Żeś przybył do nas, losom ukorzony,

Stanać na czele Rzeczypospolitej.
 — Bodajby (rzekłeś) dozwołyły Nieba,
 By nigdy Polsce płakać nie potrzeba
 Mego obioru! — Rzekłeś, dobry panie,
 I znów cię rada drużyna otoczy.
 Ty w środku innych, jak cedr na Libanie,
 Jako bohater, uderzałeś w oczy.
 Takiej postaci, takich rysów dzielnych
 Ledwo że który bywał ze śmiertelnych.

XXXI.

I takeś, mężu, przez bramy olbrzymie
 Wszedł na szlachetną stolicę Polaków;
 A lud gromadny obwołał twe imię,
 Co się radośnie odbiło o Kraków.
 Tu cię wwiedziono w królewskie podwoje,
 Tuś sobie wytchnął, i zebrawszy myśli,
 Wznowiłeś w sercu całe męstwo swoje,
 I w kole stanów złączonych najściślej
 Wzniesiono hymny Bogu poświęcone,
 I z obrzędami w uroczystej chwili
 Dyamentową i złotą koronę
 Na pomazańca Pańskiego włożyli.

XXXII.

Królewska dziewa, krew po Jagiellonie,
 Jeszcze zwiększyła radość pożądaną,
 Godna tych pochwał, co w dalekiej stronie
 Słyszałeś, królu, jak jej oddawano.
 Dana-ć w małżeństwo wolą swego ludu,
 Chcąc zaprzymierzyć z tobą związek ścisły,
 Dość położyła zabiegu i trudu,
 Aby zespolić niechętne umysły,
 Pod jedno hasło zbratać wszystkie stany,
 K'jednemu skłonić wszech rodaków łono,
 Wrócić krajowi spokój pożądaný,
 Pod jednym berłem i jedną koroną.

XXXIII.

Choć bowiem ludzi niepomierna garstka
 Za twem przybyciem obwołała ciebie,
 Wszelak i strona niechętna cesarska
 Przygotowała siły ku potrzebie.
 Wielu z rycerstwa nieugiętych w trudzie
 Nie chciało zdań swych zaniechać ochoczo;
 Każdy się spodział, że cesarscy ludzie
 Z niemalą siłą na ojczyznę wkroczą.
 Wątle nadzieje i występne żądze
 Jeszcze ich serca trzymały w otusze;
 Rozsiane wieści, sypane pieniądze
 Jeszcze do reszty zatwardzały dusze.

XXXIV.

Tę nieżyczliwość i rozbrat swawoli,
 Ten zapal czerni, te nadzieje tłumu
 Zdołałeś ująć prawo i powoli
 Mocą twojego męstwa i rozumu.
 Bo niceś pysznie, niceś zapalczywie
 Nie chciał brać przed się, lecz z ludem, jak z dzieckiem,
 Działałeś mądrze, łagodnie, życzliwie,
 Jako ów sternik, co na morzu greckiem
 Zaskoczon burzą, nie tuszył w odwadze,
 Nie łajał gromom i wichrom zuchwale,
 Ani, pływając naprzeciwko fladze,
 Na sztych swej włóczni chciał przebijać fale;

XXXV.

Lecz zwalczał burze przez umysł wytrwały:
 To zwinął skrzydła rozwieszonych żagli,
 To puścił okręt kędy fale gnały,
 To schylił maszty, to w biegu się nagli.
 I tak cudami wytrwałości swojej
 Pokonał szturmy, co biły na głowę,
 I jak zwycięzca zawinał w ostoi,
 I wrył kotwicę w odsypy portowe,

Tym samym kształtem działając, bez szkody
 Wywiodłeś Polskę, choć groźne niebiosy;
 A doczekawszy słońca i pogody,
 W bezpiecznem miejscu złożyłeś jej losy.

XXXVI.

Ufny w swe twierdze, lud niéktórej ziemi
 Słodkim twym prawom nie chciał ugiąć szyję;
 Więc, zasklepiony baszty cyklopskimi,
 Mniemał, że w murach od ciebie się skryje.
 Wiedzieli jednak, że dobrą jest straża,
 Ale bezpieczniej gnuśnić za okopy,
 I nikt z narodu, chociaż się odgraża,
 Nie wyniósł z miasta przepłoszonej stopy.
 Tak żółw leniwy, ośmielony ciszą,
 Z rogowej konchy wymknie się nieznacznie,
 Spojrzy, że ludzie nie widzą, nie słyszą,
 Wytknie pazury i przepełzać zacznie.

XXXVII.

Lecz go zniénacka ubodnij żelazem,
 Zaczmycha zwierzę, nikczemne i głupie,
 Przytuli głowę i upadnie głazem,
 Mocno skurczone w rogowej skorupie.
 Tym kształtem owi, przymknięci do ściany,
 Zrzucili miecze i wojną nie grożą.
 Królu łaskawy! znałeś rokoszany,
 Aleś zdał pomstę na prawicę Bożą.
 Nie chciałeś ludzkich cierpień i katuszy,
 Aby okazać, żeś król nie morderca,
 I obyczajem rodzicielskiej duszy
 Wszystkicheś równie przysłonił do serca:

XXXVIII.

Aby nie tylko twoi bojownicy,
 Którzy przy tobie dzień zwycięstwa święcą,
 Lecz i przeciwni, wyzuci z przyłbicy

Błogosławili łaskawość książęcą.
 Oto domowe dzieła twej prawicy!
 Teraz, o muzo! niech się pieśń zadzwoni,
 Jako rusińscy setni orężnicy
 Nie mogli dotrwać pod piorunem broni,
 I na ucieczkę rozpierzchli się w chwili
 Od króla mego bohaterskiej stali,
 I chwałę wojny jemu odstąpili,
 I ziemię swoje łącno mu oddali.

XXXIX.

Święta Pierys, co zna tamte dzieje,
 Niechże swą harfą wesprze moje cele!
 Nie będę gmatwał, po krótcie opieję,
 Bo można w krótcie wypowiedzieć wiele.
 Gdzie wielkie czyny, nic po piewczym trudzie,
 Można go opiać piosenką powszedną.
 I naród Lachów, i rusińscy ludzie,
 Jest to krew stara, słowiańska zajedno;
 Lecz insza wiara, insze obyczaje
 Z dawien pokrewne rozbratały serce,
 Z dawien sarmackie i rusińskie kraje
 W zapamiętałej walczyły rozterce.

XL.

Z obojej strony często miecze bierzem,
 Chodzim o lepszą sławy lub korzyści,
 I rzadko kiedy chwilowem przymierzem
 Usypia zmija starej nienawiści.
 Siła bezprawi, choć powód ich marny,
 Lada gniew męża uzbrajał na męża, —
 I teraz ruski gospodar polarny
 Żądną źrenicę ku Polsce wyteża;
 A widząc dobrze, że ku naszej szkodzie
 Snadno mu będzie bój odnowić stary,
 Dał swoje carskie hasło po narodzie
 I zebrał męża bitnego bez miary,

XLI.

Gdzie warownego grodu baszty sterczą,
 Oblężył Połock za litewską miedzą.
 Bogate miasto! dobrze o tem wiedzą,
 Wzięli je szturmem, śmieją się szyderczo,
 Bo chcą nam wydrzeć wszystko na północy.
 Inflancie żyzne łechtało go szczerze,
 Więc, korzystając z okazanej mocy,
 Z całym zamachem w te kraje się bierze,
 Przez piękne wioski, przez miasta książęce,
 Przez błogie pola, gdzie złoci się ziarno,
 Dąży Ruś mnoga i w skrwawionej ręce
 Niesie miecz rzezi i żagiew pożarną.

XLII.

Naszedł na miasta, zdobył niespodzianie,
 Zapisał leże swej mocnej załodze,
 I dalej wiedzie po wytkniętym planie
 Różne zastępy po rozlicznej drodze.
 Tak się przed laty na tej ziemi czyni,
 Tak się tu znęca ich nieprzyjaźń dzika,
 Tak za Augusta czynili Rusini
 I za krótkiego pobytu Henryka.
 Królu! tyś jeden wyzwolił od klęski
 Ziemię, po której wrogci plondrowali;
 W przecz im swój pałasz stawiając zwycięski,
 Rzekłeś: Tu koniec! nie pójdziecie dalej!

XLIII.

Już każdy z ludzi uwierzyć był gotów,
 Że Bóg poświęcił tve rycerskie łono;
 Z najpierwszych bowiem wojennych obrotów
 Dobrze o celu wyprawy wrócono.
 Gdy bowiem zaraz pod Wendeńskim grodem
 Stała potężna Rusinów załoga,
 Ty, więcej silny umem niż narodem,
 Z małemi hufce pokonałeś wroga.

Nie tylko wojsko, lecz w jednymże razie
 Został dwoisty tryumf osiągnięty:
 Hetmany wojska i najstarsze kniazie
 Wzięłość, skowaleś żelaznemi pęty.

.

XLV.

Wzmocniono mury, osypano wały,
 Miasto nieśpiące opasano wartą,
 W obronnych basztach nabito wystrzały
 I krzepkie bramy na głucho zaparto.
 Gotują strzelbę straszną a wspaniałą,
 Tu słychać okrzyk, a tu oręż brzęczy;
 Słowem, zebrano zasobów niemało,
 Aby wytrzymać napad obłążeńczy.
 Lecz skoroś przybył, zadrgały ich nerwy,
 Bo szturm rycerski przypuściwszy biegle,
 I mierząc strzelbę armatnią bez przerwy,
 Kamienne ściany kruszyłeś po cegle.

.

XLVII.

Sprzyjał ci dalej twój oręż wyborny,
 I los ci płużył w najpierwszej jutrzence,
 Bo w tejże chwili ważny punkt odporny,
 Warownia Suza zdała się w twe ręce.
 Pomijam inne, bo i któż policzy
 Pobrane miasta, pokonane rzesze?
 Raczej na powrot (jako serce życzy)
 Za królem moim pod Połock pośpieszę.
 Miasto wcielone do ojczyściej niwy,
 Niechaj się samo wywdzięczy, wysłowi,
 Jako je przyjął monarcha życzliwy,
 I ile danku winno jest królowi,

XLVIII.

Z monarchą moim, gdy w harce wyruszy,
 I Ruś się może postawi do miary;
 Lecz czy się zrówna wspaniałością duszy,
 Łagodnem sercem, dochowaniem wiary?
 Bo kto nie zabit w wojennej potrzebie,
 Kto uszedł cało od pożarcia miecza,
 Stefan każdego przygarnął do siebie,
 Każdemu wolność i byt zabezpiecza.

.

LI.

Szerokie rzeki, nieuhamowane,
 Musiałeś pętać mostami i promy,
 Przechodzić góry zamglone, zawiane,
 Drzeć się na opok urwiste ogromy.
 A jeszcze zimny Akwilon szturmowy,
 Mszcząc się za swoje rodaki północne,
 Wiał ostrem zimnem na sarmackie głowy
 I ziębił dreszczem tve zastępy mocne,
 I darł proporce. — Lecz strasznyż dla cnoty,
 Strasznyż dla męstwa wypadek złowrogi?
 Zwycięsko wiodłeś tve ochocze roty,
 Jak gdyby środkiem najrówniejszej drogi.

LII.

Na samo serce północnej krainy
 Rycerską stopą nastąpiłeś śmieie,
 I tam zaniósłeś tve waleczne czyny
 I twoje szczęście w bohaterskiem dziele.
 Oto albowiem na Wielizą ściany
 Silną prawicą dałeś cios poprzedni,
 Choć był po męsku broniony, trzymany;
 Dalej i Uświat, ich gród niepośledni,
 Uległ przed tobą, i w żyznej krainie
 Łuki schyliły swój terem kamienny, —

Miasto obfite, jak sycylskie Enny,
Nie mogło dotrwać szturmowej secinie.

LIII.

Tymczasem wrogi, bite naokoło,
Skoro po klęskach dokładnie poznali,
Że niebezpiecznie nastawować czoło
Na silny zamach bohaterskiej stali;
Więc układają fortelne pozory,
By zachwiać ciebie i twoje szeregi,
To przez pisania, wieści, rozhowory,
To przez obłudne posłańce i szpiegi.
Trudno cię podejść przez fortel niewieści,
Boś wychowaniec Marsa i Minerwy;
Choć dałeś ucho pisaniom i wieści,
Nie dałeś folgi działaniom bez przerwy.

.

LV.

I jako letni ptaszkanie przed mrozem,
Uszli przed tobą w pierzchliwym zapędzie;
Lecz ty, zwycięsko goniąc za obozem,
Ślad swej prawicy wycisnąłeś wszędzie.
Przed tobą Newel zniżył się wysoki
I głośno wsławił twe ramię olbrzymie;
Za Newlem Oziersk bez długiej przewłoki
Poddał swą twierdzę na królewskie imię.
I ty się zdałaś, krzepka Zawołoczy!
Ni cię warowne miejsce nie ustrzeże,
Ni wielka woda, co się wkoło toczy,
Chroniąc i miasto, i forteczne wieże.

LVI.

Już kniaź ustąpił dla naszej korony
I snadno puścił we władanie twoje
Dźwinskie nadbrzeża po obiedwie strony,
By jeno wstrzymać twe dalsze podboje.

Ruszyłeś obóz — twa drużyna hoża
 Leciała, myśląc o chwały ogromie.
 Ty w nieprzyjaciół schronienia i zboża
 Kazałeś puścić rozdmuchnione płomie.
 Północny mocarz, co trwożen się błąka,
 W Starzycy z całą zamknął się gromadą;
 Tam była jego młodziuchna małżonka
 I miłe sercu ojcowemu c z a d o.

LVII.

Ujrzał, jak płomień naokoło brodzi,
 Obaczył pożar przy samem swem gnieździe;
 Więc przerażony siadł do bystrej łodzi,
 Szukając salwy w skwapliwym odjeździe,
 I w głąb swych krain ledwo uszedł zdrowo.
 Twa dłoń nie słabnie, twe oczy nie drzemią,
 Lotem się zwracasz na odwieczne P s k o w o,
 I jąłeś w mury kołatać olbrzymio.
 Tamtejszy O s t r o w, co się z wody rzecznej
 Wynurzał, jako pływająca nawa,
 Uczuł na sobie twój cios niebezpieczny,
 Zdał się najpierwszy na zwycięskie prawa.

LVIII.

Stąd biorąc drogę do celu w pobliżu,
 Pod mur przyszedłeś okolny i twardy,
 Tameś podkopał swe gromy ze spiżu,
 Burczące miny, moździerze, petardy,
 Od których ściana pęknie i rozerwie.
 Wprawdzie nie k'myśli był szturm oblężńczy,
 Szedł ci oporem, lub ulegał przerwie,
 Ale tuszyłeś, że koniec uwieńczy.
 Żaden nie wątpił, że przed twemi szyki
 Zaraz się zniży warownia poddana,
 Kto widział dzielne twoje waleczniki
 I przeznał serce hetmańskie Stefana.

LIX.

A jeśli zamek mocno okopany
 Nie mogła dostać siła wyborowa,
 I jeśli łącno nie zdały się ściany
 I stare baszty bogatego Pskowa,
 Jednak niemały był przepłoch w narodzie,
 Ani ich mocna osłoniła cegła;
 Bo Ruś, choć twardo wmurowana w grodzie,
 Niejednokrotnej porażce uległa.
 Wreszcie, nie śmiejąc iść szablą na szablę,
 Chciała wojować fortelnemi dzieły;
 Gdyż oto w nocy ich silne korable
 Starym gościńcem rzeki podpłynęły.

LX.

Aleś przeniknął ich zamiary blisko,
 I takeś zdradę zniweczył na szczęty,
 Że jedni w wodzie mieli topielisko,
 Drudzy do brzegu przybili okręty
 I tam dostali spotkanie z mogiłą.
 Także zginęło od sarmackich mieczy
 Lądowe wojsko, co zdradą lub siłą
 Chciało się gwałtem przedrzeć ku odsieczy,
 Wyzwolić miasto od nas niespodzianie.
 Silny to zamach, lecz czyż się ostoją
 Jakie zamachy, o zwycięski panie!
 Przed szczęściem twojem i dzielnością twoją.

LXI.

Nie żaden zamach wstrzymał nas na drodze,
 Nie żadna siła, ni miecz ruskich dzieci,
 Lecz ostra zima i wzniecone srodze
 Wichry i burze, śniegi i zamieci,
 I rodak Rusi, Akwilon złowrogi,
 Odjął naszemu rycerstwu korzyście;
 Bo ścięty mrozem, ów ręce, ów nogi,

Ów życie stracił, zakrzepł wiekuiście,
 Temu zdrętwiały powieki na oku,
 Ten nos postradał, ten ucha, ten ręki,
 Tego śnieg zawiał (o straszny widoku,
 Rany, kalectwa i bolesne jęki!)

LXII.

Nie cięciem miecza rozbito nam głowy,
 Nie ostrzem grotu ciśnięto po zbroi,
 Lecz wiatr północny i mróz polusowy
 Pozbawia członków i twarze nam kroi.
 Nie bicie z armat zachwiewa i głuszy,
 Lecz wichur wściekły bije w nas z łoskotem;
 A przecież żołnierz nie upadł na duszy
 I był zwycięzcą, choć nie wiedział o tem.
 Bowiem tu w grudniu i słońca już niema,
 I widok wkoło ciemny i surowy;
 Znał nieprzyjaciel, że ta ostra zima
 Płuży mu, ciężąc nad naszemi głowy.

LXIII.

Więc ośmieleni, przez bramy otwarte
 Z całemi siły do natarcia biegną;
 Lecz nie zawiedli naszą czujną wartę,
 Ani ubiegli rycerstwa polskiego.
 Bo mury miejskie, bramy odemknięte,
 Przez które weszli do srogiej zaczepki,
 Były już naszym żołnierzem zajęte
 I czuwał przy nich posterunek krzepki.
 I tak, choć sidła postawiono zdradnie
 Na naszą gnuśność, lecz obrona łatwa:
 Żrenica bystra zasadzkę odgadnie,
 A ręka sprawców sieciami zagmatwa.

LXIV.

Starego miasta nie chcąc dać na straty,
 Wróg już zaniechał fortelić nieszczerze,

I zamiast dawać od siebie traktaty,
 Wolął już kornie prosić o przymierze.
 Prędkoż minęły, królu pełen cześci!
 Owe pogrózek nienawistnych lata:
 Ruś ci groziła, że przez lat czterdzieści
 Żadnym sojuszem z tobą się nie zbrata,
 Ani przymierza nie zechce w umyśle,
 Ani przymierza żądać nie pozwoli,
 Ni posłanników do ciebie nie przysśle,
 Aby czynili przyjaźnielstwu gwoli.

LXV.

Ale w potrzebie pycha się uchyli
 I harde serce swoją hardość złoży,
 Butna przechwałka w niefortunnej chwili
 Bolesnym wstydem czoło upokorzy.
 Pyszny się umysł napróżno wynosi,
 Lada wypadek, już kornie się kłania.
 Słońce rok jeden ubiegło na osi,
 Już wróg podaje rękę pojednania,
 Już swe zapomniał pogróżki dobitne,
 Bo się o naród i kraj boi szczerze;
 Oto przysłała posły czołobitne,
 Wyprosić łaski, uczynić przymierze.

LXVI.

Nie tylko k'tobie, bo ci niedowierza,
 Bo nadto blisko wieją twe sztandary,
 Lecz i do Ojca świętego Papieża,
 Na Rzym daleki śle swoje bojary,
 By go prosili, aby swoim wdaniem
 Zatrzymał twoje rycerskie pochopy,
 Abyś je przerwał szczerem pojednaniem
 I cofnął nazad twe zwycięskie stopy.
 A Papież, widząc, że z pokorą przyszli,
 Przyjął, uwierzył, wysłuchał w potrzebie,

Kazał wstać posłom i być dobrej myśli,
I z dobrą wieścią powracać do siebie.

LXVII.

Wybrał legata, zlecił mu staranie,
I kazał w drogę jechać bez odwłoki,
A słowem Rzymu, o sarmacki panie!
Wstrzymać na Rusi twe zwycięskie kroki.
Kornie przyjąłeś apostolskie słowo,
Dzieło u końca przerwawszy, jak sędzę;
Bo już za chwilę obleżone Pskowo
Miało-ć bram swoich otworzyć wrzeciądze,
Bo głód je nęka i znękać już musi,
I twoje wojsko ścisnęło niemało.
Po wzięciu Pskowa, zrozpaczonej Rusi
Jużby ratunku pono nie zostało, —

LXVIII.

Chyba sięść w nawę, skryć kirysem czoła
I Wołgą uciec na pustynne pole.
Ale zwycięzca, dobry syn Kościoła,
Świętego Rzymu uszanował wolę,
I spełnił rozkaz. Winni ci podziękę,
Bo nie ziem cudzych pragnęło twe łono,
Nie dla zaborów wyzwaleś na rękę,
Lecz by ci twoje ziemie powrócono.
Czyż można słuszniej bojować zwycięsko
I dać warunki w szlachetniejszej mierze?
I oto swoją na Inflanciech klęską
Hospodar ruski okupił przymierze.

LXIX.

Masz tedy, królu, w bezspornej zalecie
Twojemu wojsku powinszować śmiało,
Że tak pod bronią stojąc przez trzy lecie,
Ani się razu w szczęściu nie zachwiało.

Masz co winszować — prawym obyczajem,
 Chociaż walczyłeś za liwońskie niwy,
 Nic się nad spornym nie znęcałeś krajem;
 Lecz hetman biegły, walecznik prawdziwy,
 Na ziemię wrogów obróciłeś płomień
 I miecz na winną skierowałeś głowę,
 I tameś zyskał w północnym pogromie
 Niezaprzeczone wawrzyny bojowe.

LXX.

Czołem ci! czołem! bądź nam wysławiony!
 Równego sobie nie znajdziesz nikogo.
 O mieczu Marsów! o synu Bellony!
 Wrogów ojczystych niedaremna trwogo!
 Herkulu polski! tyś kraj znakomity
 Wyzwolił z zębów straszliwego dzika,
 Co w ciemnym borze niedostępnie skryty
 Tylko się gwoli spustoszeń wymyka.
 Pod twą maczugą uskromił już ducha,
 Już mu nie myśleć o nowej łupieży;
 Próżno się miota, i parska, i grucha,
 I szczeniasty grzbiet kolcami jeży,

LXXI.

I kły naostrza, i oko rozżarza,
 I leje pianę po rozwartym pysku,
 I smolne boki po murawie tarza, —
 Już mu nie leżeć w starem legowisku.
 Rolny ziemianin niech spokojnie orze,
 Już się doń leśny postrach nie przypyta;
 Już niezmrózone na troiste morze
 Płyną troistych wielkich rzek koryta.
 Dniepr czarnomorski, i kaspijska Wołga,
 I Don meocki niech uchylą głowę;
 Niech każda rzeka w swą stronę się czołga
 I tam rozpowie czyny Stefanowe.

LXXII.

Wieczna twa sława od grodów do grodów
 Rozlatać będzie najszerzej, najdalej,
 Twoje zwycięstwo na uścich narodów
 Na nieskończoną przyszłość się utrwali.
 Kraj szczęśliw będzie, — mścielskie ramiona
 Wždy gromić będą wroga, co się zaciął;
 Ojczyzna moja, przez ciebie pomszczona,
 Śmielej dziś zajrzy w oczy nieprzyjaciół!
 Niechaj Bóg jeno (jak się człek spodzieje)
 Da ci wiek długi — i z ojcowskiej czary
 Błogosławieństwo ojcowskie wyleje
 Na twoją głowę i twoje zamiary!

LXXIII.

Niech jeno Parka przysporzy ci wieku,
 Niech młodość z liców rycerskich nie schodzi.
 Ojczysta ziemio! ach, po takim człeku
 Czegoż się tobie spodziewać nie godzi?!
 Może się cofniesz przed szwedzkimi wrogi,
 Coby nas domą nawiedzić ochoczy?
 Lub może Scyta przez dnierzańskie progi
 Na twoje grunta choćby nogą wkroczy?!
 Pont, jak za dawna granicą nam stanie,
 Pustoszne niwy odrodzą się z chleba,
 Winna latorośl da sute zebranie,
 A mury grodów wzniosą się do nieba.

Cum Stephani impositum est nomen tibi, nempe, co-
 Omen id et magni jam fuit imperii, Ironae
 Idem vero hominum quod diceris ore Bathorreus,
 Flumina designat consilii alta tui.

*

*

*

Gdyś narzeczon S t e f a n e m, juŹ to samo imię
 Wróżyło ci koronę i państwo olbrzymie;
 Zaś B a t o r y, nazwisko twoje staroŹytne,
 Znaczy głęboką mądrość i czyny zaszczytne.

Na weselu Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana, z Gryzeldą Batorówną, córką Krzysztofa Batorego, księcia Transylwanii, synowicą króla Stefana, w roku 1583, przy lirze śpiewał Krzysztof Klabonus, muzyk królewski.

PIEŚNI LIRYCZNE.

KSIEGA JEDNA.

(Przypisana przez Jana Kochanowskiego Mikołajowi
 Firlejowi, synowi Jana Firleja, wojewody
 krakowskiego).

O D A I.

*Do Henryka Walezyusza, króla polskiego,
 bawiącego we Francyi.*

Quis casus obstat? quis Deus invidet?

Czy cię los trzyma? czy Bóg iść zabrania?
 Wielki Henryku! czy-ć droga daleka?
 Tyś od nas wybran gwoli królowania,
 Kiedyż cię Polska doczeka?

Tu słychać niewiast i pacholąt krzyki,
 Tu senat polski, tu pany i starsze,
 Tu wszystek naród, wszystkie urzędniki
 Chcą widzieć lice monarsze.

Pośpiesz się, królu! choć ci żal zapewne
 Rzucać na zawsze ojczyzną krainę,
 Rzuć pański dworzec, żegnaj tve pokrewne,
 Znieś męsko płacze siostrzyne.

Jasna korona, oprawna w klejnoty
 Tęskliwie czeka, póki król nie włoży,
 I nasze berło kunsztownej roboty
 Czeka, pomazańcze Boży!

Berło, któremu każdy po kolei
 Polak i Litwin ukorzyć się gotów,
 I cała ziemia od Hyperborei
 Aż do siedziby Meotów.

Samo twe imię, sam widok twej twarzy
 Złęknie Rusina na wojennem polu,
 I ciężkie wrogi, drapieżni Tatarzy,
 Przestaną harców w Podolu.

Zepnij rumaka srebrnemi ostrogi
 I idź hetmanić nad rycerstwem naszym;
 Ogień, jak lawę, rzuć bystro na wrogi,
 Druzgocz ich szyje pałaszem.

Bogdajbym dożył widzieć cię w tym czasie,
 Gdy po zwycięstwach na czele orszaków,
 Z wieńcem na czole, zajdziesz w kolasie,
 Jak tryumfator, na Kraków.

Gdy za rydwanem iść będą książęta
 I wodze wrogów, zakowane społem,
 Gdy godła zwycięstw i chorągiew święta
 Staną przed Pańskim kościołem;

Wtedy, ożywion przez dzieła tak piękne,
 W cześć mego króla piał będę szczęśliwie;
 Lepiej niż Orfej, niż Linus zabrząknę,
 Skały i lasy ożywię.

O D A II.

Na bogi fałszywe.

Aetas prisca virum divitias Jovem...

Jowisz trzymał pierwszeństwo w starożytnej wierze,
 Apollinowi w pieśniach hołd dawano święty,

Za wdzięki, za lubieżne rozkoszy ponęty
 Dziękowano zalotnej bogini Wenerze.
 Mądre i stałe serce był to dar Pallady,
 Mars dowodził na wojnach i hartował łono,
 Neptuna czcili bogiem żeglarskie gromady,
 W burzach morskich z nadzieją do gwiazd się modlono.
 Dzisiaj ta cześć ustała, — poszły już w otchłanie,
 Zatarły się od czasu stare bogi Greków;
 My znamy Cię w twej prawdzie, Nieśmiertelny Panie,
 Bez początku i końca od wieków do wieków!
 Nie jelitami bydła, lecz czystym pacierzem
 I sercem Ciebie chwalim, o Panie nad pany!
 Ty od nas samą skruchą bywasz przejednany,
 Przez Ciebie zło mijamy, a pomyślność bierzem.

O D A III.

Na zjazd stężycki.

Qua vorticosus Vistuleis Veper Miscetur undis . . .

Gdzie się Wieprza kręte fale wiodą,
 Płynąc w Wisłę, gdzie wygnańca strzecha,
 Poderwana i podmyta wodą,
 Sterczy stara siedziba Sieciecha,

Tam oszukan lud polskiej krainy
 Przez ucieczkę Walezego zdradną,
 Na płaszczyźnie szerokiej równiny
 Zbiegł się wszystkim na wiecę obradną;

Jako trzoda, której pasterz zginie,
 Nie chce przyjąć ni wody, ni paszy,
 Chodzi błędna po trawnej równinie,
 Noc ją trwoży, wilk i niedźwiedź straszny.

Czyż zostaniem bez nadziei zgoła,
 Że król przyjdzie, że nas zabezpieczy?
 Kraj go wzywa, obywatel woła
 I nieszczęścia Pospolitej Rzeczy.

Czyż pozwolisz, wielki Boże, na to,
By król Franków przybył k'nam na nowo
I panował nad mężnym Sarmatą
Z uwieńczoną wawrzynami głową?

Lecz mu pono w dwoistej koronie
Trudno rządzić wśród tylu odmetów,
Trudno siedzieć na dwoistym tronie
I sprawować rudel dwóch okrętów.

Gdy więc Niebo taki los przyniosło,
Niech się Polsce do praw wrócić godzi,
I rzucone przez Henryka wiosło
Dać innemu, by kierował z łodzi!

Lecz Polacy! gdy wieca zebrana,
Radźcież dobrze, do obrad zasiadłszy!
Tego sobie wybierzcie na pana,
Kto poczciwszy, nie zaś kto bogatszy.

I co trzykroć i czterokroć mówię:
Niech was kłótnie nie zawodzą płóche;
Zniźcie rogi na wyniosłej głowie,
Butny unysł pohamujcie trochę.

Bo gdy zaden ulegać nie zechce,
Rzecz publiczna już będzie zatruta;
Na cóż wolność rzekoma nas łechce?
Na co zda się układać statuta?

Można śmiać się, gdy postronny straszy,
Lecz pogrózek nie ważcie za mało;
Jeśli trzeba, przypaszcie pałaszy
I działajcie, jak mężom przystało.

Nie przystało na swobodnych męży
Dawać w jarzmo rycerskie ramiona
Wprzód jeszcze, nim nas wróg zwycięży,
Nim nas dola na bitwie pokona.

O D A IV.

Do zguby.

Diva, quae caetus hominum et calentes temperas iras...

Bóstwo, zesłane z niebieskich podwojów
Łagodzić gniewy i bratnić sojusze,
I z dzikiej żądy do pomsty i bojów
Oczyszczają dusze!

Nie niemasz nad cię! Niebo cię przywiodło,
By siać pociechę pomiędzy ludami.
Święta jedności! tyś niebieskie godło,
Że Pan Bóg z nami!

Wiara i miłość wokoło twej głowy
Na jasno-śnieżnych skrzydłach lot swój ściele;
Pokój twe, dziecię, krzyż dyamentowy
Kładzie na czele.

Ojciec za synem modli się w Niebiosa,
Bo kędy pokój, bezpieczniejsze dziecię;
Ty żywisz ludzkość, jak majowa rosa
Ożywia kwiecie.

Tyś ludzi z lasów wywiodła łaskawa,
Rzuciłaś pierwsze fundamenta grodów,
Tyś nakłoniła pod wędzidło prawa
Karki narodów.

Od ciebie kwitnie i Rzeczpospolita,
Jako od słońca pagórki i niwy;
Przez ciebie męstwo, chociaż zębem zgrzyta
Wróg zazdrościwy.

Bo gdyśmy z tobą, nie nas nie dosięże;
Gdyśmy bez ciebie, wpada śmierci zaród,
I samobójczo własnymi oręże
Niszczy się naród.

O święte Bóstwo! nie uskąp twej łaski,
Weź pod twe oko starej Polski dole,

Hamuj narodu ślepego niesnaski,
Hamuj swawole!

Niech bratni oręż nie bije na braci,
Lecz łbów tatarskich pogruchota czaszki;
Niechaj nam Turczyn swoją krwią zapłaci
Dawne porażki!

O D A V.

Do Mikołaja Firleja, wojewodzica krakowskiego.

Firleu! jam rapido Sol calet Leo.

Firleju! już słońce ogniste, lipcowe,
Gorącym płomieniem naciska nam głowę,
A szparkich i bystrych wód fale
Zmęczyły się, płyną w upale.

I cicho, i głucho, i pola, i knieje
Staneły jak martwe, wiatr po nich nie wieje,
Zaledwo gdzieś w cieniu na rosie
Strzekocą koniki w przekosie.

Gdzie jawor szeroko rozwiesił swe cienie,
Tam znajdziem zielone i chłodne schronienie,
Nie będziem się troszczyć skwarami,
Gdy dach gęstoliści nad nami.

Namaścim czupryny ku większej ozdobie,
I w chłodku na trawie położym się sobie,
Przy różach szkarłatnych, dojrzałych,
Przy liliach wonnych i białych.

Pachołcy! hej wina! niepróżno wam gwarzę:
Odbijcie gwóźdź stary w smolonym ankarze
I lejcie do szklanic, do czarek,
Dymiący niebieski nektarek,

Gdy krąży po rękach szklanica dostojna,
Nie będziem się troskać, czy pokój, czy wojna,

Niezgoda, czy zgoda w narodzie,
Niewiele nas tedy ubodzie.

Któż wtedy się zmarszczy? kto tanka nie utnie?

Kto wtedy odrzuci piosenki i lutnie?

Kto zręczność wyborań ominie

Zaśpiewać o lubej dziewczynie?

Bodajby dzień cały upłynął nam żywo,

I smutek przepędził, i myśl frasobliwą,

A jutro na bój się powleczem,

Z pawężą, pancierzem i mieczem.

O D A VI.

Na zjazd warszawski.

Musarum et Clarii cultor Apollinis.

Jam kapłan muzy, i nic mię nie troska,
Czy cesarz zajmie stolice książęce,
Czyli Opatrzność niezmrużona Boska
Da nasze berło w Batorowe ręce.
Lecz proszę Boga, niech króla stanowi,
A sam niech trzyma ponad Polską strażę,
I niechaj z Nieba nowemu królowi
Naszą szczęśliwość surowo przykaże.
Niech król zagoi nasze stare blizny,
Niechaj zwaśnione serca ukołyszę,
Niechaj powróci zgodę do ojczyzny
I w nowe prawo swój naród opisze.
Niechaj sarmackie ludy przyzwyczai,
By starą karność miały przed oczyma;
Niechaj swobodę wyuzdanej zgrai
Silną prawicą na wędzidle trzyma.
Niechaj na zbytki potężnie uderzy,
A wszystkim naród, za przykładem pana,
Niech się nie wstydy oszczędnej wieczerzy,
I wełnianego na odzież kaftana,

Niechaj przekupstwa bezecnego narów
 Wyniszczy z kraju troskliwym doglądem,
 Niechaj przestrzega, by worek talarów
 Miasto patrona nie stawał przed sądem.
 Błogo nam będzie od takiego tronu,
 Pękną łańcuchy naszych gnuśnych oków,
 I cnota wyjdzie ze swego uchronu,
 Jak ranne słońce z za chmurnych obłoków.
 Młodzież troskliwa, aby wyjść na męży,
 Wystąpi w pole w całej męstwa krasie!
 Całego serca, całych sił wyteży,
 By w tryumfalnej zajaśnieć kolasie.
 Pieśni i liry, grając na przemianę,
 Wysławiać będą starym obyczajem
 Łupy zwycięskie, konie krwią zbryzgane,
 Mężów, co zgniotą Turka nad Dunajem.

O D A VII.

Dō Licyi.

Dum Fortuna tibi prosperior . . .

Kiedy szczęście za tobą, gdy ci młodość służy,
 Nie trudno ci wyszukać miłości przedmiotów;
 Póki na licu kraska lilii i róży,
 Wtedy i Demochares uwielbiać cię gotów.
 Na mnie-s ani patrzała, ufna w twą urodę,
 Chociam długo i tęsknie kołatał w twe progi
 I w ciepłym twojem sercu prosił o gospodę, —
 Pogardziłaś mą prośbą. Dziś gdy los złowrogi,
 Przysłał lata i zmarszczki — w tej nieszczęsnej dobie
 Demochares cię rzucił — czuję nad twą klęską;
 Lecz daremnie mnie znęcaś i przyzywasz k'sobie,
 Nie głupim zjadać kości, gdy inny miał mięsko.

O D A VIII.

Do Jędrzeja Patrycego.

Que Siren adeo blanda canorve ita Dulcis.

Czy głos Syreny zwodniczy
 Tak słodko złęchtał twe nerwy,
 Że cię zwiódł z drogi, Patrycy,
 Gdyś szedł w świątynię Minerwy?
 Chcesz rzucić książki pod ławy,
 Ukryć Spenzypa w zaciszy
 I Platonowe rozprawy
 Oddać na pastwę dla myszy?
 Chcesz już zamieszkać pałace,
 W Fortuny wpisać się bractwo,
 I twoje lata i prace
 Puścić na marne dworactwo?
 Może aż wtedy ci Nieba
 Dadzą bogactwo w ogromie,
 Gdy jedno będzie potrzeba
 Grosza przy śmierci na promie.
 Daj pokój zamkom na lodzie,
 Powróć do wczasu na nowo;
 Dowolen swoim, w wygodzie,
 Żyj nam szczęśliwo i zdrowo.

O D A IX.

Do wsi Promnik.

O villa, celsis aemula turribus.

Wiejski domu ukochany!
 Godzieneś stanać, jak myślę,
 W równi z kamiennemi ściany,
 Co wywiódł Krakus przy Wiśle.

Maciejowskiego prawica
 Była początkiem tej wioski;
 Dziś nowy pan cię zaszczyca,
 Chłuba senatu, Myszkowski.

Witaj do pracy uchronie!
 Gdzie chwile spokojem płyną,
 Gdzie żyjąc, rzeźwij nam w łonie,
 Witaj Pieryd gościno!

Tu wody czysto się sączą,
 Tu Flora kwieciem bogata,
 Tu wietrzyk, szybując rączo,
 Ochładza upały lata!

Niech tu szczęście wszystkim płuży,
 A zacna dziedzica głowa
 Niech się tu, żyjąc najdłużej,
 Czerstwej siwizny dochowa!

O D A X.

O zdobyciu Połocka.

Solens canendi, Melpomene, deum Propago . . .

Owego boga, Melpomeno, pieję,
 Który panuje lutni ucieszonej
 I wielkich mężów znakomite dzieje
 Uwiecznia cudnemi tony.

Z lirą słoniową, wieńcami przybrana,
 Z kastalską pieśnią wyjdź, jako się godzi,
 Spotkać rycerstwo i chwałobrego pana,
 Co z pod Połocka przychodzi.

Bo tego króla na szczęśliwe lata
 Dały nam Nieba łaskawe bez miary,
 By po dawnemu był sławien Sarmata
 I swe odzyskał sztandary.

Nie z taką myślą odpierał napaści,
 Że się wczasować będzie w dyademie,
 I assyryjskim balsamem namaści,
 I na wezgłowie zadrzemie.

Lub że pijając nektar z winogronu,
 Co gdzieś w zamorskim urodził się świecie,
 Będzie oparty na poręczy tronu
 Zbytkował w ciągłym bankiecie.

Nad wszelką rozkosz, nad powab nietrwały,
 Nad marny połysk klejnotów i złota,
 On waży chwałę, pragnie nabyć chwały,
 Choćby okupem żywota.

I wróg to zaznał, gdy weń wieść uderza,
 Że z bohaterem na Połock idziemy;
 A więc na pierwszy chrzest jego puklerza
 Uszedł, rzuciwszy teremy.

Ich bojownicy chronią się jak mogą,
 Gdzieby prawica nie dościgła nasza,
 I biegli, spiąwszy rumaki ostrogą,
 Do zimnych stref Boreasza:

Jak wilk straszliwy, pustoszyiciel knieje,
 Szarpiąc bezbronne nieszczęśliwe zwierzę,
 Opuści głowę i cały struchleje,
 Gdy lwa opodal postrzeże. —

I chociaż głodny, lecz zdobycz zostawia,
 Ucieka w lasy, łupów nie przywłaszcza,
 Bo się niepłonnie trwoży i obawia.
 Bo zna, jak straszna lwia paszcza.

Gdziekolwiek król nasz skierował swe oko,
 Gdzie swego wojska uszykował czoło,
 Wszędzie widziałeś, ogień biegł szeroko,
 Cuda żelaza — wokoło.

Gdy bystra powódź rwie rzeczne koryta,
 Popłynie zboże na plennym zagonie,
 Nadbrzeżna olcha upadnie podmyta
 I chaty odmęt pochłonie.

Pasterz, na wzgórku pasący swe trzody,
 Jeno się zdumi, skąd ta woda plucha,
 Jeno policza te klęski i szkody,
 I z dziwem bicia fal słucha.

Lecz pod Połockiem, jak pęd huragana,
 Wstrzymał się sztandar bojujący śmiało;
 Bo mocna twierdza, krzepko szańcowana,
 Trudów spożyła niemało.

Deszcz nieustanny ulewnie się sący,
 Wkoło czarnoziem rozgrzęznął szkaradnie:
 Stąd obleżeńcy mieli port ochrońcy,
 K'nam szły posiłki niesnadnie.

Ani gdzie w polu rozłożyć ognisko,
 Ni rozbić namiot, gdy pluchota leje;
 Ni wojsk lub armat wieść na trzęsawisko,
 Co się ugina i chwieje.

Wojenne trąby, grając bez ustanku,
 Próżno dawały do natarcia hasło;
 Płomienne race nie czyniły szwanku,
 Na deszczach ognisko zgasło.

Lecz dzień zabłysnął w purpurowej krasie,
 Kiedy się srogie uciszyły deszcze;
 Ujrzały wrogi i przeczuli dla się
 Przyszłości wróżby złowieszcze.

Kula, co przedtem chybiała swej mety,
 Dziś w dzień pogodny lepszy polot bierze,
 I brzmienne ogniem mordercze rakiety
 Już palą dachy i wieże.

Radosny okrzyk odezwał się czerstwo,
 W szańcach, w obozie, w jedno zlał się słowo,
 I spracowane, znękane rycerstwo,
 Żyje otuchą na nowo.

Tutaj, Pierys, rozplómieniaj lice,
 Tutaj zaśpiewaj i rozpowiedz o tem:
 Jak mury, dachy i twarde wieżyce
 Płomień pożerał z łoskotem,

Jak natarczywie w krzepkie bramy parto,
 Jako żołnierstwo na mury się wciska;
 Opiej tę walkę wśród nocy zazartą,
 Marsowy plac bojowiska.

Powiedz, jak kule armatnie u góry,
 By łoskot gromu, na powietrzu drgały;
 Powiedz, jak twardo skamieniałe mury,
 Bite z wystrzałów — pękały.

Rozpowiedz, muzo, natchnionemi tony,
 Jak stary Połock, po długim zaborze,
 Moskwie odbity, Polsce przywrócony
 Przez króla i sądy Boże.

Króla naszego, co w pokoju kwitnie,
 A w wojnie przeszedł wszystkie bohaterę,
 Piejmy szeroko, wdzięcznie i dobitnie,
 Tonami piersi i liry.

EPITALAMION

NA WESELE JANA ZAMOJSKIEGO I GRYZELDY BATORÓWNY.

Strophe I.

Si tibi, o praeses duelli
 Mars lua, est coteli Dione...

O Marsie wojenny! jeżeliś był gotów
 Z serdeczną Dyoną zabawić się w parze,
 Jeżeli, strudzony miotaniem swych grotów,
 Niekiedy dasz ucho aońskiej cytarze,
 Gdy-ć wonny kwiecisty spodoba się wianek,
 Gdy lubisz wypocząć pod cieńmi gęstemi,

Pozwól niech Zamojski, twój wierny kochanek,
 Co walczył tak długo na cudzej gdzieś ziemi,
 Co bronił ojczyzny od ciosów niechęci,
 Po długich niewczasach i ciężkiej fatydze, —

Antistrophe I.

Ten dzień uroczysty radości poświęci!
 Już wrogi moc jego poznały, jak widzę,
 Ich tłuszcza już z nami bojować nie rada:
 Szyszaki i zbroje rzucili na stronę,
 Jako rdza, zgryzota ich serca przejada,
 Ich groźby niestraszne, ich grotty stępione,
 Schylili, ugięli swe rogi bojowe.
 O wielki Zamojski! ty z silnym przełomem
 Trzy lata-ś hetmanił i pocił swą głowę,
 Trzy lata-ś ich nękał prawicą, jak gromem.

Epodos I.

Przebyłeś nawałność i grzmoty,
 Więc dzisiaj, gdyś stanął u celu,
 Zaniechaj niespokój, kłopoty,
 Daj serce orzeźwić weselu!
 Rozjaśnij myśl piękną twej głowy,
 Byś szczerzej i pełniej w tej dobie
 Przyjmował te dary Jehowy,
 Co dzisiaj spłynęły ku tobie.
 Ach, oto dziewica, uroczą królewna!
 Księżniczka z rodziców, królewska pokrewna
 Z Batorych wysokiej rodziny,

Strophe II.

Przybywa zachwycić urokiem dziewiczym,
 Weselić twe serce przybywa do ciebie,
 Księżniczka dostojna i krasna obliczem,
 Podobna porannej jutrzence na niebie.
 Gdy taka jutrzenska zaświta bez skazy,
 Dzień jasny, bezchmurny dla ziemi wywróży.

O szczęśliw Zamojski, o szczęśliw trzy razy!
 Nowemi pociechy twa doła ci płuży,
 Łaskawe Niebiosa szczęściły ci hojnie,
 Wśród ojców ojczyzny cześć twoja zaświeca.

Antistrophe II.

Czy radzisz w pokoju, czy walczysz na wojnie,
 Ty działasz, jak dzielna królewska prawica!
 Tyś piorun, gdy wrogom trzesz kości,
 Gracye kochają cię hoże,
 Ktoś szczęściu twojemu zazdrości,
 Lecz prac twych i trudów nie zmoże.
 Tyś wytknął od razu gościniec swój ścisły,
 Gościniec ciernisty, — nie zrażasz się przecię,
 Nie chwiejesz się w biegu, jak niskie umysły,
 Co idą mniej pięknym zawodem na świecie.

Epodos II.

Ty czuwasz nad krajem widocznie,
 Czy siadłszy na ławie gdzie radni,
 Czy wzięwszy przyłbicę i włócznię,
 Odpierać najazdy wypadnie.
 Czy z blizka, czy patrzysz z daleka,
 Ty codzien zaskarbiasz dank świeży;
 Twa cnota nagrody swej czeka,
 Nagrody, co mężom należy.
 I u nas, o muzu! niech pierś się rozszerza,
 Wynijdźmy na drogę spotykać rycerza
 I pieśnią godową powitać.

Strophe III.

Niech dźwięczna kamena słuch jego zasili,
 Pieśniami ogrzejmy te piersi ogniste.
 Co widzę? czy moja źrenica się myli?
 Nie zwodzi źrenica, postrzegam zaiste,
 Jak zorza zachodzi wieczorna, różowa!
 Lecz w gronie dziewiczem skąd słyższę wzdychanie?

Dlaczego się lękasz, dziewico godowa?
 Bądź śmiałą od wrogów przy swoim bogdanie!
 On ciebie osłoni ramieniem, jak tarczą,
 Nie na dzień, nie na rok sądzony ci gwoli;

Antistrophe III.

Lecz póki godziny żywota wystarczą,
 On wieczny i wierny towarzysz twej doli.
 Twojego rodzica ucieszą się oczy,
 Gdy z czasem przytuli do piersi swych wnuka,
 I dziatwa kochana kołem was otoczy,
 Do serca waszego o miłość zapuka.
 Jak winna latorośl, co bujnie, groniasto
 Przy chacie rolniczej wije się u strzechy,
 Ty wydasz owoce, dostojna niewiasto!
 Dopełnisz niepłonnej małżonka pociechy.

Epodos III.

Ojczyźnie urosną z nich służby!
 O! takie ci wróżę koleje!
 Choć zda się uciekasz od wróżby
 I lice twe wstydem kraśniej.
 Nie płoń się, bo temi myślami
 Małżonek się pieści z rozkoszą.
 O! ileż to głosów za wami!
 O! może wam szczęście wyproszą!
 Więc żyjcie szczęśliwie i dojdźcie do celu!
 Cna paro, poczynaj swe życie w weselu,
 I Bóg ci błogosław na długo!

Przy lirze śpiewał Krzysztof Klabonus, muzyk królewski.

DO JĘDRZEJA PATRYCEGO.

Dum saepe me gementem
 Et improbi nocentes.

Słyszac, jak często kwile,
 Widzac, że cierpie tyle

Od strzałek Kupidyna,
Łaskawa Afrodyte,
Za serce me przebite,
Pacholę upomina:
Przez w tak drobniuchnem ciele
Dzikiej srogości wiele?
Dlaczego złe ma serce?
Czemu nieczuły, płochy?
Czemu kochanków szloch
I łzy ma w poniewierce?
Czemu nie wspomni szczerze,
Że z bogów ród swój bierze,
Że dziecko Jowiszowe?
A Jowisz tak łagodny!
Dlaczegoż syn wyrodny
Srogości ma tak wiele
I nie chce wzorem bogów
Złagodzić swych nałogów?
Nie zważa figlarz mały,
Choć łają go surowie;
U niego ani w głowie
Przestrogi i morały.
Siadł i na twardym gładzie
Grot ostrzy w swem żelazie,
I niby żartem celi,
I niby patrzy skromnie,
Lecz zerka oczkiem do mnie
I grozi, że przestrzeli.
Wenus się gniewem zżyma,
Że z chłopcem rady niema;
Więc chwyta złe pacholę,
I łamiąc skrzydł oboje,
Daje go w ręce moje,
Bym pomścił się, jak wolę;
A sama, z dzieła rada,
W rydwan powietrzny siada,
Który łabędzie wleką;

Tych skrzydła rozciągnięte
W Cypru lubego stronę
Uniosły ją daleko.

A jeniec został u mnie;
Ja tryumfuję dumnie,
Lecz nie wiem, co z nim pocznę:
On ranił moją duszę,
A więc się pomścić muszę
Za krzywdy tak widoczne;
A pomścić się surowo
Dałem szlacheckie słowo.
On kwili, klnie się, płacze,
Wszystko to nadaremnie:
Nie miękczą serca we mnie
Zakłęcia i rozpacze.
Wokoło mojej szyje
Pieszczotnie rączki wije,
I patrzy w oczy słodko,
Ustka krasne, jak wiśnie,
Do moich liców ciśnie...
Ach! taką on pieszczotką
Nie tylko gniewy ludzi,
Lecz gniewy burz ostudzi,
Wichry uciszy rączy;
Całunkiem i oczyma
Piorun lejący wstrzyma,
Jowisza w siatkę wplącze!

A ja, co głupio marzę,
Że więźnia mego skarzę,
Zawiodłem się; gdyż oto,
Całując, niewidomie
Wdmuchnął mi w serce płomień
I został mym despotą.

FRANCUZOWI KRAKAJĄCEMU.

(GALLO CROCITANTI).

Et tamen hanc poteris mecum requiescere nocte . . .

A mógłbyś teraz w nocy spocząć wyśmienicie,
 Na wątpliwe ciemności nie narażać życie.
 Patrz i żałuj, że byłeś do ucieczki skory:
 Czy to ziemia, gdzie grają Sycylskie Nieszpory?
 To jest Polska uprzejma, wdzięczna dla przychodni . . .

. Uciekłeś zdradnie,
 Jako trzoda od lasu, gdzie owad napadnie.
 POCO BYŁO UCIEKAĆ? niech mi każdy powie?

Skarżycie się na zimno — jakto! wy? Gallowie?
 Wasz się naród na zimę polusową żali,
 Których ojce gdzieś w mroźnej północy mieszkali,
 I którzyście niedawno roili zamiary
 Iść z orężem na Moskwę, pognębiać Tatary,
 Przebyć góry Rytejskie, i miotając groty,
 Nad morzem lodowatym rozbić swe namioty!

Wszak nimbyś dostał Rusi podbojami swemi,
 Nimbyś utkwiał swój sztandar na scytyjskiej ziemi,
 Przebywałbyś jeziora i rzeki niespławne,
 Góry z lodu i śniegu, pola nieuprawne.

Krom Moskwy i Tatarów, chłody cię ogarną,
 Musiałbyś walczyć z zimnem pod gwiazdą polarną,
 I z silnym Boreaszem.

Dzisiaj marzniesz doma,
 Skostniałemi podniecasz ognisko rękoma,
 A gdy wojna powoła — wiadoma twa droga,
 Cóż uczynisz? ucieczesz, zostawiwszy wroga.
 O prawdziwe kurczęta, prawdziwi Gallowie!
 Dobrze was określiło Meotów przysłowie.
 Słuszna dla was, że ciepłej krainy szukacie,
 Śpieszcie się do komina, co w ojczystej chacie,
 Śpieszcie tam, gdzie przy fletach i tympanach tańczą,
 Śpieszcie oddać Cybeli ofiarę rzezańczą,

A kraj Polski nie dla was, bō tu żyją męże,
Których zima nie zmrozi, wichur nie dosięże.

Nie wam iść, o Francuzy, przywykłe do ciepła!
Tam, gdzie lodem wieczystym krainą zakrzepła.
Zamiast zwiedzać krainy zimnego narodu,
Zakamienieć jak Niobe, skostnieć bryłą lodu,
Jedź w uprzejmą gościnę w nasz kraj ukochany,
Zagrzać członki, co zmarzły, pomiędzy Słowiany.
Nie gorsz się, że tu w chatach piec ognisko nieci,
Maciora śpi z prosięty, kobieta wśród dzieci,
Że się ciołek hoduje w tej izbie, gdzie goście,
Lub że kokosz z piskłęty kwoka na pomoście;
Nie gniewaj się, że radę przezorną czynimy,
By uniknąć srogości natarczywej zimy.

O co obwiniasz Polskę w gronie swych słuchaczy,
I sam, chytry Francuzie, działasz nie inaczej;
Sam znasz swojego kraju błędy i zakale,
Sam znasz te kruki czarne, a łabędzie białe;
Lecz potwarzasz Sarmatów, boś w pilnej potrzebie
Znaleźć gdziekolwiek naród, podobien do siebie.
Lecz pierwej wiele wiosen i stuleci minie,
Wiele wody tybrowej do morza upłynie,
Nim będziem wam podobni przed obliczem świata,
Nim obyczajem Gallów shańbi się Sarmata.

Długoby opowiadać, jako i w tej chwili
Francuzi dziwowiskiem ziemię uraczyli, —
Nasz wiersz musi pośpieszać, a dzieje tej tłuszczy
Niechaj późna potomność spamięta, wyłuszczy,
Ja śpieszę dognać Galla, co nas zwiódł boleśnie.

Podchmieleni, za stołem drzemaliśmy we śnie,
Drzemaliśmy bezpieczni; bo któżby się spodział,
Że, korzystając z mroku, co ziemię przyodziął,
Cała czereda Gallów ujdzie tejże chwili,
Naszą czujność zawiedzie i straże ómyli?

Sam znasz, jak u Sarmatów gościnność jest święta,
Wiesz, jak wasza czereda była tu przyjęta,
Sam słyszałeś oklaski szczere, nieudane,

Widziałeś w miastach uczy, wam gwoli dawane,
 Nie wstydzileś się patrzeć, nie sztydziłeś chytrze,
 Jako wesół Sarmata tańcował przy cytrze,
 Jak ci czynił pocziwość, jako w każdej dobie
 Duch prosty, nieobłudny okazywał tobie.

Tyś sam, gościu zdradziecki, szedł po naszych śladach,
 Siadałeś jak przyjaciel na naszych biesiadach,
 Dziś masz to za występpek, wydwarzasz boleśnie,
 Nie tylko mnie samego, lecz i własne pieśnie.

Jeśli zasię zgrzeszyłem? — o! zgrzeszyłem wiele,
 Ściskając obłudniki, jako przyjaciele.
 Podziękujmy Niebiosom głosami wielkimi,
 Żeśmy zbłądzili doma, nie na Franków ziemi,
 Gdzie się krew zwykła miesza do Bachowych dzbanów,

.....
 Gdzie biesiadnik, gdy zaśnie, już stracone chwile,
 Gdzie zamiast go rozbudzać, myśl dlań o mogile.
 Trupa oknem wyrzuca, — sądzą, że dla człeka
 Skok nieco niebezpieczny, meta za daleka;
 Nie wątpię, iż wolałbyś z Sarmaty zabawę
 I zwyciężon od Bacha upadać pod ławę.

Skądżeś przeznał ubóstwo na sarmackiej niwie?
 Temu się, dobry Gallu, dosyć nie wydziwię.
 Tak małoś z nami mieszkał — i w tak krótkiej dobie
 Rozpoznać ziemię polską brakło-ć na sposobie:
 Jakie tu płody gruntu? jakie mury grodów?
 Jakie dary od morza? jaki byt narodów?
 Gdybyś się lepiej zaznał z naszym obyczajem,
 Gdybyś się zastanowił nad zwiedzanym krajem,
 Zasmakowałbyś Gallu, do polskiego chleba,
 Znalazłbyś tutaj wszystko, co duszy potrzeba.
 Wszak Polska nie żądała od was zapomogi,
 Skądże wiesz, żeśmy biedni? że nasz kraj ubogi?
 Francuz widząc, że na tron Henryka wołamy,
 W nadziejach niepomiernych nie zakładał tamy,
 Mniemał, że idąc z królem, idzie do rozkoszy;
 Choćby był łada ciurą, choćby syn kokoszy,

Już go trzeba wzbogacić i w szkarłatnej szacie
 Po prawicy królewskiej posadzić w senacie;
 Że wielkie bohaterzy, mężowie polskiej strony
 Wciąż przynosić im będą złoto i pokłony.
 Zawiedli się, ujrzawszy, jak my rzeczy bierzem,
 Że pacholek pacholkiem, a rycerz rycerzem;
 Więc zowią nas żebractwem, jak liszka na dworze,
 Co schab zwała powrozem, gdy dostać nie może.

Otóż Polak, co k'tobie miał chęci najszczerze,
 Złem ci za złe wypłaca — wierszami za wiersze.
 Żwawoż uciekaj od nas, o niewdzięczna czerni!
 Niech mi się jasne słońce tyle nie zaczerni,
 Bym kiedy miał powracać do kraju polskiego!
 Tak mówiłeś; — zaiste, niech bogi cię strzegą,
 I nas od takich gości niechaj strzegą losy!
 Oto moja modlitwa! — we dwa niebogłosy
 Jakoś Boga uprosim, że cię tu nie wniesie.
 A jeśli wam tak bardzo królowania chce się,
 Idźcie w niemieckie kraje ścigać się za władzą,
 Tam może wam koronę i berło oddadzą.
 Wy umkniecie i stamtąd, i w płochym umyśle
 Powtórzycie nad Renem, co było przy Wiśle.

IV. PAN (bożek leśny) ZAMECHSKI.

Do Stefana Batorego.

Pan ego sum, cui silva domus, cui fistula cordi . . .

Jestem Pan, las mým domem, lubię żwawe harce,
 Biesiady z dziewicami, pieśni przy fujarce,
 Tych zowią Satyrami, lud leśnych nałogów,
 Natury nieco twardej i bodliwych rogów.
 Tutaj, leśne bydłęta, pokłęknać się godzi!
 Zacz nie znacie, co za gość w te knieje przychodzi?
 To wielki król Sarmatów, folgując swe brzemię,
 Życzliwym dla nas losem zawitał w te ziemie.
 Witaj, królu zwycięski! niechaj los korzyści,

Twe zamiary poszcześci, twe nadzieje ziści!
Pożądany przybywasz! Patrz, jaka szczęśliwa
Ziemia ze słonecznymi barwy poigrywa,
Weselą się Niebiosy, ptastwo gra swe tony,
Szumią zielono-liście dęby i jesiony,
Stare lipy i buki, patrz, jak ci się miłą,
To ramiona wyciągną, to czoła uchylą.
My, co równą miłością ku tobie pałamy,
Czyliż cienistym lasom ubieżeć się damy?
My dni, w których się cieszym obliczem książęciem,
Jak wielką uroczystość u siebie poświęć.
Chodząc cienistym lasem, my, polowe bogi,
Zatrzymamy na sercach wizerunek drogi.
Oto nasz dar szczupluchny, przyjmij go życzliwie
Od Satyrów i Faunów, co w tych borach żywą;
Przyjmij oraz tę tajstrę, jak sprzęt leśnej strony:
Tu jest łyżka myśliwska i puchar toczony;
Przyjmij jabłka, dla ciebie zerwane umyślnie,
I żółty owoc gruszy, i soczyste wiśnie.
To owoc nie z Hesperyd — wyznajemy szczerze,
Ale w uściech monarszych słodyczy nabierze.
Dar, na jaki nas stało na bezludnym lesie,
Każdy na stół królewski chętnie przyniesie.
Inny zaś musim złożyć dar w starosty ręce,
Co tak pięknie wypełnia rozkazy książęce.
On w swoich ważnych pracach tak łagodnym bywa,
I grzeczność, cnotę dworską, w puszczy wykonywa.
Bóg ci zapłać stokrotnie, królu uwielbiony,
Żeś takiego starostę przeznaczył w te strony!
Przez niegośmy bezpieczni, nikt tu w jego oczy
Do lasu z pustoszlivą siekierą nie wkroczy;
My Satyry, niegnane z siedzib od nikogo,
W naszych ojczystych puszczech wiekujemy błogo.
Czyż innym naszym braciom w innych puszczech milej,
Gdzie dla nich bezpieczeństwa nie służy przywilej?
Tam karczują wysmały, tam łoskot rąbania
Ze starego domostwa Satyry wygania;

Nieraz biedni bożkowie muszą po kolei
Tułać się, jak wygnańcy, od kniei do kniei.

Śpiewano w Zamchu dnia 8 maja Roku Pańskiego 1578,
podczas bytności króla Stefana.

V. ORFEUSZ SARMACKI.

Quae spes, o cives, quae mens in pectore vestro est.

Rodacy! skąd ten pokój w waszych sercach żywie!
Wierzcie mi, dziś nie pora zasypiać leniwie,
Dziś nie pora na tańce, na Bachowe gody,
Na praktyki tajemne, waśni i niezgody,
Na schadzki i narady, na popisy zbrojne; —
Skierujcie myśl poważną na cele przystojne.
Oto wróg, stojąc we drzwiach, znać o sobie dawa!
Nie z jednej strony wojna, nie z jednej obawa.
Jeden od wschodu słońca najeźdnik ochoczy
Stawia nogę we strzemię i szablę toczy;
Drugi wróg od północy, w widokach łupieży,
Brnie przez śnieżne sumioty i ku Polsce bieży.
Świadom waszej gnuśności, śmiało liczy na niej,
Z nim przyjdą, choć sojuszem przymierza związani,
Co w uściech noszą pokój, a pod sercem gady,
Czyniąc na nas zazdrosne, mordercze układy.
A tyran Azyatów? przypomnijcie sami,
Puścił na morze Jońskie żagłów tysiącami,
Dawno już zajął Rodos, a i w tamtej chwili
Wasi ojcowie o nim ze strachem mówili.
A dziś już w naddunajskim króluje narodzie,
I rozparł się mocarsko na lądzie i wodzie,
Dziś i nad rzeką Tyrem krainy przywłaszcza,
I na ziemię podolską czyha jego paszcza.
Tyle mieczów nad tobą, tyle zębów zgrzyta,
A ty, gnuśny Sarmato, śpisz jak Sybaryta!
Spaćże pora? o zbudź się! wszak dosyć się spało,
Omyj swoją źrenicę, we śnie zaropiała!
Rozbudź się, weź twój koncerz i pójdź w Imię Boże!

Nie chodzi tu o trzodę, wziętą w twej oborze,
Podbojami, najazdem gardzi wasze łono.
Lecz patrzaj, tu swobodzie twojej zagrożono.
Może krzepkie masz grody? może czujną wartę?
Czy twierdze niedostępne? czy bramy zaparte?
Możeś rzeki kamienną ocembrował ścianą,
Jako niegdyś do krajów wrota zapierano?
Całe twe bezpieczeństwo — pałasze i włócznie,
Tuż nad tobą zła doła, ty drzemiesz widocznie.
Hańba-ć, hańba, Sarmato, pogrążon w pieszczotki!
Oto krwią i odwagą nabyli twe przodki
Szerokie panowanie, coś stracił, jak dziecko.
Powrót, powrót z wygnania cnotę staroświecką!
Dmuchnijmy z całych piersi po drobnej iskierce,
Dziś nam zostać mężami, uolbrzymić serce,
Stłumić hardość i zbytki, zabić żądze chciwe,
I brat z bratem zespolić prawice życzliwe
W jednostajnej nadziei, w jednostajnej woli,
Że się wskrzesi swobodę, ojczyznę wyzwoli.
Trudno wam było męża hetmańskich przymiotów,
Dziś oto wódz, co wszędzie przewodniczyć gotów!
Oto król nasz, ze szczerbcem i koniem zaznany,
Godzien chodzić o lepszą z pierwszymi hetmany,
Nie w dziecięcej kolebce, nie w równiance z kwiatów,
On powołan na zacną stolicę Sarmatów.
Nie tam, gdzie brzęk puharów, gdzie się piosnek słucha,
Lecz na bojach północnych usposobił ducha,
Kształcił się pod proporcem, jako Marsów uczeń.
Za nim! za nim, Sarmaci, do mieczów, do włóczeń!
Wspomnijmy na ojczystą dzielność znakomitą,
I uderzmy na wrogi, jako dawniej bito.
Jako dawniej uwieńczymy wawrzynem pałasze,
Bóg z nami, wódz przed nami i zwycięstwo nasze!

ZIEMIE CZERWONEJ RUSI.

(ROXOLANIA).

POEMAT SEBASTYANA KLONOWICZA.

Si canimus silvas, silvae sunt consule dignae.

Virgilius.

DEDYKACYA

uczyniona przez Autora do Senatu miasta Lwowa.

O mihi semper venerande coetus!

Orszaku mężów dostojny i drogi,
 Godny w senacie ławicy i togi!
 Cały Lwów ludny twoje święte prawa
 Chętnie uznawa.

Przyjmij z obliczem jasnym a wyniosłem
 Pobożną pracę, co dla cię przyniosłem;
 Przyjmij życzliwie, chociaż tak niewiele
 Dać się ośmielę.

Oto zostały przedmiotem mej pieśni:
 Ludzie, i lasy, i niedźwiedzie leśni,
 Mieszkania człeka, i ozdoba miasta,
 Wieża kończasta.

Czytam o królach, jak wdzięcznem obliczem
 Nie chcieli gardzić darem hołdowniczym,
 Lubo ubóstwo, w pobożnej pokorze,
 Święci, co może.

Nie zawsze hojne z brylantów i złota
 Wielkiemu Bogu zanosimy wota;
 Dym kadzidałny i serdeczne słowa
 Woli Jehowa.

W świętą karbonę złożyła niewiasta
 Drobną szelążek solimskiego miasta;
 Przy szczupłym darze spodobałeś, Chryste,
 Serce żarzyste.

Podobnem sercem, zacne senatory,
 Przyjmijcie piosnkę, jako hołd pokory:
 Nie gardzi Chrystus, ni królowie ziemi
 Dary szczupłemi!

ZIEMIE CZERWONEJ RUSI.

(ROXOLANIA).

Si canimus silvas, silvae sunt consule dignae.

Virgilius.

*Dicite Russorum felicia pascua, Musae,
 Et fortunati rura beata soli...*

I.

Opiejcicie, muzy, halickie pastwiska!
 I szczęsne wioski odwiedzić się godzi,
 Gdzie święte pole kłosami połyska,
 Gdzie plon rolniczej pracy nie zawodzi.
 Nie pomijajcie lasów i dąbrowy,
 Bo z nich bogactwo rozchodzi się wszędzie,
 Tu w piersiach dębów złożon plastr miodowy,
 A na gałęziach rześiste żołądzie.
 Niech wszystkie miasta wasza pieśń wylicza,
 Kędy San rzeka krętym węzem rznie się:
 Piejcicie gród Lwowski, zwyczaję Halicza,
 Trzody, co błędzą, po łąkach i lesie;
 Opiejcicie Zamość, gdzie na wasze imię
 Wysokie mury do nieba się wznoszą;
 Krzepkie świątynie, i baszty olbrzymie,
 I piękne domy opiejcicie z rozkoszą.
 Jeśli gdzie zbłądę z pieśniami mojemi,

Wszakże mi, proszę, gdzie dostępna droga.
 Słodkoż wam gościć w argolidzkiej ziemi?
 I nasza ziemia w dowcip nieuboga.
 Zdroje ozywne są w naszej ojczyźnie,
 I piękne rzeki posiada Ruś stara,
 Któremi niwy skrapiają się żyźnie, —

A w rzekach naszych jest ryb co niemiara.
 Może cię Parnas, Pierydo, kusi,
 Gdy czoło wieńcem laurowym opasze?
 Znujdz jeno do nas: są góry na Rusi —
 I my zaiste mamy Alpy nasze!
 Patrz, góra lwowska, czyć zda się korzystnie?
 Bodzie obłoki jej olbrzymia głowa,
 Gdy mgławce niebo chmurami nawiśnie,
 A w chmurach wilgoć zgęści się deszczowa.
 Próżno grom huczy, próżno wiatr szeleszcze,
 O głąz rozdarty obłok się popęka;
 Choć biją wichry, pioruny i deszcze,
 Góra się gromów Jowisza nie lęka.

II.

Tubyście, muzy, za przyjazną wołą,
 Mogły zamieszkać stronę podobłoczną,
 I tutaj gości słoneczny Apollo,
 I swoim biegiem mierzy kolej roczną.
 Nie zawsze zima na halickiej stronie,
 Nie zawsze wichry i zawieja grzmoce;
 Topnieją śniegi, ciepły wiatr zawionie
 I ziemia złote wyradza owoce.
 Po wściekłym wicherze, co dał nienawistnie,
 Zaszumi wietrzyk i lody rozproszy;
 Zaledwie księżyc kwietniowy zabłyśnie,
 Nastaje wiosna i chwila rozkoszy.
 Gdy zasię czerwiec, kiedy lipiec blisko,
 Dojrzałym kłosem kołysze się niwa;
 Nastaje wrzesień, pożęte ścierniska,
 Spożywaj, kmiotku, plon twojego żniwa!

Niech wieść potwarcza po świecie ogłasza
 O naszych mrozach, zimie i jesieni;
 Kłamstwo zaiste, że się łąka nasza
 Z pod wiecznych śniegów nigdy nie zieleni,
 Że nasza socha rozedrzeć nie może
 Ziemi zakrzepłej mroźną niepogodą:
 Puszczamy strugi, i sarmackie zboże
 Rozdajem światu i lądem, i wodą.
 Z naszego żniwa karmią się Germany,
 I morskim grzbietem rozwozi je nawa;
 W zielonych polach nasz wół spracowany
 Pożywnej paszy obfito dostawa.
 Na zmarzłej ziemi nie rodzi tak łatwo,
 To są promienia łaskawszego dary.
 Więc zacne dziewy, Mnemozyny dziatwo,
 Przyśpieszcie polot w tutejsze obszary!

III.

Niebieska Klio! widzę cię z oddali,
 Lecisz k'tej stronie i twój orszak cały,
 Kędy Bystrzyca cichym szmerem fali
 Napęlnia stawy, groble i kanały,
 Kędy się dzieląc w dwoiste ramiona,
 Rzeźwą się wodą przysłuża w Lublinie,
 Podmywa basztę, pryska się spieniona,
 Drugą odnogą do jeziora płynie.
 Miedzianą rurą wpuszczona do miasta,
 Bije na kole fontanna swawolna;
 Jeden brzeg rzeczny wierzbami zarasta,
 Na drugim jodła i sośnina polna.
 Giętkie sítowie wodą się napawa,
 Tu mokra łąka na samym rozkwicie,
 Owdzie brzeg suchy, zielenieje trawa.
 O czyste muzy, tutaj wypocznijcie!
 Przystrojcie harfy, i lutnie, i liry,
 Niech każda bierze właściwe narzędzie;
 Szeleszcze woda, wtórują zefiry,

Stąd echo rzeźwiej rozchodzić się będzie.
 A kiedy leśnej lękacie się drogi,
 Tutaj znajdziemy snadno przewodnika.
 Oto wychodzi Satyrus dwurogi,
 Oto was nimfa gajowa spotyka.
 Przyległe bory zwiedzim po kolei,
 Które lud kocha i szanuje tkliwie;
 Śpiewak z muzami po nieznaney kniei
 Będzie się błąkał w uroczym podziwiewie.
 Gdzie się zarośla najcienistsza kręci,
 Leśni bogowie wiodą nas w ubocze.
 Tu niema ścieżek, jeno trop zwierzęci,
 Kiedy niekiedy ptaszek zaszcebiocze.
 Może iść nie chcesz? — błąd już niecofniony,
 Bośmy zabrnęli w labirynt Dedala.
 O święte muzy! przebieżmy te strony,
 Przepatrzymy wszystko z poblizka i zdala.
 Bystro ogarnie wasze oko młode
 Lasy, co tulą pod namiot chłodnawy;
 Zapamiętacie ruskich drzew przyrodę
 I leśne gęste a zielone trawy.

IV.

Już długo błądzim na skwarnem gorącu,
 Już prędki oddech kołysze nam łono;
 Tu snadno będzie, wykradłszy się słońcu,
 Znaleźć spoczynek pod liści oponą.
 Dęby na górze, a olcha w dolinie
 W stare gałęzie uroczyście szasta.
 Owo krynica, co z pagórka płynie,
 Spada ze szmerem i w strumień urasta.
 A słowik w cierniach strzela pieśń miłosną,
 Mała ptaszyna aż zatrząsa knieje,
 Z piersi drobniuchnej wielkie tony rosną,
 Z drobnego pyszczka tysiąc dźwięków leje.
 Szpak ostrym głosem zakrzycheć go pragnie,
 Szczygieł z rozgłośnym szcebioce wyrazem,

Chrapliwy chróściel odzywa się w bagnie,
Turkawka jęczy i echo z nią razem;
Kwiczoły, stadem przeciągając codzień,
Kulistą chmurą w powietrze się wznoszą;
A tyle gwaru, że śpieszny przechodzień
Wstrzyma się nieraz i słucha z rozkoszą.
W tysiącnym echu różnobrzmiących pieśni
Niełatwo zliczyć pojedyncze tony.
Tam siedzą gronem zawiadowcy leśni:
Sylwany, Fauny i Satyr schyłony.
Uchodzą muzy, bo też nie przystało
Czystym dziewicom być w rozpustnym rzędzie;
Idą pod dębem osłonę wspaniałą,
I każda bierze właściwe narzędzie.
Klio najpierwsza na trzciniowym flecie
Zadzwaniam piosnkę na rozgłosne echo;
Piosnka kolejna z ust do ust się plecie,
Las zagrał dźwiękiem, zaszumiał pociechą;
I w każdym dźwięku, i po każdym słowie
Wtór płynie lasem od drzewa do drzewa:
Bo huknij w lesie, las hukiem odpowie,
Poszepnij pieśnią, las cicho odśpiewa.
Jako zwierciadło, co kształty odznacza,
Tak echo leśne odbija się słowy.
Waha się jeszcze gromada śpiewacza,
Komu poświęcić swój hymn pierwiastkowy:
Czy starym lasom? czy wyniosłej wieży?
Lub na cześć Rusi i tutejszych ludzi?
Apollo, znając, komu dank należy,
Tak pierwszy zapal uroczyście budzi:

V.

Cóż tu się marnie waha orszak cały?
Święta cześć lasów sięga z tak daleka!
Wszak dawniej lasy, niż miasta, nastały,
Pierwej Bóg stworzył drzewo, niż człowieka.
Były tu lasy od najrańszej chwili,

Nim imię Rusi dano okolicy;
 Później do lasu mieszkańcy przybyli,
 Wnuki Japeta, mężowie w pół-dzicy.
 Wszelkie imiona tych mężów ogarną,
 Różnie ich zwano w rozmaite lata.
 Niechaj mieszkaniec zowie się Bistarną,
 Niech Illiryjczyk, albo Sauaromata.
 My przedsię Ruskie zostawmy im miano,
 Wzięte z praoców, wnukom na zaszczyty;
 Choć indziej naród podobnie nazwano,
 I nasi godni nazwy rodowitej.
 W Meockiem morzu łodzie z pod ich wiosła
 Wicher kołatał i popędzał dalej;
 Przez mroźną północ fala ich przyniosła,
 I tu wieczystą siedzibę obrali.
 I ruskim murem obwiedli swe bramy,
 I pełnią zwyczaj rodowitej strony.
 Tędy przez lasy do miast zawitamy
 Przeznąć obyczaj, prawa i zakony.

VI.

Febowe słowo do serca przystaje,
 Chętnie je spełnia śpiewacza gromada:
 Halickie bory i rozkoszne gaje
 Każda piewczyni do rymu układa,
 I jednodźwięcznie orszak znakomity
 Pozdrowił lasy nad świętym Haliczem.
 Tutaj przodkuje ów bór nieprzebyty,
 Co się z litewskim łączy pograniczem.
 Długimi stopy od moskiewskiej ściany
 Kraj ten rozdziela wiekuista władza;
 Ocean, lodem wieczystym skowany,
 Ruś od północnej pustyni przegradza;
 Alpy nas dzielą od Italskiej ziemi,
 A morze Czarne od granic Tatara.
 A tu na Rusi wzgórki garbatemi
 Nigdzie płaszczynna nie jeży się stara.

Tu piękna knieja, tu puszcza bezdenna
 Przynosi liczne korzyści i plony;
 Tu dąb stuletni, sosna sturamienna,
 Tutaj modrzewie, jawory, jesiony;
 Na mokrych mszarach widnokrąg zasłania
 Olszyna, wierzba, i świerki olbrzymie,
 I klon cienisty, łatwy do zrabania,
 (Z którego moje wyprowadzam imię),
 Wysmukła topól, jeżownik i tarnie,
 Twarde derenie, leszczyna powiewna,
 Buki i lipy, — oko nie ogarnie
 Rozlicznej barwy wszelakiego drewna.
 Tu biała brzoza z czerwonymi smugi,
 Owdzie z jesionem splata się wiaz młody;
 Z nich wieśniak drzewa wyrabia na pługi,
 Z nich do swych kolas wygina obwody.
 Z nich to skrzypiące telegi, i maże,
 I lekkie wozy klecą Haliczanie.
 Tu kuta bryka rzadko się ukaże,
 Bo twarde drzewo za okucie stanie.
 Nigdzie przy wozach żelazo nie brzęczy,
 Tu gwoźdź drewniany dotrzyma wytrwalej;
 Niemasz kowanych osi, ni obręczy,
 Tu hartowniejsze polano od stali.

VII.

Gdy wóz się kleci lub orne narzędzie,
 Tym kształtem nasi pracują wieśniacy:
 Idzie do lasów, wypatruje wszędzie,
 I ścina sztukę, przydatną do pracy.
 Na dyszel bierze pniak lekki a prosty,
 Siedem stóp dębu wycina do osi,
 Drzewo schylone w garbate narosty
 Na soszne zęby do domu zanosi.
 Gdy się pniów krzywych napotkać nie zdarza,
 Sztuką i pracą wygina do łęku;
 Zręczny parobczak obok gospodarza

Nabywa siłę i dzielności w rękę.
Hej! idźcie w góry w upatrzonej chwili
I młody dębniak uginajcie zwolna,
Bo gdy go wichher niekształtnie wychyli,
Trudno się gałąź sprostuje swawolna.
Gdy zasię wczesnie wychylisz w półkole,
W nadanej formie gałązka rozrosła,
Na pniu matczynym i przez własną wolę
Przybiera postać, zdatną do rzemiosła.
Tutaj granice i w prawo, i w lewo,
Každy ma wręby, każdy swoje smugi,
Aby gdy młodniak rozrośnie się w drzewo,
Cudzych owoców nie zabrał kto drugi.
Ścinają chróśniak, co przy buku pnie się,
I wszelką zarośl, ile cień ogarnie.
Tak Rusin pilnie szperając po lesie,
Żerdź prostą, krzywą zbiera gospodarnie;
Rąbie jawory i dęby olbrzymie,
A potem krzesa i do domu koci;
A tam troskliwie zawiesza je w dymie,
By wolnem ciepłem wyschły od wilgoci.
Drewna wodnistość robocie szkodliwa —
Dobrze to znają Rusini robotni;
Przeto nie pierwiej dębiny używa,
Aż się surowość z jej wnętrza ulotni.
Dopieroż suchą do wrzątku zanurzy,
Mocuję, schyla, nagina sprężyście:
Tak dąb niezłomny, co nie bał się burzy,
Gdy go zielone pokrywało liście,
Co, niżli zegnie, pierwiej się popeka, —
Rozmiękczon warem, podda się od razu,
A kiedy silna pochwyci go ręka,
Przybierze wszelki kształt wedle rozkazu,
I albo idzie na obwody koła,
Albo na ciężkie podróżne woziska.
Wieśniak żelaza nie używa zgoła,
Lecz drzewo drzewem spaja i naćiska.

On kłodek kolnych tłuszczem nie powleka,
 Ani żywicą napoi swej osi;
 Ruską kolasę postyszysz z daleka:
 Skrzypi i jęczy, jakby o co prosi.

VIII.

Patrzaj, jak rolnik pocznie nie leniwo
 Ciosać swą sochę, co ma orać łany,
 Z łękiem garbatym, z rękojeścią krzywą,
 Z wielkimi zęby jak potwór drewniany.
 Patrz, jako wierci, rozszerza i węży
 Drewno pługowe, jak osadza pięknie
 Jarzmo i lemiesz ciężki dla uprząży,
 Pod którym kiedyś żwir i glej zastęknie.
 I woły stękną, gdy w ugór lub rżysko
 Oracz zatopi swój naróg sękaty,
 Do dnia rozkopie ciemne kretowisko,
 Działwę skowronka rozedrze na szmaty.
 Pług pędzi w nory podziemną gromadę
 Szkodliwych czerwi, co pustoszą niwy;
 Za pługiem leci ptactwo ziarnojade,
 Bo przewiduje zasiew niewątpliwy.
 Nieświadom pługa bywał naród dziki,
 Dziś wszędzie socha z żelaza i stali,
 Sprawiano ziemię drewnami motyki,
 A Bóg im szczęścił, iż kruszcemu nie znali,
 I ruskie, drewnem urabiane, pole,
 Przy błahych sierpach miało dobre żniwa.
 Owo sąsiednie rodzajne Podole
 Do swoich pługów jaworu używa;
 Tam z dumnych dębów niewielka posługa,
 Tam praca rolna, choć wdzięczna, lecz krwawa:
 Dwanaście byków wjarzmionych do pługa
 Gleistą bryłę zaledwie rozkrawa:
 Wół ledwie dycha zaziajanym pyskiem,
 Zaledwie stąpa, choć na siły bierze;
 Za nim poganiacz, uzbrojon biczyskiem,

Złorzeczając, smaga pracowite zwierzę,
 A socha pędzi, aż z ostatniej siły,
 Wół się wypręży, nim kroku uczyni.
 Od Podolanów wzór sochy pochyłej
 I maż skrzypiących przejęli Rusini.

IX.

Wróćmy do lasów, gdzie trawa krzewiasta
 Wypieszcza stado — od brzegu do brzegu
 Kwiatem aż grzbiety bydłce przerasta,
 Zaledwie pasterz rogi ich postrzeżga.
 Brodate kozy z podniesioną głową
 Na krzywe drzewa wdzierają się śmieie,
 I ogryzają latorośl wierzbową,
 Korę topoli i szczodrzyniec ziele.
 Kóz ruskich stado, kiedy brodzi knieją,
 Wilków na rogi zaczepnie wyzywa;
 Sowita broda na szczękach się chwieje,
 Na grzbietach twarda kołysze się grzywa.
 Kozieł wnet zwietrzy, gdy które z młodzieży
 W wilczą zasadzkę zbłąka się niebacznie;
 Rogate czoło zmarszczy i najeży,
 I śmiało z wrogiem bój śmiertelny zacznie.
 Pod jego rogów potężną opieką
 Bezpiecznie chodzą diatwa i małżonka.
 Przez wszystko lato, od domu daleko,
 Rogate stado po kniejach się błąka.
 Lasy, to bydłat stajnie i kolebki,
 Pasterz i trzoda tu pod niebem żywie;
 Namiot chróściany, cienisty a krzepki,
 To dom pasterza, gdzie mieszka szczęśliwie.
 A trzoda chyba do domu powraca
 Ze swoim wiernym całorocznym stróżem;
 Gdy byki wzywa potrzeba lub praca,
 Gdy każą orać lub zginać pod nożem.

X.

I wół się żegna z pasterzem i trzodą,
Ryk z całych piersi zatrząsa zaciszem,
Targa się w więzach, na których go wiodą,
A stado wyje za swym towarzyszem.
Wyjarzmić więźnia starczyłyby rogi,
Lecz zwierz bezmyślny przestaje na rzucie.
Jękliwie ryczą na widok złowrogi —
I w piersi bydła jest śmierci przecucie:
Kiedy pod rzeźne żelazo je włoka,
Zwierzę się cofa, słupi się i stawa,
Topór, zbryzgany mózgiem i posoką,
Przecuciem zgonu i cielca napawa.
Gdy krew poczuje ciołek niespokojny,
Co w rzeźni biedne wylały bydłeta,
Targa się z mocą, łeb najeża zbrojny,
Sili się zerwać powrozy i pęta.
Jak zbrodzień, sądzon na ucięcie głowy,
Zaczem uchyli potępioną szyję,
Patrzy ze zgrozą na topór stałowy,
Którym oprawca piersi mu rozbije,
Twarz mu poblednie, kolana dygocą,
Gdy rusztowanie postrzeże z daleka;
Tak biedne bydłę, rzezane przemocą,
W drzeczcu śmiertelnym na mordercę czeka.
Gdy byk żylasty i z okrągłym czołem
Pracą okupi żywota rozkosze,
A zapomniawszy o stadzie wesołem
I harcach leśnych, złagodnieje w sosze.
O! co za jęki na wiosennej niwie,
Gdy po raz pierwszy chcą ujarzmić byka!
Rogiem swój ciężar strąca niecierpliwie,
Tarza się, grzebie, z wiatrem się potyka.
Gdy cielec nosi podgardziel szeroki,
Leniwym krokiem nie postąpi hożo,
Gdy brzuch ma tuczny i wydęte boki,
Które mu ciężar bezpotrzebny mnożą;

Taki się lepiej do rzezi zachowa,
 Więcej da tłuszczu, niż chleba zdobędzie,
 Bo w tucznym cielsku nie tak zmyślna głowa,
 A mniej mięsisty pracowitszym będzie.
 Gdy wół wydęty, gdy kroczy powoli,
 Jak koń trojański z postawą brzuchatą,
 Niewiele chleba przysporzy na roli,
 Sądź go na gardło, bo zasłużył na to.
 Tak czyni Rusin, bije lub przedawa,
 Tylko pojętne zachowuje dla się.
 A w lasach ruskich, gdzie pastewna trawa,
 Nie liczy trzody i ten, co ją pasie.

XI.

Tak ryk młodzieży rozlega się echem,
 Przypłodek rośnie, kiedy starsi giną;
 Bo Rusin wierzy, że ciężkim jest grzechem
 Zabijać ciołka, co ssie pierś matczyną.
 A matka, bacząc, jak podrasta codzień,
 Szorstkim językiem wygłasza swe dziecko.
 Kto zabił ciołka, jest szkodliwy zbrodzień,
 Zawiązek trzody wyniszczył zbójcecko.
 Wieczorkiem letnim, po wioskach zwyczajnie
 Wesół dobytek i ryczy, i hasa.
 Tu w wioskach głucho, bo do nocnej stajnie
 Trzoda z udojem nie przychodzi z lasa.
 Pasterz we zwykłą zagrodę ją wpuści,
 Tam wszystko na noc kupi się i garnie,
 Szopę ze ściętych dębniaków uchrósci,
 Kędy zagania stada i owczarnię.
 Kolcami jodeł swój namiot najeży,
 Jak murem twierdzy; a jeżeli nocą
 Wilk, przynecony nadzieją łupieży,
 Zechce się wedrzeć gwałtowną przemocą, —
 Przez mur iglasty przebić się nie może,
 Skrwawion kolcami zdobyczy zaniecha.
 Pasterz bezpieczen zasypia na dworze,

Jakby go doma pokrywała strzecha.
Gdy przyjdzie zima, kiedy kwiat pospada,
A trawa polna pod śniegiem się zetnie,
Pasterz do domu odprowadza stada, —
Zima pożera plony całoletnie.
Zalotna jodła, nie dbając, że zima,
Swoj ciemny warkocz rozpuszcza ku ziemi;
Na jej gałęziach wszystek śnieg się trzyma,
A żółta trawa świeci się pod niemi.
Tu nieraz pasterz, chcąc dla swej obory
Skrócić zimowe niewolnicze chwile,
Na starą trawę wypędza je w bory,
A trzoda gryzie wrzosa i badyle.

XII.

Rzekliśmy dosyć: a teraz koleją
Rozpowiem mleczone obfite udoje.
Pomóż mej pieśni, jasna Galateo!
Przybądź łaskawa na żądanie moje!
Dwojga zakłębem wzywam cię z daleka,
Plemię Nereid! przyjdź natchnąć me baśnie!
Na twe oblicze, co bielsze od mleka,
Przy którym białość śniegowa zagaśnie,
Na pamięć o twym wiernym Polifemie,
Co śnieżne mleko przynosił ci w darze,
A opuściwszy rodowitą ziemię,
Wabił cię pieśnią, grając na fujarze.
Na znanych brzegach on zaledwie żywo
Nie wpadł za tobą, gdzie morska głębina.
Pieśniami cieszy miłość nieszczęśliwą,
Morskie potwory i skały zaklina:
Twarde granity i sploty koralu,
Delfiny morskie! poświędam się wami!
Neptunie, ojczyźnie i uśmierzco fali!
Bądźcie niewinnej miłości świadkami!
Ginę — grot ślepy moje piersi bodzie,
Ostre się ciernie w moje serce wbiły,

Ta, którą kocham, przemieszkiwa w wodzie,
Czemuż mię rybką losy nie stworzyły?
Pływałbym wiecznie i patrzył z poblizka
Na mą pieszczotę, mój urok jedyny.
O Galateo! wyjdź z pod topieliska,
Zaniechaj mieszkać z morskimi delfiny!
Choć moim ojcem liczę wodowładcę,
Na widok fali przejmuję mię zgroza;
Mój ojciec Neptun, a imię mej matce
Córka Foreja, nadobna Tooza.
Rodzic dla syna łącno coś uczyni
I chętnie morskie uhamuje wody.
Mieszkam przy Etnie, w wykutej jaskini,
Nie ręką ludzką, lecz dziełem przyrody.
Świstem donośnym i pełnym wyrazu
Wicher przebiega po lochach mej groty;
Pieczary mojej, wykowanej z głazu,
Nie zburzą wieki, ni wichry, ni słoty.
Jestem z olbrzymów — zacne plemię Boże,
Inne od ziemi, ja z nieba ród wiode.
Przyjdź, jasna dziewo! podarek ci złożę,
Płód niedźwiedzice, dwa piastuny młode.
Nie piję wody, co w ruczaju bieży,
Lecz białem mlekiem i pragnienie gaszę,
I głód nasycam, — a udój nieświeży
Nigdy się w konwie nie nalewa nasze.
Dziwę rozkoszna obietnica nęci,
Lecz ją odstrasza brew zwiśla i czarna,
Włos, co kudłato na głowie się kręci,
Ogromna postać i twarz muskularna.
Drży przed niekształtną olbrzyma budową,
Straszą ją ręce w kędzierzawej szczeci;
Niesfornej piosnki przerywane słowo
W piieszczonym słuchu miłości nie wznieci.
Dziewica, w hożej zakochana krasie,
Żadnym się darem do uczuć nie skłoni;
Dar, by największy nienawistnym zda się,

Gdy go ze szpetnej ofiarują dłoni.
Jęczy Polifem, bole pierś mu gniołą,
Bogaty w skarby, we wdzięki ubogi,
Dziewica gardzi skarbem i brzydota,
W jej myślach Acis nadobny i drogi.
Lecz chętce mleka posilnego gwoli,
Dziewica morska, szydercza i płocha,
Pocznie się zbliżać powoli, powoli,
I potwornego cyklopa ukocha.
Tak przynęcona, przychodzi do groty
Na świeże mleko od jego owczarnie;
Męża, co służył za przedmiot pustoty,
Poczęła kochać i żal ją ogarnie,
I znowu szydzi z nieszczęsnej miłości.
Rzuć sykulskiego, dziewico, olbrzyma!
Tutejszy pasterz hojnie cię ugości
I smakowitszym nabiałem zatrzyma.
Rzuć sycylijskie pagórki i wody,
I sycylijskiej ziemi dziwowiska:
Obacz na Rusi nasz taniec swobody,
I naszym krajom przypatrz się z poblizka.
Tu wszystko snadniej, nasza ziemia święta,
I zdrowsze mleko, i miłsi pasterze!
Morska bogini, w te słowa zakłeta,
Widzę, jak polot ku Haliczu bierze.

XIII.

Zamieszka tutaj i z życzliwej chęci
Da nam w mleczarni plon błogosławiony,
Gdzie brodzi w lasach dobytek bydłęci,
Chodzą cielice z pełnemi wymiony,
I głośno ryczą, że im pierś nabrzmiała,
Wołają dziatwy, lub dojranej postugi.
Gdy zasię czeladź nie przyjdzie niedbała
Lub zginie ciołek, co wysysał strugi,
Wtedy dozwała, potrzebą nagłona,
Ssać swoje piersi borowej gadzinie;

Wąż spija życie z karmicielki łona,
Stąd idzie niemoc i dobytek ginie.
Wąż, kręgiem zwity, czatuje z pod ziela,
Gdzie się cielica pasie na ustroni;
Gdy ta nie dojrzy zrad nieprzyjaciela,
Chytry się czołgnie i uczepia do niej.
Zżyma się w kręgi, i w ostrożnym chodzie
Pnie się po sierści, i wyciąga szyję,
I w gęste zielsko patrzy na odwodzie,
Gdzieby się ukryć, gdy obaczą żmiję.
Potem się szybko okręca na nodze;
Uczuwszy zimno i dotknięcie węże,
Biedna cielica, przerażona srodze,
Chce rogiem strącić, ale nie dosięże.
Chłodne ją mrowie odrętwia od razu,
Tarza się, biega, staje zniemożona.
Cóż pocznie? nogą nie odwierzgnie płazu,
Więc mu pozwala karmić się u łona.
A wąż pierścieniami jej łono okręci,
Ukrywa pyszczek i do piersi wkleszcza,
A tak odbiera jej pokarm dziecięci
I spija życie, jak zmora złowieszczą.
Gdy ciepłym mlekiem nażłopie się dosyć,
Odpada z wymion gadzina leniwa.
Już karmicielka poczyna to znosić,
Codzień przywyka i sama go wzywa.
Po znanych miejscach błąka się i ryczy,
Aż ją opasze lodowata pręga;
A wąż tymczasem w norze tajemniczej
Albo się w chwastach i łomie wylęga.
Kiedy tęsknotę bydłą postrzeże
Starowny pasterz, wnet pilnuje blisko,
Dokąd to chadza nierozumne zwierzę,
I gdzie jest skryte węża legowisko?
Więc gdy złoczyńcę złowi na łupieży,
Gotuje oręż na zbójeckie plemię.
Wąż pada z wymion i żądło najeży,

Wije się w zielsko i czołgnie w podziemie,
 Syczy, ucieka, wypręża się, wspina;
 Lecz mściwy pasterz bierze się do kija,
 Kijem z orzecha drogę mu przecina,
 Zionie przeklęstwa i głowę rozbija.
 Gadzina jeszcze czołga się pod zielem
 I chytrą głowę utula pod skręty,
 Aby, zwiedziony obrotnym fortelem,
 Mniemał, że zabił morderca zawzięty.
 Lecz pasterz grzmoce, aż zielsko szeleszcze,
 Rozbija węża, aż trzewy się wleką;
 Głowa odbita, ale syczy jeszcze,
 Leje posokę, truciznę i mleko.
 Każdy ma wroga, co go zawsze gnębi:
 Żółna się miodem i pszczołami żywi,
 Ptaszek się lęka drapieżnych jastrzębi,
 Owieczkom szkodzą wilkowie łapczywi;
 Szczep młodociany ogryzają sarny,
 Mól i szarańcza napastuje zboże,
 A wąż zdradziecki i często bezkarny
 Robi nam szkodę na dojrzej oborze.

XIV.

Ruskie niewiasty nie chcą gospodarnie
 Doić swe trzody — to czynią pasterze;
 Pasterz odnosi nabiał do mleczarnie,
 A resztę mleka na posiłek bierze.
 Tam, w leśnym cieniu wiąziny pochyłej,
 Płynne się mleko bryłami zageści,
 Potem topnieje, i od każdej bryły
 Tworzą się serne niezliczone części.
 Gdy będę bajął o halickim serze,
 Przebacz prostocie, bo to rzecz o j c z y s t a :
 Wprzód skórę kozłą zewłóczą pasterze,
 Zmywają wodą i płócią do czysta,
 I zsiadłe mleko, zatkawszy upusty,
 W szerściany worek zlewają pomału, —

Tu się nabiera plyn gęsty a tłusty,
 Co się w mleczarni zwie kwiatem nabiału.
 Tak w skórnym worze na pozór opacznie
 Stawia swój udój pasterzowie nasi.
 A kiedy zsiadać i maślniec już zacznie,
 Jeszcze go solą smakowną przykrasi.
 W zawartem mleku, po niedługiej przerwie,
 Trzoda robaczków łęgnie się i zbiera.
 Rusin bez wstrętu pożywa te czerwie,
 Bo wie, że od nich cała dzielność sera.
 Mlecznych żyjątek drużyna tak mnoga
 Idzie na pastwę człowieczego gardła
 Tak nieraz paszcza oszczercy i wroga
 Całą krainę zgryzła i pożarła!
 To zową bryndzą tutejsze narody,
 Pokarm to u mnie wielkiego imienia.
 Tym kształtem udój haliczańskiej trzody
 Na smakowite jadło się zamienia.

XV.

Nie myśl, że dola pasterzów wesola:
 Czarna ich dola i dotkliwa nędza.
 Tu małe dziecię nie wie, co to szkoła,
 Błąka się w lesie i trzodę zapędza.
 Żyjąc z bydłety, staje się, jak zwierzę,
 W służebnej nędzy rodzi się i roście;
 A zresztą, wierzaj, że nasi pasterze
 Mają po lasach mnogie przyjemności.
 Na brzegach rzeki rosną wierzby stare,
 Są oczerety i bagniste ziele,
 Jest z czego strugać pasterską fujarę,
 Jest na czem śpiewać żałościwe trele.
 Tak w długich nudach pastuszkowie leśni
 Przeciagle gwizdzą, zasiadłszy pod drzewem,
 To stare baję, to miłosne pieśni,
 Żal przeplatają weselszym napiewem.
 Widziałem płochę pasterskie chłopięta,

Jak wyprawiają skoki a igrzyska:
 W tanku prawica z nożem wyciągnięta,
 W swawolnym wirze żelazo połyska;
 Nieraz swawolna młodzież się powaśni,
 I wpośród tańca krew bryzga pod nożem.
 Jeżeli wierzyć starożytnej baśni,
 Jak Ikar leciał nad szerokiem morzem,
 Wzniesiony sterem niedołącznych piórek,
 Spadł i utonął w zdradliwym żywiole;
 Tak, obyczajem swawolnych wiewiórek,
 Z dębów na dęby czepia się pachole,
 I skacząc wierzchem cienistych konarów,
 Nieraz rozbite upada przy drzewie.
 Spytasz: skąd idzie ten niebaczny narów,
 Co składa życie na wiatrów powiewie?

XVI.

Jest leśny ptaszek, nazwany kwiczołem,
 Co w naszych ucztach ma rolę niemarną.
 Ten, na gałęziach zasiadając społem,
 Sam sobie sieje niefortunne ziarno.
 Ziarnko nasienne za korę się wlepia,
 Ssie cudze soki, karmi się do syta;
 Potem, gdy głębiej swe włókna zaszczepia,
 Gaj pasożytny na drzewie wykwita.
 Zwie się jemioła — roślina kleista,
 Z żółtą łodygą i jagódką bladą.
 Wieśniak, z jej lepu i jagód korzysta,
 Bo tam ugrzeża całe ptasząt stado.
 Kiedy jemioła znęci skotopasa,
 Z drzewa na drzewo skacze po mistrzowsku,
 Czepia się, chwytą, po gałęziach hasa,
 Igrając z życiem, co wisi na włosku.
 Nic się nie dziwię, że za ryże złoto
 Człek w matki-ziemi wnętrzu zatopiony.
 Rusin pogardza kretową robotą,

On, jako ptaszek, w powietrzu ma plony.
Rusin, nim błahą jemiołę wychyli,
Lata w powietrzu choćby strzaskać głowę,
Odziera korę z kleistych badyli,
I biada ptaszkom! już sidło gotowe.
A zaczajony kędyś z potajemna,
Zastawia matnię w sposób wieloraki.
Zachodzi słońce, nastaje noc ciemna,
Jastrząb już zasnął — swobodniejsze ptaki.
Szpak wyskakiwa, drozd w stadzie swawoli,
Jak gdyby przebył frasunki ostatnie,
Lecą na drzewa wypoczynku gwoli,
Gdzie ich pasterskie zachwytują matnie.
Część ich z zapadni wyrwie się, uleci,
Część zagmatwana zaginie już marnie.
Pasterz wesoły, że ma pełne sieci,
Idzie z kryjówki i jeńce zagarnie.

XVII.

Jesień borowe oblicze zachmurzy,
I dąb z warkocza ogołoci czoło;
Pasterz, na mrozy nie ufając dłużej,
Ucina gałąź z poźółką jemiołą,
Zrzuca ją na dół — gdy stuknie siekiera,
Tłumią się kozy i bydłęce rzesze,
I każde swoją gałązkę odbiera,
Póki się całe drzewo nie okrzese.
Na wierzchu jodły lub dębowej kłody
Rusin zaiste strachać się nie pocznie;
Wierzym w podstopnej ziemi antypody,
Ów śmiały pasterz widzi je naocznie.
Głowę ma w chmurach, a przepaść pod nogą,
A sam, bezpieczen bohaterskim wzorem,
Na kruchych sękach, co wnet pęknać mogą,
Stoi odważnie i rąbie toporem.

XVIII.

Po ruskich lasach — niedźwiedzi bez liku,
W polarnej ziemi zwyczajne ich życie.
Ruś — mało głosek przemieniając w szyku,
Krajem niedźwiedzi zwaćby przyzwoicie.
Bo jak tu puszcze ciągną się nieblizko,
Tak z końca w koniec niemało ich baczę;
Tutaj wygodne mają legowisko,
Tutaj się lęgną pustelni kudłacze,
Tutaj ich nęcą miodowe słodycze,
Tu w każdym drzewie jest przynęta słodka.
O! ileż razy szpony rozbójnicze
Wydarły pszczelnik ubogiego kmiotka!
Zwierz dłonio-nogi chętnie tu siedzi,
Czuwa nad kłody i barćmi leśnemi.
Mówią, że dziwny jest poród niedźwiedzi,
Niezwykłym kształtem ich rodzaj się plemi.
Matka swych dzieci nie poznaje prawie,
Bo małe szczenię jako potwór sterczy,
Tyle brzydoty na całej postawie,
Jakby kto przeklął cały pład krwiożerczy.
Dopieroż z laty, kiedy się wychowa,
Niedźwiedź niedźwiedziem zostaje nieznacznie.
Skoro się gwiazda zaiskrzy grudniowa,
A zima mrozić i śnieżyć się zacznie,
Niedźwiedź się w lasy głębokie zawleka,
Śpi całą zimę i jadła nie bierze;
Tak czynią wszystkie, krom tych, co u człeka
Służą dla zbytku, jak domowe zwierzę.
Rusin znienacka czai się do łomu,
A gdy samica odbieży na chwilę,
Bierze piastuny i hoduje w domu,
Aż się umocnią na potężnej sile.
Wtedy niedźwiadek uczy się w pokorze,
Siła i dowcip rosną w nim co chwila;
Człowiek kudłacza ujarzmi i zmoże,
Przed panem ziemi twór głowę uchyla.

Kiedy mu trąbka zagrzmocze do ucha,
 Zwierz się wypręża i skokiem się chwali:
 Mruczy niechętny, ale przedsię słuca
 I ryczy taktem, jako mu zagrali.
 Wzrok mu się iskrzy, bo muzyka święta
 Wszędy króluje, potężna jej władza!
 Nieugłaskane hamuje zwierzęta
 I obyczaje leśne uładza.
 Gdzie jego dzikość silna, uporczywa?
 Posłuszny trąbie i skinieniom pana,
 Już jako człowiek niby twarz umywa,
 Już dziko płąsa, jak gawiedź pijana.
 Ach, omijajcie igraszkę takową,
 Czyste dziewice! idźcie do ustroni;
 Nie przychodź tutaj, skromna białogłowo,
 Wstyd ci rumieńcem oblicze zapłoni...
 Tak po ulicach na pręcie łańcucha
 Wiodą niedźwiedzia Rusinom na dziwo;
 Tu fletnia jęczy, tu grzechotka grucha,
 Trąbka uderza silnie a grzmotliwo.

XIX.

Jest w Rusi zając, i biały, i szary,
 Jest biały niedźwiedź i wszelki zwierz gruby,
 I miętko-wełnych lisów tu bez miary,
 Tu wiodą handel bogatemi szuby.
 Tak wiele złota nawet i w Kolchidzie
 Nie miewał żeglarz za swój plon zupełny,
 Choć Argonauta pod żaglami idzie
 Po złote runo i bogactwa wełny.
 Runem tutejsze wsławiły się kraje,
 Wełna tutejsza ma cenę ze złotem;
 Takie bogactwa ziemica wydaje,
 Pokryta lodem i wiecznym sumiotem,
 Gdzie mroźne gwiazdy iskrzą po kolei,
 Kędy nie znają wiosennej zaciszy,
 Gdzie jest ojczyzna chłodów i zawiei,

Co wściekłym rykiem wiekuiście dyszy.
Gdy ostry wichur nad Rusią zaśwista,
Zamiera ziemia, kamienieje rzeka,
Ucieka przed nim wszelka chmura mglista,
A przy pogodzie mróz silniej dopieka.
Nawet grzbiet morski, pienisty a czarny,
Wieżami skuje kra gęsta i tęga.
W hyperborejskiej jaskini polarnej
Mróz się i wichur rodzi i wylęga.
Tam wieczna ciemność, mróz pali ogniście,
Dwa razy na rok jutrzienka zabłyśka,
Z drzewa spadają obumarłe liście,
Zamiera w śniegu zieloność pastwiska.
Boreasz westchnie — a z ust jego lecą
Szalone wichury, jak złowrogie słowa;
Próżno oddechem chciałby zagrzać nieco,
Wieje mu z piersi szaruga grobowa.
On tchnieniem życie przyrody wyziębi,
Fala zastygnie i stanie pomału.
Nie płynąć nawie, — oto już na głębi
Zmurował grube sklepienie kryształu!
A wiatr po lodzie prześlizga się jeszcze,
I pyły śniegu z szelestem zamiata,
I huczy piosnki ponure, złowieszcze,
Jak gdyby tryumf na pogrzebie świata.
Tam kupa śniegu, szronem potrząśnięta,
Płonie iskrami, jak gdyby żar świeży;
Z tych iskier sierścią odziane zwierzęta
Biorą swój połysk i cenność odzieży.
Tam całe hordy krainy jałowej,
Gdzie niema wiary, ni miasta, ni prawa,
Z łukiem i strzałą wychodzą na łowy,
Stąd ich pożycie, stąd cała zabawa.

XX.

Litwa, co z Rusią na ościennej roli,
Nabywa od niej futrzane towary,

Kupuje miechy puszczystych soboli,
 I kozuch wilczy srebrzysty i szary,
 Kuny, króliki i zajęcze łona,
 I ciepłe lisy, i wiewiórcze kity,
 Łasice miękkie, jak woda lecona:
 Tak niewieścieje Litwin znakomity!
 Moskwa i Litwa, co dadzą ich kraje,
 Wnet do Lublina przywożą gromadnie;
 Co tylko w świecie przedawać się daje,
 Tutaj wszystkiego dopytasz się snadnie.
 Czem są bogaci Turkowie, Arabi,
 Czem Indyanie, wszystko się odsłoni:
 Tu pełno wschodnich bogatych jedwabi,
 Pełno sabejskich kadzideł i woni.
 Brytański kupiec, co w podróży długiej
 Obiegł krąg ziemski na korabli kruchej,
 Łakomy plonów północnej żeglugi,
 Tutaj kupuje moskiewskie kozuchy.
 W Lublińskim mieście zgromadza się wiernie
 Płód całej ziemi z blizka i z daleka;
 Tutaj nie braknie na starym Falernie,
 Jest sok z winnicy Węgrzyna i Greka.

XXI.

I z dróg lądowych, i z morskiej topieli,
 Bachu! do Polski twoje dary płyną;
 Z ojczyzny twojej, o synu Semeli!
 Oto Kreteńczyk przywozi nam wino!
 Wszak mamy doma upijać się o czem,
 O Bachu! cofnij szczodroblive dary!
 Choć my na Rusi winogron nie tłoczym,
 Tworzym pieniste ze chmielu wywary.
 Widać dwóch Bachów było panowanie,
 Którzy się państwem dzielili na poły,
 Jak Pluton w piekle, Neptun w oceanie,
 A Jowisz sprawiał powietrzne żywioły, —
 I że dwaj Bachy w jednostajnej mierze

Wzięli dwa państwa, dzieląc nieobłudnie:
Jeden wziął w podział tutejsze półsferze,
A drugi zasię gorące południe.
I tak we dwoje zawładali światem,
Który najmilej ich poddaństwo dźwiga:
Bachus południa był bardziej bogatym,
Pierwej mu wzrosła bluszczowa łądyga,
Bo tam, gdzie słońce płomieniściej grzeje,
Winniczne wzgórki zarodziły skoro;
A u nas zimno, daremne nadzieje,
Tu kłosa zboża ledwie się wybiorą.
Sarmacki Bachus próżno się mozoli,
Ziemia nie płuży latorośli wina,
Szczepy wymarżyły, — on mimo złej doli
Na nowo sadzić i szczepić zaczyna.
Z winnej gałązki wyrasta chwast duży,
Zdziczały zimnem — nazwano go chmielem;
Lecz i ten głowę zmroczy a odurzy,
I wiejskie troski zamienia weselem.
Przerasta trawę i pod siebie chyli,
Już jej swobodnie nie doczekać lata;
Czy tam krzak wierzby, czy kupa badyli,
Chmiel się uczepia i krzepko oplata.
A jego owoc, kiedy się wywarzy
Ze złotem zbożem w zdrojowym ukropie,
Uczyni napój zdrowy dla żniwiarzy,
Co go Sarmata puharami żłopie.
Gdy się opilec nasycił do woli,
Usypia drzemką na poły śmiertelną;
Budzi się, czuje, że go głowa boli,
I woła znowu o truciznę chmielną.
Rusin przy kuflu, jak Ikar, nie zginie,
Lecz chwali Bacha, pijąc nieleniwo.
Imię Cerery dał swej mieszaninie,
Bo troje bożyszcz wynalazło piwo:
Bachus wesoły, co sady rozchmiela,
Neptun, co wodą kryształową służy,

A trzecia Ceres, co zboża udziela;
 Tak piwo karmi, upaja i durzy.
 A Bachus, widząc, że Rusini radzi,
 Że w smak śmiertelnym jego dobre dzieła,
 Wszędzie chmielowe latorośle sadi,
 By pamięć daru wieczyście słyęła.
 Więc chmiel się wije na krzepkiej podporze,
 Niekiedy drzewo przerasta o głowę;
 Bachus go pieści, rosnąc dopomoże,
 I sadi przy nim tyczki leszczynowe.
 Na niej szczepione okręca się ziele,
 Gałąź z gałęzią jednoczy się snadnie,
 Jak mąż i żona, jak dwaj przyjaciele, —
 Kto nie ma pary, na ziemię upadnie.
 Kiedy leszczyna, rosnąc na uboczu,
 Lub młoda wierzba swoje ramię poda,
 Chmiel ją swawolnym uściskiem otoczy,
 Rosną we dwoje, jako para młoda.
 Krzew Bachusowy nie tylko w gęstwinie
 Nad nieczułemi drzewami się znęca:
 W człowieczej głowie czepia się i winie,
 W pijanem oku cały świat okręca,
 Wyuczy skoków, ozuchwali rękę,
 Ognistą śmiałość wywoła do głowy,
 Szepnie do ucha wesołą piosenkę,
 Którą wyśpiewa biesiadnik kuflowy.

XXII.

Bachus sarmacki rad, że się przyjęło
 Chmielowe zielsko, po niedługim czasie,
 Uczy przychodnie uprawiać swe dzieło,
 Gdzie jeno łąka do uprawy zda się.
 A w tej uprawie biegli Haliczanie
 Ciągną ze chmielu korzyści nielada:
 Ich towar głośny, póki świata stanie,
 Kupią go wszędzie, kędy Bachus włada.
 Chmiel i winograd, dwaj bracia rodzeni,

Z nich jednakowa i cześć, i ozdoba,
 Jednakim kształtem każdy się zieleni,
 Zarówno podpór potrzebują oba.
 Winograd liście na wiązce obwija,
 Do chmielu służy leszczyna, co w borze;
 Winograd wicią mocują do kija,
 I chmiel bez tyczki ostać się nie może.
 Chmiel i winograd jednako się plenią,
 Każdy z korzonków rozmnażany bywa;
 Zbiór winogrodu przychodzi jesienią,
 I chmielna szyszka wtedy się obrywa.
 Wino umysły napawa weselem,
 I krąży głowę Bachowej czeladzi;
 Nie gorzej z naszym powodzi się chmielem,
 Sarmackie zielsko zarówno oczadzi.
 Pijaństwo, zjęte węzły braterskimi
 Panuje krajom i dodawa chluby;
 Każdy wychwala owoce swej ziemi:
 My nasze piwo, Grek swoje Cekuby.
 Z winnego kraju śpiewak Iliady
 Opiał swe wino pod niebieskie sfery;
 A chmielny kufel halickiej biesiady
 Bierze początek z Bacha i Cerery.
 Na cześć Neptuna wlej wodę z potoku,
 A będzie napój wdzięczy dla żniwiarzy;
 Lecz jakieś bóstwo w złośliwym widoku
 Z darów Cerery truciznę nam warzy.

XXIII.

Nie wiem zaiste, kto w pierwszej osnowie
 Ognisty napój wymyślił z gorzelnie?
 Kto jest ów zbrodniarz i jako się zowie? —
 By go przekłębtemu oddać nieśmiertelnie.
 Przebóg! nie z Rusi ta zaraza roście,
 Nie znano w wioskach takowej niedoli;
 Chyba bogaty w chorobie lub poście
 Zażył kropelkę orzeźwieniu gwoli.

Ktoś nieprzyjazny — Szatan mu na imię —
Styksowym jadem chciał zatruć nam zmysły:
Wynalazł napój, wywarzony w dymie
I w czarnej sadzy gorzelnej wytrysły.
Skażone przezeń usta pijanicy
Zabójczy oddech wyziewają zdala;
Ktoś bierze dochód, a wieśniacy dzicy
Piją, choć cierpią, choć pierś się przepala.
Pijąc, przeklina truciznę paloną,
A traci na nią wszystko do szeląga;
A choć gorączka przejada mu łono,
Na nowo rękę do czary wyciąga.
Gdy czadna para w mózgu się zakręci,
Trucizna członki ogarnia co chwila,
Wtedy opilec pragnie tem goręcej
I pożądliej kielichy wychyla.
Wnet się zawściekla, w oczach mu się dwoi,
Kłamliwa kraska na twarzy zakwitnie,
Wola samopas bezrozumnie broi,
Na czole bezwstyd osiada dobitnie.
Krzyk zamiast mowy i przekłętwa krocie,
Gniew zamiast słowa i pochop do wojny,
Zamiast wesołych gwarów przy ochocie,
Żart obelżywy, lub śmiech nieprzystojny.
Szatan się cieszy, że zdołał bezwładnie
Zakować rozum i uwikłać w pęta.
Jeniec upada, na ziemię się kładnie,
Istoty ludzkie leżą jak zwierzęta.
O! żaden napój, ani żadna praca,
Tyle ni ogni, ni waśni na świecie!
Tak słabną siły, dzielność się utraca,
I marnie idą najpiękniejsze lecie.

XXIV.

Choć ruska ziemia nie ma winogradu,
Za to nam pszczoły miód obficie wloką;
Dość jeno zajrzeć do lasu lub sadu,

Tam pełno plastrów z klarowną patoką.
Rosa niebieska upada na kwiatek,
Stamtąd ją pszczoła pracowicie zgarnie,
W spróchniałych drzewach zamożny dostatek
Drobne owady lepią gospodarnie.
Podkurzą ule kmiecie pracowici
I biorą plastry ze pszczelnej budowy.
Miód z chmielną wodą kiedy się rozsyci,
Tworzy się napój posilny i zdrowy.
Włoski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
Co twoje wina przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistej i szarej,
Miód prosto z niebios spuszczone być musi.
Miód rosa niebios i manna jedyna —
Pszczółka ją zbiera do swego zacisza;
Miody sycone lepsze są od wina,
O ile Bachus niższy od Jowisza,
Jak wyższe niebo nad poziom ubogi,
Skąd się wyradza winogronna trawa.
Miodem zaiste nieśmiertelne bogi
Kwitnąca Hebe w Olimpie napawa.
Bo żniwem bogów są górne obłoki,
Człek żyje z tego, co ziemia przysporzy.
Niech inszy w winie piją ziemne soki,
My Haliczanie mamy nektar boży.
Szczęsny Rusinie! od niebios masz wsparcie:
Krople jutrzeńki i wieczornej tęczy,
Szczęsna twa ziemia, obfite twe barcie,
Starowna pszczołka wesoło ci brzęczy;
Gęstemi rojmi w wypróchniałem drzewie
Mnożą się pszczoły zatrudnione pracą;
Często ukryte, że i człowiek nie wie,
Nikomiu miodnej daniny nie płacą.

XXV.

Chcesz, czytelniku? mam powieść do rzeczy,
Wszak starych żarty wesołe bawiły;

Wielki mąż nigdy powieściom nie przeczy,
Przyjm to za prawdę, czytelniku miły;
I królom nieraz baśnie spodobały,
Więc przebacz, żeśmy łatwowierne żaki.
Stał sobie w lesie pień stary, spróchniały,
Zbiły go żółny, podgryzły robaki.
Tam, kiedy światło słoneczne postraszy,
Do pustej rdzeni chowała się sowa,
Snadź, kiedy sejmik zgromadzi się ptaszy,
Wypaść, znienacka na zdobycz gotowa.
Wkońcu i mieszkać sprzykrzyło się sowie;
Pień stanął pustką stoczony i zgniły.
Robocze pszczoły dostrzegły pustkowie,
I tutaj, brzęcząc obóz założyły.
Swego monarchę przywiodły do ula,
Ten zajął państwo szerokie z rozkoszą,
Zasnuły plastry i chatkę dla króla,
I zwolna miodem kryjówki zanoszą.
Zbierają plony, co Niebo dać raczy,
Gdzie żadna w ciszy nie zastraszy burza,
Nie płacą ludziom corocznych haraczy,
Nikt nie podrzyna, nikt ich nie podkurza.
Rzeczpospolita, gdy tyrana złoży,
Zwykle silnieje i wzrasta zamożnie:
Cheiwy poborca czynszem nie zuboży,
Wieśniak dla siebie swoje plony później,
Sterczy do niebios obfita stodoła,
Szerzą się trzody, mnożą się owczarnie;
Tak pszczołki, człeka nieznające zgoła,
Pracują chętnie, bo nikt nie zagarnie.
Przez mnogie lata do kryjomych składów
Coraz bogatsze gromadzi się mienie,
To praca wnuków, tam praca naddziadów,
Plon z pokolenia idzie w pokolenie.
Cała rdzeń dębu plastrami zakryta,
Aż do wierzchołka stos miodu urasta:
Tak kiedy króla pozbył się Kwiryta,

Wnet uzamożnił mury swego miasta.
Zgłodniały niedźwiedź dopatrzył zdobyczy
I w starych plastrach pożywiał się dosyć;
Wkradał się często w otwór tajemniczy,
Głód go nauczył przeciwności znosić.
Nic mu sękata gałąź nad otworem,
Nic, że od żądał paszczęka opuchnie.
Tymczasem Rusin, wędrujący borem,
Obaczył pszczoły, że lęgną się w próchnie.
Niełacny przystęp, lecz warto zachodu
Drzeć się przez chrósty i widłate sęki.
Włazi na drzewo, widzi pełno miodu,
Ale nie sposób ująć go do ręki.
Więc myśli w duchu: Wnijdę do czeluści,
Tu mi nie będzie głębiej, jak po ramię!
I w środek dębu odważnie się spuści,
Ciężarem woski ugniata i łamie.
Ale niestety! to zamiar niewczesny,
Pierś dębu była próżna aż do ziemi:
Ugrzeza w miodzie, jako ptaszek leśny,
Schwytan na lepie sidły ptaszniczemi.
Jak owad w smole, tak Rusin w patoce,
Tem głębiej grzeźnie, im w górę się bierze;
Więc się szlochaniem rozwodzi szeroce,
I wzywa Boga, i mówi pacierze:
— Jak się wydostać z tej dębowej ściany,
Gdzie się nie ruszyć ni ręką, ni nogą?
Jak skruszyć żółte woskowe kajdany?
Zbawiłby powróż — tu niemasz nikogo!
Nikt mię powrozem w górę nie wywierci,
Tu mię zamorzy miodowa niewola.
Lecz mniejsza umrzeć, ale czekać śmierci
W słodkiem bagnisku! biednaż moja dola!
Widzieć za życia, że już po pogrzebie,
Na śmierć powolną patrzeć licem w lice...
Jeśli jest jakie miłosierdzie w Niebie,
Wybaw mię, Boże, z miodnej grzeźawicy!

O dolo moja! wzywam cię nieśmiele,
O dolo moja! wyratuj mię z matni!
Słodkie są miody, lecz ich tu za wiele,
Kleją mi usta i oddech ostatni!
Tu samo płynie, za usta się bierze,
Nie trzeba zgoła trudzić się rękoma;
Tutaj mój obiad, tu moje wieczerze,
Już mi, niestety, nie wieczerzać doma!
Złodziej się dowie, że gospodarz w kniei,
Do mojej chaty wnijdzie pokryjomu,
Ja tutaj w sidłach — któż pojma złodziei?
Już mi, niestety, nie wrócić do domu!
Nie śmiem się spodzierać, lecz jeśli z tych jarzem
Raczysz mię wyrwać, Miłosierny Panie,
Ślubuję złożyć przed Twoim ołtarzem
Dary bogate, na jakie mię stanie:
Ślubuję przynieść woskową gromnicę,
Grubszą i większą, niż ten dąb na trawie,
I tysiąc kadzi miodowych nasyce,
I na tem miejscu świątynię postawię!

Jedno się sądy uśmiechnęły Boże
Z kłamliwych ślubów w ocaleniu zdrowia.
Oto... coś ciemno w dębowym otworze,
I ryk straszliwy drgnął echem pustkowia;
Człowiek oniemiał, we dwoje się skula,
Bo zwierz kudłaty wpełza do zacisza;
Niedźwiedź, przywykły wkradać się do ula,
Przyszedł, nie sądząc znaleźć towarzysza.
Wyciąga szyję po plastr upatrzony,
Jako zwykł czynić borowy bandyta;
W złamanym wosku zatapia swe szpony,
Gdy człek zniemacka za łapę go chwyta.
Cofa się z ciemna, przerażony srodze,
A Rusin, widząc, że mu szczęście płuży,
Krzepko uczepon na kudłatej nodze,
Pomknął się w górę z gleistej kałuży;
Człek łapę zwierza schwycił jak żelazem,

Zwierz, by ją wyrwać wysilenie czyni,
Tak, przerażeni, wspinając się razem,
Wyszli łupiescy ze pszczelnej jaskini.
Niedźwiedź, ze strachu umarły na poły,
Upadł na ziemię — Rusin go dogrzmota.
A ów, co stawił świece i kościoły,
Zapomniał Bogu poślubione wota.
Ubryzgan w miodzie i we krwi niedźwiedziej,
Wymknął się z lasu, jako mara blada;
Przyszedł do domu — zesłi się sąsiedzi,
A on im swoje dziwne opowiada.

XXVI.

Dotąd wam lasy snułem przed oczyma,
Teraz do miasta zabłądzić się musi.
Tutaj Lwów święty przodkowanie trzyma,
A wieże jego — to ojcowie Rusi.
Witaj nam, grodzie poważny a stary!
Miła w twych murach wypocznienia chwilka.
Od ciebie wieje namaszczenie wiary,
A bramy twoje zaparte od wilka.
Nigdy łupieżca haraczu nie bierze
Ze krwi i runa owczarnie tej ziemi;
Bo tutaj mają tron Arcypasterze,
Ich czujne oko niełacno zadrzemie.
Oni, starowni w służbach Zbawiciela,
Pilnują wiary i pokory serca;
Senat starunek pasterski podziela,
By nie siał jadu żaden nowowierca.
Lwowie kamienny! nowość cię nie mami,
Nie daj się zachwiać jako wątłe ziele!
Wiekować tobie z twojemi basztami,
Z twemi kościoły i krzyżem na czele,
I z twoją górą, co ku Niebu idzie, —
Łacno ją dojrzeć i w najdalszej stronie.
Tuśmy gościnnie dali Pierydzie,
Tu mieszkają chętniej, niż na Helikonie,

Jak gość odwiedza świątynie i bramy,
I woła głosem z płomienistą twarzą:
Lwowie! my ciebie z cześcią pozdrawiamy,
Bo losy świata w twych murach się ważą.
Inny kraj skarby pojedyncze liczy,
Tu wszystkie skarby gromadzą się cudnie;
Bo tu jest ziemia, którą graniczy
Lodowa północ i wrzące południe.
Co rodzi ziemia na północnej osi,
Wiozą moskiewskie telegi i sanie;
Co pod równikiem natura przynosi,
Tu idzie lądem i po oceanie.
Nad temi dachy złoty obłok płynie,
Wieżycę mglistą owionionę szatą;
Zda się w niebiosach te wszystkie świątynie,
Co tak ozdobne świetnie i bogato.
Tutaj krom innych w cichym monasterze
Są pracownicy Chrystusowej niwy;
Prawo Bernarda wypełniając szczerze,
Wiodą ojcowie żywot wstrzemięźliwy.
Dalecy świata, zapomniawszy siebie,
W szarej sukmanie, jak ustawa każe,
Żyjąc o kupnym lub zebrany chlebie,
Dzienne i nocne wymodlają strażę.
Za nic im cisza, czuwanie i posty,
Nie straszna duszy bezsenna fatyga;
Każdy z nich ciało nie oszczędza chłosty
I krzyż ubóstwa, z dostojnością dźwiga.
Owo włosaci handlowni Ormianie
Przywożą towar ze Wschodu bogaty;
U nich tureckich kobierców dostanie,
U nich złotogłów i jedwab na szaty;
Wonny cynamon, co lubimy tyle,
Do ich towarów przywoźnych się liczy;
Pieprz, trzcina, imbir i słodkie daktyle,
Kwiat muszkatowy i szafran dziewiczy.
Tu porzuciwszy macierzyste progi,

Domem osiedli armeńscy mężowie,
Wznieśli swój kościół obszerny i drogi,
I swym obrządkiem modlą się Jehowie.
Tu, grecki Rusin i domami żywie,
I grecką wiarę swobodnie wyznaje,
I swoje cerkwie buduje szczęśliwie,
I swojej cerkwie pełni obyczaje.

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
Chałupy żydów, odartych nędzarzy;
Każdy jak kozieł oszpecony brodą,
Z wieczną bladeścią na uściech i twarzy.
Niesfornym krzykiem wre ich synagoga,
Wrzeszczą w sto głosów modlitwę sabatu,
Ich ślepa ciżba urąga się z Boga,
I prosi o to, co już dano światu.
Spytasz: przez wilka wpuszczać do owczarnie?
Co tutaj robi ów chytry ród węży?
Nieprawe zyski najłapczywiej garnie
I srogą lichwą ubogich ciemieży.
Wszak robak dębu nie wyniszczą razem,
Lecz go na próchno przegryza pomału.
Jak rdza się pastwi nad twardem żelazem,
Mól szkodzi sukniom, a pijawka ciała,
Tak żyd-włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wroście,
Nasze bogactwa pozrze i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłość.
Obaczą króle, skąd szkodliwa rana,
Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyssana,
I wszelkie życie obumarłem zda się.

Zwróćmy oblicze od tego narodu,
Kląć się nie godzi, — żegnajcie, niewierni!
Wracajmy raczej do pięknego grodu,
Co się z daleka bieleje i czerni.
Pamiętne miasto, urzędy i prawo,
Wyniosłe wieże i wysokie bramy,

Sarmackich królów gościnna zabawo,
 O święty Lwowie, gdzie chętni bywamy!
 Od twoich murów aż się mży powietrze,
 Twe szyby błyszczą, jak gdyby ogniska,
 Z twojemi baszty aż chmura się zetrze,
 A stopa twoja podziemie naciska.
 A zegar, wdzięcznie bijący na wieży,
 Ciche godziny rozwlekłe ogłasza;
 Czas wzięty w kluby wskazówką się mierzy,
 W koło go wprzegła umiejętność nasza.
 Młotek uderza po dźwięcznym metalu,
 Echo powtarza za każdą godziną:
 Minęła chwila!... o warta jest żalu,
 Bo czas szacowny bez powrotu płynie!

XXVII.

Pora zanucić o Zamościu pienie.
 Sam Bóg do murów powołał te cegły,
 Oto rzucono węgielne kamienie,
 W gwieździe Saturna cne czasy się zbiegły;
 Wertumnus w jasnej przyświeca kolei,
 Merkury wdzięczne wyjaśnił oblicze,
 Gwiazda Jowisza i miłej Astrei
 Świeci na nowe mury sądownicze,
 Gdzie zbrojna w zakon zasiędzie na nowo
 Z radnemi pany Temis sprawiedliwa.
 Tam kują mury wieżycą spiżową,
 To postrach wrogów, to twierdza Gradywa.
 I Mars zawołał: To moje Zamoście,
 Tutaj stolica wojennego boga;
 Prędzej tu działał spiżowe zanoście,
 Tu sarmackiemu rycerstwu załoga!
 Siła turecka w tych murach się złamie,
 Tych baszt spłoszony Tatar nie zdobędzie,
 Nie stać na rozcież Janusowej bramie,
 Gdzie Mars żelazny na stolicy siedzie!

XXVIII.

Stary Kijowie, starych kniaziów dworze,
Co masz pamiątek z upłynionej chwili!
Wieśniak je chyba na stepie wyorze,
Lub ktoś wykopie z gruzów i badyli.
Mówią o szczątkach starożytniej Troi,
Ale ja basień kłamliwych nie chwale.
Powiedz mi, Poncie; o przeszłości swojej,
Gdzie owe łodzie, coć barwiły fale?
Gdzie źródła Idy, albo Samoenty,
Przy których stała Pergamu ruina?
Stary Kijowie! ja wierzę w tve szczęty,
To mi tatarską klęskę przypomina.
O! często wroga widziały tve wieże,
Niszczyli wioski łupieżcy dalecy;
Nie darmo oracz i na pole bierze
Pałasz do boku a kołczan przez plecy.
Krwia już przesiąkła skiba na poparze,
Krew się rumieni na kłosach ze żniwa.
Nieraz, gdy siądą południać żniwiarze,
Wróg uzbrojony obiad im przerywa.
Przebrzydły Tatar, we zbójeckim tłumie,
I nasze wioski niszczy i zapala,
I Dnieprem przebrnąć i przyplnąć umie,
Choć fala Dniepru jako morska fala.
Wiąże na trzcinę, krępuje do łyka
Bezbronnych jeńców, a strzegąc swej głowy,
Przed zbrojnym mężem na koniu umyka.
Gdzie niesie noga i wicher stepowy.
Goloną głowę kosmykiem oszpeca,
Goloną szyją czerwienieje sprośnie,
Okrom czupryny wygolonej nieco,
Na całej twarzy żaden włos nie rośnie.
Niekiedy broda na ich twarzy dzikiej
Sterczy obrzydłe, lecz częściej twarz naga;
Jeno się z głowy wiją dwa kosmyki,

To jeszcze bardziej straszyc dopomaga.
 Na czarnej Rusi Kijów dla pielgrzyma,
 Jako Rzym dla nas, bo świętym się zowie.
 Myślisz, na Rusi swoich cudów niema?
 O! są tu cuda we starym Kijowie.
 Są tu pod miastem głębokie pieczary,
 Gdzie dawnych książąt drużyna spoczywa,
 Proch wielkich mężów szacowny i stary
 Liczy za świętość wiara niewątpliwa.
 Nie ich zgnilizna, ni czas nie odmieni,
 Pod szkłem wiekują nieskażone prochy.
 Takie są cuda pieczarnych sklepieni!
 Kto je wykopał? kto wyrył te lochy?
 A tak daleko ich pasmo się znaczy,
 Że królom kować nie stałoby złota;
 Ja zasię wierzę twierdzeniu badaczy,
 Że to krom dziwów natury robota.
 W ziemi są rzeki, jako pulsa w ciele,
 Płyną w jej piersiach pieczarą ukrytą;
 Jak rzeka u nas ma kierunków wiele,
 Tak i podziemna zmienia swe koryto.
 Tymczasem przejdzie wiek jeden i drugi,
 Łożysko wyschnie i stęży się w ścianę;
 Tak wiekuiste utworzą się cugi,
 Jak gdyby lufty młotem wykowane.
 Ruskie pieczary takiego są dzieła,
 Które lud cześci poważnym obrzędem.
 Niegdyś tu rzeka podziemna płynęła,
 Dziś jeno lochy, wyrwane jej pędem.

XXIX.

A ty, Kamieńcu, słynny znakomicie!
 Kto godnie twoją wyśpiewa pochwałę?
 Kto cię osadził na twardym granicie?
 Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę.
 Nie z ręki ludzkiej, nie z uczonej karty,
 Lecz na skinienie wszechmocnego oka,

Na jednej skale cały gród oparty,
 A całe miasto to jedna opoka.
 Bóg, nie zaś człowiek, wykował cię z głazu,
 Bóg, nie zaś człowiek, zdobędzie cię siłą;
 Człek jest zrodzony, tyś stworzon do razu,
 A stworzon pierwej, gdy człeka nie było:
 Gdy przyjdzie skonać zastarzałej ziemi,
 Ty musisz skonać, jej urodzin świadku;
 Lecz jakieś stanął przed miastą inszemi,
 Tak i zaginiesz chyba na ostatku.
 Nie bój się, człeku, bo cię Niebo trzyma,
 Lecz gdy powstaniesz na Ojca, co w Niebie,
 Znajdzie się mściciel na miasto olbrzyma,
 Ten, co cię stworzył, i w prochu zagrziebie.
 Módl się do Pana — masz znaczne kościoły,
 Masz tron pasterski, skąd żeganie bierzem;
 Kiedy Łuck musi dzielić się na poły,
 Ty sam, Kamieńcu, chlubnyś twym pasterzem.

XXX.

Owo Busk, który swojemi zakręty
 Dwakroć Bugowa otoczyła fala.
 Tu Sokal — pamięć potrzeby zawziętej,
 Któżby zapomniał wymienić Sokala?
 Gdzie wywyższany dom Bogarodzicy
 Wylewa światu miłosierdzia wiele?
 Owo Horodel — w mokrej grzędawicy
 Chowa żórawie i błotne chróściele.
 Beż, co z bagniska wydzwiga swe głązy,
 Gród wojewódzki na całą krainę.
 A ty, Przemyślu, szczęśliwy dwa razy,
 I ciebie w pieśni mojej nie pomnę.
 Godzieneś wzmianki, bo San słodkowody
 Twe mury swemi opasuje kręgi,
 I dwaj pasterze Chrystusowej trzody
 Złożyli tutaj trony swej potęgi.
 Nie mało u nas i źródeł się liczy,

Bogatych solą, jako łaską Bożą;
 Tu pierwsze miejsce źródłem Drohobyczy,
 Skąd sól ojczystą w całą Ruś rozwożą.
 Miasto Chełmińskie z okolicznym krajem
 Jasno bieleje, bo tu kredy dosyć.
 Pasterz tutejszy, starym obyczajem,
 Winien nazwisko chełmińskiego nosić,
 Lubo Krasnystaw przez różne koleje
 Odjął świątynię zacnej metropoli.
 Tu, mówią, sosna ścięta kamienieje;
 Nigdy nie widział, słyszałem do woli.
 Pod Krasnostawem szerokie jezioro
 Nadało miastu imię od swej fali;
 Rzeka Wieprz, płynąc ogniście i skoro,
 Zatopi łąki i lasy obali.
 Wieprzowa woda rozlana w jezioro,
 Tworzy zatokę, albo przesmyk rybny;
 W pienistych wirach rybołowy biorą
 Do swoich sieci połów nieochybny.
 Widziałem w rzekach ryb wszelkie rodzaje
 I w przepaścistej jeziora czeluści;
 Przepławna rzeka wolny połów daje
 Każdemu z ludzi, co siatkę zapuści.
 Nie biorą plonów właściciele sami,
 Lecz wszelki ziomek Pospolitej Rzeczy:
 Wolno mi ptaszki łowić pod chmurami,
 A któż mi w rzece poławiać zaprzeczy?
 Jezioro w karbach wiekuistej haci
 I rzeka rybna, to są dary Boże:
 Nie kopał rzeki żaden z moich braci,
 Żaden wyłącznie korzystać nie może.

XXXI.

Nie będę w dłuższym rozszerzał się liku,
 Choć godne piesień nasze miasta skromne;
 Poczynasz tęsknić, śpieszny czytelniku,
 Więc grodów ruskich ostatek przepomnę,

Rozpowiem zwyczaj i obyczaj wszelki,
Jakowym ludzie rządzą się na Rusi.
Gdy dziecię wyjdzie z łona karmicielki,
W leconej wodzie omywać się musi.
Zaledwie pierwszym wołaniem zawoła,
Jako natura uczyła niemowę,
Wnet się dziecina niesie do kościoła,
Gdzie chrzestny strumień leją jej na głowę.
Wioskowe dziecko zaledwie w powiciu,
Zaledwie Boży świat ujrzy z oddali,
Słuszna mu płakać, bo przy dalszem życiu
Niemają ciężar na barki się zwali.
Słuchaj, jak matka nad małą kolebką
Śpiewa jękliwie i w nocy, i we dnie:
Nie płacz, malutki! a hoduj się krzepko,
Te łzy, to twojej doli przepowiednie.
Poczynasz płakać i tak aż do końca
Płaczliwa będzie piosenka twej dole!
Rzekła, i usta spiekłemi od słońca
Kładzie całunek na drobne pachole.
A dziecię słucha, i klaskając w usta,
Ssie pierś matczyną z zapalem słodczy;
Ale pierś matki znędzniała i pusta,
Pokarmu niemasz, a niemowlę krzyczy.
Matka z niem cierpi we dwójnasób tyle,
Idzie na strumień lub staw niedaleki,
I niby grozi: Poprzestań na chwilę!
Poprzestań płakać, bo wrzucę do rzeki.
Zjedzą cię ryby, co na wodzie płyną.
Ej przestań, mały, ostrzegam zawczasu:
Ot idą wilki! a cichoż, dziecino.
Bo cię wyrzucę wilkowi, co z lasu.
Cicho, mój kwiatku! coś boli dziecinie,
Albo wróżbitka złem okiem urzekła.
Nieszczęsne oko niech marnie wypłynie!
Bogdaj wróżbitkę wleczono do piekła!
Są u mnie wnuczki malutkie i hoże,

Główki kraskami i wstążkami kwiecą:
 Oddam ci wszystko, ucichnij niebożę...
 Ha! ha! ucichło i zasypia nieco.

XXXII.

Więc chrzestne baby do cerkwi je wiodą,
 A cerkiew ruska o dwoistej bani,
 A w cerkwi pieją z niegoloną brodą
 I z długim włosom tutejsi kapłani...
 Kuma przychodzi i o chrzest się kłania,
 Ksiądz albo prośby, lub datku posłucha.
 Często na Rusi z chrzestnego nazwania
 Bywa wróżbiarska na przyszłość otucha.
 Ileż tu głosów zabobonnych tleje
 I ludzkich podań zastarzałych zwłaszcza!
 Wtem kapłan wodą dziecinę poleje,
 Chryzmatem czoło, pierś, usta namaszcza,
 A kiedy święte odmówił wyrazy,
 Już się zbawienna dokonała praca;
 I tak omyte z pierworodnej zmaży,
 Dziecię z imieniem do domu powraca.
 W drżącej kolebce, uwinione w szmaty,
 Ma pokarm gruby i niewiele warty;
 Nie często matka przychodzi do chaty,
 A dziecko rośnie, jako dziecię Sparty.
 W pierwszej igraszce niedorosłe dziecię
 Ocuła kostur powrozami z łyka,
 I niby jedzie na żartkim dzianecie,
 Harcuje, skacze, w kółko się pomyka,
 I chłosta różdżką nieżyjące drewno,
 Jak gdyby rycerz sprawia się z rumakiem.
 Ruś, wzięwszy drogę od pradziadów pewną,
 Idzie do końca staroświeckim szlakiem.
 Pełni przyjęte obyczaje wschodnie
 I wschodnią wiarę nieodstępnie trzyma...
 Rzymskiego prawa majestat monarszy,
 Swojemi gromy tej wiary nie skruszy.

Jako z podania nauczyli starszy,
Tak Rusin wierzy w uległości duszy.
Długie i mnogie zachowuje posty,
We dni przedświątne jada wstrzemięźliwie,
A jego pokarm roślinny i prosty,
Co jeno rośnie w ogrodach lub niwie.
Woda za napój służy dla człowieka,
Za pokarm bierze zieleninę polną,
A zasię mięsa lub udoju mleka
W dni umartwienia zażywać nie wolno.
W post się cielcowi mleko nie odbierze,
Od piersi matki nie odłączy jagnię;
Rusin nie czyni, jak owi kacerze,
Postnych wędzideł przełamać nie pragnie.
W dniach łez bolesnych, świętego zapału,
W dniach Twojej śmierci i pogrzebu, Chryste,
Kiedyby słuszna człowieczemu ciału
Odjąć wygody i żądze nieczyste,
Gdy wszyscy płaczą, heretyk się cieszy;
U niego mięsna zbytkowna biesiada,
Kiedy u wiernej chrześcijańskiej rzeszy
I ognia w domu niecić nie wypada.

XXXIII.

U nas na Rusi czasem przyjaźń święta
Mocniej niż związek krwi powinowaci;
Gdy dane słowo, prawica ściśnięta,
Obcy się zwiążą stateczniej od braci.
Przyjaźń wieczystą u stopni ołtarza,
Biorąc Sakrament, przysięgają mężę;
A rzadko rozbrat przyjaźni nadarza,
Kto pobratymstwo w cerkwi zaprzysięże.
Kradzież jest jako przemysłu gatunek,
Kto zasię odkradł, z odwetu się szczyci.
Umieją warzyć czarodziejski trunek
Tutejsze wróżki i starzy wróżbici.
Widziałem nieraz o wieczornym mroku

Lecące baby i wróżki złowieszcze;
 Widziałem, jako w bezchmurnym obłoku
 Swemi zakłębmi sprowadzały deszcze.
 Potrafią wodę zaburzyć wyrazem,
 Szkodzić usiewom, załamywać żyto,
 I doić powróż, a za każdym razem
 Mleko z powroza wytryska obfito.
 Nieraz kochanek, posłuszny ich woli,
 Choćby z za morza do kochanki przyjdzie;
 Nie pióra orle, nie polot sokoli,
 Nie twoje skrzydła służą mu, Kupidzie!

XXXIV.

Tęskną miłością po swoim Fedorze
 Pałała młoda Rusinka Fedora.
 Ognistych uczuć zataić nie może,
 Miłość jak iskra do wybuchu skora.
 Idzie z darami do wróżbiarki wiernej,
 I tak wynurza boleść swego ducha:
 Władczyni piekieł, o córko Awerny,
 Coć czarna fala Acherontu słucho!
 Powiedz mi, powiedz, gdzie bawi mój miły?
 Przywiedź go rychło do mojego łona:
 Choćby nas kraje zamorskie dzieliły,
 Zaklnij, niech przyjdzie, bo umrę strapiona.
 Przez ostre głązy, przez morskie rozdoły
 Wnet niech pośpieszy i rękę mi poda.
 Niech mi go wróćą przyjazne żywioły,
 Czy to powietrze, czy ziemia, czy woda.
 Jeśli mię radą wesprzeć nie zechcecie,
 Nie zdołam przenieść mego serca burze!
 Rzekła wróżbiarka: Uspokój się, dziecię,
 Co może sztuka we wszystkim usłużyć.
 Przyjdzie kochanek z uściski czułem,
 Choćby go otchłań ukryła od świata,
 Utopion w wodzie, zakopany w ziemi,
 Albo z duchami po powietrzu lata.

Gdy nów niebieski promieniem wystrzela,
Wynijdź wieczorem w wesolej otusze;
Ja warząc proso i czarowne ziela,
Mieszać je będę i zaklinać duszę.
Z pośrodką mroku widziadło człowiecze
Zdołam wywołać dobitnie a rzeźwo.
Duch nadpowietrzny odpowiedź wyrzeczę,
Echa ciemności głosem się odezwą.
Zawyje puhacz, zastękną otchłanie,
A ziemia zadrży i hukiem wystrzeli,
Otworzy przepaść — a przed tobą stanie
Widmo po widmie, to w czerni, to w bieli.
Gdy się w widziadłach ciemność zawieruszy,
Pomnij, Fedoro! nie trwój się w tej porze.
Twego kochanka miej obecnym w duszy,
A wara imię przypominać Boże!
Z Bogiem nie zdobyć piekielnych podwoi,
Niebios i piekieł rozliczna jest władza:
Kogo Bóg wspiera, to szatan się boi;
Kto trzyma z piekłem, Bóg mu nie przeszkadza.
Siądziesz na ziemi odważnie i śmieie,
Wywrócisz suknię bramowaną w szlaki;
Ja ci uszpilę czarodziejskie ziele,
Co cię ochroni od klęski wszelakiej.
Sam ogień zstąpi żarzysty i nagły,
War czarodziejski ogrzeje widocznie,
Kipiąc w ukropie nasienie od jagły
Takiemi słowy naszeptywać pocznie:
Przybądź, Fedorze! pośpieszaj, mój drogi!
Kochanka trunek czarodziejski warzy.
Jeśli przybędziesz, unikniesz pożogi;
Jeśli omieszkasz, ogień ci doskwarzy!

Tak czarownica na Fedorę godzi,
A ta z nadzieją oddała się od niej.
Tymczasem słońce wieczorne zachodzi,
Płoni się zorza na stronie zachodniej,
I fale wodne zabłyły jaskrawo,

Ziemia się czarnym całunem powleka,
I sen, brat śmierci, nałożył swe prawo
Na ciężką głowę strudzonego człeka.
Wszystko ucichło, aż pies gospodarczy
Ozwie się czasem, strzegąc domowiska,
Grzmotliwie, gniewnie zaszczeka, zawarczy,
Echo powtarza odgłos jego pyska.
Albo gdzie puhacz, siedzący na strzesie,
Złowrogim jękiem aż w serce zagrzmotnie;
Głos jego smutne przepowiednie niesie
Czułym kochankom, co tęsknią samotnie.
Fedora, wzięwszy otuchę do łona,
Tęskni po lubym spłakana i blada;
Jako turkawka w locie postrzelona,
Błąka się w ciemnie i na ziemię pada.
Daremnie jęczy, tarza się po ziemi,
Lecz serce wszędzie jednako płonęło.
Przychodzi wróżka z zioły zatrutemi
I czarodziejskie rozpoczyna dzieło.
Czartom i widmom daje hołd ofiarny:
Lecą maskary na głos czarownicy,
Stawi się kozieł kudłaty i czarny,
Włos jego gęsty, a oczy jak świece,
Pyskiem i nozdrzmi płomieniście bucha,
Straszliwe rogi na głowie mu sterczą.
Idzie doń wróżka i zaklina ducha;
Duch jeno okiem migoce morderczo,
I pyta wróżki, co uczynić może?
Ona mu każe w strasliwym napiewie:
Idź, kozieroźcu, na ląd i na morze,
Przynieś na grzbiecie kochanka tej dziewie!
Rychło go znajdziesz, gdy przyśpieszysz kroku,
Wnet go wyszukaj choć w ciemnej pieczarze,
Nieś go przez morza, nieś go przez opoki,
Czy śpi, czy czuwa, dopełnij coć każe.
Posłuszny kozieł zajęknął i zniknął.
A Fedor słodził swe wieczorne chwile,

Już od dawniejszej miłości odwyknął,
 Już drugiej dziewie dał serce motyle.
 Upojon winem i szczęściem pieszczoty,
 Chłodził po uczcie rozegrzane płuca.
 Stróż go piekielny czekał poza wroty,
 I rogiem bodzie, i na krzyż zarzuca;
 Strwożony Fedor nie wie, co się święci,
 Mniema, że trafem zawadził o kozła.
 Postać go chwyta, ponad lasem kręci,
 Kręci nad wodą i bystro powiozła.
 Baszty i wieże pod stopami lecą,
 Góry i wzgórki mżą się przed oczyma.
 Fedor, od strachu wytrzeźwiony nieco,
 Chciałby zeskoczyć, lecz odwagi nie ma.
 Poznaje w ciemnie znajome budowy,
 Poznaje wioskę, gdzie Fedora żywie;
 Stare uczucia przyszły mu do głowy,
 I wnet na ziemię spuścił się szczęśliwie.
 Reszty nie powiem, bo to reszta łatwa,
 Niech ją kto zechce skończy wedle siebie;
 Nasza się pieśń kolejno dogmatwa,
 Jak ruscy ludzie płaczą na pogrzebie.

XXXV.

Gdy już u trupa przestaje bić tętno,
 Stężale ciało żółcią się powleka,
 Wołają płaczkę, obrzędów pamiętną,
 Ta umie płakać i cudzego człeka.
 Jej łza przedaźna jako grad się sypie,
 Najemne zmarszczki wykrzywiają lice,
 I tak donośnie, przeraźliwie chlipie,
 Jakby jej wzięto życia połowicę:
 Poszedłeś, mężu, na wieczne pokoje,
 Już nam nie przyjdiesz osładzać niedolę!
 Komu twą chatę? komu dzieci twoje?
 Kogo zostawisz, by orał tve pole?
 Kto pójdzie ule podbierać z naczyniem?

Ty nam umarłeś — a my w tymże czasie
Głodem pomrzemy, tęsknotą zaginiem...
Poco umierać? wszak miałeś i zboże,
Miałeś i ogród — nędza nie ciemieży.
Siedem par cielic na twojej oborze,
Siedem par byków godnych do uprzęży,
Piętnaście krówek, przychodzących z lasa,
Do twego chlewa wieczorem się garnie,
Trzoda owieczek na pastwisku hasa,
Jest pełno mleka na naszej mleczarnie.
Starowna kokosz na podwórzu grzebie,
Pobiera ziarno, co w prochu zostawa,
Gęś kapitołska naokoło siebie
Ma trzodkę piskląt, zielonych jak trawa.
W pasiekach twoich, co kłoda, to roje,
Tysiące pszczołek pracuje nam gwoli...
Poszedłeś, mężu, na wieczne pokoje,
Już nas nie przyjdiesz pocieszyć w niedoli.
Kogo ja czule do serca przycisnę?
Na kogo spojrzę słodkimi oczyma?
Wszystko na świecie, wszystko nienawistne,
Gdy ciebie niema, i szczęścia mi niema.
Już sen żelazny zakował twe oczy,
Nie słyszysz jęków z wieczności dalekiej;
Niechże cię światłość wieczysta otoczy,
Bądź zdrów, mój luby! na wieki, na wieki!
Tak płaczka płacze, i krzyżem się ściele,
I długim jękiem oplakuje straty.
A tu przytomni idą przyjaciele,
Zwłaszcza gdy zmarły był człowiek bogaty.
Nad jego grobem, jako Cerkiew uczy,
Ksiądz śpiewa pieśnię, albo pisze kartę:
Pietrze, któremu dał Chrystus swych kluczy,
Co masz dla dobrych Niebiosa otwarte,
Otwierasz wnętrze niebieskich podwoi
I pełnisz strażę, kto do nich przybywa!
Oto nasz Iwan u wieczności stoi,

Niechże mu będzie droga niebłędliwa!
Pełnił, co każe cerkiewna nauka,
Był greckiej wiary zwolennikiem wiernym;
Kiedy więc we drzwi niebieskie zapuka,
Racz mu być, Pietrze, łaskawym odźwiernym.
Kiedy żegluje po górnym zakresie,
Niechaj go wichry nie zbiją daleko,
Niechaj wiatr święty do portu zanieśie,
Wesprzyj go, Pietrze, życzliwą opieką.
Skarbił twą łaskę po wszystkie swe czasy,
Byś mu rozjaśnił opiekuńcze lice;
Przed twojem świętem bez mięsnej przykrasy
Postem obchodził świętą piotrowicę.
Człek sprawiedliwy, a służebnik Boży,
Przed wasze bramy gdy zawita w gości,
Niech dobry klucznik bramę mu otworzy,
Niechaj go wpuści w krainę światłości.
Gdy będzie Niebios dopraszał się z płaczem,
Jego prostotę miej w życzliwym względzie;
On nie był mówcą, lecz jeno oraczem,
Może nieskładnie tłumaczyć się będzie.
Niech cię nie gniewa jego postać dzika,
Połóż duch jego na przychylnej szali;
Święty Rybaku! pokochaj rolnika,
Wyście po prostu Chrystusa kochali.
Gdy Ci to pismo dostanie się w ręce,
Racz, niech ustąpi wszelaka przeszkoda.
Znasz ducha, z jakim moją prośbę święcę,
Znasz ducha tego, co to pismo poda.
Potem trupowi ksiądz kładzie do ręki
Miedziany szeląg dla łatwiejszej drogi,
Aby w krainie wieczystej jutrzeńki
Zdołał usunąć wszelki traf złowrogi.
Często na Rusi obyczaj się spotka:
Na grobie ojców ciepły pokarm stoi, —
Śmieszny obyczaj! jakby dusza przodka
Miała potrzebę jadła lub napoi.

Gdy nie każdemu na biesiadę stało,
 Nie każdy w Niebo bez przeszkody wstąpi;
 Kto zaśię z uczcią pogrzebion wspaniała,
 Temu Piotr święty kluczków nie poskapi...
 Lecz już o Rusi bajałem bez liku,
 Pora zakończyć — bądź zdrów, czytelniku!

PIENIA LIRYCZNE
 MIKOŁAJA SMOGULECKIEGO
 NA CZEŚĆ ZYGMUNTA III KR. POL.
 przypisywane
 SARBIEWSKIEMU.

O D A I.

Zastęp cnót walczy pod sztandarami Zygmunta.

Diva subjectas domina coronas
 Quae manu spargis . . .

Bóstwo! którego prawica łaskawa
 Sieje korony i berła rozdawa,
 Co z tronów światu uchylonych nizko
 Czynisz igrzysko!

Bóstwo, przed którym potężni mocarze
 Drżący przestraczem, padają na twarze,
 I zawścieklonych żołnierzy-gromada
 Na twarz upada!

Co ulatując nad naszemi głowy,
 Łaskawie czynisz przegląd obozowy,
 Liczysz szeregi i z pełnego łona
 Żegnasz znamiona!

Oto wrogowie pierzchają w tej chwili!
 Jeno tarczami głowy zasłonili;
 Z naszych porpców ku pohańczej stronie
 Postrachem wionie.

Duch nowy wstąpił i w duszę, i w ciało,
 Czujemy w piersiach siłę niebywałą,
 Pogarda śmierci i rycerska sława
 W oczach nam stawa.

Niechże znów serce umocni drużyna!
 Wszakże Sarmatom obóz nie nowina,
 Nie po raz pierwszy idą nasze roty
 Pod sztandar cnoty.

Niechaj zwycięstwo na tureckiej dziczy
 I znowu chwała Sarmatom zaliczy,
 Niech piękny wawrzyn za tryumfy nasze
 Skronie przepasze!

Gdy wróg Zygmunatów zbrojnemi szeregi
 Donu obadwa opanował brzegi,
 A broń zelżywą czereda bydłęca
 We krwi poświęca;

Przy boku króla rycerze jak ściana,
 Drga na ich hełmach kita rozczochrana,
 Znak świętych trudów, a na całej twarzy
 Przyszłość się żarzy.

Od porankowej do wieczornej chwili
 Patrzyło słońce, jako bój toczyli;
 I słońce zaszło — rzeź jeszcze się sroży
 Przy blasku zorzy.

Gdy zgasły zorzy promienie ostatnie,
 Księżyc po słońcu zajął miejsce bratnie,
 Huf bohaterski jeszcze nie przerywa
 Swojego żniwa.

A Zygmunt czuwa, bo dusza ojcowska
 W bojowym gwarze zwycięstwem się troska;
 Snem wypoczynku, jak sternik wśród burzy,
 Oka nie zmruży.

Krwie bohaterskiej rodowitość stara,
 Słuszność i pomsta, pobożność i wiara,
 To jego orszak, to straż jego głowy,
 Huf obozowy.

Szyki sarmackie! gdy na waszem czele
 Stoi odwaga i cnoty tak wiele,
 Wróg Europy przed wami bezwładnie
 Na twarz upadnie.

Już wam nie straszny miecz Tatara krzywy,
 Ni strzała, pchnięta z tatarskiej cięciwy;
 Gnuśny morderca co się błąka w lesie,
 Klęsk nie przyniesie.

Przeszła jak zamieć, stopniała jak piana
 Siła zwycięska trackiego tyrana,
 Pohańbion wraca z orężnego sporu
 Na brzeg Bosforu.

Na wiosnę Dunaj rozlany, szeroki,
 Z takim łoskotem uderza w opoki,
 Z jakim szedł Turczyn i zagrażał z dali,
 Że świat rozwali.

Lecz Zygmunt, silny męstwem znakomitem,
 Zatrzymał powódź olbrzymim granitem,
 Ugiął i złamał pod swojemi stopy
 Strach Europy.

Gdzie siła idzie przeciw równej sile,
 Mniejsza obawa i chwały nietyłe;
 Godniejszy laurów, kto z sercem rycerza
 W ciżbę uderza.

Królu! ów tryumf pod twą pańską wodzą
 W dolinach Dniestru radośnie obchodzą,
 Na brzegach Bugu i w sławnej Kolchidzie
 Rozgłos twój idzie.

Zwycięzco Turka! gdy z dalekiej strony
Wracasz, chwalebny łupem obciążony,
W radosnym kraju jakaż wdzięczność słodka
Ciebie napotka!

Czy pomnik dla cię wydzwignąć do nieba?
Czy na to greckich marmurów potrzeba?
Czy chcesz na Scytów granitowej skale
Wiekować trwale?

Twe imię, w naszej obecne pamięci,
Uroczystemi hymny się uświęci,
A twoje cnoty na wieczność potomną
Prawnuki wspomną.

Ta twojej pracy niech będzie nagroda,
Że grób twój sławny prochom się nie poda;
Wdzięchen wiek przyszły, stawiając go przed oczy,
Cześcią otoczy.

Książę Władysław wśród gromu i burzy
Niemniej od ojca na chwałę zasłuży;
On ściśle spełniał, narażając głowę,
Myśli ojcowe.

Tak gdy na niebie Oryon zabłyśka,
Drobne się gwiazdki złęką dziwowiska,
A on, obleczon jasnością, w oddali
Ogniem się pali.

Na obchód mężnych swoją działość woła
Pod szczęsnem berłem kraina wesoła;
Rusińscy męże rzucili na stronę
Groty stalone.

Świetnie twa, książę, młodość zasłynęła!
Na wzorach ojca gotuj się do dzieła,
Od przodków ucz się w cnocie i odwadze
Piastować władzę.

O D A II.

Zwycięstwo wieńczy Zygmunta.

Ad arma, ad arma, milites, ad arma,
Pavidis seges horreat aerea campis.

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
Las ostrzów stalowych jeży się na błoni,
Połyska żelazo, nim z wrogiem się zetrze,
I kity hełmowe igrają na wietrze.
Strach obcym zastępom — a trąba miedziana
Rozdziera powietrze i hasło swe szerzy,
I dobra otucha, i siła nieznana
Kołata do serca bojowych szermierzy.
Rycerstwo do szyku! z daleka już baczę,
Jak wielki bojowy porozec rozpięty!
I Osman odważne zastępy kozacze
Trackiem i zdradami chce skruszyć na szczęty.
Pobożna waleczność niech błysnie wam z czoła,
Niech dusze waleczne do cudu powoła,
Niech pomstą ojczystą umocni się ramię
I hufcę niezbożnych przełamie!

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
Już trąba zgrzytnęła i sygnał wam dzwoni,
Zadrgało powietrze w Marsowym okrzyku,
Rycerze sarmaccy, stawajcie do szyku!
Ciemnieje, ciemnieje, i noc już zapada,
A w nocy dla zdrajców ratunek ostatni,
W obozie tureckim lęklivość i zdrada,
Gotują wam pasmo podstępów i matni;
Zdradnemi sidłami zasnuli was wszędzie,
A słońce poranne ich świadkiem nie będzie.
Lecz walkę, gdy przyjdą siepacze ohydni,
I gwiazda północna rozwidni.

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
Już trąba zgrzytnęła i sygnał wam dzwoni,
Zadrgało powietrze w marsowym okrzyku,

Rycerze sarmaccy, stawajcie do szyku!
Lecz oto już pierzcha zdradziecka czereda,
Z rozpaczy, ze złości żre piasek mogiły,
Że dawna fortuna zwycięstwa im nie da,
Że dawne tryumfy ich broń opuściły.
Władysław się zgonu i klęski nie lęka,
Na dziczy rycerska zaprawia się ręka,
Na polskich proporcach z jasnością na głowie
Noszą się mściciele, orłowie.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,
Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
W rozsypkę, Araby, w rozsypkę, Tatary!
Gwałtowny jak piorun, rycerski Sarmata
Potrzasa oszczepem i tarczą szeleszcze;
A krew niecierpliwa w piersi mu kołata,
Że chwila bojowa nie zbliża się jeszcze.
Jak rumak na trackiej dolinie obfitej,
Harcuje i ziemię rozbija kopyty,
Tak jazda sarmacka w bojowym zakresie
Do harców pośpiesza i rwie się.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,
Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
W rozsypkę, Araby, w rozsypkę, Tatary!
Niewiele, niewiele otuchy wam doda,
Że garstka Sarmatów, a orszak wasz mnogi:
O sarny pierzchliwe! tłoczcie się jak trzoda,
Odważcie się hurmem lwa porwać na rogi!
Źle wróży wasz sztandar, choć hardo tak pływa,
Broń wasza lekliwa, odwaga kłamliwa;
Nie krew bohaterska, lecz jeno wam znana
Zawziętość szalona, pijana.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,

Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
 W rozsypkę, Arabcy, w rozsypkę, Tatary!
 Lecz późno, już późno, o biada wam, biada!
 I ciemna pieczara nie służy wam gwoli,
 Noc pierzchać poczyna, i nie się nie nada
 Zdradnemi wykręty próbować swej doli.
 Od jasnych promieni jutrzeńki iskrzatej
 Kir czarnej północy już drze się na szmaty;
 Nie zbawi was księżyc, nie świecić mu we dnie:
 Patrzajcie! płowieje i blednie.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
 I konia do lotu spinajcie ostrogą,
 Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
 W rozsypkę, Arabcy, w rozsypkę, Tatary!
 Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pieni!
 Cne dzieci sarmackie, do boju zrodzeni,
 Zwycięstwo pod stopy uściela się wasze,
 I skronie emackim wawrzynem przepasze.
 Hej dwakroć, i trzykroć do chóru! do pieni!
 Pobite Tatary, Turkowie zgromieni!
 Złamaliście jarzmo, co na nas już kładli
 Mordercze Arabcy, Maurowie zajadli!
 Złamaliście Księżyc, ów znak Muzułmana,
 I rogi na głowie Osmana.

Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pieni!
 Po całej Grecyzny szerokiej przestrzeni,
 Gdzie dawna Rodopa, Izmara, Kolchida,
 Gdzie Wisła sarmacka, litewska Wilia,
 Z imienia Zygmunta niech okrzyk się wyda
 I niech się u ludów najdalszych odbija!
 Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pieni!
 Zwycięzca Władysław! Wołajmy zdumieni:
 Niech sława ojcowska i syna zaszczyci!
 Wołajmy radośni, wołajmy, Lechici!
 Hej, trzykroć do chóru! do pieni!

.

O D A III.

Wiara wystawia pomnik Zygmuntowi.

Quem bellicosi prodiga sanguinis . . .

Kogokolwiek wyrok Boży
Bohaterem wojny stworzy,
Tego przykład i nauka
Pójdzie z dziada na prawnuka;
Na marmurze i na stali
Jego obraz się utrwali,
Jego głowę z każdej strony
Opromieni laur zielony.
O Zygmuncie! w tej postaci
Czas twych śladów nie zatraci,
Zaświetniejesz blaskiem słońca,
Ojciec kraju i obrońca.
Już tureckich mężów zdradzie
Twoje ramię koniec kładzie,
Bystry Tatar wstydem płonie
I umyka k'swojej stronie.
Żywszy lata Nestorowe,
Gdy do zgonu schylisz głowę,
Twoje imię jaśnieć będzie
W bohaterów polskich rzędzie,
I twój pomnik się umieści
Jako ołtarz polskiej cześci,
Szczep Jagiełłów starożytnie
I ożyje, i zakwitnie,
Nad Bosforem, gdzie niewierni,
Przed obliczem trackiej czerni,
Cnota, dzielność, szły z weselem,
Zostać naszych krzywd mścicielem.
Ryczy, grozi wściekła tłuszcza,
Gęste strzały na nas puszcza,
Lecz przed murem naszych zbroi
Przedsię kroku nie dostoi.
Owdzie obóz skrył się prawie

W czarnym dymie i kurzawie,
A Władysław, pewien żniwa,
Trackie półki w proch rozrywa.
Kula z ogniem drga i skacze,
Miejskie ściany rwą kartacze;
To Marsowe krwawe posły
W okolicy strach rozniosły.
Ich poselstwo, trzykroć biada!
Krew i ogień zapowiada;
Biada wioskom! wpośród zgliszczy
Głód i wojna pole zniszczy.
Lecz Władysław trzaska głowy,
Jakby mściwy grom Jehowy;
Leci w tłumy, a z nim wiara,
Nie na niego łuk Tatarów!
Nie na twardo kutej zbroi
Bezpieczeństwo jego stoi;
Bohatera grot ze stali
Ani oszczep nie obali,
Bo go wspiera Pańska ręka;
Bo się cnota nic nie lęka;
Bóg jest mściciel złych bezpraw,
Bóg tę garstkę błogosławi.
Tłocz i spieraj w imię Boga
Zatracony zastęp wroga!
Z tobą ojca myśl pobożna,
Z tobą cuda tworzyć można.
Nów rogaty, to ich godło,
Lecz nas rogiem nie ubodło:
Księżyc schodzi z bojowiska,
I złośliwym światłem błyska.
Turczyn gwiazdy miał w rachubie,
Że przyświecą naszej zgubie,
Lecz złe gwiazdy już bez siły
Za górą wstyd swój skryły.
Już czereda ledwie żywa
W zimnych rzekach krew omywa,

Miecz złamany, grot swój rdzawy
 I twarz czarną od kurzawy.
 Na Dunaju lub na Dnieprze
 Już się Turczyn nie rozeprze,
 Lecz się pójdzie skryć pokornie,
 W drżącym Cydnie i Lykornie.

O D A IV.

Chwała zapowiada Zygmunтови nieśmiertelność.

Age, praepeti volatu,
 Age, fama, scinde nubes.

Lataj, sławo! lataj chyża!
 Mgły rozbijaj, płyn od ziemi,
 Niech się obłok czarny zniża,
 Płyn zefiry skrzydlatemi!
 Oto niebo się rozchmurza,
 Wytrysnęły ciepłe deszcze,
 Leć jak wichher, leć jak burza,
 Chyżej jeszcze!

Niech twój polot mgły przebodzie,
 Leć za słońcem, sławo skora!
 Na zachodzie i na wschodzie,
 W krajach ranka i wieczora,
 Ku obojej świata osi
 Niech cię wiedzie droga kręta,
 Niech cię bystry lot unosi,
 Chwało święta!

Rozwiń skrzydła święta chwało!
 Daj się słyszeć z pod niebiosów,
 Zbierz potęgę twoją całą,
 Graj i śpiewaj we sto głosów.
 Twoje oko, twoje ucho
 Wytężone k'światu bacznie;
 Niechże piosnka ziemię głuchą
 Budzić zacznie.

Jak turecka starta pycha,
 Jak królewskie sławne dzieje,
 Niechaj trąba nie ucicha,
 Niechaj sława nie starzeje.
 Bez powrotu już zginiony
 Tryumf Scyty i Tatara,
 Uschnął wawrzyn ich zielony,
 Uschła wiara!

Jakeś śpiewać już poczęła,
 Nie ustawaj, święta wieści!
 Póki nowe, świetne dzieła
 Nie dodadzą nowej treści.
 Chwała leci... i z poblizka
 Tu jej wszystko cudem zda się,
 Sarmackimi dziwowiska
 Oczy pasie.

Śpiewaj, chwało, jak w Bosforze
 Zamiast wody krew wytrysła!
 Jak we strachu i w pokorze
 W lód zakrzepła nasza Wisła!
 Jak pierzchnęli wstecz niewierni,
 Jak ich nasze ściga ramie!
 Jak się księżyc wstydem czerni,
 Rogi łamie!

JOACHIMA BIELSKIEGO

*satyra na pewnego Gdańszczanina, który pewnemi
 lekkimi rymy po niemiecku siła niegodnych rzeczy
 o królu i Królestwie Polskiem odważył się pisać i po
 całych Niemczech rozsiewać Roku P. 1577.*

Lustris tempus ad hoc actis jam pene duobus...

Oto już rok dziewiąty od tej pory minie,
 Jakem się słodkiej pieśni poświęcił jedynie;

A nie miałem na myśli choćby jedną chwilę,
Aby pisać szyderskie lub gorzkie paszkwile.
Tyś pierwszy ze spokoju wyrwał moją duszę,
Że do walki niechętniej uzbrajać się muszę!
Ktośkolwiek, ja cię gdańskim nazwę pacholikiem,
Żeś się targnął na króla potwarczym językiem.
Król nasz chrobry, okrutnym przez ciebie nazwany,
Nad którego nie powstał między chrześcijany
Monarcha większy w boju, ni w obradnej todze.
Warteś, kłamco, by potwarz pokarano srodze,
Aby topór oprawcy spoczął na twej głowie,
By cię na rusztowaniu szarpali krukowie,
Żeś po ziemi niemieckiej, od grodu do grodu,
Puścił kłamstwa o ludziach naszego narodu,
Że się z Turkiem zmawiamy, że sarmacka zdrada
Ku zgubie chrześcijaństwa zasadzkę układa.

O! straszliwie, straszliwie o pomstę już woła
Zbrodnia gdańskiego ludu, co, niepomny zgoła
Na swą wierność, prawemu panu się wydiera
I nie waha się czernić imię bohatera,
Przed obcemi narody wymyśla potwarze.
Ty ich wszakże pochwalasz, a gdy prawda każe
Wyznać, że wiarołomni i chętni do zmiany,
Usprawiedliwiasz zbrodnię, wielbisz rokoszany:
Że się rokosz we Gdańsku sprawiedliwie szerzy,
Że gdańskich buntowników pochwalić należy,
Iż złamali przysięgę, stargali okowy,
Którymi ich ujarzmił jakiś król surowy,
Że ich woła ojczyzna, wiara i swoboda,
Że każdy zniesie męki, nawet życie poda,
Że Gdańszczanie swobodni w całych Prusiech jedni...
Przecież są inne miasta, cały kraj sąsiedni.
Wszak w Elblągu, w Toruniu bez żadnej odmiany
Skarbiec swobód dawniejszych święcie zachowany,
Owszem król je pomnaża i w swej łasce żywi.
O ślepoto! bogowie, jakżeście cierpliwi!

Czemu gromów niebieskich i piorunów niema,
 Aby strzaskać i strącić do piekieł olbrzymą?
 Oto góry na góry harda ręka wali,
 Chcą się dostać do Nieba bluźniercy zuchwali.
 Czyż ziemia świętokradców nie pozrze, jak warci?
 Jeszczeż łaskawe słońce ich zbrodni nie skarci
 I udziela im blasku swej świętej pochodni?
 Czyż zbrodnia Gdańszczan mniejsza od Thyesta zbrodni?

Zapraszasz — chcesz nas gościć na swoim bankiecie:
 O! przyjdziemy, przyjdziemy, — czekać nie będziecie;
 Jeno gdy się, Gdańszczanie, w wasze mury wtoczym,
 Przyjmcie nas twarzą chętną i sercem ochoczem,
 A co z sobą przyniesiem na biesiadę ona,
 Smakujcie — chociaż będzie i twardo, i słono!
 I na chrapliwych trąbach posłyszycie granie,
 Rozpocznem wielki taniec — ujrzycie, Gdańszczanie!
 Okupicie wasz spokój, lecz zadrogo nieco,
 Kiedy polscy harcerze na gody przylecą:
 Ile taktów tanecznych muzyka odbije,
 Tyle spadnie głów waszych, odrąbanych z szyje.
 Mówisz, że starem winem powitacie gości, —
 Dobrze! Polak rad zawždy takiej gościnności;
 Lecz gdy Polak podchmielon, miejcie to na względzie,
 Że i doma gospodarz bezpieczen nie będzie.
 U waszych granic czaty — o! wiercie mi szczerze,
 Od rycerstwa polskiego Cerber nie ustrzeże;
 Cerber, co z krwawą paszczą straż odbywa w piekle,
 Choćby wył przeraźliwie i rzucał się wściekle,
 Znajdzie się dzielny Herkul, kiedy przyjdzie pora,
 Ściśnie żelazną ręką i zdławi potwora.
 Pytasz, skąd ta muzyka wśród naszej zaciszy?
 Wierzaj mi: Polak wesół, kiedy gęźbę słyszy;
 Wśród grzmotu trąb i kotłów bywamy ochoczy,
 To nam bitwę wspomina i stawia przed oczy.

Twierdzisz, że Gdańsk bogaty, o potwarco głupi!
 Że się Kostka złotymi darami przekupi?

Dar za dar, gotuj złoto i bądź gotów razem,
 Że cię Kostka wspaniale obdarzy żelazem.
 Przechwalasz się, że przy was dobry wódz zostawa?
 O! wódz byłby szczęśliwy, gdyby lepsza sprawa,
 Lecz nie będą zwycięskie buntownych pałasze:
 Chrystus jest hasłem dobrych, Chrystus hasło nasze,
 W Nim jednym nasza ufność.

Niepotrzebna rada,
 Że nam w szaty złociste przybrać się wypada,
 Boć to polski obyczaj, znajomy przed światem:
 Opończe tkane złotem, kraszone szkarłatem.
 Smakują wam te łupy — lecz nie bądźcie chciwi,
 Bo niełacno się na nas zwycięzca pożywi:
 Zaczem niedźwiedź potrafi gospodarzyć w miodzie,
 Wprzód go dobrze rój pszczelny żądłami nabodzie.
 Nie trzeba waszych łaźni, chowajcie je dla się,
 Polak przywykł do znoju — i we skwarnym czasie
 Ręka mu nie osłabnie, bo kuta ze stali.
 Daremnieście potrawy dla nas gotowali,
 Gdańszczanie! kto nawarzył, ten sam i spożyje.
 Daremnie nam żelaza skuliście na szyje,
 Marnie się przechwalacie w zuchwałym zapędzie:
 Kto wykonał kajdany, sam dźwigać je będzie.
 Mimo hardą otuchę, mimo pychę całą,
 Miecz odeśle do piekieł dusz waszych niemało.
 Łkanie waszej rozpaczy, jęk waszego łona
 Będzie słyszany w Niebiosach i w kraju Plutona;
 I piekła się wyteżą na torturę waszą,
 Zbrodniarzów krew obryzgnie, gadziny opaszą.

Niebezpieczno się miotać z kryjomej zasadzki,
 Drażnić gniewnego króla i naród sarmacki,
 Aby snadź zwyciężonych nie nęcano srożej.
 Jest kara na bezbożnych, jest w prawicy Bożej
 Miecz, co dotąd z litości spoczywał bezwładnie,
 A który (niewątpliwie) na ich karki spadnie.
 Niemasz Troje, choć Neptun sam wznosił jej cegły,

Pergam, Teby, Kartago w ruinach poległy:
 I wasze pyszne miasto, Gdańszczanie zuchwali,
 Pan w popioły rozsypie i w gruzy rozwali.
 Chyba ze skruchą w sercu, w pokutniczej szacie,
 U stóp króla polskiego swą zbrodnię wyznacie.
 Król łaskaw, z przebaczeniem odpuści nędzarze,
 Jeno sprawców straszliwie a słusznie pokarze.
 I ty, ktokolwiek jesteś, ciebie się dopyta:
 Za twe potwarcze pisma nagroda sowita
 Będzie ci wypłacona. Już za dni niewiele
 Kres świętokradzkim słowom, źli obywatele!

1852. Załucze.

Z POEZJI WOJCIECHA INESA.

O D A

Do chępliwych tegoczesnych junaków.

Inter calentis pocula Cecubi,
 Odi disertos . . .

Wpóśród puharów pienistej cekuby
 Nie ścierpię szumnej samochwalstwa mowy.
 Gawiedź Marsową, szukającą chluby,
 Pędźcie od szklanej armaty Bachowej!
 Jeśli tak tęskno piersiom za pogonią,
 Jeśli miecz ręce przypada do miary,
 Kiedyśmy zdolni umierać pod bronią,
 Idźmy na Turki, idźmy na Tatary.
 Wielki jest zawód przed rycerstwem naszym,
 Trzeba się pomścić nad bisłońską zgrają,
 Księżyc dwurogi rozkroić pałaszem,
 Złamać pociski, co na nas miotają.
 A na cóż zda się, rozlewając wino,
 Słyszane boje powtarzać inaczej,
 I zamiast walki mieć chlubę jedyną

Grzmiącemi słowy strzelać do słuchaczy?
Zionąc pogrózki chępliwemi usty,
Któż z nieprzyjaciół tryumfy odbierze?
Gdy ręka słaba, gdy zapał twój pusty,
Poco się jeżysz, straszny bohaterze?
Obfity mówca już złamał na szczęty
Ostremi słowy nieprzyjaciół noże;
Ale na pole, gdzie huf rozwinięty,
Snadź ów bohater i spojrzeć nie może.
Zdała od niwy, gdzie bije armata,
Zdała od mieczów, pocisków i grotów!
Nawet blask słońca, co po ostrzach lata,
Swemi promieńmi zaranić nas gotów.
O! gdy brzemienne śmiertelnym nabojem
Zamruczy działo, i ziemię, i niebo
Wstrząśnie łoskotem, kiedy echem swoim
Da znak, że w pole wystąpić potrzeba:
Wtedy, rycerzu, dowiedziesz mi szczerze,
Że dusza twoja do bitew ognista;
Wtenczas cię uznam, wielki bohaterze,
Gdy szczęką włócznie, gdy ołów zaśwista!
Gdy, zamiast słyszeć twego męstwa dziwy,
Rzymianie dzieła twej ręki postrzegą,
Uznam, rycerzu, że miecz twój straszliwy,
Że nosisz w piersi Marsa bojowego.
Przestańmyż miotać wyrazy strzeliste,
Niech rozprawiają do czynu niegodni!
To u mnie rycerz wymowny zaiste,
Kto swoje słowa mieczem udowodni.

Załącze.

P O E Z Y E

KS. MACIEJA KAZIMIERZA
SARBIEWSKIEGO.

KSIĘGA PIERWSZA.

O D A I.

*Do Urbana VIII Papieża, gdy niezmierne siły tu-
reckie ustąpiły z Węgier.*

Jam minae saevi cecidere belli.

Przegrzmiały wojny — po długiej ruinie,
Rzuciwszy swoje wygnanie,
Cnota i wiara ponad ziemią płynie
Na pozłocistym rydwanie.

Za niemi idą, jak orszak wspaniały,
Wiara, spokojność i praca;
Oto wiek złoty, z dawien niebywały,
Powraca do nas, powraca!

Jaśniejsze słońca łaskawiej migoczą,
Wróżąc lat przyszłych koleje;
Już dzisiaj z gradem perły nam się toczą,
A z deszczem złoto się leje.

Świat, jako wróżę, wdzięczzen mi zostanie,
Zawdzięczą lata potomne,
Gdy w październiku, w twe święto, Urbanie!
Czasy Saturna przypomnę;

Kiedy wywróżę: że ojców zwyczaj
Dają nam rękę przymierza,
Że stara cnota k'nam zbliżyć się zdaje
I mieszkać z nami zamierza;

Że wrzące zdroje, płynąc gdzieś z daleka
Przez nasz grunt żyzny i czarny,
Niosą daninę i wina, i mleka,
A rzeki — ulęp nektarny.

Kłosiste zboże tak pięknie wypływa,
Że rośnie serce żniwiarzy;
Ni mróz, ni wiatry, ni susza szkodliwa
Naszych zasiewów nie warzy.

Spokojny pasterz gra w dudę trzcinianą,
Strzekoce świerszczyk na łące,
W górach, po lasach, gdy nastanie rano,
Ryczą trzód pięknych tysiące.

Nawet wesoło w tetryckich pieczarach,
Gdy spokój zamieszkać raczy,
Bezpieczno sypiać w przepaścistych jarach
I w niskiej chacie wieśniaczej.

Wielki uśmierzco ściszonego świata!
Tobie Cerera z rozkoszą
Niesie swe kłosy — dni wiosny i lata
Kwiecie i owoc przynoszą.

Mirty dla ciebie wyrosły w tej chwili,
I wawrzyn dla ciebie rośnie,
Dąb na cześć twoją swe konary chyli,
I jodła szumi radośnie.

Bogdaj w Niebiesiech, u stóp Majestatu,
Głos ludów został przyjęty!
Bogdajbyś długo, o pasterzu święty,
Panował miastu i światu!

Panna niebieska, Gromicielka piekła,
W zorzową szatę odziana,
Bogdajby prośbę za Rzymem wyrzekła,
Prośbę o życie Urbana!

O to dziewica, młodzian i pachole,
 O to i z grobów przodkowie,
 W rzymskim narodzie i w senatu kole
 O to się modlą Jehowie.

O D A II.

Do Aureliusza Lyka, aby nie narzekał na niestałość losów.

Indignas, Lyce, naenias . . .

Porzuć, o Lyku! skargi niewolnicze,
 Daj folgę sercu, wytechnij od rozpaczy.
 Masz-li chmurami zaciągać oblicze,
 Że ci się słońce uśmiechnąć nie raczy?
 Lub, że fortuna dla twego żywota
 Złowrogie losy w swojej księdze pisze?
 Wierz mi, co dzisiaj sroga burza miota,
 Jutro pieściwy wietrzyk ukołysze.
 Słońce, co dzisiaj pali głowy ziemian,
 Jutro zachwyci promieńmi jutrzrenki;
 Bo w ślad za sobą przychodzą na przemian
 Łzy, krotochwile, radości i jęki.
 Tu rozpaczamy, tu łyzy ronim, zda się,
 Aż oto szczęście zabłyśka nam razem,
 Mijają klęski, każda w swoim czasie,
 Za niezłamanym wyroków rozkazem.
 Ten, co dziś orze, zajmie miejsce święte,
 Jak prawodawca nad rzymskimi męże,
 I w jarzmo, z karku wołowego zdjęte,
 Nieprzyjaciół ojczyzny zaprzęże.
 Tego, co wczora wieczerał nędzarzem,
 Poranek wita w bogactwie, powadze;
 Wczora on byki zaprzęgał do jarzem,
 Dzisiaj piastuje dyktatorską władzę.
 Gdy zaś los zmienny jego świetność zatrze,
 On wróci nazad do domowej strzechy,

Spocznie wesoło w swoim biednym szatrze,
 Wyższy nad gminne szyderstwa i śmiechy;
 I swą siekierą, w wawrzyny ubraną,
 Będzie drwa rąbał pod domową strawę,
 A gdy się zdatne nie zdarzy polano,
 Wrzuci na ogień hetmańską buławę.

O D A III.

*Do Kryspa Lewińskiego, iżby zanadto nie dowierzał
 młodości.*

Vive jucundae metuens iuventae,
 Crispe Laevini! . . .

Z piękną młodością ostrożnie potrzeba,
 Kryspie Lewiński! to pora pierzchliwa:
 Księżyc pośpiesza w inny kraniec nieba,
 I chmury lecą, i młodość upływa.

Choć pas bogaty dobrze cię owije,
 Z perlastym wątkiem a złotej osnowy,
 Choć na ramionach zaciśniesz pod szyję
 Na złotą klamrę twój płaszcz purpurowy;

Jednak czubata kita, co się jeży
 Na twoim hełmie, chwieje się, dygota;
 Na twojej zbroi, na twojej odzieży
 Zblednieje połysk brylantów i złota.

Los ci prawicą dar jaki nawinie,
 Lewicą wydrze, co dał tak uprzejmie,
 Niby jak matka, co małej dziecinie
 To poda cacko, to znowu odejmie.

Stalość niezmienna nie jest losów rzeczą:
 Zmiany wątpliwe ustawicznie biega,
 Burze się chwieją nad głową człowieczą...
 O! szparkie chwile żywota naszego.

Ani tak rączo, polotnie i nagle
 Adryatycka rozpędza się nawa,
 Kiedy wiatr bije w rozpostarte żagle,
 I pchnie ją naprzód, i fale rozkrawa.

Chwilom dał skrzydła wysoki Jehowa,
 Któremi rączo latają po świecie;
 Lecz część ich dotąd w swem gnieździe się chowa
 I tam na przyszłe hoduje się lecie.

O D A IV.

*Do książąt Europy — o potrzebie wyjarzmienia
 Wschodniego Państwa.*

Nondum minaci cornua Bosphoro...

Bogaty księżyc błyszczy na Bosforze, —
 Zły los przyświeca nadpontyjskim stronom,
 Pieni się, ryczy, jęczy Czarne morze,
 Że musi służyć niegodnym Gelonom,

I w dzikim gniewie brzeg Bosforu ryje.
 Hańba Tessalcom żuć trzęzłą niewoli!
 Hańba Pelasgom kornie zniżyć szyję,
 Aby służyła siepaczowi gwoli!

Tu na Cykladach słyhać jęk boleści,
 Tu łąy zalały morejską krainę,
 I tracki Hebrus wodami szeleści,
 Żałośnie biejąc z pagórka w dolinę.

Czyliż na zawsze Stambuł się weseli,
 Że pyszny Ganges, że Afryka skwarna,
 Że mocne niegdyś baszty Dardaneli
 Korzą się przed nim, jak pastwa ofiarna?

Czyż to na zawsze czarnomorska fala,
 Czyż to na zawsze Arabska odnoga

I morze Jońskie smutnie się użala,
Smutnie złorzeczy, przeklinając wroga?!

O! my fałszywi przyszłości wróżbici,
Którzy się z dziejów prorokować ważym
I wróżym szczęście — klęska nas pochwyci,
Jeżeli miecza z pochew nie obnażym.

Gdy nie umiemy silnie ująć tarczy,
Naciągać łuków i wyostrzać włócznie,
Chociaśmy mądrzy, mądrość nie wystarczy,
Choć pięknem słówkiem szermować rozpocznie.

Napróżno zimą, siadłszy przy kominie,
Cieszyć się będziemy uczonemi gwary,
Że Turczyn padnie, że marnie zaginie,
Że zniży k'ziemi swe harde sztandary.

Pójdziemyż walczyć! ale z jakim mieczem?
Broń nasza — cacko, jeno oko pieści.
Zaiste! karku wrogom nie rozsieczem,
Gdy miecz złożony, złoto w rękojeści!

• Odzież nam błyszczy za najmniejszym ruchem,
Miasto rzemienia nosim pas ze złota,
Pierś zawieszona bogatym łańcuchem,
A rząd na koniu błyszczy i migota.

Ozdobny oręż znak to jest złowrogi,
On nic nie działa, nic nie zabezpiecza,
Nawet gdy chmurą następują wrogi,
Rycerz się cofnie — bo mu szkoda miecza.

Kto złotą zbroją piękniejszy słabe cielsko,
Niech się już nigdy Kwirytą nie zowie!
Bo świętą cechę, cześć obywatelską,
Pohańbią na nim zwycięzcy — wrogowie.

Ktokolwiek włosy pierścieni zacząyna,
Kto przywdział szatę od wymyślnych tkanin,

Wara mu nosić imię Rzymianina!
Bo gardzi zbytkiem prawdziwy Rzymianin.

Pieszczoch nie zwalczy, nie odpędzi zdala,
Jako Rzymianin przez męstwo ochocze,
Wojsk Antyocho, albo Hannibala,
Szyków nie złamie, murów nie zgruchoce.

Pan silnym ruchem wskrzesić ziemię życzy,
Widać w tem cele, widać myśl wyniosłą.
Tu wiek pasterski, tu wiek wojowniczy
Oparł na sztuce rycerskie rzemiosło.

Tu wpośród forum krasomówcze słowo
Walczy za cnotę, prześladowuje zbrodnie;
Tu wiek wyradza i wskrzesza na nowo
Traków, Cylicyan i narody wsechodnie.

Świat ten już stary, i my postarzeli,
Niedołęznijem, nic już nas nie bodzie;
Radziśmy gnuśnieć w leniwej pościeli,
Jak na sromotę, na hańbę przyrodzie.

Grzeszne-śmy dzieci bez końca, bez tamy!
Mało gdzie cnotę na świecie już widzę,
Ducha nie wnosim, myśli zabijamy,
Cali się płaczem w zdradzieckiej intrydze.

Chlubmy się z tego (wszak nie wstyd nam zbrodni),
Żeśmy wzgardzili przykazaniem Bożem!
Wołajmy głośno, wołajmy wyrodni,
Żeśmy dowcipni i cnotę przemożem!

Na co nam serca? i na co nam miecze?
Więc je przedajmy, ustroim się pięknie,
I weźmiem złoto, gmin cześć nam wyrzeczę,
Bo gmin ma uszy, gdzie złoto zabrząknie,

I umie ucześć hołdem coraz świeżym,
Kogo fortuna pod swe skrzydła bierze.

Miłoś brać hołdy! jeśli tylko wierzym,
 Że je przynoszą serdecznie i szczerze.

Szczerze, serdecznie gmin się nam pokłoni,
 Padnie na klęczki, kiedy złoto widzi,
 Lecz zniknie złoto ze spodłonej dłoni,
 A gmin nas popchnie, zelży i zawstydzi.

O D A V.

Gromi gnuśność wieku.

Aut nos avarae vendidimus Tyro.

Czyśmy już cześć przodków Tyryjcom przedali?
 Czyśmy ją posłali w dalekie wygnanie?
 Gdzie silni rycerze? gdzie męże wspaniali?
 Gdzie cnota? gdzie dzielność? Nie pomnim już na nie!

Czy godzi się dzisiaj mieć łańcuch na karku?
 Przedawać tron Pyrrów i Agamemnonów?
 Czy godzi się dzisiaj w bezpiecznym frymarku
 Brać Weje w zamianę persyjskich zagonów?

Nowotny nasz żołnierz pieszczona dziecina!
 Nie umie wrogowi wbić włóczni do łona,
 Krnąbrnego rumaką munsztukiem nie spina,
 Bo ręka niezręczna i słabe ramiona.

Gdy śniegi topnieją w górzystej czeluści,
 I Tyber zaszumi w łożysku rodzimem,
 Nasz rycerz struchleje i wpływ się nie puści,
 Nie dojdzie do Rzymu — bo woda pod Rzymem.

Gdy rumak pod jeźdźcem w podkowę uderza
 I pocznie się zrymać — już jeździec bez duszy!
 Drżą strachem kolana mężnego rycerza:
 Cóż będzie, gdy w harce wojenne wyruszy?

A jednak też stopy, jak lekkie zefiry,
 Uczenie pływają wśród tanka, gdzie dziewczki!

O! złammy, strzaskajmy i lutnie, i liry,
Zostawmy niewiastom płasania i śpiewki!

Słyszycie? jęczenie nad Istrem zawrzało:
To dziki Muzułman zatrąbił na rogu,
Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło;
To wyzew do walki i ludom, i Bogu!

Pójdziemyż? czy chcecie? O! wcale nie wierzę.
Wprzód pozbyć się trzeba pragnienia i głodu;
Tu wina kaleńskie, tu drogie wieczerze,
Kupione za pieniądź czynszowy narodu.

Biesiada wciąż szumi, kielichy wciąż sterczą
I trunek smakowny przechodzi z rąk w ręce;
A księżyc, co uczcie przyświecał szyderczo,
Zdał teraz straż naszą porannej jutrzence.

I cóż nam do wojen? my znamy je wiernie,
Nam dobrze świadome stosunki Europy,
My tutaj na stole, przy dobrym falernie,
Zrysujem zastępy, wieżyce, okopy.

Powstańmy nakoniec! już jasno na dworze,
Już światłość poranna widoku udziela,
Już tarcza słoneczna wypływa nad morze,
I świetnym promieniem połyska i strzela.

Powstańmy nakoniec! niech ranek nas cieszy;
Powstańmy, Latyni! niech bacność się wznowi.
Nie dla nas to słońce: do Indyi śpieszy,
Staneło na wschodzie, więc sprzyja Wschodowi.

Wiec wschód i poranek posiędą niegodni.
Odzyszczy go nazad, lub hańba nas czeka.
Nam jeno pozostał kraj mały, zachodni,
I zachód, i wieczór, i noc niedaleka.

Powstańmy, uderzmy, niech ginie wróg Pański!
Daleko go spędzim we wspólnym zamachu!
Niech Ganges, niech Tyber, niech kraj Luzytański,
Niech Grecya wytchnie od kajdan i strachu.

O D A VI.

*Do Stefana Paca, podskarbiego litewskiego.
Wyrzuca rycerstwu przepych rynsztunków.*

Non auro neque tinnulis . . .

Złota brzękotka, płaszcz z purpury
 Nie doda hartu waszej zbroi;
 Wdziawać brylanty, sute sznury,
 Wojackim pieriom nie przystoi.
 Głowa żelazem przyodziana
 Poco piórami jeszcze mży się?
 Poco ta kita rozczochrana
 Na niedołącznym drga kirysie?
 Nie będą straszne dla nikogo
 Przyłbice ptasiem pierzem wzdęte;
 Na jedno tylko służyć mogą:
 Żarłocznym sępom za przynętę.
 Kule z warkotem świszczą w dali,
 Grzmocą rusznice, oto słyszę,
 Gromem, piorunem działo pali,
 Błyszczą się włócznie i bardysze.
 Na nic tu kita nie wystarczy,
 Na nic grzechotka brząkająca,
 Na nic ten polor, lustr na tarczy,
 Po której biega połysk słońca.
 Kołczanem wrogi się nie zgniota,
 Gdy tępa strzała, zła cięciwa.
 Porzuć błyskotki, porzuć złoto,
 Niechaj ci ramion nie skowywa.
 Ucz się, jak władać twojem łonem,
 Jak użyć serca, ręki, stali;
 Będiesz trójcielnym Geryonem,
 Że i sam Herkul cię nie zwali,
 Ni Mimas groźny i pochmurny,
 Ni Stratnelus, olbrzym duży.
 Strój zaniedbany, hełm bezpiórny

Twarzy rycerskiej pięknie służy.
Gdy twarz wyźółkłą przez swawole
Barwi rozkoszy wychowanek,
Piękniejsza kresa, co na czole,
Bo to wczorajszej bitwy wianek.
Kita rycerzem nie uczyni,
Nie wzmocni szyi sznur korali.
Bojaźń i Przestrach gdzieś w jaskini
Najpierwszą zbroję wykowali,
Najpierwszą tarczę młot ten samy
Na gór Cydońskich wykuł szczycie;
My głupio głowę przykrywamy,
By choć na chwilę przewlec życie.
Lecz śmierć, co zda się na uboczu,
Pilnuje człeka okiem żmije,
I promieniami chciwych oczu
Zatrute żądło w pierś mu wbije, —
Wbije powoli i nieznacznie,
Bo słabe miejsce okiem strzyże.
Kiedy się człowiek zbroić zacznie,
Kiedy chowamy twarz w wizyrze,
Kiedy drży tarcza niespokojna,
Najprędzej pod pociskiem pęknie.
Dzielnego męża sama wojna,
Sama przygoda się ulęknie.
Gdy Hektor pod murami Troi
Żelazne greckie łamał siły,
Gdy cisnął grot źrenicy swojej,
Same się losy ukorzyły.
Mąż od złych losów nie umiera,
A jeśli padnie od boleści,
Śmierć wyprowadzi bohatera
Na złotą drogę świętej cześci.
Gdy zejdziesz z wojowniczej błoni,
Los w ciebie grzmotnie najdogodniej,
A śmierci droga się odsłoni,
Którędy chciałeś umknąć od niej.

O D A VII.

*Do książąt państwa rzymskiego.**O wyjarzmieniu prowincyi greckich.*

An non supino semper in otio
Perdemus aevum.

Przecież niezawsze gnuśne próżnowanie
Trzymać nas będzie od wieka do wieka;
Pora już powstać — powstańcie, Rzymianie!
Wyjarzmić państwo okutego Greka.
Siądźcie w okręty i uderzcie w wiosła
I płyńcie z Bogiem gdzie stara Hellada.
Woda życzliwie będzie nawy niosła,
A wiatr życzliwy kierunek im nada.
Jeden drugiemu ochoty udzielcie,
A jeśli żołdak myśli o jurgielcie,
Niech idzie śmiało, żołd się nie wyśliznie,
Niech idzie śmiało, nie zwiedziem go chytrze.

Bo gdzież pieniądze? gdzie złoto obfitsze,
Niżli na starej bogatej Greczyźnie?
Byle żelazo i ręka z zapałem,
A złoto łącno znajdziemy nareszcie.
Kto będzie umiał rusznicznym wystrzałem
Zdobywać skarby na bogatym mieście,
Nagrodzi pracę, skoro wejdzie w mury,
Bo weźmie łupem bogactwa i dziwy,
Nie będzie łaknął tyryjskiej purpury,
Ni cypryjskiego wina i oliwy.
Tylko w szeregi Turków i Mongołów
Sypnijmy gradem śmiercionośny ołów,
Tylko podstąpić pod ich twierdzy wrota,
I w cztery ognie armatnie uderzym,
Aż krzepka cegła na pył się zgruchota.
Tam, rozgrzebując zwałiska popsute,
Znajdzie bogactwa, kto się brać nie leni;
Znajdziemy skrzynie łańcuchami skute,
W nich pełno zołta i drogich kamieni,

Daleka Baktra o swe skarby trwożna;
 W Aulach, na Hemie, łupu dostać można;
 Jeszcze w Mycenach dość złota znajdziecie,
 I na Cyterze nie braknie go wcale;
 Jeszcze na dawnej Jowiszowej Krecie
 Obfito znajdziesz kosztowne korale.

Jestże gdziekolwiek obojętne serce
 Na cienie drzewa, na opoki duże,
 Na kraszę kwiatów, na trawne kobierce,
 Na zdrój, co wareząc toczy się po górze?...

Choć krew nam świszczy, choć ranią boleśnie,
 Nie żal nam tego, jeśli Tempe wskrześnie,
 Jeżeli Olimp z zachmurzoną głową,
 Samos, zniszczony przez wojenne kłęski,
 I lasy Kragu zakwitną na nowo,
 I zazieleni stary dąb pangeński.

Jest woda w Cydnie zdrowa i przejrzysta,
 Jest i w Paktolu, co rozkosznie płynie,
 Jest i ciepława woda w Eryzynie,
 Jest i w Likornie jako kryształ czysta.
 Tu każda rzeka, o rycerze nasi!
 Kurz z was omyje, pragnienie ugasi!
 Jest tu i wino! — gdy się Turek wyprze,
 Znajdziesz gdzie puhar wychylić z rozkoszą,
 I w żyznej Krecie, i w Lesbie, i w Cyprze
 Winnice k'sobie wojowników proszą...

Kto pragnie sprzętów do swego zapiecka,
 Lub komu bardziej do serca przypada
 Baran ze trzody, lub rumak ze stada,
 Niech idzie walczyć, — a kraina grecka
 Wszystko dostarczy, gdy wybawca przyjdzie.
 Pleuron wyciąga swe ramiona bratnie,
 Wzgórza kleońskie, pola w Argolidzie
 Obfite w trawę i w trzody dostatnie.

W lasach Dumetu, na cejskiej dolinie,
 Wszelakie stada błakają się zgrają;
 W tucznej na paszę i płodnej Gortynie
 Obok macierzy koźłeta płasają.

Kto chce z marmurów mieć progi salonu
 I marmurowe ozdoby na stropie,
 Niechaj wypędzi Turków z Karystonu,
 A tam się marmur najprzedniejszy kopie.
 Jeno wybawca niech przyjdzie z pociechą,
 Znajdzie i wawrzyn na swe skronie męskie,
 I wdzięczne zleją pagórki ateńskie
 Błogosławieństwo ponad jego strzechą.

O D A VIII.

Do rycerstwa polskiego.

*Gdy Władysław, królewicz polski, po pokonaniu
 Osmana pod Chocimem dnia 10 października 1621 r.,
 zwycięskie wojsko na zimowe leże odprowadzał.*

Creditis? io! credite, poster!

Czy uwierzycie? ho! wiercie, potomni,
 Że złaman Turek przez nasz miecz zwycięski!
 I że nakoniec męże wiekopomni
 Mir zaszczepili na polu ich kłęski!

Jakiż to przepłoch siadł na Turka czole!
 Jakże to z placu unosił się szczerze,
 Kiedy Władysław swe dzielne rycerze
 W kształtnej falandze rozwinął na pole!

O! struchlał Turek i drżał gdyby listek,
 Pocił się Arab, kiedy zwrócił oko,
 Jak Dunaj, krwią ich zafarbowan wszystek,
 Szedł krasić Bosfor nieczystą posoką.

Gdy nasze wojsko uderzy na wroga,
 Kiedy bardysze po tarczach mu zgrzytną,

Z piersi tureckich uderzyła twoga
Aż pod Stambułu basztę starożytną.

Zbracząc we krwi piersi i pałasze,
Wzięliśmy sławę, czy w zysku? czy w stracie?
Czy wy, potomni, te przykłady nasze
Weźmiecie z dziadów i wnukom podacie?

Bo ileż razy haniebnie się zdarza,
Że nędzne wnuki, choć szlachetne przodki,
Że bohaterskie plemię się przetwarza
I płodzi tylko karły i wyrodki!

Ach! jeśli na nas idzie taka kolej,
Więc stare herby, oręż i dzieje
Wrzucimy do ognia, niech zgorzeją wolej,
A z niemi nasze dzisiejsze trofeje!

I marmurowe praojców pamiątki,
I historyczne ich sławy odblaski,
I ich obrazy, ich trumny, ich szczątki
W proch rozetrzujemy, zrąbajmy na trzaski.

Lub gdy nas gniewa spoczynek niedbały,
Dajmy przysięgę w jednostajne słowo:
Że sami dla się i zwycięstw, i chwały,
Pójdziem się z trudem dobijać na nowo!

O królewiczu! niech cześć twoja wzrasta,
Jako już teraz obleciała skoro
Ziemię, i ludy, i wioski, i miasta...
Słabego świata dostojna podpora!

Miecz polski znowu krwi tureckiej woła,
Niechże już dłużej nie wisi na ścianie.
Daj jeno hasło — postawimy czoła
Przeciw zastępom, co słońcą poganie.

O D A IX.

Poeta wzdycha do niebieskiej Ojczyzny.

Urit me patriae decor . . .

Ojczyzna Niebios wzrok mój zachwyca,
 Tło firmamentu bogate,
 I młodociany promień księżyca,
 I gwiazdek światło iskrzate.
 Światło za światłem miga wesoło,
 Kręgiem tanecznym się waży,
 Lampa przy lampie stoi wokoło
 U świętych Niebios na straży.
 Przykute oczy moje do Nieba
 Błądzą jak goście w tem kole;
 Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
 Tułać się w ziemskim padole?
 Otwórz się, grobie! otwórz się, głuchy!
 Legnę w tobie bez popłochu.
 Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
 Strząsnę proch mego prochu,
 Zbędę się mego brzemienia w ciebie,
 Zbędę się bólu, zgnilizny,
 I ducha mego lotem wystrzeżę
 Do Niebios, do swej ojczyzny.

O D A X.

*Do książąt włoskich o konieczności odzyskania
 Wschodniego Państwa.*

Pulchro, Quirites, pulvere gaudeat
 Impubis aetas . . .

Pięknie, Rzymianie, gdy młodzieńce zwawe
 Do wojennego kształcą się zawodu,
 I proch, i sygnał, i wojenną wrzawę
 Poczną poznawać za młodu.

Gdzie wionie sztandar, gdzie trąby zagrzmocą,
 Na pierwszy ogień kupią się gromadnie,
 Ani się troszcząc, gdzie następną nocą
 Po trudach spocząć wypadnie?

Czy na murawie, mokrej od wilgoci,
 Czy po rycersku na rębie pawęży,
 Rzeźki młodzieniec mało się kłopoty,
 On myśli, jak to zwycięży?

W takim rycerstwie ufny, jak w żelazie,
 Gruchotał w twierdzach i mury, i spiżę
 Ów znakomity wódz w Peloponezie,
 Ów dzielny rządca w Epirze.

Ha! jaki zamtuz nastąpił dni owych,
 Jaki padł przepłoch na tureckie plemię,
 Gdy głos i szczękot zastępów Marsowych
 Odbił się echem na Hemie!

Kiedy Władysław ze święconą bronią
 W święcone surmy uderzył na trwożę,
 Cisnąc niewiernych waleczną pogonią,
 Otworzył do Hebru drogę;

Gdy w rzekę Strymon wiodąc swe orszaki,
 Mścicielską włócznią zamącił jej wały,
 Po których dotąd tarcze a szyszaki
 Zbitych wojsk naszych pływały:

Truchlały zbójców czeredy olbrzymie,
 Twarz im pobladła, ich ręce się trzęsły,
 Zbroczone we krwi, okopcone w dymie,
 Gdy nasze włócznie zachrzęśły.

Lecz my, niestety! ze zbytniego męstwa
 Chcieliśmy płynąć jako łódź bez wiosła;
 Szlachetna żądza pięknego zwycięstwa
 Nas za daleko uniosła!

O cienie przodków! nasz oręż za słaby,
 A któż po waszej będzie mścił się głowie?
 Kto na tem polu pobije Arabów,
 Gdzie legli nasi ojcowie?

Przebóg! ich kościom niecześci tak wiele,
 Turek wyszydza ich kurhan cmentarny,
 Po którym pnąc się, ogryzają ziele
 Lękliwe kozy i sarny.

O ludy! hańba niech oczy nam zaćmi!
 Wstyd nam chwil marnych, straconych napróżno,
 Wstyd nam toczonych wojen między braćmi,
 Gdy z wrogiem walczyćby można!

O potomności! niech dzisiejsi męże
 Wspomną o zemście, Rzymie i Rzymianach!
 Nie — lepiej zróbcie: zawieście oręż,
 Niech je rdza zgryzie na ścianach.

Lub, co korzystniej, pewno już w tej porze
 Dobry miecz rzymski na sochę skowano,
 Pewno Latyni zną mieczami zboże,
 Lub rąbią kłodę drewnianą.

Lecz młodzież rzymska, ufajmy jej jeszcze,
 Rycersko mieczem poświęconym płatnie.
 Słyszę: grzmi działo, fal morska szeleszcze,
 I syczą kule armatnie.

Wszystkiemi wiosły nasza flota bieży,
 We wszystkie miecze bojownicy siekają;
 Tu krew, tu oręż, tu szczątki odzieży
 Pluskają w morze daleko.

Tryton, pływając, na swej trąbie grzmota,
 Widzę posiłki szlachetnych sąsiadów,
 W pomoc nam płynie niezliczona flota.
 Mnoga, jak wyspy Cykladów.

Ubieżał Turek ku krainom wschodnim,
 Zaćmił się w chmurze półksiężyc dwurogi;
 Ubieżał Turek — ledwo morze wschodnie
 Lodem nie skrzepło od trwogi.

O D A XI.

Do Lewina Hieliusza — zalecenie pracy.

Nam quae purpureis fumet honoribus . . .

Czy wół ofiarny, z którego krew ciecze,
 Którego rogi uwieńcza ozdoba,
 Czy ów, co karkiem ciężką sochę wlecze,
 Bardziej się Bogom niebieskim podoba?
 Praca kraj trzyma: — Fabrycy na łanie
 Pracował silnie rydlem i toporem,
 Karczował grunta — alić go Rzymianie
 W głos obwołali swoim dyktatorem.
 Zawołał liktor: — Uczczona zasługa!
 Rzuć, mężu, rydel, rzuć wiejskie rzemiosło;
 Odtąd ta ręka, tak wprawna do pługą,
 Będzie sternicze piastowała wiosła.
 Wyprząż tve woły, niech szukają trawy;
 Rzymianie wyższe niosą ci zaszczyty:
 Pomny na równość, słuszny i łaskawy,
 Mężu, bądź ojcem Rzeczypospolitej!
 Na cześć Jowisza złóż podarek szczery,
 Poświęć mu twoich towarzyszków pługą.
 Godne tve woły ofiarnej siekiery,
 Godna z ich trzewów niebiosom zasługa!

A nawet dzida Marsowa Jazona
 Od pracy wzięła swój tryumf zupełny.
 Nigdyby pewno nie była wieńczona
 Złotemi kosmy kędzierzawej wełny,
 Jeśliby Greczyn nie narzucił jarzem
 Na rozhukane, nieprzystępne byki,

A potem płużnem zębata żelazem
 Nie rznął dyrwanów na Kolchidzie dzikiej.
 Napróżno woły piorunowym rykiem
 Chciały ustraszyć dzielnego oracza;
 Próżno, buchając siarczystym dymnikiem,
 Wyziew zabójczy głowę mu otacza.
 Nie struchlał rycerz, choć widzi, że niwa,
 Czarodziejskiemi zębami zasiana,
 Bujno się krzewi, a z krzewów wypływa
 Zbrojnych rycerzy mnogość nieprzebrana.
 Błyszcą ich hełmy, pancerze i bronie,
 Ale bohater ducha nie postrada,
 Tessalska włócznia, jak sierp na zagonie,
 Zwalcza zastępy i na przekos składa.

KSIĘGA DRUGA.

O D A I.

Do Publiusza Memmiusza.

Quae tegit canas modo bruma valles . . .

Zima na polach, lecz stopi ją wszędzie
 Wiosna łaskawa.
 Ach! kiedy zima na głowie usiedzie,
 Trudniejsza sprawa:
 Szadz gdy posrebrzy czuprynę człowieka,
 Będzie już przy mnie;
 Lato uciekło, i jesień ucieka,
 Zmarznięm na zimnie.
 Chłód i siwizna gdy przyjdą swej pory,
 Nie zbyć tych cierni!
 Choćbyś balsamem namaścił kędziory,
 Włos się nie szerni.
 Raz tylko w życiu młodość nas zagrzała,
 Raz starość zgarbi.

O Publiuszu! sama tylko chwała
 Wieczność zaskarbi.
 Przy czym zgonie bolą ziomków serca,
 Ten nie żył marnie.
 Krom naszych zasług — czuły spadkobierca
 Wszystko zagarnie.

O D A II.

Do swej harfy.

Sonora buxi filia utilis...

Harfo moja bukszpanowa!
 Wisieć będziesz na topoli,
 Kiedy w liściach ciche słowa
 Poszeptywa wiatr powoli.
 Niech po strunach wiatr figlarnie
 Poszwargoce tony skoczne,
 Ja tymczasem na tej darnie
 Złożę głowę i wypocznę.
 Lecz, ot chmura! — z poza lasu
 Łoskot deszczu zdala warczy.
 Umykajmy — ach, do wczasu
 Jeno krótka chwila starczy!

O D A III.

Do swojego brata Stanisława Sarbiewskiego.

Si transacta retro saecula respicis...

Jeżeli dawne wieki przypominasz sobie,
 Jeżeli wspomnisz przeszłość, westchniesz od boleści!
 Wszędzie sen i milczenie, wszyscy leżą w grobie,
 Ani śladu dawniejszej rodowitej cześci.
 Próżno wołasz pieśniami twoich towarzyszy,
 Sarbiewski! pieśń nie złączy, kiedy śmierć rozdzieli.
 Bracia twoi po mieczu w grobowej zaciszy,

Skłoniwszy twarz rycerską, na twardo posnęli.
Ty, jako dzielny bójca, nasze bohaterzy
Po rycerskubyś spotkał, — a za tobą dalej
Ja, śpiewak, cześćbym oddał brzękotom mej liry,
Gdyby tylko ich cienie z grobów zmartwychwstali.
Moglibyśmy zawołać: Do nas zacne głowy!
U nas już bohaterskie uczucia zamarły,
Po waszych wielkich czasach przyszedł wiek jałowy,
I z plemiona olbrzymów zrodziły się karły.
Wiek, co Herkula wyda, za wielki liczymy,
Ale Herkul nie zawsze urodzi się przecię;
O! nieraz dzikie gady, potwory, olbrzymy
Morderczo i bezkarnie plondrują po świecie.
Niechże wszystkie ustąpią! Powoli, powoli
Idźmy ku wielkim dziełom, nie zwlekając dłużej!
Nie razem zostać wielkim, — służmy sławie k'woli,
A potem jako żywo sława nam usłuży.
Kto będzie tak walecznie działał, jak pradziady,
Ten sławę pradziadowską pozyska we zniwie.
Idź za dobrymi wzory, słuchaj dobrej rady,
I ku dziełu prawicę przyłóż nieleniwie.
A tak sama cię dola wzniesie na widownię,
Sama wzniesie twe imię pod gwiazdziste szczyty.
Lecz pracą jeno można ukrzepić warownię,
W pocie tylko zdobędziesz zamek niezdoyty.
Idźże czy szukać sławy między cesarskimi,
Co mury mantuańskie mają zwalić w gruzy,
Lub pod Apeninami, w Liguryjskiej ziemi,
Albo w krainie Gallów pomiędzy Francuzy;
Lub powracaj do Polski rodzinnego brzegu,
Czy gdzie ciebie nie wezwie, kiedy broń zaszczęknie.
Tu skieruj męską duszę, stań w bratnim szeregu:
Żyć tutaj, to zaletnie, — umierać, to pięknie.
Czy Turczyn; czy Tatarzyn, ty pokwap się żwawie
I uderzaj co siły twą włócznią doznaną;
I znajdziesz twoją chwałę w ojczystej kurzawie,
I nie dasz, by o tobie z przekąsem szeptano.

O D A IV.

O występkach rodzaju ludzkiego.

Humana linquo . . .

Odumieram już ziemi, — o wiatry! o chmury!
 Owioncie mię, unieście daleko, wysoko,
 Ponad płaskie doliny, nad garbate góry,
 Ponad państwa, nad miasta . . .

O! już moje oko
 Patrzy z wysokiej gwiazdy na przybytki Boże,
 Na królewskich pałaców złociste dachówki;
 Wieże miast i warowień w dalekim przestworze
 Zdają się moim oczom jako drobne mrówki;
 I granice narodów w tak małym zakresie
 Przed mojemu oczyma . . . Czuje, łyzy mi płyną:
 Widząc igraszki doli, płakać, płakać chce się
 Nad marnych rzeczy ludzkich przemienną ruiną.
 Tu staroświeckie baszty gruz zasypał czarny,
 Tutaj nowe wieżyce wystrzeliły czołem,
 Tutaj dymek się kurzy, tu ogień pożarny
 Zniszczył mury, a miejsce zabielił popiołem.

Tutaj łagodne niebo i rozkoszne klima,
 Ale wojny nie dają kosztować rozkoszy;
 Tutaj ludzie spokojni, tutaj wojen niema,
 Za to mór zaraźliwy krainę pustoszy.
 Owdzie włócznie migocą, słyhać chrzęst puklerzy,
 Stoi szyk przeciw szyku, wściekle oko pasie
 Widokiem krwi i śmierci, każdy pocisk mierzy,
 Niepewny los potyczki chcąc zaskarbić dla się.
 Już się splotły zastępy, rąbie się brat z bratem,
 Miecz błyszczy się, uderza, szarpie i rozdziera,
 Szerokie pole bitwy spluskane szkarłatem,
 Leżą porzniete trupy — to grób bohatera!
 Tutaj okręt kupiecki zawinął do brzegu
 Z indyjskimi towary, — wnet wszyscy zebrani;

O jakże tutaj tłumno! co tu ludu biega!
 Jednych zysk, drugich zbytek wiedzie do przystani.
 Słysząc gwary i bitwę, ludzie bez różnicy
 Z lada przyczyn gotowi porwać się za noże:
 Jedne wdzięki Heleny, uśmiech zalotnicy
 Narody na narody znienawistnić może;
 Ten za słowo zelżywe uderzy toporem,
 Ten za psa skradzionego krwią pomścić się gotów.
 Ludzie przykład zbrodniarzów kładą dla się wzorem,
 Występek liczą dumnie do rzędu przymiotów.

Na wschodnim Oceanie wojenna fregata
 Zieje ogień armatni z błyskawic i grzmotu;
 Przepłoch z echem wystrzałów dokoła rozlata,
 Góry, wyspy sąsiednie aż drżą od łoskotu,
 Aż morze na grom działa echem odpowiada,
 Odbijając go trwożnie po płaszczyznach fali.
 Wstrzymajcie się, okrutni! — o biada wam, biada!
 Jeśli wasz miecz zabije, wasz ogień zapali.
 Czyż ziemia za te śmierci pomsty nie zawoła,
 Któremi poginęła jej kochana dziatwa?
 Biada zbójcom! zachwieją i uchylą czoła,
 Ich państwo w sieć zniszczenia samo się zagmatwa!
 Na ruderze ich domów stanie przestwór próżny,
 Będą nory jaszczurcze i kupa popiołu,
 Na której w późne wieki napisze podróżny:
 Tu leży lud z królestwem i królem pospo-
 łą.

Pocóż mam przypominać Ocean ponury,
 Co nieraz, zgruchotawszy skaliste wybrzeże,
 Szedł i pochłaniał miasta, podkopywał mury,
 I zalewał świątynie po wysokie wieże?
 I królewskie podwoje, i bierwiona z chaty
 Widziano pływające po morskim przestworze;
 I towary tyryjskie, i skarbiec bogaty,
 Jako z morza nabyte, popłynęły w morze.
 Świat pracuje i działa, wre życiem hałaśnie,
 Ale na własną zgubę pracuje szalenie,

I żąarte potyczki, morderstwa i waśnie
 Szermiersko odegrywa na skrwawionej scenie,
 Aż nim Pan w dzień ostatni zakończy złą koleją
 I na zawsze zabije drzwi w amfiteatrze...
 Czyż mam czekać aż dotąd? O! uleczę wolej,
 W jasne niebo i w słońce pogodne popatrzę.
 Nie chcę patrzeć na ziemię — o wy, wiatry wschodnie!
 Prędeż mię, prędeż z sobą unoście ku górze,
 Skąd ziemi ani widno, gdzie pieriom swobodnie,
 Gdzie słońca i księżycy kąpią się w lazurze!

Czyż zaiste? O! wietrzna wzdeła się już fala,
 Ja w górach na obłokach mknę się po przezroczu,
 Królestwa jako mrowie jeno mżą się zdala,
 A ludzic i narody znikają z mych oczu.
 Kula ziemiska maleje, aż się punktem stanie,
 Jako czarna źrenica w szerokim błękiecie,
 Jako mała wysepka w wielkim oceanie,
 Którego z żadnej strony brzegów nie dojrzycie.
 Coraz wyżej a wyżej ze mną chmury biegną...
 Powietrzny oceanie, orzeźwij mą głowę!
 Pochłoń mię, pograż w siebie, napój spragnionego
 I zaprowadź do portu, niech ujrzę Jehowę.

O D A V.

Kato polityk.

Usu se minui si sinerent opes...

Mało posiadam, prosiłbym o więcej,
 Lecz na cóż zda się ta modlitwa chciwa?
 Głupie łakomstwo chciałoby tysięcy,
 Pragnie, wydziera, lecz ich nie używa.
 Bogdaj to cnota i bogactwa serca!
 Bogactwo myśli — to prawe korzyści,
 Których nie może odebrać wydzierca,
 Które codziennie wzrastają krzewiściej.

Czy to królewskiej, czy cesarskiej lidze
Podda się państwo, pełniąc wolę Bożą,
Takie bogactwa, jak obce intrydze,
Ani się zmniejszą, ani się pomnożą.

Dola wyszydza żądze i nadzieje,
Któremi człowiek swe serce przyodziął;
Rzuci garść złota, a potem się śmieje,
Że głupi motłoch bije się o podział.

Chciwcy się rzucą łapczywie i tłumnie,
Za lada darem, za groszem, za kwiatkiem;
Lecz zmienne skarby nic nie ważą u mnie,
Choć się w me ręce dostaną przypadkiem.

Gdy mi konsulat sądził Pan niebieski,
Doma mię znajdzie i wolę swą ziści:
Ja sam nie pójdę starać się o kreski,
Bym nie był widzian oczyma zawiści.

Będę mą godność piastował bez względu,
Póki mi każe przeznaczenie Boże;
A potem berło mojego urzędu
W ręce następcy spokojnie położę.

A odegrawszy konsule i wodze,
Gdziem miał aktorską purpurę i zbroję,
Znijdę ze sceny w pospolitej todze,
Zrzuciwszy z siebie ozdoby nieswoje.

Wczora wzniesiony wysoko od ziemi,
Miałem oklaski, słyszałem szydzienie;
Jutro, klaskając i sycząc z drugimi,
Obaczę mego następcę na scenie.

O D A VI.

Do Decyusza.

An nos sola parit, Deci,
Tellus?

O Decyuszu! czyż sama ziemia
Nas wyrodziła swem tchnieniem?
Czyż my wyrodki wyprzem się Nieba,
Co nas odziało promieniem?
Czyż nam się godzi drętwieć leniwie,
Gdyśmy zrodzeni do cześci?
Jeżeli wierzyć dawnym pół-bogom,
Głoszonym w greckiej powieści,
Że ze krwi Bożej wiedli swe plemię. —
Czemuż ich przykład tak niemy?
Dlaczego sami, przebóg! tak długo
W gnuśnem prózniactwie żyjemy?
I ród nasz święty, ród nasz niebieski
Nikczemnim w sobie tak marnie?
Wiosna ucieka, starość nie zwłóczy,
Już nas zgnilizna ogarnie.
O! chwała temu, kto pierwszy przerwie
Haniebną drzemkę w złej doli!
Kto ziemię tracką, miasta Kolchidy
Z rąk bisurmańskich wyzwoli!
Kto ich odpędzi — błogo mu, błogo!
Niech będzie pewien swej cześci;
Sława dostojna to zacne imię
Późnym potomkom obwieści.
My niedołączni jeno się waśnim,
Bo czarna zawiść nas pali;
Co dawniej zwano dzielnością, cnotą,
Myśmy to szczęściem nazwali.
Co trzeba nabyć myślą i pracą,
Myśmy puścili na losy;
Bo gmin rozumie, że trafem tylko
Można się dostać w Niebiosy.

A sława, widząc, żeśmy niegodni,
Nie puka do naszej bramy;
Lekce ją ważym i dla igraszek
Szlachetne imię rzucamy.
Lecz ty, szczęśliwce, przy którym jeszcze
Chwała odbywa swe straże,
Rzuć chatni ogień, rzuć stół rodzinny
A idź, gdzie ona rozkaże.
Śpieszaj skwapliwie, zahartuj serce
I dzielnie nadstawiaj czoła;
A czy w Athosie, czy na Kaukazie,
Zwycięsko ciebie obwoła.
Czy gdzie na Wschodzie olbrzymia rzeka,
Czy na Zachodzie się toczy,
Wszystek lud tamten berłu twojemu
Będzie podlegał ochoczy.
Czemuż, niestety! muszę tak długo
Łajać gnuśności, intrydze?
Grecyo stara! czemu na tobie
Skruszonych kajdan nie widzę?
O prędkoż, prędko radzi ujrzymy
Pięknej Arkadyi darnie?
Prędkoż na święty Hemu wierzchołek
Dadzą się wedrzeć bezkarnie?
Prędkoż tessalską ujrzę Peneję?
Prędkoż w parnaskiej pieczarze
Wzorem Pindara pieśnię zapieję
I duch w walczących rozzarzę?
O! wtedy będę słyszan daleko,
Będę w świetności i cześci;
Naród zamorski i nieznajomy
Wielkim mię wieszczem obwieści.
Przemogę zawiść, co zębem zgrzyta,
A rozgłoszony zawczasu
Nie umrę człkiem ciemnym, nieznanym,
Kapłan świętego Parnasu.

O D A VII.

*Do Najśw. Maryi Panny, gdy Jan Karol Chodkiewicz
zbudował Jej kościół w Krożach.*

Huc, o beatis septa cohortibus
Regina mundi . . .

O! teraz, teraz, Królowo ziemi,
Weź Twoją drogę zorzmi jasnemi,
I na obłoku, gnany wiatrami,
Spuść się na ziemię, zamieszkaj z nami!

Zstąp i zamieszkaj w kraju tych ludzi,
Co Twój przybytek wzniesli na Żmudzi,
Gdzie u podnóża Twoich ołtarzy
Wonnem kadzidłem ogień się żarzy.

I nie waż lekce modlitwę rzewną!
Choć w krajach zorzy świetniej Ci pewno,
Choć w loretańskiej i rzymskiej stronie
Więcej jest złota na Twej koronie, —

Choć enipejskich ludów gromada
Nie skąpą ręką dary Ci składa,
Choć Azyanie z wdzięczną rozkoszą
Wysokie wieże dla Ciebie wznoszą, —

Choć w całej ziemi dank Twój uznany,
I gdzie zamorskie Amerykany,
I gdzie zachodnie i wschodnie strony,
Wszędzie-ć ofiary, wszędzie pokłony.

Patrzcie, o! patrzcie, natężcie oko:
Obraz Dziewicy widzę wysoko!
Święte wołania słyszę w przezroczy,
I po błękicie obłok się toczy.

Zdjęty się w górę szare tumany,
I pierzchnął pomrok wiatrem rozwiany,

I gdzie się biały obłok migota,
Trysły promienie ognia i złota.

A kędy przejdzie i kędy błysnie,
Tor swego przejścia cudny wyciśnie,
Śladem za chmurką, śladem ujrzycie
Ognistą taśmę w jasnym błękiecie.

Ha! czy słyszycie, nizcy ziemianie,
Jaki w tej chmurze dźwięk i śpiewanie?
Cześć! cześć i sława! w błyskaniu burzy,
Grom po trzy razy tym dźwiękom wtórzy.

I wielkie słowo: „Cześć! cześć i sława!“
Po ziemi zmudzkiej echo rozdawa,
Drgnęły doliny i leśne liście,
Gdy odbijały głos uroczyście.

O! ciesz się, ziemio, z takiego gromu!
Dziś twoich modłów jest słuchać komu!
Śpieszajcie uczcić niebieską gościę,
Bożej Dziewicy dary przynoscie!

O D A VIII.

*Do rzeki Narwi, na której brzegach, będąc dzieckiem,
złożył najpierwszy wiersz liryczny.*

Albis dormiit in rosis . . .

Na wiązance z białej róży,
Na fiołkach, spoczął we śnie
Dzień ów wielki, dzień miniony,
Gdym najpierwszą złożył pieśnię,
Gdy nad Narwią harfa brzękła
Niedoleżną jeszcze nutę.
O, zaiste! z dnia tamtego
Złote dla mnie dni wysnute.
Ozłocona harfa moja

Nie chrzęściła jako tarcza,
 Nie śpiewała bohaterów,
 Licha wioska jej wystarcza,
 Uperlone rosą kwiaty,
 Róże, gwoździć, tulipany,
 Lub Wilii brzeg majowy
 Zefirami ugłaskany.
 Narwi rzeko! tum w najpierwszej
 Niemowlęctwa śpiewał porze!
 Tum najrańszą mą piosenkę
 Na wiązowej wyrzył korze.
 Póki jeszcze nie zarasta
 Kora, rylcem zadraśnięta,
 Niech się pieśni mej wyuczą
 I dziewice, i chłopięta, —
 I w mojego dnia rocznicę
 Niech się zejda tutaj wczesnie,
 Aby razem i na przemian
 Chórem śpiewać moją pieśnię.

O D A IX.

Niczego nie należy głupio się lękać lub spodziewać.

Et me Latinae non solitum loqui
 Jussere Musae.

I mnie łacińskie muzy przemówić kazały;
 Jam wnukiem Orfejowym za Pieryd łaską.
 Zbierzcie się, cni Sarmaci, w okrąg okazały,
 Uwieńczcie moje skronie laurową przepaską.
 I głosu mojej liry posłuchajcie chętnie,
 Nie pędźcie waszych myśli za motłochu wrzawą,
 Żądź waszych nie puszczajcie plondrować namiętne,
 Zawrzyjcie wasze serca przed podłą obawą.
 Zepnij silnem wędzidłem wyuzdane chuci,
 Zbądź się niktzemnej trwogi, uczynź ślub Minerwie;

Gdy ci męstwo szlachetne do serca powróci,
Ty bezpieczen popłyniesz, choć burza się zerwie.

Gdy ciosy przewidziane nietyle nas bodą,
Więc często przemyśluj, co ci dola waży,
I oswajaj twe myśli ze wszelką przygodą,
Bądź gotów do nieszczęścia, stój pilnie na straży.

Czy to morze się wzdejmie i grzmoty zawarczą,
Czy płomień błyskawiczny z piorunami lata,
Staniesz kamiennym murem i miedzianą tarczą,
I będziesz się przyglądał rumowisku świata.

Hartuj pancerz do boju, póki spokój władnie,
Gotuj się mężnem sercem do hasła Bellony;
Biada temu, kto zadrży! biada, kto pobludnie!
On jeszcze przed potyczką dwakroć zwyciężony.

Ale znowu — chełpliwość wiedzie do omamień;
Nie chwał się, że masz mocne do walki ramiona,
Nie wywoływaj nieszczęść; bądź stałym, jak kamień,
Ale próżna przechwałka niech ci w uściech skona.

Skromne i ciche serca omija zła dola,
Lecz nie bluzgaj złej doli przez chełpliwe słowo:
Gdy ją wyzwiesz na rękę, nie uciecze z pola,
Zwróci się i do gruntu wstrząśnie twą budową.

Niech mądrość dzierży włócznie, a pewno zwycięży,
Niechaj harda swoboda nie zaślepia oczy;
Mądra, przezorna rada jest naksztalt pawęży,
Na której grot zawiści zbije się, odskoczy.

Lecz skoro los zagrozi i w serce nam mierzy,
Wtenczas to, wtenczas pora poszermować mieczem!
Chwycim dobry nasz oręż z zapałem szermierzy,
I na groźby zelżywe zwycięsko odrzeczem.

Milczenie bohaterskie lub uśmiech pogardy,
To najwłaściwszy oręż, gdy staniem przy mecie.

Z oczu nam wróg wyczyta, czy duch u nas twardy,
Czy nas można bezkarnie zaczepiać, jak dziecię.

Oto jest sprawiedliwej mądrości nauka;
Lecz dzisiaj świat się w żądzach nierozważnych grzebie,
Każdy rzeczy zewnętrznych najtroskliwiej szuka,
Ale któż jest sam sobą? kto szuka sam siebie?

Jeden, bogaty w złoto, lecz ubogi w ducha,
Bezcześci wszystkie wyspy, gdzie przybił swą nawę;
Drugi pozbył się serca, rozumu nie słucha,
Śmiercią kupuje zyski głupie i nieprawe.

Ów dąży w zamorszczyznę, — jak mara przejezdna,
Przypatruje się krajom, narodom i mowie;
Jedzie poznawać światy, a sam siebie nie zna,
Nosi błędną ciemność i straszne pustkowię.

Inny w niegodnym wczasy zadrzemał spokojnie,
Jako trup bezkorzystny, beczynny dla świata,
Doma niepożyteczny, niezdatny na wojnie,
Sterał jeno, zmarnował młodziuchne swe lata.

Ten się oddał dworszczyźnie, służy drugim gwoli,
Bo nierad sam ze siebie, chce sięść między pany,
I co najgorsza kara służebnej niewoli,
Zapomniał swoją nędzę, swój stan opłakany.

I wśród udręczeń serca ów trefniś uparty
Gra rolę szczęśliwego, kłamie uniesienie;
Kiedy mu ból doskwiera, sili się na żarty,
Jak histryon uliczny, jak śmieszek na scenie.

Od troski barwa szczęścia spłowieje na twarzy,
Znużą go pozdrowienia od ciżby ochoczej,
I prośby czołobitne, i jęki nędzarzy,
I naród, co jak woda w przysionki się tłoczy.

Łamią się jego progi od służbnych orszaków,
A on stęka od zgryzot, co w sercu i głowie;

Drećzą go skarby miasta, podatki rodaków,
Drećzy go niespokojność, co też naród powie?

Człowiek żadny potęgi nie stoi o braci,
Wszystko piękne uważa za własność swej dłoni.
Jam szczęśliwszy od niego w prywatnej postaci,
Bo mię moje ubóstwo od hańby ochroni.

Więcej nogą nie stąpię, niż zagarnę w ręce;
Ziemia, po której stąpam, to dziedzictwo moje;
Na niej i kroki moje, i kroki książęce,
Ja tutaj równien królom i cesarom stoję.

Wszyscy możemy wzgardzić, nikt posiąść nie może;
Ktokolwiek wiele waży znikome zaszczyty
I chełpi się w swem sercu, — zapomniał w uporze,
Iż umrze jedną śmiercią, co człek pospolity.

Żyjem różni, lecz w śmierci będzie równość bracka:
Tych wynosi nad braci pawęża herbowna,
Tych krzesło senatorskie, tych sława wojacka;
Ale zgon wszystko zniesie, popiół wszystko zrówna.

Urna, gdzie zsypią nasze popioły w mogile,
Jest miarą wszystkich rzeczy. Wypogódźmy twarze,
Odrzućmy z ramion sakwy, pofolgujmy sile:
Na co nam dźwigać złoto w daremnym ciężarze?

Gdy umrę nie obciążon, wtedy umrę chętnie,
Bom przygotował skarby wiekuistej sławy;
Nabyłem sobie szczęście, nie pragnąc namiętnie,
Nabyłem sobie spokój, wolny od obawy.

O D A X.

Ze świętego Kantyku Salomonowego.

Vitas sollicitae me similis caprae.

Panie! Ty pierzchasz, jak sarna lekliwa:
Czy afrykański huragan się zrywa,

Czy szalenie lekki wietrzyk południowy,
Ona drży strachem i uchyla głowy.

Czy zima warzy młodociane liście,
Czy łoskot grzmotu zagra uroczyście,
Czy strzeli echo piorunowe w lesie,
Bieży niepewna, gdzie oko poniesie.

Lecz moja dusza nigdy nie przestanie
Wołać za Tobą: O! wróć do nas, Panie!
Śladem Ci ślemy wołanie strzeliste:
O powróć do nas! powróć do nas, Chryste!

Czy Cię Libanu zieleniuchne szczyty,
Czy krasne niwy Betulii obfitej,
Czy Ciebie święta, bogata Solima,
Czy Kafarnaum w swych granicach trzyma:

Przestań już pierzchać, kryć się nadaremno,
Ty się, o Boże, nie skryjesz przede mną!
Ja po jasności poznam ślad Twej drogi,
Wyda Cię słońce i księżyc dwurogi.

Pustynia jęknie gwoli Twojej cześci,
I tchnienie wiatru Twe przejście obwieści,
Wskażą Cię gwiazdy, i tęczowe cienie,
I aureoli złociste promienie.

O D A XI.

Do Jędrzeja Rudominy, Jezuity, gdy z Rzymu odjeżdżał do Portugalii, mając stamtąd płynąć do Indyi.

Ergo minaci credulus Africo . . .

I nicze nie straszne dla twojej odwagi,
Ni skwary, ni pęd huraganów,
Ni wichry rozdęte, ni fale, ni flagi,
Ni dworzec eolskich tyranów?

Ty nie drżysz? nie wspomnisz o przyszłej ruinie,
 Gdy z trwogi twój okręt się wstrząsa?
 Tam trudna żegluga, tam mało kto płynie,
 Tam jeno się wicher wałęsa!

Ty patrzysz z uśmiechem na przyszłe zasadzki,
 Na szturmy i burze bez liku,
 Jak gdybyś nad Tybrem szedł użyć przechadzki,
 Lub w miłym tuskulskim gaiku.

Tam fala czatuje, by z tobą wieść wojnę,
 Tam grozi niejedno widziadło...
 Lecz widzę z daleka, jak morze spokojne
 Do snu się cichego układło,

I zdrzemał na wodzie huragan wydęty.
 Więc zerwij kotwicę w mieliźnie:
 Niech z gwiazdą fortunną żeglują okręty,
 Niech wiatr je szczęśliwy pośliźnie!

A święta Królowa, co trzyma łaskawie
 Na morzu i lądzie swe straże,
 Niech dobrem sternictwem poszczęści twej nawie
 I żaglom kierunek ukaże!

O D A XII.

*Pochwały Zygmunta III, króla polskiego
 i szwedzkiego.*

Quam prono Rhodopen pede lustro?...

Szybko lecę przed Rhodopę,
 Przez Fazydy brzeg się śliznę,
 Przez Kolchidę mkną mię wiatry, —
 O! już stawię moją stopę
 W naddniestrową Słowiańszczyznę,
 Gdzie siwieją stare Tatry,
 Gdzie się chłodna Wisła kręci...

Któż mię, przebóg! mimo chęci
Ponad Wilią zatrzymywa?
Jakie ciemne gaje w drodze,
Jakie źródła tu znachodzę?

Kalliope! ponad zorze,
Nad obłoki rozigrana,
Tu mię wstrzymaj, gdzie w Bosforze
Wre posoka Muzułmana,
Tu, gdzie fala silnie grzmoce
W dzikie brzegi Taurydy, —
Tam, stanąwszy na opoce,
Siłą harfy i wyrazu,
Siłą pieśń Pierydy,
Wymuruję ołtarz z głazu.
Moja sztuka, moja siła,
Wraz wywnętrzy ziemię ciemną,
I marmuru piękna bryła
Sama stawi się przede mną,
I ochoczo mi pozwoli
Wyryć na niej wieczne słowo,
I pochwałę Zygmuntową
Podać przyszłym wiekom gwoli.
Uwiecznimy na tej skale
Walnych bitew miecz zwycięski,
Uwiecznimy Getów klęski
I zdobycie morskiej fale.
Tutaj dziewic orszak hoży
Fiołkami grunt okryje,
Na ołtarzu wawrzyn złoży,
Pomnik w lilie owije.
A my tutaj wdzięcznym chórem,
Trzykroć z rana i wieczorem,
Utkwim różdżkę od oliwy
I zapalim ambry wonie,
I kadzidło ogniem spłonie,
I wydamy okrzyk żywy:
„Tryumf! tryumf!“

W tej zaściszy
 Echo trackie nas posłyszysz,
 I trzy razy głos swój przetnie,
 Aż usłyszą Muzułmanie
 Naszą radość i wołanie,
 Nasze surmy, nasze fletnie.

O D A XIII.

Do Niemiec wrzących wojną domową.

Quid juvat densis glomerata turmis
 Bella civili tonuisse clade?

Na co ta ciżba w groźnej postaci?
 Na co wam wzdymać wojnę cywilną?
 Czyż wam tak słodko, czyż wam tak pilno
 Napawać ziemię krwią waszych braci?

Schowajcie szablę, mężni Germani,
 Schowajcie szablę, niech się nie nuży;
 Cezar łup innym ukaże dla niej:
 Szabla na Turka głowę usłuży!

Łagodny Cezar wasze ramiona
 Każe uzbroić do innej chwili;
 On bez trudności Turka pokona
 I lud mongolski ku ziemi schyli.

Zrzućcie pancerze, węgierscy mężo,
 Porzućcie strzelać ku wspólnej szkodzie;
 Ferdynand bowiem nie przez oręż,
 Lecz miękkim cugłem rządzi w narodzie.

Tobie hołduje lud z nad Dunaju,
 Wielki jednawco wzburzonej ziemi!
 Tobie po całym Sykambrów kraju
 Brzękoce naród mieczmi czynnemi.

Świat złagodzony, rzuciwszy noże,
 Stare zwałiska naprawić krząta,
 I święte wczasy na długo może
 Przyszły, jak goście naszego kąta.

Na krwawej ziemi, tam, gdzie się bito,
 Pług chleborodne rozkrawa darnie;
 Ręką ujęty miecz pracowitą
 Żnie teraz snopy, przekosy garnie.

W czubatych hełmach siedzą ptaszyny
 I wrzaskiem wiosny pieją dla ucha;
 Na tarczy gołąb, jak stróż jedyny,
 Wiernej małżonce piosenkę grucha.

Chwała, jak słońce paląc pochodnię,
 Leci przez świata ziemie olbrzymie;
 Lud iberyjski i ludy wschodnie
 Uczy wymawiać cesarskie imię.

Usłyszą w świecie: jak dackie strzały
 Przeciw germańskim grotom ostrzono,
 Jako koncerze ogień krzeszały
 I jako w strzelbie kule pędzono;

Potem zbratane serca widocznie
 Jak opuściła zawziętość sroga,
 Kule, koncerze, strzały i włócznie
 Jeden kierunek wzięły — na wroga.

O D A XIV.

Ze świętego Kantyku Salomonowego.

Fulcite me floribus, stipate me
 malis, quia amore languo.

Ach! ubierzcie mię różami!
 Niech mi wieniec skroń owije,

Niech się włos mój ubalsami,
Ach! ubierzcie mię w lilie!
Bom widziała dzieje Boże!
W moich piersiach ogień wzrasta.
Wy, solimskie córki hoże,
Dzieci niebieskiego miasta,
O! przez sarny i koźłeta
Ja was błagam, ślę wołanie:
Izaaka dziatwo święta,
Która igrasz na Libanie!
Wy, Karmelu różne córki,
Co płasacie tak radośnie!
Oszczędzajcie piękne wzgórkę,
Gdzie fiołek wonny rośnie.
Nie biegajcie po nich z wrzaskiem,
Poniechajcie rąk klaskanie,
Póki ze snu z rannym brzaskiem
Naręczona nie powstanie,
Póki światła blask wspaniały
Nie rozbudzi senną ziemię.
Oto schodzi z wielkiej skały
Pięknej matki piękne plemię
I jedyne z ojca dzieci:
Do libańskich puszczy się wciska,
Krzemienistą drogą leci,
Przez wąwozy, przez urwiska,
Jak jelonek trwożny, mały,
Gdy lwa zoczy na płaszczyźnie,
Tłumiąc oddech, pędem strzały
Manowcami gór się śliznie.

O D A XV.

Do Najświętszej Maryi Panny.

*Gdy głodem, wojną i niepogodami Nieba Polska
była trapiona.*

Aurei Regina Maria coeli.

Pani złotego Nieba, Maryo!
Spójrz, gdzie nad Bohem Słowiany żyją,
Spuść się na chmurze z promienną głową
W stronę Lechową.

Weź z Sobą święte Pacholę Twoje,
I złoto-piórych Aniołów roje;
Niech Zdrowie, Pokój spuszcza się razem
Za Twym rozkazem.

O D A XVI.

Do Sławy, aby głosiła czyny Władysława, królewicza polskiego i szwedzkiego.

Age, picti moderatrix Dea mundi.

Powstań, wielka zwiastowniczo dziejów świata!
Niechaj wicher łono chmury rozkołata,
I na skrzydłach Akwilonów wznies się z burzą.
Z gwiazd północnych świetny rydwan niech cię niesie,
Nad chmurami w podobłocznych sfer zakresie,
Graj na trąbie, wiatry wschodnie niech ci wtórzą!
Oklask tobie, królewiczu! chlubo nasza!
Twoją sławę niechaj wdzięczny lud ogłasza!
W skocznym tańcu, w hucznym śpiewie niech cię sławi!
Szparkim wirem na cześć twoją, zacny książę,
Siedem wzgórków nadtybrowych niech okrążę!
Niech bluszczowy tan Bachusów cię zabawi!

Śpiewaj, sławo! bo to imię poznać musi
 Czy Medyjczyk, czy mieszkaniec zimnej Rusi,
 Afrykanin i cylicki Azyata.

Niech to imię, niepożytej sławy godne,
 Złotym piaskiem skreślą rzeki złоторodne,
 Tag i Hermus niech rozgłoszą je u świata!

KSIĘGA TRZECIA.

O D A I.

Do Egnata Nolliusza.

Sive te molli vehet aura vento,
 Sive non planis agitabit undis . . .

Czy-é lekki wietrzyk kołysz e i pieści,
 Czy biją szturmy z pod groźnych niebiosów,
 Umiejże, Nolli, w szczęściu i boleści
 Żartować z losów!

Miej twarz stateczną, kiedy los swawoli,
 Gdy los się zmarszczy — ty wyśmiej go w oczy;
 Niech w tobie zmiany doli i niedoli
 Żaden nie zoczy.

Jako ów hetman z władzą konsularną,
 Co broniąc twierdzy, włócznię z wrogiem kruszy,
 Tak ty umacniaj, gdy troski ogarną,
 Twierdzę swej duszy.

Kiedy twój domek nawiedzą przykroście,
 Wynijdź je spotkać, a uczynisz zadość;
 Bo w ślad za niemi idą miłsi goście:
 Spokój i radość.

Nie wszystko jady, nie wszystko trucizny,
 Co nam na lewej położono szali;

I troska dobra — jak sól od zgnilizny,
 Serce utrwali.
 Żal kiedy długi, nie pozrze ofiary,
 Bo się oswoim, przywyknem koleją;
 Dźwigaj ustawnie choć wielkie ciężary, —
 Pewnie zelżeją.

O D A II.

Do Marka Sylicerna.

Nunquam praecipiti credulus aleae
 Cum Fatis avidas composui manus.

Nigdy, nigdy łatwowiernie
 Z moim losem nie grał w kości,
 Na boleści, na radości,
 Na kwiat róży lub na ciernie.

Nie wiem jutra — bo i poco?
 Wszak sam rządę duszę moję,
 Wszak mię losy nie ozłocą,
 Wszak o skarby nic nie stoję.

Skarby świata we frymarku,
 Dane — wzięte — więc daremnie;
 Czyż uboższym będę, Marku,
 Kiedy skarby moje — we mnie?

Dusza krzepka, myśli dary,
 Skarb nasz wielki, skarb bogaty,
 Kosztowniejszy nad towary,
 Co przywożą Azyaty.

Myśl ustawnie czeka w gości
 Ku rozkoszy, ku ozdobie,
 Nie purpury, słońiej kości,
 Lecz wzbogaceń — w samej sobie.

O D A III.

Na szpetną chciwość wieku.

Frustra querelis et gemitu parum
Deliberato flevimus . . .

Próżno się skarży nasz głos ponury,
Łza nierozważna z oczu nam płynie,
Że twarde grody, szańce i mury
Smutnie zagrzebał miecz w rozwalinie.

Niewiele grzeszy (wyznajcie sami)
Miecz, co tysiączne miasta gruchota!
Wszak w rozwalinach między gruzami
Można się hojnie dokopać złota.

Przebóg! za mężów rycerskich rzeszą,
Co się do miasta szturmując wciska,
Chciwi grabarze z rydlami śpieszą,
By szukać skarbów w prochu zwałiska

I grabić łupy. Swym celom wierni,
Z motyką pełnią wojenną strażę.
O hańba! hańba! wszak młotek czerni
Więcej niż dzida cudów dokaże!

I wojna zmilknie, kiedy żołdacy
Uczynią zadość chciwości swojej;
Chcesz zyskać pokój — nie trzeba pracy,
Syp jeno złotem — huf się rozbroi.

Kiedy należy spotkać się czerstwo,
Wódz wtedy lochy ze złotem kryje,
Kiedy tymczasem trwożne rycerstwo,
Patrząc na wroga, drży o swe szyje.

W ubogiej twierdzy nie chcą wawrzynów,
Bo nie wawrzyny mieli na względzie.
Pewno się, pewno bezbożnych synów
Kraj skołatany prędko pozbędzie!

Umknęło pole, co rolnik orze,
 Padł gród, gdzie żyli złota niesyci,
 Chciwemi nawy zhańbione morze
 Nigdy się dobrym portem nie szczyci.

Natura czuwa, co się nie godzi,
 Karze ruiną, kto jej nie słuca:
 Nie ufaj szczęściu weneckich łodzi,
 Czółnom lichwiarskim grozi posucha.

Niedawno Aufid apulską niwę
 Swojami wody pokrapiał żyźnie,
 A teraz, mszcząc się za żądze chciwe,
 Rozpuścił powódź po swej ojczyźnie.

Uciekłszy z brzegów, jak lew z za kraty,
 Pustosząc błonie, szeroko płynie;
 Zamki królewskie i wiejskie chaty
 Podmywa, wali, składa w ruine.

O D A IV.

*Panegiryk Annie Radziwiłłowej, kasztelanowej
 trockiej, księżnie na Nieświeżu.*

Quo te Dearum nomine consecrem,
 Vicina cani Nympha Borysthenis?

Nimfo z nad Dniepru! cóż ja ci złożę?
 Lub jak cię uczcić wypada?
 Możeś ty Themis? Gracya może?
 Albo niebieska Dryada?

Dla twej ojczystej ziemi rozłogów
 Piękna przez ciebie zaleta,
 Kraj twój chlubniejszy niż wyspy bogów:
 Delos, Cythera i Kreta.

Tyś jako księżyc, co srebrem gore,
 Tyś jako Dyana święta,

Co, wiodąc psiarni łowieckiej sforę,
 Ściga jelenie, sarnięta.

Lecz tobie pono bardziej po sercu
 Rozumnej Minerwy wczasy,
 Lub złotą nicią szyć na kobiercu
 Mężów rycerskie zapasy.

Lub gdy pobożny duch się rozżarzy,
 Poświęcasz prace twe zdatne,
 By na przykrycie Bożych ołtarzy
 Utkać opony szkarłatne.

Niepionna sława trąbi po ziemi
 Dank dla zacnego imienia,
 I nad przymioty dziwić się twemi,
 Głośno je światu wymienia.

Poważna piękność iskrzy twe oczy,
 Lica oblewa szkarłatem;
 Ona i sploty twoich warkoczy
 Ubierze złotem bogatem.

Lecz skromność serca nad wieniec złoty
 Poważniej ciebie ukrasi,
 A rzeźkość duszy i promień cnoty
 Klejnotną wodę przygasi.

Tu Kreta, słynna z krasnych korali,
 Azya, z beryłów sławiona;
 Ale gdy cnota swój blask rozpali,
 Ognie brylantów pokona.

O D A V.

Do samego siebie.

Quid diu vanas feriente nubes
 Vota fallaci jaculamur arcu?

Długoż mam nosić rusznicę moję,
 Puszczając do chmurę prózne naboje,

Ja — co sam sobie jestem senatem,
Sam sobie wodzem, konsulem, światem?

Idźcie ode mnie, dotkliwie troski!
Oto mię wzywa Helikon boski,
Cień wawrzynowy, grota Parnasu
Wzywa mię k'sobie wytchnąć z niewczasu.

O helikońska święta wyżyno!
O święte fale, co w Cydnie płyną!
Strojny w fiołki tespijski szczycie!
Wody, co z krynic parnaskich wrzycie!

O! czyż mię pchnęło ramię olbrzyma?
Czy miły zefir lot mój wydyma,
Że lecę ku wam przez wietrzną drogę?
I aż nad Cyrrą wstrzymać się mogę?

O! lubię przebiedz źrenicą moją
Ciebie, o Rzymie! ciebie, o Trojo!
I Kapitolu stare ogromy,
I awentyński głąz nieruchomy.

Tam, gdzie Klitumnus przy swej opoce
Dziewiczą falą dźwięcznie klekoce,
Albo gdzie Almon spada z szelestem,
Ja chętnie z memi myślami jestem.

Zdrój hypokreński słysząc z ustroni,
Zda mi się, słyszę, jak lira dzwoni;
Bo brzękot wody — to dźwięczne słowa,
To piosnka Muzy, piosnka Febowa.

Tu piękna Liris przepływa skoro,
Tu Trazymenu jasne jezioro
Bursztynem płynie, tutaj Piave
Tryska dokoła krople złotawe.

Tu, kalabryjskie zdobiący kraje,
Ezar opływa łąki i gaje,

Pląsa po błoni swawolnym biegiem
I oszczypywa kwiatki nad brzegiem.

Tutaj to błogo dla ziemskich dzieci?
Tutaj i niebo weselej świeci,
Tutaj i ptaszek strzeliściej śpiewa,
I radość hojniej serca oblewa.

Tu krotchwila dowcipem strzeli,
I zacne żarty idą weselej,
Kwiaty do koszów Gracya rada
Uprzejmą dłonią pięknie układa.

I pięknie, pięknie błyszczą o wschodzie
Siedem pagórków w Romula grodzie!
Weselsze myśli idą do głowy,
Gdy ją orzeźwi wiatr nadtybrowy.

Lutnisto grecki, o święty Febie!
O boże piesień! przyzywam ciebie,
Zejdź w kraj łaciński, w ustron przyjemną,
Miłego wczasu zażywać ze mną.

Ty zaś, o Fusku! do mej ustroni
Przychodź, i przynieś — bo któż zabroni? —
Przynieś kochaną moją cythare
I Horacego kameny stare.

O D A VI.

Pochwały Franciszka Barberiniego.

Quis me citatus pectoris impetus...

Jakież to serca zapęły
Mkną mię w górę lotem strzały?
Czemu wóz mój w szybkim toku
Leci z wiatrem po obłoku?
Rozjaśniewszy moje lice,
Mijam ziemię w mej kolebce,
Ludy, miasta i wieżyce,

I królestwo całe depcę.
 Czy mię próżny obraz mam?
 Czy istotnie wjeżdżam gońcem
 W bramę światła, co przed słońcem,
 Uwieńczonem płomieniami?
 O! kraj niebios zdala znaczny!
 Oto przestwór zodyaczny!
 Strefa niebios okazała
 W dziesięć iskier mocno pała!
 W której, w której nieba stronie
 Twoje, książę, imię zatłę?
 Czy na wiecznym Oryonie?
 Czy gdzie K a s t o r bije w świetle?
 Czy gdzie zorze nad Moreją
 Alcydową sławą tleją?
 Czyli imię tve powierzę
 L w u mężnemu i C e r e r z e,
 W których letnie słońce pali?
 Oto D z i e w a stoi w straży,
 Na jesiennej swojej S z a l i
 Dni i wieki równoważy.
 Tu, Franciszku, cię uczciwszy,
 Wypiętnuję twoje ślady!
 Gdzie P l e j a d y i H y a d y,
 Tam twój pobyt najwłaściwszy;
 Gdzie jutrenka zrumieniona,
 Gdzie latają światła chyże,
 I gdzie zorza S k o r p i o n a
 Błyszczącemi kleszczmi strzyże;
 Gdzie warkoczem złoci światy
 Afrykański L e w kudłaty,
 Gdzie ognista jego grzywa
 U bieguna połyskiwa.
 Tak jest! — sławę bohatera
 Na niebiosach ryć przystało:
 Bo na ziemi — miejsca mało,
 Bo tu z blasku śmierć odziera.

O D A VII.

*Do rycerstwa europejskiego, o wyswobodzeniu
prowincyi greckich.*

Si quem cruentae vultus adorea...

Kto lubi kunsztem wydane dzieje
Zbrojnych wojaków, — czyja myśl skora,
Czyja się dusza rozpłomienieje
Na widok cześci tryumfatora, —

Kto radby widział swoje pochwały
Ryte na starej korynckiej miedzi, —
Kto chce mieć pomnik na szczycie skały,
Kto chce uczczonym być od gawiedzi, —

Kto chce u wnuków słynąć korzystnie,
Komu się wdzięczy pośmiertna chwila,
Gdy po bratersku Hektora ściśnie
I oko w oko ujrzy Achilla; —

Niechajże śpieszy! — bo teraz właśnie
Czas się na zawsze unieśmiertelnić,
W pendzlu Tymanta zasłynąć jaśnie
I piękne dzieło wybawcy spełnić.

Gdzie sygnał Marsów rycerstwo sprasza,
Tam się niech rycerz kwapi do rzeczy,
Niech bierze tarczę, ostrzy pałasza,
Niech karacena pierś ubezpieczy.

Czubatym hełmem niechaj nasroży
Głowę, co w piękny warkocz głaskana,
I przez ramiona niech na krzyż włoży
Rzemięny popręg swego kończana.

Rycerstwa trzeba — rycerstwa proszą
Wody i lasy na greckiej stronie;
Dobrych wojaków przyjmą z rozkoszą
Gaje w Tanagrze i Maratonie.

Strzelistych grotów Kreta dostarczy,
Stymphalus łuki zagnie na krzywo,
Lemnos da stali, Focyda tarczy, —
Idźże, rycerzu, idź nieleniwo!

Gdy z dobrym wiatrem, w dobrej godzinie
Zbierze się orszak Marsowych dzieci,
W wiosła uderzy, żagiel rozwinie,
I przez Egejskie morze poleci;

Sosny, bukszpany, świerk paflagoński,
I cyprysowy krzak kędzierzawy,
Jak gdyby wieńcem swemi gałązki
Otoczą pokład wybawczej nawy.

Przy Negroponcie niech szumią wiosła,
Tespijski rudel niech się zanurzy,
Ossa tessalska, drzewem zarosła,
Piękną się sosną na maszt przysłuży.

Wśród gęstych dębów tam Kaik płynie,
Tu Hebrus tracki toczy się z rykiem,
Owdzie Meander w gęstej olszynie
Klarowne wody kręci wężykiem.

Gdy w pole cześci dziatwę Izmary
Zechce prowadzić bohater rażny,
Na bohaterskie jego sztandary
Błogo wiać będzie zefir przyjaźny.

Niechże z rozwianym proporcem w dłoni
Stanie pomiędzy greckimi braćmi,
Niech z pól Emonu wroga przegoni,
Niechaj półksiężyc turecki zaćmi.

Chwała mu wielki kolos wykrzesze
I aż pod chmurę szczyt jego zbliży,
I w Orchomenie beockie rzesze
Wzniosą mu pomnik lany ze śpiży, .

Kuty z marmuru, — a on zasłynie
 Na wszystkie ludy, na wszystkie strony;
 Na Kapitolu, na Palatynie,
 Jak tryumfator będzie sławiony.

O D A VIII.

Do Aula Lewińskiego.

*Dzielność szlachcica polskiego Wiszniowskiego,
 który gdy w walce za ojczyznę poległ, Turcy, jego
 serce między sobą podzieliwszy, pożarli.*

Eheu! quo citharae sciens,
 Et Bacchi calidis fervida jurgiis,
 Laevini! . . .

O młodzieńcy! o szlachetni!
 Patrz, Lewiński! cześć im, cześć!
 Jak tańczują taktem fletni,
 Jak umieją toast wnieść!

Z swych pawęży stół zrobili,
 Z hełmów puhar — co-c się zda?
 Spełni rycerz w jednej chwili
 Szyszak wina aż do dna!

Lecz Wiszniowski, mąż sarmacki,
 Inszy pewno rycerz był,
 Co w gorącej bitwie trackiej
 Wstrzymał zapęd trackich sił.

Wpśród krwawych kup Tatar
 On się dzielnym Marsem zda,
 Krew szlachecka, krew mu stara
 Niedaremno w sercu drga.

Tego Turków dzicz szalona
 Kiedy w moc pojmała swą,
 Wyrąbała serce z łona
 I jelita z ciepłą krwią.

I pożarła, rojąc w głowie
 Nabrać męstwa, pozbyć strach.
 O! zbryzgani krwią Getowie,
 Nie wam bić się, jako Lach!

Potomności! uderz w miecze
 I wojenny zagraj śpiew:
 Niech się Turka pierś rozsiecze
 I sarmacką odda krew!

Wiszniowskiego krew wypita
 Na co ma w ich żyłach stać
 I zwierzęce ich jelita
 Bohaterskiem ciepłem grzać?

O D A IX.

*Do Cezara Pauzylipa, iżby zanadto nie dowierzał
 młodości.*

Ne te, Pausilipi, fallat inanibus
 Aetas deliciis . . .

Niechaj cię, Pauzylipie, twa młodość nie mami,
 Ni powab rozkoszy pańskiej.
 Dni nasze ubiegają żartkami kołami,
 Prędziej niż wiatr afrykański.

Fałszywa postać szczęścia, góra jego stroma,
 Mało kto szczytu jej dopnie.
 My zleпки szkła i wosku — dotkniesz się rękoma,
 Szkło się pokruszy, wosk stopnie.

My, jako latorośl róży, choć żywa jej kraska,
 Choć pięknie w krzaku się wije,
 Z rana ciepławy wietrzyk pieśczołami głąska,
 Wieczorem wiatr ją rozbije.

Śmierć na głucho zasklepia naszych trumien wrota,
 Przeszłość powtóre nie wskrześnie.

Błogo temu, kto nie brał za cele żywota
Szczęścia, co idzie docześnie!

Kto, żyjąc, przemyślał o wiecznym Niebie,
Z nadzieją czekając końca,
I świętą ojcowiznę zamówił dla siebie
W krainie światła i słońca!

O D A X.

Do Jana Rudominy na śmierć jego brata Jerzego R.

Qualis trisulci fulminis impetus . . .

Jak piorun trójządlę, syn burzy i gniewu,
Zrodzony z waporów morskiego wyziewu,
Wre ogniem we chmurze widomie
I trzęsie się z rykiem we gromie, —

Aż wreszcie z gniotących wyzwoli się oków,
Oderwie się z trzaskiem od czarnych obłoków,
Przebije powietrze i w lesie
Z łaskotem ruinę rozniesie;

Przez pola szerokie, przez błonia i rzeki
Roziskrzy, rozleje swój promień daleki,
I hardy Gibraltar w tej chwili
Krzemienny wierzchołek uchyli;

A piorun, miotając błyskanie i grzmienie,
Jak wódz do potyczki szykuje płomienie,
Aż w dymie siarczystej pożogi
Narody struchleją od trwogi;

Aż góry zaryczą ze wściekłym wyrazem,
Gdy od ich wierzchołków odbije się razem
I chmura rycząca i czarna,
I echo, i łuna pożarna: —

Tak mąż Rudomina unosi się żwawo,
Szlachetnie pokryty śmiertelną kurzawą,

I w szyki islamskie śmierć niesie,
Bojując, jak piorun po lesie.

I chwała wojenna rozwiała mu znamię,
Wzmocniła rycerską prawicę i ramię,
Duch mściwy śmiertelnej ofiary
Nosił go pomiędzy Tatary.

I wiara, i cnota, jak stróże w złej doli,
Przy zgonie bezwinnym służyły mu gwoli,
Gdy leciał — przerzynać się gotów
Wśród rżenia rumaków, wśród grotów.

Niestety! gdy rycerz szermował ochoczy,
Śmierć żądłem zatrutem błysnęła mu w oczy;
Lecz człowiek rycerski we zbroi
O śmierć i o rany nie stoi.

Gdy bowiem hamował czeredy tak dzikiej
Mścicielskim koncerzem bluźniercze okrzyki,
Na szańcu oskoczon wokoło,
Dał śmierci chwalebne swe czoło.

A sława usłużna, i głowę zranioną,
I zwłoki półmartwe przyjęła na łono,
A tuląc je dłońmi czułemi,
Leciuchno złożyła na ziemi.

A potem z zapałem ognistym na oku
Usiadła w swój rydwan z białego obłoku,
I wiatrem pędzona, jak strzała,
Nad gwiazdy wysokie leciała.

I w trąbę dwoistą dmąc pieśń znakomitą,
Wołała: Tryumfuj! tryumfuj, Lechito!
Bo wiecznie w gwiazdzistej krainie
I świetnieć, i żyć Rudominie!

O D A XI.

Do Jana Rudominy na śmierć jego ojca Jana R.

Quemcumque mendax fama Quiritium . . .

Choć komu z Rzymian sława zaćmi oczy,
 Chociaż go rzesza otoczy,
 Choć go okrażą płatni wielbiciele,
 Choć stanie wojskom na czele;

Chociażby przy nim, szykowne po parze,
 Czuwały barczyste straże,
 I czyniąc służbę, siały blask niezmierny
 Włóczeń i blachy pancernej; —

Przecię zasadzek i sideł nieświadom,
 Nie umknie fortelnym zdradom,
 Ani jednego kroku nie uczyni
 Wolen Fortuny zdrajczyni.

Ani swej myśli serdecznej nie wzniesie
 Bujać po Niebios zakresie;
 Bo oczy nasze, choć promieniem lśniące,
 Słabe, by spojrzeć na słońce.

Bo myśli nasze, nikczemną rachubą
 I prochem zawiane grubo,
 Za ciężko lecą napowietrzną drogą, —
 Bujać w Niebiosach nie mogą,

Aż póki śmierci przyjacielskie ramię
 Cieleśnych pęt nie rozłamie.
 Tak Rudomina, wyzwolony z sieci,
 O! prędkoż a prędko leci!

Przez niedostępnych obłoków zasłony
 Płynie cień, wiatrem dmuchniony,
 Przebija chmury i mgliste odmęty,
 Gdzie iskrzy firmament święty.

Wzbija się lotem nad drogi i domy,
 Gdzie chadza naród znikomy,

W gościnę leci, gdzie wieńczą nadzieje,
Gdzie dworzec Boży jaśnieje.

Duch, co mu w piersi mieszkał prawowiernie,
Wzniósł go nad poziom i ciernie,
A piękna cnota i stateczność prawa
Skrzydłom kierunek nadawa.

On domy Boże z pobożną szczodrocią
Zdobił w ofiary i złoto;
Więc i w Niebiosach dobra cześć się wróży
Dla gościa ziemskiej podróży.

Czy w jasnych gwiazdek jaskrawej drużynie
Duch jego brzaskiem zasłynie,
Czyli do światła zbliżony inaczej
Twarzą w twarz Pana obaczy:

Wzniesion nad władzy znamiona najstarsze,
Nad dyademy monarsze,
Ujrzy z wysoka koleje człowiecze,
Złamane berła i miecze;

Lub się zdumieje, rozpatrując z blizka
Zamglonej zorzy ogniska,
Czy gdzie królestwa, gdzie murów gromada,
Dobitnem spojrzeniem zbada.

O D A XII.

Na kamień węgielny kościoła Towarzystwa Jezusowego w Krożach pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny, który założył Jan Karol Chodkiewicz, wychodząc na Turków.

Divum locatus consilio Lapis...

Zrządzeniem Bożem rzucona opoko!
Witam cię, głazie węgielny kościoła!

Widzę promienie jasności wysoko,
Snaż Bóg się spuszcza lub zsyła Anioła.

Nie tak grzmiał Olimp w uroczystej chwili,
Obchodząc wielkie Jowiszowe święto,
Nie tak się Grecy Koryntu cieszyli,
Kiedy istmijskie gonitwy poczęto.

Głazie, co będziesz wspierał tę budowę,
Będiesz prawicą podpierany Bożą!
Anioły Pańskie, jak bogi domowe,
W tobie mieszkanie wieczyste założą.

Idźże ochoczo, poświęcona bryło,
Daj się zakopać we wnętrzościach ziemi;
Tam ci bezpiecznie, i chlubnie i miło
Podeprzeć kościół piersiami twojami.

Ów, co cię świętem maszczeniem obdarzy
I po pastersku przeżegna gorliwie,
Uczyni jedność Nieba i ołtarzy,
I łaski Boże wymodli tej niwie.

W on dzień wesela, przyzwoitym blaskiem
Błyszna ołtarze, Bogu poświęcone,
A tłumny naród z serdecznym oklaskiem
Powita miejsce ubłogosławione.

Modli się Bogu tysiączna gromada,
Przybyła tutaj i z blizka i z dali,
Pokorna ziemia swoje hołdy składa,
Morze się modli pluchotem swej fali.

A wy, w szkarłatne płaszcze przyodziani,
Świecący złotem, w żebrzącej postawie,
Czyż się napróżno modlicie, kapłani,
By Pan poszczęścił Karolowej sprawie

I k'jego hufom skierował swe oko?
Módlcie się, módlcie o hetmańskie zdrowie!

Bo on swój oręż i swą pierś szeroką
Wiecznie ślubował Polsce i Jehowie.

Kapłani! wasza błagalna ofiara
Zmięczy hartowność bisurmańskiej zbroi,
I złamie żądło jaszczurcze Tatarą,
I naddunajskie ziemie uspokoï.

Widzę: na wielkim bojowniczym wozie
Zwycięski Karol wjeżdża wśród wawrzynów,
I Massagetów, skutych, na powrozie
Wiedzie za sobą na świadectwo czynów.

I przy okrzykach, przy biciu móżdżerzy,
Przeciąga orszak zasłużony światu;
Jadą za wozem seciny rycerzy,
Broń osłoniwszy krepą ze szkarłatu.

O D A XIII.

*Do Abrahama Bzowskiego zak. kaznodz. „O historii
dziełów Eugeniusza IV, Papieża.“*

Qualem e nivosis Eridanum jugis.

Gdy z lodu popłynie
Erydan na wiosnę,
O! gajów boginie
Kąpią się radosne.
Bo niema już brzega
Od końca do końca,
Gdzie woda przebiega
Szalona, szumiąca.
Na błoni, na niwie
Rozściela się, władnie,
I pije łapczywie
Cokolwiek napadnie,
I strumyk, ze skały
Toczący się rzeźko,

I ziemne kanały,
I wilgoć niebieską.
Już brzegi nad rzeką
Porwane na szczęty,
Na polu, daleko,
Wirują odmęty,
I fala surowa,
I wichher się wzdyma...
O! kotew portowa
Okreću nie wstrzyma!
Pod żagiel wychodzi
Żołnierskiej tłum czerni,
Błyszcą się na łodzi
Wojacy pancerni,
I płyną najszerszej,
Aż morze w tej stronie
I łodzi rycerzy,
I wodę pochłonie.

Tak głos twój, pełny słodyczy,
Płynie po owej przestrzeni,
Gdzie Ojciec święty, Eugeni,
Italskim miastom sterniczy.

On władców i ludów wojny,
Grożące mocnem wstrząśnieniem,
On cały świat niespokojny
Podparł barczystem ramieniem.

O święty posłannik Boży!
Promienny blask jego oka,
Przed nim arabska zatoka,
I Nil, i Bosfor się korzy.

On objął świętem poselstwem
I barbarzyńce, i Greki,
I Rzymskiem obywatelstwem
Zbratał wszystek świat daleki.

To wszystko kwiecistą mową
Rozpowiedziałeś niemarnie,
I dziką wściekłość Marsową,
I bój, stoczony przy Arnie.

Nie zwolna płynąłeś w łodzi
Lub od brzegu niedaleki,
Lecz szedłeś środkiem powodzi
I znurtowałeś dno rzeki.

I w pełnym brzmienia języku
Opisałeś dzieje stare,
I flotę Adryatyku,
I bój stoczony za wiarę.

Niechże dziś w serca kołace
Twa powieść i ojców czyny!
Idźmyż odnowić ich prace,
Idźmy wskrzesić ich wawrzyny!

Ach! czyż z gnuśności niewieściej
Męska się dusza wyłamie?
Czy nam wrócisz, Abrahamie,
Wieki tryumfów i cześci?

O D A XIV.

Do przyjaciół Belgów.

Est et remotos non humilis furor
Lustrare Belgas.

O! warto z pieśnią i harfą we dłoni
Odwiedzić Belgów, gdzie ich ziemia zbacza!
Dajcież mi, Muzy z permessańskiej błoni,
Dajcie mi mego Pegaza skrzydłacza.

Niech ocugłony wieńcy kwiecistemi,
Błyszczycy się w złocie i w szkarłatnem suknie;

Rżenie ochocze niech puści po ziemi,
I grzywą wstrząśnie, i kopytem stuknie.

Ja go dosiędę, i żwawo a żwawo
Przetniemy chmury, leniwo płynące,
Ziemią płaszczyznę ominiemy mgławą,
I jako strzała puścim się pod słońce.

Karpaty jeno mignęły mi w drodze
I śniegiem kryte uchyliły głowy,
Już pod wieżyce Korcyry podchodzę,
Już zdala za mną i kraj naddniestrowy.

Renu i Elby odwieczne łożyska
I bystrą Mozę miąłem w pogoni,
Domy antwerpskie bieleją mi z bliska,
I kręty Skaldus widzę jak na dłoni.

Tuś mi najpierwszy z moich towarzyszy,
Witaj, Bollandzie! witaj mi raz jeszcze!
Nie zimne słowo twa dusza posłyszysz,
Nie zimnym ciebie całunkiem popieszczę.

Miłoś wyciągnąć braterskie ramiona,
Kiedy brat dobry stawi się przed nami!
Słodkoż się łonem przytulić do łona,
Brzmiennego duchem, świętego myślami!

I na tych piersiach słodko głowę złożę, —
To pierś Habbekwa, pierś wieszczego ptaka;
On oddał lirę na ofiary Boże,
Bóg go namaścił na Swego śpiewaka.

A z jego piersi, jak z świętej fontanny,
Nektar się leje z uroczemi słowy,
Brzmi jego pieśni odgłos nieustanny...
Bądź mi pozdrowion, śpiewaku Jehowy!

Któż mię spotyka? — to przyjaciel stary;
O dzięki Niebu, że witać go można!

Znam ciebie, wieszczu, znam cię Tolenari,
Znam twe oblicze i duszę pobożną.

O dajże, ojcze, usłyszeć swe tony,
Usłyszeć wielkie tajemnice Nieba!
Przybyłcze Niebios! nasz słuch odrętwiony
Świątym wyrazem napoić potrzeba.

Kogoż na ziemi, kogoż nie porusza
Ogień strzelistych słów Hortensyana?
Lub Dierixa otworzystą duszą
I wielką mądrość — u kogoż nieznana?

Hoschi, Libenti, Walli, Mortieri,
Jakie wam wieńce położyć na głowie?
I ty, mój Hesi, tak słodki, tak szczerzy,
Czem ja cię uczczę, czem ja cię pozdrowię?

Imiona, godne dawniejszego wieku,
Godne potomnych czasów dziwowiska!
Tu cnota święta jaśnieje w człowieku,
I w uściech waszych promieniami błyska.

Piękność was krasi, by jutrznia na wschodzie,
Blask geniuszu z oczu waszych strzela,
Siła wymowy, jako piorun, bodzie,
Serca łagodne uśmiechem wesela.

Jak Deukalion na pustyni dzikiej,
Co z wód osiękła, z potopu się budzi, —
Rozrzucił życiem natchnione kamyki
I z nich na nowo rozplemienił ludzi;

Tak Skald i Moza, w obfitej powodzi,
Tryskają złotem na przestwór daleki,
Ze złotych ziaren złoty plon się rodzi
I złote rychło obiecuje wieki.

Pierzchnęły chmury z pogodnego czoła,
A gorycz gniewu oblicza nie krzywi,

Błyska pogodą żrenica wesoła,
Tu ziemia piękna, a ludzie szczęśliwi.

A w pięknych rzekach, Renie i Rodanie,
Płyną łask Bożych nieprzebrane cuda.
Stąd oddalone na wieczne wygnanie
Zdradzieckie myśli i czarna obłuda.

O miasto Belgów! bogdajbyś w swobodę,
Bogdajbyś w złoto ustawicznie rosło!
Bogdajby nigdy pokolenie młode
Nazad żelaza tutaj nie przyniosło!

Oddalcie przemoc, oddalcie wieczyście,
Oddalcie oręż za rodzinne włości!
Lwie mężne syny! gotujcie korzyście,
Lecz ziemi waszej klęski nie przynościę.

Może wzajemnem zakrwawianiem łona
Myślicie prace skończyć w jednej chwili?
Wojna wewnętrzna ojczyznę pokona,
Której trzykrotnie wrogi nie zniszczyli.

Zostaje przodków groby staroświeckie
Młodemi laury uwieńczyć dla cześci,
Zostaje morze Karpackie i Greckie,
By puścić po niem okrętów trzydzieści.

Śpieszcie, by prędzej wsławiła się godnie
Wasza flotylla bohaterską siłą;
Śpieszcie, by słońce wschodnie i zachodnie
Waszym tryumfom i chwale świeciło.

O! wtenczas wznijdzie jutrzeńka rumiana,
Wtenczas i mądrość attycka zasłynie,
I muzy dobrej myśli Puteana
Mieć będą swoją chwalebłą świątynię.

O mistrzu prawdy, większy nad Sokrata!
Tu szkoła twoja! — O, zda mi się, patrzę,

Jak tu młódź leci z czterech końców świata,
Jak się lud tłoczy na twoim teatrze.

Tu w sali radnej stoi ciżba liczna,
A na mównicy Demostena baczę;
Tu Sofokłowa Pierys tragiczna
Zatrząsa sceną i wzrusza słuchacze.

Cóż się ostoi przed silnemi słowy?
Mówca, gdzie zechce, prowadzi ojczyznę,
Na głos Boelmanna jam bieżeć gotowy
W pustynie dackie, w dziką Turecczyznę.

Jakież nadzieje błysły mi przed okiem?
Dokąd to lecę?... Cokolwiek się ziści,
Daj mi Bóg zostać za prawdę prorokiem
Świetniejszych wieków i lepszych korzyści.

O D A XV.

Do Kwinta Arysta.

Sic est, Aristi: novimus ardua,
Sperare tantum.

Tak jest, Aryście: próżne wołanie,
Nadzieją samą żyć się nie godzi!
Któż ze słowiańskiej lub greckiej młodzi
Ze śmiałym mieczem na boje stanie?

Piękne i ehlubne czasy przed nami,
Czyż je nadzieją lub strachem zbędziem?
Czyż wołać przyszłość tylko myślami,
A nie uzbrajać ręki narzędziem?

O! my rycerze, my zemknien skoro!
Niech sobie wojna, niech przyjdą wrogci,
My dawać będziemy rady, przestrogi,
A niech się inni do czynu biorą.

Niech sobie wnuki w porze późniejszej
 Bawią się włócznią, mieczem i grotem...
 O! przyjdźcie, ludzie krwi szlachetniejszej!
 Zadrzgnijcie, wieki, świeższym żywotem!

O D A XVI.

Do Przyjaciół.

Vixi canoris nuper idoneus
 Vates Camoenis...

Byłem i ja wieszcz natchniony,
 Lecz nie śpiewać mi dłużej:
 Obumarły moje strony,
 Już mi bardon nie służy.

Już na ścianie się kołysze
 Moja harfa leniwa...

O kochani towarzysze!
 Niech kto struny pozrywa!

Bóstwo pieśń, co w przezroczu
 Latasz nad gwiazd gromady!

Oddal, oddal z moich oczu
 Gorzką mądrość Pallady!

KSIĘGA CZWARTA.

O D A I.

Do Stanisława Łubieńskiego, Biskupa Płockiego.

Sunt et novarum non vacuae mihi
 Laudum pharetrae.

Jest u mnie kołczan ze strzałami wielu,
 Cześcią i chwałą napełniony pięknie.
 Muzo! wymierzmy, wystrzelmy do celu,
 Niech struna łuku zaszczęknie.

Celmy w Pasterza nadwiślańskiej ziemi,
 Co płocką trzodę sprawuje u Pana.
 Jego skroń zacna, rękami polskiem
 W szkarłat, w klejnoty ubrana,

By miała swoją ozdobę i chlubę.
 Więc rodak na nią znamię cześci kładzie,
 By uczcić czoło, Pierydom lube
 I poślubione Palladzie.

Jak niegdyś w Rzymie, księga i tyara
 Były złączone w nierozdzielne grono,
 I na ołtarzach, gdzie sławy ofiara,
 Kadzidła muzom palono.

Lecz czujna duma poziomego karła
 Wzniosła swój ołtarz u niebiosów szczytu,
 I gdyby mogła, w nieboby się wdarła,
 By zerwać gwiazdy z błękitu.

Przed waszą, muzy, przed waszą budową,
 Stoi ów Pasterz, wieńcami przybrany;
 Wy mu trzymacie tyarę nad głową,
 Gdzie płynie Narwi nurt szklany.

Wy zawsze przy nim, czy radzi w senacie,
 Gdzie go ojczysta powołuje praca,
 Czy to znużony w zacisze powraca,
 Wy go radośnie spotkacie.

Wyście go na tron pasterski wybrały,
 Kiedy Pstrokoński, przeżywszy lat tyle,
 Potężny słowem i sprawą wspaniały,
 Usnął wieczyście w mogile.

W naszym królestwie, kędy wojna gore,
 Wzmagacie mądrą Pasterza wymowę;
 Słowem porady, w uroczystą porę,
 Wyście go wesprzeć gotowe.

On gminnym wirom nie zdał się na wolę,
 Nie lekce sobie wielkie rzeczy waży;
 Prawość i mądrość znać na jego czole,
 Znaczno dostojność na twarzy.

Będę go słauił pieśniami mojemi,
 Czy przyjdzie nucić Gelonów przymierze,
 Czy w cześć rycerstwa rodowitej ziemi
 W struny mej lutni uderzę.

O D A II.

Do Cezara Pauzylipa.

Królestwo Mądrego.

Late minaces horruimus Lechi
 Regnare Thracas.

Szeroko Turcy władają niewierni,
 Strach nam, Lechici! lecz ten szerzej włada,
 Kto, niezależen od odgłosów czerni,
 Krzepko w prawicy swe orężę trzyma;
 Choćbyś lękliwca zbroił jak olbrzyma,
 Dla niego pawęż nieskuteczna rada,
 Dla niego niczem i pancerz kowany,
 Kołczan i strzała, nie mu nie nadarzy.
 Czy najdą ziemię Pikty i Brytany,
 Czy dzikie Cymbry i srodzy Tatarzy,
 Nic nie dokażem, bo się słabo bierzem.

Samiśmy sobie wodzem i szermierzem!
 Człek, Pauzylipie, podobien krajowi:
 Jest w nim i mocarz, i naród, i prawo;
 Wielka to dusza, co zakon stanowi
 I umie klęknąć przed własną ustawą.
 Nie czyni królem wojsko niezliczone,
 Ni świetność, wzięta od purpury krwawej.
 To nie król jeszcze, co nosi koronę,

Świetną od złota, pereł i klejnotów:
 Królem jest u mnie, kto zbył się obawy,
 Kto sam jest wojskiem, kto co chwila gotów
 Stawić na sztychy swoją duszę dzielną
 I wyzwąć losy na walkę śmiertelną.

Nic mu do tego, co tam motłoch powie,
 Nic mu trofeje, nic wieńce na głowie,
 Teatralnego nie pragnie widoku,
 Ni trzosów złota, ni marnych krzykaczy, —
 Błogosławiony! bo na jego oku
 Nikt w żadnych losach zmiany nie obaczy,
 Nikt nie dostrzeże, że westchnął nieśmiało,
 Lub, że mu serce bojaźnią zadrgało.
 Od pierwszej rany nie jęknie — to pewno,
 Zadaje ciosy z odwagą widoczną,
 Przyjmuje ciosy, nieczuły jak drewno;
 Cóż z takim człkiem złe przygody poczną?
 Gdy on żeglarzem, nie dba na przygodę,
 Niech sobie piorun bije po piorunie,
 Na jego głowę niech ogień, niech wodę,
 Niech całe morze srogi Auster lunie.
 On w swoim sercu, jak w pysznym pałacu,
 Bezpieczny siedząc, czyni z losów żarty,
 Bo on swem czołem o niebo oparty,
 Ze swoich blizen pyszni się i chwali,
 Bo jego rany — jego sławą piękną.
 A choć się ziemia na popiół przepali,
 Choć się obłoki na gruzy rozpekną,
 Choć świat, na żuźle przepalony czarne,
 Przedstawi, jedno pustkowicie cmentarne, —
 Jego i wtedy nie strwoży ruina,
 Jego odwaga jeszcze się nie zmniejszy,
 Bo święty Olimp to jego dziedzina,
 Bo on na ziemi — ziomek nietutejszy.

On, do Niebiosów dążący szlachetnie,
 W śmierci ma zakład wielkiej woli Bożej,

I nie dba wcale, czy go mór umorzy,
 Czyli miecz wroga jego życie przetnie.
 Płynąc do wyspy, czy zważamy na to,
 Na jakiej nawie będzie żeglowanie?
 Czy małym czółnem? czy wielką fregatą?
 Bo zawždy przecię u portu się stanie.
 Niechże mię k'celu morskie wody toczą!
 Nie trzeba truchleć, zaufajmy tratwie!
 Kierujmy wiosłem mężnie i ochoczo,
 Na brzeg spokojny wybijem się łatwie.

O D A III.

*O zwycięstwie Polaków nad Osmanem, cesarzem
 tureckim pod Chocimem dnia 6 września 1621 roku.
 Pieśń Galeza, rolnika dackiego.*

Dives Galesus, fertilis accola
 Galesus Istri . . .

Galezus, z nad Istru ziemianin bogaty,
 Gdy, orząc na swoim zagonie,
 Wykopał w rozorze żelaza i szaty,
 Rycerskie pancerze i bronie,
 Gdy znalazł stos kości w pokrzywie i zielsku, —
 Siadł sobie wieczorem pod sosną,
 I piosnkę swobodną poprostu, po sielsku,
 Zaśpiewał serdecznie i głośno:
 Ej, soszne me woły! usłużne me woły!
 Już wieczór szarzeje na dworze,
 Już pora wam wytchnąć! Ot ugor wesoły!
 Paście się w wesołym ugorze!
 I Polak zwycięzca, znużony głęboko,
 Położy swój bardysz i zdrzemie.
 Ej, lackie wy dzieci! turecką posoką
 Mołdawską spluchaliście ziemię!

Ha ileż to łomów i gruzów po Turku!
Co trupich się kości rozsiewa!
Co pustych pancierzów na dzikim pagórku!
Co trzasek żelaza i drzewa!

Pamiętam, pamiętam turecką niewolę,
(Jam wtedy dziecinne miał lata):
Od złota, od miedzi błyszcząło się pole,
Gdy tędy przechodził Sarmata.

Ej, bitwęż widziałem na dackiej tu błoni!
Już druga się zręczność nie poda;
O, było co widzieć! co koni, co broni!
Rycerstwo płynęło, jak woda!

Zagrano na kotłach, podbiegły pogany,
Rycerze mieczami ich siekają;
A potem zagrzmiało — dym buchnął siarczany,
I ogień poleciał daleko!

Rozbiegły się pędem i zwały się razem
Proporców i mężów dwa roje;
Grom z gromem, żelazo starło się z żelazem,
I zbroja stuknęła o zbroję.

Nie z takim zapędem gra burza szalona,
Nie warczą tak grady i deszcze,
I sosna alpejska, od wichrów tłuczona,
Nie z takim jęczeniem szeleszcze,

Nie tak się gwałtownie Akwilon wydyma, —
Tu dzieła mądrości, tu prace,
Tu dzielność, tu wściekłość, tu gniewu już niema,
Lecz sława do serca kołace.

I długo fortuna na skrzydłach się waha,
Nie dając zwycięstwa oklasku.
Tu rota Polaków, na oko tak błaha,
Tu pułków tureckich, jak piasku.

Lecz cóż tam pierzchliwi Turkowie, Arabcy,
Co dzicy poradzą Tatarzy
Naprzeciw Sarmatom? — ich zastęp tak słaby,
Lecz w sercu odwaga się żarzy.

Tu Litwin szermuje dotrwały, waleczny,
Tu działa rycerski Sarmata, —
Polacy i Litwa, jak miecz obosieczny,
Co razem dwa cięcia rozpląta;

Jak rzeka gwałtowna, co dwoma koryty
Spadając ze wzgórza na błonie,
Czy pola, czy lasy, czy baszt wielkie szczyty
Podmyje, rozwali, pochłonie.

Armata Prusaków, bez przerwy ogniona,
Zionęła zabójcze wystrzały,
Chorągwie inflanckie i ruskie znamiona
Niepróżno nad wojskiem rozwiały.

Widziałem was, Turki! wasz księżyc obronny,
Wasza się chorągiew poddawa;
Gdy pierzchał wasz zastęp piechotny i konny,
Wzniosła się kłębami kurzawa!

Nie w liczbie, lecz w sercu wojenna różnica:
Wszak jedno żelazne narzędzie
Las cały wytrzebi, wszak jedna orlica
Największy gołębnik zdobędzie.

Co trupów, i jeńca, i broni, i znaków!
Nie prędko zapomnieć o biedzie:
O meże tureccy! szablica Polaków
Na długo wam z myśli nie znidzie.

Tam Emon — tu stosy zdobyczy i łupów,
Arabskich pocisków i grotów,
Tu leży Karakas, skrwawiony wśród trupów,
U wejścia do laskich namiotów.

Bezbożne nadzieje Bóg rzuca na stronie,
 W proch marnej nicości rozetrze,
 I pyszne przechwałki, co hardy wyzionie,
 Rozplyną się dymem na wietrze.

Ej piosnko ty moja, nieskładna i dzika!
 Nie tobie dopłynąć do Nieba!

Tu harfą poety, nie fletem rolnika,
 Tę wojnę opiewać potrzeba.

Ktoś wierszem godniejszym potomkom opieje
 Te dzieła, ten tryumf bogaty...

Lecz woły już syte, już wieczór szarzeje:
 Czas z pługiem powrócić do chaty.

O D A III.

*Parodya z pieśni Jana Kochanowskiego,
 po zwycięstwie nad Turkami i porażce Kozaków przez
 Konięcpolskiego.*

Aeterna laudum, nec violabilis,
 Polone, merces, sanguine Concanos...

Wieczna ci chwała, chwała niezachwiana,
 Lachu! masz pokój w posoce Konkana,
 Za jednym cięciem twojego bułata,
 Padł Afrykanin, zgiął Azyata.

Lud Europy północny, ubogi,
 Zgruchotał ostre księżycowi rogi,
 Od których słońce zaciera się we dnie,
 I wschód różowej jutrzeńki poblednie.

Hej, zatryumfuj, narodzie nasz stary!
 Oto zabrali Gelonom sztandary
 Hetmani polscy, a Tatar złośliwy
 Nie rychło wróci pustoszyć nam niwy.

Jedni ucichli, drudzy całą zgrają
 Na Wołoszczyźnie przytułku szukają.

W Polsce Twój kościół, o dzięki Ci, Boże!
W proporce Turka ozdobić się może.

Lud z kaukaskich bezdrożnych sumiotów,
Co wszystką ziemię zagarnąć był gotów,
Łądem i wodą dziś drżący i blady
Podłą ucieczką chce ubiedz zagłady:

Jak wilk żarłoczny w ciemne legowiska,
Pomiędzy chróstów i drzew się przeciska,
Kiedy mu ostęp myśliwy ogarnie,
Uderzy w strzelbę i wypuści psiarnię.

Jakiż strach rzucim w nieprzyjaciół strony,
Na szwedzkich wrogów, na harde Liwony!
Widzę już, widzę, jak wygrana nasza
Gród oblężonych Ryżanów przestrasza.

Ale, mężowie! choć szczęście się zacznie,
Na szczęście wojny nie liczymy niebacznie:
Czasem fortuna i zwycięzców spęta,
Czasem znekany wróg się opamięta.

Tak niegdyś, z ciemna wychyliwszy głowy,
Lacedemona i gród Romulowy
Rosły znienacka, aż potem zaiste
Spięły narody w cugle wiekuiste.

Zwykle po czasie oblicza się szkoda,
Nie drażnij wroga, bo gniew sił mu doda:
I gołąb dziobnie w rozdrażnienia chwili,
I jeź ukole, i pszczołka uszpili.

I sam ów Turczyn chciał znęcać się dalej,
Już kładł na Dunaj kajdany ze stali,
I zaufany w sprzyjającą dole,
Szedł tryumfalnie pustoszyć Podole,

Lecz na Podolu zaznał nasze ramię;
Wróże, iż kark mu do końca nadłamię
Lechicki koncerz, — bo tak rozkazywa
Potężna dola i Nemezys mściwa.

O D A IV.

Pochwała miasta Gdańska. —

*Przypomina zwycięstwo Gdańszczan nad Teutonami
i wychwala ich wierność ku Polsce.*

Quae puppis, aut quis Pegasus . . .

Czy na Pegazie, czy nawy zwrotnemi
Prześlę na morze wiersz ci poświęcony,
Gwiazdo pomorskiej cnych Prusaków ziemi,
Królowo północnej strony?

Stojąc nad brzegiem wiślanym wspaniale,
Szczęśliwy gród twój panuje i kwitnie,
Miasto i ziemia w czystych wód kryształe
Odźwierciedlona dobitnie.

Na całym tutaj polarnym przestworze
Krzepki twój cugiel narzucony śmiało,
Szeroka ziemia i szerokie morze
Twoje zakony poznało.

Pieśń ma twych skarbów liczyć się nie waży.
Twych baszt, jak wieniec na Bałtyku czoło,
Twych trzysta żagłów, co w porcie na straży
Wieją banderą wesołą.

Nie będę śpiewał, iż twój rudel bodzie
Nurt albioński daleki i stary,
Lub że na całym Wschodzie i Zachodzie
Znane są twoje towary;

Że szczyt twych wieżyc wynosić się może
Aż pod obłoki, aż gdzie chmura mgława;
Że świetne gmachy i kościoły Boże,
Że kunszt ci blasku dodawa.

Wspomnę, jak zradne Plawena fortele
Przezorna rada poznaje i zniszcza.
Pieśń Amfiona nie żądała śmieie
Odnović mury ze zgliszcza.

Bo ręka ludzka pobuduje domy,
 I ręka ludzka rozwali, zabierze.
 Aleksandryjskie runęły budowy,
 Rzym starożytny — w ruderze.

Krzepka natura wciąż ze sztuką walczy,
 Dziełom rywalki ciągle kopie groby;
 My lud szalony, my naród zuchwalczy,
 Czcimy jej kruche wyroby.

Wszędy są gruzy i miast, i narodów:
 Troja — Myceny — gdzie mury? gdzie władza?
 Tylko się Wiara po mogiłach grodów
 Krokiem spokojnym przechadza.

Gdzie niemasz wiary, tam śmierć i sromota,
 Tam na nic służą okopy i wieże.
 Nie grube mury, nie miedziane wrota,
 Lecz prawość duszy nas strzeże.

Nie wał wysoki, nie fosa topieli,
 Nie grom siarczysty armatniej czeluści;
 Lecz wiara w sercach u obywateli
 Wrogów do miasta nie wpuści.

I gród ów zacny na cnocie się wspiera,
 Wstrzymując najście Teutonów krwawe;
 Ni go skusiło złoto Krucygera,
 Ni podarunki nieprawe.

Bo stara prawość i szlachetność droga
 Swoim łańcuchem okoliła wały;
 Od niej i dary, i pociski wroga
 Wstecz mu na głowę leciały.

I wódz-przekupień zasmucił się jawnie:
 — Hańba mi! — rzecze — hańba na mą głowę!
 Bo Europa dowie się niebawnie,
 Żem zhańbił prawo Marsowe!

Skaziłem zdradą rycerza nazwanie,
 Chciałem był kupczyć... sromota, sromota!
 Bez hańby swojej wytrwali Gdańszczanie
 Próbę żelaza i złota.

A jam się skalał, i z mojami nawy
 Muszę umykać z pod miasta wypchnięty;
 Muszą, jak zbiegi, drżące od obawy,
 Iść Plawenowe okręty.

Gród, cztery razy całą siłą party,
 Twardo wytrzymał obłężeńczy nawał;
 Rzuciłem złoto — Gdańszczanin zażarty
 Złoto żelazem oddawał.

Cóż sprzymierzonym Sykambrom wyliczę?
 Czem uraduję teutońskie rzesze?
 Jakie wojenne łupy i zdobycze
 W naszych świątyniach zawieszę?

Na cóż ma ziemia dowiedzieć się nasza,
 Że po tej klęsce ja, rozbitek, żyję?
 Raczej śmierć moją niechaj świat rozgłasza,
 Dopóki hańby nie zmyję.

Jeśli mi dola i tego zaprzeczy,
 I nie da klęski powetować świetnie,
 To śmierć okropna niech już w samej rzeczy
 Dni moje starga i przetnie.

O D A V.

*Do Kw. Delliusza, — nie przykładami narodu, lecz
 rozumem życie nasze kierować winniśmy.*

Delli, si populo duce
 Vitae degenerem carpinus orbitam,
 Erramus . . .

O Delliuszu! gdy nas chętką mami
 Kierować życie gminnymi szlakami,

Sromotnie błędzim, — bo tu cnota zdala,
 Ona się w tłoku ulicznym nie wala
 Im częstszym droga wydeptana śladem,
 Tem rzadziej z cnoty spotkać się przykładem;
 Bo zwykle błędni, chodząc za błędniemi,
 Bite gościńce torują po ziemi.
 Gmin nierozumny trafunkiem się rządzi,
 Sam siebie nie zna i drogi, co błędzi,
 On nie ma celu, on chodzi dokoła,
 Bo inni chodzą, bo go motłoch woła,
 Bo ścieżkę widzi, — gdzież tu myśli czyje?
 Kto własnem sercem, własnem życiem żyje?
 Ślepy ślepego po bezdrożu wiedzie,
 Ciemna czereda przodkuje czeredzie.

Helikon święty i Parnas z wawrzynem
 Wyniósł me drogi wysoko nad gminem,
 Z tej wysokości naokoło widne
 Błędy człowiecze i klęski ohydne.
 Patrząc ze wzgórza na niskie wybrzeże,
 Niebezpieczeństwo dalej się postrzeże,
 Gdy szkoły innych zdala widzieć mogę,
 Biorę dla siebie zbawienną przestrożę.

O D A VI.

*Do Zygmunta Leta, — zaleca milczenie i unikanie
chwały.*

Laete! quid cassis sequimur fugacem
Gloriam telis?

Lecie! pocóż w marną sławę
 Celim nakształt szermierzy?

Ona dziką ma zabawę,
 Uciekając, łuk mierzy.

Świergotliwa chwalców rzesza
 W jednym domu nie gości:

Owdzie z prawdą fałsz pomiesza,
 Tam da hasło zazdrości;

Tutaj wije gniazdo cześci,
 Drażni serca swych dzieci;
 Razem — w skrzydła zaszleści
 I do góry uleci.

Prawa chwała nie chce wrzasku,
 Nie chce pochwał we tłumie;
 Najgodniejszy ten okłasku,
 Kto unikać go umie.

Człek w milczeniu i pokorze
 Najswobodniej usiedzi,
 W podejrzliwych królów dworze
 I w motłochu gawiedzi.

Choćby okręt w skały niosło,
 Wtedy tryumf żeglarzy,
 Bo kierując mądrze wiosło,
 Nic się zgoła nie zdarzy.

O D A VII.

*Do Jana Libińskiego — usprawiedliwia swoją
 samotność.*

Quid me latentem sub tenui lare . . .

Pytasz, Libiński: Co za ochota
 Tulić się w kryjówkę ciemną,
 Kiedy rodaków gościnne wrota
 Stoją otworem przede mną?

Ja wewnątrz siebie zamknięty ściśle,
 Na moją duszę wciąż patrzę,
 I sceny życia w moim umyśle
 Stawię, by w jakim teatrze.

Troskam się jeno, czy Widz, co w Niebie,
 Rad z teatralnej mej maski?
 Czy sztukę moją zgani u siebie,
 Czy jej przysądzi oklaski?

Bóstwo, z wysoka patrząc nisko,
 Sądzi aktora i dzieło.
 O! jeśli dobre me widowisko,
 Jakież mi szczęście błysnęło!

Zmierziłem gwarnej chwały wyrazem,
 Co dmie po całym narodzie
 I jadowitem nieraz żelazem
 Serce ofiary przebodzie.

Nieraz się zrodzi od jej omamień
 Zawiść nikezemna i płaska;
 Padniesz na ziemię, grzmotniesz o kamień,
 Aż ci się serce roztrzaska.

Przy cichej cnocie wolną mam szyję,
 Na chwałę poglądam zdala;
 Dach mój samotny dobrze mię kryje,
 Czerń mi imienia nie skala.

Milej, gdy własna sumienność szczera
 Dobrą pochwałą obdarzy.
 Zawiść tych pochwał nie sponiewiera,
 Nie da na pastwę potwarzy.

O D A VIII.

*Do Cezara Pauzylipa — przeciwności mężnie znosić
 należy.*

Si quae flent mala, lugubres
 Auferrent oculi . . .

Kiedy płaczem, czyż, dla Boga,
 Łza gorycz umniejsza?

Czyż nad tyrski klejnot droga,
Nad złoto jaśniejsza?

Jak od rosy trawa rośnie,
Od łez rośnie smutek;
Snadź, gdy lejem łzy żałości,
Ciosy wzięły skutek.

Gdy los ujrzy łzawe oko,
Ma nas w poniewierce:
Będzie wesół, że głęboko
Zadrasnął nam serce.

Nie płacz, nie płacz, choć jad szczypie,
Choć cię serce boli;
Bo łzy twoje, Pauzylipie,
Pociecha złej doli.

Biadaż służyć gwoli żartu,
Krzepić wroga ramię!
Niech na sercu, pełnem hartu,
Twardy miecz się złamie.

O D A IX.

*Do Kryspa Lewińskiego — poeta zapytany dlaczego
w drodze śpiewa, odpowiada.*

Cum meam nullis humeros onustus
Sarcinis tecum patriam reviso . . .

Kiedy mi ramion nie obciąża zgoła
Mój tłumok próżny,
Idziem do domu, myśl moja wesoła,
Śpiewam podróżny.

Ty dumasz, milczysz, bo z muzą masz sprawy,
Boć cięży złoto,
I różne troski, nadzieje, obawy
Twe czoło gniołają.

To prawy bogacz, kto nic nie posiada,
 Okrom sam siebie;
 Wesół wędruje, gdzie mu iść wypada
 Gwoli potrzebie.

Ja nic nie pragnę, więc na czem mi zbywa?
 O wczasu chwilko!

O święte gaje! o wiosko szczęśliwa!
 K'wam wzdycham tylko.

To moje państwo, te wzgórki, te błonie, —
 Ty inak marzysz.

Ja lubię cienie — patrz oto na stronie
 Cień, mój towarzysz.

A choć mię zbójca obedrze na drodze,
 Mało skorzysta.

Niech sobie króle frasują się srodze,
 Moja myśl czysta.

O D A X.

*Do fiołków, którymi w maju uwieńczono głowę
 Dzieciątka Jezus.*

Aurora veris . . .

Jutrzenko wiosny! kwiatku jedyny!
 Opasuj czoło miłej Dzieciny.
 Na co mu perły, na co mu złoto?
 Na co brylanty czoło mu gniotą?
 On, który serca pokorne baczy,
 Przyjmie chętnie i dar żebraczy,
 Chętnie nędzarzów k'sobie przytula.
 Kwiatów na skronie! kwiatów dla Króla!

O D A XI.

Do zefiru.

Aura, quam veris tepor et serena.

Wietrze! co służyysz trackiej ziemi gwoli,
 Czysty oddechu wiosnianego nieba,

Wieżę, wiej ku nam! — cienistej topoli
Chłodku potrzeba.

Cieszcie się, drzewa, na całej przestrzeni!
Gdy zdrowy wietrzyk po gałązkach szasta,
Od jego pieśczot bujniej zazieleni
Trawa krzewiasta.

Wietrze! gdy kwiatki przytulasz do łona,
Gdy jasne fale rozbudzasz w powiewie,
Wioń w moją lirę, co wisi uśpiona
Na suchem drzewie.

A ciebie słońce przywita łaskawie,
I rady uśmiech obaczysz na ziemi;
Błysznie ci rosa mżąca się na trawie
Kropłmi czystymi.

Kadzidłorodne Azyatów pole
Tobie wonnością balsamów usłuży;
Dla ciebie wonność i kraska na czole
Szkarłatnej róży.

A z mojej harfy któż jej rdzę obetrze?
Chyba ty, piewco, ty wiośniane dziecię!
Święty poeto, uroczysty wietrze,
Pomóż pocie!

O D A XII.

*Proroctwo Noego oplakujące bezrządy przeszłych
i bałwochwalstwo przyszłych czasów.*

Demersa late saecula cum Noe,
Enavigaret . . .

Kiedy Noe żeglował na rozlanej wodzie
I z pokładu swej arki patrzył po narodzie,
Widząc, jak wir potopu królestwa pochłania,
I zapłakał nad światem, i wołał wśród łkania:

Wieki! wieki nieszczęsne! grody, co się wznoszą,
I ty, ziemi, zmazana bezecną rozkoszą,
I wy, wielkie, głębokie nurty oceanu, —
Wszyscyście jednym grzechem przewinili Panu.

Nieczyste gody królów, nieogłędnych na nic,
Pokalały królestwa od granic do granic;
A lud mniemał w występnej ślepoty godzinie,
Że zbrodnia w oczach słońca bezkarnie ominie.

Hańba przyszłemu światu! Niecnych ogniów siła
Wszędzie zżarła niewinność, wszystko poplamiła,
I świat piętno skażenia na czole umieścił,
I niewinną przyrodę zbrodniami zbezczescił.

Myśmy budowę ziemi podkopali z laty,
Skazaliśmy ją na śmierć, jak godną zatraty.
Gdzie miasta? gdzie kolosów marmurowych szczyty?
Gdzie są baszty olbrzymie? gdzie mur niezdobyty?

Tutaj daliśmy siebie na rozkosz wyklętą,
Tuśmy w tańcu rozpustnym płasali we święto.
Dziś po naszych ulicach pluska delfin chyba,
W naszych wielkich pałacach — nory wieloryba.

Na kolumnach — gadzina wije się jak wstęga,
Na łóżach — jakiś morski potwór się wylęga,
Woda nasze porwała szaty z złotogłowa,
Perły morskie do morza popłynęły znowu.

Starych czasów i kunsztów pamięć znakomita,
Na marmurze wykuta i rylcem wryta,
I pomniki ojcowskie, napisy ze złota
Woda wściekła obrywa, zwala i gruchota.

Wszędzie, wszędzie pustkowiec i zniszczenia ślady,
Wszystko zrównano z ziemią, jak biczem zagłady;
Niema i chwały Bożej — cały świat wyrodny
Ogołocon ze świątyń, bo nie był ich godny.

Bo sam usiłowania przyłożył niemało,
 By nie znać swego Boga, — i działwę dojrzałą
 Ściga kara, straszniejsza od wszelkiej katuszy:
 Ślepotą na ich oczach, przekłębstwo na duszy.

Oto morze na nowo w swoje brzegi wchodzi,
 Ziemia sławna na nowo rośliny wyrodzi,
 Jutrzenka znowu wstanie we swem świetle młodem,
 I ziemia się zaludni wszelakim narodem.

Ale już się wiek złoty nie wróci na nowo,
 A czasy pośledniejsze srebrnemi nazową,
 Potem i blask srebrzysty wypłowieje w części,
 Potem — wojak w miedzianą przyłbicę zachrzęści.

Aż nikkzemne żelazo całą ziemię zmoże,
 I pierwsze godło zguby — zapomnienie Boże
 Wstąpi do serca ludów, i gromada dziczy
 Zapali mnie samemu ogień ofiarniczy.

Biada mi! mnie bożyszczem ogłoszą poganie!
 Gdy z arki, jak z chaosu, ziemia zmartwychwstanie,
 Rzekną, że ja to sprawiłem, że z prochów i wody
 Odnowiłem starą ziemię i wskrzesiłem narody;

Rzekną, że moje dzieło na całej przestrzeni;
 Gdy się las rozgałęzi, pole zazieleni,
 Gdy zboże zrodzi plony (o smutna ohydo!),
 Z ofiarą całopalną przed mój ołtarz przyjdą.

W Baktrach dadzą mi Boga wielkiego nazwanie,
 W Egipcie Ozyrysa, Słońca Persyanie,
 Będę rzeczon Jowiszem w starym Babilonie,
 Lub nazwą mię Janusem na Auzońskiej stronie.

A Ty, którego ślepi zapomną bluźnierce,
 Ojczy! Ojczy! uhamuj zagniewane serce,
 Nie dopuszczaj plag Twoich na ziemskie budowy
 I piorunem ognistym nie rąbaj mi głowy.

Kiedy fałszywych bogów będziesz trzaskał szyję,
 Niech nie legnę pod gruzem, niech jeden przeżyję,
 Niech jeden w Imię Twoje zagaszę i zwalczę
 Cieleśne ubóstwienia, ognie bałwochwalcze.

O D A XIII.

Do Mądrości Boskiej.

*Gdy z Włoch, Francyi i Niemiec dochodziły wieści
 o rozruchach i wojnach.*

O mens, quae stabili fata regis vice . . .

O myśli wieczysta, co rządysz od wieka!
 Jeżeli cię bawią igrzyska człowieka,
 Nie braknie ci pewno zabawy,
 Patrzając na nasze tu sprawy.

Cokolwiek nam rzucisz, wnet ciśnie się tłuszcza,
 I datek pochwyć wyścigiem się puszcza,
 I leci wśród kłótni i śmiechów,
 Jak dziatwa za garścią orzechów.

Tu walczą o złoto, tu w krwawej rozterce
 Ów czoło zakrwawił, ów rękę, ów serce,
 Ów ciągnie purpurę na ramię,
 Ów berło chciał wydrzeć — i łamie.

Nareszcie śmierć wchodzi i wszystkich zawstydza . . .
 O! na tem igrzysku jest miejsce dla widza:
 Ja biedny usiądę tam raczej
 Pośmiać się z zachodów bogaczy.

O D A XIV.

Do rycerstwa polskiego — roku 1630.

Quos sera gignent saecula posteros
 Narrabo vates.

Jakim się wiekiem potomność poszczyci,
 Ja wam wywieszczę — słuchajcie, Lechici!

Ojcom w ich grobach wypłacajcie długi,
Nie mażcie herbów i godeł zasługi.

Choć herb ojcowski w losie niejednaki
Nie zawždy bywał dobrej wróżby ptakiem,
Zmieni się jednak dla szczęśliwszych dzieci,
Kiedy go cnota swym blaskiem oświeci.

Nie darmo herby i szlacheckie karty,
Nie darmo w tarczach gryfy i lamparty;
Czyli Sarmata dla chluby niewieściej
I lwy, i smoki na proporcach mieści?

Któż to, przodkując Lechitom na czele,
Strony bałtyckie zagrzebał w popiele?
Kto, wiernie idąc do sławy niemarnej,
Przymusił zadrgać ocean polarny?

Tu Szwed się żżyma, tu armata grzmoce,
Morze się pieni i warem klekoce,
I echem jęczy; owdzie nawa z nawą,
Rycerz z rycerzem bije się na krwawo.

Jakiż to młodzian w morderczym zapasie
I w ogniu rzezi bohaterem zda się?
Miecz jego ciężki, nieugięta szyja,
Włócznia zwycięsko nad Szwedem wywija.

Ojczyźnie! światło naszych tronów!
Gwiazdo promienna starych Jagiellonów!
Zorro nadzieje polskiego żołnierza!
Czołem ci naród, czołem ci uderza!

Na ziemi szwedzkiej przed twojemi dzieły
Wieże i mury na oścież stanęły,
Twa cześć w ojczyźnie i granic już nie ma,
Czoło laurowe wieńczy dyadema.

Lud w murach Wilna ciebie wielkim zowie,
Dank twojej chwały śpiewają w Krakowie,

Tyś drugi Typhis, który, idąc z nami,
Okował morze twardemi cugłami.

Plony Marsowe pozbierałeś żyźnie,
Na morskiej fali, na ziemskiej płaszczyźnie;
I topiel wodna, i horyzont cały,
Poznały imię dostojne, poznały!

Tyś ręką sławy umieszczony w górze,
W białym obłoku, na jasnym lazurze;
Rano i w wieczór bohaterską głowę
Krasno owiewa światelko różowe.

O! każdodziennie, gdy wieczór szarzeje,
Wnukom, Sarmaci, śpiewajcie te dzieje!
Dwakroć i trzykroć, i młodzi, i starzy,
Lirą i harfą niżowych gęślarzy!

Jutro nas może zawołają nagle,
Czy na koń siadać, czy ruszyć pod żagle:
Grom i błyskanie przeraża nam zmysły,
Znów chmury dziczy nad nami zawisły...

Kto z was rycerzem w chrześcijańskim rodzie,
Rycerze! prędeż, na łodzie! na łodzie!
Prędeż na mury niech się każdy chwyta,
Gdzie straż zaniedbał turecki bandyta!

Rozwalcie baszty, okopy i tamy,
Rozbijcie mury, rozerwijcie bramy!
Pora już omyć sromotę nareszcie
Ze świątyn Bożych w bizantyjskiem mieście.

Ha! tryumf! tryumf! Sarmata w Bosforze,
Narzucił pęta na Marmora morze,
Gród Konstantyna zalał krwią i potem,
I wschodnie państwo wskrzesił swym brzeszczotem.

Cześć! cześć i chwała! niechaj zagrzmi z wieży!
Laurów na skronie, laurów dla rycerzy!

Dwoisty tryumf dla sarmackich mężu,
Gdy się łupieżca z Kartagi zwycięży.

Gdy padnie tyran straszny a zdradziecki,
Razem wykrzyknij, razem, ludu grecki:
Cześć twych rycerzy, cześć twego bułata,
Ojczyzny i cesarze świata!

A potem miecze, zbite na poganach,
W miłym spokoju zawiesim na ścianach,
I mąż-bohater z zapałem na twarzy
Dzieła wojenne małżonce wygwarzy.

Na łonie pełnem bohaterskiej cześci
Męską prawicą swą dziatwę popieści,
Żelazny pancerz i przyłbice krwawe
Małym wnuczętom odda na zabawę.

Dziś trzeba błyszczeć w przyłbicy i zbroi,
Dziś być wściekłymi rycerzom przystoi,
Lecz wkrótce młodzież, wkrótce nasze wnuki
Przypomną ciszę i święte nauki.

Wkrótce bohater, porzuciwszy włócznie,
Z miłą małżonką pod drzewem wypocznie,
Lub, bając dziatwie o przebytej burzy,
W blizkim potoku swój puhar zanurzy.

Lichwą i czynszem nie upadnie wioska,
Nie zgubi ludu przedajność sędziowska,
Prawda zagodzi wszelki proces główny,
Lub przy kielichu żarcik polubowny.

A chciwość zysku, lub żądza honorów
Przestanie pukać do bogatych dworów,
Nie wezwie mężów droga stumilowa,
Żona nie będzie samotna, jak wdowa.

Na zawsze wstąpi rolnikom do łona
Szacowna miłość sielskiego zagona,

Czy przyjdzie żniwem pracować we skwarze,
Czy wiosną kroić skiby na poparze.

Na wiernej roli niepróżne oranie,
Zboże kłosiste, jako las powstanie;
Bowiem zagonów, co płużą dla ludzi,
Perz nie zagłuszy, zielsko nie zabrudzi;

Lecz krasne róże, i białe lilie,
I śnieżny nardus swe liście rozwije,
A na zagonach, z nadzieją widoczną,
Kłosa, jak fala, kołysać się poczną.

Znijdzie obfitość Opatrzności Bożej,
W ulicach miejskich mieszkanie założy,
Zazielenięją pagórki i knieje,
Bóg obfitości szeroko rozleje.

O! niech się ziści, co widzę mym wzrokiem:
Nazwą mię wielkim wieszczem i prorokiem,
Letni starcowie, i dziatwa, i panny
Hymn mój zanucą w odgłos nieustanny.

Próżno! daremne uwielbienia ku mnie!
Będę już truchłał popiołem we trumnie,
A przecież ciemne grobowisko moje
Opaszą laury, bluszcze i powoje.

O D A XV.

Do Filidjusza Morabotina.

Vides, ut altum fluminis otium
Rerum quieta ludit imagine . . .

Widzisz, jak mży się na spokojnej wodzie
Obraz wszech rzeczy dokładnie odbity:
Księżyc na wschodzie, słońce na zachodzie,
Niebios błękity?

Taka niech będzie twoja myśl, Filidzie,
Jasna i czysta — niech ci umie płużyć,
Czy to na wichry narazić się przyjdzie,
Czy ciszy użyć.

Niech jasne czoło nie kryje się w chmury,
Niech złote serce w troskach się nie nuży,
Święta pogoda Boga i natury
Niech wzorem służy.

Pięknie jest, pięknie być podobnym wiośnie,
Mieć myśl wesołą, a z nią uśmiech młody,
Nie zaś na licu wykrzywiać żałośnie
Pieczęć przyrody.

Pięknie jest widzieć wszystek świat różowy,
I mieć dla prawdy niezamglone oko,
I z majestatu podniesionej głowy
Patrzeć szeroko.

Chcemy dać cugiel dla bydłcej dziczy:
Nam samym cugłów potrzeba dla ducha!
Słońce nie idzie pod cugiel woźniczy,
Lecz prawa słuca.

Na nic korona dla naszego czoła,
Gdy sami sobą nie umiemy władać;
Niech będzie królem, kto nad sobą zdoła
Władzę posiadać.

Zakonem cnoty opisz własne kroki,
Bądź własnym sędzią w bezstronnym umyśle;
Wtedy, jak konsul, dawaj mi wyroki,
Spełnię je ściśle.

O D A XVI.

*Do Wojciecha Turskiego.**O swoich snach i marzeniach lirycznych.*

Tursci! seu brevior mihi,
Seu pernox oculos composuit sopor . . .

Turski! czy drzemka po oczach mi muśnie,
Czy człowiek na prawdę uśnie,
Zaraz snów moich drużyna skrzydlata,
Jak stado ptaszków, wylata,
Leci na pola, rozbiega po błoni,
W borowe cienie się chroni.
Marzenia moje — w dziecinnej postawie
Lubią pobiegać po trawie,
Lub pod chmurami sznurem lot swój wiodą,
Albo się ślizną nad wodą,
Płyną jak łabędź, albo dniem i nocą
Jako ptaszkiwie szczebiocą.
Zda się, że chmurę, co gromami dysze,
Miękkim śpiewaniem uciszę;
Tęcza niebieska, zda się, czoło nasze
Wstężystym kręgiem opasze.
Oto się budzę, i jeszcze na jawie
Wdzięcznymi snami się bawię,
I biorąc lirę w rozmarzone dłonie,
Po strunach brząkam i dzwonię,
A ufny mistrza śladom i opiece,
Na echu piosnki znów lecę, —
Lecę pod niebo, nad krainy cudne
Lub na ostrowy bezludne.
Turski! ostrzegasz, jako powieść stara
Mówi o śmierci Ikara,
Ażeby czasem i Bałtyckiej fali
Mojem imieniem nie zwali.
Próżna obawa — lecąc w górne kraje,
Ja skrzydłom woli nie daję,

I czy się drzemie, czy nad pismem ślęczy,
Trzymam się krzesła poręczy.

O D A XVII.

Do Najśw. Maryi Panny, gdy w Akademii Wileńskiej Towarzystwa Jezusowego, po ukończeniu kursów filozofii, miano rozpocząć teologię scholastyczną.

Et jam quietis ancora puppibus . . .

Okręt w spokojnym porcie stanął na kotwicy,
Zdejmujcie żagiel na stronę,
Wiosła, maszty i rudel, ozdóbcie, sternicy,
Ozdóbcie w laury zielone.

Nawo! czyż przyjmą ciebie u portu z zapalem?
Czy twe obliczą korzyście?

Czyliż młodzież sarmacka armatnim wystrzałem
Z wieży pozdrowi twe przyście?

Czy echo gór litewskich oszczędzi tu ciszę?
Zaliż rycerska starszyzna?

W kotły wam nie uderzy, majtkowie-przybysze,
I za swych synów nie przyzna?

Panno! daj pracownikom Twojej łaski użyć,
Przyjm ich z uśmiechem na twarzy,
Czyli pójda w obozach rycersko Ci służyć,
Czy to na stopniach ołtarzy.

O D A XVIII.

Do Kwinta Tyberyna.

Divitem nunquam, Tiberine, dices . . .

O Tyberynie! nie miej za bogaczy
Szerokich gruntów i wsi posiadaczy,
Którym Fortuna, nie cnota lub praca,
Życie ozłaca.

Ani ten go dzien bogacza nazwiska,
 Co sygnet z herbem na wosku wyciska,
 Kogo po Rzymie z uwieńczeniem czoła
 Sława obwoła.

Ubogi jeszcze, kto, próżen przymiotów
 We własnej wiosce junaczyć się gotów,
 Którego piersi niedołęzne gniotą
 Srebro i złoto.

Ma się za męża w swoim sercu płochem,
 Liczy za chlubę jaśnieć przed motłochem,
 I jedno tylko pokochać jest w stanie —
 Ciebie swój na ścianie.

Przestań uwielbiać w swej pysze niewieściej
 Skarby bez blasku, lub imię bez cześci;
 Bądź samym sobą — a sam powiesz z laty:
 Jestem bogaty.

O D A XIX.

Do Pawła Kozłowskiego.

Jam pridem tepido veris anhelitu...

Zefir ciepły i łaskawy
 Już odetchnął wiosną,
 Już na łąkach kwiaty, trawy
 Kraśniejają i rosną.

Wilia, niosąc strugi żytnie,
 W milczeniu się błąka,
 Choć tam w wioskach gdzieś dobitnie
 Słychać śpiew skowronka.

Choć tam pasterz przy zatoce
 Gra trelik na trzcinie,
 Flis po wodzie wiosłem grzmoce
 I milczący płynie.

Pawle! folguj twemu czołu,
Co się z nauk poci:
Jutro słońce z nad padołu
Pagórki ozłoci.

Na Łukiskiej siądziem górze,
Tam strumień młodzieńczy
Po murawie i po źwirze
Toczy się i brzęczy.

Stąd przemierzać okiem zacnę
Wilno, jak na dłoni,
Stąd krainy wszystkie znaczne,
Kędy Wilia goni.

Owdzie miasto krzyżem święci
Kopuła wzniesiona,
Tu dwoisty gmach książęci
Ziemi Palemona.

A na górze Gedymina
Kapitol litewski
Aż pod błękit nieba wspina
Głowę baszty rzeźkiej.

Dzień pokoju ludom płynie,
Piękneż ma świtanie!
We trzy lecie trzy świątynie
Dźwignęli Rzymianie.

Czy chcesz widzieć wczasu plony?
Widzieć pokój świeży?
Wnijdź na wzgórek ten zielony,
Co się pięknie jeży.

Lecz choć topol liśćmi szasta,
Mróz ją zlodowaci,
I leszczyna dziś krzewiasta
Jutro liście straci.

Pola pełne krasnej róży
 Biały szron zawieje;
 Ptak, co wiosnie śpiewem służy,
 Zimą zaniemieje.
 Więc poniechaj ciężkie troski,
 Bo to czas ochoty;
 Umiej cenić wieczór Boski
 I poranek złoty.

O D A XX.

*Do rycerstwa Polskiego i Litewskiego.
 Amfion albo miasto dobrze urządzone.*

Exteros mores prohibete pulchra
 Lege, Thebani . . .

Zawarujcie statutem, o zacni Tebanie!
 Zamorskie obyczaje posłać na wygnanie;
 Weźcie pilno do serca domowe nauki
 I z Zakonem pradziadów oswajajcie wnuki.

Miejcie cześć i uczciwość w kościele i w sądzie,
 Niech prawda, spokój, miłość na wiecu zasiądzie;
 W pięknym mieście gdy lada nieprawość urośnie,
 Wygnać ją aż za mury, wygnać nielitośnie.

Bo niemasz dla występku zagrody lub ściany,
 Wnijdzie przez mur potrójny z kamienia krzesany;
 Niechże więc czuwa prawo z piorunem przy bramie,
 A gdy występek w twierdzy, niech twierdzę rozłamie.

Przed ubarwioną zdradą zamykajcie domy,
 Precz wygnać dziką żądzę chciwości łakomej;
 Niedołężna obfitość i rozkosz zbyt kowa
 Niech nam serca nie mięczy, duszy nie zepsowa.

Śpieszcie pieniądź czynszowy skwapliwie przynosić,
 Przy rycerskiem ubóstwie i żelaza dosyć;

Pancerz złotem powleczone nie doda otuchy,
Źle się walczy we złocie, bo to metal kruchy.

Czy to wojna, czy pokój wzywa bohatera,
Niech zawsze ręka rękę, siła siłę wspiera:
Ciężki jest dach świątyni, a przecię budowa
Podparta we sto kolumn wieki się przechowa.

Sto wiosel zbawi okręt, gdy się wichur zdarzy,
Sto gwiazd łącznie oznaczy drogę marynarzy.
Kotwica cztero-zębna gdy się w morze wpuści,
Teżej zdoła zagrzeznąć w dno mokrej czeluści.

Tam jest krzepkość, gdzie siła z siłą się kojarzy;
Biedne miasto, gdzie z sobą starszyzna się swarzy:
Rozterka między braćmi i niezgoda w duszy
Podkopie fundamenta i miasto obruszy. —

Gdy tak Amfion śpiewał o kraju posłudze,
Beockie źródło Dirce zawrzało w swej strudze,
I otoczony cieniem Cytheron Bachowy
Trzykroć poruszył wierzchem krzemienistej głowy.

Pękła stara opoka, jęknęły otchłanie,
I kamienie na polach poczęły płasanie,
Wirem pobiegły gaje, wirem las ponury,
I szły za nim opoki z potoczystej góry.

Wieszcz umilknął — kamyki, kamienie i skały
Rzędem okolnych murów na wieki zostały,
Stańto miasto Teby na beocką stronę,
Grubą ścianą i siedmiu wrotami sklezione.

KSIĘGA PIĄTA.

(E P O D O S).

O D A I.

Pochwała ciszy zakonnej.

Parodya Ody Horacyusza: „Beatus ille, qui procul negotiis...“
Gdy poeta podczas wakacji sierpniowych odwiedzał wioskę jezuicką
Niemenczyn.

At ille, Flacce, nunc erit beatior...

Lecz ten szczęśliwszy, o mistrzu Horacy!
Który się odjął pospolitej pracy,
Rzucił wieś ojca, rzucił zagon polny,
Nie zna piniaczów i od pozwu wolny.
W lecie upał nie zniszczy się zboże,
Zimą nie stoi, czy zamieć na dworze,
W swary się nie wda, bo nie nosi broni,
I przed łupieżcą szyje nie nakłoni.
Więc albo, kornie uchyliwszy głowę,
Modli się Bogu za ludzie światowe,
Albo umysły rozpierzchnione garnie
I błędne owce zbiera do owczarnie,
Lub syty pociech, co sumienie zdarza,
Czas swój rozmierza z godzin Brewiarza.

Wieczorem zasię, gdy w sonej oddali
Niebo zorzowe pochodnie zapali,
On swe źrenice posyła tam w gości,
I bije czołem przed Światłem światłości,
I po murawie wolne stawiając kroki,
Przez łzawe oczy ogląda w obłoki,
Gdzie tyle światel u Niebios podnoża,
Gdzie mieszka Chrystus i Dziewica Boża.
Te łzy pobożne, co leje potokiem,
Nie dadzą drzemce zawisnąę nad okiem.

A kiedy słońce w porannym zakresie
Promienną głowę od wschodu podniesie,
On na modlitwie myślami i słowy
Stara się gniewy przejednać Jehowy.
Lub gdy poranek kwietniowej Niedzieli
Świątecznym blaskiem na ziemię wystrzeli,
Jego źrenice to w Niebo się wznoszą,
To rozpatrują po ziemi z rozkoszą,
Patrzą na lasy, na pola i wody,
I widzą Twórcę w obliczach przyrody.
— Ach! — mówi w sobie — oto trawka licha
Wie, z czyjej łaski żyje i oddycha,
Każda się modli i drobnemi łezki
Daje ofiarę mądrości niebieskiej.
Biały liguster i krasny kwiat róży
Uchyła główkę i Niebiosom służy,
Lilia blada, kłoniąc się ku ziemi,
Szeptem modlitwę ustami śnieżnemi;
W wieczór wzdychają i kwiaty, i drzewa,
A z rana rosa łzami je oblewa.
A jaż? sam jeden w niedołęstwie starem
Będę się zginał pod lekkim ciężarem?
Gdy tak myślami pobożnemi bada,
Jak drzewo szumi, jak bije kaskada,
Święta myśl jego, jako perła droga,
Po pięknej ścieżce uleci do Boga.

Cóż gdy po trudach modłów i ołtarzy
Wioskę podmiejską odwiedzić się zdarzy,
Pójść do Łukiszek, w niemenczyńską stronę,
Lub zwiedzić lasy Bezdanu zielone!
Gdy tam w swobodnej sierpniowej zabawie
Mój niewytworny posiłek zastawię,
Gdy siądę w progu, wypoczynku gwoli,
Albo w dziedzińcu pod cieniem topoli,
Gdy cichy kątek zgłodniałego garnie
Chlebem i solą domowej śpizarnie,

Smaczneż to wino lub owoc ze drzewka,
 Posilna woda lub mleka konewka!
 Cóż gdy po chlebie dla smaku się doda
 Krasnej poziomki soczysta jagoda!
 Czyż tym przysmakom murena wyrówna,
 Albo lukryńska ostryga zbytówna?

Po skromnej uczcie nadewszystko wolę,
 Wyjść ponad rzekę, w zarośle, na pole,
 A kiedy burzę napędzają skwary,
 Schronić się w ciemne kasztanów konary;
 Albo, gdy słońce pogodne zachodzi,
 Płynąć zatoką na rybackiej łodzi,
 I sieć rzuciwszy, kiedy zdobycz wbieży,
 Drgające rybki wyciągać z więcierzy.
 A tam ryk żubra w nieprzebytym lesie
 Echo przeciągłe nad wodą rozniesie,
 A tam w zarośli drobny czyż strzekoce,
 A tam słowiki w wierzbach przy zatoce,
 A owdzie rzeźkich owczarzów gromada
 Sygnałem trąbki przywoływa stada;
 Tu z dworskiej niwy idzie kupa ziemian
 I pieśń żniwiarską wyciąga na przemian,
 Owdzie woźnica z piszczącymi koły
 Złociste snopy wiezie do stodoły.

A czyż przemilczeć w samotnej zaciszy
 Lube objęcia dobrych towarzyszy?
 Jak uwesela niewinnie a mile
 Słodki rozhovor, pełny krotochwile!
 Śmiech przyzwoity i dowcip niezdrożny
 Weselem kończy nasz dzionek pobożny.

Alfiusz lichwiarz, słysząc o tym bycie,
 Co już wieśniackie miał przedsiębrać życie,
 Zebrawszy grosze w terminowe święta,
 Na drugi miesiąc nie dał ich w procenta.

O D A II.

Pochwała rzeki Bugu, poświęcona St. Łubieńskiemu.

Non me doloso Salmacis alveo,
Non mixta Divis flumina perficis . . .

Nie nęci mej pieśni Salmacys zdradziecki,
Ni źródło święcone Wenerze;
Zdrój żaden łaciński lub grecki
Dziś ze mnie ofiary nie bierze.

Przebaczcie, Paktolu i Cydnu zatoki,
Że dla was strun moich nie trączę,
I ty, ojcze Tybrze głęboki,
Nie czekaj na pieśni gorące.

Ja będę opiewał Bug wrzący i skory,
Co Wisków od skwaru zasłania,
Co dżdżyste jesienne wapory
Wyziewa lub nazad pochłania.

O Bugu! o czysty wód świętych kryształ!
Jakaż mi Pierys pozwoli,
Bym konchą czerpnąwszy twą fale,
Ugasił pragnienie do woli?

O Bugu! którego głębiny nie zmierza
Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
Ni trzoda blizkiego pasterza
Swawolnem pływaniem nie brudzi!

Nie pali twej wody od wierzchu do głębi
Spiekota w południa zacisze;
Mróz ciebie nie ściska, nie ziębi,
Lecz wietrzyk ciepławy kołysze.

Gdy przecię na wiosnę szeroko rozlany
Wypłyniesz na środek zagonów,
I łąki wiskowskie, i łąny
Użyzniasz do kwiatów i plonów, —

Jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary!
 O rzeki najczystsze, najzdrowsze!
 O Bugu, i Narwi, do pary!
 I w parze opłyńcie Mazowsze.

Gdy wieszczbom Febowym dać wiarę się godzi,
 Zawierzcie, zawierzcie, potomni!
 Wkrótce się poeta narodzi,
 Co naszą piosenkę przypomni.

On wodom ojczystym wywiąże się z długu
 I odda należny dank cześci,
 On i was, o Narwi i Bugu!
 Na lirze głośniejszej obwieści.

O D A III.

Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, wojewodzie wileńskiemu i hetmanowi wielkiemu litewskiemu, idącemu na Turków, poeta wróży opiekę i błogosławieństwo N. P. Maryi.

O, qui labantis fata Poloniae...

O Ty, coś Polski zachwianej dole
 Nie raczył wesprzeć twemi rachuby!
 Oto już wojny, gwałty, swawole
 Prowadzą ziomków do pewnej zguby.
 O! któż nam spokój powróci miły,
 Kiedy jęczymy jako nędzarze,
 Gdy pola nasze krwią się obmyły,
 Gdy proch wojenny szernił nam twarze?
 Kiedy płaczemy litości godni,
 Zlewając łzami progi kościoła,
 Któż przyjdzie do nas, jak mściciel zbrodni,
 Jak sprawiedliwość, co pomsty woła?

Gdy nam duch męski stłumiły blizny,
 Gdy bojaźń kajdan zwarła nam łożo,
 Kto nas wybawi? kto od ojczyzny
 Oddali klęskę niezasłużoną?

Odparte wrota, powstał gniew Boży,
 I duchy mściwe na nas wypuszcza.
 Owdzie się wrogów zajadłość trwoży,
 Owdzie turecka zbroi się tłuszczą.

Panno! Królowo sarmackiej ziemi,
 Oddal zagubę od naszej głowy!
 I matczynemi modłami Twemi
 Przebłagaj słuszną pomstę Jehowy.

Długo Pan na nas pioruny zbroi,
 Gromem z ognistej prawicy trzaska:
 Niechże nam wkońcu palma przystoi
 I z tryumfalnych laurów przepaska! —

Tak twoich modłów, tak łaski Pańskiej
 Rycerski Karol prosi i czeka,
 Kiedy tymczasem huf ottomański
 Rzezańczym tłumem grozi z daleka.

Mają się pastwić nad polską szyją,
 Ostrzą Gelony krzywe pałasze...
 Z nami bądź, Pani! z nami, Maryo!
 Weź pod opiekę proporce nasze.

Gdy sygnał boju rażno zazgrzyta,
 Gdy w piersi nasze uderzą włócznie,
 Gdy głowa nasza słabo przykryta,
 Ostrymi groty razić się pocznie.

Gdy rozjątrzeni, sparci atakiem,
 Pocznem się zbroić — ukrzep nam ramię,
 Wspieraj nam siły! Pod hasłem takim
 Pewno dziczyznę Karol przełamie.

Miłość ojczyzny, jako rakieta,
Wybuchnie ogniem w rycerskiej duszy.
Próżno włóczniami sroży się Geta,
Hetman jak piorun włócznie pokruszy.

Lecz daj swą pawęż, Dziewico święta,
Temu co wojskom naszym hetmani;
By głowa jego nie była tknięta,
Strzeżcie, duchowie z Nieba posłani!

O D A IV.

*Do Bł. Stanisława Kostki, na intencję Władysława IV,
Króla Polskiego, gdy ten jeździł do wód badeńskich.*

Claris Olympi civibus additum,
O Kostka, sidus . . .

Do gwiazd Olimpu zaliczony świeżo,
Jakież ci hołdy, o Kostko! należą?
Tobie ołtarze budują na świecie,
Tobie marmury, posągi i kwiecie.

Wielka władczyni i ludzi, i rzeczy,
Królowa świata miała cię na pieczy;
Ona cie wabi do służb swego Syna
I w walce świata dotrwać napomina.

Gdyś szedł do Rzymu, wzgardziwszy słodycze,
Ona wspierała kroki wedrownicze.
Choć ślą za tobą rodzinne wołania.
Choć bratnia pogoń do powrotu skłania!

Napróżno Cerber wietrzacy z daleka,
Potrójną paszczą przeraźliwie szczeka,
Echo Tartaru nadaremnie jęczy.
Nie zdoła zachwiać odwagi młodzieńczej.

Wspomnęż. jak Boża Dziecina pieszczona,
Zszedłszy skwapliwie z matczynego łona,

Na twoje piersi przyjaźnie się tuli
I k'swemu sercu przyciska najczulej?

Wspomnę, młodzieńcze, jak słodko ci płyną
Chwile, spędzone z niebieską Dzieciną?
Z jakimi usty i blaskiem na czole
Kładłeś całunek na święte Pacholę?

Nie zawsze Bóstwo pełne majestatu
W ognistych chmurach obwieszcza się światu;
Nie zawsze grzmoty nad naszemi głowy,
Nie zawsze piorun jest godłem Jehowy.

Często łaskawy ku poziomej sferze,
Kształty cichego baranka przybierze;
Gdzie czystość lilii, gdzie serce dziewicze,
Pan się obleka w dziecię tajemnicze, —

Jak po raz pierwszy przychodząc na ziemię,
Kwilił po ziemsku w stajni Betleemie,
I chociaż władca nad ludy i duchy,
Nie wzgardził żłobu i biednej pieluchy.

Cóż to za jasność, tak rzeźka dla oczu,
Toczy się globem w powietrznym przezroczu?
Co za promienie po niebiosach biega,
Jak gdyby krople deszczu złocistego?

Stój, oceanie! nie groź samowładnie!
Na klęczki ziemia, na klęczki niech padnie!
Oto Bóg idzie! na nizinę sięga,
Pod drobnym kształtem potęgi potęga.

Oto Bóg idzie! w uroczystej chwili
On duszę Kostki pokarmem zasili.
Nie ziemską uczta — lecz święci Anieli
W blasku i cześci dokoła stanęli.

W pośrodku chóru źrenicę mej wiary
Widzę męczeńskie oblicze Barbary.

Znam Cię, rycerko! i Twe imię święce,
Po jasnej wieży i palmie, co w ręce.

Tak jest — dziewictwa niepojęta władza
Nawet i Świętych z Olimpu zgromadza.
O wielki Kostko! zasługami twemi
Pięknyś dał widok Niebiosom i ziemi.

Otoś porwany, wzniesiony wysoko,
Mocy niebieskie widzi twoje oko,
I wobec Świętych otrzymuje prawa,
Pełnemi pierśmi Niebem się napawa.

U źródła świata czerpie napój słodki,
I w morzu Bóstwa ma przystań dla łódki,
I bez znużenia rozpatruje z bliska
Promień, co z Bożej źrenicy wytryska.

I cóż dziwnego? wszak znacznie na twarzy,
Znaczno na oczach, jak serce się żarzy;
Ogniów miłości żarliwego ducha
Mróz nie zaskrzepi i wiatr nie zadmucha.

Miłość płomienna i męska odwaga
Przeciwnościami najsilniej się wzmacza,
Ani się wichrów, ani lęka fali,
Mróz ją rozedmie a miłość zapali.

To ziemi śpiewam — dalszych cnót gromada
W Niebiesiech swoją tajemnicę składa,
A cnota ziemską, jako zwykle doma,
W Polsce i Litwie szeroko świadoma.

Snadź to nasz ziomek u Pana zjednywa
Błogosławieństwo obfitego żniwa,
Snadź z jego modłów nie grozi nam susza,
Deszcz chlebo-rodny zagony przyprósza.

Rodaka pewno zasługa i praca
Od nas morowe powietrze odwraca,

I bladą febrę, co już z niedaleka
Grobowem zimnem owicnęła człeka.

Snadź to nasz patron przez czule starania
I nasze miasta swym płaszczem osłania,
Gdy ryczy działa, kiedy kula świszcze
I baszty ogień rozrywa na zgliszcze.

A któż wyliczy bez końca, bez miary,
Zwalczone Turki, pobite Tatary!
Ileż to razy, gdy wojna udręczy,
Stanął w ojczyźnie sojusz sprzymierzeńczy, —
Gdy już groziła hańba i sromota,
Gdy z silną flotą ścierała się flota,
Gdy hufiec z hufcem spiera się i siecze,
Puklerz z puklerzem, a miecze na miecze!

O! nie pożałuj życzliwego słowa:
Niech nam król polski długo się zachowa!
Niech nasz Władysław, wzmocniony twym darem,
Na długo świata zostanie filarem!

Gdy zwrócisz oczy w którekolwiek strony,
Czy to na północ, gdzie mroźne Tryony,
Gdzie świecą gwiazdy polarne iskrzące,
Czy gdzie dogrzewa przyjaźniejsze słońce, —

Nie idą z ciebie burze, niepogody:
Stróżemże, stróżem bądź naszej zagrody!
A Rzym, przychylny na wołanie nasze,
Wieńcami Świętych twe skronie opasze.

Z gwiazd twoje imię napisze na niebie,
Urban ołtarze poświęci dla ciebie,
A świat łaciński i tybrowa woda
Cześć tryumfalną Indyanom poda.

Na tem umilknę, — reszta mego słowa
Niechaj się, proszę, na potem zachowa;
Reszty dośpiewam, gdy w dobrej otusze
Los mi ogniściej rozpromieni duszę.

O D A V.

Do Jakóba Zadzika, Bisk. chełmińskiego, kanclerza koronnego, po zawarciu przezeń pokoju Polski z Rosją w Polanowie.

Scribere magnis, Maxime, vatibus . . .

Gdy wielcy wieszczowie śpiewają nam wojny,
 Gdy słodkie przymierza zacisze,
 Lud, niegdyś nękany, a dzisiaj spokojny,
 Wieczyście na sercach zapisze:

Nie mnie to opiewać Zadzików imiona!
 Ich zacność, ich wielka przewaga,
 Ich trud senatorski, gorliwość ich łona
 Nie naszej tu liry wymaga.

Jest pole szerokie, gdzie treść się poleje,
 Lecz śmiałość do pieśni nie bierze
 Opiewać chwalebne królewskie trofeje
 I owo szczęśliwe przymierze,

Po którym wytchnęła od bojów i klęski
 Narodów i krajów gromada,
 I Prusy, i Siewierz, i kraj Borysteński,
 Co winny mu wdzięczność nielada.

To dziejom poważnym posłuży do treści
 I pójdzie na sławę potomną.

Łubieński w wieczystych rocznikach zamieści,
 Gębicki i Lipski przypomną.

Mnie mir polanowski opiewać kazano,
 Powtórzyć piosenkę wieśniaczą,
 Przy której nad Wiaźmą wieczorem i rano
 Włóścianie w wesoły takt skaczą.

Piosenkę, co dobrze nad Dnieprem znajoma,
 I trzykroć śpiewana dobitnie:
 Ej błogo nam, bracia! ej błogo nam doma!
 Dziś pole kłosieje i kwitnie.

Wesoło, wesoło na wiejskim obszarze,
Weselcie się wzgórkami i skałami!
Radujcie się błoniami! szczęśliwi żniwiarze,
Śpiewajcie Zadzikę pochwały!

Szczebioczcicie to imię, strumienie i rzeki!
Wznóście się swobodnie odgłosy!
Kto nam rzeź oddalił? kto dodał opieki?
Kto miecze przekował na kosy?

Nie jeden Mars tylko potyka się zbrojnie,
Jest inna ochrona prócz zbroi,
Co służy zarówno w pokoju i w wojnie,
Co nawet Palladzie przystoi.

Bo wojna na miecze, choć potrwa najdłużej,
Rzadko się na mieczach zakończy;
Najczęściej wymowa monarchom usłuży,
Jak pocisk i pancerz obrończy.

Miecz wojsko pokona i twierdzę zdobędzie,
Lecz ziemię niezręcznie odkrawa,
Gdy karta i pióro, niewinne narzędzie,
Odkreśla granice i prawa.

Bo piórem kieruje przezorność człowieka,
I mądrość ważona najściślej,
I formy z doświadczeń przyjęte od wieka,
I ważność wyrazu i myśli.

Dar pióra i słowa to wielki dar Nieba,
Miecz, jasny myślami naszymi.
Czyż było, niestety! człekowi potrzeba
Pożyczać żelaza od ziemi?

Żelazo wzajemnie do zguby nas wiedzie,
Człek dość się naznęcać nie zdoła,
On chciałby przyswoić pazury niedźwiedzie
I rogi dzikiego bawoła.

Nie marna jest sława, gdy wojna się wzburzy,
 Ramieniem zwyciężyć ramiona;
 Lecz ów znakomitszych tryumfów dosłuży,
 Kto piórem przeważniej pokona.

O D A VI.

Do Jana Rywockiego, Jezuity.

Quae nos, Rywoci, tot rea cladum
 Damnamus olim saecula . . .

Rywocki! skarżym złe nasze wieki,
 A nam zazdrościć będą na ziemi:
 Pewno potomek kiedyś daleki
 I nasze czasy nazwie złotemi.

W oczach motłochu przeszłość się błyszczy,
 Zło nieobecne złem się nie mieni,
 Starość złe rzeczy w pamięci zniszczy,
 A świetnym dziejom doda promieni.

Iluz to królom, co już zrzucili
 Scenę królewską i władcze imię,
 I teatralny płaszcz z koszenili,
 Potomność przyda cnoty olbrzymie!

Tryumfujący wśród ludów tyła,
 Król Macedonów uchylił czoła,
 Płakał, wspomniawszy imię Achilla,
 Że mu dorównać w chwale nie zdoła.

A wielki Cezar, patrząc zazdrośnie,
 Macedończyka, jak Boga, chwali.
 Rzeczom błyszczącym blasku narośnie,
 Gdy je postawim w pewnej oddali.

Lecz mąż roztropny, co prawdy szuka,
 Nie waży lekce współczesnych rodu;
 Jemu z przeszłości idzie nauka,
 A przyszłość — meta jego zawodu.

Do czegoż — pytam — do czego zda się
 Wychwalać wieki, com ich nieświadom?
 Ja, w bohaterskim żyjący czasie,
 Mamże zazdrościć dziadom, pradziadom?

Ferdynand Drugi czyż się nie zbliży
 Do takiej chwały, jak Karol Piąty?
 A Urban rzymski czy stoi niżej,
 Niżli ów wielki Leon Dziesiąty?

NA POGRZEBIE JANA RUDOMINY DUSIACKIEGO, WOJSKIEGO
 BRACŁAWSKIEGO, I JEGO SYNA JERZEGO, DWORZANINA J. K. M.,
 ZABITYCH POD CHOCIMEM.

O D A VII.

Wiekuiста pamięć ceniom ojca i syna.

Non purulentis oblita sordibus
 Edax vetustas his penetrabilibus
 Late superbit . . .

Proch i zgnilizna, zniszczenia narzędzie,
 Nad temi zwłoki pastwić się nie będzie;
 One, dźwignięte w sferę nadobłoczną,
 Na tronie cześci wiekuiście spoczną;
 Sława, co imię zasłużone wieńczy,
 Pracę ostrego żywota zawdzięczy.
 Tam dzielny ojciec swoje miejsce bierze,
 Gdzie wiecznie kwitnie laurowe przymierze,
 Kędy na basztach wyniosłego miasta
 Oliwna gałąź pokoju wyrasta.
 Tam od radości promienieją twarze,
 Nie słyszysz jęków w zawartej pieczarze,
 W błogosławionej wybranych zaciszy
 Łez się nie widzi i westchnień nie słyszy.
 Tam jeno radzi mieszkańcy światłości
 Grają na harfach ze słoniowej kości,
 Na złotych lutniach, lub, syci rozkoszą,

Echo swych pieśni aż ku gwiazdom wznoszą.
Ptak Palamidów tryumfalnie lata,
Uciekła z pola zima lodowata,
A barwą zimy i śnieżnej zawieje
Wonny liguster na łąkach bieleje.
Przy dzielnym ojcu, z radosnem obliczem
Idzie syn sławny bojem zapaśniczym.
Był to na wojnie zwycięzca ochoczy,
Krew bohatera szlachetnie go broczy,
Na krwawem ciele ukazując rany:

Temi — rzekł — barki biłem Ottomany,
I w tej prawicy mój miecz zapaśniczy
Trzaskał oszczepy we środku ich dziczy.
Grom mej rusznicy kiedy palnął śmiało,
Niejedno serce trwożliwie zadrgało,
A moja włócznia, hartownie kowana,
Nieraz zagrzęzła w piersi muzułmana.
Aż z wole Bożej, ręką rozjuszoną
Rzucony oszczep przebija mi łono.
Duch mię odbieżał i padłem bezsilny
Na wiązkę laurów, na piasek mogilny;
Ległem w mogile, — a u mojej głowy
Miłość ojczysta i krzyż Chrystusowy.
Czyż lepiej walczyć zdarzyło się komu?
Któż z lepszym łupem powrócił do domu?
Jako trofea, mych bark nie otacza
Skóra odarta z niedźwiedzia kudłacza,
Ani lwia grzywa — bo na cóż się przyda
Godło zwycięstwa dawnego Alcyda?
Jam znaczny krzyżem, jako szermierz Boży,
Krzyżem jaśniejszym nad promienie zorzy.
Krzyż i wspomnienie — o! wielka nagroda!
I krwi wylanej, i pracy nie szkoda!

O D A VIII.

Pieśń na cześć zwycięzcy.

Tormenta, diri fulminis aemula . . .

Łoskotem gromu armata uderza,
 Gwar trąb i bębnow huczy po przestrzeni,
 Słyszać okrzyki zbrojnego rycerza,
 Słyszać, jak jęczą ranieni.

Lecz zmarły rycerz nie słyszy boleści,
 Ani go dojdą okrzyki bojowe;
 Ochotnem sercem dla ojczystej cześci
 Dał na zabicie swą głowę.

— Gwoli całości Pospolitej Rzeczy
 Krwią mego serca napoiłem łany;
 Niechaj nikt doli mojej nie złorzeczy,
 Nie chcę być od was plakany.

Nie daj się, bracie, rozpaczą unosić,
 Rzuć ją na wiatry, na bałtyckie fale;
 Stroskana matko! o dosyć już, dosyć
 Ronić serdeczne twe żale!

Dosyć żył długo, kto mógł oddać zdrowie
 W obronie króla, domu i ołtarzy;
 Choćby pachole, większym się nazowie
 Niż męże siwi i starzy.

Żywym promieniem jaśnieje mi głowa,
 Pośpiesznem skrzydłem lecę po przestworze,
 Wieczysta sława me imię zachowa
 Gdzie zazdrość trafić nie może.

Późna potomność znajdzie me nazwisko
 W dziejowej księdze, na miejscu uczczonem;
 W sercach Sarmatów znajdę przytulisko,
 Zjednane życiem i zgonem.

DZIEŁA POŚMIERTNE.

(OPERA POSTHUMA).

(Tutaj tłumacz pilnował się jedynie edycyi strasburskiej, która jest gustownym wyborem dzieł poetycznych Sarbiewskiego).

I.

*Podziękowanie Janowi Karolowi Chodkiewiczowi,
fundatorowi kroskiego gimnazyum — w r. 1619.*

Ut ver perpetuo campos vestivit amictu,
Mitis Apollineos repetebat Gratia Crosso.

Kiedy wiosna oblicze zieleniła świata,
Do Kroź Apollinowych Gracya przylata,
I tu rzekła Febowi, (który na ustroni
Dzikim lasom i puszczołom swoją piosnkę dzwoni):

Czemuż cię, czemu dotąd, lutni, nie zajęła
Chodkiewicza waleczność i Marsowe dzieła?
Czyż bramy Pandyonu wiecznieją w twym rymie,
Szermierstwa Encelada i bitwy olbrzymie?
Czyliż Centaurów harce tyle ci wesołe?
Niewdzięczny! któż licejską założył ci szkołę?
Kto kiedy przychylniejsze miał ku tobie oko?
Kto rękę szczodrobliwą rozwarł tak szeroko?
To rzekła, a mignawszy, jako mara biała,
Strzepnęła w ptasze skrzydła i w mgłach się rozwiała.

Zdumiał się bożek pieśni z takiego widziadła,
Drgnął prawicą, aż gęśla z ręki mu wypadła,
Bystro spojrzął przed siebie i zaśkrzył oko,
Wstyd oblał jego lice szkarłatną powłoką,
Przyłożył rękę k'czołu, i w myślach się troska,
Jakby grzmiała najgodniej cześć Chodkiewiczowska,
I jak się obowiązkom zadosyć uczyni.

W pustem urwisku skały, w krzemiennej jaskini,
 Mieszkał gryf złotopióry, ptak wieszcz, najstarszy,
 Co u zwierząt i ptaków trzymał scepter monarszy,
 Co znał ich tajemnice i rozsądzał spory.
 Dwór jego niezliczony, — rada, senatory,
 Służba obojga królestw jego tron otacza.
 Mienia się jasne pióra monarchy skrzydłacza,
 Jego szyja miękkimi kędziory okryta,
 A na czole wyniosłem drga szlachetna kita.

Przy starszych, strojnych w rogi i potężnych władzą,
 Krzepkim węzłem związani bracia się gromadzą,
 Słoń przywódca gromadę szykuje w orszaki.
 W pierwszym rzędzie stanęły chyżołotne ptaki,
 Dalej idą zwierzęta — a gryf, jako życzą,
 Wzniósł nad niemi poważnie laskę sadowniczą,
 I rozpostarł na ziemi kobierzec czerwony,
 I miecz sprawiedliwości wziął w potężne szpony.

A więc jęły skargami i ptaki, i zwierze,
 Słyszy sędzie bezprawia, morderstwa, łupieżę:
 Owdzie porznięta dziatwa, owdzie dom zgwałcony,
 Owdzie gniazdo wydarte, tam las wypleniony.
 Sędzia słucha — a sroka skrzecząca po lesie
 Żalobę pokrzywdzonych przed trybunał niesie,
 Papuga zaś ciemieżców uniewinnia głowę,
 Silny miecz wykonywa wyroki sadowe.
 Pod mieczem wilk-morderca, wieloryb-pirata,
 Pod mieczem pada orzeł, miecz sępy rozpląta.

Już miano sąd zawiesić, już gromadna rzesza
 Od krutek sadowniczych do domów pośpiesza,
 Kiedy piękny Apollo stanął wpośród zwierza,
 I cytarę nastroił, i w struny uderza,
 I zwierzęta pozdrowił uroczemi słowy.

One spuściły grzywy, uchyliły głowy,
 Gwar ucichł, — i Apollo, natchniony widocznie,
 Zakołatał we struny i tak mówić pocznie:

Wielki monarcho zwierząt, królu puszczy i pola,
Nieśmiertelna ozdobo na tarczy Karola,
Z którego zespolony herbownym klejnotem,
Na hełmie i pawęży płomieniejesz złotem!
Tyś jest godło hetmańskie: czy w wojennej chwili
Tłum rycerstwa przed tobą swe czoło uchyli,
Czy po wojnie, łagodząc bohaterskie lice,
Pieszczotniej przygłaskiwasz czubatą przyłbicę,
Zawsze najlepiej świadom, o monarcho zwierzy!
Imieniu Chodkiewicza ile czci należy.
Pomóż mi tedy pracę dokonać radosną:
Rozszerzmy jego imię daleko i głośno.
Wiesz, jako nad brzegami, gdzie Krozenta płynie,
Aońskim Pierydom zbudował świątynię;
Słyszysz, jak wdzięcznie tamta rozlega się niwa,
Jak tam leją się pieśni, jak harfa przygrywa;
Kwiaty, co tam rozpekły z dobroczynną wiosną,
Nad źródły kastalskimi tak pięknie nie rosną.
Milszy tam dla mnie pobyt, o! milszy daleko,
Niż nad jasną dziewiczą Helikonu rzeką.
Lecz znowu, kto nam rękę podał tak łaskawą,
Do hołdów nadzwyczajnych niezłomne ma prawo.
Pięknież to i dostojnie, gdy jego pamięci
Wspaniały, marmurowy pomnik się poświęci.
Ale ręka Ubóstwa niezamożna w złoto,
Niezdolna wykonywać co pragnie z ochotą.
Lecz ty zasie, którego potęga i władza
Wszystkich krajów polarnych bogactwa zgromadza,
Dopomóż, niech zbuduje nasza wdzięczność szczerą
Na wierzchołkach Olimpu pomnik bohatera.
Rozkaż powietrznym ptakom i zwierzętom w lesie,
Niech każde z swej ojczyzny podarek przyniesie;
Gdzie kruszec daje ziemia, czy gdzie płacze woda,
Niechaj każdy swój haracz do skarbnicy poda.
Tobie ptaków fenickich hołduje gromada,
Gdzie się gniazdko jedwabne dla piskląt układa,
I gdzie perskie z daleka sinieje się morze,

Tygrys ci kaukaski hołduje w pokorze,
I gdzie się złocą piaski, gdzie wieczna posucha,
Lampart, dziecko pustyni, twojej woli słucha.
Słucha cię jednorożec wśród rzek i źródlika,
Gdzie się rodzą klejnoty, gdzie złoto połyska,
Ostrowidz ci przynosi armeńskie kryształy,
Gryf kruszce wydobyte z pod lapońskiej skały,
Kopie dla cię klejnoty szponami krzywemi,
Wydobywa ci skarby ze wnętrzości ziemi.
Kiedy bijąc we skrzydła, w bojowej postawie,
Lecą z wojny pigmejskiej tessalskie żurawie
I po górach Pangejskich tryumfalnie krzyczą,
Do ciebie przylatują z wojenną zdobyczą;
W łupach złote łańcuchy i brylanty płoną,
I perły, które wrogom z hełmów pochwycono.
Tobie i ptak Junony wspaniałej postaci,
Tobie bażant z Kolchidy swą daninę płaci,
I biały wodny łabędź przynosi ci gwoli
Giętką i wonną gałąź nadbrzeżnej topoli;
On ci zebrał na rzeczonym erydańskim żwirze
Wonne krople bursztynu i w wieniec uniże.
Feniks, pielgrzym indyjski, wszystko złoto niesie,
Cokolwiek na Hydaspie, co znalazł w Gangesie.
W cokolwiek assyryjska obfituje niwa,
Mnogie skarby rozkoszy, w które las opływa,
Przyniesie ci papuga ubarwiona cudnie,
Bo znany jej Wschód cały i całe Południe,
Ziemia zaoceańska dokładnie jej znana,
Kędy nawet nie doszedł i żagiel Hiszpana.

Masz hufce, których zimno ni skwar nie zastraszy,
Puśće na świat twój orszak zwierzęcy i ptaszy,
Niechaj ziemię okrażą pośpiesznemi kroki
I przyniosą bogactwa na pomnik wysoki.
O! zbudujmy, zbudujmy nad saltyńską rzeką,
Której szmer po równinach rozległ się daleko,
Obelisk trójwieżysty, pomnik znakomity,

Z marmuru wykowany, godłami okryty,
Pomnik hetmańskiej cześci, co siła już liczy
Trofeów z barbarzyńcy i szwedzkich zdobyczy.
Niech hetman spina konia błyszczący a zbrojny,
Harcuje krwawą ścieżką tryumfów i wojny,
Niechaj się wyobraża, jako jego ramię
Tu Szwedów pokonywa, tam Moskwę przełamie.
Gdzie tryumf Chodkiewicza i Rusinów klęska,
Wykowamy ze złota wieżyce Smoleńska.
Zacny zwierząt monarcho! gdy przez twe staranie
Świetny rycerski pomnik wiekuiście stanie,
Wyznam, żeś wdzięczzen Panu. Wy ptaki i zwierze,
Od was hojną Apollo nagrodę odbierze
Za śpiew na niwach trackich. Pomnicie zapewno
Piosnkę na mojej lirze serdeczną a rzewną,
Pomnicie głos uroczy owej pieśni starej,
Co brzmiała na pastwiskach licyjskiej Patary,
Której wtórzył Eurotas od brzegu do brzegu,
I źródło akarnańskie płynące z pod śniegu,
I bystry Archelous dźwiękami przejęty,
I wody permessańskie, i Lykormas święty?
Wszystko słuchało pieśni pobożnie i szczerze,
Umilknął szelest wichrów i fal na jeziorze,
Kiedy pragnąc się dziwić tajemniczej mowie,
W powietrzu słuchający zawiśli ptaszkiowie,
Lub siedząc na gałązkach w uroczystej chwili,
Lub w gniazdach zaczajeni piosnek się uczyli.

Przyjdzie czas, kiedy siły odzyskawszy wieszczę,
Nad brzegami Krozenty zanucę wam jeszcze,
I ciebie, zacny gryfie, i poddane twoje
Dźwiękiem lutnie uroczej i pieśnią napoję,
I pochwały Karola, i bojowe dzieje
Aż pod niebo wyniosę, aż gwiazdom opieję.
Jak niegdyś Orfejowi, dęby mi się wzruszą,
Zwierzęta z jaskiń wyjdą i słuchać mię muszą.
I będą biegły do mnie, jak gdyby kto goni,

Jelenie od pastwiska, a sarny od błoni,
 I gołąb, co się gnieździ na sklepiściej wieży,
 I łabędź przyjdzie do mnie, byk z pługiem przybieży.
 Owszem same jaskinie, i mury, i skały
 Ciekawie słuchać będą Karola pochwały.
 Wtenczas śpiesząc brać udział w uroczystej cześci,
 Puszcza zielono-drzewna wtórem zaszeleści,
 A imię Karolowe, jakby echo burzy,
 Rozleje się w dolinie i w jarach powtórzy.
 Że on wielki — ogłosi zielona płaszczyzna,
 Że dzielny a dotrwały — opoka mu przyzna.

I oto nad Saltynem mieszkanie zakłada
 Słodko-śpiewna Pierys i madra Pallada;
 One łącząc swe chęci z usilnością naszą,
 Splotami wonnych kwiatów ten pomnik przepaszą.
 A wokoło pomnika cna młodzież się zbierze,
 Podziwiając wykute z marmuru rycerze, —
 I piękny kształt rumaków, i godeł, i zbroi,
 I dzieje wielkich bitew pamięci przyswoi,
 I chórem je opiewać odważy się wreszcie.
 O zacne pracownicy! pośpieszcie, pośpieszcie
 Odważyć nieco pracy i nakładów nieco.
 Ty pierwszy, królu ptaków! rozkaż, niech polecą
 Wszyscy poddani twoi, — wszak dobrze ci znane
 Wszystkie bogactwa ziemi, dotąd niewidziane.
 Niechaj skrzydlate hufce przyniosą do Pana
 Złoto z nad brzegów Tagu, z krainy Hiszpana,
 Niech z wnętrza gór alpejskich złoto się pozyszcze.
 Niech z krainy północnej, gdzie Boreasz świszcze.
 Z biegunów południowej i północnej osi,
 Gdzie morze bryły złota na piasek wynosi.

Rzekł — gryf skinał na zwierząt i ptaszęce strażę:
 Jednym skarby północne wydobywać każe,
 Do Scytów i Numadów inny orszak spuści,
 Innych posłał w pieczary alpejskich czeluści,

Owym wskazał plondorwać libijskie bezdroża,
Tych przeznaczył na brzegi Egipskiego morza,
Tych w odległą krainę Tyru i Sydonu,
Tym w ruinach Kartagi kazał szukać plonu,
Innym ku Atlantydzie dał skierować kroki,
Drugim skinął ku stronie Arabskiej zatoki,
Innym rozkazał kopać w Tomezańskiej skale,
Innym wyspy Egejskie przeznaczył w podziale,
Innym dał Orchomeńskiej głębinę odnogi,
Innym Baktre, gdzie metal znajduje się drogi.

Jutrzenka po raz siódmy błysnęła w purpurze,
Apollo po wysokiej Miedziokalnej górze
Spuszcza się, pewien skutku i dobrej nadzieje.

A owo brzeg Krozenty jasno zielenieje,
Owdzie rzeka coś szeptem w tajemniczej mowie,
Tam wesołe pastwisko, tam gęste sitowie.
Więc podniósł w górę oczy i wzrokiem sokoła
Cały okrąg niebieski ogarnął dokoła:
I widzi, jak się ptastwo zlatuje gromadą,
Aż niebiosą zaciemnia zgęszczone ich stado, —
Na wyścigi z wiatrami puszcza się ich rota,
Aż niebieski firmament mży się i migota, —
Pysznie mocnemi skrzydły wahają się w dali,
Jakby płynąc na chmurach i na wietrznej fali.
Gryf szybując najwyżej, gdzie nie dojdzie rzesza,
W niebieskiej równowadze swój ciężar zawiesza,
I monarszem spojrzeniem patrzy po przezroczu,
Tysiąc iskier ognistych sypie się mu z oczu.
Dziobem przerzyna wichry, skrzydłem mgłę rozbija,
Wzdyma się jego silna kędzierzawa szyja,
I wydaje trzy hasła, jak naczelnik warty,
I całym swym ogromem w chmurach rozpostarty,
Jasny zbrojną, rycerską, mieniającą się szatą,
Steruje swoim lotem, jak żeglarz fregatą,
Szpony wyciągnął naprzód, silnym dziobem szczęka,
Ucieka przed nim zefir — bo się cięcia lęka.

Za nim szeregi ptastwa — jak na bój ochoczy
 Za hetmańskim proporcem rycerstwo się tłoczy,
 A żaden się przodkować w locie nie odważa,
 Choćby na jedną chmurkę wyprzedzić mocarza.
 Lecz po jasnej drodze, kędy on szeleści,
 I śpiewają mu pieśni tryumfów i cześci:
 Jak on miejsce zajmuje naczelne, książęcie,
 Jak mieczem pozłocistym silne płata cięcie,
 Jak mu się błyszczy tarcza, jak pancierz jaśnieje,
 Jak wzorzysty proporzec nad głową mu wieje,
 Jako na jego hełmie, wykutym ze złota,
 Goreją iskry ognia i pióro dygota.

Gdy się już przybliżyli do brzegów Krozenty,
 Gdzie stary niegdyś Rekuć przybytek miał święty,
 Widząc, jako się bieli miasto na jeziorze,
 Uroczystym okrzykiem powitali Kroze.
 A odgłos pozdrowienia powtórzyły z blizka
 Krozkie góry, i kroskie błonie, i pastwiska,
 Wody odbiły z szumem głos brzmiący pociechą,
 I w lesistem zaciszu odhuknęło echo.

Zatem człoło w laurowe opasawszy liście,
 Szedł Apollo spotykać hufce uroczyście.
 Wtedy monarcha ptaków i władca na zwierze
 Haracz swoich poddanych składa mu w ofierze,
 I bogactwa, co zniosła ze wszech stron gromada,
 Na gatunki rozdziela i w stosy układa.
 Tu wielkie kupy złota, owdzie srebro świta,
 Tam iskrzy się miedź twarda niczem niepożyta,
 Owdzie odlew mosiężny, owdzie stos kamieni,
 Owdzie marmur w bogatych kolorach się mieni.
 Owo skała koryncka mieniona i czarna,
 Na której różnobarwne malują się ziarna,
 Jakby ogród kwiatowy, jak liści gromada,
 We flader rozmaity obraz się układa.
 Owo drogie klejnoty, owo łyzy Tetydy,
 Owo perły ze szczęśnych wysep Hesperidy,

Owo, jak ziarno gradu, perła migająca,
Błyszczący brylant z jaspisu, jako deszcz ze słońca.

I zdumiał się Apollo, z nim Pieryd rzesza
Widokiem tylu skarbów źrenice naciesza,
Przepatruje, ogląda, przelicza na nowo,
Tam złoto, tam klejnoty, owdzie kość słoniową, —
I głosem uroczystym a pełnym słodyczy
Wezwał bóstwo, co dziejom ludzkim przewodniczy:

Córko! tobie przeszłości powierzona karta,
Przed tobą kolej wieków na oścież otwarta,
Znasz wojny, znasz rycerzów, ty wyteżasz oko,
By święta starożytność nie zaszła pomroką,
Wskrzeszasz ją światu gwoli, wskazujesz widocznie,
Gdzie młodzian rozpoczyna, gdzie starzec wypocznie.
Chodź tu, córko parnaska! twej pracy potrzeba.
Tu się pomnik miedziany buduje do nieba,
Tu dzieło wiekuiste wznoszą moje ręce,
Gdy na cześć Chodkiewicza to dzieło poświęcę;
Kształtownie trzeba działać, a pracować szczerze,
Aż kamień uroczystą postawę przybierze.
Twojej tu trzeba ręki, co pomniki krzesze, —
Ja swoją tracką harfę na ramię zawieszę,
Będę słodził robotę i orzeźwiał duszę,
Dźwiękiem pieśni kamienie i skały poruszę;
Same do ciebie przyjdą i pod twoją dłonią
Kształtny kolos dla oczu zdumionych odślonią.
Pocznij tylko — wszak dawniej w sposób tenże samy
Amfion wznosił tebańskie sklepienia i bramy,
Wszak pieśń moja pergamskie zgromadziła cegły,
Na głos harfy opoki i wzgórki pobiegły,
I kamienie wapienne, i frygijskie drzewa
Biegły w ręce robocze, gdy harfa zaśpiewa.

Tak mówił, biorąc harfę do swej lewej dłoni,
Prawicę podniósł w górę i w struny zadzwoni,
I pierwsze drżące dźwięki rozbiegły się w ciszy,

Od których lekki zefir rzeźwiej się kołysz.
 Potem silniejsze takty wydobywał śmiało,
 Dźwięk popłynął do lasów, i w lasach zagrało,
 I góry zachwycone aż pod niebo skoczą,
 I doliny radosne zagrzmiały ochoczo,
 I krzewiny, i wody wtórzyły dostojnie
 Pieśń bojów bohatera i sławy po wojnie.
 Tymczasem gryf zawołał na swój zastęp cały,
 Ptaszki jeły szczebiotać i wstecz odleciały,
 I pieśnią wyrażając swe uprzejme chęci,
 Stado po jasnym niebie jak w tańcu się kręci.

Pracuje sławne bóstwo historycznych dziei,
 Układa różnowzory marmur po kolei,
 Muruje trzy pomniki we srebrze i złocie,
 Jej słudzy, Cześć i Sława, stoją przy robocie.
 Zwycięstwo okupione wojennemi dzieły
 I kwitnące Tryumfy tuż miejsce zajęły,
 Obok nich uwieńczona Marsowa Odwaga
 Wierzchołek obelisku wznosić dopomaga.

Pracuje bóstwo dziejów, bo pilna robota:
 Słychać trzaskanie skały i łoskot od młota,
 Wtórują drobnych ptasząt niezliczone stada,
 A echo napowietrzne na głos odpowiada.
 Wszystko pragnie pomocy i sił swoich użyć,
 Słońce zwolniło biegu, aby dzień przedłużyć.
 Rosną w oczach pomniki, młot bez przerwy kowa,
 Przyszedł Wieczór, zdumiony, że praca gotowa,
 Przyszły wieczne Godziny i swem czołem siwem
 Uderzyły hołdownie, przejęte podziwem.

Piewczynie Helikonu, przychodząc koleją,
 Uderzają po strunach i piosenki pieją,
 I wszystkie, gwoli dziełu pracując z rozkoszą,
 Giętkie zielone trawki na uplot przynoszą,
 I wkoło kolumny dziewicza lilia
 I śnieżysty liguster ramiona obwija,

Wtedy radosna Sława wzywa Apollina:
Patrz, jak troista wieża do niebios się wspina!
Tu na miedzi Karola dzieło znakomite,
Tutaj jego pochwały w marmurze wyryte.
Jeśli wola posłuchać, to przybliź się ku mnie,
Ja ci objaśnię rzeczy, ryte na kolumnie.

Na pierwszym obelisku, co po prawej ręce,
Wykowano Karola lata niemowlęce.
Patrz, jak się dziecię pali na miecz bohatera,
Jak rycerską przyłbicę piórami ubiera,
Jako puklerz ze stali kowanej wygięty
Chciałoby podejmować drobnemi rączęty;
Lecz nie może udźwignąć, więc pełne boleści,
Żeleźce ciężkiej włócznie całuje i pieści.
Patrz, jak zbroję rycerską za kolebkę bierze,
Bawi się z karacena i czyści pancerze,
A gdy spocząć przymusi przedwczesną fatyga,
Siekierę od bardysza do pościółki dźwiga.
Ojciec powraca z wojny, w jego rękach spisa, —
Patrz, jak dziecko radośnie na pierś mu zawisa,
Łuk mu zdejmuje z pleców, a przyłbicę z głowy,
Jak zręcznie klamry zbroje odpina stalowej.
Patrz, jaki uśmiech szczęścia siadł na ojca usta,
Jak go straszy przyłbicą, jak na rękę huśta,
Jak dziecię igra z ojcem, jak patrzy junacko,
Że pióropusz od hełmu dostało za cacko.
Potem młodzian ten samy już na szkolnej ławie,
Pięknem aońskiem światłem poi się ciekawie,
Jego umysł, Marsowi i Muzom ślubiony,
Bada dzieje odwieczne rycerskiej Bellony,
Fortele Hannibala, boje Macedona
Gorąco zapamiętał i przykuł do łona.

Drugi pomnik zielono laurami się wieńczy:
Tu widzisz pierwszy zawód Karola młodzieńczy.
W twarzy igra rumieniec, w boku blask ogniuwy,

Hełm czubaty oblicze zakrył do połowy,
Lenistwo nie zmięczyło młodzieńczego ducha,
W jego sercu odwaga i dobra otucha.
Z marsem na czole, z włócznią, w pancerzu ze stali, —
Wojenny tracki rumak pod nim się wspaniali,
A on, bieżąc na czele świetnego igrzyska,
Pewną prawicą dzirył do pierścienia ciska.
To są najpierwsze boje, tu się młodzież ściera,
Tu się uczy na przyszłość czynów bohatera,
I Karol tu się uczy, jak zadawać rany.
Napierśnik jego zbroje złotem szmelcowany,
Tarcz jasna jak zwierciadło, a iskrą przyświeca
Żeleźce jego włóczni i ostra szablica.
Patrz, jak mu pali wewnątrz odwaga Gradywa,
Patrz, jak słodki pot pierwszy, co z czoła wypływa!
Krew mu bije do twarzy, kołysze się łono.
O! niemarne to iskry, co na mieczu płoną!
Oto już na pancerzu wyzłacana łuska
I piękny polor tarczy we krwi się opluska.
Wódz nie zważa na groty, na hufce okolne,
Miecz jego tnie zastępy, jako kłosie polne;
Kędykolwiek on stanie na korzyść ojczyźnie,
Stosy trupem powali i ulicę wyżnie,
Reszta pierzchnie ze strachu i zginie na szczęty...
Idzie kłęska Michała! już koncerz podjęty.

Tu, na trzecim pomniku, Chodkiewicza ramię
Tłumy Szwedów rozpędza i hufce ich łamie:
Ryczy strzelba, jeży się broń nieprzyjacielska,
Leżą ludzkie i końskie obumarłe cielska;
Ale wódz niezłamany, podobien opoće,
Gdzie spuści piorun miecza, krew deszczem pluchoce.
I pierzchnął Sudermańczyk, i cofnął się nagle,
Dał hasło do odwrotu i rozwinął żagle,
Przepłoch dodał mu wioseł, przyśpieszył żeglugę,
I rozdarł na Bałtyku mętnej wody smugę.

Patrz — tutaj ślady wojny — ruina i zgliszcze,
 I potoki krwi szwedzkiej, co na polach świszczę,
 Rzeź wojennej rozprawy, zwycięskie zaszczyty,
 Wawrzyn pod Kokenhauzem i Rewlem nabyty.
 Owo mury obronne z basztami i wieżą,
 To są grody Inflantów, co k'Polsce należą:
 I tu znowu Chodkiewicz po wawrzyny sięga.
 Patrz, na wierzchu kolumny — ogromna potęga!
 Owo mury Smoleńska — patrzaj na tę ścianę:
 Wieżycy obalone, bramy potrzaskane,
 I Ruś pierzchła zwalczona usilnem staraniem, —
 Idzie zwycięski Karol, a wygrana za nim.

Rzekła — a Febus dodał w uroczystej mowie:
 — O! teraz szkole kroskiej poszczęście, bogowie!
 Niech ten pomnik, wykuty w licejskim zakresie,
 Dzieła męża hetmana w potomność zanieśie.
 To nie mgła, którą lekki wschodni wiatr rozwieje,
 To nie śnieg, co na wiosnę cały roztopnieje:
 Mój pomnik się nie zwali przed potęgą żadną,
 Trwać będzie — póki gwiazdy z niebios nie upadną!

II.

Podróż do Rzymu w roku 1622.

Ibis Hyperboreos non segnis, epistola, campos . . .

Pójdiesz tedy, me pismo, pod niebo północne,
 Gdzie Wisła grunt ojczysty podmywa i porze.
 Nie wstydz się, że się chwieją twe kroki niemocne,
 I że goniec strudzony pośpieszyć nie może.
 Niełacno przeskakiwać stopami szermierzy,
 Gdzie śnieżne garby Alpów aż pod niebem sterczą;
 Niełacno się z Alpami Ceraunia zmierzy,
 Alpy z gór Pirenejskich śmieją się szyderczo.
 Często wąż skalisty i otchłań głęboka,
 Lub zatrzyma cię śniegów niezłomna przeszkoda,

Póki zimno północne i słodszy dla oka
Widok pól macierzystych serca ci nie doda.
A tam zielona niwa rozścielać się pocznie,
I góra w sonej barwie coraz dalej znika;
Wnijdziesz w kraj nadwiślański, a tam już widocznie
Mięcej będzie na trawie stopom wędrownika.
Mimo zamków i grodów dzielnego Lechity,
Gdzie się po mokrej ziemi kręta Narew płące,
Przyjdiesz odwiedzić Muzy pobyt znakomity,
W Pułtusk Apollina świątynie uchronięce.
Donieś tam towarzyszą o mojej podróży,
Żeśmy na włoskiej ziemi stanęli przyjemnie.
Pozdrów serdecznie Ojców, niech im szczęście służy,
I powiedz Nikolemu trzy słowa ode mnie.
Kłęski naszej podróży, trudy niewymowne
Rozpowiedz szczegółowie w prawdziwej postaci.
Najprzód, w mieście Poznańskim alumny wędrowne
Oddały pożegnanie pozostałej braci.
W braterskim uściśnieniu, z mokremi powieki,
Ruszyliśmy w wędrowkę, rozżaleni srodze.
Wkrótce klarowne fale czarnej Odry-rzeki,
I granice marchijskie stanęły na drodze,
Aż w krainy saksońskie przyszlśmy nareszcie,
A Lipsk dachem gościnnym okrył nas w podróży.
Przykra wszakże gościna, bo w tamecznym mieście
Lutrowem się kacerstwem cały naród burzy.
Tu gmachy starożytne, marmurowe ściany,
Kościoły murowane ręką pracowitą.
Westchnęliśmy ujrzawszy dom Boży skalany,
Dziwili się bogactwom, co tak źle użyto.
Ledwo pierwszej jutrzeńki błysnęło ognisko,
Ledwo oblała ziemię słoneczna poźłota,
Rzuciliśmy niewierne lipskie rumowisko.
A cały dzień pochmurny, i deszcze, i ślota.
Biada mi! bo nazajutrz na pogodnym niebie
Jasne słońce paliło ognistą spiekotą;
Zda się, płomień gorący czułem koło siebie,

Zda się, węgle żarzyste moje czoło gniołą.
Gorączka ssała piersi, jak zabójcza żmija,
Czułem, jak biedne członki febrą odrętwiały.
Przyczyną tej spiekoty są góry i skały,
Od których promień słońca mocniej się odbija.
Bo jak twierdzi prostota, że w tutejszej stronie
Straszny skwarem lipiec, lecz gorętszy sierpień,
Wrzesień zaś zabójczymi waporemami zionie,
Stąd idzie śmierć gwałtowna i tysiące cierpień.
Trudno zbadać przyczynę, bo przyczyn tysiące,
Czy zaraza z powietrza, czy z późnego żniwa?
Czy w stronie nadalpejskiej rozigrane słońce
Prostopadłej promieniem ostrym połyskiwa?
Z łona skalnych czeluści, tuż przy samej drodze,
Nieraz potok gwałtowny toczy się po ziemi;
Tam w warczącej kaskadzie me gorąco chłodzę
I czerpię zimny kryształ rękoma chciwemi.
Powoli — orzeźwiony kroplami wilgoci,
Począłem raźniej stawić niedołączne kroki.
Kroki stawić począłem, bo się wóz nie koci,
Bo konie pod ciężkimi ustały tłomoki.
Nieraz, gdy koła grzęzły na błotnistej drodze
Lub z trudem przebywały kałuże czarniawe,
Tysiąc zwrotów, manowców, tysiąc dróg znachodzę,
Aby snadniej wyminąć bagnistą przeprawę.
Przebywszy ostre góry i głębokie wody,
I garby skał wiszących, gdzie się obłok kurzy,
Noweśmy napotkali trudy i przeszkody,
Które los nieżyczliwy stawił nam w podróży.
Oto las starożytny, gdzie truchleć potrzeba,
Pełny wiązów i dębów porośniętych rozwlekle,
Stary wierzchołek lasu aż utonął w niebie,
A w lesie dziko, ciemno i straszno, jak w piekle.
Mimo ostrych wąwozów i wzgórków gromady,
Przegradzał rzniętą ścieżkę wielki odłam skały;
Stare pnie i kamienie, jakby sidła zdrady,
Przerażonym podróżnym drogę tamowały.

Przecież dążym odważnie, a żaden nie pyta,
Że zbójcy na rumakach tuż za nami jadą;
Zbrojny iskrzącym mieczem, lasowy bandyta
Otoczył nasze przejście i stanął gromadą.
Spojrzałem — noże z pochew zabłysnęły wszędzie,
Biegłe ręce zbójeckie rwą się do oręża.
Owdzie strzelec, uzbrojon w śmiertelne narzędzie,
Mierzy paszczę rusznicy i oko wyteża.
Wystrzelił, buchnął ogień z dymem i łoskotem,
Gwiznął ołów, wyrwany z piekielnej czeluści, —
I włos mi się najeżył, i zlałem się potem,
Pierś zaparta z przestachu ledwo oddech puści.
I przyskoczyli zbójcy z wejrzeniem ognistym,
Barbarzyńskimi słowy ich groźba zawrzała,
I dobyli sztyletów, i przeciągłym świstem
Dają jakieś poznaki, sygnały czy hasła.
Chciałem się bronić ręką, ale ręka mdława;
Patrzą wokoło siebie — i wóz bez obrony.
Wtem Nikolaj tajemne znaki mi podawa,
Widzę już oręż zbójcy ku niemu zwrócony.
Uderza moje uszy jego jęk i łkanie,
Drgnąłem — jakby me oczy zalał strumień krwawy,
Mniemałem już usłyszeć ostatnie konanie;
Dzięki jednak Niebiosom, to był krzyk obawy.
Wyrwałem się, skoczyłem — a tu obok puszcza, —
Zda mi się chyżej wiatru biegłem na bezdroże.
Kryjówka w gęstych liściach ledwo dzień przepuszcza,
Ciemny chróst moją ścieżkę ukrył w Imię Boże!
A tymczasem bandyta pastwił się zwycięski,
Nasze srebro ubogie, ów metal zwodniczy,
Źródło na całym świecie nieszczęścia i klęski,
Wszystek poszedł opłacać haracz rozbójniczy.
Tam stali towarzysze smutnie okupieni,
Rozmyślając nad dolą dalekiej podróży.
O wy, dęby szerokie! o stosy kamieni,
Których cień i kryjówka za mój uchron służy!
Czemuście (ja was, pomnę, żałowałem w drodze,

Że musicie zwierzętom za jaśkinie służyć),
Czemu, gdyśmy ratunku wołali tak srodze,
Nie chciałyście nam echa waszego przedłużyć?
Pomnicie, kiedym krzyczał, jak marzący we śnie,
Kiedy mię przerażała towarzyszków strata:
Co tu jęków! co płaczu! ryczałem boleśnie,
Jako błędny Eneasza po zgonie Achata.
To drzę, to w trwożne serce znowu ducha biorę,
Badam, czy żyję jeszcze? — strach dał mi przestrożę,
Że jeszcze nie umarłem — stawiając kroki spore,
Przez gęstwiny i pola uciekam, jak mogę.
Biegłem, gdzie zwaliskami kończyło się pole,
Widok mię chat wieśniaczych ośmielił po trosze,
Wpadłem tu, jak posłaniec mej własnej niedole,
I płacząc, o schronienie i ratunek proszę.
Przyjęli mię wieśniacy; gdy strachu już niema,
Czułem, jak idzie para i pot z mego czoła,
Jak się chwieją kolana, jak się pierś wydyma,
A język odrętwiały słowa rzec nie zdoła.
Współbolały nade mną pocziwe wieśniaki,
Podzielały mój przestach i moje rozpaczę.
Opowiadałem traf mój przez gesta i znaki,
(Bo się mową tutejszą niełacno tłumaczę).
Cizba przygód ciekawa zewsząd mię otacza, —
Łzy moje wywołały łzy w całej drużynie,
Widzę rosę na oczach każdego słuchacza,
Widzę, jak bujna kropla na twarzy icn płynie.
Potem ucztę wieśniaczą zastawili przy mnie:
Zsiadłe mleko i wodę z pobliskiej krynicy.
Zasiadłem, czerpam wodę, rzeźwię się na zimnie,
Lecz mi ła. do napoju siąknie ze źrenicy.
Od łez woda zdrojowa zagorzkła w puharze,
Nie mogło brać posiłku bolejące łono.
Więc po skromnej wieczerzy dobrzy gospodarze
Sianem mi potrząsnęli pościółkę zieloną.
Ległem — a trwożne myśli biły się do głowy,
Mdłe członki nie zdołały wypocząć do rana.

O! jakże to okropny niepokój światowy!
Jak się długą wydała moja noc niespana!
Ileż myśli! a wszystkie tęskne i ponure.
Nim północ zaiskrzyła gwiazdy polarnemi,
Księżyc jeno rogaty, wypłynąwszy w górę,
Jako strażnik wartował przy uśpionej ziemi.
Wzdycham i kornie błagam porankowe słońce,
Błagam jutrznię, niech prędzej swoje blaski zsyła.
Wysłuchała jutrzienka modlitwy gorącej
I różowe oblicze z wody wynurzyła.
Wstaję, i błagam słońca, niech prędzej wypływa,
I modłę się Niebiosom w porannej zaciszy.
Wysłuchały Niebios — oto list przybywa,
Pisan ręką jednego z braci towarzyszy.
Krótkie były wyrazy w tym uroczym liście:
Nie odpisuj, lecz do nas śpiesz za naszym posłem.
Więc wybiegłem przez lasy — i wnet uroczyście
Poranne powitanie do Ojców przyniosłem,
I po wspólnym pokarmie sen wstąpił na lice.
Na chróścianej pościeli jak słodko się marzy!
Rankiem oku naszemu Bamberga wieżycę
Stanęły, jak zbawienie, jak port dla żeglarzy .
Tam była nasza przystań, Pieryd pałace,
Tam dziatwy Jezusowej zacisze klasztorne;
Gościnnie dach przysłonił znużenia i prace,
Tam był słodki spoczynek i jadło wyborne.
Potem na Ratysbonę szukaliśmy śladu,
Kędy się bystry Dunaj wywija i kręci;
Dalej miejsce, gdzie dąży młodzież z Ingolstadu,
I Mnichów, strojny w mury i zamek książęci.
Przez Halle, kędy kraju nadrzecznego smuga,
Droga nas prowadziła chropawa i śliska,
Gdzie wiekuje na górach zimowa szaruga,
A słoneczne oblicze surowiej połyska;
Gdzie Bryksenu, Bolsanu rosną winogrady,
Gdzie na gruntach trydenckich szczęśny rolnik orze,
Kędy droga, niepewna dla zbójckiej zdrady,

Rzeczne chyba korytem odbywać się może.
Myśmy na drzewnej tratwie przepłynawszy fale,
Już italskiem powietrzem napoili płuca,
Kiedy zorza wieczorna złoci się wspaniale,
Kiedy słońce kraśniej i ziemię porzuca.
Złote księżące dachy, mantuańskie wieże
Koroną jasných murów zabłysnęły zdala.
Weszliśmy, a gdzie tylko spojrzenie dostrzeże,
Mnogi naród po forum snuje się, jak fala.
Tam gmachy, wyłożone w marmur różnowzory,
Kościoły, bogatemi kopułami strojne,
Owdzie naród, tam żyją zacne senatory,
Owdzie z pięknym krużgankiem pałace dostojne.
Niemniej dziwi pielgrzyma Bononia bogata,
Niemniej Seneńskie miasto sławą starożytną.
Wszędy cuda! lecz w środku łaćńskiego świata
Piękne mury florenckie najcudowniej kwitną:
Jak gromada fiołków wśród trawy zielonej,
Najpierwsze uwielbienie od przechodnia bierze.
Dalej środkiem pagórków, strojnych w winogrony,
Przyszło nam po Etruskim żeglować jeziorze.
Choć niebo w listopadzie zamglone i dżdżyste,
Na flamińskim gościńcu kłębi się kurzawa.
We sto kolumn podparte dachy uroczyste,
Owo cyrk zapaśniczy przed oczyma stawa, —
Owo Rzym się ukazał... O witaj mi, Rzymie!
Cześć wzgórkom palatyńskim! cześć świata ozdobie!
Domu gościnny ludów, schronienie pielgrzymie,
Matko prawdziwej wiary, pozdrowienie tobie!
Ile mórz, ile krajów w dalekim lazurze
Z wierchołków Kapitolu naliczyćby można!
Tam króluje pochyłe kwirynalskie wzgórze,
Owdzie gmach Watykanu z podstawą wielmożną,
Jak ojciec ze swych wieżyc patrzy się po globie,
Gdzie mu ziemskie mocarstwa uchylają czoła,
I Niebiosa, i ziemi połowice obie
Ochotnie wypełniają, co jeno zawoła.

Jakże jasna korona jego majestatu!
Jakże nań oczy ziemskie wyteżyły oko!
Czołem z pod firmamentu rozkazywa światu,
A tyrają nad chmury błyszczą się wysoko.
Wielki przestwór i wielkie prace jego głowy,
W nim skupione i ziemskie, i niebieskie dzieła.
Oto, jak wielkim celom święty gród Piotrowy
Twa ręka, Konstantynie, z rozwalin podjęła!
Tyle wieków już liczy jego chrestna karta,
Lecz go praca nad światem dotąd nie unuży.
To dźwignia kuli ziemskiej, na Niebie oparta,
Gmach, kędy ramię Boże za kolumnę służy.
Gdy w milczącej zadumie oglądam te mury,
Dążąc ulicą między gęste winogrady,
Już ciemniało, na ziemię padał mrok ponury,
A na niebie, ślad słońca, ledwie płomyk blady.
Oto dom Farnezyjski, wieczernik dla gości,
Zwana imieniem Jezus ta mieścina Boża.
Oto ranek — my w Rzymie, w krainie światłości.
W krainie muz łacińskich, w stolicy Grzegorza.
Tutaj Apollinowi cała rzesza służy,
Tutaj igrzysk parnaskich Pieryda słucho....
Lecz ten dom, ten spoczynek, kres naszej podróży,
Był kresem niespodzianej boleści dla ducha.
Nikolaj, co w ojczyźnie jeszcze cierpiał siła,
Był męczony od febry przez całe bezdroże;
Gdy mu wewnątrz gorączka sroga przepaliła,
Legł tutaj niespodzianie na śmiertelne łożo.
Ach! dlaczegoż, dlaczego taką wieść mam głosić!
Błada śmierć już zastygła na braterskiej twarzy.
Ani zioła z Korcyry ulżyły mu dosyć,
Ani środki leczebne meońskich lekarzy.
Widzieliśmy, widzieli, drodzy towarzysze!
Jak smutnie nas pożegnał towarzysz umarły...
Czy go łzami oplączę, czy wierszem opiszę,
Kiedy łkania bolesne mój oddech zaparły?
Ja łzami na twą pamięć oblicze zaleję...

Lecz pieśnią mało twojej usłużę pamięci.
 Czy opłakać twą pamięć? czy losów koleje?
 Czy dzieła pobożności i szlachetnych chęci?
 Czy dołę krótkowieczną i zagasłe marnie
 Wielkie skarby umysłu a zapal ochoczy?
 Nad czem płakać? wszystkiego serce nie ogarnie...
 Łzy bezpłodne! przestańcie zalewać mi oczy!
 Albo raczej, strumienie i szerokie rzeki,
 Co niesiecie do morza haracz znakomity,
 Wielki Tybrze, co płynąć w ocean daleki,
 Otaczasz święte miasto starego Kwiryty,
 Puść memi źrenicami wszystkie twoje fale,
 Niech się we łzy przemieni nurt pełny wesela,
 Niech łskot twojej wody wtórzy moje żale
 Na smutne pożegnanie zwłokom przyjaciela.

DODATEK DO SARBIEWSKIEGO.

ODA I. Ks. IV.

Aeterna magnis carmina Carpati...

Na skale karpackiej rznę słowa,
 Niechaj je czytają potomni,
 Dziewica niech w pieśniach je wspomni,
 A dziecię w pamięci zachowa.

Polacy, nie z naszych mozołów,
 Że zamki murujem tak szczytnie,
 Gdy Boża świątynia mchem kwitnie
 I zielsko na dachu kościołów.

Na próżno armatnie moździerze
 Wydają swój łskot tak dzielny,
 Gdy dzwonek oniemiał kościelny
 I znikły pobożne pacierze;

Gdy służby rozdzielne są Boże,
 Gdy serce nie w jedno kołata.

Gdy naród się w wierze nie zbrata,
Niewiele mu wszystko pomoże.

Niezgodna modlitwa, złe serce,
To wstrętna ofiara Jehowie:
Czyż dawno niezgodni Grekowie
Zginęli w kłótniwej rozterce?

Dymią się u Czechów ołtarze,
A ziemia węgierska tak blizka,
Patrząc na swoje zwaliska,
Łzy leje — bo Pan Bóg ją karze.

Patrz z Tatrów, Polaku, jak bystrze
Ta ziemia farbuję się krwawo!
Co trzody nad Sawą i Drawą!
Co ziemi bogatej przy Istrze!

Nie łącno, nie łącno te strony
Tureccy zdobyliby mężę;
Lecz gdzież tu święcone orężę?
Gdzie umysł ku Bogu wzniesiony?

Czuł Węgrzyn niedolę nad krajem,
Nie szczędził na mury zachodów,
I szańce i baszty swych grodów
Otoczył usłużnym Dunajem.

Do czego te mury, do czego?
Gdy pomsta niebieska ogarnie,
Nie ujdzie, nie ujdzie bezkarnie,
Kto szyci z Zakonu Bożego.

Głos Rzymu ogłaszam Lechicie:
Dziewica nad wami ma skrzydło,
Jej palcie sabejskie kadzidło,
Jej modły błagalne pošlijcie.

Dziewico! kraj Lachów do Ciebie
Na klęczkach się modli w pokorze,

W poranku i ciemnym wieczorze,
 Czy słońce południa na niebie.
 My dla Cię w doświtki grudniowe
 Po siedem kagańców zapalim,
 I czystą Cię pieśnią wychwalim,
 I damy-ć koronę na głowę.
 Niechaj Bóg na zgubę nas nie da,
 Bug, Wisła niech naszą krainą
 Spokojnie do morza popłyną,
 Nie bojąc się Turka ni Szweda.
 Lecz cóż to? złudzenie w mem oku,
 Czy w uchu? — gdyż oto w tej dobie
 Głos wielki słyzałem przy sobie,
 I jasność zadrgała w obłoku!...

 Z P O E Z Y I

 SZYMONA SZYMONOWICZA BENDOŃSKIEGO.

OBRAZY NA SALI W ZAMOŚCIU.

W hetmańskim dworze grzmi radość obfita,
 Hetman zacnego przyjmuje dziś gościa:
 Ojca małżonki w swoich progach wita
 I daje ucztę na zamku Zamościa.
 O Pierydy! którym swe powieści
 Pochlebną mową krasić nie przystało,
 Wdzięczne za tyle gościny i cześci,
 Opieście świata tę ucztę wspaniała!
 Lecz w kole starców i rycerskiej młodzi,
 Gdzie siła mężów biesiaduje społem,
 Wam, skromne dziewy, zaledwo się godzi
 Z chlubą, w milczeniu, sięść z nimi za stołem.
 Ani wam słuszna z tem dostojnem gronem
 Spełniać puhary pienistego wina;
 Ani wam głosić helikońskim tonem
 Wszystko, czem chlubną sarmacką kraina.

Swojska piewczyni rzeźwiejsza daleko,
 Gdy zwiesi z ramion grzmiącą lirę swoją,
 Dźwięki jej głosu poważniej pocieką
 I milej ucho sarmackie napoją.
 A wasze dłonie, co silnie i snadnie
 Po twardych strunach przebiegały lotem.
 Gdy o Zamojskim śpiewać wam wypadnie,
 Niedoleżnieją przed wielkim przedmiotem.

Wielkiż to człowiek — nawet gdy na chwilę
 Da spoczynkowi bohaterską głowę,
 Muzie, co jego dzieł głosiła tyle,
 Miło odpocząć, brząc pieśni godowe.
 Jej pieśń biesiadna, nie pusta i nikła,
 Ale poważna, wdzięczna i wesoła;
 Bo i dostojność — rycerskiego czoła
 I w krotochwilach opuszczać nie zwykła.
 U bohatera i ściana wymowna,
 O wielkich mężach ona mu powiada.
 Na jego zamku, gdzie szumi biesiada,
 Jest sala, w świetne obrazy malowna.
 Mądra i prawa wiodła go przyczyna,
 Że ubrał salę w szlachetne postacie:
 Dostojna Klio cele przypomina,
 Wskazuje dłonią po całej komnacie.
 Tu reka biegła w uczonej robocie
 Przeląła rysy i życiem natchnęła;
 Widzisz tu twarze, przypominasz dzieła
 Mężów, co zgaśli po pięknym żywocie.

Rodem i cnotą z Zamojskim pokrewny,
 Starzec w obrazie oko tve uderza.
 Piękny obliczem i spojrzeniem pewny,
 A na nim prosty rynsztunek żołnierza.
 Włos jego siwy, źrenica surowa,
 W rękę buława z znaki hetmańskimi.
 To mąż rycerski, wielki Jan z Tarnowa,
 Znany szeroko aż w indyjskiej ziemi.

On bitny w polu: czy zimnego Scyte,
Czy niezliczonych Getów tłum zuchwalczy,
Lub chrobrej Rusi wojska niezdobyte,
Snadnie bułatem policzy i zwalczy.
Te stosy kości i ta krew, rozlana
Pod Obertynem, niby woda w bagnie,
Świadczy, że dowcip i mądrość hetmana
Siłę pokona i potęgę nagnie.
A kiedy słodsza powinność powoła,
I złoty pokój rozprzestrzeni skrzydło,
Wielki mąż idzie do radnego koła
I dzierży w rękach Zakonu wędzidło;
Lub gwoli zabaw, mniej w powadze ścisły,
Dzielił je z nami, co jego opieką
Rośliśmy tutaj, ścierali umysły,
I poszli na świat — szeroko, daleko.

Pani Zamościa! jakże ci z tem kraśnie,
Że nieśmiertny Tarnowski twym dziadem!
On chlubą kraju, on mężów przykładem,
A imię jego — to cześć, co nie gaśnie.
Tarnowski! czemuż nie chce doła sroga,
By w pokolenie szła przodków twych chwała?
Godna cię żona, księżniczka z Ostroga,
Dlaczegoż synem nie udarowała?
Ona ci wniosła fortunę szeroką,
Ród w dziejach kraju twemu odpowiedni.
Rzuć tylko z chlubą twe dostojne oko
Na drugą postać, na obraz sąsiedni.

To jest Ostrogski, twój powinowaty,
Druh twego ojca i brat obozowy.
Starcze Konstanty! znam twój wzrok marsowy,
Znam włos na brodzie, długi i kudłaty.
Mężu! przed tobą ani się ostoi
Na własnej ziemi plemię nieprzychylne;
Zwycieczco Orszy! toć bojacy twoi
Gromili wojska potężne i silne...

Boś nie w otwartem polu bitwę zaciął,
 Lecz ufał w lotne rumaki konnicy,
 Aż brzeg zatętnił bystrej Olszanicy,
 Gdyś sparł w głębinę szyki nieprzyjaciół...

Szcześliwys! — przykład twojego żywota
 Przeszedł w Tarnowskich, twój ród, dzielność, wła-
 A dziś Tarnowskich ród, buława, cnota, [dza;
 Nowem się pasmem w Zamojskim odmładza.

Lecz twarz Stefana k'sobie mię już woła.
 Królu mój! czołem uderzam przed tobą!
 Miło i słodko wpośród tego grona
 Nakarmić oko twą pańską osobą!
 Miło do czoła, do postawy twojej
 Myśl naszą przybić, gdzie twoja błysnęła;
 Lecz w naszym wieku ledwie nam przystoi
 Z lekka napomknąć tve wiekowe dzieła.
 Szcześliwszy piewca kiedyś się doczeka
 Dać wolę lirze, śpiewać tve oklaski;
 Dziś dość ci chwały, żeś utkwiał z daleka
 Na Zamojskiego źrenicę twej łaski.
 Bo bohatera we wschodzącej zorzy
 Tylko bohater oceni, przepowie.
 Wielki, kto wielkiej i szlachetnej głowie
 Pole popisu szeroko otworzy!
 Królu! te łaski, urzędy i hojność,
 Szeroka władza i krwi twojej podział,
 Na ciebie spływa i sławy dostojność,
 W którąś wielkiego człowieka przyodział.
 Ty mu księżniczkę z pod królewskiej strzechy
 Dałeś w zamęcie, jak przyjacielowi.
 Przebóg! śmierć nasze zerwała pociechy,
 I nad Zamojskim kir przewlekła wdowi.
 Zmarłeś nam, królu, — ale w świętej Wierze,
 Jest jeszcze łańcuch, co wiąże cię z nami:
 Ty z Niebios Polską zajmujesz się szczerze,
 A my do Niebios strzelamy modłami.

Czyżże to obraz? — to jakiś mąż stary,
Toga z purpury ramiona powleka,
Bije mu z czoła blask świętej tyary,
Czytać na licu, że to człek z daleka.
To Arcykapłan Najwyższego Pana,
Z niego ma chlubę Rzym, świata podbojca.
Nakłońcie głowy, uchylcie kolana
I ucałujcie płaszcz świętego Ojca!
To Sykstus Piąty — chlubny z tego miana,
To mąż olbrzymiej mądrości i woli,
Odważny umysł, stałość niezachwiana
Stolicy jego chwiać się nie pozwoli.
Nie zwykł lekkością zatrudniać się marnie,
Ni drobnym sprawom dać myśli nie może;
Potężną myślą cały świat ogarnie,
A świat — to jego stolicy podnoże.
Jak zerwać sieci, które wróg wysnuwa,
Jak trwalić pokój, gdzie cześć Chrystusowa,
Na takich pracach nieustannie czuwa,
W gorącym sercu takie żądze chowa.
Dziki Turczynie, którego potęga
Tyle się wzniosła, ile jego władza!
Na twoją głowę silne wojsko sprzęga
I pracownicy bogactwa zgromadza.
A choć mądrości i środków ma wiele,
Czujny, by skarbów lekce nie rozstrzelił,
Tylko na zacne skierowywa cele
Złoto i władzę, co mu świat udzielił.
Bo k'czemuż służy skarbnica bogata,
Kiedy z niej ręka nieopatrzenie miota?
Mąż dzielny każdą okruszynę złota
Umie obrócić na pożytek świata.

Oto obaczył Stefana, jak świetnie,
Jak w całej krasie rycerskiego człeka
Piastował berło — pobożnie, szlachetnie,
A świat mu czoło uchylał z daleka,

Stefan naówczas to z obcemi syny,
 To się z Liwony buntownemi łamie,
 Wbija potężnie tryumfalne znamię...
 I dusza Syksta, radością miotana,
 Że jeszcze w świecie duch rycerstwa tleje,
 Śmiało złożyła w cynych rękach Stefana
 Swe najświetniejsze żądze i nadzieje.

I Ojciec święty posyła królowi
 Błogosławieństwo, obiecuje wsparcie,
 Każe dać odpór nieprzyjacielowi
 I w środek Rusi uderzyć otwarcie.
 Daremnie na nas z każdej strony biega
 Z ogniem i mieczem wojska niepożyte:
 Mocne, żelazne ramię Batorego
 Przygniotło Turka, rozbroiło Scytę.
 Królu! nadziejo, tarczo chrześcijanów,
 Nagleś przykowan do grobowej deski!
 I siła godnie osnowanych planów
 Poniosłeś z sobą w przybytek niebieski.
 Dalej i Sykstus miał zgon niedaleki,
 Nie mogąc znaleźć równego ci łona:
 Bo choćby wszystkie wytrząśł z grobu wieki
 I przejrzał wszystkie wiekowe imiona,
 Drugiego ciebie nie znajdzie, nie złoży.
 Tęsknił po tobie, — lecz po krótkiej chwili
 Wyście obadwa na prawicy Bożej
 Święte swe dusze razem zespolili.
 Gdy wasze czoło tam szczęściem jaśnieje,
 (Bo w wielkich rzeczach i żądza jest chlubną),
 Wiatr rozbił nasze jedyne nadzieje,
 Śmierć wasza dla nas wyrocznią zagubną.
 Cne wasze czasy nie powrócą zgoła,
 Przyszłość już Sykstów, Batorych nie zrodzi,
 Po waszych śladach nikt iść nie podoła,
 A na nas klęska i ucisk przychodzi,
 Jak na sieroty!

W swych sideł obręcze
 Chce nas zapędzić moc nieprzyjacielska,
 Niby pierzchliwe gromady zajęcze,
 Marnym spoczynkiem zdrzemane wśród zielska!

Meże, wydarci z skazitelnej pleśni,
 Czyście niegodni za swe wielkie dzieła,
 By wasza chwała, w dźwięku chwalczych pieśni,
 Stąd aż pod wasze Niebiosą płynęła?
 Co z wami żądzą i myślą żył wspólną,
 Zamojski dla was najwięcej ma cześci;
 Bo gdy mu żywych widzieć was nie wolno,
 Obrazy wasze ubóstwia i pieści.
 A moc waszego oblicza, imienia,
 W pierś Zamojskiego iskrą bije zdala;
 On, patrząc na was, duszę rozpłomienia
 I sławną żądzą znowu się zapala.
 Niby ów rumak, co na wojnie dumny
 Zbratał swe ucho z ostrej trąby zgrzytem
 I przywykł lecieć w przeciwne kolumny,
 Rwać wkoło zębem i tłoczyć kopytem;
 A potem w stajni, w ciżbie towarzyszy,
 Stojąc beczynnie, bez siodła, czapraku,
 Niespodziewanie za ścianą posłyszysz
 Starą znajomość: trąbkę do ataku,
 Drgnie całym sobą i ucho natęży,
 Bije podkową po twardej podłodze,
 Rzy i z uwięzi wyrywa się srode,
 I chce już lecieć, gdzie brzęki oreży.
 O! zerwie trenzlę, przeskoczy zaporę,
 I w środek pyłu walczących pobieży!...

Lecz gdzież jesteśmy? czyż w godową porę
 Marsowe rzeczy śpiewać przynależy?
 Już stół nakryty, — na potem te pieśnie!
 Złoci się wino, radość sprzyja licom,
 I młódź się ciśnie, by tam zasiąść wczesnie,

Skąd się najsnadniej przypatrzeć dziewicom.
 Zabrzmiały grajki, a młodzież ochocza
 Wybija takty, wyskoczyłyby rada.
 Dajmy jej miejsce, a pójdźmy z ubocza
 Patrzyć, jak igra wesoła gromada.

 PIEŚŃ STAROŻYTNA

NA CZEŚĆ BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO.

 (Z kroniki Gallusa).

Boleslaue! Boleslaue! Dux gl'oriosissime! . . .

Bolesławie! Bolesławie! o chwalebny panie!
 Jakże bacznie, jak gorliwie bronisz twojej ziemi!
 Czy to we dnie, czy to w nocy, czy to we świtanie,
 Twoje oko za nas czuwa i samo nie zdrzemie.
 Gdy sądzimy, że cię marnie trupem już położym,
 Ty nas dierzysz, jak w więzieniu, w twej potężnej sile.
 Taki bojak godzien rządzić całym światem Bożym,
 Który garstką umie zwalczyć nieprzyjaciół tyle.
 Chociaż cesarz wszystkie wojska na ciebie uzbroi,
 Ciebie jednak nie powstrzyma prawica niczyja.
 Królowanie i cesarstwo takiemu przystoi,
 Kto zastępy maluczkiemi wielkie siły zbija.
 Jako niegdyś z Pomorszczyzną, tak się z nami sprawi,
 Naszą dumę upokorzy i zuchwalstwo skarci,
 I po wrogach pokonanych swój tryumf odprawi,
 I wypędzi nas z ojczyzny, jak jesteśmy warci.
 On wojuje z poganami, jako Niebios plaga,
 A my walczym z chrześcijany, jak nam za nie wiara.
 Stąd mu zawsze do zwycięstwa sam Bóg dopomaga,
 Na nas pomści się za zbrodnie i słusznie pokara.

PIEŚŃ O ALBERCIE

WÓJCIE KRAKOWSKIM. — 1311 r.

In fortunas qui spem ponit . . .

Kto w fortunie ufność kładzie,
Kto nie pomnąc o jej zdradzie,
Wierzył w mary lube,
Ten poznawać rychło zacznie,
Jako płochy i niebacznie
Oddał się na zgubę.
Dola płochy i zwodnicza
To odbiera, to użycza,
Jak dziecię, swawoli.
Dziś się owi cieszą błogo,
Jutro gorzko płakać mogą
Na niestałość doli.
By wykazać losów zdradę,
Ja mój przykład dla was kładę,
Albertem rzeczony.
Miałem skarby, miałem zdrowie,
Byłem wójtem na Krakowie,
Pisałem zakony.
I cześć miałem w każdym razie,
Mnie barony, hrabie, kniazie
Nazywały bratem.
Jam ich wspierał w każdym względzie,
Jam ich bronił na urządzie
I przed majestatem.
Król, czy baron, czy wielmożę,
Na mej radzie, na wyborze
Polegał zwyczajnie;
I książęta, i panowie,
Powierzali mojej głowie
Najważniejsze tajnie.

Sprawowałem żupy solne,
Miałem miasta, wsi okolne,
 Których sam nie zliczę;
Miałem zamki, jak książęce,
Piastrwałem w mojej ręce
 Władze namiestnicze.
Lecz gdy rośnie moja siła,
Czarna dola pośpieszyła
 Z haniebną zatrata.
A ów człek, co tyle znaczy,
Upadł nagle w stan żebraczy, —
 Czym zasłużył na to?
Ja wierzyłem w szczęście zdradne,
Anim sądził, że upadnę!
 Przeszła moja władza...
Przeszła wielkość znakomita, —
Książę Bolesław w plen mię chwyta,
 W Opolu osadza.
Skuty w pęta i łańcuchy,
Ledwie miałem chleb mój suchy
 W zimnej wieży rogu;
Zamiast komnat i alkowy,
Loch wilgotny i niezdrowy,
 I kupa barłogu.
Pięć lat siedząc w tej katuszy,
Od wszelakiej żywej duszy
 Byłem zapomniany.
Grosz więźniowi przyszedł gwoli,
On wykupił mię z niewoli
 I skruszył kajdany.
Lecz tu biedy się nie kończą:
Wyzwolony, biegłem rąco
 Aż do czeskiej ziemi;
Bo cierpiałem potwarz nową,
Oskarżony przed królową
 Czyni niewdzięcznemi.

W cudzym kraju, w ciężkiej dobie,
Tum zamierzył mieszkać sobie,
Tu zakończyć życie.
Tu człek dobry los mój słodzi, —
Niech mu Pan Bóg wynagrodzi
Darami sowicie!
Ile miałem sławy, cześci,
Tyle cierpień i boleści,
Bóg zrównał widocznie.
Gdy wyroki przyjdą Bóże,
Tutaj głowę mą położe,
Tu na wieki spoczne.
Tak Fortuna, wiecznie płocha,
Dzisiaj pieści i ukocha,
Jutro kołem strzaska;
Zamorduje ręką wściekłą,
Jeszcze duszę wtrąci w piekło,
I otoż jej łaska!
Gdybym wiedział, co się stanie,
Byłbym wierny niezachwianie
Polskiemu monarsze.
Na cóż wyszła wierność słaba,
Że pragnąłem mieć od Szwaba
Urzędy najstarsze?
Stąd odmiennej doli dzieła,
Stąd się zguba ma poczęła,
Stałem nad otchłanią.
Bóg naukę prędko zdarza,
Że jest pomsta na zbrodniarza, —
Zasłużyłem na nią.
W las mię wiodły wilcze chęci!
Niemiec zawždy gdzie się wneći,
Droga mu otwarta;
Chciałby pierwszym zostać zgoła,
A nie dając innym czoła,
K'sobie wszystko zgarta.

Ten obyczaj wszyscy biorą:
 Najprzód kłania się z pokorą
 I do łask się wkrada,
 I wnet siebie, córki, braci
 Z możnem gniazdem kolligaci,
 Tu już pewna zdrada.
 Bo gdy wzrośnie mu potęga,
 Dalej patrzy, dalej sięga,
 Bierze inną postać;
 Idzie z panem w targ zwodniczy,
 Tysiąc groszy mu doliczy,
 Aby sędzią zostać.
 Na sędziowskiej siadłszy ławie,
 Zbiera skrzętnie a nieprawie,
 Grosz łapczywie szczędzi,
 I dziedzictwem kupi wioski,
 Bierze w miastach sąd wójtowski
 I dziedziców spędzi.
 I Czech zginął temi dzieły,
 Jego własność pochłonęły
 Chytre Niemca paszcze;
 Wnet i wszystko mu zagarnie,
 Co zostało — pójdzie marnie
 Na ciżmy i płaszcze.

NAGROBEK KRÓLOWEJ JADWIDZE.

(Z HISTORII DŁUGOSZA). — 1399 r.

Tutaj królowa Jadwiga spoczywa,
 Niegdyś cnej Polski gwiazda i otucha.
 Jej dom są Węgry, ziemia nieszczęśliwa,
 Która dziś prawa cesarskiego słucha.
 Księżniczka, świętne plemię Ludwikowe,
 Co rządził razem Lachy i Pannony,

Wniosła Jagielle za wiano godowe
Wieniec monarszej sarmackiej korony.
Dziewa została na podziw sąsiadów
Arką przymierza Korony i Litwy;
Czcieli lasów, ogniska i gadów,
Boże! przywiodła przed Twój dom modlitwy.
Lecz, wielkim wzorem znakomitych męży,
Włożyła na się karność ogniwo.
Gdy kogo przykra nędza uciemieży,
Chętnie otwarła rękę szczodrobliwą;
Za nic i głody, i pragnienia znojne,
Byle świątynie wznosić uroczyste,
I przyozdabiać, i posażyc hojnie, —
Wniosła niejednen Twój kościół, o Chryste!
Cnotliwym gwoli bywała jak matka,
Możnym nie była dokuczna jej władza.
Szczęsny, kto pychę zdławił do ostatka
I gdzie należy ostrość ułagadza!
Ona wśród blasku i monarszej cześci,
Łaskawie wspiera i w upadku dźwiga;
Dodaj pobożność, wielki duch niewieści,
Którym dostojnie słygnęła Jadwiga.
W akademickiej szanownej budowie
Zostaną wiecznie jej starunku znaki.
Uczonych mężów z cudzych krain zowie
I mistrzów biegłych w mądrości wszelakiej.
Tkliwie się troska o następnych losach
Mędrca, co przybył w niepłonnej otusze.
Boga, co błyska i grzmi na Niebiosach,
Najwyższe dobro, czciła z całej dusze.
Z wiarą przenosząc szczęście i nieszczęście,
Szukała dobra, co nigdy nie minie.
Z dostojnym mężem złączona w zameźcie,
Już dała życie królewskiej dziecinie,
I przyszła chwila, że się płód wyzwoli,
W sercu nadzieja ozwała się słodka...
Radosna matko! nie przeczułaś doli,

Jaka za chwilę twe niemowlę spotka.
 Śmierć w dwoje ofiar jednym ciosem mierzy,
 Matka i dziecię padły pod żelazem,
 Drobna dziewczeczka śpi obok macierzy,
 Jeden dzień zabrał dwie istoty razem...
 Zabrał, i naród pograżył w żałobie,
 W grobową otchłań płynie jęk boleści...
 Ileż łez gorzkich wylano po tobie,
 Westchnień i łkania, co w piersiach się zmieści!
 Czerwcowe słońce paliło upałem
 I z naszych lasów zniknął maj uroczy,
 Kiedy królowa z niemowlęciem małym
 Śmiertelną drzemką obciążyla oczy.
 Znikła nadzieja i zbawienna tęcza
 Ojczyzny, ludu i ojców-senatu.
 Zapłaczcie biedni, których los udęcza,
 Wasza nadzieja odebrana światu!
 Gwiazda królewska, jasna, szczerozłota,
 Na widnokregu już się nie ukaże.
 Niestety! nitka ludzkiego żywota
 Przędzie się, pęka, jako los rozkaże.
 Wierzę, że wszedłszy na wieczności łono,
 Już nieśmiertelne posięgła rozkosze.
 Wy, którym jeszcze pożyć dozwolono,
 Swojemi modły wspomóźcie ją, proszę.
 Nadziejo nasza! Zbawicielu Chryste!
 Racz ją w Królestwo przyjąć wiekuiste.

Z POEZJI JANA DANTYSZKA.

Jonasz prorok, o zniszczeniu Gdańska.

Urbs nova, dives opum, Dantiscum sive Gedanum,
 Accipe, divina quae tibi mente loquor.

Nowe bogate miasto, co cię zowią Gdańskiem!
 Przyjm słowa, które-é niosę w rozkazaniu Pańskiem:

Krótki czas, jeśli grzechów nie przestaniesz dalej,
Twoja cię własna zbrodnia z posady obali.
Prędko wzrosłoś, lecz przebóg! i zguba twa chyża,
Twój dzień, miasto niewdzięczne! rychło się przybliża.
Bezbożność, pycha, rozkosz zawładły tve łono,
Trzy potwory gotują-ć zgubę nieminioną.
Wyuzdany, nadęty twoją zbrodnią czarną,
Mniemasz, Gdańsku! że wszystko uchodzi bezkarno.
Twój senat trzema grzechy głośno znany światu,
Twój lud zabójczy przykład bierze od senatu.
Bezbożność, pycha, bezwstyd gdzie zasiądą z władzą,
Ludy, miasta, królestwa ze szczeniem zagładzą.
Wszechmocny znieść tych zbrodni dalej już nie może,
Popraw się, bo nad tobą ukaranie Boże.
Pan w gniewie sprawiedliwym z posady cię wzruszy,
Jeśli słowa mojego nie przyjmiesz do duszy.
Najprzód poślub odwieczną wiarę twych pradziadów,
Zwróć na drogę zbawienia od bezbożnych śladów,
Wierz, jak twoi ojcowie, a czyniąc pokutę,
Zaniechaj złych nowości, bo jadem zatrute.
Potem złóż brzydką pychę bogactwa i cześci,
Której ogrom zaledwie w twem sercu się zmieści,
Niechaj szczerota serca będzie stróż twój główny,
Strój się raczej w uczciwość, niż w kształt powierzchow-
Dziewica, co dziś nosi otworzyste łono, [ny.
Niechaj piersi i ramię ogarnie zasłona;
Niechaj młoda niewiasta na bezwstydnej szyje
Cudzych włosów na pukle misternie nie wije.
Zrzućcie perły, łańcuchy i atlas bogaty,
Dosyć na waszą godność i wełnianej szaty:
Tak chadzały tve przodki, pokolenie świeże!
Przecz się wstydzic ubierać w skromniejsze odzieże?
Wiarę waszemu Panu dochowajcie wszędzie,
W łagodnych jego rządach bezpiecznie wam będzie.
Nie dmij się, że ci morze swe skarby przysyła:
Kto siła zarobkuje, ten utracą siła.
Czyn przed Bogiem pokutę i wyznaj tve zbrodnie,

Twą skruchę i poprawę okaż mu dowodnie.
Przestań sekciarskich schadzek i rozpustnej mowy,
Grzechów, co znasz się winnym w obliczu Jehowy.
Wszelkie zelżywe gwałty, rozpustne wieczerze
We łzach twojego serca wypowiadaj szczerze.
Potem zwyciężaj żądzę cielesnej słodyczy,
Niech wszeteczność przywdzieje worek pokutniczy.
Biednym dajcie jałmużnę, niech się hojnie spłaci
Własność, handlem wydarta oszukanej braci.
Wiele znaczą nędzarze wzgardzeni i podli,
Że brak błogosławieństwo wieczyste-ć wymodli.
Tak czyńcie z reszty grzechów — mam dobrą nadzieję,
Potężna pomsta Boża dla was złagodnieje.
Mielście już trzy klęski, srogość ich przestrasza;
Niechże czwarta nie przyjdzie, bo to zguba wasza.
Szło morowe powietrze, szła pożarów siła,
Pomnisz, Gdańsku, jak woda tve miasto podmyła?
Już karę trzech żywiołów mając przed oczyma,
Ślepi! mniemacie może, iż kar więcej niema?
Cóż jeśli zadrga ziemia i klęska natury
Zagarnie i pochłonie nieprawości mury?
Cóż gdy handlowę sprawy zniszczą boje cudze?
Gdy się zboże zatrzyma w wiślanej żegludze?
Albo Bóg zagniewany, któremu tak łatwo,
Ześle zwierze drapieżne pastwić się nad dziatwą?
Przyjdą wilki, tygrysy, lamparty, niedźwiedzie,
I lwica afrykańska swój orszak przywiedzie,
Smok obleże tve mury, — choćbyś wzmacniał wieże,
Kiedyż człowiek bez Boga zguby się ustrzeże?
Złamia się twoje baszty, jako domy z karty,
Gdańsku! jękiesz boleśnie, z twych bogactw odarty,
Opuszczą ciebie siły, rozkosze i dary,
Których dzisiaj bezecnie używasz bez miary.
W sadach nocnej rozpusty i w domach od złota
Rozpaczliwie zamieszka łkanie i zgryzota;
Pychę, zbytek, nieczystość, co psuły wam łono,
Przepaściste czeluści wraz z wami pochłoną,

Wołałem Niniwitom: Powstańcie ze zbrodni! —
 Powstali... Wołam na was: Gdańszczanie niegodni!
 Długa cierpliwość Boża: mierząc cios ku głowie,
 Pan czeka na zbrodniarzy i do skruchy zowie;
 Lecz gdzie zbrodnia nad miarę urasta widocznie,
 Oddali miłosierdzie, a chłostę rozpocznie.

Z POEZYSI JĘDRZEJA KRZYCKIEGO.

I.

Na wesele Zygmunta I z Barbarą Zapolską.

Phoebe, decus vatam, pulcherrime, Phoebe, deorum...

Febie, ozdobo wieszczów, piękny, nieśmiertelny,
 Promienny, wdzięczny lirą i w postrzale celny,
 Znijdź, o dawco natchnienia, ku tej niskiej ziemi
 I orzeźwij me piersi zdrojmi aońskimi!
 Patrzaj, jako nasz Kraków świetnieje w tej porze,
 Jaki blask, jaki przepych na królewskim dworze!
 Niechże wstąpi mi w usta święte wieszca słowo,
 Bym opiewał tę wielką świetność narodową,
 Niechaj mię moja pieśń nad Homerów dźwignie,
 Niech mię kwirycki śpiewak lotem nie doścignie,
 Co, syt kastalskiej wody, piał trojańskich synów
 Znakomitą wędrówkę do ziemi Latynów.
 Lecz cóż widzę? co słyszę? co za wielkie wieście?
 Jakież drogi gotują? skąd ten gwar po mieście?
 Skąd ta chętką na sercu wykrzyknąć w tej porze?
 Czemu tak świetne gwiazdy, i ziemia i morze?
 Siła mężów dmie w surmy, bije taktów krocie,
 Pacholeta i giermki błyskają we złocie,
 Jedzie konno rycerstwo, — co tu blasku wszędy!
 Kapią złotem halsbanty, łańcuchy i rzędy.
 Otoczony młodzieżą, jak obwity w kwiecie,

Jedzie Łukasz na dzielnym spienionym dzianecie.
 Ledwo młodzian, już dzieli obrady książęce
 I rylec prawodawczy piastuje w swej ręce;
 Łącząc um znakomity i bogactwo razem,
 Jest wzorem obyczajów i cnoty obrazem.
 Idzie piastun Chrystusów — złoty krzyż u łona
 Zdobi piersi poważne, jak piersi Katona.
 To jest Nestor na wiecy, Lukullus w biesiadach,
 To jest wierny Achates w senatorskich radach;
 On dworu królewskiego podtrzymuje wieże,
 Starych godeł monarszych i korony strzeże;
 On w środku, jako słońce, dzierżąc cugiel czerstwo,
 Na spienionym rumaku prowadzi rycerstwo.
 Wzór pasterzów i chluba senatorskiej ławy,
 Jego oko ogniste, a wyraz łaskawy,
 Jego czoło mądrością natchnęła Pallada,
 Jego Juno bogactwy obdarzyła rada,
 Jemu nawet sam Jowisz przychylen niemało,
 Dał dzielność, dał roztropność stara i dojrzała.
 Gdyby wielu podobnych w senatorskiem gronie,
 Królby polski spokojnie zasypiał na tronie,
 Ojczyznaby przywdziała wieniec szczerozłoty.
 On dobroczyńca mądrych, on przyjaciel cnoty;
 Co mam, tom jemu winien z najszczerzego łona,
 Dank mu czuły przyznawam, winny dla patrona.
 Póki głosu w mych piersiach, póki strun mi stanie,
 Jego chwale poświęcam wszystko me śpiewanie;
 O nim dzielny Iberczyk, kudłaci Medowie
 I czarny Garamanta z mej pieśni się dowie.

Już Pierys natchnieniem rozjaśnia me lice,
 Śpiewam więc wielkich bogów wielkie tajemnice.
 Jest na Wegrzech Trencyński zamek znakomity,
 Aż pod gwiazdy siegają jego wieżyc szczyty.
 To zacny dom Stefanów, sławien z dawnych czasów,
 Bogatszy, niż pałace Krezów i Midasów,
 Niżli Persy, niż Indy bogatszy bez końca;

W nim wzrosła, jako róża dziewa czarująca.
Krasna rumieńcem wstydu na anielskiej twarzy,
Dziewa, z gniazda starego sarmackich mocarzy
Po matce ród wiodąca, — tę w dzisiejszym czasie
Wybrał Zygmunt, król polski, za małżonkę dla się,
Aby się błogim węzłem zobopólnie wsparłszy,
Podzielić z nią swą przyszłość i swój tron monarszy.
Niemarne się niebiosom wydały korzyście,
Gdyby ród ten królował Polsce wiekuiście.
Na tem szczęściu ojczyzny trzy węgielne cegły,
Twarda ręką miłości ukute, poległy,
I przwichylne nam losy z godowemi godły
Młodzieńcowi żadaną dziewicę przywiodły.
Oto skąd rozruch w mieście, skąd ta świetność płynie.
O domie znakomity! skalisty Trenczynie!
Któż cię zdoła opisać, opowiedzieć słowy?
Kto zliczy promieniste gwiazdy twojej głowy?

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
Wejdiesz w gród Krakusowy, byś nasz tron zasiadła.
Tu rozkosz niezrównana, tu przepych najżywszy,
Tu Wenus zamieszkała, swój Cynr opuściwszy,
Tu z Aten swe Minerwa przeniosła mieszkanie.
Tutaj dworzec na podziw — wszędy malowanie,
Wszędy złoto — dziewico! jeno obróć oczy,
Oto przepych królewski wkoło cię otoczy.
Tu przysionki na słupach granitowych wsparte,
Tu obrazy cudnemi barwami natarte,
Tu misterne sklepienia, tutaj rzymskie sale, —
O! i król assyryjski nie żył tak wspaniale.
Tu wszystko czarujące do koła się ściska,
Tutaj z całego świata ujrzysz dziwowiska.
Tu muzyka cię zaimie, tu świetne widziadła.
O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
Dalej ujrzysz sasiednie krainy i miasta,
Gdzie rodzi się żelazo, gdzie złoto urasta.
Jednak i na nie Polska swój zakon nakładła.
O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!

Dalej ujrzysz w pośrodku tysięcznego grona
 Męża, któremu śnieżna twa ręka sądzona.
 Znaczny on w pięknem gronie starszyny ojczystej,
 Jako w lesie zielonym jesion rozłożył się,
 Co nad drzewy rozwiesił kudłate gałązki;
 Znaczny on, jak ów piękny Parys ilioński,
 Co nadobną Greczynkę uwiózłszy za młodu,
 Był przyczyną zagłady Pergamskiego grodu.
 Lecz mąż twój inak czyni, bo dzielność wziął w podział,
 On zdrowe berło polskie w piękny lustr przyodział.
 Nawet i nieprzyjaciół, nawet i oszczerca,
 Spojrzawszy nań, wyrzuci nienawiść z pod serca.
 Tę mowę tak łagodną, tę postać tak piękną
 Uczczą nieprzyjaciele i przed nim uklękają.

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Jeśli ród jego badać żądza ci przypadła,
 Wiedz, że niemasz na ziemi króla, jak ten młodzian,
 Żaden ksiązę w tak wielką chwałę nie przywodzian!
 Z matki krewien cesarza, sam królewskie dziecię,
 Bracia jego i krewni są królmi po świecie.
 Tylu książąt i wodzów — o! zareczam śmiało,
 Że i w radzie Pryama tylu nie bywało.

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Um jego uposażon, samaś to odgadła,
 Wyśpiewać jego mądrość nie mam i nadzieje,
 Nawet i sam Apollo dosyć nie wypieje:
 Jakie serce królewskie, jaka dusza tkliwa,
 Jaka w uściech i w myśli stateczność przebywa,
 Jako czuwa nad państwem, jako słuszność waży,
 Jak ma ucho powolne ku prośbom nędzarzy!
 A też nad wojskiem jego zwycięskie znamiona?
 Sąsiady już nieśmiałe, Moskwa przepłoszona
 I niedawno odparta, — wyśpiewać niesnadno,
 Że zamilczę Wołoszę potężną i zdradną,
 Co tyłą krwi niewinnej zapluskawszy łany,
 Pierzchły przed nim zelżywie okrutne tyrany,

Zwalczeni przez Zygmunta, ich ziemia w pożarze,
 Ugięli przecież karków, nakłonili twarze.

Oto ojciec ojczyzny, zbawca starej sławy,
 On wskrzesił sprawę polską ciosem swej buławy!

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!

Ochoczo przyjmuj dołę, co na cię przypadła!

O szczęśliwa dziewico, dzisiaj poślubiona!

Królu! miłą małżonkę przyciśnij do łona!

Bogdajby w krótkim czasie dozwoliły dole,

By na zamku królewskim igrało pachole!

Zygmunt nadzieja państwa — niechaj ta dziecina

Nam obliczem i sercem ojca przypomina,

Niech idzie jasną ścieżką, kędy chodzą męże,

Niechaj świat zwyciężony w swój zakon zaprzęże!

II.

*List do Najjaśn. Pana Zygmunta, króla polskiego
 i wielkiego księcia litewskiego, wodza nigdy nie-
 zwyciężonego, w imieniu cnej Barbary, królowej
 i małżonki, po odniesieniu zwycięstwie 1514 r.*

Qua solet in densa turtur miserabilis ulmo

Voce queri, carum dum vocat orba marem . . .

Jak w gęstym wiązie turkawka jękliwa,
 Wdowiem gruchaniem małżonka przyzywa,
 Takiemi jęki i we dnie, i w noce,
 Ja smutna wdowa narzekam, gruchocę.
 Gdy Mars cię wezwał w daleką gdzieś stronę,
 Straciłam rozkosz, straciłam obronę.
 Królu przemożny, gdym była w obawie,
 Czy dobra dola poszczeni twój sprawie,
 Twe listy z wojny, jak dobra otucha,
 I lzy otarły, i wzmożyły mi ducha.
 Zmogleś zastępy, i wróg twój znękaną,
 Liczne pojmałeś książęta, hetmany,

Wzięłaś tryumfy mądrością i siłą,
 Jakich aż dotąd pod słońcem nie było.
 O dzień szczęśliwy! o fortunna cisza!
 Chwila radości małżonce Jowisza,
 Która przetrwawszy gromy i zamiecie,
 Dni przyjaźniejszych doczekała przecię.
 Ninie to, ninie złożę troski moje,
 Ninie zbolące serce uspokoję,
 I wzniosę Bogu ofiarnicze wota
 Za ulgę płaczów, za szczęście żywota.

Cóż ja modlitew, co ja zniosłam marnie
 Dziennej goryczy i nocnej męczarnie!
 A ile przygód bywało na świecie,
 Tyle obawy moją duszę gniecie,
 Już to zastępów i wojsk co nie miara,
 Już to warownie, już to obca wiara,
 Trwożny niepokój i zwątpienie ducha
 Rozjątrza boleść i obawę dmucha.
 I cześć, i wdzięki, i szkarłatna toga
 Obmierzły sercu, jak gorycz złowroga.
 Czarna zawiązka, to ubiór mej głowy,
 Zrzuciłam z szyje naszyjnik perłowy,
 Harfa i śpiewy rażą ucho moje,
 Przykre mi uczty, pokarmy, napoje.
 Nietyle tęskni Penelope wdowa,
 Nie tak się dręczy tyryjska królowa,
 Nieszczęsna Dydo, gdy na czele młodzi
 Trojański ksiązę pod żagiel wychodzi, —
 Jako ja tęsknię, jak się żalem miota
 Po królu swoim ojczyzna — sierota.
 O! jak mię Polska pociesza pobożna!
 Mniema, że w płaczu utulić mię można!

— Hamuj się — mówi — bądź mężna i śmiała,
 Królewskim piersiom odwaga przystała.
 Wróci monarcha i chwałą zastynie,
 Godłem zwycięstwa ozdobi świątynie.

Śnadź pracowicie z hufcami się ściera,
 Lecz gdzież bez prace cześć dla bohatera?
 Lud, co mu sprzyja Opatrzności oko,
 Trudami jeno wzbije się wysoko!

Dobra ojczyzna i ludzie tak czuli!
 Czemuż pociecha serca nie utuli?
 Bo łącno mądrze pocieszać w niedoli,
 Rozum pocieszysz, ale serce boli!
 Słowo, jak lekarz czujący uprzejmie,
 Choć sam boleje, bólów nie odejmie.

Lecz teraz, teraz, kiedy Boża władza
 Sercu radością za łzy wynagradza,
 Miło mi słuchać świegotliwej rzeszy,
 Wszelaki trefniś snadniej mię rozśmieszysz,
 Miło mi słuchać, jak o tobie gwarzą,
 Z jakim-eś sercem, z jak dostojną twarzą
 Szedł przeciw wroga, co nadzieje kładzie
 Tylko na liczbie, fortelu i zdradzie.
 Rozkoszno słuchać, kiedy słać poczną
 Twe bohaterstwo i mądrość widoczną.
 Od godów naszych (już przyznać ci muszę)
 Początek wojny był w dobrej otusze,
 Gdy nowożeniec, biegnąc od ołtarza,
 Tysiące mężów w bitwie upokarza,
 Gdy się we wroga pilceńskiego wrazi
 I bierze jassyr ze scytyjskich kniazi.
 Już swą miłością dobre wróżby rodzi
 Szlachetna młodzież: kwiat sarmackiej młodzi,
 Młodzieńcy z Litwy niepośledniej śpieszą,
 I hufcem konnym, i falangą pieszą.
 Cały ten orszak, jak głoszą z daleka,
 Drżał niecierpliwie, że bitwa się zwleka;
 Cóż gdy posłany ku bojowej sprawie,
 Szczupłemi siły, po trudnej przeprawie,
 Stoczył z nim bitwę? o! zawołam śmiało:
 Większego męstwa w dziejach nie bywało!

Bo nieprzyjaciel pod swemi rozkazy
Lepsze miał pole i sił dziesięć razy;
Drużyna, skwapna na bojowe dzieła,
Oreżno bystrą rzekę przepłynęła,
A nim się wojsko szykowało nasze,
Skruszono włócznie, trzaskano w pałasze,
I mała garstka pogardzonej rzeszy
Dostojnym plonem zwycięstwa się cieszy.
Już lotnej sławy tryumfalne pieśnie
Całą mi bitwę doniosły zawczasie:
Jak się Konstantyn, jak się Janusz ściera?
Jak wziął Zapolczyk imię bohatera?
Jak wszystka młodzież uwieńczyła głowy,
Tratując hufce końskimi podkowoy?
Gdzie stali piesi? gdzie królewska świta?
Gdzie zaś Wołyńcy, gdzie Geta i Scyta?
Jak zbito wroga? jak wielkie książęta
I wielkich wodzów zakowano w pęta?
Wiemy już wiemy, ileś rozsiał grozy,
Jakieś proporce, jakie wziął obozy,
Jak kędy stała moc nieprzyjacielska,
Gdzie w lasach, w polach walają się cielska,
Kto z nich utonął, kogo miecze gniołą,
Gdzie grunt skrwawiony rozgrzęznał na błoto.
Już o tem wszystkiem lud po miastach prawi,
Już za zwycięstwa Niebu błogosławi;
A mnie, zaiste, mnie, com tyle rada,
Jakiemiż dzięki modlić się wypada
Wielkim Niebiosom, że odzyskam przecię
Męża wielkiego, jak niemasz na świecie!
Że ów słynący władzą i podbojem,
Mąż bohaterski jest małżonkiem moim!
Tu Scyta w bitwach dwudziestu się płoszy,
Tu leżą ziemie pobitej Wołoszy,
Owo sąsiedni kraj upokorzony,
Kraj, co się pozbył całej swej obrony.
Wróg nasz fałszywy niedaremno blednie:

Chciał odrzeć z mężów krainy sąsiednie,
 Sam przedsię umknął, i w kornej postaci
 Zuchwalec karę przeniewierstwa płaci.

Powróć, zwycięzco, i pofolguj trocha
 Tej, która ciebie nad swe życie kocha!
 Niech się pocieszy nadwiślańska niwa,
 Co cię modłami i pieśnią przyzywa!
 Niech gród Krakowski i poddanych rzesze,
 Niech ja się z męża i króla pocieszę!

Z POEZYSI JANA DERSZNIAKA

Z ROKITNICY.

I.

Nagrobek Piotrowi Kmicie.

Sic placitum divis, fatorum arcana voluntas
 Haec est, amissum tandem lugete parentem.

Tak się Niebu i tajnym wyrokom podoba,
 Słuszna po stracie ojca dziecinna żałoba.
 Ludu! szerokim płaczem podziel płacz mój bratni:
 Kmita czternasty z rodu, bohater ostatni,
 Chluba domu Wiśnicza i sarmackiej ziemi,
 Oto leży, zakowan więzy śmiertelnemi.
 Jedyne nasze słońce wśród burzliwej chmury
 Zagasiła koścista dłoń śmierci ponurej.
 Oto jeno plac walki nad smutną mogiłą,
 Stało się, co od wieków przeznaczone było.
 Choć Kmita bohatersko w zapasach się trzyma,
 Przemogły srogie Parki krzepkiego olbrzyma.
 Pierwsza z nich więźnia we krwi zbroczonego bierze:

— Przestań, rzecze, nierównej walki, bohaterze!
 Jużci niebyć w ojczyźnie, daremnie się kusisz,
 Śmiercią nieśmiertelności dosłużyć się musisz.

Idź na szczęśliwe pole elizejskich cieni,
Gdzie się wiosna wieczysta radośnie zieleni!

Rzekła, uprzedła nitkę przeznaczenia człeka,
Lachesis targa przedzę i pasmo rozwleka,
Atropos zaś rozkrawa cały splot rozwity,
Ceber zawył w podziemi — i oto trup Kmity.
Widzi Polska zgon męża, narodu gromada
Widzi, jak on pod mieczem przeznaczenia pada.
Cóż począć? czy rozpaczać? albo Niebios prosić,
Aby snadź, gdy wyrokom stało się zadosyć,
Gwoli szczęścia i sławy Rzeczypospolitej
Dano drugiego męża z wielkim duchem Kmity,
Coby Piotra zastąpił i w słowach, i w czynie,
Zgoił gorzkie wspomnienie Lehowej drużynie?

Gdy nas dręczy obawa: co się z krajem zdarzy?
I kiedy łzy rześiste płyną nam po twarzy,
Patrzcie, jak groźna burza zbiera się dokoła!
Słuchajcie, jak ojczyzna o ratunek woła!
Jęcząc i oplakując niepowrotną stratę,
Chciałaby z grobu wskrzesić wiernego Achate:

— Biada mi! oto klęskę przewiduję z dali,
Oto łuna pożarna w obłokach się pali.
Trudno się ciebie, Kmito, odżałować dosyć,
Z tobą i gorzką dolę lżej było przenosić!
Kmito! tyś przedmiot żalu, ty byłeś wesele,
Czemu pragniesz spoczynku, kiedy prac tak wiele?
Żegnaj, Piotrze! Ojczyzna już się żegna z tobą;
Idź na łono Niebiosów, o nasza ozdobo!
Przechodniu! westchnij, żywem uczuciem przejęty,
Niechaj będzie sen jego spokojny i święty,
Niech między święte męże tej chwili doczeka,
Gdy Niebiosa zabłysznią tryumfem człowieka,
Gdy przyjdzie Bóg z Niebiosów i do siebie zgarnie
Prawowierne owieczki z Chrystowej owczarnie.

Z POEZYZI JOACHIMA BIELSKIEGO.

O D A XII.

Do Stanisława Karśnickiego, sędziego sieradzkiego.

Carznici, crimen mihi . . .

Snadź, mój Karśnicki, jam winien u ciebie:
Ty poświęcony ojczystej potrzebie,
Gdzie zdradne zgliszcze, gdzie ogień w popiele,
Tam stąpasz śmieie.

I miłe lasy, i Dryady hoże,
Nic cię w zapale zatrzymać nie może;
Jako gorejesz k'Pospolitej Rzeczy,
Któż ci zaprzeczy?

A ja w te czasy burz i niepogody,
W mym bielskim domku, nad strumieniem wody,
W błogosławionych gaikach mej niwy
Siedzę leniwy.

I we mnie grało rycerstwo Marsowe:
Już hełm z piórami włożyłem na głowę,
Miecz przypasałem, zwarłem piersi moje
W blaszaną zbroję;

Ale mię dziewa helikońskiej strony
Wstrzymała, mówiąc: Gdzie idziesz, szalony?
Czy miłość piosnki, czy już nic nie znaczy
Twój dar śpiewaczy?

Straszny rycerzu! niechaj ci się nie śni,
Byś łamał wiarę Febowi i pieśni;
Nie śmieij przenosić zwycięstwa nietrwałę
Nad wieszczów chwałę!

Czy większa Troja, co w popiołach tleje?
Czy większy Homer, co śpiewał jej dzieje?

Łabędź sarmacki już świeci w tej porze
Pomiędzy zorze.

Apollo — rzekłem — nie gardzi oreżą,
Gra na cytarze i łuk swój nateża,
A nawet słodka uczona Pallada
Zbroić się rada.

Muza, co w krwawym nie smakuje trudzie,
Pierzehła ode mnie; lecz my biedni ludzie,
Co jeno myślím, już zaraz się poda
Jakaś przeszkoda.

Zaledwie zbrojno próg domu przechodzę,
Moja mi Anna stanęła na drodze:
Jak gałąź bluszczu wije się, jak może,
Na swej podporze,

Tak na mej szyi zawisła w tej chwili.
Z nią niemowlęta, synaczkowie mili;
Na rękach Stefan, a mały Jaś bieży
Przy jej odzieży.

O zorzo moja!... porzucasz mię zgoła!...
Tak, płacząc, biedna niewiasta zawoła.
Jam okamieniał, bo miękkie, niestety!
Serce poety.

Cyrce, Kalipso, czarodziejka czuła,
Do ścian domowych rycerza przykuła,
I jak syrena w niewoli mię trzyma
Swemi oczyma.

O D A XIII.

*Do Stanisława hrabiego z Górk, wojewody
poznańskiego.*

Orbis tyranno Sarmata debuit...

Oto na ziomków obrócił Sarmata
Grot, co miał razić gnębicielów świata,

Brat zbrojny czyha na braterskie zdrowie,
Na własnych dziadów srożą się wnukowie.
Nie tak się waśni dzikich lwów gromada,
Nie tak się wściekle wilk z wilkiem ujada,
Jako Sarmaci... Sroga nasza wina,
Kiedy Bóg wojną domową przeklina!
Krew bratnia płynie, jako bystra rzeka,
Bezbożny Turczyn cieszy się z daleka.
Rzym, niegdyś szczęśny, zginął pod tą plamą,
I sławne Teby runęły tak samo.
Czyż można patrzeć ze źrenicą suchą,
O zacny hrabio! o nasza otucho!
Kiedy winnica najlepszej nadzieje
Ścięta żelazem bez plonu marnieje?
Tak płaczem, patrząc na wojen żarzewie...
O krwi szlachetna! hamuj się w twym gniewie.
Za cóż ta klęska i cierpień gromada
Na głowę ludu niewinnego spada?
Za grzechy wielkich i możnych współbraci
Gmin łyzy wylewa, albo życiem płaci;
Za śmierć Patrokla Achill rozgniewany
Tak się morderczo pastwił nad Trojany.
Zaklinam ciebie na ojczyste bogi:
Rzućcie myśl straszną, rzućcie gniew złowrogi,
Zastaw nad nami swą pawęż ochrońcą,
Niech polskie miecze krwi polskiej nie sączą.

SPIS RZECZY.

PRZEKŁADY POETÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH EPOKI ZYGMUNTOWSKIEJ.

	Str.
Poemata Klemensa Janickiego.	
Elegia. Do Jędrzeja Krzyckiego	7
Elegia. Poleca swej muzie, aby mu zjednała Sta- nisława Hozyusza	10
Dyalog o niestałej różnaitości odzieży u Polaków .	12
Epitalamion Najjaśniejszemu Królowi Polskiemu Zy- gmuntowi Augustowi	17
Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego.	
Elegia I	24
Elegia II	26
Elegia III	27
Elegia IV	30
Elegia V	33
Elegia VI	34
Elegia VII	37
Pieśń zwycięska	42
Pieśni liryczne.	
Oda I do Henryka Walezyusza, króla polskiego . .	69
Oda II na bogi fałszywe	70
Oda III na zjazd stężycki	71
Oda IV do zguby	73
Oda V do Mikołaja Firleja, wojewodzica krakowsk.	74
Oda VI na zjazd warszawski	75
Oda VII do Licyi	76
Oda VIII do Jędrzeja Patrycego	77
Oda IX do wsi Promnik	77
Oda X o zdobyciu Połocka	78
Epitalamion	81
Do Jędrzeja Patrycego	84

	Str.
Francuzowi krakającemu	87
Pan Zamechski	90
Orfeusz Sarmacki	92
Poemat Sebastyana Klonowicza.	
Ziemie Czerwonej Rusi (Roxolania)	94
Pienia liryczne Mikołaja Smoguleckiego.	
Oda I zastęp cnót walczy pod sztandarami Zygmunta	144
Oda II zwycięstwo wieńczy Zygmunta	148
Oda III wiara wystawia pomnik Zygmunтови	151
Oda IV chwała zapowiada Zygmunтови nieśmier- telność	153
Joachima Bielskiego satyra	154
Z poezyi Wojciecha Inesa	158
Poezye ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego.	
Księga pierwsza.	
Oda I do Urbana VIII Papieża	160
Oda II do Aureliusza Lyka	162
Oda III do Kryspa Lewińskiego	163
Oda IV do książąt Europy	164
Oda V gromi gnuśność wieku	167
Oda VI do Stefana Paca	169
Oda VII do książąt państwa rzymskiego	171
Oda VIII do rycerstwa polskiego	173
Oda IX poeta wzdycha do niebieskiej Ojczyzny	175
Oda X do książąt włoskich	175
Oda XI do Lewina Hielusza	178
Księga druga.	
Oda I do Publiusza Memmiusza	179
Oda II do swej harfy	180
Oda III do swójego brata Stanisława Sarbiewskiego	180
Oda IV o występkach rodzaju ludzkiego	182
Oda V Kato polityk	184
Oda VI do Decyusza	186
Oda VII do Najśw. Maryi Panny	188
Oda VIII do rzeki Narwi	189
Oda IX niczego nie należy głupio się lękać	190
Oda X ze świętego Kantyka Salomonowego	193
Oda XI do Jędrzeja Rudominy	194
Oda XII pochwały Zygmunta III	195

Oda XIII do Niemiec wrzących wojną domową . . .	197
Oda XIV ze świętego Kantyka Salomonowego . . .	198
Oda XV do Najśw. Maryi Panny	200
Oda XVI do Sławy, aby głosiła czyny Władysława . . .	200

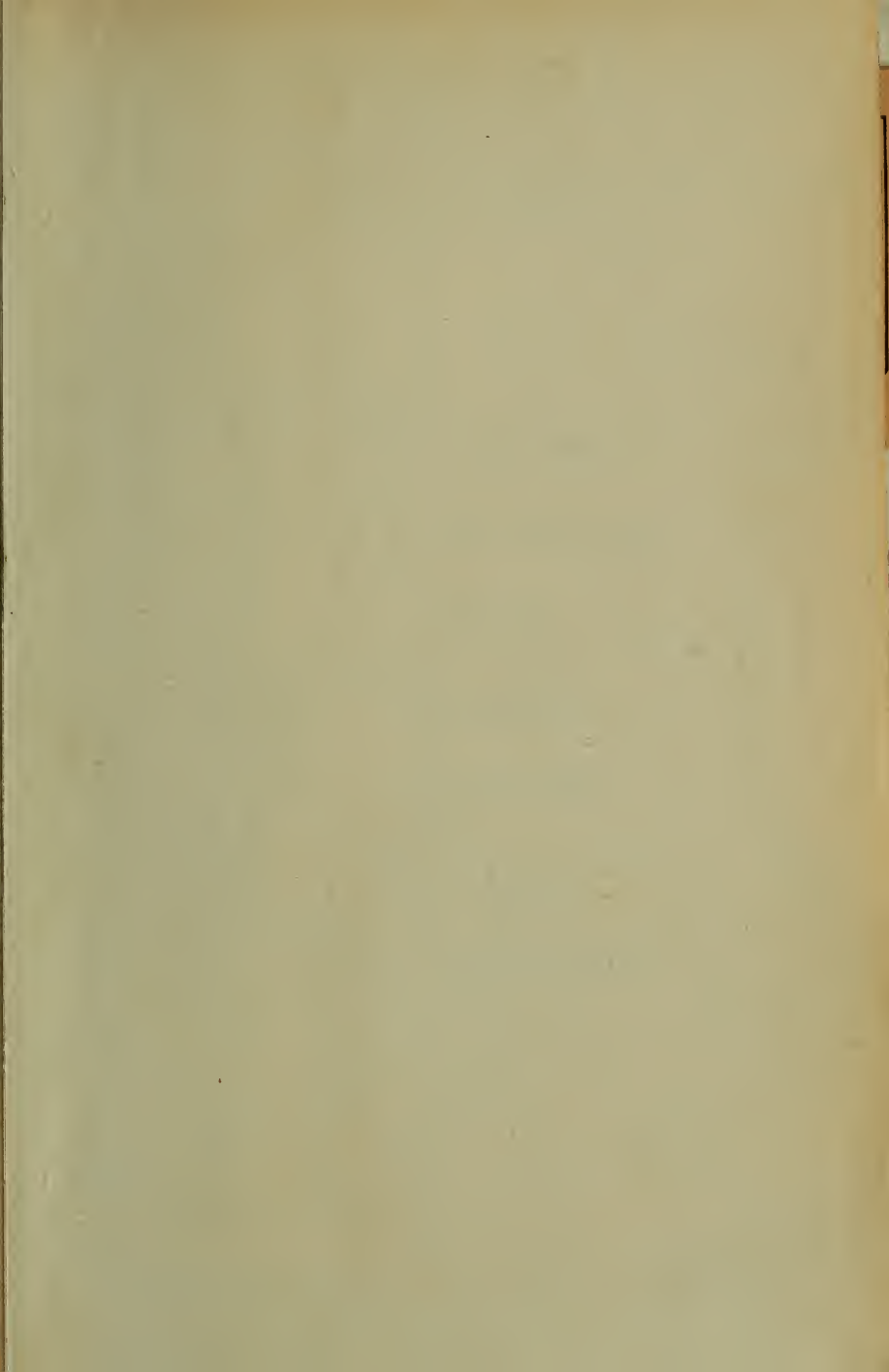
Księga trzecia.

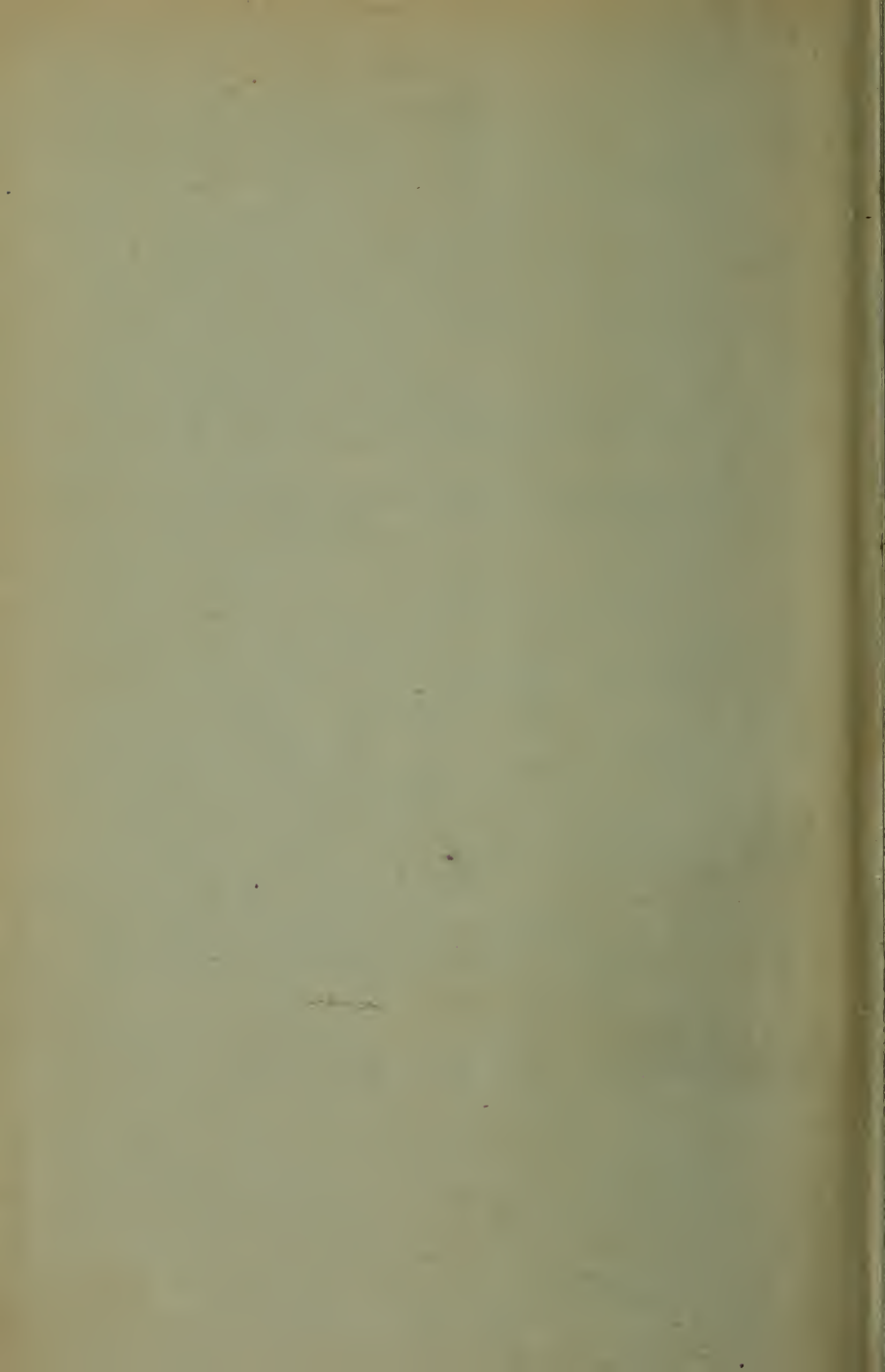
Oda I do Egnata Nolliusza	201
Oda II do Marka Sylicerna	202
Oda III na szpetną chciwość wieku	203
Oda IV panegiryk Annie Radziwiłłowej	204
Oda V do samego siebie	205
Oda VI pochwały Franciszka Barberiniego	207
Oda VII do rycerstwa europejskiego	209
Oda VIII do Aula Lewińskiego	211
Oda IX do Cezara Pauzylipa	212
Oda X do Jana Rudominy na śmierć jego brata . . .	213
Oda XI do Jana Rudominy na śmierć jego ojca . . .	215
Oda XII na kamień węgielny kościoła Tow. Jezusow. . .	216
Oda XIII do Abrahama Bzowskiego zak. kaznodz. . .	218
Oda XIV do przyjaciół Belgów	220
Oda XV do Kwinta Arysta	224
Oda XVI do Przyjaciół	225

Księga czwarta.

Oda I do Stanisława Łubieńskiego	225
Oda II do Cezara Pauzylipa	227
Oda III o zwycięstwie Polaków nad Osmanem	229
Oda III parodya z pieśni Jana Kochanowskiego . . .	232
Oda IV pochwała miasta Gdańska	234
Oda V do Kw. Delliusza	236
Oda VI do Zygmunta Leta	237
Oda VII do Jana Libińskiego	238
Oda VIII do Cezara Pauzylipa	239
Oda IX do Kryspa Lewińskiego	240
Oda X do fiołków	241
Oda XI do zefiru	241
Oda XII prorocstwo Noego oplakujące bezrządy . . .	242
Oda XIII do Mądrości Bożej	245
Oda XIV do rycerstwa polskiego	245
Oda XV do Filidyusza Morabotina	249
Oda XVI do Wojciecha Turskiego	251
Oda XVII do Najśw. Maryi Panny	252

Oda XVIII do Kwinta Tyberyna	252
Oda XIX do Pawła Kozłowskiego	253
Oda XX do rycerstwa Polskiego i Litewskiego	255
Księga piąta.	
Oda I pochwała ciszy zakonnej	257
Oda II pochwała rzeki Bugu	260
Oda III Janowi Karolowi Chodkiewiczowi	261
Oda IV do bł. Stanisława Kostki	263
Oda V do Jakóba Zadzika	267
Oda VI do Jana Rywockiego	269
Oda VII wiekuista pamięć ceniom ojca i syna	270
Oda VIII pieśń na cześć zwycięzcy	272
Dzieła pośmiertne.	
I. Podziękowanie Janowi Karolowi Chodkiewiczowi	273
II. Podróż do Rzymu	285
Dodatek do Sarbiewskiego.	
Oda I. Księga IV	293
Z poezyi Szymona Szymonowicza Bendońskiego.	
Obrazy na sali w Zamościu	295
Pieśń starożytna na cześć Bolesława Krzywoustego	302
Pieśń o Albercie wójcie krakowskim	303
Nagrobek królowej Jadwidze	306
Z poezyi Jana Dantyszka	308
Z poezyi Jędrzeja Krzyckiego.	
I. Na wesele Zygmunta I	311
II. List do Najjaśniejszego Pana Zygmunta	315
Z poezyi Jana Derszniaka z Rokitnicy	319
Z poezyi Joachima Bielskiego.	
Oda XII do Stanisława Karśnickiego	321
Oda XIII do Stanisława hrabiego z Górki	322





LP

K8266

Kondratowicz, Ludwik

Poezye Ludwika Kondratowicza.
Vol. 5²-6.

486187

DATE.

NAME OF BORROWER

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET



